



MONIKA BŁĄDEK

SPRAWIEDLIWI

G L O R I A

MONIKA BŁADEK

SPRAWIEDLIWI

G L O R I A



Ilustracje i projekt okładki: *Tomasz Maroński*

Redakcja: *Marek Gumkowski*

Redakcja techniczna: *Anna Sawicka-Banaszkiewicz*

Skład wersji elektronicznej: *Robert Fritzkowski*

Korekta: *Maria Śleszyńska, Katarzyna Szajowska*

Copyright © for the text by *Monika Błądek*

© for this edition by *MUZA SA, Warszawa 2016*

ISBN 978-83-287-0268-4

Wydawnictwo *Akurat*

Wydanie *I*

Warszawa *2016*

Spis treści

Od autorki

Część pierwsza - Podróż

Rozdział 1 - Aslan „Tank” Zuradow

Rozdział 2 - Ochroniarz

Rozdział 3 - Drugie życie

Rozdział 4 - Memed i Dżochar

Rozdział 5 - Klatka

Rozdział 6 - Wyrok

Rozdział 7 - Przykrywka

Rozdział 8 - Hardkor

Rozdział 9 - Przesłuchanie

Rozdział 10 - Powrót do domu

Rozdział 11 - Trojło Oril

Część druga - Szkoła przetrwania

Rozdział 12 - Liceum

Rozdział 13 - Odsiecz

Rozdział 14 - Ci mężczyźni!

Rozdział 15 - Ukraiński kocioł

Rozdział 16 - Bunt

Rozdział 17 - Mam chłopaka

Rozdział 18 - Nieznajomy

Rozdział 19 - Ośrodek

Rozdział 20 - Odkrycie

Rozdział 21 - Porwanie

Rozdział 22 - Wyprawa
Część trzecia - Spalona ziemia
Rozdział 23 - Trójkąt Bermudzki
Rozdział 24 - Łapa
Rozdział 25 - Twierdza w Kamieńcu
Rozdział 26 - Duchy przeszłości
Rozdział 27 - Okruchy tajemnicy
Rozdział 28 - Bracia
Rozdział 29 - Wezwanie
Rozdział 30 - Przeprawa
Rozdział 31 - Jądro ciemności
Rozdział 32 - Truth
Rozdział 33 - Najbliżsi
Epilog
Podziękowania

Od autorki

Kilka słów o bohaterce powieści. W pierwszej wersji Gloria miała walczyć mieczem z tarczą w świecie podobnym do tego z czasów wczesnego średniowiecza. Jednak Mordor jest tutaj. Wydarzenia za naszą wschodnią granicą skłoniły mnie do napisania zupełnie innej powieści. Gloria uczy się strzelać z bloczkowej kuszy i zmienia swój stosunek do broni palnej. Siedemnastolatka zaczyna marzyć o miniberylu i chce sobie zasłużyć na miano komandosa. Ile jest w naszym kraju takich Glorii? Których nie usypia spokój, w jakim żyjemy, gdy są zabijani nasi sąsiedzi. Glorii, które nie mogą przejść nad tym do porządku dziennego. Prawi ludzie żyją krótko. Powieść ta jest podziękowaniem za ich bohaterstwo.

*Zwierzę rani i zabija po to, by przeżyć.
Człowiek również po to, by upokorzyć.*

Część pierwsza

Podróż

Rozdział 1

Asłan „Tank” Zuradow

Paryż
Rok 2035
XVIII dzielnica

Co za głupie imię: Gloria! Ale takie dali mi rodzice. A ja byłam nie tylko sierotą. Byłam ofiarą. Ostatnią ofierą. Omal nie wlażłam na denko stłuczonej butelki po piwie, którą ominęłam w ostatniej chwili. Zagapiłam się w ponure ołowiane niebo, nie patrzyłam pod nogi, w dodatku doskwierało mi zimno, kłując podstępny rojem lodowatych igieł. Powinnam przewidzieć, że szybko ostygnę po treningu, ubrana w cienką kangurkę z kapturem i krótką skórzaną kurtkę. Cóż, taka jest cena lansu.

Zerknęłam na towarzyszącego mi Asłana. Dostrzegł, że drzę, i opiekuńczo okrył mnie swoim płaszczem. Od Sekwany nieźle ciągnęło, ale nic to. Wszędzie unosił się popiół. Osiemnasta dzielnica płonęła. W rozedrganym powietrzu wirowały duże popielate płatki. Jakby sama natura się zbuntowała i zapragnęła okryć Paryż kołdrą brudnego puchu albo kpiący z ludzkich przywar olbrzym dla żartów oskubał gigantycznego szarego kurczaka.

A jednak nie poddawaliśmy się, nie odpuściliśmy kolejnego treningu. Inaczej moje życie zamknęłoby się w dwóch słowach: szkoła i dom. Dom i szkoła. Dobrze, że znalazłam sobie przyjaciela. Asłan był Czeczenem, pobratymcem Dudajewa i Maschadowa – bohaterstwo natleniało jego gorącą krew, podobnie jak walka. Czułam się przy nim bezpieczna. Jakby prowadził mnie ochroniarz. Osobisty bodyguard. Chodząca góra mięśni prężących się pod T-shirtem o barwie antracytu i kamizelką z kieszeniami pełnymi różnych szpejów. Stąd wzięła się jego ksywa „Tank”.

Asłan „Tank” Zuradow.

Był starszy ode mnie o kilka lat, miał poważną twarz, krótko przycięte smolście czarne włosy. Czujne spojrzenie ciemnobrązowych oczu

przeczesywało okolicę.

Wypalone wraki samochodów, smętnie wiszące osmalone żaluzje, powybijane szyby. Czarne czeluści obrabowanych sklepów. Strefa wojny. Tylko my przemierzaliśmy w pośpiechu pustą ulicę zawaloną kawałkami szkła, zmiażdżonymi puszkami po piwie. Kupy cuchnących śmieci w porozrywanych plastikowych workach piętrzyły się pod ścianami pokrytymi niebiesko-czerwonym graffiti. Brakowało jedynie szczurów przemykających między zgniłymi odpadkami. Podmuch wiatru wtoczył nam w płuca odór rozkładu. Służby miejskie wywożące śmieci były pieśnią przeszłości. Lepszego świata. Nie tak turyści wyobrażali sobie Paryż. Ale przecież slumsy miało każde duże miasto, wystarczyło zejść z uczęszczanej przez tłumy ścieżki, zajrzeć za uchyloną bramę.

Mój towarzysz pociągnął mnie za ramię. Po drugiej stronie ulicy stał ciemnozielony wygięty słup latarni, jakby wjechała w niego ciężarówka. Wycięte w stali litery informowały: „Metropolitain”. Metro. Następna niebezpieczna strefa.

Wsadziłam rękę pod płaszcz i poprawiłam na ramieniu pasek szorstkiej ciemnogramatowej sportowej torby. Miałam w niej parę ośmiouncjowych rękawic z brązowej skóry, spodnie z czarnego płótna na ściągaczu i mokrą koszulkę z nazwą szkoły walki „Roks-boks”. Połączenie kilku popularnych stylów kopano-uderzanych.

Jeszcze raz zerknęłam na Aśana. Słabe żółte światło wydobywało z ciemności mocno zarysowany nos, czarne brwi. Śniada cera przybrała złotobrazową barwę. Nie to co ja, blada siedemnastolatka o mysich, nijakich włosach i szarych oczach.

Napis na niebieskim tle: „Pigalle”. Białe kafelki, którymi wyłożono tunel, leżały teraz potrzaskane. Musiałam uważać, żeby nie wejść na jakąś wystającą płytkę. Miałam delikatne botki na cienkiej podeszwie, za to Aśan czarne buciory z wyposażenia Bundeswehry. Skóra była już nieco przetarta, a prawa podeszwa nadtopiona – negocjując z tubylcami, za długo trzymał buty w ogniu. Aśan mówił mi, że kiedyś rzeczywiście tańczył na rozżarzonych węglach.

Pod ścianą siedziało dwóch kloszardów. Coś bełkotali, śmierzdiało uryną i skwaśniałym winem. Aśan rzucił im parę monet na brudny koc. Taki już był. Wiedział, co to bieda. Nieważne, że menele dowód jego miłosierdzia wydadzą

na kolejnego bełta.

Przeszliśmy przez uchylone, niedziałające bramki. Kto by w tej chwili ścigał pasażerów na gapę, kiedy na powierzchni płonął świat...

Na peronie rozstawione w równych odstępach bramki były zamknięte, oddzielając nawierzchnię z szynami od pasażerów. Zerknęłam na wyświetlacz nad swoją głową. Rozwalone diody LED. Jeszcze tydzień temu połyskiwały tam żółte cyferki, informując, za ile minut nadjedzie metro.

Szum i świst, z czeluści wychynał krótki zielonkawy skąposzczet. Pięciczołonowy skład płynnie się zatrzymał. System działał, drzwi rozsunęły się synchronicznie razem z bramkami. Nie miałam jednak ochoty zmierzać rozpędzonym wagonem bez maszynisty prosto w czeluść piekieł. Nawet w dobrym towarzystwie.

Wsiedliśmy na sam koniec, do ostatniego członu. Pechowo. Na kolejnej stacji sfera wrzaskliwych czarnoskórych obywateli odcięła nam drogę odwrotu. Uciekali z osiemnastki niczym stado karaluchów, które przenosiło się na nowy dziewiczy teren, aby go zapaskudzić, niosąc smród rozkładu.

– *Saló...* – rzucił ku nam rosły Afrykanin z dreadami.

Szybko się zamknął. Prawidłowa reakcja. Aślan gwałtownie poderwał się z siedzenia. Zawisł nade mną. Zadrżałam, widząc jego lekko zmrużone, płonące oczy. Miałam wrażenie, jakby chciał mnie objąć muskularnymi ramionami, odgradzając od napastników. Był jak górski lew szykujący się do skoku. Czulałam na twarzy pulsujące ciepło jego oddechu. Przeszedł mnie dreszcz. Podniecenia? Niepewności? Strachu?

A oni? Dlaczego zrezygnowali z zaczepki? Bo tacy goście jak Aślan cieszyli się złą opinią. Dżihad, te sprawy. Kosa nagle wyskakująca z kieszeni. Skąd czarni bracia mieli wiedzieć, że nie jest fanatykiem, wysadzającym siebie i innych? Że nie jest samobójcą. A wystarczyło pomyśleć, kapkę się wysilić. Czy fundamentalista zadawałby się z białą dziewczyną z odsłoniętymi włosami?

A ja sama, czy byłam rasistką? Nie. Ale drażniły mnie podziały. To, że szacunek zdobywało się przemocą i triumf święciła pogarda dla odmienności. Podziały, wszędzie podziały. Oni i my. Zamknięte dzielnice, slumsy, ogrodzony teren dla bogatych. Tak kończyły się rządy socjalistów. Skrajnościami. Tym, że bogaci stawali się bardziej bogaci, a biedni jeszcze biedniejsi. Dlaczego

zaprzątałam sobie tym głowę? Bo, cholera, małolaty nie są głupie, nie są infantylne. Chcą wiedzieć, dlaczego ten świat działa, jak działa. Dlaczego Aslan nie trzyma ze swoimi? I co o nim naprawdę wiem? Niewiele.

Wyratował mnie z łap dwóch furiatek. Wpakowałam się w kłopoty, broniąc dziewczyny, która się wyłamała. Nie nosiła chusty poza murami szkoły. Chciała żyć własnym życiem. Jak żył nim Aslan, który nagle pojawił się na boisku. Wystarczyło, że popatrzył na napastniczki, a wycofały się w pośpiechu. Od tamtej pory mnie chronił. W ramach doświadczalnego programu społecznego, pozwalającego zdobyć wykształcenie uzdolnionym przedstawicielom innych kultur, ten dojrzały mężczyzna dostał stypendium i miał szansę skończyć liceum plastyczne. Choć Aslan i tak nie był najstarszy w klasie.

Polubiliśmy się, mimo różnicy wieku, a może właśnie dlatego? Nie pochłaniały go problemy typowe dla moich kolegów, zakompleksionych nastolatków z burzą hormonów buzujących niczym woda sodowa. Nie palił w kiblu, nie brał prochów, nie przemycał bimbru w plastiku i nie robił debilnych kawałów, racząc koleżanki prostackimi odżywkami. Nie włóczył się po klubach z dowodem pożyczonym od starszego brata. Za to zabrał mnie na pierwszy trening i przekonał do swojego hobby: sztuk walki. Teraz sama bym się obroniła.

„Czarne Pantery” nareszcie się zmyły. Wykonawszy kilka obrotów wokół metalowych słupków, wyskoczyli z wagonu. Aslan musiał zwietrzyć kłopoty. Intensywnie się wpatrywał w grupki ludzi w przedniej części składu. Nie przez przypadek zawsze zajmował miejsce z tyłu – to był dobry punkt obserwacyjny. Co niepokojącego tym razem zobaczył? Przemawiała przez niego ostrożność czy miał przecucie wojownika? Wysiedliśmy na następnym przystanku.

– *Merde* – zaklął. Ja również ich dostrzegłam. Kilku ubranych na szaro facetów z ciemnymi włosami i długimi brodami.

Pociągnął mnie za ramię w boczny tunel.

– Szybciej – rzucił. – Tu są kamery.

O co chodzi?! Jeśli coś nam groziło ze strony kolejnego gangu, to lepiej było pozostawać na monitorowanym terenie i pokładać nadzieję w jednostkach antyterrorystycznych, że błyskawicznie zareagują i przyjdą z odsieczą

spokojnym obywatelom.

Nie mieliśmy przy sobie żadnego cudu techniki, nawet komórki, bo dzięki temu człowiek stawał się anonimowy. Jednak w tym momencie działało to na naszą niekorzyść. Nie mogliśmy wezwać pomocy. Szliśmy szybkim krokiem, co chwilę gdzieś skręcając, aż straciłam orientację. Tunele były tak zdewastowane, że na szarych ścianach, z których tonami odpadały płytki, nie dostrzegłam ani jednego czytelnego napisu. Nie nadążałam za Asłanem. Zaczęłam biec.

Nagle się zatrzymał. Stanęliśmy pod ścianą z naroślami kostropatych burych zacieków. Korytarz się skończył. Dopadli nas! Czterech napastników z twarzami zasłoniętymi biało-czarnymi chustami o drobnym wzorze – kodzie morderców.

Zauważyłam błysk stali. Wyciągnęli noże. Zakłuci w ciemnym zaułku przez bojowników dżihadu. Superperspektywa! Umknął mi drobny fakt, że kiedy schodziło się do metra, a już szczególnie w osiemnastce, obowiązywała jedna zasada: „Pasażerze, jesteś tutaj na własną odpowiedzialność. Radź sobie sam”.

Nerwowo spojrzałam na swojego obrońcę, mocniej zaciskając dłoń na pasku sportowej torby. Nie padło ani jedno słowo, co zwiększyło napięcie. Żołądek podszedł mi do gardła i skoczył jak opętany. Usiłował się przebić przez przełyk skurczony strachem.

Kątem oka dostrzegłam błyskawiczny ruch. Ręka wysunięta zza pleców. Nóż? Sączące się przez brudny klosz lampy światło padło na ciemną, gładką lufę.

Asłan wyciągnął gnata. Upadłego czarnego anioła zwiastującego śmierć.

A później ich rozwalił. Wszystkich. Precyzyjnymi strzałami w klatkę piersiową. Najbliższy w odruchu desperacji zamachnął się kosą i skoczył na lufę plującą kulami. Jego ręka osunęła się po kurtce Asłana. Upadł na podłogę i skulił się niczym noworodek szukający bezpieczeństwa w matczynym łonie, po czym zamarł.

Oderwałam dłonie od uszu. Ostry zapach prochu. Krwawiące dziury w plecach ofiar – rany wylotowe. Ciała powyginane w surrealistycznych pozach. Rosnąca kałuża czerwonej mazi, pełznąca do moich butów. Jak materializujący się potwór z horroru. I ta zastygła twarz. Twarz mordercy.

Nie drgnął mu żaden mięsień. Oczy były zimne, obce. Pociągnięciem za łokieć zmusił mnie, bym przestąpiła przez trupy. Już trupy. Bo dla pewności oddał jeszcze dwa strzały, mierząc leżącym w potylicy, i wsadził broń za pas, ciągle z tym samym obcym spojrzeniem.

To po to ich zwabił w ślepy zaułek. Żeby wszystkich wykończyć, nie zostawić świadków. Jeden jednak pozostał. Ja, Gloria Arciszewska. Naiwna dziewczyna wierząca w przyjaźń.

Zabójca! Morderca! – chciałam to wykrzyknąć. Nie wydałam najmniejszego dźwięku, choćby ostrożnego jęku czy słabego pisku. Wstrząsała mną fala dreszczy, jakbym miała gorączkę i drżała, kuląc się pod kocem. Coś spływało mi na oczy. Krew? Odruchowo wytarłam czoło rękawem i przyłożyłam go do ust. Poczułam słony smak na wargach. To tylko pot.

Asłan przyjrzał mi się uważnie.

– Albo my, albo oni, Gloria – rzekł spokojnym tonem. – To jest wojna.

– Nie mów mi, że jesteś z Mosadu – warknęłam ochryple, nareszcie odzyskując głos.

Ściągnęłam płaszcz i rzuciłam mu w twarz. Złapał go niezgrabnym ruchem, ręką, w której jeszcze przed chwilą trzymał broń.

– Nie, nie jestem.

Wciągał go jakoś niemrawo. Czyżby, kiedy ochłonął, obudziły się w nim wyrzuty sumienia? Nie dobija się rannych, przestrzeliwując im mózgi na oczach nieletniej. To nie tylko brak ludzkich uczuć, ale i spory nietakt.

– Włóż i zaciągnij kaptur – zażądał. Sam również nasunął kaptur płaszcza głęboko na twarz. Myliłam się, on nie ma skrupułów. Myśli tylko o tym, aby nie odpowiedzieć za poczwórne zabójstwo. – Chodźmy! – Poczułam żelazny chwyt na ramieniu. Syknęłam z bólu. Asłan nie zostawił mi wyboru. Musiałam dostosować tempo do jego kroków. Spod kaptura kangurki widziałam tylko kawałek ciemnoszarego wyslizganego betonu pod stopami.

Przez głowę przelatywały mi pytania, na które gorączkowo szukałam odpowiedzi. Nawet gdybym miała do czynienia z agentem, przecież i tak by się do tego nie przyznał. Ale ta jego brutalność! Jakby nieobcy mu był taki sposób działania, jakby zawodowo przeprowadzał egzekucje. Co robi w paryskim publicznym liceum? Czyżby zajmował się inwigilacją? Przecież do takiej

roboty lepiej by się nadawał przyszczaty nastolatek. Nie zwracałby tak na siebie uwagi. Gangster? Czeczeńska mafia bezpośrednio kontrolująca rynek prochów? To bez sensu. Intuicja podpowiadała mi, że prawda jest bardziej absurdalna. Jak mawiała moja ciotka Hanna, życie to nie film sensacyjny. Jest bardziej zawile. Bardziej niedorzeczne.

Asłan pozbył się pistoletu, wyrzucając czterdziestkępiątkę przez rozbite okno, kiedy tylko pusty wagon znalazł się między przystankami. Powinien cisnąć broń do wody albo zakopać. Wszystko, byle nie zostawiać dowodu w tunelu metra. Okazało się jednak, że wiedział, co robi. Gdy wysiedliśmy w Boulogne i zmierzaliśmy do wyjścia, nadzialiśmy się na lotny patrol. Teraz?! Kiedy pasażerowie poradzili sobie sami?

Potężni osobnicy w czarnych kominiarkach zakrywających twarze nie dbali o bezpieczeństwo pojedynczych cywilnych obiektów. Ścigali terrorystów. Zabezpieczali metro przed wybuchem ładunku siejącego masową śmierć. Działania pozorne, bo... do cholery, jak udowodnił to mój towarzysz zabójca, można przemycić do metra całkiem sporego gnata. Wykrywacze metali działały niezawodnie w zamkniętych sektorach, w których chronił się rząd i bogaci obywatele miasta. Tylko tam nie przytłaczał brud i smród miejskiego ścieku. Paryża. Wychodka upadającej cywilizacji.

Jednostki specjalne w miejscach publicznych: sklepach, metrze, szkołach, to nic niezwykłego. Kamizelki kuloodporne, czarne osłony z kevlaru na stawy, gogle z noktowizorami, odbezpieczona broń. Ile lat trwa ten konflikt? Kto pamięta, jak się zaczął? Już ponad dwadzieścia lat temu płonęły podparyskie dzielnice, kiedy bezrobotni synowie imigrantów wyszli na ulice. Zamachy bombowe też mają długą tradycję.

Tak dorosli urządzili sobie świat. Świat, do którego wkraczałam i do którego zabrał mnie dzisiaj Asłan. Nie widziałam jeszcze śmierci z tak bliska. Nie zaglądała mi tak nachalnie w twarz. Te trupy za nami... To my mogliśmy tam leżeć w kałuży krzepnącej krwi. Nareszcie to do mnie dotarło i przestałam go winić za masakerę. Tak nisko stoczyła się cywilizacja. Albo my, albo oni. Jednak Asłan pominął istotną kwestię. W tej wojnie nie było zwycięzców.

Rozdział 2

Ochroniarz

Jasna tarcza księżycyca, powiew rzeńskiego powietrza na twarzy. Co za ulga po opuszczeniu katakumb! Nareszcie znalazłam się na progu bezpiecznego świata. Ciężka stalowa brama strzegła dostępu do pięciokondygnacyjnego budynku pokrytego świeżym kremowym tynkiem. Zsunęłam kaptur, kiedy stanęliśmy przed kamerą. Czarne oko celowało w moją głowę jak wylot lufy karabinu. Paskudne wrażenie. Przycisnęłam kciuk do dotykowego panelu, palcem drugiej dłoni wstukałam kod. Odetchnęłam z ulgą, gdy brama cicho się rozsunęła, niczym drzwi atestowanej szwajcarskiej windy Schindlera.

Teraz już wiedziałam, dlaczego, kiedy Aslan odwoził mnie do domu, nie opuszczał metra w Boulogne. Z ukrytą bronią nie minąłby bramki, nie przeszedłby też przez nieduży hol wyłożony wykładziną w kolorze czerwonego wina szczepu pinot noir. Alarm wyrwałby z drzemki wynajmowanego przez wspólnotę ochroniarza, który siedział w dyżurce za zbrojonymi drzwiami. Oczami wyobraźni ujrzałam, jak przez uchylony lufcik Marc celuje do uzbrojonego intruza ze swojej wiernej berthe.

Wjechaliśmy windą na trzecie piętro.

– Tutaj mieszkam. – Wskazałam na pierwsze drzwi po prawej z mosiężnym numerem 34 połyskującym na ciemnobrązowej dębinie. Spodziewałam się pożegnania. Aslan oparł się o ścianę. Milczał, oczekując ruchu z mojej strony. Nie pozostało mi nic innego, jak zaprosić go na kolację. Ciekawe, jak na tę niespodziewaną wizytę zareaguje moja ciotka?

Nacisnęłam dzwonek. Hanna pewnie widziała nas na hologramie. O tej porze krzątała się w kuchni, czekając na mnie i martwiąc się. Każde wyjście poza mury naszej fortecy niosło z sobą ryzyko, nawet tutaj, w Boulogne-Billancourt, na południu Paryża. Aż dziw, że ciotka puszcza mnie na treningi. Opowiadałam jej o Aslanie, rozmawiała z nim niejedną raz przez telefon, obserwując go na wyświetlaczu, ale czym innym było zobaczyć na własne

oczy.

Kiedy otworzyła drzwi, nie skomentowała jego wieczornych odwiedzin, wymienili tylko cztery cmoknięcia w powietrze – zwyczaj, który przejęli nawet imigranci z odległych krajów.

Odebrała od Asłana płaszcz. Taksując mężczyznę spojrzeniem niebieskich oczu, przenikających przez podejrzany obiekt niczym promieniowanie jonizujące, skomentowała:

– Jesteś ranny.

Ranny? Dopiero teraz skojarzyłam nóż zahaczający o jego kurtkę i dziwne, nieporadne ruchy, kiedy wciągał płaszcz. Jednak jestem oferumą. A właściwie patentowaną gapą do entej potęgi. Skupiłam się na swoim wrażliwym ja, na trupach leżących we krwi i resztkach mózgow wylewających się na betonową podłogę, i nie zaskoczyłam, dlaczego przez całą drogę przyciskał dłoń do brzucha. Powinnam go obejrzeć, odsunąć poły kurtki. Taki facet jak Asłan nie poskarżyłby się kobiecie, a tym bardziej nastoletniej gówniarze. Jego ręka była cała czerwona od krwi, która skapywała na miodowe płytki terakoty, tworząc asymetryczne kwieciste wzory. Jak mogłam tego wcześniej nie zauważyć? Była na to tylko jedna odpowiedź: adrenalina.

Hanna od razu przystąpiła do działania i zaprowadziła rannego do łazienki. Ruszyłam za nimi i aby nie przeszkadzać, tylko zerkałam przez otwarte drzwi. Ciotka pomogła ściągnąć Asłanowi zakrwawioną kurtkę i T-shirt.

Cięcie długości męskiej dłoni przechodziło od pępka w kierunku prawego boku. Chyba nie było głębokie, za to z pewnością uciążliwe ze względu na krwawienie. To moja wina! Gdyby Asłan nie okrył mnie, drżącej z zimna, własnym płaszczem, gruby materiał mógłby zatrzymać ostrze.

Hanna podsunęła mu stołek i przykucnęła. Wyciągnęła z najniższej szuflady szafki podłużne czerwone pudełko i zerwała srebrną plombę. Tajemniczy gadżet okazał się apteczką. Świadczyły o tym przedmioty, które wyłożyła na obudowę wanny: nieduże białe butelki z aseptykami, pękate opakowania bandaży i podłużne saszetki z opatrunkami. Starannie umyła ręce, używając bakteriobójczego żelu, po czym otworzyła największą butelkę i rozerwała opakowanie wyjąłowanej gazy.

Uważnie przemywała ranę złotym płynem aseptycznym.

– Nie jest tragicznie – oznajmiła, kiedy skończyła. Sięgnęła do pudełka. W jej dłoni pojawił się miniaturowy srebrzysty księżyc – zakrzywiona igła. Wyciągnęła też nić chirurgiczną. Skąd ma tak dobrze zaopatrzoną apteczkę? – Ale lepiej, jak ją zszyję – dodała. – Szybciej się zrośnie.

Asłan skinął głową. Nie skrzywił się, gdy z miną sadystki przekłuwała mu skórę.

– Ogon? – spytała, przeciągając nić.

Szycie na żywca! Wrrrr... Poczulałam się tak, jakby to przez moją skórę Hanna przepychała chudą, białą dżdżownicę. Bezbronne stworzenie wijące się z bólu na haczyku.

– Wszystkich zlikwidowałem.

Jej pacjent miał twarz niczym zastygłą w kamieniu. Jakby egipski artysta utrwalił jego szlachetne rysy w kalcytowym alabastrze.

Ale, ale... O czym oni mówią? I czy ta sadystka to naprawdę moja ciotka?! Zasadnicza i nieco zmanierowana pięćdziesięciopięcioletnia kobieta? Dbała o siebie, regularnie uprawiała jogę i biegała, ale bez przesady! Może La Garde civique[1], która przeszkoliła Hannę i do której ciotka należała, zakłuła w stalowy pancerz jej serce i zaopatrzyła w podręczny zestaw małego psychopaty?

– Tężec? – rzuciła, ponownie wbijając igłę jakiś centymetr dalej niż poprzednio.

– Byłem szczepiony rok temu. – Tym razem Asłan lekko się skrzywił, co bynajmniej nie ujęło mu męskości, a sprawiło, że w moich oczach stał się bardziej ludzki.

– Przynajmniej to mamy z głowy – mruknęła. – Gloria – zwróciła się do mnie nakazującym tonem. – Idź do swojego pokoju. Chcę porozmawiać z Asłanem.

Jak oni mnie traktują! – zawrzałam, jednak pod jej ostrym spojrzeniem obróciłam się na pięcie, żeby odejść. Ze zdeterminowaną kobietą, dzierzącą w dłoni srebrzysty przedmiot tortur, lepiej nie zadzierać. A zresztą, jeślibym nie posłuchała, Hanna, bezlitosny i apodyktyczny wódz jednoosobowej armii, na sto procent zarządziłaby tygodniowy szlaban.

W pokoju zamaszystym ruchem posłałam torbę pod biurko, nie

wyciągnąwszy nawet mokrej koszulki, i rzuciłam się na łóżko. Takiego! Walnęłam się z butami na pościel – zaaferowana tym, co się stało, nie ściągnęłam ich w przedpokoju. Ciotka sama chciała, żebym natychmiast poszła do siebie. Potraktowała mnie jak smarkatą trzynastolatkę, która jest za głupia, aby ją informować o sprawach dorosłych. A przecież te sprawy bezpośrednio mnie dotyczą. Zapomniała, że za niecały rok skończę osiemnaście lat? „Dopóki nie jesteś pełnoletnia, musisz mnie słuchać”. Kurna! Standardowa gadka. Jak już będę mieć te magiczne osiemnaście lat, ciotka zaserwuje mi następną: „Dopóki cię utrzymuję...”. A nie jest nawet moim rodzicem. Zostałam tylko oddana jej na wychowanie. Przyleciałam do Paryża jakieś dziesięć lat temu. Sąd rodzinny nie chciał mnie powierzyć mojej starszej siostrze Lidii, która osiągnęła pełnoletniość zaraz po rozprawie. Gdyby ktoś nie podkablował, że rodzice nas porzucili...

Przeszła mi pierwsza złość. Obudziła się za to ciekawość. O czym oni rozmawiają? Asłan poinformował ciotkę, że wszystkich zlikwidował, a ona przyjęła to jak najnormalniejszą rzecz pod słońcem. Co z nią zrobiła ta straż obywatelska! Hanna zachowywała się, jakby zabójcy co wieczór nachodzili ją w mieszkaniu, a ona opatrywała im rany.

Pukanie do drzwi. No, chociaż trochę szacunku.

– Czego? – warknęłam.

– Chodź na kolację.

Kolację? Po tym wszystkim? Czy do niej nie dociera, że jakąś godzinę temu widziałam rozpryskujące się mózgi? Może jeszcze przyrządziła mózdzek na grzankach?

– Ale najpierw wymyj ręce. I ściągnij buty.

Uff... Wróciła stara Hanna. Czyścioch i skrupulantka. Zauważyła, że brakuje jednej pary butów przy drzwiach. Założę się, że aby zneutralizować zapach krwi, skropiła podłogę perfumami.

Poderwałam się z łóżka.

Miałam rację, miodowa terakota świeciła czystością jak moje dopiero co wypucowane dłonie. Ciotka krzątała się w kuchni, Asłan siedział przy stole, miał na sobie koszulę wujka Rolanda. Ciepły brzoskwiniowy kolor

złagodził jego rysy. No, po prostu rodzinna sielanka!

– Jak tam rana? – spytałam, żeby przerwać krępującą ciszę i zagłuszyć wewnętrzne wrażenie, że jestem obiektem jakiegoś paskudnego spisku. Te ich porozumiewawcze spojrzenia rzucające ukradkiem!

– W porządku – mruknął Aślan. – Hanna założyła jeszcze żelowy opatrunek. Hanna?! Odkąd to mówi do ciotki na ty?

– Siadaj – zarządziła, dając do zrozumienia, że nie życzy sobie scen. Zbyt dobrze mnie znała, żeby nie przewidzieć reakcji.

Błyskawicznie przemyślałam swoją sytuację. Wybije ciotkę z tego stanu wszyszkowiedzącej, chodzącej nieomylności. Bunt, nawet najmniejszy, nie wchodził w rachubę. Jak powinnam zareagować, by nie wzbudzić podejrzeń?

– Jestem głodna – rzuciłam, zajmując miejsce naprzeciw Aśłana.

Znowu wymienili się spojrzeniami. Podstęp nie chwycił. Hanna grała dalej.

– Proszę. – Postawiła na stole sałatę z winogrem. Aż zakręciło mnie w nosie. Choinka, głód naprawdę skręcał mi kiszki. Kiedy nałożyłam sałatę Aślanowi i sobie na talerze – ja z kolei grałam dobrze wychowaną małolatę – ciotka zaserwowała nam bagietkę.

Wysuszone kawałki bułki chrupały w zębach jak kafelki miazdzone buciurami z Bundeswehry. Wołały: „Jesteśmy wczorajsze!”.

Hanna wyciągnęła z lodówki pierś gęsi na zimno i zaczęła ją kroić swoim ulubionym rzeźnickim nożem, ostrym jak skalpel (nieraz musiałam z przeciętym paluchem biec sprintem do łazienki). Dobrze, że nie potraktowała Aśłana schabem i białym wytrawnym winem. Chociaż ta jego ksywa... „Tank” kojarzyło mi się nie tylko z czołgiem, ale i z ostrym tankowaniem alkoholu.

– No dobra – wybuchłam. – Mówcie, co jest grane!

– Musimy wyjechać.

Omam nie zadławiłam się bagietką. Ostry kawałek wpadł mi do przełyku. Hanna walnęła mnie bezceremonialnie w plecy. Rozbijając przy Aśłanie moją dumę na miliony drobnych okruszków.

Kichając, prychając, krztusząc się, czy co tam jeszcze, z gardłem skatowanym przez suche, twarde, niewdzięczne coś, szumnie zwane kultowym francuskim pieczywem, wydusiłam:

– Mu... m... simy?

– Wrócisz do Lidii. Z Asłanem.

– Z nim?! – Dopadł mnie ostry suchy kaszel. A ona, jak gdyby nigdy nic, kontynuowała:

– Ja też muszę stąd zniknąć.

Dopiero teraz zwróciłam uwagę (kaszel, dotąd torturujący mnie równie okrutnie jak moja opiekuńcza ukochana ciocia, niespodziewanie odpuścił), że Hanna stuka palcem w dotykowy ekran, wbudowany w panel przy stoliku.

– Bilety już zarezerwowane – oznajmiła.

– To przeczy wszelkim zasadom konspiracji – zapiszczałam chrapliwie. Okruchy zdążyły totalnie zmasakrować mi przełyk.

– Za dużo filmów – skomentował Asłan i obrócił na widelcu ostatni plaster mięsa, przyglądając mu się z ekscytacją godną wznioślejszej sprawy. Skorzystał z mojej niemocy i wyżarł wszystko z półmiska!

Ciotka musiała, jak zwykle, odczytać moje myśli, bo jej wzrok mówił: „Taki kawał faceta musi zjeść. Tobie wystarczy sucha bagietka. Trzymaj linię, dziewczyno”.

Tego było już za wiele! Przepęłniła się czara gorzycy.

– Może nie zauważyliście – mój krzyk przypominał kwik zarzynanego prosięcia – że omal nie zakłuto mnie dzisiaj nożem! Zababrałabym sobie krwią buty od Gucciego, kupione za całą wakacyjną pensję. Widziałam mózg na wierzchu. Antyterrorysty o mały włos nie odstrzelili mnie jako zamachowca. A już na pewno współniczkę morderstwa. A wy... wy mi pieprzycie, że... Wysyłacie mnie na jakieś zadupie. Do Trzeciego Świata... – zamilkłam i... się rozbeczałam. Cała moja godność rozpląnęła się jak masło na południowym słońcu.

Ciotka usiadła obok. Nie pozwoliłam jej się objąć. Nie trzeba mi było pocieszenia. Tylko prawdy.

– Jesteście mi coś winni – wydusiłam. – Ty też, Tank. Szczególnie ty.

Zamierzał coś powiedzieć, Hanna nie pozwoliła mu dojść do głosu.

– Asłan miał za zadanie cię chronić.

Mało brakowało, a rzuciłabym: „Pierdolisz!”. Podeszłam do sprawy

bardziej dyplomatycznie:

– Nie stać cię na ochroniarza. Nie takiego jak on.

Aslan był mistrzem walk w klatkach. I to prawdziwych klatkach, a nie w oponach Michelina dla mięczaków.

Spojrzeli na siebie, a moje myśli galopowały przez rozgrzaną na maksa mózgownicę. Jeszcze chwila, a przepalą mi się obwody. Co jeszcze wymyślą, żeby uwiarygodnić swoje brednie?

– Dobra, odpuśćmy. – Okazałam im nieco łaski. – Na razie – dodałam szybko. – Mówiłaś, że też musisz zniknąć? Nie jedziesz ze mną?

– Z nami. – Aslan niespodziewanie odzyskał język w gębie.

Na stole leżały wyczyszczone do połysku salaterka, półmisek i nasze talerze. Ciotka nadal wodziła palcem po panelu z netem. Najwyraźniej finalizowała wirtualną transakcję.

– Zobowiązania to nie tylko pieniądze.

– Byłeś kiedyś w Polsce? – spytałam z powątpieniem.

– Znam ten kraj.

No nie! Typowy facet, lakoniczna odpowiedź. Ale przynajmniej teraz na mnie patrzył. Cholera, czy on musi być tak zabójczo przystojny? Słowo „ciacho” do takiego gościa nie pasowało. Nawet nie „macho”. Za to szalony, popierdolony, uroczy straceniec. Twardy jak zbrojony beton.

– Krótko, Gloria – zniecierpliwiła się ciotka. – Ja znikam z Paryża, wy znikacie i znikają nasze problemy. Jutro wylatujecie.

– Niestety – przerwał jej Aslan. – Mam tu jeszcze jedno zobowiązanie.

– *Merde!* – rzuciła. Nie mogłam uwierzyć, że to ta sama opanowana Hanna.
– Naprawdę nie możesz tego odwołać?

– Nie.

– Ale twoje cięcie! – zaprotestowałam. – No i co z regulaminem?

– W nielegalnej walce jest niewiele zasad – mruknął. – Niezagojona rana cięta zawodnika to jego problem. W ustawkach organizowanych przez mafię może brać udział nawet nosiciel. To wszystko kwestia stawki. Skoro przeciwnik jest kamikadze...

– Muszę zmienić rezerwację – wtrąciła Hanna, chyba żeby oszczędzić mojemu młodemu niewinnemu serduszkowi kolejnych szczegółów. – Trochę to będzie kosztować.

– Właśnie dlatego nie mogę odwołać tej imprezy. Potrzeba nam sporo kasy i poufny przerzut. Za milczenie się płaci.

No i niech mi ktoś powie, że życie nie jest bardziej zawile niż fabuła filmu sensacyjnego! Znajdowałam się w oku cyklonu szpiegowskiej afery. Pewnie zaraz wyciągną plik fałszywych paszportów. Nie przerywałam im jednak, by zasypać kolejnymi pytaniami. Z grubsza orientowałam się, o jaki interes chodzi Asłanowi. I wiedziałam, że mu nie odpuszczę. Mimo że był gadatliwym niczym hinduski jogin, wyciągnę z niego więcej niż od Hanny.

– Idę wziąć prysznic – zwróciłam się do Asłana – a potem będę chciała z tobą pogadać. Na osobności – dodałam z nieukrywaną satysfakcją. Tym razem to Hanna wypada ze spisku.

Ku mojemu zaskoczeniu ciotka nie zaprotestowała. Skinęła głową, jakby dawała mu przyzwolenie, i powiedziała:

– Przygotuję łóżko w salonie.

Przyjęła za oczywistą rzecz, że Asłan zostanie u nas na noc. Czy aby jego kultura dopuszcza, żeby obcy mężczyzna nocował pod jednym dachem z dwiema samotnymi kobietami? Ale, po pierwsze, to były nadzwyczajnie okoliczności – w końcu mnie ochraniał, nie? – a po drugie już kilkakrotnie pokazał, że nie postępuje zgodnie z zasadami obowiązującymi w jego kręgu kulturowym. Przynajmniej tak mi się wydawało.

Szybko doprowadziłam resztę ciała do stanu czystości – samo umycie dłoni po treningu to stanowczo zbyt mało – i wskoczywszy w ulubioną flanelową dwuczęściową czerwoną piżamę, poszłam do swojego pokoju. Z lekkimi wyrzutami sumienia zerknęłam na fragment jasnoniebieskiej pościeli w żółte gwiazdki, na którym przed kolacją wylądowały moje modne, ale brudne botki. Usiadłam na łóżku i odpaliłam tablet. W końcu wypadałoby się pożegnać z przyjaciółmi. Wcale nie byłam pewna, czy w tak zadupiałym kraju jak Polska będzie stałe łącze. Zapytam Lidie, jak tam z pogodą. Może tym razem uda mi się połączyć z moją kochaną siostrą? Informacja, że za maksymalnie dwie doby mnie uściska, a potem będzie musiała się użerać ze zbuntowaną nastolatką (szkoła, podejrzani koledzy, późne powroty – te sprawy), spadnie

na nią jak grom z jasnego nieba.

Zanim doszłam do wniosku, że oznajmianie całemu światu o swojej ucieczce z Francji to stanowczo zły pomysł, skoro przed kilkoma godzinami usiłowano mnie tu zamordować, usłyszałam pukanie.

– Wejdz.

Rozdział 3

Drugie życie

Rozejrzał się po moim schronieniu, przesuając wzrokiem po rysunkach wiszących nad biurkiem. I wtedy zaskoczyłam. Szkic! Kartka z Asłanem, „Tankiem”, wisiała w centralnym punkcie.

Błyskawiczna reakcja. Napięcie mięśni. Desperacki skok. Nic z tego, zasłonięcie obrazka własnym ciałem już nie załatwi sprawy. Asłan zdążył go zobaczyć. Udawał jednak, że nie rozpoznaje rysów herosa trzymającego w muskularnym łapsku rozgrzaną giwerę wielką niczym lufa tigera VI.

Ale wtopa! Jeszcze sobie pomyśli, że się w nim podkochuję! Dobrze, że zamknęłam w szkicowniku jego rysunek z obnażonym torse, żeby tylko... Kompromitująca kartka leżała na biurku między skanerem a tabletem. Schowałam ją wczoraj do szkicownika ze względu na Hannę grasującą po mieszkaniu z odkurzaczem.

– Naprawdę musisz jutro wchodzić do klatki? – Nie ma to jak sprytny unik, by odwrócić uwagę. Zmylić obiekt moich szczeniackich westchnień. – Nie możesz odwołać walki?

– Straciłbym dużo kasy. I poszły już zakłady.

No tak, pomyślałam, z mafią lepiej nie zadzierać. Byli groźniejsi niż napastnicy w metrze, bo konsekwentni.

Asłan podszedł do łóżka i usiadł przy nim, opierając się o ścianę. Przesunęłam się ku niemu. To był impuls. Zadziałał kobiecy instynkt, by zaopiekować się straceńcem.

– Nie chodzi wyłącznie o pieniądze – rzekł z powagą w głosie – ale i o słowo.

Ta cholerna męska duma! Instrukcja obsługi Czeczena: honor pomnóż przez tysiąc.

– Przecież jesteś ranny! – zaprotestowałam.

– Powierzchnowa rana. – Wzruszył ramionami. – Nie mam HIV ani HCV.

Co tam dla niego jakieś draśnięcie? Przecież w metrze rozerwał kilka klatek piersiowych i wywalił na wierzch ze dwa mózgi. U siebie, na Kaukazie, pewnie pożerał wątroby wrogów. Poza tym jako bokser musiał robić regularne badania. Żółtaczką typu C byłaby końcem jego kariery.

Niespodziewanie Asłan na mnie spojrzał. Ten zdradliwy dreszcz! Co tam dreszcz. Musiałam być cała czerwona. Czułam, jak płoną mi policzki. Czy nic się przed nim nie ukryje?

– Ale Fist będzie walić właśnie w opatrunek – rzuciłam, by zamaskować fakt, że jest mi głupio. Pseudonim jego przeciwnika, Fist, był skrótem od *backfist*, nazwy charakterystycznego uderzenia, które czasem wyprowadza się dodatkowo z obrotu.

– Jak mam cię przekonać, że wszystko jest w porządku?

– Pokaż. Sama ocenię. Co bym zrobiła na miejscu Fista – dodałam szybko.

Asłan podniósł się z podłogi i zaczął rozpinąć koszulę. Nie pierwszy raz widziałam go w samych spodenkach (w „Roks Boks” dysponowaliśmy jedną szatnią dla wszystkich). Kiedy tylko miałam okazję, zerkałam na niego ukradkiem.

Najlepiej zbudowane ramię i tors w klubie.

Jednak najbardziej lubiłam na niego patrzeć, kiedy uderzał w worek treningowy. Te jego ruchy! Szybkie, płynne, gibkie. Perfekcyjna technika i doskonała koordynacja. Gra mięśni pod T-shirtem. Ale, cholera, nie znosiłam być z nim w parze. Nawet gdy lekko kopnął w tarczę, leciałam ze dwa metry w tył. Za to sparingi wręcz uwielbiałam. Asłan potrafił uczyć.

Moje oczy chyba mówiły: „więcej”, bo obnażył się do pasa. Jego twarz rozjaśnił uśmiech. A niech to! Co za dwuznaczna sytuacja.

– I jak? – spytał.

I wtedy to wyczułam. On ze mnie pokpiwa. Z mojej nadopiekuńczości. W dodatku nie bezcelowo. Chciał odwrócić moją uwagę od ostatnich wydarzeń. Uniknąć niewygodnych pytań. Oskarżeń. Wyrzutów, że wszedł w skórę przyjaciela, a tak naprawdę byłam jego zleceniem.

– Masz opatrunek przyklejony aż do wątroby – skomentowałam. – Chociaż... zawsze to jakiś pomysł. Zakłajstruję ci jak największą

powierzchnię i Fist może nie rozkwasi cięcia na amen. Nie będzie wiedział, gdzie dokładnie jest. – Gapiłam, się, cholera, gapiłam, i to bynajmniej nie tylko na opatrunek. – Dlaczego nie masz tatuaży? – rzuciłam z głupia frant, by zamaskować zmieszanie.

Asłan się skrzywił.

– Prawdziwy ostry facet powinien mieć dziary. – Drobną zemstą za to, że traktuje mnie jak nieletnią smarkulę.

– Dziary są dla frajerów – warknął. – To nie jest znak wojownika, tylko chodzącej cipy.

– A co jest takim znakiem? – Zaskoczył mnie swoją chamską reakcją, ale sama go sprowokowałam.

– Twarda skóra na kolanach i łokciach. Wytarty policzek. Zgrubienia na wnętrzu dłoni. Na palcu trzymanym na spuście. Po tym nas rozpoznawali. I nasze kobiety, dziewczyny... – Zamilkł.

Z powrotem oparł się o ścianę. Wbił wzrok w nieistniejącą drzazgę wystającą z szuflady biurka. Musiałam trafić w bolesne miejsce. Pociągnąć zbyt napiętą strunę. Zapomniałam, że bliższe obcowanie z Asłanem jest jak poruszanie się po polu minowym. Nie wiadomo, co jest tabu. Teoretycznie powinna nim być koedukacyjna szatnia. Ale tylko teoretycznie.

– Twój znak to Ryby – przerwał ciszę. – Podwójny znak. Podwójna natura. – Teraz patrzył na moje rysunki. – Gloria „Art” i... wojowniczką.

– Raczej dopiero materiał na wojowniczkę. – Uśmiechnęłam się do niego. – Materiał, który kształtujesz. Miło mi, że wiesz, kiedy mam urodziny. A ty spod jakiego jesteś znaku? Kiedy się urodziłeś?

– W Roku Szczura.

– Znak inteligencji, bystrego umysłu. – Skoro już się uparł, by pozostać na podłodze, podałam mu dużą poduszkę, żeby włożył ją sobie pod plecy. – Chińczycy uważają szczura za mądre zwierzę.

Coś się tutaj nie zgadza. Jeszcze raz przeliczyłam w myślach kolejne tuziny. Ostatni rok szczura to 2032. Asłanowi musiało się coś pomylić. Gdyby urodził się w roku szczura, miałby piętnaście albo dwadzieścia siedem lat. Dałabym mu góra dwadzieścia dwa, dwadzieścia trzy. Według prawa jazdy miał dwadzieścia jeden – sprawdzałam, ale zapamiętałam tylko rok. Nie drażyłam

dalej tematu. Nie teraz.

– Masz dziewczynę? – spytałam, by poprawić mu nastrój. Nigdy nie wspominał, że jest zajęty, aczkolwiek sprawiał takie wrażenie.

– Miałem.

Coś było w tonie jego głosu, co sprawiło, że nie pytałam dalej. Ta sama nuta, która się pojawiała, kiedy mówił o twardej skórze i wytartym policzku. Powiedział wtedy coś o dziewczynach.

Zwlekłam się z łóżka i usiadłam obok niego. Objął mnie tak naturalnie, jakby nie robił to pierwszy raz.

– Wiesz, co to jest obóz filtracyjny? – spytał.

Skinęłam głową. Kiedy poznałam Asłana, zainteresowałam się krajem, z którego pochodził.

– Nazywali je aresztami polowymi – szepnęłam. – Ale to było tak dawno.

– Dla mnie jakby wczoraj. Te czerwone oczy. Płynące łzy. Mężczyzn.

– Asłan, ile masz naprawdę lat?

– Nie wiem. Fizycznie góra dwadzieścia trzy. Ale widzę to wszystko. Wracają wspomnienia. Może o to chodziło? Żeby przetrwały. Dlatego on ofiarował mi drugie życie.

„On”? Miał na myśli Boga? Asłan wierzył, że ponownie się narodził?

– Człowiek żyje po śmierci we wspomnieniach najbliższych. – Lekko ścisnęłam mu przedramię. Chciałam, aby poczuł, że nie jest sam. Że mi na nim zależy.

– Dlatego ona żyje w moich. Jasmina.

Był dla mnie zagadką. Egzotycznym znajomym, potem mordercą, a na końcu zdrajcą. Teraz go zrozumiałam. Miał dziewczynę, kiedyś. Miał uczucia, do chwili, gdy umarły wraz z nią. Jednak, jak każdy człowiek, potrzebował bliskości.

– Chcę tam być. Przy tobie.

– Gloria – zaprotestował miękkim głosem. – To dla ciebie zbyt drastyczne.

– To jest nic w porównaniu do... – Nie dokończyłam. Że też nie ugryzłam się w język! Jak mogłam porównywać walkę w klatkach do tego,

co przeszedł? Co działo się w obozach. Usiłowałam usnąć wyobraźnię. Nie mogłam.

– Nie myśl o tym.

Wiedziałam, że nie chodzi mu o jutrzejszą walkę. On cały czas tam był. Na Kaukazie. A jeśli rzeczywiście miał dwa życia? To obecne i tamto z przeszłości, dwadzieścia... czterdzieści lat temu? Absurdalny pomysł. Jednak opierając głowę na jego ramieniu, czując bicie serca i ciepło oddechu, wierzyłam mu. Bo wiedziałam jedno. Nigdy nie kłamał. To byłoby według niego niehonorowe.

Wszystko zaczęło się składać w całość. Moi rodzice, Monika i Eryk, zaginęli na Wschodzie, za murem, który wyrósł między Unią a Ukrainą. Tam mógł ich poznać, na misji, której celu nie znałam. A jeśli to zaledwie wierzchołek góry lodowej? Kim byli napastnicy, którzy zaatakowali nas w metrze? I ta jego brutalna reakcja. Cierpienie zabiło w Aślanie człowieczeństwo, tak jak w jego ziomkach, biorących na zakładników chorych i dzieci. Ale mogło je tylko usnąć. A przy mnie się budziło. Czy przypominam mu Jasińkę? Czy to pamięć o niej zmieniała go w ludzką istotę?

– Drugie życie? – Musiałam wiedzieć. – Dlaczego mi o nim powiedziałaś?

– Bo jesteś jeszcze na tyle młoda, by uwierzyć. Dorosły wziąłby mnie za schizofrenika.

– Jestem dorosła! Tylko z Hanną tak mnie nie traktujecie! A ja... mogę ci to udowodnić!

Popatrzyliśmy na siebie w tej samej chwili. Nie dostrzegłam w jego wzroku podziwu należnego młodej kobiecie, gotowej na swój pierwszy raz. Tylko troskę! Tak, troskę! Nadal byłam dla niego gówniarą wymagającą opieki. I swoim zachowaniem właśnie go w tym utwierdziłam.

– Gloria, posłuchaj. – Powaga w jego tonie sprawiła, że bunt natychmiast wyleciał mi z głowy. – To, co się stało w metrze... Nie mogłam zostawić ich żywych. Albo my, albo oni – to nie są puste słowa. Trafili na nasz ślad tutaj, w Paryżu. I będą sukcesywnie przeszukiwać miasto. Na razie nie wiedzą dokładnie, kim jesteśmy. Tylko podejrzewają.

– Ja też nie wiem. Nie wiem, kim jesteś. Kim jest osoba, która podaje się za moją ciotkę. Kim są moi rodzice. I kim... ja jestem!

Ledwo co odzyskany spokój prysnął. Cała się trzęsłam, szczękały mi zęby. Poczułam jego ciepły uścisk, coraz mocniejszy. Asłan nie pozwalał mi się wyrwać, odsunąć. Obejmował mnie tak do chwili, aż ta cholerna trzęsawka przeszła.

– Trzymaj się mnie – powiedział wreszcie. – Niezależnie od tego, co się stanie, nie odstępuj mnie ani na krok. Gdyby jednak nas rozdzielili, nie trać głowy. Ja wrócę.

– A weźmiesz mnie na walkę?

– A mam wybór?

– Nie masz.

Ciche, dyskretne pukanie do drzwi. Hanna kolejny raz tego wieczoru mnie zaskoczyła.

– Proszę – krzyknęłam, odrywając się pospiesznie od Asłana. Kiedy otworzyła drzwi, siedziałam już po turecku na łóżku.

– Wszystko gotowe – oznajmiła. – Rano się spakujesz. – Odsunęła fotel od biurka i usiadła. – Ja wylatuję o dwunastej. Mam bilet do Quebecu wystawiony na dwie osoby. Tam, na lotnisku, ich zmylę, zanim spotkam się z Rolandem. O ile zorientują się, że moim celem jest Kanada. Specjalnie zrobiłam kilka rezerwacji, tak żeby zgłupieli. Londyn, Rzym, Praga... Wasz numer lotu poznacie dopiero przed terminalem. Ale wcześniej znikniecie z Asłanem. Do głowy im nie przyjdzie, że zamiast ze mną polecieć, wróciliście do Paryża. Powinno nam się udać, lotnisko Charles de Gaulle jest przecież ogromne.

– To nic nie da. Będą wiedzieć, że ma walkę. Tam nas znajdą.

Znowu te ich porozumiewawcze spojrzenia!

– Gloria, nie znajdą. – Asłan przysiadł obok mnie na łóżku. – Nawet ja nie wiem, gdzie się odbędzie. Te walki są przecież zakazane.

No oczywiście! Dlatego żadnej nie widziałam. Hazard i śmierć. Nielegalne ustawki ciągle były ścigane. Gdy w tym samym czasie co najmniej kilku obywateli, pchniętych nożem, zwijało się w rynsztoku albo po odstrzeleniu z obrzynów zdychało w bramach. Co za absurd!

– A jak połamię ci kości?

– Kto inny cię przejmie.

Tak jak podejrzewałam, miałam do czynienia z całą organizacją. Mogłam się wcześniej zorientować, że coś jest nie tak. To zaufanie Hanny do obcego mężczyzny, o którym wiedziała tylko, że jest moim przyjacielem ze szkoły. Ale czy wiedziała o jego pierwszym życiu?

Napotkałam spojrzenie Asłana. Nie, nie wiedziała. A on zaryzykuje udział w walce, bo... nie może umrzeć?! Jest jakimś cholernym wampirem czy co? Nie, to zbyt pospolite, oklepane, banalne. Już prędzej postawiłabym na pakt z szatanem. Asłan ma rację, za dużo filmów, paranormali, gier i komiksów. Odjechanych książek, realizmu magicznego, postapo i urban legends. Gloria Arciszewska – ułomne dziecko dwudziestego pierwszego wieku.

– Nie będziemy ci już przeszkadzać. – Ciotka (a przynajmniej osoba, która miała to w papierach) podniosła się z krzesła.

– Dobrze się wyśpij – dodał Asłan, który też wstał, by wyjść z pokoju. – Podejrzewam, że przed walką trochę pokrażymy. I przestań się przejmować. Zadbam, żeby wszystko było dobrze. Od tego jestem.

Cicho zamknęli za sobą drzwi, jakbym już spała. Nie doceniłam ich troski. Łatwo Asłanowi powiedzieć: „Przestań się przejmować”. Moje dotychczasowe życie właśnie wywróciło się do góry nogami, a oni chcą, żebym spokojnie kimnęła? Nadal nie wiedziałam, o co w tym wszystkim chodzi. Najwyżej tyle, że jestem w całej tej konspiracji ważnym ogniwem. Czy tylko dla moich bliskich? Czy może mam jakąś istotną rolę do odegrania? A jeśli tak, to jaką? Co może zdziałać młoda dziewczyna, która przyzwoicie rysuje i której całkiem nieźle idzie na treningach boksu?

Chyba zacznę liczyć baranki, żeby nie myśleć o Asłanie, o jego przeszłości. Inaczej nie zasnę. Jeden, drugi, trzeci...

Poderwałam się. Otaczał mnie półmrok. Gdzie jestem? Wyczułam pod dłonią znajomą gładką powierzchnię: prześcieradło. Moje łóżko. Hanna musiała zasunąć żaluzje. Z powrotem opadłam na poduszkę. Zza drzwi dochodziły jakieś obce głosy. Zerknęłam na miejsce, gdzie powinien wisieć duży ścienny zegar. Szafirowe cyfry jarzyły się tuż przed moim nosem. Ósma czterdzieści pięć. Niemożliwe! Czyżbym tak długo spała? Po tym wszystkim? Wstałam i przecierając oczy, ruszyłam do drzwi. Przecież Hanna wylatuje o dwunastej.

Zderzyłyśmy się w przedpokoju.

– To już? – spytałam.

Nie odpowiedziała, mocno mnie przytuliła. Zrozumiałam. To było pożegnanie. Po dłuższej chwili rozluźniła uścisk. Korytarz rozświetlało sztuczne światło, żaluzje były opuszczone w całym mieszkaniu. W kąciku oka Hanny dostrzegłam połyskującą łzę. Otarła ją wierzchem dłoni.

– Trzymaj się, Gloria. Nie martw się o mnie ani o Rolanda. I bezwzględnie słuchaj Asłana. Dopóki nie dowiezie cię do Lidii, odpowiada za twoje bezpieczeństwo. Nie utrudniaj mu tego.

– Jego pracy?

– Nie, nie traktuję tego jak pracy. – Asłan niespodziewanie wszedł do przedpokoju. Zwrócił się do Hanny: – Już są gotowi. Czekają w garażu. Pierwszy samochód wyjechał pół godziny temu.

Nie bardzo wiedziałam, o czym mówi, a w kuchni właśnie ktoś rzucił krótkim zdaniem w obcym języku z twardym akcentem przypominającym arabski. Odpowiedział mu inny głos, bardziej śpiewny. Było ich co najmniej dwóch. Nie mogłam powstrzymać ciekawości i korzystając z tego, że Hanna odwróciła się w stronę wyjścia, wyprzedziłam ją i wyjrzałam zza framugi.

Dwóch zarośniętych typów okupowało stół, przy którym wieczorem jedliśmy z Asłanem kolację. Pod ścianą dostrzegłam połyskujące lufy. Umiarkowanie znam się na broni, ale potrafię odróżnić magnum od zgrabnego pistoleciku mieszczącego się w damskiej torebce. Ta broń przypominała karabiny snajperskie. Jak przeszli z nimi obok Marca? Czyżby go cicho sprzątnęli? Ukryli pistolety pod kurtkami, a kieszenie napakowali dodatkowymi magazynkami? Ich szare stroje przypominały mi kurtkę noszoną przez Asłana.

Powiedział coś do nich. Mężczyzna z brodą naznaczoną siwizną poderwał się zza stołu i sięgnął po broń. Asłan rzucił mu płachtę wyglądającą jak płaszcz przeciwdeszczowy. Brodacz, o posturze równie imponującej jak Tanka, nałożył ją, naciągnął kaptur. Broń zniknęła pod ciemnozieloną tkaniną.

– Pada? – spytałam z głupia frant. Przez zasłonięte żaluzje niewiele było słychać.

– Zgadłś. – Asłan uśmiechnął się do mnie. – Coraz mocniej, a to ułatwi

nam zadanie. Mniej przechodniów, mniej ciekawskich oczu.

– I ulewa przygasi pożary.

– To akurat nie jest nam na rękę.

Hanna jeszcze raz mnie uścisnęła, po czym ruszyła do drzwi w towarzystwie osobnika okutanego w obszerny płaszcz. Tak jak i on nasunęła na głowę kaptur. Mogła być mną, a brodacz Asłanem.

Kiedy wyszli, poczułam, jak bardzo jestem samotna. Pozostawiona z cyngłami rewolucji czy kim tam byli.

– To Arabowie? – szepnęłam do Asłana po polsku. Nie wiem, co mnie do tego skłoniło. Nie chciałam, aby brodacz wiedział, o co pytam. Jakby słowo „Arab” nie znaczyło tego samego w trylionie języków.

– Nie, to Czeczeni – odpowiedział najczystszą polszczyzną, z wzorowym akcentem, jakby urodził się nad Wisłą. Szczęka opadła mi ze zdziwienia. Zanim zdążyłam opanować mimikę twarzy, Asłan dodał, wracając do francuskiego: – Najlepsi żołnierze i najemnicy.

– Ale lotnisko!

Przecież wezmą ich na celowniki za same czarniawe gęby.

– Tam kto inny przejmie Hannę.

– Co zrobiliście Marcowi?!

– Spokojnie, tylko się zdrzemnął. Lepiej się spakuj, same niezbędne rzeczy. Mały plecak. Masz pół godziny. Hanna zostawiła ci śniadanie, jest w lodówce. Solidne polskie śniadanie.

Uśmiechnął się do mnie. Który to już raz? Chciał poprawić mi nastrój, lecz wątpiał, aby mu się udało. Chyba że uraczyłby mnie jajecnicą na szynce.

– Najpierw jednak przynieś swój tablet i dokumenty.

Nie protestowałam. Wypełniłam polecenie mojego instruktora przeżycia w tempie, które zadowoliliby najsroźszego kaprala. Ale co z resztą? To nie takie proste, spakować całe swoje dotychczasowe życie zaledwie w pół godziny.

Wyrzucałam sobie, w pośpiechu myjąc zęby w łazience, że nie wstałam wcześniej. Dlaczego tak późno mnie obudzili? Szybka poranna toaleta zajęła mi sześć minut. Całkiem niezły czas. W co się ubrać? Skoro wali żabami...

superbajeranckie zamszowe botki odpadały. Szkoda. Wizja lansiku w nowym miejscu odpłynęła jak zeszłoroczna kolekcja. Powinnam postawić na wygodę. Buty do chodzenia po górach – to jest to! Wyciągnęłam salomony z szafki. Co jeszcze? Plecak i kurtka Lafuma z membraną, uniwersalne wierzchnie odzienie w przystępnej cenie. W miarę szybko się do nich dogrzebałam.

W moim pokoju pospiesznie skompletowałam resztę: bieliznę, również na zmianę, na maksa wytarte ulubione dżinsy, termiczną koszulkę, grubszą bluzę z ekologicznej bawełny. Dżinsy wpakowałam do plecaka. Doszłam do wniosku, że w podróży lepiej sprawdzą się spodnie z licznymi kieszeniami. Wróciłam do łazienki i chwyciłam z półki nad umywalką szczoteczkę do zębów. Po chwili zastanowienia dorzuciłam do kosmetyczki opatrunki z apteczki. Czego jeszcze brakowało?

Rysunki!

Znowu wpadłam do pokoju, taranując otwarte drzwi. Zerwałam ze ściany najlepsze szkice, przede wszystkim ten z superherosem Tankiem, i wpakowałam kartki do teczki, w której trzymałam akty. To wszystko? A rękawice? Napiętniki? Gruszka do treningu? Koszulka z nazwą szkoły? Pieprzyć to! Znajdę sobie nowe hobby. Pendrive! A jak namierzą sygnał? Nie będę mogła korzystać nawet z chmury. Cóż, nowe życie to nowe życie.

– Nie zostawiaj moich zdjęć ani rysunków. – Usłyszałam z kuchni lekko schrypnięty głos Asłana.

Ups... Jednak rozpoznał siebie. Nie jest ze mnie zupełnie beztalencie – pocieszyłam się, żeby jakoś przełknąć wpadkę. Skąd ten zapach? Jakby... Aż pociekła mi ślinka. W trzymiga zameldowałam się w kuchni z plecakiem i kurtką na ramieniu.

– Gotowa? – Asłan mieszał biało-żółtą breję na patelni.

No nie! Bojownik o wolność pichący jajecznicę na porcelanowej płycie. Co prawda nie podsmażył aromatycznej wędzonej szyneczki, ale od macho nie można za wiele wymagać. Prawdziwy cud, że chwycił się za gary. Wiwat zmiany cywilizacyjne i asymilacja!

Położyłam fanty na wolnym krześle i zamaszystym ruchem otworzyłam lodówkę. Na talerzu piętrzyły się kanapki z kozim serem i szczypiorkiem. Po kilkudziesięciu latach we Francji ciotka nie mogła się pozbyć wielkopańskich manier, a wystarczyło wrzucić na chleb ementaler i uwieńczyć

dzieło plastrami pomidora. Doceniałam to, że pobiegła z samego rana po chlebek do bułanerii. A może to któryś z brodaczy przyniósł świeże pieczywo?

Wyłożyłam kanapki na stół. Znikły z talerza, jakby przeszło po nim tornado, ledwie zdążyłam przejąć trzy sztuki. Czułam się, jakbym, łapiąc za resztki, walczyła o prawa do michy w wilczym stadzie. Jajecznice wyjedliśmy prosto z patelni. Kolejny cud, że basiory na mnie nie warknęły. Podejrzewałam, że zdążyły już zaspokoić pierwszy głód.

Z pełnym brzuchem (co za głupi pomysł, najadać się przed walką), Asłan kończył grzebać przy moim tablecie. Brodacz dostarczył mu czarny kabel z miniaturową wtyczką. Coś załadowali na płytę. Widocznie uznali, że bezpośredni przesył jest bezpieczniejszy.

– Trzymaj. – Tank podał mi tablet. Wsadziłam giętką płytkę do plecaka. A jak zapakowali na nią jakieś program szczytujący dane? Trudno.

Humor Asłana nie opuszczał, bo dodał:

– Inaczej musiałbym użyć tego. – Podsunął mi przed nos tłuczek do mięsa: efekt grzebania po szafkach w poszukiwaniu patelni.

Brodacz gruchnął basem, komentując, jak my, po francusku, ale z akcentem pozostawiającym wiele do życzenia:

– *Méthodes primitives toujours efficaces.*

Przyciągnął giwerę i położył sobie na kolanie.

– *Mais le temps s'épuise. Il faut aller. Memed devrait circuler ici plus.*

Coś mu nie szło z tym francuskim, bo ledwie go rozumiałam. Że prymitywne metody zawsze skuteczne, OK. Że czas ucieka i musimy iść, też. Ale „Memed powinien przepływać tutaj więcej”? Pewnie chodzi mu o to, że jego kumpel lada chwila wróci.

– Słuchaj – zwrócił się do mnie Asłan, on przynajmniej mówił, jakby urodził się we Francji. – Dżochar idzie pierwszy. Ty za nim, jak dam ci znać. Zostaw mi klucze. Wychodzisz na ulicę i idziesz spokojnym krokiem, skręcasz w rue de Lisle. Nie odwracaj się, będę chronić ci plecy. Po jakichś dwustu metrach zauważysz jadącego z naprzeciwka dżipa z przyciemnianymi szybami. Masz do niego wsiąść. Bez oglądania się, Gloria – powtórzył. – Tylko spokojnie, bez nerwów. Jesteś zwykłym przechodniem, który idzie kupić

bagietkę. Jasne?

– I którego zwinęli tajniacy?

– *Trop de films* – gadkę tym razem zapodał mi brodac. Tę, że niby oglądam za dużo filmów. Jakby się umówili!

– A bieganie po ulicach z obrzynem pod płaszczem to nie film? A jak wpadnę na konsjerżkę?

– Pomyśli, że wychodzisz po zakupy.

– *Aller, aller!* – pogonił nas swoim łamanym francuskim Dżochar, który stał już przy drzwiach.

Plecak na ramię, klucze do mieszkania i parasol w łapę. Byłam gotowa, aby, jak kiedyś Aslan, rozpocząć drugie życie.

Rozdział 4

Memed i Dżochar

Uderzając w lustro wody, krople tworzyły bąbelki, które rozpryskiwały się jak mydlane bańki. Plusk pod grubymi podeszwami, wzbijającymi miniaturowe fontanny. Trzymałam parasol mocno w dłoni, ustawiając go przodem do dmącego wiatru. W takich warunkach przechodnie myśleli tylko o tym, żeby schować się pod najbliższy daszek. Deszcz nie ustawał. Jak woda zacznie wybijać ze studzienek kanalizacyjnych, przyjdzie mi brnąć w bajorach brudnego ścieku. Żałowałam, że nie włożyłam gumiaków. Wylot przecznicy znajdował się już tylko kilka kroków przede mną. Poczułam ucisk w żołądku. Zzerał mnie stres. Rosnący troll, który pęczniał w brzuchu i wędrował do gardła.

Aślan mnie chroni, jest zaraz za mną, starałam się uspokoić. Dałam trollowi po czapie, by się cofnął, i z drzeniem serca wyrzałam zza węgła. Rue de Lisle była pusta, ani jednego przechodnia. Jeszcze tylko dwieście metrów. Gdzie ten cholerny dżip? Gdzie Dżochar?

Jeden krok, drugi, stały rytm. Pięćdziesiąt metrów, sto. Przeszłam na drugą stronę ulicy. Gdzie ten pieprzony dżip?!

Nagle usłyszałam warkot pracującego silnika. Odgłos opon ślizgających się na asfalcie i mielących wodę. Szary kanciasty kształt wyłonił się z bramy jakieś sto pięćdziesiąt metrów ode mnie. Przyciemniane szyby, zza których nie było widać kierowcy. Nie zwolniłam kroku, mimo że nerwy miałam napięte do ostatnich granic. Instynkt podpowiadał mi, by uskoczyć w bok i wpaść na podjazd najbliższego budynku. Schować się za krzakiem otulonym płaszczem liści ciężkich od wilgoci. „Spokojnie, Gloria”, usłyszałam w głowie opanowany głos Aślana. Czy to właściwy samochód? Przyjaciel to czy wróg? Zaraz się okaże.

Jechał wolno, za chwilę się ze mną zrówna. Uchylone drzwi. Teraz! Chwycałam rękę, która wysunęła się zza przedniego siedzenia. Mignęła

mi twarz zasłonięta kapturem. Znajome oczy... Wylądowałam na siedzeniu, zatraskując za sobą drzwi. Dżochar, bo to on je uchylił, skinął mi głową, po czym z powrotem zaczął patrzeć w przednią szybę. Ujrzałam w lusterku twarz kierowcy i jego posiwiąłą brodę. Memed. To ten Czeczen odprowadził Hannę. Ale gdzie jest Asłan?

Niespodziewanie dżip skręcił z piskiem opon. Co się dzieje? Podskoczyłam na siedzeniu, musieliśmy wjechać na krawężnik. Kurczowo łapiąc za oparcie przed sobą, dostrzegłam, że ktoś szarpnął za drzwi z drugiej strony. Dżip przyspieszył. Kolejny pasażer okazał się Asłanem. Znowu skręciliśmy i po chwili wjechaliśmy w rue de Liot.

– Zapnij pasy – polecił, wyciągając broń spod płaszcza. – Wszystko w porządku. – Musiałam zrobić wielkie oczy, stąd jego słowa. – Jesteśmy już w komplecie. Memed?

– U mnie też. – Memed mówił zdecydowanie lepiej po francusku niż Dżochar. – Przekazałem ją Michelowi. Nie wysłał sygnału, że coś poszło nie tak.

– No to trochę pokrążymy.

Asłan oparł karabin o fotel.

– Jak przylepi nam się ogon, zgubię go. Nic nie krąży nad Boulogne, nawet najmniejszy dron. Satelita może nas wyśledzić, ale szybko straci kontakt. Nie jesteśmy podłączeni do TASR.

TASR, czyli Automatyczny System Zarządzania Ruchem na Drogach, pozwala prowadzić pojazdy bez kierowcy, lecz sprawdza się jedynie na szerokich arteriach. Wąskie, kręte uliczki wymagają reakcji człowieka. O wypadek nietrudno, wystarczy jakiś miłośnik ekstremalnej jazdy na rowerze. Podejrzewam, że Memed bez zmrżenia oka przejechałby po nieostrożnym rowerzyście, gdyby ten w czasie pościgu przeciął mu drogę. Ciągłe pamiętałam zachowanie Asłana w metrze. Żadnego wahania, tylko natychmiastowa reakcja.

Przez grube chmury przebijało słabe rozproszone światło, w dżipie panował półmrok, po szybach spływały strumienie wody. Wycieraczki pracowały na pełnych obrotach, wydając dźwięk, jakby ktoś szurał butami po plastiku. Straciłam orientację, gdzie się znajdujemy. Już opuściliśmy Boulogne. Park, w którym nie było teraz ani pół prostytutki, pozostał daleko

za nami.

– Dlaczego nie jedziemy od razu na miejsce? – spytałam Asłana.

– Bo jeszcze nie wiemy, gdzie odbędzie się walka, a mogą nas szukać.

– Kim oni są? – Usiłowałam się rozluźnić. Jestem w kinie, kinie, powtórzyłam sobie w myślach jak mantrę.

– Są co najmniej trzy możliwości.

– Tylu macie wrogów?

Musiał wyczuć, że jestem zdenerwowana. Objął moją dłoń swoją i lekko ścisnął, tak jak ja jego przedramię w sypialni, kiedy wspominał o płaczących mężczyznach.

– Zależy, jak na to patrzeć. – Przyciągnął mnie delikatnie i spytał poważnym tonem: – Wiesz, kim są Sprawiedliwi?

– Sprawiedliwi wśród Narodów Świata. – Od razu nasunęło mi się to skojarzenie.

– Blisko. Jak myślisz, kto jest ich wrogiem?

– Zło.

Nie znalazłam żadnej innej sensownej odpowiedzi. Kto może być wrogiem męжных ludzi o szlachetnych sercach?

– Rozumiesz już, dlaczego nie ma prostej odpowiedzi?

– Czyli, macie wrogów... wszędzie?

– Właśnie. Ale i przyjaciół.

Asłan mówił zagadkami, co w jakimś stopniu rozumiałam. Nie mógł mi powiedzieć zbyt wiele, żeby nie narażać mnie na niebezpieczeństwo. Równocześnie chciał mnie upewnić, że nie jest tylko bezlitosnym mordercą. Że to, o co walczy, usprawiedliwia jego brutalne poczynania. Nie dostrzegałam w tym konsekwencji. Przypomniałam sobie słowa z Talmudu: „Kto niszczy jedno życie, niszczy cały świat”. Dlaczego Asłan wspominał o Sprawiedliwych? Ponownie zaczęło gnębić mnie pytanie, kim on naprawdę jest.

– Twoi rodzice byli naszymi przyjaciółmi.

Poczułam, że się zapadam, jakby w fotelu utworzyła się ogromna dziura, aż

dobiałam siedzeniem do twardej ramy.

– By...li? – wydusiłam ze ściśniętej krtani.

Milczał. Skrzywienie przesuujących się wycieraczek drażniło uszy jak wibrująca struna, która zaraz pęknie. Asłan nie zdawał sobie sprawy, że nie wiedziałam o śmierci rodziców. Oszukiwałam samą siebie, łudząc się nadzieją, że nadal żyją. Właśnie mi ją odebrał.

– Wiesz, jak zginęli? – spytałam cicho.

– Mieli dobrą śmierć – odpowiedział Memed, wyręczając towarzysza. Był starszy i bardziej doświadczony, może już nawet odchowwał dzieci, więc pojmował, co muszę czuć. Dlatego oszczędził mi dokładnego opisu tragedii. A ja nareszcie zrozumiałam, co się dzieje. Czeczeni chronili naszą rodzinę, spłacając dług honorowy wobec taty i mamy. A „dobra śmierć” znaczyła, że zginęli w walce.

Jechaliśmy w milczeniu, Asłan nie puszczał mojej dłoni. Szyby zasnuła szara lepka mgła. Czułam się, jakbyśmy ugrzęźli w ciężkich burzowych chmurach. Przenieśli się w zaświaty i przedzierali przez gęsty tuman, zmierzając na spotkanie Moniki i Eryka, moich rodziców.

A może to łzy zasnuły mi oczy? Nie ruszyłam ręką, by je przetrzeć. Trwałam w jednej pozycji. Jak długo? Nie wiem. Na dobre straciłam poczucie czasu. Mgła zaczęła się powoli rozwiewać, odsłaniając piekło ulicy po zamieszkach: kikuty drzew na tle osmalonych, poczerniałych murów, potrzaskane framugi, zdemolowane samochody z resztkami szyb popękanych od gorąca. Cała okolica wyglądała, jakby cyniczny demon spryskał żrącym moczem ruiny domów i obumarłe rośliny. Wylał zanieczyszczony olej silnikowy. Sprowadził zaklęciem kwaśny deszcz zmieszany z popiołem.

Nikt się nie odzywał. Memed prowadził dzipa slalomem, omijając wraki. Czasem wjeżdżał na zasłany gruzem chodnik. Zatrzymaliśmy się przed barykadą ustawioną z przewróconego autobusu. Musiała tu być niezła rozróżba. Zobaczyłam przez szybę szkło z potłuczonych butelek, kawałki bruku i regularny wzór na boku spalonego wraku. Ktoś przejechał po nim serią z automatu. Nie dostrzegłam trupów ani krwi. Jeśli kogoś tutaj raniono, deszcz musiał ją rozmyć.

Memed ostro skręcił, aż wpadłam na Asłana. Chwycił mnie mocno.

– Tu jest niebezpiecznie – rzucił. Trudno było nie przyznać mu racji.

Kiedy w końcu wyjechaliśmy na prostą, podążając równolegle do brzegu Sekwany, spytałam:

– Ile jeszcze?

– Złapałem sygnał – oznajmił Dżochar. – Dwudziestka.

Znowu gwałtowny skręt. Pochłonięte w pośpiechu kanapki podeszły mi do gardła.

– Blokady? – spytał Asłan.

– Jakoś ominiemy. Gdy zacznę jeździć zygzakami, tylko jasnowidz zdoła przewidzieć, dokąd zmierzamy.

Powinnam być im wdzięczna, że mówią po francusku, chociaż Dżochar miał z tym niejaki problem. Musiałam się uzbroić w cierpliwość, aby ominąć blokady, Memed ciągle krążył. Domyślałam się, że nie wjechał na obwodnicę z powodu kamer. Mieliśmy dużo szczęścia, że nie utknęliśmy w korku. Zamieszki i ulewa zatrzymały ludzi w domach, po powierzchni poruszał się ten, kto musiał. Za to z parkowaniem już nie było tak wesoło. Odwieczny koszmar, nawet teraz, kiedy karta postojowa kosztowała majątek. Tylko z powodu trudności ze znalezieniem miejsca, na którym można by zostawić samochód, mimo zdewastowanej infrastruktury ciągle jeździło metro. Grunt, że nawierzchnia z szynami nie została uszkodzona. Żaden zdesperowany bandzior nie mógł obrobić maszynisty – skład prowadził automat.

Olbrzymie blokowisko pochłonięło nas niczym wieloryb. Zniknęliśmy w trzewiach centrum handlowego, w którym już od dawna nikt nie robił zakupów. Co za rudera! Zanurzyliśmy się w ciemny tunel i dotarliśmy na podziemny parking. Mijaliśmy porzucone pordzewiałe wraki, stojące na pogiętych felgach otoczonych gumowymi flakami. Kiedy zjechaliśmy na najniższy poziom, trafiliśmy na blokadę kilku terenówek ze zderzakami off-road i osłonami na reflektorach, które rozświetlały te współczesne katakumby, gdzie niewdzięczni właściciele chowali wysłużonych towarzyszy swoich miejskich wędrówek.

Czyżby to miejscowa La Garde civique obstawiała centrum? Mogłabym w to uwierzyć, gdyby nie wycelowane w nas giwery oprychów w kominiarkach, niedbale opierających się o zderzaki terenówek. Musieli

wiedzieć, kto nadjeżdża, inaczej by nas nie przepuścili. Podejrzewam, że to oni prowadzili wcześniej Dżochara, wysyłając zaszyfrowany sygnał.

– Jesteśmy na miejscu – oznajmił Memed i wjechał za gruby filar. Chropowatą powierzchnię muru znaczyły srebrzystoczarne smugi. Jakiś pojazd musiał się mocno o niego otrzeć, pozostawiając resztki zdartego lakieru i opiłki blachy.

Kiedy się zatrzymaliśmy, zauważyłam, że Dżochar podał kierowcy coś czarnego, co wyciągnął ze schowka pod deską rozdzielczą. I to „coś” na moich oczach się rozmnożyło.

– Trzymajcie. – Odwrócił się i podał nam dwie kominiarki.

– Załóż – polecił mi Aślan.

Choinka, nie jestem pieprzoną terrorystką! W pierwszym odruchu chciałam zaprotestować. Jednak jak trzeba, to trzeba. Wciągnęłam balaklawę na głowę i zasłoniłam część twarzy. Czeczeni trzymali fason bandziorów. Opuścili dżipa z bronią w łapach i kiedy zeskoczyłam na beton, natychmiast mnie otoczyli.

Czułam się między trzema postawnymi gośćmi jak pokraczny niziołek. Ale grając swoją rolę, ruszyłam energicznym krokiem. Aślanowi właśnie o to chodziło: żebym nie wyróżniała się z tłumu. Moje zielone salomony i szaroczerwona kurtka Lafuma nieco burzyły wizerunek groźnego bojownika, co z nawiązką nadrabiali moi towarzysze.

Podszedł do nas człowiek z obstawy i skinął ręką, byśmy za nim poszli. Miałam słuszne podejrzenia. Ochrona imprezy wiedziała, że na parking wjechali swoi. Minęliśmy kilka SUV-ów, z których wysiadali zamaskowani osobnicy. Organizatorzy albo widzowie. Nikt się nie spieszył, żeby się ujawnić, pokazać twarz. Wystarczył tajniak albo jeden reporter, a news o imprezie pojawiłby się w pierwszym wydaniu wiadomości i w mgnieniu oka obiegł go-net, rozchodząc się przez portale społecznościowe.

Szliśmy schodami przeciwpożarowymi, prowadzący nas ochroniarz oświetlał drogę latarką. Skręciliśmy jeszcze w kilka korytarzy, po czym przekazał nas trzem innym ludziom.

– Teren sprawdzony. – Usłyszałam zza rogu. – Wejdźcie.

Skądś znałam ten głos. Czyżby to był...?

Czeczeni ściągnęli balaklawy. Zrobiłam to samo, gdy zobaczyłam znajomą

twarz. Tym, który do nas zagadał, był Igor, sparingpartner Asłana.

– Szatnia przygotowana – zwrócił się do gwiazdy tego wieczoru. – Dwie walki na zaostrenie apetytu gawiedzi i wychodzisz. A ja zaopiekuję się waszą dziewczyną. – Posłał mi szeroki uśmiech.

Dzochar zaklął pod nosem w swoim języku.

– Masz gust, mała. – Igor nie dał się zbić z tropu. – Same przyjemniaczki. Dobra, idę na ring.

– Czekaj – zatrzymał go Asłan. – Nie znalazłoby się jakieś dyskretne miejsce dla tej młodej damy? Nie sądzę, żeby pozwoliła się na czas walki zamknąć w szatni.

– Jeszcze czego! – odburknęłam. – Nie po to tłułam się z wami przez cały Paryż. – Zaczęło mi burczeć w brzuchu. – Przechwyciłam tylko trzy kanapki!

– Coś zaradzę na jedno i drugie – uciął sprzeczkę Igor.

Następny przystojniaczek! Uroczy blondyn o szarobłękitnych oczach z niesamowicie długimi rzęsami, miał jakieś dziewiętnaście lat, ale na sali traktowali go jak starego. Zabójczy prawy prosty i potężny front kick. Wziąwszy go za smarkacza, Dzochar nieźle by się przejechał.

– Chwila cierpliwości. – Igor wyszedł, Dzochar ruszył za nim. To się nazywa ograniczone zaufanie.

– Stanę przy drzwiach – oznajmił Memed i również opuścił szatnię.

Zostaliśmy z Asłanem sami.

Na ławce leżała duża sportowa torba. Igor najwyraźniej pełnił rolę sekundanta Tanka i o wszystko zadbał. Wątpiłam jednak, aby przewidział, że jego sparingpartner dwadzieścia cztery godziny temu oberwał nożem. Sięgnęłam do plecaka i wyciągnęłam kosmetyczkę.

Asłan zaczął się rozbierać. Poszłam jego śladem i uwolniłam się z kurtki. Szybko tego pożałowałam. W szatni panował chłód i pachniało wilgocią. Od mojego komfortu i dobrego samopoczucia ważniejszy był jednak stan rannego.

– Ściągnij koszulkę – poleciłam, wczuwając się w rolę pielęgniarki, z pewnością delikatniejszej od ciotki Hanny.

Ech, ta jego klata. Sprawdziłam opatrunek. Trzymał się nieźle, ale dla

pewności przykleiłam na brzegach jeszcze kilka plastrów.

– Bo zrobisz ze mnie mumię. – Asłana nie opuszczał dobry humor.

– Boję się o ciebie.

– Gloria. – Delikatnie podniósł mi podbródek i spojrzał w oczy. – To Fist powinien się bać. Myślisz, że ryzykowałbym walkę i w dodatku ciągnął cię tutaj, gdybym nie był pewny wygranej?

– Gdyby to była taka łatwizna, dużo by ci nie zapłacili.

– Mądra dziewczynka.

– Nie mów tak do mnie!

– Spokojnie. Wiem, że jesteś zdenerwowana. Nie widziałaś żadnej mojej walki w klatce?

– Widziałam na YouTube.

– I jak tam jakość? – Znowu sobie ze mnie pokpiwał. YouTube to była starość, która bardzo się zapychała. Spowaźniał. – Dobrze, tak jak mówiłem wcześniej, trzymaj się Memeda i Dżochara. Znikamy, gdy tylko ogłoszą zwyciężcę.

Chciałam dodać: „Jak będziesz w stanie”, ale ugryzłam się w język. Powinnam mu zaufać, inaczej na diabła byłaby ta cała operacja. To wszystko, o czym Asłan mówił. Za co czuł się odpowiedzialny. Odwróciłam się, żeby mógł bez skrępowania nałożyć spodenki. Kiedy faceci przebierali się w szatni, nie gapiłam się na nich, a tym bardziej nie wchodziłam w niewłaściwej chwili do pomieszczenia z prysznicami. Wolałam splukać brud już w domu. Może to i niehigieniczne, ale w szkole po prostu się wstydziłam. Poza tym, po co stawiać kolegów w niezręcznej sytuacji?

Asłan wyciągnął czerwone taśmy z torby zostawionej przez Igora, usiadł na ławce i zaczął je wiązać. Były inne niż te używane pod rękawice bokserskie. Z cieńszego materiału i krótsze. Graplerzy lubili mieć pewny chwyt.

– W MMA wszystko może się wydarzyć. – Przerwałam ciszę, powtarzając słowa, które już nieraz słyszałam.

– Przecież mówiłem, że sobie poradzę.

No tak, Asłan nigdy nie rzucił słów na wiatr. Ta jego pewność siebie...

Znowu obudziły się we mnie podejrzenia. Były jak z kiepskiego horroru.

– Oni też mają drugie życie? – spytałam, spodziewając się, że obróci moje słowa w żart.

– Memed – rzucił, nadal wiążąc taśmy. – Jest z mojego tejp.

– O...! – Podskoczyłam na ławce. Ktoś gwałtownie otworzył drzwi.

Właśnie on się w nich pojawił. Duch przeszłości.

Rozdział 5

Klatka

Memed wszedł do pomieszczenia energicznym krokiem, z karabinem trzymanym luźno w dłoniach, tak jakby to była zabawka, a nie przedmiot zadający śmierć. Posiwała broda i włosy, twarz usiana zmarszczkami. Bacznym wzrokiem lustrował każdy kąt – przyzwyczajenie zabójcy. Miałam do czynienia z twardym, czujnym mężczyzną o nawykach wojownika, który w ułamku sekundy zrobiłby użytek z pozornie niedbale niesionej broni. To ich łączyło, jakbym patrzyła na ojca i syna. Ale Asłan, tak jak ja, stracił rodziców.

– Trzymaj. – Memed rzucił mi srebrne opakowanie, które wyciągnął z bocznej kieszeni kurtki wypchanej, jak podejrzewałam, paczkami zapasowych naboii. – To od Igora.

– Czeka na ciebie. – Tym razem zwrócił się do Tanka. – Jesteś gotowy?

– Dajcie mi jeszcze chwilę.

– Nie ma sprawy.

Memed zamknął za sobą drzwi. Cicho, jakby nie chciał przeszkadzać mistrzowi przed walką.

Nie wiedziałam, czy Asłan wymówił jego imię, bo spodziewał się, że starszy mężczyzna zaraz do nas zajrzy, czy może odpowiedział na moje pytanie o drugie życie? Zamierzałam go właśnie o to spytać, ale zamknął oczy, na jego przystojnej twarzy pojawił się wyraz skupienia. Nie teraz. Przecież prosił o chwilę spokoju. Na pewno nie chce, żebym go z niej ograbiała.

Przeniosłam wzrok na srebrne opakowanie. Nadruk informował o zawartości: kanapka z kurczakiem i grillowanymi warzywami. Nieźle. Oderwałam czerwony pasek z napisem „ouvrir ici”. Udało mi się to zrobić niemal bez szmeru. Ponownie spojrzałam na Asłana. Trwał bez ruchu, oparty o ścianę, ciągle z zamkniętymi oczami. Wyglądał niczym posąg odlany z brązu.

Czyżby się modlił?

W szkole pełnił rolę mojego anioła stróża, dlatego miałam go niemal nieprzerwanie w zasięgu wzroku, że już nie wspomnę o treningach, z których zawsze ze mną wracał. Jako muzułmanin powinien się modlić pięć razy dziennie. Nigdy nie zauważyłam, żeby to robił. Nigdy na tak długo się ode mnie nie oddalił, najwyżej na moment zamyślił. Z tego wywnioskowałam, że nie jest specjalnie religijny. A może nie wierzył w żadnego Boga, a moje wyobrażenia oparte były na stereotypach? Takich, że jeśli Czeczen, to musi być terrorysta, ze starym ruskim kałachem przewieszonym przez ramię, prowadzący niewielkiego górskiego konika z wyrzutnią przeciwpancerną przytroczoną do siodła. I na pewno ortodoksyjny muzułmanin. A przecież przed pierwszą czeczeńską wojną w Iczkeri hodowano nawet świnię. Dopiero później wyznawcy islamu się zradykalizowali. Nic tak nie spaja społeczności jak religia i tradycja. Tyle wiedziałam z wykładów o wspólnotach imigrantów, które wyszperałam w archiwach YouTube'a.

Trzecia wojna – to była klęska. Narody Imperium Mroku ponownie uwierzyły, że mogą wywalczyć sobie wolność, a wtedy dyktator nasłał brata na brata. Wybuchła krwawa wojna domowa, która ogarnęła krańce imperium i cały Kaukaz. Jaki był jej rezultat? Mogliśmy się tego tylko domyślić. Dezinformacja to potężne narzędzie walki. Dlatego snajperzy najpierw strzelają do korespondentów wojennych, a dopiero w drugiej kolejności biorą na celownik oficerów.

Bardzo niefortunny czas na podobne myśli. Asłan miał przed sobą walkę, a potem czekała nas podróż do Polski, za której wschodnią granicą rozciągał się pas spalonej ziemi. Może dręczyła go świadomość tego faktu? Starał się oczyścić umysł? I skoncentrować na jednym: na wprasowaniu Fista w pręty klatki.

Powinnam, tak jak on, zachować spokój. Zimno zaczęło mi już mocno doskwierać, założyłam kurtkę i ostrożnie rozwinęłam opakowanie. Odgryzłam kawałek kanapki. Była niezła w smaku, choć gumiasta. Zaraz się nią zapcham. Dostrzegłam butelkę wody, która wystawała z torby zostawionej przez Igora – Asłan nie zasunął zamka.

Sięgnęłam po butelkę, nadal starając się nie czynić hałasu. Lśniące biało-brązowe papierki zamrugały do mnie zachęcająco z otwartej bocznej kieszeni. Energetyczne batoniki Luny, Igor czasem nas nimi częstował, jednak teraz miałam ochotę na coś przynajmniej odrobinę przypominającego jedzenie.

Delikatne mięso, rozpływające się w ustach, chrupiąca zielona papryka, miękka cukinia i czysta woda, a na dokładkę dbający o mnie faceci. Istna pełnia szczęścia. Gdyby nie ten strach o Asłana! O to, co za chwilę się wydarzy. Ale przecież sama chciałam być tutaj, przy jego boku. Nie powinnam się rozklejać, tylko go wspierać.

– Zaraz idziemy. – Usłyszałam nagle.

Skierował na mnie wzrok, a wtedy wyciągnęłam rękę z połową kanapki. Potrzasnął odmownie głową. Lepiej, by nie spadł mu poziom cukru, nie powinien też się odwodnić. Podałam mu otwartą butelkę i batonik. Tym razem nie odmówił, rozerwał opakowanie, pochłonął zawartość dwoma kęsami i obficie popił wodą. Dojadłam kanapkę, Asłan dokończył kolejny batonik i oddał mi do połowy pełną butelkę. Miałam rację, musiał mieć język wysuszony na wiór.

Wyciągnął z torby dres. Ledwie zdążył go nałożyć, gdy Igor wparował do naszej naprędce zaimprovizowanej szatni. Co za doskonała synchronizacja! Nie potrzeba było zegarków ani tabletek. Potężne ciało sekundanta Asłana również okrywał dres. Gładka czarna tkanina bez jakichkolwiek reklam, napisów, nawet nazwy naszego klubu. Jakby obaj pragnęli pozostać anonimowi w oczach przypadkowych widzów.

– I co teraz? – spytałam, pospiesznie upychając cywilne ubranie Asłana do torby. Na sam wierzch położyłam butelkę z wodą. – Rozgrzewka?

Skinęli głowami, jakby nadawali na wspólnych falach. Igor uśmiechał się do mnie, Asłan miał skupioną twarz. Wyszłam za nimi, zawadzając o framugę ogromną torbę. Też czarną. Jak moje myśli.

Memed szedł przed nami. Karabin w rękę, pistolet w kieszeni. Przepastne kieszenie kamizelki musiały kryć również nóż. Sportowa impreza, nie ma co! Po chwili dołączył do nas Dżochar.

Nie trafiliśmy na ring. Weszliśmy do przestronnego pustego pomieszczenia oświetlonego kilkoma jarzeniówkami. Na podłodze leżały cienkie niebieskie maty, przy wysoko umieszczonym oknie dostrzegłam gruszkę. Była przytwierdzona na lince do kraty osadzonej we framudze, a u dołu do stalowego bolca, który wyglądał jak wielka szpila wbita w wykładzinę.

Igor rzucił Asłanowi złożoną skakankę, a sam podszedł do gruszki.

W pomieszczeniu rozległ się świst grubej żyłki przecinającej powietrze. Zagłuszał go suchy trzask, kiedy pięści Igora uderzały w gruszkę. Obaj mężczyźni poruszali się tak lekko, że nie słyszałam odgłosu stóp stykających się z podłogą. Później się zmienili: Asłan gruszka, Igor skakanka. Przez chwilę się jeszcze rozciągali, po czym nałożyli rękawice i weszli na matę.

Memed pilnował nas na zewnątrz, Dżochar stał w kącie pomieszczenia, przenosząc wzrok z drzwi na okno i z powrotem. Miał inne spojrzenie niż jego towarzysze, niespokojne, ostre, rozbiegane. W tym, co mówił Asłan, coś jednak było. Jego i Memeda cechował zimny spokój, opanowanie ludzi, którzy widzieli już w życiu wszystko. Dżochar zachowywał się jak pobudzony rekrut tuż przed zamachem. Jakby ledwie wyszedł z obozu szkoleniowego terrorystów. Smoliście czarne włosy, broda i oczy. Ciuchy z demobilu i dłonie zaciśnięte na karabinku. Palce bębniące po ciemnoorzechowej kolbie znaczonej regularnymi nacięciami. Czyżby upamiętniały ofiary poprzedniego właściciela?

Nasze spojrzenia się spotkały. Nie. To były jego ofiary. Okazywane przez Dżochara zdenerwowanie to pozór, pozostałość po wojennej traumie. Wzrok może wiele zdradzić, a jego wręcz krzyczał: „Jestem mordercą!” i „Nadal chcę zabijać!”.

Kiedy do moich uszu doszedł odgłos przyspieszających rytmicznych uderzeń, przestałam patrzeć Dżocharowi w oczy. Wpadłabym w paranoję, gdybym jeszcze chwilę to robiła.

Asłan uderzał w łapy wystawiane przez Igora. Pięścią, stopą, kolanem. Lekki podskok, obrót, kopnięcie. Jedna seria, druga, idealnie w czerwone koło naszyte na szarą syntetyczną skórę. Potem Igor odrzucił łapy i zeszedł do parteru. Trochę technik chwytnych, wykonywanych luźno i tak perfekcyjnie, jak w dobrze naoliwionym mechanizmie albo w szwajcarskim zegarku. Nie znałam się na tych wszystkich trzymaniach, rzutach, dźwigniach, chwytach i przechwytach, ale wyglądało to całkiem nieźle. Nawet Dżochar przestał wodzić po pomieszczeniu rozgorączkowanym spojrzeniem. Skupił uwagę na rozgrzewających się zawodnikach.

Mruknął coś po czeczeńsku, uśmiech rozjaśnił jego surową twarz. Nie tylko z mimiki, ale i z tonu jego głosu wywnioskowałam, że to słowa uznania. Coś jak: „Dobre przygotowanie, chłopaki”. Czy rzeczywiście dobre? Niedługo się

okazuje. Z natury byłam narzekającym i wątpiącym Prosiaczkiem z klasycznej kreskówki Disneya o Kubusiu Puchatku, a Dżochar w tym momencie przypomniiał mi Tygrysa filuternie błyskającego czarnymi ślepiami. Coś podobnego! Myślałam, że potrafi się uśmiechać wyłącznie wtedy, gdy widzi przed nosem tłuczek do mięsa – narzędzie idealne do łamania kości. Tylko... że Asłan właśnie to miał za chwilę zrobić. Łamać kości Fistowi.

Suchy charakterystyczny odgłos odrywanych jednym ruchem rzepów. Zawodnicy zrzucili rękawice.

– Jestem gotowy. – Asłan poderwał się na nogi. – Jak stoimy z czasem?

– *Vingt minutes* – odpowiedział Dżochar, zerknąwszy na nadgarstek.

Podeszłam do Asłana i podałam mu butelkę z wodą. Igor zebrał z maty wszystkie fanty: łapy, rękawice i skakankę. Rzucił to wszystko pod ławkę, na której leżała torba, po czym podszedł do okna i wyciągnął szpilę z podłogi. Chwycił się kraty przy oknie i uniósł na ręce, żeby odpiąć linkę. Dżochar nic nie robił, tylko obserwował. Zaczynało mnie to drażnić.

– Wyciągnij płaszcz – polecił mi Igor. – Jest w torbie.

Rzeczywiście leżał tam, starannie złożony. Odebrałam od Asłana pustą już butelkę, a wtedy ściągnął dres. Kiedy narzucił na grzbiet płaszcz, ponownie upchałam bety do torby. Rola asystentki na dobre do mnie przyłgnęła. Przynajmniej czymś się zajmowałam, w ten sposób hamowałam natłok myśli.

Znowu korytarz, znowu obstawa. Przed sobą miałam srebrno-antracytowy napis „Tank” na czarnym płaszczu okrywającym szerokie plecy Asłana. Nie towarzyszyłam mu aż do ringu. Wraz z Dżocharem odłączyliśmy się od reszty, skręcając w ciemną odnogę.

Cały czas brzmiały mi w uszach słowa Hanny i Asłana: „Masz ich słuchać”, „Nie utrudniaj im zadania”, „Jak coś mi się stanie, oni cię osłonią”. Gdyby moi rodzice wiedzieli, jakich będę miała opiekunów! Obiecałam sobie, że kiedy dotrę bezpiecznie do Polski, zrobię wszystko, by dowiedzieć się, jak zginęli Monika i Eryk. Wątpię, żeby udało mi się naciągnąć Czeczenów na zwierzenia. No, może Dżochara, ale on nie był tym wybranym, który wiedział wszystko. To tylko czujny ochroniarz. Pewnie i psychopata – ten, kto chociaż raz zabił, nie jest już normalny. Nigdy nie pozbędę się z głowy tej sceny: Asłana strzelającego w potylicę bezbronnemu człowiekowi leżącemu w kałuży krwi. Szkarłatna plama ciągle rosła mi w oczach. Co z tego, że

popęłnił ten okrutny czyn, by mnie chronić? Moja niewinność umarła razem z tymi ludźmi, z ich mózgami rozmazanymi na betonie.

Dostrzegłam światło na końcu tunelu i usłyszałam zgiełk. Duże ludzkie skupisko. Odetchnęłam z ulgą: nareszcie wracamy do świata żywych. Po chwili znaleźliśmy się na niewielkiej galerii, z której widok częściowo zasłaniały ogromne stalowe filary.

– Za bardzo się nie wychylaj – ostrzegł mnie Dżochar, lustrując przedpole poniżej. – I zarzuć kaptur. Tutaj, w cieniu, jesteśmy niewidoczni, a będziemy widzieć, co się dzieje.

Nałożyłam kaptur, jak kazał, po czym ostrożnie wyjrzałam zza filara i spojrzałam w dół. Miał rację, światła koncentrowały się na arenie – stalowej klatce ustawionej na podwyższeniu wysokim na jakiś metr. Widzów prawie nie było widać. Najwyraźniej nie tylko my życzyliśmy sobie pozostać anonimowymi ciemnymi figurkami.

Prezenter stał przy klatce i darł się jak oszalały. Przygłuszyła go jakaś badziewiasta muzyka. Coś jak lokalne disco polo z kraju pochodzenia zawodnika. Wenezueli? Ekwadoru? A może Kazachstanu? Dwie skąpo odziane zgrabne długonogie hostessy krążyły wokół sceny, trzymając nad głowami okrągłe plansze z numerami.

Na długiej rampie prowadzącej do klatki zobaczyłam potężnego mężczyznę, okrytego połyskującym czerwonym płaszczem. Towarzyszyli mu równie słusznie zbudowani łąsi kolesie. Fist z dwoma sekundantami. Tłum zawył.

Światła reflektorów padły na zawodnika stojącego na środku sceny. Sekundant ściągnął płaszcz z ramion Fista.

– *Merde!* – nie wytrzymałam. Patrzyłam na napakowane sterydami bydlę, którego barki i szeroką klatkę piersiową pokrywały sinoczarne tatuaże.

– *Tranquillement* – uspokoił mnie Dżochar. – *Et Aslan.* – Wskazał dłonią na pomost.

Dostrzegłam nowych uczestników wydarzenia, lecz nie usłyszałam muzyki. Wchodzącemu do klatki Aslanowi i Igorowi towarzyszyła cisza. Przerwał ją prezenter, informując o wadze i długości ramion zawodników. Ich dane zanotowałam w pamięci. Ważenie musiało się odbyć tuż przed pojawieniem się fighterów na scenie. Ale gdzie jest Memed?

Spytałam o to Dżochara. Wskazał na punkt gdzieś między klatką a wejściem na halę. Idealne miejsce, z którego strzelec mógł osłaniać wycofującego się Asłana, pokrywając podest ogniem.

Wyłuskałam z pamięci dane zawodników. Waga Tanka: dziewięćdziesiąt siedem kilo, wzrost: metr dziewięćdziesiąt trzy centymetry, zasięg ramion: dwieście czternaście. Fist: dziewięćdziesiąt dziewięć kilo, metr osiemdziesiąt dziewięć wzrostu i zasięg ramion sto dziewięćdziesiąt siedem centymetrów. Asłan miał przewagę w długości ramion. Żeby tylko to wykorzystał.

Stanęli naprzeciwko siebie. Mogłam obserwować ze szczegółami, co się dzieje, bo jakieś pięć metrów nad sceną pojawiły się hologramy. Fist wbił wzrok w przeciwnika. Chciał wygrać walkę, zanim się zaczęła. Tank nie podjął wyzwania, cofnął się o krok.

Rozległy się gwizdy. Wywnioskowałam po wyrazie twarzy Asłana, że jest mu to zupełnie obojętne. Był skupiony na czekającym go pojedynku. Igor wsadził mu ochraniacz do ust, a wtedy Tank wyciągnął przed siebie niebieskie rękawice i trącił nimi czerwone rękawice Fista. Ze względów bezpieczeństwa organizator dostarczał ekwipunek tuż przed walką. Chodziło o takie same parametry i o to, żeby nieuczciwy fighter albo jego sekundant nie podrasowali sprzętu, ukrywając w wyściółce niebezpieczne elementy.

Zawodnicy rozeszli się do przeciwnych narożników. Sędzia wyszedł z klatki. No to się zaczęło! Walka prawie bez żadnych zasad. Nikt na czas nie zdąży między nich wkroczyć. Nikt nie przerwie młócki. To dlatego te cholerne ustawki są zakazane. Przez brak kontroli nad przebiegiem pojedynku i żelazne pręty oddzielające dwa rozjuszony zwierzęta od widzów. Powszechnie stosowana elastyczna stalowa siatka amortyzowała uderzenia ciał zawodników.

Ruszyli ku sobie. Tank powoli, czujnie, ostrożnie. Fist wyskoczył jak zwolniona sprężyna. Z szybkością pociągu TGV osiągnął dwie trzecie przekątnej klatki. Natarł ostro i brutalnie. Asłan oberwał prawym prostym w szczękę. Fist błyskawicznie poprawił lewym, celując w opatrunek. Nie trafił, Tank w ostatniej chwili zszedł w bok. Nadal się bronił, lecz gdy robił kolejny unik, oberwał backfistem z obrotu. Lekko się zachwiał.

– Co z nim?! – wyrwało mi się po polsku. To niemożliwe, by Asłan tak łatwo pozwolił przejąć przeciwnikowi inicjatywę!

– *Tranquillement* – powtórzył Dżochar i spojrzał na taśmę z minitabletem, która opasywała jego ramię. – *Déjà verrouillé.* – Już zamknięte.

To o to chodziło! Asłan cofnął się i ryzykował nokaut do chwili, aż zamknęli zakłady.

– Jak obstawiają?

Mój przyjaciel ciągle robił uniki. Zgiełk tłumu wzmógł się. Był jak ryk pobudzonego drapieżnika, który wyczuł woń ludzkiej krwi.

– *Jedyn do triech* – Dżochar odpowiedział mieszaniną polskiego z rosyjskim. – *Na Fist. Il est good.* – To z kolei francuski łamany angielskim, ale grunt, że faceta rozumiałam.

Wtem Fist ostro zaszarżował. Chciał rzucić przeciwnika na pręty klatki. Tank zszedł na jego prawą. Fist ledwie wyhamował, inaczej rąbnąłby łbem w pręty. Zachwiał się jak marynarz na pokładzie drobnicowca miotanego przez fale, ale utrzymał w pionie, rozstawiwszy nogi. Asłan wyrzucił ku niemu ramię o potężnym zasięgu. Zahaczył ręką o szyję Fista i pociągnął w tył.

Wytatuowany olbrzym padł twardo na plecy. Jakby zderzył się z ciężarówką. Asłan na niego wskoczył i z dosiady zasypał gradem ciosów. Niebieskie rękawice zamigotały na hologramach niczym skrzydła ważki bijące w lustro wody. Nagle wszystko spowolniło. Uderzenia opadały na skroń Fista jak na starym filmie. Wolno, klatka po klatce. Widziałam to nie tylko na hologramach. Krzyki tłumu dobiegały jak zza grubej teatralnej kurtyny. Światła przygasły, halę wypełniała szara mgła. Wyglądało to jak widowisko typu „światło i dźwięk”.

Niemożliwe! Może to przez omamy albo łzy? Przetarłam oczy. Miałam suche powieki. Zerknęłam na przedramię Dżochara z opaską – emitowała czytelne żółte cyfry: dziewiętnasta dziesięć. Przeniosłam wzrok za barierkę. Mgła coraz bardziej gęstniała.

– Widzisz to? – wydusiłam.

– *Tranquillement*, Gloria.

Twarz Asłana rozmyła się za szarym obłokiem. Spojrzał w naszą stronę. Zamiast oczu ujrzałam spłaszczone soczewki. Wypełniała je rubinowa poświata. Przeszyła ciemność niczym promienie celowników laserowych szukające wroga. Żywa podczerwień lokalizująca ofiarę.

– *Tranquillement* – powtórzył Dżochar. Poczułam ciepło silnych męskich dłoni na barkach. Też to widział!

Drżąca, wykręciłam się i wtuliłam w jego ramiona. Spodziewałam się, że oczy towarzysza Asłana również wypełnia szkarłatna magma i że padnie na mnie czerwony promień celownika.

Były normalne. Czarne. Światło z minitabletu oświetlało twarz Dżochara, dlatego ich odcień mógł zmylić, ale nie miałam wątpliwości, że obejmuje mnie śmiertelnik z krwi i kości. Za to w klatce na Fiście siedział obcy stwór, a tam, gdzie powinien być Memed, coś się kotłowało. Rozświetlało czerwienią kłęby szarej mgły. Głosy ludzi brzmiały, jakby utkwili na dnie głębokiego leja. Tatuaze na ciele masakrowanego powoli Fista pulsowały. Miałam wrażenie, że zaraz pękną i wytryśnie z nich krew.

– Co się dzieje? Kim on jest? Kim wy jesteście?

– *Only...* – Dżochar na chwilę zamilkł, jakby zastanawiał się, ile może mi powiedzieć, a potem odrzekł poważnym tonem: – *Les Premiers Justes*. – Pierwsi Sprawiedliwi.

Rozdział 6

Wyrok

System Quojo, planeta Trion.

Zamknięty sektor, zabezpieczenia: pierwszy poziom

Więzień: Oril, gatunek: rokus,

bojowy Trojlo z wyrokiem śmierci

Loch wypełniała lepka smolista zawiesina. Była jak żywe stworzenie, które czaiło się rozpląszczone na podłodze. Musiało wyczuć intruzów, jednak nie wykonało najmniejszego ruchu. Sensory Starszego Inspektora Drakina lekko pulsowały, co upewniło go, że więzień ciągle tam przebywa i bynajmniej nie jest martwy.

– Jak długo? – spytał, ocierając pot z czoła. Jego mocne ciało spata pokrywała twarda szafirowa łuska, która stanowiła naturalną osłonę, lecz teraz niedostatecznie odprowadzała ciepło. Drakin mocno się denerwował.

Strażnik spojrzał na niego srebrzystym okiem.

– Trzy obroty. Ale nie daj się zwieść, Inspektorze. Nawet gdyby Trojlo hibernował, to ciągle polujący łowca. Arena go nie uspokoiła. Walka nie była dość brutalna. Powiedziałbym, że mamy do czynienia z beznadziejnym przypadkiem.

– Ten Trojlo od samego początku stanowił problem – mruknął Drakin. – Co na to poradzę, że muszę się wykazać przed Kręgiem skutecznością w resocjalizacji więźniów? Nawet tych z urazami po DGT.

– Zabieracie go? – spytał z nadzieją strażnik.

– Pilnowanie rokusa, który jest zarazem wojownikiem Trojlo – istotą wyszkoloną do wykonywania specjalnych zadań poza naszym systemem – to mocno stresujące zajęcie.

– Daj mi chwilę. – Drakin nacisnął szponem łuskę na przegubie przedniej kończyny.

Łańcuch seledynowych symboli rozświetlił ciemny tunel ciągnący się nad klatką z więźniem. Znaki utworzyły szybko wirujący dysk. Były niczym zabójczy torus odcinający głowy skazańców.

– Krąg nie cofnął wyroku. On już jest martwy. Chyba że...

– Jestem gotowy. – Dobiegło z dołu warknięcie.

– Łowca się obudził, ale jakoś nie może ustać na łapach – zakpił strażnik.

Rokus Trojlo zwany Orilem zdawał sobie sprawę z obecności gości. Podpowiadał mu to jedynie instynkt, miał bowiem mocno zaburzoną percepcję. Co się działo w jego głowie? Nawet duchy zmarłych tego nie wiedziały, a tym bardziej Inspektor Pierwszego Kręgu, który stał nad nim, oddzielony przestrzenią wypełnioną rozedrganym powietrzem i stalową kratą z lekkiego, ale wytrzymałego stopu. Zabezpieczenie to nie pozwalało ogromnemu rokusowi nawet się wyprostować.

– I co, zdecydowałeś się?

Drakin kopnął w ścianę stalowego walca, na którego dnie warował rokus. Blacha jęknęła, wibrując niczym jego więzień przed atakiem. Długi opancerzony czarny ogon uderzył w ścianę. Oril wpatrywał się w gładką tytanową powierzchnię. Szpary jego zmrużonych ślepi wypełniało szkarłatne światło, odbijając się na ścianie dwoma wąskimi kreskami.

Świat... ten świat, tam. Trzeba go posprzątać. Oril nie powiedział tego na głos, ale czuł to tak intensywnie jak strach wrogów, z którymi walczył na arenie. Jedynie wyładowanie agresji nie pozwalało mu spłonąć. Właśnie do tego się urodził. Do nieustannej walki. Tropił zło, gdziekolwiek się ukryło. Gdziekolwiek tylko je wyczuł. Tego instynktu nie dało się zmienić czy ukierunkować. Chyba że wytną mu mózg i... serce. Spaci tego nie rozumieli. Chcieli to w nim uspić i wyszkolić Orila, żeby był posłuszną bojową maszyną. Ale on pozostanie sobą. Dokądkolwiek go rzuca. Gdziekolwiek się znajdzie. Dlatego stworzenia jego gatunku nie można utrzymać w ryzach. Rokus zawsze szedł własną drogą.

Układ Słoneczny, Ziemia

Rok 2035 naszej ery

Paryż, XX dzielnica

Gloria „Art” Arciszewska

Przypomniałam sobie pytanie, które Asłan zadał mi w dziapie: „Wiesz, kim są Sprawiedliwi?”. Może i domyślałam się, co miał na myśli. „Les Premiers Justes” to właśnie Pierwsi Sprawiedliwi. Ale on sam? Kim był w tej chwili? I te tatuaże pulsujące na ciele Fista. Nie rozwiązałam zagadki. Nagle uderzył w moje uszy ludzki gwar. Podniosła się niewidzialna kurtyna, oddzielająca nas od tłumu. Ruchy walczących w klatce przyspieszyły. Teraz wyglądali normalnie. Jak ścierający się ze sobą zakontraktowani gladiatorzy.

Fistowi udało się wyswobodzić, zrzucił z siebie Tanka i stanął na nogach. Od razu natarł na przeciwnika jak buldożer. Młócił pięściami, atakował łokciem i kolanem, jakby zapomniał, że każda akcja powinna być przemyślana. Że przeciwnika należy sobie ustawić. Wypracować dogodną pozycję do ataku. Fist mógł jeszcze nie odzyskać pełnej świadomości. Zaryzykował miażdżący atak niczym ranny byk szarżujący na czerwoną płachtę. Popęłnił błąd. Torreador kontroluje zachowanie broczącego krwią zwierzęcia, tak jak kontrolował je Asłan, który zszedł kilka razy na boki. Zrobił unik w dół. A potem wystrzelił.

Padł na podłogę, równocześnie jak akrobata wyrzucając nogę. Ściągnął Fista na dół, wykonując perfekcyjny rzut. Ledwie ryzykant zderzył się z twardym podłożem, a Tank już założył mu dźwignię na rękę. Kamery powiększyły obraz: trzy klepnięcia dłonią. Koniec walki.

Ryk widowni przelał się przez halę jak fala przyboju. Sędzia wszedł do klatki. Fist podniósł się z podłogi. Tank stanął po drugiej stronie arbitra – ich ręce powędrowały w górę.

– Zwycięzca walki: Asłan Zuradow.

– Zbieramy się! – Dżochar przekrzyzczał tłum, pociągając mnie za ramię.

Wydłużałam krok, żeby za nim nadążyć. Szliśmy inną drogą niż poprzednio. Musiał ją sprawdzić wcześniej, gdy zostałam z Asłanem w szatni. Czy rzeczywiście widział to samo co ja? Czerwone kreski zamiast oczu tego dziwnego... czegoś? Nie, to złudzenie, ciemna hala, krąg światła, w którym

walczyli zawodnicy. Przecież krzyczący tłum poniżej powinien zareagować, choćby zmianą nuty, ale z dźwiękiem też coś się stało. I ta pewność Asłana przed walką, że wygra, że nic mu nie grozi. Nie uderzy kręgosłupem w stalowe pręty. Nie grzmotnie czaszką w rusztowanie. Fist nie zmiażdży mu mózgu serią potężnych ciosów. Kiedy zawodnik leżał unieruchomiony, takie uderzenia z góry były bardzo niebezpieczne. Kręgosłup ich nie amortyzował. Głowa odskakiwała i biła potylicą w matę, a w wypadku zakazanych walk – w twardą powierzchnię desek, betonu albo blachy. Tak jak na ulicy, gdzie walczący mógł wyrznąć w murek, kamienną ścianę czy żelazną balustradę. Jak w małym gaju – torze przeszkód w wojsku. Przy zbyt krótkim skoku traciło się na nim zęby. Lidii opowiadał o tym ojciec, który służył w desancie, zanim nie oddelegowano go do innych zadań. To miało coś wspólnego z operacjami specjalnymi, dlatego później z matką zaczęli znikać. Nigdy nie mówili, co wtedy robią. A my z Lidią wiedziałyśmy, że o pewne rzeczy nie należy pytać.

Spodziewałam się, że Dżochar doprowadzi mnie do dżipa. W podziemnym garażu za rogiem niskiej przybudówki stała czarna furgonetka. Wyglądałaby jak karawan, gdyby nie stalowe kraty zasłaniające okna i reflektory. Wóz do tłumienia zamieszek. Dżochar poprowadził mnie wzdłuż betonowej ściany i rozsunął boczne drzwi pojazdu.

– Pakuj się.

Sprawdził ponownie otoczenie, uważnie się rozglądając, i wsiadł za mną. Furgonetka ruszyła.

– A Asłan z Memedem? – spytałam, siadając na wykładzinie pokrywającej tył paki.

– Dołączą.

Dżochar usadowił się tuż przy mnie, nie wypuszczając karabinu z rąk.

Dopiero po chwili uświadomiłam sobie, że zwraca się do mnie po polsku. Co prawda z dziwnym akcentem, ale dało się go zrozumieć. Nie domyślił się wcześniej, że znam język rodziców? Mógł jednak nie wiedzieć tyle, ile Asłan, o mojej rodzinie. Ale nie dosłyszał tych kilku słów, które zamieniłam z Zuradowem w jego obecności? Może też nie zaskoczył, jak ja przed chwilą.

Nagle mignęła mi jego dłoń na tle żółtych cyferek tabletu. Zaczęła nas otaczać jasnoszafirowa połyskująca powłoczka. Wypełniała wnętrze busa.

– To osłona, zagłuszenie – rzucił. – Przez nią nikt nas nie namierzy. Wczytaliśmy ci też zabezpieczenie do komputera. A teraz jedziemy na lotnisko.

Tego akurat nietrudno było się domyślić. Nie zapytałam na które. Zagłuszenie zagłuszeniem, ale, jak to mówią muzułmanie, Allah chroni tych, którzy mu w tym pomagają.

– Dżochar – zaczęłam, korzystając z okazji, że możemy porozmawiać w miarę spokojnie. Przedtem albo gdzieś pędziliśmy, albo co innego absorbowało naszą uwagę. – Powiedz, jak to jest z waszą religią?

– Religia to poważna sprawa.

Usiłował mnie zbyć, lecz się nie dałam.

– Chodzi mi o Asłana. Nigdy nie oddalał się na namaz. I o Memeda.

– Aaa... to inna sprawa – znowu padła lakoniczna odpowiedź.

Przez chwilę jechaliśmy w ciszy, którą zakłócał jedynie rytmiczny, uspokajający dźwięk potężnego silnika Diesla.

– Czy oni wierzą? – wyrwało mi się z głupia frant. Nie tak chciałam poprowadzić tę rozmowę.

– Zależy w co. – Ku mojemu zaskoczeniu Dżochar podjął temat. Może dlatego, że też go to dręczyło. – Oni już zapomnieli – dodał. – Wyparli się Boga. Dawno temu.

– A ty?

– Muzułmaninem jest się w sercu, w duszy. Nie trzeba tego demonstrować, należy przede wszystkim samemu być wiernym zasadom. Tak jak na ścieżkę śmierci wchodzimy samotnie, tak też odpowiadamy za nasze czyny tylko przed Najwyższym. Do spotkania z nim nie trzeba pośredników. A muzułmanin nigdy nie umiera.

To dopiero indywidualista! Islam miał wiele odłamów, a Dżochar akurat tak pojmował religię. Pewnie dla innego muzułmanina brzmiałoby to jak herezja.

– Powiedz mi, co się z nimi stało? Tam, w czasie walki. Czyżbyśmy oboje mieli przywidzenia?

– Nie, to nie były przywidzenia. Oni są dżinami.

Zabrzmiało to jak baśń z *Tysiąca i jednej nocy*, lecz póki Dżochar dał się

ciągnąć za język, łapałam nitkę:

– Uważasz, że są przeklęci? Że dla niego umarli?

– Co najwyżej zesłi ze ścieżki.

– Te nacięcia? – Wskazałam na kolbę broni, którą oparł na kolanie. – Zabijałeś?

– *Gazawat*. – Dostrzegłszy moje zdziwione spojrzenie, wyjaśnił: – To po naszymu „dżihad”.

A jednak... Ten jego barbarzyński kult był jak rak nienawiści pożerający ludzkie serca.

– To nie tak – wyjaśnił, zagłuszając moje myśli. – *Gazawat* trzeba właściwie rozumieć.

Co tu było do zrozumienia? Pewna swego, rzuciłam oskarżycielsko:

– Zabijałeś.

– Tak jak Aślan i Memed. – Spojrzał mi prosto w oczy. – I będziemy to robić nadal. – Wolno cedził słowa. – Taka jest nasza droga. Ale oni nie trafili do raju. Narodzili się ponownie tutaj, na Ziemi. To kara, dlatego stali się dżinami.

Roześmiałabym się mu w twarz, gdyby nie to, czego całkiem niedawno sama byłam świadkiem. I gdyby nie broń w rękach szaleńca wierzącego w opowiadane przez siebie bajki.

– Te nacięcia – podsunął mi kolbę pod nos – nie są efektem polowania na zwykłego złodzieja czy przestępcę. To były grube ryby. Demony zła. Tyle razy zabiłem szatana.

Niebezpieczny świr! Wpadłam w łapy fanatyków. Komu Hanna mnie oddała?

Nagle mną szarpnęło. Samochód gwałtownie skręcił, by za chwilę przyspieszyć, a potem zahamował. No to się zaczęło.

– Co jest?! – krzyknął Dżochar, który mimo ewolucji naszego pojazdu trzymał pewnie broń w dłoniach, dodatkowo jeszcze pilnując, żebym nie wybiła sobie zębów o wystającą lufę.

Usłyszałam trzy szybkie puknięcia w przegrodę dzielącą nas od szoferki.

– Mówią: OK. Pewnie coś im nagle wyjechało przed maskę. Ale jesteśmy

już niedaleko.

Położyłam się na wykładzinie. Teraz przynajmniej byłam pewna, że nie wyrnę głową w blaszaną ścianę. Szafirowa otoczka, żółte cyfry, miałam wrażenie, że przeniosłam się do nierealnego świata. I tak też było od chwili, kiedy zostaliśmy zaatakowani z Aślanem w metrze. A może zaczęło się to już wtedy, gdy podszedł do mnie na szkolnym boisku?

Jak sobie poradzę w polskim liceum? Jacy będą moi nowi koledzy? Może znajdę tam przyjaciółkę? Zawsze brakowało mi bratniej duszy, dlatego tak szybko przyłgnęłam do dorosłego mężczyzny, który nie bardzo pasował do miejsca, w jakim się znalazł, i na początku budził we mnie nieśmiałość. Koleżanki zerkały na niego znacząco, robiąc głupie miny, a potem obgadywały go w toalecie, gdzie paliły papierosy. Mnie jakoś do używek nie ciągnęło. Tym bardziej od momentu, kiedy zaproszona przez Aśłana przyszedłam na trening do „Roks Boks”. Ale potem posypały się złośliwe komentarze. Smarkule mi zazdrościły, bo same zadawały się z głupawymi małolatami.

Furgonetka zwolniła, pokonała kilka zakrętów, zahamowała, znowu ruszyła, wreszcie na dobre się zatrzymała.

– Poczekaj tu – polecił Dżochar i rozsunął drzwi na tyle, by móc się przez nie precyzyjnie, a potem szybko zamknął je za sobą. Szafirowa mgiełka zniknęła, otoczył mnie półmrok. Przyłożyłam policzek do zimnej blachy drzwi i zaczęłam nasłuchiwać.

Odgłos pracującego silnika, chrapliwe, podniesione głosy, po chwili jakiś dźwięk przypominający trzaśnięcie. Koła buksujące po... żwirze, drobnych kamieniach? Gdzie mnie zawieźli? Co to za ludzie, tam na zewnątrz?

Musiałam się uzbroić w cierpliwość, w końcu przestałam zwracać uwagę na odgłosy zza drzwi i sięgnęłam do plecaka. Namacałam palcami giętą płytkę. A co tam, skoro, jak mówił Dżochar, mój tablet ma zabezpieczenia, nic się nie stanie, gdy go wyciągnę i włączę, przynajmniej ekran rozświetli mrok. Nie zdążyłam tego zrobić. Odgłos gwałtownie rozsuniętych drzwi sprawił, że żołądek skoczył mi gardła.

Spodziewałam się najgorszego.

Na tle wieczornego nieba pojawiła się dobrze mi znajoma uśmiechnięta twarz.

– Ale cię wystraszyłem – wyszczerzył zęby Igor. – Przesiadka, mała.

Zasunęłam zamek plecaka, zarzuciłam go na ramię i wyskoczyłam z furgonetki. Rozejrzałam się. Przestało padać, lecz to było nieistotne. Samochód stał pod dużą wiatą, pod którą kryło się kilka innych pojazdów. Dwa z nich przypominały wraki wyciągnięte w ostatniej chwili spod zgniatarki. Kawałek dalej rosły gęste krzaki i wysokie drzewa, między ich koronami wędrował dostojnie księżyc w pełni, obojętny na nasze ziemskie sprawy.

– A gdzie reszta? – spytałam.

– Spotkamy się na lotnisku, a w zasadzie to w samolocie.

Ładnie mnie chronią, pomyślałam. Igor nie wyglądał jak bojownik obwieszony bronią i dodatkowymi magazynkami. Nie przypominał też ochroniarza z kaburą ukrytą pod pachą, tylko turystę na wakacjach. Miał granatową czapkę z daszkiem, lekką sportową kurtkę, niewielką podłużną torbę, wygodne dżinsy i adidasy, a do tego futerał przewieszony przez ramię. Musiałam zrobić wyjątkowo głupią minę, bo zareagował:

– A co? Za tę harówkę z Asłanem należą mi się wakacje. Lecimy razem.

– Nie wiem, czy się orientujesz, ale Polska to dziki i zimny kraj.

– Lubię turystykę ekstremalną.

O tak! Bez wątpienia, inaczej nie przyjechałby do Paryża, nie włóczyłby się po Marsylii, nie wyjeżdżał do Gujany, nie szwendał się po Dalekim Wschodzie, nie odmrażał sobie uszu na Alasce i w Norwegii. Igor zdążył mi się już pochwalić, gdzie jeździł razem ze swoimi starymi. Jego dziadek był Rosjaninem, którzy walczył w Afganistanie, a potem służył w Legii Cudzoziemskiej. Ojciec, Oleg, też nie okazał się spokojnym duchem i poszedł w ślady rodzica. Po służbie w Legii pracował w prywatnej firmie wojskowej Black Falcons. Igor z matką Anną, która była Polką, trzymali się blisko Olega, na ile tylko pozwalały względy bezpieczeństwa. Stąd te dalekie podróże.

Nie ma co, miałam ciekawych znajomych.

– Proszę. – Otworzył drzwi szarego sedana z przyciemnianymi szybami. Pojazdy zasłaniało zadaszenie, zarośnięta alejka prowadząca do wiaty też nie ułatwiała obserwacji z góry. Klapnęłam na fotel pasażera. Igor obszedł samochód i usiadł za kierownicą. Odpalił silnik i powoli ruszył, równocześnie

majstrując przy desce rozdzielczej.

– Zagłuszenie? – spytałam.

– Coś jakby. Czeczeni mają na tym punkcie świra. Wszędzie widzą agentów FSB.

– Syndrom ducha Banka? – rzuciłam tekstem z popularnego w latach dziewięćdziesiątych polskiego filmu.

– He, he, też oglądałem *Kilera*. Matka ma całkiem spore archiwum. Potem już nie mieliście dobrej komedii. A...! *Miś* był jeszcze lepszy, ale to już naprawdę starość.

„Mieliście”? Przecież w nim płynie polska krew. No ale z Igorem przynajmniej nie było takiego problemu jak z Czeczenami. Mogłam z nim pogadać otwarcie o wielu sprawach, traktowanych przez nich jak tabu, szczególnie tych damsko-męskich.

Wyjechaliśmy z alejki, po obu stronach drogi stały rozpadające się niskie domy otulone ciemnymi szpalerami krzewów. Przedmieścia. Czyżbyśmy jechali na Orly? To lotnisko na południu Paryża było obecnie w stanie rozpadu. Cięcia publicznych wydatków. Większość środków pochłaniało odnowienie gigantycznego Charles de Gaulle.

– Igor... – zaczęłam. Za chwilę będziemy na miejscu i stracę okazję, żeby swobodnie z nim porozmawiać. – Nie wiem, co z Aślanem. Bo widzisz, ja nigdy nie miałam chłopaka.

– Z nikim nie chodziłaś? – wyraził zdziwienie.

– Nie o to chodzi – wyrzuciłam w pośpiechu, nie chcąc wyjść na aż tak nieatrakcyjną.

– A... cnotka.

No to palnęłam! A Igor jeszcze spojrzął w przednie lusterko. Poczułam, jak ciepło rozlewa się po mojej twarzy, dochodząc aż do czubka nosa.

– Hmmm... patrząc na twoje koleżanki, to całkiem niezły rekord.

Policzki zapłonęły mi tak mocno, jakby kat wypalił na nich piętno, przykładając rozgrzane do czerwoności żelazo. Przeszłam do ataku jako najskuteczniejszej metody obrony:

– A skąd ty to wiesz?!

– W Paryżu nie trafiłem na dziewicę w twoim wieku, chyba że muzułmankę.
– Zignorował mój napastliwy ton. – Ale gdybym dotknął muzułmańską dziewczynę choćby palcem, miałbym na karku jej mocno wkurzonych braci.

– No właśnie. Chodzi o Asłana. Mam już tego dosyć! On widzi we mnie tylko zasmarowaną małodatę! Jestem taka... – Zamilkłam. Mało brakowało, a bym się rozbeczała. Pociągnęłam nosem i wreszcie wydusiłam: – ... Aseksualna.

– Robi uniki – skomentował, ściągając czapkę. Wcisnął ją między siedzenia i rzucił okiem na prędkościomierz. – Mamy jeszcze trochę czasu – oznajmił w końcu. – Na chwilę się zatrzymamy, a przy okazji sprawdzę, czy nie przykleił nam się ogon.

Skręcił w boczną uliczkę, zjechał na pobocze i zaparkował samochód w cieniu dużego rozłożystego drzewa. Odwrócił się w moją stronę. Nie wyłączył silnika, jego równomierna praca uspokajała mnie. Mocno już zmierzchało, gdyby nie lampa po drugiej stronie ulicy, widziałabym tylko ciemną plamę w miejscu głowy Igora. Zamiast tego patrzyłam w jego ciemnoszafirowe teraz oczy. Kryły się w nich iskierki rozbawienia.

– Mówił mi o Jasminie.

– A niech to... – zmełł w ustach przekleństwo. Jego nastrój raptownie się zmienił, spojrzenie spoważniało. – Myślałem, że mu przejdzie, kiedy przyprowadził cię na trening. Myślałem, że przejdzie, gdy wcześniej poznawał inne dziewczyny. Starsze. Nawet sam mu je podsuwałem. Co więcej, próbowałem swatać z muzułmankami przez ich braci. Myślałem, że w tym rzecz. Religii, obyczaju...

– Dżochar mówił, że on nie wierzy w Boga. Wyparł się go.

– Teraz już to wiem. Znam historię jego i Jasminy.

– Mówi ci takie rzeczy?

Poczułam ukłucie zazdrości.

– Wiesz, spędziliśmy z Asłanem długie godziny na treningach, i to nie tylko w „Roks Boks”, nie tylko w Paryżu, również w górach na południu. Razem chodzimy do knajpy...

– On nie pije.

– Za to robi inne rzeczy. – Nie zdążył się ugryźć w język. – Mniejsza z tym!

– Machnął ręką. – Skoro wspomniał o Jasminie, radzę ci, żebyś przestała do niego wzdychać.

– Ja nie wzdycham! – zaprotestowałam. Chyba zbyt gwałtownie, bo Igor się uśmiechnął. – Chcę tylko, tylko... żeby traktował mnie jak kobietę, a nie namolną gówniarę.

– Chcesz po prostu zobaczyć, jak to jest. To ciekawość, Gloria, jak picie czy palenie. Też przez to przechodziłem, tyle że dużo, dużo wcześniej.

Nadal płonęły mi policzki. Choinka, Igor miał rację. Zakazany owoc lepiej smakuje. Palić mogłam z koleżankami na przerwie w toalecie. Pić do woli na prywatkach, kiedy starzy znajomych, nieświadomi, co wyprawiają ich pociechy, zostawiali im wolną chatę. Ale mieć faceta to zdecydowanie bardziej skomplikowane. Nie ufałam rówieśnikom. Nie chciałam być obiektem do zaliczenia. Rozprawiczoną szarą myszą, z której potem naśmiewaliby się po kątach. Asłan to co innego, jemu mogłam zaufać.

– Masz jeszcze mnie w rezerwie. – Igor doskonale wiedział, jakie myśli chodzą mi po głowie. – Dyskrecja zapewniona i gwarantuję pełne bezpieczeństwo.

– A gdzie tu jest miejsce na miłość?!

Jak on sobie to wyobraża? Tak bez uczucia?

– Możesz powiedzieć, że kochasz Asłana?

– No... n-nie... – zaczęłam się jąkać.

– Sama widzisz. To zauroczenie. Duży, opiekuńczy facet u boku. Nic dziwnego, że o nim myślisz... hmm, w łóżku. Nie przejmuj się tym tak bardzo, to całkiem normalny objaw. My też mamy fantazje o znajomych kobietach. A ja ci się nie podobam? – zaskoczył mnie nagłym pytaniem.

– Owszem, podobasz. – Zmieszałam się, ale nie zamierzałam go okłamywać. – I lubię cię, nawet bardzo. W końcu, kiedy trzeba – zdobyłam się na żart – przynosisz mi smaczne, pożywne kanapki.

– To w czym problem? – Roześmiał się. – Droga pusta, możemy jechać.

Nie tego się spodziewałam, nie takiego zakończenia naszej rozmowy.

Ruszył wolno, ale przyspieszył, kiedy wyjechaliśmy z uliczki. Nie dostrzegłam żadnych samochodów ani w lusterkach, ani z przodu. Gdyby ktoś

chciał nas śledzić, nie udałooby mu się schować za przejeżdżającymi pojazdami.

– Jak będziesz miała potrzebę – Igor doprowadzał sprawy do końca – wystarczy wyciągnąć rękę. Przynajmniej zadba o ciebie fachowiec, bo wiesz, z twoimi kolegami ze szkoły...

– Nie chcę być jedną z wielu.

Dla niego to takie łatwe! Fantazje, niezobowiązujący seks. Widocznie z facetami tak już jest. Ale nie z Asłanem. On potrafi być wierny.

– Gloria – nie zraził się odmową – to nie ślub do grobowej deski. Potraktuj to na luzie, jak przyjacielską przysługę. A teraz, na lotnisko.

Jak łatwo zmienił temat!

– Tylko niczemu się nie dziw. – Z powrotem nałożył czapkę. – Asłan i jego wierne cyngle przygotowali nam kilka niespodzianek.

Rozdział 7

Przykrywka

Nie podjechaliśmy pod sam terminal pasażerski. Igor zatrzymał samochód jakieś sto metrów od przystanku autobusowego, z którego można było dojechać do stacji rerki[2]. Autobus odjeżdżał regularnie co piętnaście, dwadzieścia minut. Port lotniczy Orly miał przyzwoite połączenie z centrum Paryża, wystarczyło pół godziny, pod warunkiem że nie zamknięto stacji metra. Tak bywało, gdy zamieszki przeniosły się tu z północnych dzielnic miasta. Wtedy trzeba było krążyć i przeciskać się przez tłum zdenerwowanych pechowców, którzy utkwili w podziemiach.

– Wsiadamy – zarządził Igor głębokim basem.

– Podłączyłeś się do tasa? – spytałam, gramoląc się z siedzenia.

Nie odpowiedział, tylko skinął głową i klepnął palcem w przycisk, akceptując trasę na wysuwanej konsoli, na której pojawiła się mapa okolicy z połyskującymi złotymi i czerwonymi punkcikami.

– Nic tu po nas. – Wsiadł i zatrzasnął drzwi samochodu. Przez przyciemnianą szybę zobaczyłam, jak energicznym ruchem zarzuca torbę na ramię.

Zrobiłam to samo, rozprostowując kości. Szary sedan odjechał bez kierowcy. Podejrzewałam, że Igor wcale nie uruchomił automatycznego pilota i ktoś zdalnie prowadził pojazd. Nie miałam jednak czasu, żeby zastanowić się nad kwestią: kto, po co, dlaczego i tak dalej. Igor, wysoki postawny blondyn, jak Aślan robił wielkie kroki. Musiałam mocno wyciągać nogi, by za nim nadążyć. Całe szczęście, że nie niosłam ciężkiego pakunku, tylko niewielki plecak, bo mocno bym się zadyszała.

Nasza rozmowa na poboczu chyba trwała za długo. Zniecierpliwiony przeniósł wzrok na nadgarstek, aby sprawdzić godzinę – akurat w chwili, gdy drogę zastąpili nam antyterrorysty. Dwóch potężnych typów w czarnych wdziankach z giwerami w dłoniach i paralizatorami przy pasach. Karnie

otworzyliśmy z Igorem bagaże. Zamaskowany dryblas z przodu (ten drugi go ubezpieczał) nie poprzestał na zajrzeniu do wnętrza. Przejechał skanerem po moim plecaku, torbie i futerał Igora, nie omieszkał też zerknąć na obraz naszych postaci, który pojawił się na płaskim czytniku urządzenia. Podejrzewałam, że wcześniej sprawdzili kod TASR odjeżdżającego sedana.

Najwyraźniej coś im się nie spodobało.

Spoglądając zza przyciemnianych gogli, przeszukujący nas osobnik jeszcze polecił Igorowi otworzyć futerał i bacznie go przejrzał, po czym dał znać skinieniem dłoni, że możemy się oddalić. Antyterrorysty nie pozwolili mi zapomnieć, że faktycznie w departamencie obowiązuje stan wojenny, a połowa dzielnic Paryża jest zdewastowana przez różnej maści gangi, bandy bezrobotnych imigrantów i grupy ekstremistów podkładających bomby. Gdybyśmy szli do hali odlotów w towarzystwie Czeczenów, nie obyłoby się bez okazania dokumentów i wysłania informacji do DGSE[3] i DGSI[4].

Mój towarzysz cały czas był oazą spokoju. Kiedy dotarliśmy do budynku lotniska, pchnął oszklone drzwi i przepuścił mnie przodem. Ochrona nie sprawdziła nas przy wejściu. Antyterrorysta musiał oznaczyć bagaże skanerem albo po prostu obstawiający hall dojrzeli przez szybę, że zostaliśmy już wstępnie przeszukani. Wstępnie, bo czekała nas jeszcze standardowa procedura – przejście przez kontrolę bezpieczeństwa.

– A teraz do odprawy – mruknął Igor.

Pomyślałam, że spieszy się, byśmy dołączyli do Czeczenów. Nigdzie nie mogłam ich dostrzec, ale byłam pewna, że dyskretnie nas obserwują. Ja jednak miałam palącą potrzebę.

– Chcę najpierw do toalety – jęknęłam.

– Nie teraz. Odlot za niecałą godzinę.

Na tablicy odlotów ujrzałam napis „Cracovie”, numer rejsu i stanowiska check-in: od 5 do 8. Rzeczywiście nie zostało nam dużo czasu.

Podeszliśmy do stanowiska numer 7, przy którym stała tylko jedna osoba. Nie musieliśmy długo czekać na swoją kolej. Igor sięgnął do futerału i wyciągnął z niego podłużne kartoniki z rysunkiem pomarańczowego samolotu na niebieskim tle i napisem „Trans-air”. Ubrana w granatowy uniform czarnoskóra kobieta położyła je na przezroczystej przyciemnionej płycie

i odebrała nasze dokumenty osobiste.

– *Mademoiselle* jest niepełnoletnia – oznajmiła, zerkając na dane, które wyświetliły się na płycie. – Ma pan oświadczenie od prawnych opiekunów?

A niech to, babka pomyślała, że Igor może być porywaczem.

– Proszę bardzo. – Wyciągnął ze swojego tajemniczego futerału plastik z chipem oznaczony godłem merostwa Boulogne-Billancourt. – Myślałem, że macie je odnotowane w systemie.

Choinka, kiedy Hanna zdążyła to załatwić? Musiała wiedzieć, że to nie Aślan stawi się ze mną do odprawy na lotnisku. W czasie walki w klatce mogły się wydarzyć różne rzeczy, a widocznie według niej Igor najlepiej się nadawał na opiekuna nastolatki. Oj, jak bardzo się myliła! Gdyby wiedziała, co mi zaproponował! Lecz to by znaczyło, że on też był w spisku, i to od dawna.

– Wszystko się zgadza. – Kobieta posłała mojemu blondasowi promienny uśmiech. – Merostwo najwyraźniej jeszcze nie wysłało danych do systemu, ale wystarczyło, że odświeżyłam ich bazę.

Czyżby to nie był przypadek? I te niebieskie kartoniki z kodami, tak małe, że można je ukryć w męskiej dłoni.

– Zaraz uaktualnię karty pokładowe. Proszę położyć bagaże na wadze.

– Mamy tylko podręczny.

Może o to chodziło? O podręczny bagaż? Dla kobiety było podejrzane, że nie lecę z Paryża obładowana toną modnych ciuszków.

Pierwsza położyłam plecak na wadze. Cyferki w słomkowej barwie pokazały trzy i pół kilo. Za to torba Igora o kilkaset gramów przekraczała limit pięciu kilo.

– To przez prezent. – Uśmiech mężczyzny rozpuściłby lodowiec Austfonna.
– Mogę przepakować do plecaka mojej przyjaciółki.

– Nie ma potrzeby. – Kobieta oznaczyła bagaże magnetycznymi zatraskami.
– *Bon voyage* – wyrecytowała z oficjalnym uśmiechem, wręczając nam karty pokładowe.

Do strefy kontroli bezpieczeństwa rzuciłam się biegiem, pęcherz cisnął jak diabli. Zaraz się posikam! Nerwowym ruchem rozsunałam zamek plecaka

i prawie rzuciłam tablet do plastikowego koszyka. Co jeszcze? Co mam metalowego? Kątem oka zauważyłam, że Igor nie został z tyłu. W swoim koszyku zdążył umieścić futerał i właśnie ściągał kurtkę. Opróżniłam kieszenie, kilka drobnych monet, klucze, które na dobrą sprawę mogłam zostawić w Boulogne, bo już się nie przydadzą. Plecak na taśmę, kurtka z grzbietu i do koszyka, salomony z nóg, przejście przez bramkę. Buty z powrotem na stopy. Reszta betów w łapę. Nareszcie mogłam pędzić do toalety. Zbawienne kóleczo i trójkącik majaczyły w oddali. Były coraz bliżej.

Nagle ktoś pociągnął za pasek mojego plecaka. Igor gwałtownie mnie zawrócił – jakby pilnował niesfornego dziecka, które chciało dać drapak – i zdecydowanym ruchem pchnął w stronę przeszklonej witryny perfumerii Rose Madlen. Teraz już całkiem zgłupiałam. Z wrażenia mój pęcherz uniósł się ku płucom. Jaka ulga! Szkoda, że tylko na moment. Fizjologia rychło upomni się o swoje.

Igor podszedł do lady, ściągnął czapkę z głowy (który to już raz?) i wcisnął do bocznej kieszeni torby. Z zakładki w futerał wydobyl kawałek białego plastiku z różowym kwiatowym wzorem. Kiedy położył go na blacie, ekspedientka sięgnęła po płytkę i umieściła w czytniku. Po chwili na jego gładkiej powierzchni pojawiły się srebrzyste cyferki i duże liliowe litery.

– Gratuluję. – Kobieta posyłała Igorowi promienny uśmiech. – Wygrał pan zestaw kosmetyków firmy Lancôme.

No nie, oni sobie żartowali! Byłam tak zaskoczona, że odechciało mi się nawet siku.

– Zapakować na prezent? Mam ładny, elegancki papier czerpany – kontynuowała, nadal szczerząc zęby do mojego kumpla. Stara ruda krowa musiała mieć już ze trzydziestkę na karku.

– Bardzo proszę, kuzynka się ucieszy.

Mówiąc to, Igor lekko musnął jej smukłą wypielęgnowaną dłoń. Nie cofnęła ręki i jeszcze pochyliła się ku niemu, prezentując głęboki dekolt. Bezczelnie kobietę przy mnie podrywał, a ona nie pozostała mu dłużna. Rozchyliła pełne usta, lepiające się od karminowej szminki, i zamrugła rzęsami grubo pociągniętymi grafitowym tuszem. Mało brakowało, żeby krygująca się idiotka wcisnęła samcowi alfa swój numer telefonu w zęby.

Stop! Chyba zgłupiałam. Czyżbym po niezobowiązującej propozycji Igora stała się o niego zazdrosna? Zobaczyłam w nim przystojnego faceta, którego właśnie podbiera bardziej obeznana w tych sprawach konkurencja. E, tam! Miałam traktować poważnie takie przedpotopowe próchno, jeszcze z toną tapety na twarzy maskującą zmarszczki?

– Znajomy coś dla mnie zostawił. Jestem Dimitr.

– Wszystko się zgadza. – Kobieta sięgnęła do szafki, po czym położyła na blacie nieduży pakunek. – Prezent dla pana matki. Jest i potwierdzenie zakupu.

Znowu zonk. Dotarło do mnie, że nic tutaj nie dzieje się przypadkiem. Nawet ściągnięta przez Igora czapka ze złotym znaczkiem Race Team. I te niebieskie karteczki! Już wiedziałam, jak trafiły do futerału. Antyterrorysta sprawdzający nasze bagaże dyskretnie je tam umieścił – mignął mi wtedy niebieski kolor między jego palcami.

Ekspedientka zabezpieczyła zapakowane prezenty specjalną folią z plombą niewidzialną gołym okiem. Igor schował pudełeczka do torby. Następne kilkaset gramów ponad limit.

Ucisk pełnego pęcherza. Sprint do toalety. Jeszcze tylko chwila. Kiedy wyszliśmy z perfumerii, rzuciłam się w stronę połyskującego na żółto kółeczka. Tym razem Igor nie zdążył złapać mnie za plecak.

Gdy wyszłam z toalety, Igor stał przy drzwiach. Nie czekałam na wypominki. Zastosowałam sprawdzoną strategię. Atak.

– Czy ty musisz je wszystkie czarować? Żadnej babie nie przepuścisz?

– To tylko uprzejmość.

Wzruszył ramionami i pokierował mnie do poczekalni.

– Jasne – bąknęłam, błędząc wzrokiem od ściany do ściany w poszukiwaniu Ašana i reszty Czeczenów. W poczekalni też ich nie było. Czyżbym leciała tylko z Igorem?

– Co na to poradzę, że jestem taki przystojny?

Klapnął na siedzenie, położył na drugim torbę i lekko zmierzwił dłonią swoją blond czuprynę, strzelając w moją stronę błękitnymi oczami. Skromnością to on nie grzeszy. Wabi Francuzki łobuzerskim uśmiechem i ciałem sportowca, robiąc wrażenie nawet w mało atrakcyjnym przebraniu

w typie „nierozgarnięty turysta”.

– A gdzie reszta? – spytałam.

Cyferki naprzeciwko informowały, że do wejścia na pokład samolotu pozostało dziesięć minut. Może nie natknęliśmy się na Czeczenów, bo poszli do odprawy poza strefą Schengen i wejną inną bramką? Mogli też przejść przez kontrolę, kiedy byłam w toalecie.

Igor się uśmiechnął, skazując mnie na domysły. Co jest grane?! Musiałam uzbroić się w cierpliwość. Dyskretnie obserwowałam resztę podróżnych. Nikt jakoś specjalnie nie wyróżniał się ubiorem ani zachowaniem. A może celowo starali się nie zwracać na siebie uwagi? Tak jak ja z Igorem. Mieliśmy dobry punkt obserwacyjny na górnym poziomie hali odlotów. Przez rozległą panoramiczną szybę widzieliśmy lądujące samoloty. Światła pozycyjne połyskiwały na tle wieczornego nieba. Ciekawe, która to nasza maszyna?

Mężczyzna nadal nic nie mówił. Ożywił się dopiero, kiedy obsługa przystąpiła do sprawdzania kart pokładowych.

– Idziemy – rzucił i poderwał się z siedzenia.

Okazaliśmy karty, zeszliśmy po wewnętrznych schodach na parter i wyszliśmy bezpośrednio na płytę lotniska przez rozsuwane szklane drzwi. Wsiadliśmy do podstawionego autobusu napędzanego energią słoneczną. Było w nim coraz tłoczniej, lecz nadal nie widziałam Czeczenów. Może zabrali się wcześniejszym autobusem, podstawionym bezpośrednio do poczekalni na parterze?

Podjechaliśmy do pękatego kadłuba samolotu z pomarańczowym napisem „Trans-air” na boku i zaczęliśmy się wysypywać z wnętrza pojazdu. Rzuciłam okiem na Igora, jeden raz, drugi. Albo mi się zdawało, albo rzeczywiście bacznie lustrował oblicza przechodzących obok nas dwóch smukłych, niewysokich brunetów. Szybko przesunął wzrok na dostawiane schody, wyrastające przed autobusem. Wsiadliśmy jako ostatni. Czyżby to też nie był przypadek? Czy Igor chciał się przyjrzeć każdemu pasażerowi, nie pomijając spóźnialskich?

Kiedy weszliśmy na pokład samolotu, prawie wszystkie siedzenia były zajęte. Nasze znajdowały się dwa rzędy za skrzydłami. Zanim Igor wsadził bagaże na półkę nad nami, wyciągnął ze swojej torby kilka fantów i wsadził do lekkiego poręcznego pokrowca, który mógł wszędzie wcisnąć. Zostawił

przy sobie też futerał. W tym czasie skorzystałam z okazji i gdy tylko precyzyjnie się na miejsce przy oknie, zaczęłam się przyglądać pasażerom. Moją uwagę zwrócił siedzący po drugiej stronie elegancki mężczyzna o kruczoczarnych włosach, w okularach przeciwsłonecznych i ciemnoszarym dopasowanym garniturze na dobrze zbudowanym torsie. Skądś znałam tę przystojną twarz, tylko...

– *Merde!* – zaklęłam pod nosem, rozpoznając w nieznanym Asłana.

Wyglądał jak menadżer wyższego szczebla, który tutaj nie pasował, ale w tanich liniach nie było klasy biznes. Kompletnie nie zwrócił na mnie uwagi, zasłonił się olbrzymią płachtą „The Wall Street Journal”. Tradycjonalista, jego... Brak mu tylko platynowego rolexa.

Odwrociłam się, żeby sprawdzić tył samolotu. Nauczona doświadczeniem wątpiłam, aby nastąpił już koniec niespodzianek. I rzeczywiście, znalazłam się w gabinecie figur woskowych! Po prawej zapinał pasy siwowłosa El Máximo Lider Fidel Castro. Po lewej w krzykliwej pstrokatej koszulce straszył duch Comandante Che Guevary. Nie ma co, Czeczeni mieli fantazję. Oto kubańscy rewolucjoniści na wakacjach, zmuszeni zostawić karabiny na wyspie pachnącej wybornymi cygarami, zwijanymi na jędrnych udach czarnookich kobiet. I ucywilizowany arabski biznesmen, który finansował i zlecał zamachy, ale już nie nadstawiał tyłka, biorąc w nich czynny udział.

Niewysocy mężczyźni, którym przyglądał się Igor, usiedli kilka rzędów od nas. Zauważyłam oznaki zdenerwowania w ich zachowaniu. Strzelali na boki rozbieganym wzrokiem do chwili, kiedy dwie inne osoby zajęły miejsca obok nich. Ciemnowłosa smagły mężczyzna o szurzej twarzy i młoda kobieta o bliskowschodnim typie urody. Arabka albo Żydówka, a może Greczynka? Jej ubiór i fryzura nie wskazywały na jakiś określony krąg kulturowy. Zwykła szara garsonka z długą spódnicą, biała bluzka i ciemne jedwabiste włosy upięte na czubku głowy. Reszta podróżnych wyglądała mi na Polaków, wszędzie rozbrzmiewał język moich rodziców. Usiadłam, mieliśmy komplet. Stewardesy przestały pouczać pasażerów, gdzie powinni umieścić bagaż podręczny, i po komunikacie o zapięciu pasów sprawdzały, czy aby ktoś tej istotnej czynności nie pominął.

Samolot rozpoczął kołowanie.

Rzuciłam okiem na Igora. Musiał wcześniej zauważyć, że zlokalizowałam

resztę moich ochroniarzy. Uśmiechnął się, zaglądając mi w oczy, i uspokajająco pogładził po dłoni. Podobał mi się ten uśmiech, był tylko dla mnie. On cały mi się podobał. Wulkan pozytywnej energii! I wystarczyło, żebym wysunęła rękę, a byłby mój. Ale zakazany owoc lepiej smakuje. Nie mogłam się powstrzymać i zerknęłam w bok. Aslan w końcu odłożył tę cholerną gazetę, za to ponownie się schował za przyciemnianymi szklami. Musiał ściągnąć okulary, kiedy czytał, a raczej udawał, że to robi. Wątpiłam, aby interesowały go spadające stopy procentowe, pikujące kursy akcji i zwyżkujące ceny złota.

Cała ekipa bez problemu przeszła przez strefę kontroli. Jeszcze dwie godziny i wylądujemy na lotnisku w Balicach. Tylko dwie godziny, ale dla mnie było to dziesięć długich lat. Wracałam do domu niczym Odyseusz po wojnie trojańskiej na Itakę. Polska była jak wyspa, a kilka razy zawieszany układ z Schengen, jak wierna żona, pozostałością starych czasów.

Coś mi się w tej idylli epickiego powrotu nie podobało. Taka zmasowana operacja, ukrywanie się, kluczenie, likwidacja świadków, bieganie z bronią i dodatkowymi magazynkami w kieszeniach, przesiadka, podmianka ochroniarza, programy do zagłuszania. Dyskretne przekazanie przez antyterrorystę Igorowi kodów przed wejściem do terminala. Brak uaktualnionych danych przez merostwo. „Prezent dla matki” czekający na „Dymitra” w perfumerii. Fantazyjne przykrywki moich towarzyszy podróży. A teraz już tylko spokojny lot?

Rozdział 8

Hardkor

Tanie linie lotnicze nie gwarantowały ciepłego posiłku podczas lotu, w samolocie panowała drożyzna (przewoźnik odbijał sobie niskie ceny biletów), a ja miałam pustki w kieszeni i ani jednego eurofranka na rachunku karty. Ale przecież faceci szybciej odczują głód. Nie myliłam się, Asłan zamówił kanapkę, którą właśnie wcinał. Biznesmena powinno być na to stać, liczących dewizy kubańskich turystów już nie bardzo. Nie traciłam wiary w dziecko ruskiego oligarchy i nie zawiodłam się na Igorze. Zadbął nie tylko o siebie, kupił nam kanapki z tuńczykiem oraz napoje. I jak tu nie lubić tego uroczego przystojniaka?

Sandwicz okazał się nawet smaczny, popijałam nieduże kęsy sokiem pomarańczowym, z nudów obserwując stewardesę roznoszącą gorącą kawę, czekoladę i herbatę. Babka wyglądała na niewiele starszą ode mnie – zgrabna Azjatka z krótką grzywką, gustowną szmaragdową apaszką i z obowiązkowym zawodowym uśmiechem na twarzy. Igor nie byłby sobą, gdyby jej nie czarował za każdym razem, kiedy obok nas przechodziła. Stewardesa nie pozostała mu dłużna i też na niego zerkała. Założę się o cały wakacyjny zarobek, że obgadywała blond ciacho z koleżanką na swoim stanowisku z tyłu kabiny, a Igor przy najbliższej okazji wciśnie ślicznotce gadkę, że jestem jego siostrą. Dziwne, że jeszcze tego nie zrobił.

Asłan nadal udawał, że nas nie zna, i przyczaił się za rozłożoną gazetą. Chyba specjalnie kupił ją do samolotu po to, aby się czymś zakryć – przecież mógł zabrać tablet z kilkoma pismami ściągniętym online na lotnisku. Poprosiłam Igora, żeby podał mi plecak z półki, i wyciągnęłam z niego tablet. Nie miałam nic innego do roboty. Nudne widoki oświetlonego płaskiego terenu i hal przemysłowych zastąpiły atramentowe obłoki. Przypominały chmury wyplute przez ławicę przestraszonych kalmarów, olbrzymich ośmiornic, które przez pomyłkę pochwytyły samolot w lepkie macki i ściągały w zabójczy wir czasoprzestrzeni, w głąb wrogiego wszechświata, w lodowatą

kosmiczną pustkę.

Cięcie. Zastłoniłam okno.

Trochę mnie to wyciszyło. Poprawiło podły nastrój, obdarzając chwilą upragnionego spokoju. Zaczęłam przeglądać stare rysunki z nadzieją, że wpadnie mi do głowy pomysł na fajną kompozycję. Igor grzebał w pokrowcu, do którego wcześniej wepchnął swój uniwersalny futerał – kuferek „wszystko we mnie jest”.

Mogłam zabijać czas, poświęcając się pracy twórczej. Wysunęłam z tabletu planszę do rysowania i elektroniczny rysik na silnym neodymowym magnesie. Dzięki niemu nie gubiłam notorycznie tego drobnego szpeju. Moje roztargnienie drażniło Hannę, która ciągle sprawdzała, czy czegoś nie zapomniałam. Wziąć śniadania do szkoły, wyłączyć kuchenki. Czy nie zostawiłam plecaka w przebieralni, portfela w kawiarni.

Już po kilku kreskach moją ręką zaczęła kierować muza absolutu. Z czerni planszy wyłaniała się intrygująca postać. Musnęłam rysikiem paletę barw, potem rysunek. Zamrugałam ze zdziwienia. Zza prętami klatki czaił się opancerzony drapieżca i wbijał we mnie szkarłatne ślepie. Nie, niemożliwe! To był Asłan w czasie walki z Fistem. Obraz zmieniał się w zależności od kąta, w jaki patrzyłam na opalizującą planszę.

Bez jaj! Przecież korzystałam ze zwykłego programu do obróbki grafiki. Ktoś bez mojej wiedzy używał tabletu i zostawił niespodziankę na dysku. Przypomniałam sobie, że to właśnie Asłan coś do niego wczytywał. Zanim sprawdziłam ostatnio dodane programy, rysunek zniknął.

Tablet pokrywała warstwa lepkiej pary o sinej barwie. Nerwowo przetrąłam powieki.

Ta para była... wszędzie!

W moje uszy nagle uderzyły wysokie vibracje. Czerwone oczy zmaterializowały się, przesywając mgłą niczym promienie lasera. Widziałam wszystko jak na zwolnionym filmie. Igor siedział wprasowany w oparcie fotela z rękami za głową. Do naszego rzędu podchodziła stewardesa w szmaragdowej apaszcze. Coś czarnego wbijało się przestraszonej kobiecie w szyję. Prowadził ją przed sobą mężczyzna o szczurzej twarzy, który wrzeszczał chrapliwie. Chyba... na mnie...? „Ręce!”, czy jakoś tak. Jednocześnie celował Igorowi w głowę dziwnym obłym przedmiotem.

W głębi wciąż jarzyły się ślepią opancerzonego stwora. Jakbyśmy znajdowali się w dwóch nachodzących na siebie rzeczywistościach.

Podniosłam ręce i skierowałam wzrok na fotel przed sobą. Czy właśnie tego żądał ode mnie napastnik? Nie chciałam, żeby zrobił krzywdę drobnej Azjatce. Wrzaski dochodziły również zza moich pleców. Agresywnie zachowujących się osobników było więcej.

Porwanie! Zamach! Chcą wysadzić samolot!

Wtem kątem oka dostrzegłam ruch. Odwróciłam głowę, wykorzystując sytuację, że szurzy osobnik mijał nasz rząd siedzeń. Czerwony blask. Coś ciemnego przeskoczyło fotel i uderzyło na niego od góry. Stewardesa poleciała w przód. Ręka obejmująca jej gardło wykrzywiła się pod nienaturalnym kątem. Igor rzucił się w tył i zniknął z fotela.

Nie wytrzymałam i poderwałam się z siedzenia – po to, żeby zobaczyć, jak Igor z obrotu wali pięścią młodą kobietę w szarej garsonce, na którą wcześniej zwróciłam uwagę. Babsko znajdowało się krok od niego. Rozpuszczone włosy rozsypały się wokół jej głowy jak wachlarz. Mój sąsiad nie był już dżentelmenem. Bez skrupułów wykręcił jej ramię, wyrываяc z dłoni jakiś przedmiot, coś w rodzaju okrągłego pudełka, które szybkim ruchem schował do futerału wyciągniętego z kieszeni.

Kobieta krzyczała z bólu. Wrzask zmienił się w przeciągłe wycie.

– Cicho! – warknął Igor. Wyła nadal. Uciszył ją uderzeniem w twarz, tak silnym, że mógł złamać jej nos.

Kilka rzędów dalej Memed i Dżochar niczym perfekcyjne maszyny unieszkodliwiali pozostałych porywaczy. Byli nimi bruneci, na których Igor zwrócił uwagę, kiedy wysiadali z autobusu. Czeczeni założyli mężczyznom dźwignie, wykręcając ręce i zmuszając, żeby uklękli.

Reszta pasażerów jakby się obudziła. Klaskali, gadali jeden przez drugiego, śmiali się, poklepywali po plecach. A ja próbowałam zrozumieć, czego byłam świadkiem. To wszystko działo się tak szybko! Czeczeni i Igor zareagowali w tej samej chwili, jak na sygnał, niczym doskonale zsynchronizowane szwajcarskie zegarki. Przypomniałam sobie rozpuszczone włosy obezwładnionej kobiety – właśnie z nich wyciągnęła niebezpieczny przedmiot. Może osłona pojemnika została wykonana z dającego się uformować twardniejącego plastiku? Czytałam niedawno o takim cacku

w „Nouvelle Science”.

Czeczeni odprowadzili terrorystów na dziób samolotu i tam solidnie skrępowali, używając ich własnych pasków, po czym przekazali napastników sformowanej ad hoc straży pasażerskiej. Przy okazji ujawniło się też dwóch tajniaków z ochrony linii lotniczych, trochę poniewczasie, ale przynajmniej przejęli kontrolę nad obezwładnionymi terrorystami i zaczęli wydawać komendy, które zdyscyplinowały pasażerów.

Zauważyłam, że Igor zabezpieczył w futerale także inne pojemniki podobne do tego, który niosła kobieta z rozpuszczonymi włosami. Mogła się tam znajdować jakiś żrąca substancja, bakterie węgliką, trujący gaz albo materiał wybuchowy. Dopiero śledztwo wykaże, jak terroryści przemycili je na pokład samolotu. Teraz, związani, nawet nie zipnęli. Moi prywatni ochroniarze srodze ich poturbowali, a kilku wkurzonych pasażerów siedziało im na klatkach piersiowych.

Igor znowu zmienił się w dżentelmena i zaopiekował stewardesą, która też nie wyszła z tej afery bez szwanku. Kiedy Aślan skoczył terroryście na grzbiet, kobieta runęła jak długa na podłogę. Musiała się mocno potłuc.

– Tutaj kapitan Alan Werdwood. – Usłyszałam tubalny głos z mikrofonu. – Sytuacja opanowana. Podziękujmy antyterrorystom z linii Trans-air za skuteczną akcję, a pasażerom za bohaterską postawę. Proszę zająć miejsca i zapiąć pasy. Za dziesięć minut lądujemy.

Znowu oklaski. W dupę jeża, co za ściema! Jakich antyterrorystów? Z tych Pierwszych Sprawiedliwych są niezłe numery. Przecież oni też są terrorystami. Tyle już się domyśliłam. Zwyczajni ludzie nie rozbijali się po Paryżu obwieszeni bronią palną. Nie dysponują karabinami strzelców wyborowych, nie używają pistoletów z tłumikiem, nie rozwalają nożowników w metrze, dobijając ich strzałem w potylicę. Nie uczestniczą w nielegalnych walkach, nie robią zakładów u bukmacherów mafii. No i nie stosowali profesjonalnego sprzętu do zagłuszania. A przede wszystkim nie wpływali na postrzeganie otoczenia przez swoich przyjaciół, zmieniając postać i otaczając się szarym, lepkiem oparem. Ale Igor? Ten młody mężczyzna nie pasował do szemranego towarzystwa. Właśnie obejmował Azjatkę i prowadził na tył samolotu. Ciągle pamiętałam jego ukradkowy kontakt z antyterrorystą przed terminalem. Może pracował dla kontrwywiadu? Czy pozyskał zaufanie Sprawiedliwych, by ich

rozpracować? Niczego i nikogo nie mogłam być pewna.

Zostałam na posterunku sama. Jednak nie, Dżochar uwalił się na fotel obok, szczerząc białe zęby w uśmiechu. Wychodziło na to, że z całej ferajny to właśnie on jest tym normalnym. I to kto? Szajbnięty muzułmanin, zabójca żyjący w świecie swego boga wojny. Znaczący kolbę karabinu po śmierci upolowanej zdobyczy. Największych sukinkotów, jakich nosiła ziemia. Do chwili, kiedy trafili na niego – Dżochara, nawiedzonego regulatora.

Powinnam wykorzystać okazję i wyciągnąć od niego więcej informacji. Nie zwlekając, spytałam:

– Co...

– Nie teraz – nie pozwolił mi dokończyć. Dał znać spojrzeniem, że chodzi o kamery.

Fajnie, że byliśmy monitorowani, w dodatku podsłuchiwani przez współpasażerów, tylko dlaczego nic to nie dało? Nie powstrzymało porywaczy? Zresztą Dżochar nie musiał niczego mówić. Domyśliłam się, że Czeczeni z Igozem już wcześniej obserwowali pasażerów i zauważyli coś podejrzanego, inaczej nie zareagowaliby tak perfekcyjnie, dzieląc terrorystów między siebie. Czyżby razem szkolili się w podobnych działaniach?

– Zapnij pasy.

Dżochar uprzedził polecenie nadchodzącej stewardesy, której koleżankę Igor nadal otaczał ramieniem. Zobaczyłam ich, kiedy na moment wstałam z fotela. Asłan z Memedem przenieśli się na przód samolotu, żeby pilnować niedoszłych porywaczy. Ochroniarze z Trans-airu mieli z kolei oko na nich – ludzi, którzy odwalili za nieudaczników robotę. Istna parodia! Jak z klasycznego filmu *Czy leci z nami pilot?* Nie chciałam nawet myśleć, jaki młyn czeka nas na lotnisku. Nie wiedzieliśmy, co się dzieje w kokpicie. Wszystkie linie na ziemi musiały być rozgrzane do czerwoności.

– Szkoda, że jest zbyt ciemno, bo zobaczyłabyś góry.

Góry? Przecież lądowaliśmy na Wyżynie Krakowsko-Częstochowskiej, a tam znajdowały się co najwyżej pagórki i sterczała w niebo maczuga Herkulesa.

– Już lądowałam w Balicach. Moi rodzice jakiś czas mieszkali w Polsce. Znaleźli tu przyjaciół.

To stąd znajomość języka, Czeczeni mają powiązania z krajem, w którym się urodziłam.

– W pogodny dzień na południu widać odległe góry, dlatego lubię Kraków. Tu jest inaczej niż na terenach wokół Orly. Samolot schodzi do lądowania nad domkami z czerwonych dachami, białymi skałkami wynurzającymi się z soczystej zieleni. Jest i lotnisko wojskowe. W świetle lamp zaraz powinniśmy zobaczyć zabytkowe maszyny.

Na razie czułam przeraźliwy ucisk w uszach. Jeszcze chwila, a eksplodują mi bębunki. Rozchyliłam usta, wbiłam palce w małżowiny. Nic to nie dało. Co muszą czuć piloci samolotów ponaddźwiękowych?

Jakoś przeżyłam lądowanie. Odetchnęłam z ulgą, kiedy uszy przestały mnie boleć. Dżochar miał rację, na oświetlonej murawie przy pasie stały stare wojskowe samoloty. Może nie będzie w tej Polsce aż tak źle? Smród rynsztoka zastąpi woń świeżo skoszonej trawy. Cuchnące, stęchłe powietrze w tunelach metra, powiew wiatru zrywającego barwne liście z drzew.

Gdy samolot stanął, do kadłuba podjechali łazikami prawdziwi antyterrorysty. Wyglądali jak grupa szturmowa. Broń gotowa do strzału, zamaskowane twarze, ochraniacze na stawach, odzież i kamizelki kuloodporne w piaskowo-brunatnym kolorze.

– Proszę nie wstawać. – Rozległ się głos mówiącego po francusku kapitana. – Będą państwo opuszczać pokład małymi grupami. Bardzo proszę o zachowanie dyscypliny. Dzięki temu szybciej znajdziecie się państwo w swoich domach.

Stewardesa powtórzyła komunikat jeszcze po polsku i angielsku. Dostawiono schody i do kabiny pasażerskiej weszli uzbrojeni mężczyźni: trzech było w cywilu. Zabezpieczyli wnętrze i po wyprowadzeniu skrepowanych porywaczy zaczęli kierować nas do wyjścia. Opuściłam samolot w grupie razem z Dżocharem.

Antyterrorysty polecieli nam wsiąść do jednego z dżipów. Dżochar wykrakał. Zorientowałam się, że wiozą nas do części wojskowej lotniska. Gadka kapitana o domach była ściemą. Domyśliłam się, że zaraz trafimy na przesłuchanie. Przeczucie mnie nie myliło. Wjechaliśmy na ogrodzony teren z drugiej strony lotniska i dotarliśmy do budynków mieszczących się gdzieś na tyłach terminalu. Tam kazali nam wsiąść z samochodu. Antyterrorysty

poprowadzili mnie w parze z Dżocharem długim korytarzem i polecili usiąść na ławce przymocowanej do odrapanej ściany. Poczułam się jak w poczekalni więzienia.

– Wszystko w porządku? – zainteresował się Dżochar. Spodziewałam się zdawkowego pytania i wymiany uprzejmości, jak to między podróżnymi, którzy zawarli znajomość w czasie lotu. Trzy kroki od nas stał uzbrojony człowiek.

– W porządku, ale trochę tu zimno. Mogę wyciągnąć bluzę z plecaka? – zwróciłam się do pilnującego nas ponuraka, któremu zza balakławy widać było oczy i kawałek nosa. Skinął głową, przesuwając instynktownie dłonią po kolbie broni bocznej, wystającej z odpiętej kabury. Nie wzbudziło to we mnie respektu, tylko rozbawiło. Nie byłam tutaj groźna ja – szczupła małolata. Niebezpieczny był Dżochar. A może twardziel bał się, że czarniawy facet o facjacie doświadczonego bojownika weźmie mnie na zakładniczkę? Na pewno utrzymywał stałe połączenie z resztą oddziału i dowództwem. I wiedział o wyczynie Dżochara w samolocie. Ba, mógł mieć przesłane jego dokładne dane: wiek, pochodzenie, ile razy Czeczen przekraczał granicę, a nawet ostatnią wizytę u dentysty, wzrost, numer buta i rozmiar gaci...

Nie zdążyłam włożyć bluzy pod kurtkę. Odwróciłam się, by spojrzeć na otwierane właśnie drzwi, i rzuciłam okiem w głąb korytarza. Ktoś się do nas zbliżał.

– Wchodzisz. – Twardziel lufą karabinu wskazał Dżocharowi drzwi.

Odetchnęłam z ulgą, rozpoznając wśród nadchodzących Igora. Nie chciałam zostać sam na sam z uzbrojonym ponurakiem.

Igor usiadł obok mnie, naprzeciwko nas stanął jeszcze jeden antyterrorysta.

– Jak tam stewardesa? – spytałam.

– Nie gadać – burknął nowy strażnik.

– Opanuj się, chłopie – zareagował Igor. – Czy ona wygląda na porywaczkę?

Facetowi z sił specjalnych chyba przełożony zaczął suszyć głowę przez mikrofon w uchu. Miał taką minę, jakby czegoś słuchał z napięciem. Do cholery! Przecież to dzięki akcji Igora i Czeczenów samolot bezpiecznie wylądował. Należała im się chociaż odrobina szacunku.

– Babka trochę się potłukła i najadła strachu. – Igor ponownie zignorował strażnika. – Jesteś niepełnoletnia, dlatego nie mogą cię przesłuchiwać bez obecności dorosłego opiekuna. A do chwili, kiedy pojawi się Lidia, to ja jestem za ciebie odpowiedzialny.

– Jakoś ci się nie spieszyło do tej opieki – mruknęłam z przekąsem. – Wolaleś obejmować laseczkę ze zgrabnym tyłkiem. Dała ci chociaż numer telefonu?

– A jak myślisz? – Wykrzywił się w uśmiechu. – Ci tutaj, nadrabiający długimi giwerami, mogą tylko pomarzyć, żeby taką ustrzelić.

He, he, złośliwy troll. Odegrał się na ponurakach.

Humor miałam coraz gorszy. Tym gorszy, im dłużej siedzieliśmy na ławce, czekając na swoją kolej. Przynajmniej nie musieliśmy stać jak pilnujący nas wojskowi. Zastanawiałam się, gdzie są Memed z Aslanem. Może byli przesłuchiwani przez inny zespół śledczy? Ale dlaczego akurat oni? Czyżby mieli bardziej podejrzane papiery? Całkiem możliwe, jeśli wziąć pod uwagę to, co Dżochar mówił o towarzyszach. Przez ten udaremiony zamach szlag trafił incognito naszej grupy. Powinniśmy być szczęśliwi, że nie dopadł nas tłum reporterów. Może właśnie dlatego przesłuchują nas w jednostce wojskowej?

– Igor – zaczęłam – na filmach podejrzanym należy się jeden telefon.

– Skąd ci przyszło do głowy, że jesteśmy podejrzani?

– Stąd, jak nas traktują.

Popatrzyłam w oczy antyterrorysty, który kazał mi siedzieć cicho.

– To palanty – uciął Igor.

Aż prosiło się dodać: „Nie wiedzą, co to prawdziwa akcja”. Tego nie mógł powiedzieć na głos. Nie mógł, ale tylko naiwny by uwierzył, że terrorystów w samolocie rozbroili amatorzy.

Nareszcie doczekaliśmy się końca przesłuchania Dżochara. Teraz my zostaliśmy zaproszeni do środka.

Tak oto witała mnie ziemia moich rodziców.

Rozdział 9

Przesłuchanie

Nie spodziewałam się, że pomieszczenie będzie tak duże i dobrze wyposażone. Na środku stał długi stół z zamontowaną opalizującą konsolą. Migoczące monitory na ścianie przywodziły na myśl kabinę statku kosmicznego, a mężczyzna, który przysiadł na stole, mógł być jego kapitanem. Na szarym mundurze błyszcząły srebrne dystynkcje. W drzwiach prowadzących do drugiego pokoju zobaczyłam osobnika w cywilnym ubraniu, wytartych dżinsach i sportowej koszuli. Rozszedł się aromat świeżo zaparzonej kawy.

– Siadajcie. – Wskazał głową krzesła. Podszedł do stołu i postawił przed nami kubki z parującym napojem.

Zajęliśmy miejsca naprzeciwko naszych gospodarzy. Objęłam dłońmi porcelanowe ścianki naczyń – to było przynajmniej jakieś źródło ciepła. Kilka łyków kawy dobrze mi zrobi, inaczej musiałabym podeprzeć powieki zapalkami.

– Przepraszam za moich chłopców – odezwał się wojskowy. – Jestem kapitan Czabański, a to starszy inspektor Piotr Darecki. Zadamy wam kilka pytań. Najpierw młodej damie. To trochę wbrew procedurze, ale podejrzewam – tu spojrział na Igora – że będzie jej raźniej w pana obecności. Brakuje jednak waszego dobrego znajomego.

Czyli już otrzymali informacje z Paryża, skoro połączyli nas z Asłanem. Odgrywają dobre gliny, by skłonić nas do wylewności, a jednocześnie pokazują, że nie warto wciskać im kitu, bo dużo o nas wiedzą.

Inspektor skupił uwagę na konsoli. Na tle ściany ukazał się hologram wnętrza samolotu. Rozpoznałam siebie, Igora i Asłana, który właśnie zasłaniał się gazetą.

– Dlaczego Zuradow was ignoruje? – spytał Darecki. – Z danych przekazanych przez Paryż wynika, że chodził z tobą – przeszył mnie baczny

spojrzeniem – do tego samego liceum, a wszyscy razem jesteście członkami klubu sportowego „Roks Boks”.

Musiałam szybko wymyślić jakąś sensowną odpowiedź, żeby nie wpakować w to Memeda i Dżochara. Tylko co?

Igor trącił mnie poufale łokciem.

– No, przyznaj się, Gloria.

– Głupio mi. – Czułam ciepło zalewające policzki – od gorącej kawy, ale przesłuchujący mogli wziąć ich zmieniający się kolor za rumieniec wstydu. – Trochę się z Aslanem pokłóciłam. On widzi we mnie tylko przyjaciółkę. Nic więcej!

– A ja nie chciałem dokładać do pieca – rzucił błyskawicznie Igor.

Wątpię, czy Darecki uwierzył w odegraną przez nas scenkę. Ale nie miał podstaw, żeby zakwestionować nasze słowa. Roztoczyłam przed nim wizję zbuntowanej, chwiejnej nastolatki, która źle dobiera sobie przyjaciół. Ciotkę Hannę również w ten sposób zwodziłam i robiłam swoje. Udawanie głupszej, niż się jest, to niezły sposób na wapniaków.

– Czy dlatego Gloria jeszcze nie trafiła w objęcia tęskniącej za nią siostry, bo państwo są zainteresowani jej życiem intymnym?

To dopiero tupet! Igor pojechał po całości. Był lepszy w te klocki ode mnie. Warto zapamiętać, żebym nie dała mu się kiedyś zmanipulować.

– Ma rację – zabrał głos kapitan Czabański. – Przejdźmy do konkretów.

– Dość tych podchodów – zgodził się Darecki, nagle zmieniając ton. – Zagrajmy w otwarte karty, Lediew. – Spojrzał wyzywająco na Igora. – Powiedz mi, jak ich rozpracowaliście?

– To nie było trudne. – Mój opiekun wyciągnął się niedbale na krześle. – Tych dwóch smagłych – wskazał na hologram: w tej chwili pasażerowie szli po schodach do samolotu – od razu mi się nie spodobało. Namierzyłem też tych czarniawych – tym razem pokazał na Dżochara z Memedem siedzących w fotelach na bocznym hologramie. – Pozostali, baba z kokiem i trzeci porywacz, sami się ujawnili. A reszta to był już czysty poker.

– Raczej twój narodowy sport – mruknął Darecki. – Rosyjska ruletka. – Wskazał na następny hologram, na którym Czeczeni rozbijali porywaczy. – Oleg niczego cię nie nauczył?

Igor wyszczerzył zęby.

– Mój stary to większy ryzykant. Przyjął zlecenie na szejka Musa Murana. Ja tylko odebrałem broń czarnej wdowie, kiedy farbowani Kubańczycy obezwładniali tych mniejszych, smagłych.

– Black Falcons zesli na psy – parsknął Darecki.

– Nie tylko oni. – W głosie Igora wychwyciłam poważną nutę. – Gdzie byli wasi tajniacy? Gdzie ochrona linii? Na Zuradowie mogłem polegać. Jestem jego sparingpartnerem. Regularnie obrywam od niego po gębie.

Coś mi się w tej całej wymianie zdań nie podobało. Że DGSI przekazała Polakom informacje, łatwo się domyślić, ale Darecki był zbyt bezpośredni. Pozwalał Igorowi za bardzo się spoufalać. Nowatorska technika przesłuchań? Nie, to brzmiało, jakby o kompetencje spierali się koledzy po fachu i z gracją troglodytów wbijali sobie hufnale pod paznokcie.

Cholera, a jeśli to właśnie Igor jest agentem DGSI i ma na oku Aślana Zuradowa? Co z tego, że Lediew był młody – w ten sposób mógł łatwiej przeniknąć w szeregi Sprawiedliwych, a szkolenie przejść w bazach, w których stacjonowali jego dziadek i ojciec. Stąd wyczuwalny przekaz w tonie Dareckiego. Inspektora, ale jakiej służby? I co ja tutaj robię? Czyżby to całe przesłuchanie było szopką odgrywaną specjalnie dla mnie? Siedemnastolatkę łatwiej nabrać niż jej starszą siostrę? Znowu byłam robiona – jakby to powiedział Lucien, największy chamciuch w naszej klasie – w człona?

– Gloria – Igor położył mi dłoń na ramieniu, wrywając z zamyślenia – wiem, że kleją ci się powieki, ale skup się i odpowiedz na pytania kapitana.

– ...od chwili – kończył Czabański – gdy weszliście do terminalu.

– Może pan powtórzyć?

Skierowałam wzrok na kapitana, aby pokazać, że jeszcze kontaktuję.

– Chciałbym poznać twoje wrażenia od momentu, kiedy dotarliście na lotnisko. Czy zauważyłaś coś podejrzanego, nietypowego, co wydało ci się dziwne?

– Tylko tych czarniawych facetów.

Wypiłam duży łyk kawy, która już nie parzyła. Byłam jeszcze na tyle

przytomna, żeby nie wspominać o antyterrorystyce kontrolującym futerał Igora „wszystko we mnie jest” i podrzucającym do środka niebieskie karteczki.

– Igor gapił się na nich – kontynuowałam – kiedy wysiadali z autobusu, którym podjechaliśmy do samolotu. No i byłam wkurzona na Asłana. Że gdy do nas dołączył, zakrył się tą cholerną gazetą. Znam go z treningów i szkoły, gdzie nosił normalne ubranie, a wyszykował się do podróży jak na podryw starej baby. Dobrze, że do mnie nie podszedł, bo ukreśliłoby mi nos od smrodu Hugo Bossa albo podobnego paskudztwa.

– Wolisz zapach potu? – uśmiechnął się kapitan Czabański.

Ten starszy facet sprawiał wrażenie sympatyczniejszego od Dareckiego. A mnie całkiem nieźle wychodziło udawanie chimerycznej, zazdrosnej małolaty. Bo tak naprawdę Asłanowi było diablo dobrze w garniaku.

– I co dalej? – Czabański nie odpuszczał. Chyba nie myśli, że opiszę mu sekunda po sekundzie, co działo się w samolocie? Tym bardziej, że sama nie byłam pewna, co się wtedy wydarzyło.

– Kiedy zjadłam kanapkę kupioną przez Igora, odpaliłam tablet i zaczęłam rysować. Nie miałam nic innego do roboty. I chyba trochę nad nim przysnęłam. Za późno zauważyłam, że dzieje się coś złego. Krzyki, wystraszona stewardesa z ciemnym przedmiotem przy szyi. Facet za nią, który krzyczał, by podnieść ręce. Asłan na niego skoczył, a Igor rzucił się do tyłu.

Uważałam, żeby nie powiedzieć więcej ponad to, co mogli sprawdzić, przeglądając zapis obrazu z kabiny.

– A reszta... Widać to na holo. – Wskazałam ręką akcję na hologramach: Czeczeni prowadzili obezwładnionych porywaczy na przód samolotu. – Co oni chcieli zrobić?

– Przelecieć nad murem – rzucił Darecki.

– Na Ukrainę?

Czułam, jak odpływa ze mnie krew. Igor się skrzywił.

– Nie za dużo wrażeń dla dziewczyny? – warknął. – Dość już tego przesłuchania!

– Dobra. – Darecki wyłączył hologram. – Widzę, że i tak więcej z niej nie wyciągniemy. Teraz twoja kolej, Lediew.

– Ale dlaczego na Ukrainę? – Nie dałam się zbyć. Nie po tym, czego się dowiedziałam.

– I coście narobili? – Igor nie zamierzał tego tak zostawić. – Na pewno sprawdziłeś – podniósł się z krzesła i pochylił w stronę Dareckiego – co się stało z rodzicami Glorii. Chciałeś to od niej usłyszeć.

– Siadajcie. – Słowo było twarde jak granit. Czabański pokazał charakter. – Obaj.

Natychmiast wykonali polecenie.

Podszedł do mnie, odsunął krzesło i usiadł naprzeciwko.

– Minęło dziesięć lat, ale sprawa nie jest zamknięta. – Położył mi rękę na dłoni. – Mamy wydział zajmujący się tego typu przypadkami. Niestety, do miejsca, w którym ostatnio widziano twoich rodziców, nie można dotrzeć. To zbyt niebezpieczne. A dlaczego porywacze zamierzali tam lecieć? Właśnie to musimy ustalić.

– Może chcieli – wydusiłam – tam się rozbić?

– Całkiem możliwe. – Puścił moją dłoń. – Ale równie dobrze mogli planować wbicie się w Krak Tower, Galerię Wynalazków czy Halę Sportu, akurat skończył się mecz Polska–Holandia. Albo w jakiś strategiczny cel w Warszawie.

– Elektrownię atomową – wtrącił Igor. – Lecz to wasza brocha, żeby to ustalić. My z Asłanem odwaliliśmy robotę w samolocie, nie pozwalając go porwać. I wystarczy. Czas się zbierać, bo tracicie tylko czas. Przyciśnijcie lepiej terrorystów.

Chwycił mnie pod pachy i lekko uniósł.

– Idziemy, Gloria. Panowie już skończyli.

– Nie tak szybko, Lediew. – Darecki musiał mieć ostatnie słowo. – Zaszczycisz nas jeszcze swoją wizytą. A jak będziesz chciał zmienić miejsce pobytu, najpierw poprosisz o zgodę. Teraz ludzie kapitana odwiozą cię do domciu.

– *Wsiегда li geroi takie zanozy w zadnice?*[\[5\]](#) – Igor zwrócił się do Czabańskiego.

– *Kaskuj*[\[6\]](#) – mruknęłam, używając ulubionego powiedzonka wujka

Rolanda. A co tam! Niech Darecki trochę się wysili i pogrzebie w słownikach.

– Jeszcze się zobaczymy – pogroził Igorowi, który przyjął to z obojętną miną, jak w czasie rozgrzewki z Asłanem. Darecki nie wiedział, z kim zadziera. Gdyby znaleźli się sam na sam, postawiłabym na ciężki nokaut w cztery setne sekundy.

W korytarzu nadal stał smutny koleś w balaklawie. Oczy błyszczały mu przyjaźniej, łapsko przestało kleić się do broni. Pewnie myślał o ciepłej żonce, do której niedługo się przytuli. Kiedy nas prowadził, rozglądałam się po kompleksie w nadziei, że spotkamy Asłana i Memeda. Niestety, natknęliśmy się tylko na anonimowych pasażerów feralnego lotu. Może trepy wypuściły już Czeczenów? Dżochara nie przesłuchiwali jakoś tragicznie długo.

Odetchnęłam z ulgą, kiedy wyszliśmy z bunkra na nocne powietrze. Wciągnęłam je pełną piersią. Pachniało wilgotną ziemią i liśćmi. Szkoda tylko, że stałam na betonie. Spojrzałam na atramentowe niebo: było upstrzone połyskującymi punkcikami. Odległe gwiazdy, wszechświat, a my zamknięci w tym naszym grajdole, o krok od śmierci, bo jakimś nawiedzonym popaprańcom i kopniętej babie zechciało się polecieć do Bozi w towarzystwie niewiernych. Warkot silnika przerwał moje rozważania nad miałkością ludzkiego bytu. Zza rogu pobliskiego budynku wyłoniła się terenówka.

Prowadzący nas smutny koleś nie zareagował. Widocznie spodziewał się takiego obrotu sprawy. Kiedy pojazd zatrzymał się przed nami, wysiadł z niego mężczyzna w burych bojówkach, a z drugiej strony wyskoczyła kobieta. Smutas coś do nich zaczął nawijać. Nic z tego, energiczna babka zgrabnie go ominęła. Nie zdążyłam nawet mrugnąć, a już moja siostra uwięziła mnie w ramionach.

Chwilę tak stałyśmy, przytulone do siebie, mając gdzieś gadających fizoli i scenerię jak z *Ostatniego lotu*. Ze wzruszenia aż się popłakałam, Lidia również.

– Ile... to lat? – wydusiła, odsuwając się na tyle, żeby w świetle lamp objąć wzrokiem mnie całą.

Skorzystałam z okazji i złapałam oddech. Ale się rozmazałam! Przetarłam powieki grzbietem dłoni i spojrzałam na siostrę. Ciemne włosy spięte z tyłu, drobna twarz, lekko zmrużone oczy. Była wyższa ode mnie, szczuplejsza i na pewno silniejsza. Nieźle się prezentowała w krótkiej skórzanej kurtce,

dopasowanych dzinsach i sportowych butach.

– Jak na trzydziestkę, nawet całkiem się trzymasz – zażartowałam.

– A ty za bardzo wyrosłaś.

Zaśmiałyśmy się i objęły ponownie.

– Drogie panie – upomniał nas mężczyzna, który prowadził terenową toyotę. – Czas się stąd zbierać. Myślę, że Igor jest tego samego zdania.

W jednej chwili otrzeźwiałam. Jakby ktoś oderwał narkomanowi worek z klejem od nosa. Skąd ten gość zna Igora?

– Jeszcze tylko mała formalność – zaproponowała Lidia. – To mój facet, Darek.

Niecierpliwy gościu podał mi rękę.

– Nie chciałem wam przerywać przywitania... – zaczął się tłumaczyć.

– I tak to zrobiłeś – ucięła Lidia. – Wszystko w porządku? – spytała smutasa.

Antyterrorysta skinął głową.

– Wyjazd piątą bramą – zwrócił się do Darka, podając mu jakiś drobny przedmiot. – Tam nie dopadną was pismacy. Tak to już jest, kiedy baza znajduje się przy cywilnym obiekcie.

Coś mi się w tej rozmowie nie podobało. Spotkanie po latach z siostrą nie uśpiło we mnie czujności, nie po ostatnich przeżyciach. Darek i Lidia jeżdżą po wojskowej bazie transportowej bez eskorty choćby jednego trepa, jakby byli u siebie. No i Igor, czyżby zabierał się z nami? Dlaczego Czabański nie zażądał od niego adresu, pod którym się zatrzyma? Ludzie kapitana odwiożą go do domciu? Czyżby byli nimi Darek i Lidia? A może inspektor się przejęzyczył albo zmienił plany? Trepy mogły się kontaktować z moją siostrą przez telefon już po tym, jak my z Igorem wyszliśmy z pokoju przesłuchań.

– Wsiadajcie. – Darek częściowo odpowiedział na moje pytanie.

Obaj mężczyźni zajęli miejsca z przodu, ja i Lidia usadowiłyśmy się na tylnym siedzeniu.

– Trzymasz się? – Ujęła moją dłoń w swoje.

– Chce mi się tylko spać.

– Jeszcze chwila i będziemy w domu. Połóż się na moich kolanach.

O co to, to nie! Chciałam wiedzieć, co się wokół mnie dzieje. Gdzie jedziemy, gdzie ten dom? Kim jest Darek i skąd znają się z Igorem? I dlaczego Igor nie mówi, gdzie facet mojej siostry ma go podrzucić?

Przejechaliśmy w ciszy przez bazę. Gdy zatrzymaliśmy się przed bramą, Darek niczym czarodziejską różdżką mignął strażnikowi gadżetem, który dostał od antyterrorysty, i szlaban się podniósł.

– Sprawdź to. – Rzucił czarną płytkę Igorowi, kiedy wyjechaliśmy już na drogę.

To była dobra decyzja, żeby nie dać się pokonać bogowi snu. Zbierałam coraz więcej informacji, które wypełniały układankę. Najwyraźniej to Darek tutaj rządził, a może...

Igor wyciągnął jakieś płaskie urządzenie ze schowka i wsadził w nie płytkę.

– Wszystko w porządku – odrzekł, kiedy na obudowie zaświeciła się zielona dioda.

– Aślan i reszta? – spytała Lidia.

Moje uszy zmieniły się w ruskie radary. Odwróciłam głowę i spojrzałam przez okno.

– Jakoś poszło – odpowiedział Igor. – Na Dżochara natknęliśmy się, zanim kumple Darka zaprosili nas na przesłuchanie.

– Mogli oszczędzić tego Glorii.

– Lepiej oni – włączył się Darek – niż ci z SWW[7].

– Jeszcze nic straconego – mruknął Igor. – *Sabaki, jebut ich...* Szybko dostali dane od moich.

„O czym wy gadacie?!”, chciałam krzyknąć. Powstrzymałam się. Strategia „na głupią małolatę” była najbardziej wydajna. Kiedy zaczynałam się awanturować, zamykałam zgredeł usta. Ale Igor był niewiele starszy ode mnie, bo co znaczą dwa lata? I jakich „moich”? Chodziło mu o Rusków czy o żabojadów? Chyba raczej o tych drugich. Rosyjskie przekleństwo mogło zmylić słuchacza. Wątpiłam, żeby Igor i jego ojciec pracowali dla swołoczy z atomowej tarczy. Oleg, ojciec Igora, wstąpił do Legii, gdy po Afganistanie

coś mu się poprzestawiało w głowie. Igor wspominał o rozwałkach cywilów w wioskach. Oleg mógł mieć sporo na sumieniu, a ono na starość zaczynało ciążyć.

– Igor, gdzie się zatrzymasz? – spytałam, z uwagą obserwując drzewa, gdzieniegdzie migające skałki i przycupnięte na zboczach domki jednorodzinne o spadzistych dachach. Niech pomyślą, że nie interesują mnie te wszystkie *swu-uły i jebut sabaki*.

– U twojej siostry.

Mój pozorny spokój szlag trafił.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś, że znasz Lidię i Darka?

– Sądzisz – siostra przyszła Igorowi z odsieczą – że Hanna oddałaby cię pod jego opiekę bez uprzedniego kontaktu z nami? Gloria, marudzisz. Dobrze, że niedługo będziemy na miejscu. Wskoczysz do łóżka, dobrze się wyśpisz, a rano świat wyda ci się lepszy.

– Daj jej spokój – niespodziewanie wstawił się za mną Darek (od razu faceta polubiłam). – Nie co dzień dziewczyna przeżywa atak terrorystów w samolocie.

– Dzięki – mruknięłam – żeby tylko w samolocie. W metrze to dopiero były wybuchy. – Aż nie mogłam uwierzyć, że tak lekko to powiedziałam, ale nie chciałam martwić siostry. – Zresztą, to działa się tak szybko. Inspektor Darecki był bardziej upierdliwy. Igor gracko sobie z nim poradził – dodałam po chwili, celowo prowokując Darka. Jeśli zna faceta, teraz powinien się wygadać, jaka to z Lediewa chytra i twarda sztuka.

– Ten inspektorek to betka – uprzedził Darka Igor. – Prawdziwym wyzwaniem jest wejście z Tankiem do klatki.

– A... właśnie. Gdzie oni wszyscy będą mieszkać? Też u Lidii? Ma tak duży dom?

– Zobaczysz – odrzekł Darek. – Jeśli Lidia nic nie przemilczała, nie będziemy mieć już dzisiaj więcej gości. Przynajmniej z tego świata.

„Zobaczysz”? „Z tego świata”? Nabija się ze mnie czy jak? I gdzie oni mnie wiozą? Do jakiejś hacjendy? Wiedziałam, że siostra ma po rodzicach mieszkanie w Bronowicach. Może to tam zakwateruje pozostałych twardzieli? Skoro chcą wszystko utrzymać w tajemnicy, grają sobie ze mną w kulki... Nie

będę odbierać im frajdy.

Już od jakiegoś czasu nie mijał nas żaden samochód. Zaczęliśmy krążyć, droga wznosiła się i opadała. Co za zadupie! Kiedy już myślałam, że wertepy się nigdy nie skończą, reflektory toyoty nagle oświetliły prążkowaną barierę, niewiele różniącą się od szlabanu na wojskowym lotnisku, i okrągły znak zakazu wjazdu. Jakiś poligon czy co?

Darek zdalnie otworzył szlaban.

– Gdzie jesteśmy? – Nie wytrzymałam.

– W zamkniętej części parku. – Lidia lekko klepnęła mnie w ramię. – Do tej doliny mogą wjeżdżać tylko mieszkańcy.

– Od co najmniej piętnastu lat nikt nie otrzymał pozwolenia na wybudowanie czegoś w parku krajobrazowym – dodał Darek. – Teren chroniony. No... był jeden wyjątek.

– Znaczą się dali pozwolenie Lidii?

– Naszym rodzicom. – Siostra ponownie ujęła moją dłoń, chcąc podnieść mnie na duchu. – Eryk odziedziczył działkę po babci Marii.

– Dlaczego mi o tym nie powiedziałaś? Nie pogadałaś przez holo? Nie wysłałaś chociaż wiadomości?! I nie wymawiaj się zaburzeniami na łączach, kiedy mieliście tutaj mobilizację.

– Gloria, miałaś wtedy dziewięć lat! A ja... a ja... Było mi ciężko samej.

Miała rację. Musiała się zająć wszystkim: formalnościami, prawnikami, samym obiektem, zabezpieczyć środki na utrzymanie... Ja bym jej zawadzała. Ciężka jak kula u nogi. Ale... przecież mogła mi powiedzieć o tym później. Hanna również.

– Zaraz dotrzemy na miejsce. – Darek zgrabnie uciął dyskusję.

Rozdział 10

Powrót do domu

Chrzęst żwiru pod kołami terenówki, zamykana brama, wysokie kamienne ogrodzenie, a na środku dziedzińca klomb. Wokół niego biegła ścieżka wysypana białymi kamykami. Teren był dobrze oświetlony. Stanęliśmy przy ganku dwupiętrowego domu, za kwietnikiem znajdował się jeszcze jeden budynek, niski, długi, pokryty dwuspadowym dachem. Przylegał do ogrodzonego kawałka terenu: drewniane barierki, zryta szara ziemia bez żdźbła trawy. Ujeżdżalnia?

Otworzyłam drzwi toyoty i wbiegłam na ścieżkę.

– Macie tu konie?! – krzyknęłam, machając plecakiem i podskakując jak myszokoczek.

– Owszem – odkrzyknął Darek. – Przed tobą jest stajnia.

– Gloria! – upomniała mnie siostra. – Wracaj. Rano wszystko obejrzysz. A teraz zaprowadzę cię do twojego pokoju, coś zjesz i pójdziesz do łóżka.

Szybko weszła w rolę matki, jak Hanna. Co tam! Ważniejszy był budynek po lewej. Miałam o rzut kamieniem prywatny klub jeździecki. Zamknięta w zielonej dolinie hacjenda, rozległe łąki, wapienne skałki, leśne ścieżki i strumienie. Co za odmiana po zatłoczonym, brudnym Paryżu! Syfiastym metrze, antyterrorystach na każdym rogu i przepełnionych publicznych szkołach. Właśnie, moja nowa szkoła... A jak nie będzie tutaj liceum plastycznego? Mama takie kończyła, byle tylko nie okazało się, że je zamknęli.

Zawróciłam, aby trafić w ręce mojej nowej apodyktycznej opiekunki. Może Lidia nie zmieni się w jędzę? Musi się domyślać, jak bardzo jestem wykończona. Prowadziła mnie jak pijaną, trzymając za ramię. Nie wiem, jak to się stało, ale byliśmy już w drugim, wyższym budynku.

– Schody – ostrzegła. I dobrze, bo wołałam mieć przytulne gniazdko na piętrze. Widzieć z góry cały przyległy teren.

– Oto twój pokój.

Otworzyła drzwi i włączyła światło.

– A Igora? – spytałam, pakując nos w powstałą szparę.

– Na lewo, na końcu korytarza. Za rogiem, po drugiej stronie, mieszkamy ja i Darek. Na dole masz salon z kominkiem, kuchnię, spiżarnię...

– A łazienka?

Zrobiłam dwa kroki i zatrzymałam się przy błękitnym dywaniku.

– Tutaj. – Lidia wskazała mniejsze drzwi po prawej.

– Ale jazda! – Rzuciłam plecak na podłogę obok sporego wyrka. – Każdy ma swoją łazienkę?

– Kiedyś był tutaj pensjonat. A z tymi łazienkami to tylko kłopot. Sprzątanie, zepsute baterie, zatkałe syfony, wymiana uszczelek. Akurat od katastrof hydraulicznych mam Darka. Ale, Gloria, jedna twarda zasada. Każdy utrzymuje swoją łazienkę w czystości.

– Nawet goście? – spytałam przekornie, przysiadając na krześle.

– Nawet. – Głos Lidii był jak napięty biceps Asłana. Jakby podała sobie rękę z domową despotką, Hanną. – Rozgość się, za chwilę przyniosę kanapki.

– Dzięki, nie jestem głodna. Cholernie chce mi się spać.

– Wytrzymasz do śniadania? – wołała się upewnić.

– Spoko, mam tylko prośbę. Obudzisz mnie dopiero o dwunastej?

– Zważywszy na to, że jest już czwarta w nocy...

– Tak późno?!

– Widzimy się po dwunastej. Dobranoc, mała.

Lidia zamknęła za sobą drzwi.

Pierwsze, co zrobiłam, to ściągnęłam kurtkę i salomony. Jakoś nie miałam serca brudzić jasnego dywaniku paryskim syfem, który przywiozłam przyklejony na podszwach. Przepęłniała mnie chęć walnięcia się na wyrko bez rozbierania. Miałam jednak na tę noc inne plany.

Wyłożyłam na łóżko bety z plecaka. Kiepsko, prawie sama bielizna. Zajrzałam do łazienki, oprócz ręczników frotté był tam długi puchaty szlafrok o pięknej wrzosowej barwie. Świetnie! Powinien wystarczyć. Pozbyłam się

reszty ciuchów i wzięłam prysznic. Wytałam włosy, opatuliłam się szlafrokiem. Jeszcze ciepłe kaputki na łapki i byłam gotowa.

Podeszłam do drzwi i przyłożyłam do nich ucho. Cisza. Chwilę jeszcze nasłuchiwałam, a potem ostrożnie je uchyliłam. Lampka przy schodach zalewała korytarz delikatnym miodowym blaskiem. I dobrze, bo gdybym zapaliła światło, nie udałoby mi się przemknąć niepostrzeżenie. Powoli zamknęłam drzwi i niemal na palcach ruszyłam na koniec korytarza. Gdybym usłyszała choćby szelest, natychmiast dałabym drapaka do swojego pokoju.

Kiedy znalazłam się u celu, cicho zapukałam. Nie padło głośne zaproszenie, a był to słaby punkt mojego planu. Igor uchylił drzwi. Zaprosił mnie gestem do środka i szybko je zamknął.

Zdębiałam.

Stałam na środku pokoju z otwartą japą.

– Co to, kurna, jest? – wydusiłam w końcu.

– Wskakuj. – Wskazał na łóżko.

Usiadłam na pościeli i, podciągając poduszkę pod plecy, oparłam się o ścianę. Mogłam z tego punktu widzieć każdy kąt pokoju.

– Ale odlot – skomentowałam. – Centrum dowodzenia?

– Coś jakby – mruknął, wygaszając część hologramów pełznących po ścianach. Pokój przesłuchań na lotnisku wyglądał niczym kabina statku kosmicznego, ten Igora przywodził na myśl mostek smukłego międzygwiazdowego krążownika.

– Pracujesz dla DGSI, SWW, FSB czy CIA?

– Ktoś ci mówił, mała, że oglądasz za dużo filmów sensacyjnych?

– Żeby to raz – bąknęłam. – I nie mów do mnie „mała”!

Podsunał mi coś pod nos. Kurna! Kanapka.

– Nie chcę – warknęłam.

– Jak nie, to nie. Sam ją zmęczę.

Usiadł obok na łóżku, a mnie żołądek aż zaskowyczał z głodu. Zbyt skoncentrowana na planie do wykonania, nieopatrznie podziękowałam Lidii za późną kolację.

– To co? Jesteś miłośnikiem Star Treka?

Igor wygasił kolejną partię holo. Zrobiło się nastrojowo.

– A może jednak... – Ponownie wyciągnął do mnie rękę z kanapką. Kanapeczką, kanapuńką, kanapunieńką. Nie wytrzymałam. Wyrwałam mu ją z ręki. Zaśmiał się. Cholera, miał naprawdę odlotowy uśmiech. Jak komandor galaktycznego kontrtorpedowca.

Wgryzłam się w miękki chlebek jak zombie w wierzgający ludzki kąsek. Igor postawił na szafce nocnej lampkę z czerwonym winem.

– Skąd wiedziałeś? – wyartykułowałam między jednym kęsem a drugim.

– Już na tyle cię znam, że wiem, jak zwabić. Zwabić i poderwać.

– To ci nie wyjdzie. Chce mi się nie tylko jeść, ale i spać. – Sięgnęłam po wino. – Jak pójdzie mi do łba, padnę jeszcze szybciej.

– Przynajmniej nie będziesz pamiętać, co zrobimy tej nocy.

Lampka utkwiała w połowie drogi do moich ust. Resztki kanapki stanęły w gardle.

– Igor, nie... – Nie pozwolił mi dokończyć, kładąc dłoń na wargach. I, cholera, pocałował mnie! Mało brakowało, a zachłysnęłabym się okruchami. – Nie za szybko? – wyjąkałam.

– Racja, powinienem dać ci chwilę, byś skończyła kanapkę.

Nabijał się ze mnie czy gadał na poważnie? Przecież nie chodziło o tę pieprzoną kanapkę! Napiłam się wina. Miłośnicy szlachetnego trunku, a szczególnie wujek Roland, padliby trupem, widząc, jak duszkiem opróżniam kieliszek, trzymając go w obu dłoniach. Igor wciąż się uśmiechał. Bez wątpienia wiedział, jak mnie poderwać. W dodatku sama wpakowałam się w lepkie łapska tego ruskiego amanta. Miałam krzyczeć: „Ratunku!”? Żeby świecić oczami przed siostrą i Darkiem?

Wziął ode mnie pustą lampkę i podał otwartą butelkę z wodą. Facet czytał mi w myślach! Domyślił się, że po kanapce i winie będzie mnie suszyć. Wyłączył hologramy, zostawił zapaloną lampkę nocną. Uruchomiłam procedurę ewakuacji: przesunęłam się na brzeg łóżka. Angielskie wyjście, tego mi było trzeba. Nie udało się, Igor chwycił mnie za rękę. Zsunął z ramienia szlafrok. Swojego ramienia. Położył na nim moją dłoń. Wciągnęłam powietrze w płuca. Bo zaraz odpłynę!

– Co się dzieje? – Zajrzał mi w oczy.

– Za szybko!

– Gloria, wyluzuj. – Zsunął szlafrok jeszcze niżej. – No śmiało, wiem, że chcesz mnie sobie podotykać. Możesz to robić zupełnie bezkarnie.

– Bezkarnie? Nie zechcesz więcej?

– Ty tutaj rządzisz. Gdybym cię skrzywdził, Lidia zrobiłaby ze mnie eunucha.

Ostatni argument przeważył. Jeśli Igor przegnie, nim nastanie świt, moja siostra urwie mu jaja, a zaraz potem łeb.

Wyciągnęłam rękę. Przesunęłam dłonią po jego nagim ramieniu i bicepsie. Nie poruszył się. To mnie ośmieliło. Pogładziłam go po ciepłym torsie. Miał miłą w dotyku, gładką skórę.

– Przyznaj się, że zawsze chciałaś to zrobić. Widziałem, jak na mnie patrzysz na treningach.

Owszem, chciałam dotknąć, ale nie jego. Jednak ostatnie, czego pragnęłam, to zepsuć Igorowi tę chwilę. Utrzymałam język za zębami.

– Jesteś inaczej zbudowany niż moi koledzy. Oni są tacy...

– Cherlawi? Małolaty, takie jak ty, lubią chudzielców. Smukłych, z włoskami na żelek, o smutnych twarzyczkach i spojrzeniach cherubinków.

Przestałam się czaić. Korzystałam z okazji, ile wlezie i gładziłam Igora po torsie. Skoro trafił mi się okaz doświadczalny, czemu miałabym nie skorzystać?

– Ale między nimi a tobą są tylko dwa lata różnicy. A twoja muskulatura – przełknęłam ślinę – no... robi wrażenie.

– Widać efekty, bo dziadek i Oleg nie dawali mi spokoju, ledwie zacząłem raczkować. Zimny ruski wychów.

Uśmiechnął się, gapiąc na...

A niech to! Poluzowało mi się wiązanie szlafroka. Wisiałam nad Igorem, świecąc nagimi piersiami i brzuchem. Nie zdążyłam się ponownie okryć. Przytrzymał moje dłonie. Zalało mnie gorąco. Jeszcze moment, a spłonę! Dobrze, że jemu szlafrok całkiem nie opadł. Wiedziałam, co bym zobaczyła. Coś, co z pewnością nie zachowało się jak jedyna zasłona, która nas dzieliła.

Powoli zsunął materiał z mojego ramienia i delikatnie je pocałował. Przygryzłam wargi, żeby nie jęknąć. Sytuacja i tak była wystarczająco krępująca. Co robić, by nie wyjść na gówniarę? Przecież sama naszłam faceta po nocy.

Niespodziewanie przyciągnął mnie do siebie. Już nie mogłam. Jęknęłam. Jego nagie ciało przy moim. Nigdy nie byłam tak blisko mężczyzny. Otoczył mnie szczelnie ramionami. Trwaliśmy bez ruchu.

– Dobrze ci? – Głos mu drżał, drżało też moje ciało.

– Nawet. – Ale mi się wymknęło! Trzyma mnie taki facet, a ja mówię: „Nawet”?!

Położył się na łóżku, pociągając mnie za sobą. Przeturlał się. Nie wiem jak, ale zapodziałam w pościeli szlafrok, Igor również. Ciągle trzymał mnie przy sobie.

– Naprawdę chce mi się spać – wydusiłam.

– Nie ma sprawy. Przecież mówiłem, że nie będę się spieszyć. Zanieść cię do pokoju?

– Nie. Nie chcę być sama.

– W porządku. Jak cię obejmę, zaśniesz?

– Postaram się.

Dobrze mi było w jego ramionach, naprawdę dobrze. To była przyczyna, dla której nie spieszyło mi się do ciemnego pokoju i zimnego łóżka. A plan miałam zupełnie inny.

– Igor, zdradzisz mi tajemnicę Asłana?

Musiałam go o to zapytać, w końcu po to tutaj przyszłam.

– No to dołożyłaś do pieca, mała – odburknął. – Musiałaś wyskoczyć z innym facetem, leżąc w moich ramionach? Jeszcze byś z tym wypaliła, gdybym się z tobą kochał.

– Chodzi mi o niego i Jasmine.

– Gloria – głos mu złagodniał – to nie jest dobra pora, by o tym mówić. Śpij już.

– Masz rację, to był diabelnie długi dzień. I niezła historia na film

sensacyjny.

– Ale już się kończy...

Słowa Igora docierały do mnie jakby z oddali.

– Wstawaj, śpiochu.

Igor? Nie ten głos. Sięgnęłam ręką w bok. Trafiłam na poduszkę, tylko na poduszkę. Odwróciłam się, otwierając oczy. Kurza twarz! Lidia. Stała tuż przy łóżku. No to wpadłam! Wpadliśmy. Siostra uśmiechała się do mnie. Chwila. Gdyby przyłapała mnie z Igorem, nie miałyby tak dobrego humoru. Rozejrzałam się nerwowo. Plecak na podłodze. Wrzosowy szlafrok na krześle, plakat z *Kosmicznej Zadymy 3* na ścianie. To był mój nowy pokój. Jak się w nim znalazłam? Igor musiał mnie tutaj zanieść, gdy spałam. W samą porę, inaczej byśmy podpadli. Ale przecież obiecał, że gwarantuje mi bezpieczeństwo. Właśnie tym różni się twardo stąpający po ziemi facet od gówniarza.

– Dobrze, że się w końcu obudziłaś. Już wpół do pierwszej.

Fakt, słońce mocno świeciło, cały pokój był zalany światłem.

– Czekamy na ciebie na dole. Kuchnia jest zaraz przy schodach. Tylko nie marudź. Nie będę zwlekać z wrzuceniem jajek na patelnię.

Jajka i patelnia paskudnie mi się skojarzyły – skaza tej nocy. Jednak gdyby nie kanapka, którą uraczył mnie Igor, inaczej bym teraz śpiewała: donośnie burczącym brzuchem. Szybko się umyłam, pozbywając zapachu mężczyzny, i włożyłam ciuchy na zmianę. Rzuciłam jeszcze na siebie okiem w łazience – lusterka akurat starczyło, żebym ogarnęła całą sylwetkę.

Dzinsy leżały na tyłku jak się patrzy. Ale ze mnie laska, smukła i wysportowana, muskularna tam, gdzie trzeba. Mogłam za to podziękować Aślanowi, który gonił mnie na treningi. Tylko te mysie włosy i nijakie oczy. Przed bezbarwnością ratowałam się dopasowaną liliową koszulką. Co Igor we mnie zobaczył? Na drugi raz, zanim wleżę mu do łóżka, spytam go o to.

Trudno było zablądzić, wystarczyło, że zesłam na parter i skręciłam w prawo.

– Dzień dobry – przywitałam się z innymi głodomorami. Przy stole siedzieli Darek i jakiś starszy siwy mężczyzna.

– Z ilu jajek? – spytała Lidia, która stała przy kuchence.

– Z dwóch.

Podeszłam do nieznanego, żeby się przedstawić.

– Szczepan. – Wstał i podał mi rękę. – Lidia już zdążyła się tobą pochwalić. Zajmuję się tutaj końmi i prowadzę lekcje jazdy. Jesteś zainteresowana?

– Jak najbardziej.

Usiadłam na krześle, które podsunął mi Darek.

– Dużo kieszonkowego na to pójdzie?

We Francji takie jazdy były bardzo drogie.

– Wystarczy, jak pomożesz mi przy koniach.

– Gloria – roześmiała się siostra. – To nasz klub, mój i Darka. Jazdy masz za darmo, ale, jak mówi Szczepan, czasem mu pomożesz.

– A gdzie Igor? – zainteresowałam się moim nadgorliwym opiekunem.

– W robocie – odpowiedział facet siostry.

– Wywozi gnój?

Co tutaj można było robić poza nocnym odpalaniem holo?

– Gloria – upomniała mnie Lidia – nie przy jedzeniu.

Nałożyła mi jajecznicę na talerz.

– Lediew nie przyjechał tutaj na wakacje – dokończył Darek.

Mało brakowało, a palnęłabym: „Zdążyłam zauważyć”, łamiąc własną zasadę udawania beztrioskiej małolaty. Centrum nocnych lotów kosmicznych w pokoju Igora świadczyło o tym, że bierze pracę nawet do wyra. Poza tym ściemniał, przecież powiedział mi, że jedzie na wakacje. „Turystyka ekstremalna” – przypomniałam sobie jego słowa. Cholera, co on tutaj naprawdę robi? No i jakoś łyso się czułam, że mnie zostawił. Bo i po co tyle gapiłam się w lustro? Żeby ładnie wyglądać dla staruszków?

– Pyszna – mruknęłam, sięgając po kubek z herbatą.

– Jaja prosto spod ciepłego kurzego kupra – uśmiechnął się do mnie

Szczepan. – Gdy zjesz, oprowadzę cię po włościach, przedstawię swoich ulubieńców.

– Korzystaj – dodała Lidia. – Bo jutro jedziesz do szkoły.

– Tak szybko?

Nie byłam na to przygotowana. Wiejska sielanka zdążyła mnie rozleniwzić. Słoneczko padające na ławę, błyszczące rondle nad kuchnią, szafki z ciemnego drewna, boazeria w kolorze sepii.

– Nie mam już ciuchów na zmianę. – Błyskawicznie formowałam linię obrony. – Asłan i Hanna nie dali mi wiele czasu na spakowanie.

– Kiedy Szczepan już się pochwali swoimi podopiecznymi, zabiorę cię do galerii. Tam kupisz, co trzeba.

Siostra uszczelniała wszystkie przesmyki, nie pozwalała mi zdobyć przyczółka.

– A co to za szkoła? Jakiś publiczny ogólniak?

– Publiczna, ale nie jest to zwykły ogólniak. Będziesz chodzić do szkoły naszej mamy.

– Ekstra! – Takie rozwiązanie mogłam zaakceptować. – Jak udało ci się to wszystko tak szybko załatwić?

– Powiedzmy, że mam znajomości w kuratorium. Igor dostarczył mi twoje dane z merostwa, w tym również, gdzie się uczyłaś.

Nowa władza we Francji uważała, że namawiając obywateli na edukację, zabierze ich z ulicy. Za to, że się uczyłam, Hanna płaciła niższe podatki.

– A moje incog... – Zamilkłam pod karcącym spojrzeniem siostry. Najwyraźniej był to temat, którego nie chciała poruszać przy świadkach.

– Gotowa? – spytał Szczepan.

– Gotowa.

Wstałam, zbierając brudne naczynia z ławy. Przynajmniej na początku nie chciałam pokazać, jaka ze mnie bałaganiara.

– Piękna pogoda – rzuciłam, kiedy znaleźliśmy się na zewnątrz.

Szliśmy po ścieżce wysypanej białymi kamyczkami, zmierzając do stajni.

– Piękna – zgodził się Szczepan – ale skoro jutro jest twój pierwszy dzień

w szkole, odradzam ci dzisiaj jazdę. Będiesz mieć problem z chodzeniem po schodach. Oprowadzę cię tylko po terenie i pokażę konie.

Gdy tak szłam obok niego, zaczęłam kombinować, jakby przedłużyć sobie te niespodziewane wakacje do końca tygodnia. Gdybym uczyła się w liceum plastycznym za czasów mojej mamy, potrzebowałabym ołówków, pastelów, farb, pędzli, oleju lnianego, terpentyny, zagruntowanego płótna. Czyli wizyta w galerii stanowczo by nie wystarczyła. Przydałaby się wyprawa do sklepu dla plastyków albo jeden, dwa dni na realizację zamówienia. Jednak pół wieku później wystarczył program graficzny, skaner oraz kody do konta.

Szczepan najpierw zaprowadził mnie do kantorka, gdzie trzymał końskie rzędy, po czym zrobił wykład, jak powinno się nosić siodła, odkładać na miejsce, podciągać strzemiona, przekładać popręg przez siedzisko. Potem zaczął mnie przepytawać z ledwie co poznanego specjalistycznego słownictwa. Odpuścił dopiero, kiedy wymieniłam z pamięci, z czego jest zbudowane siodło. Każde z nich wisiało na długim kołku wystającym ze ściany, powyżej były tabliczki z imionami koni, do których dany rząd należał. Baśka, Korina, Trak, Świt, Świtez – nieźle sobie łamałam język, mimo że w domu Hanny, kiedy byłyśmy tylko we dwie, mówiłyśmy po polsku, poza tym czytałam sporo książek po polsku i chodziłam do polskiej szkoły. Zanim zaczęłam się nudzić, Szczepan zabrał mnie do stajni, gdzie mogłam zobaczyć te wszystkie Świtezie i Świtezianki.

– Popatrz – tłumaczył – znak „xo” oznacza, że Korina jest angloarabem. Świt ma „xx”, czyli jest arabem czystej krwi. A „oo” Traka informuje, że to koń pełnej krwi angielskiej, folblut.

– Koń wyścigowy?

– Dokładnie. Co prawda Trak to już emeryt, ale nie stracił dawnego animuszu.

– A ona? – Wskazałam na masywną kasztankę, nad której boksem wisiała tabliczka z napisem „Baśka”.

– Rasa nieokreślona, kupiliśmy ją od rolnika.

– Zimnokrwista?

Szczepan się roześmiał.

– Nie powiedziałbym. Ta kobyła ma najbardziej piekielny temperament,

z jakim się spotkałem. Trzeba do niej pewnej ręki. Chodźmy, za chwilę koniki będą zarabiać na swój owies, a Lidia nie omieszka się upomnieć o ciebie.

Wyszliśmy ze stajni. Szczepan obszedł ze mną jeszcze ujeżdżalnię, pokazał stodołę i już mieliśmy wracać, kiedy moją uwagę przykuł duży zagajnik za pastwiskiem. Dostrzegłam z oddali ukrytą w nim wysoką bramę, do której prowadziła boczna droga. Nie widziałam jej wcześniej, bo była zasłonięta stajnią i budynkami gospodarczymi.

– Chodźmy tam – zaproponowałam Szczepanowi.

– Nie ma sensu – mruknął. – Brama i tak jest zamknięta.

– A co tam jest?

Skoro już łaziliśmy po terenie, chciałam zajrzeć wszędzie.

– Lidia na nas macha – zbył mnie.

Siostra stała przy toyocie i kiwała ręką, żebym się nie ociągała. Podziękowałam mężczyźnie i podeszłam do samochodu.

– Gotowa? – spytała.

– Tak...

– No to wsiadaj.

– Ale co jest za stajniami?

Zajęłam miejsce obok kierowcy, z tyłu siedział Darek. Facet na babskie zakupy? Dziwne. Najwyraźniej miałam do czynienia z masochistą, uwielbiającym tkwić przez kilka godzin przed damskimi przebieralniami.

– Lepiej pomyśl, co chcesz kupić. – Lidia wręczyła mi elektroniczny notatnik, który odpięła od deski rozdzielczej. – Żebyś wieczorem nie jęczała, że czegoś zapomniałaś.

Odpaliła silnik.

– No to w drogę, bo jeszcze chwila, a utkwimy w korkach na wjazdówkach.

Wizyta w galerii była tak nudna, jak się spodziewałam. Lidia nie pozwoliła mi pokręcić się po markowych butikach, w dodatku kompleks handlowy mieścił się na przedmieściach Krakowa. Siostra stwierdziła, że do centrum nie

ma co jechać, bo asortyment ten sam, a połowę czasu spędzilibyśmy w korkach, których nie rozładowała nawet północna obwodnica. Jeszcze miałyśmy na karku Darka. Facet ciągle spoglądał na zegarek, powstrzymując się przed ziewaniem. Na jego miejscu poszłabym do fast foodu i tam poczekała na zakupoholiczki. W takich sytuacjach Roland, mąż Hanny, zniknął, żeby pomyszkować w dziale z narzędziami. Na koniec zakupów Lidia się szarpnęła i zjedliśmy obiad w sieci Tukan. Kiedy wyjeżdżaliśmy z centrum, zapadał zmierzch. Powrót zabrał nam sporo czasu. Ludzie wracali do noclegowni na przedmieściach.

Miałam umiarkowanie szczęśliwą minę, gdy wysiadałam z toyoty. Było już późno, stajnie zamknięte, żadnego towarzystwa. Pozostało mi zaszyć się w pokoju, gdzie rozpakowałam zakupy. Dwie pary dzinsów, trochę topów, pięć koszulek z długim rękawem, lżejsze buty... nuda. Z takim kramem idealnie wtopię się w tłum tubylców, oczekujących po koleżance z Paryża, że zaprezentuje im bardziej odjazdowe wdzianka. Żeby chociaż miała oryginalną urodę. Obcokrajowcy spodziewają się po nas długich blond włosów i błękitnych oczu, a zachodnie Słowianki to właśnie takie szare myszy.

Brzuch napełniłam w centrum, dlatego już nie kręciłam się po kuchni. Przyniosłam sobie na górę napój miętowo-jabłkowy, umyłam się i wskoczyłam na łóżko. Odpaliłam holo i laptopa. Chciałam wrócić do swojego rysunku. Niemrawo gmerałam rysikiem po skanerze. Słabo mi szło, żadnego pomysłu. Usłyszałam dźwięk silnika, coraz głośniejszy. Zaciekawiona podeszłam do okna.

Na podjeździe zatrzymał się czarny džip wrangler. Zabiło mi serce. Zobaczyłam wysiadającego Igora. Nie zdążyłam się cofnąć. Zamachał ręką, gdy tylko dostrzegł mnie w oknie. Wołałam już się nie wychylać i wróciłam na łóżko. Nadal nie mogłam niczego ciekawego popełnić. Kasowałam kolejne szkice i spoglądałam na dolny róg wyświetlacza hologramu, mając gdzieś wiadomości lokalne. Cały czas wracałam myślami do Igora. Musiał już umyć się i zjeść. Pewnie teraz, jak ja, siedzi na łóżku, w scenerii przypominającej mostek kapitański niszczyciela. Ale mnie kusiło, żeby zerwać się na nogi i znowu do niego zakraść! Pożrę własny rysik, jeśli on na mnie nie czeka. Jednak nie! Trochę godności. Nie przyjdę do niego. To facet powinien zrobić pierwszy krok.

Pukanie do drzwi. Przyszędł! Z wrażenia zadrżałam. Gdybym nie siedziała

na wyrku, nogi ugięłyby się pode mną. Gloria, nie pękaj! Wstałam i podeszłam do drzwi. Uchyłam je z duszą na ramieniu.

– Lidia? – Usiłowałam ukryć rozczarowanie.

– Babski wieczór, siostrzyczko. Przyniosłam lody i kody do najnowszej *Kosmicznej zadymy*.

Rozdział 11

Trojło Oril

Płyny szybciej krążyły w żyłach Orila, coraz lepiej czuł swoje ciało – znak, że zbudził się z hibernacji. Sprawdził pancerz, płyty szczelnie zachodziły jedna na drugą. Czujniki przesyłały dane z otoczenia: mieszanka łagodnych gazów, brak żrących substancji. Bojowy pancerz błyskawicznie dostosowywał swoją strukturę. System obronny ustawił właściwy poziom zabezpieczeń.

Kiedy upewnił się, że nic nie zagraża jego organom wewnętrznym, pozwolił na absorpcję substancji z nowego środowiska. Wykorzystując bazę spatów, równocześnie przyswajał informacje o systemie planetarnym i zamieszkujących go istotach. Ilość informacji do przetworzenia była ogromna, ale dla Orila to żadna nowość. Aby mógł skutecznie wypełniać zadania, musiał poznać wrogów z każdego systemu, do którego go wysłano. Tym razem było inaczej. Skoro miał leczyć, zamiast niszczyć, musiał posiadać jeszcze większą wiedzę.

Pracował nad specyfiką inteligentnych istot zamieszkujących Ziemię, równocześnie dozował mieszankę gazów i sprawdzał reakcję na bodźce. Szybko dostroił zmysły do tych, którymi posługiwali się ludzie. Teraz widział ich oczami, lecz nie pozwolił sobie na osłabienie słuchu i zmysłu powonienia. Lubił mieć przewagę. Odzywały się w nim stare nawyki.

Wciągnął powietrze w płuca, chłonał zapach wilgotnej ziemskiej gleby. Obce środowisko mu odpowiadało, jednak zamieszkujący je ludzie budzili coraz większą niechęć – wręcz odrazę. Właśnie przyswoił sobie dane historyczne. Wnioski nie wzbudziły w nim entuzjazmu.

Instynkt nie mylił takiej istoty jak rokus, który był zarazem bojowy Trojło. Trzeba tutaj posprzątać, stwierdził.

W czasie kriogenicznego snu prześladowały go koszmary. Nie zdołał ustalić ich źródła. Czyżby chodziło o wspomnienia? Czy już kiedyś przybył na tę planetę? Ale po co spaci zsyłaliby go w to samo miejsce? Czy miał się

zrehabilitować za czyny popełnione na Ziemi? Musi jak najszybciej przypomnieć sobie dawne misje. Problem w tym, że nawet dysponując pojemnym umysłem, nie mógł w krótkim czasie wyłuskać wszystkich informacji. W dodatku spaci poddawali go eksperymentom, stosowali bodźce zakazane przez Kodeks Planetarnych Kontraktorów. Znaleźli pretekst: agresywne zachowanie Trojla wobec zleceniodawców.

Oril przestał się koncentrować na wspomnieniach, teraz studiował ludzkie zachowania. Gesty, mimikę, sposób myślenia. Przyswajał też mowę, poznał kilka języków. Przystawiał się na tryb ciągłej nauki. Wystarczy pełny obrót planety i zakończy proces dostosowania się do nowego środowiska. Jeszcze tylko kamuflaż. W tej chwili zlewał się z otoczeniem. Aby egzystować wśród ludzkich istot, powinien wybrać postać, w której będzie się im ukazywać. Dotąd nie zdecydował, jak ma wyglądać. Otrzymał wiadomość, że jego gospodarze są przygotowani na przyjęcie rokusa. Oril czekał.

– Burza – mruknęłam i przesunęłam się na brzeg łóżka, odkładając na stolik opakowanie po lodach. Siostra mnie wyprzedziła. Zerwała się z pośłania i podbiegła do okna. Nie zamknęła go, widocznie coś na zewnątrz przyciągnęło jej uwagę. Wstałam i podeszłam do Lidii.

Niebo przecinały błyskawice, powietrze pachniało ozonem, co dziwne, nie słyszałam grzmotów. Na teren posesji wjechał nieduży samochód ciężarowy, jego otwarta paka właśnie zniknęła za stacją. Lidia w końcu zamknęła okno.

– Przepraszam, siostrzyczko, ale muszę cię opuścić. Zresztą najwyższa pora. Powinnaś się wyspać. Punkt ósma masz się zameldować przy samochodzie.

– Czyli pobudka najpóźniej o siódmej – jęknęłam. – Na zebranie się będę potrzebowała co najmniej godzinę. Mycie, ubranie, śniadanie...

– I tak masz fory – ucięła. – W polskich szkołach zajęcia zaczynają się zazwyczaj o ósmej. Najczęściej to WF, czyli sport lub gimnastyka. Albo przysposobienie obronne.

– Przysposobienie obronne? Co to, do urny, jest? Komuna, jak za czasów naszych dziadków?

– Ano tak się porobiło, to przez nieciekawego sąsiada. Jeszcze pięć lat temu młode dziewczyny przechodziły obowiązkową roczną służbę w wojsku.

– No nie żartuj!

– Idę już. – Lidia się zniecierpliwiła. – I... Gloria, nie wychodź z domu. Nie życzę sobie, byś w nocy kręciła się po okolicy. Czy to jasne?

Oczywiście, że już kombinowałam, jak dać drapaką. Skąd siostra tak dobrze mnie zna? Bo jesteśmy podobne?

– Jasne – bąknęłam. – Ta ostrożność też przez sąsiedztwo?

– Nie wyjdiesz niezauważona. – Trzeba jej to przyznać, perfekcyjnie mnie wyczuła. – Przy drzwiach wejściowych i oknach są czujniki, które zaraz uaktywnię. I nie lekceważ mojego polecenia. Jak zacznie wyć alarm, firma ochroniarska przyśle tutaj ludzi.

No to byłam udupiona. Bezapelacyjnie.

Lidia wyszła, Kirk Wielka Stopa właśnie celował do mnie z fazera, a niebo za oknem przecinała kolejna błyskawica. Chyba powinnam wyłączyć holo z prądu? Siostra była zbyt skrupulantką, żeby o tym zapomniała. Widocznie tych kilka wyładowań nie zaszkodzi projektorowi do multimediiów. Pozostało mi samotnie dokończyć oglądanie *Kosmicznej zadymy* numer któryś tam, kiedy nad nami, w kosmosie, szalały zabójcze promienie gamma.

Nie dotrwałam do końca filmu. Lidia mówiła tylko o czujnikach na zewnątrz. Wstałam ponownie z wyrka i podeszłam do okna. Jeśli nie wychylę się z niego, alarm nie powinien chyba zawyć? Wolałam tego nie sprawdzać i ostrożnie spojrzałam przez szybę. Samochodów było więcej, a może to ten sam, tylko zrobił nawrotkę? Tajemniczy obiekt w zagajniku! To tam musiała się udać Lidia. Zbadam sprawę, gdy wrócę ze szkoły. Nie, jednak nie. Nie potrafiłam wysiedzieć na tyłku. Narzuciłam na siebie szlafrok i wyszłam na korytarz.

Cicho zapukałam do pokoju Igora. Nie otworzył drzwi, jak poprzednio. Chwilę jeszcze odczekałam, nic. Śpi i nie słyszy stukania? Wątpiłam, żeby Darek z Lidią byli u siebie, więc zapukałam głośniejsze. Nadal nic. Może nie powinnam faceta budzić? Jednak znając Igora, miałam pewność, że taka błażostka go nie rozgniewa, poza tym tak się przejął moją seksualną edukacją, że wiele mi wybaczy. Nawet najście, gdy pracuje do późna w nocy.

Po kolejnej próbie zasygnalizowania swojej obecności pod drzwiami miałam już odejść. Położyłam rękę na klamce. Nacisnęłam. Żadnego oporu. Pchnęłam drzwi. Ustąpiły.

Z wrażenia aż zagwizdałam. Poczułam się, jakby Wielka Stopa zaprosił mnie na wycieczkę do wnętrza Ziemi. Takiego bajeranckiego *real holo* jeszcze nie widziałam. Czyżby Igor również był fanem *Kosmicznej zadymy*? Pokój był jednak pusty. Gdzie facet się podział? Czyżby tak jak Lidia poszedł do tajemniczego obiektu? Może przekradł się za moją siostrą? Ale czujniki! Musiałby wyjść przed Lidią z budynku i przycząć się w krzakach albo za stajnią.

Podeszłam do okna, żeby sprawdzić, czy ktoś nie kręci się na zewnątrz. Pustka, okolica zdawała się wymarła, nawet samochód przestał krążyć. Skupiłam uwagę na holo.

Ściany ociekały wilgocią, gdzieniegdzie gładką powierzchnię porastały atramentowe mchy. To mogły być okoliczne jaskinie, miękkie wapienie przez wieki wymywane przez wodę. Widok uległ zmianie, przeniosłam się najprawdopodobniej do podziemi. Chodniki połyskiwały, jakbym poruszała się w szyjce ogromnej butelki z czarnego szkła. Tym razem miałam skojarzenie z plazmowym wiertłem, którym ludzie wypalali sobie drogę. Kirk takiego używał w *Zadymie*, kiedy przebijał się przez asteroidy. Lecz hologram nie przypominał filmu, u dołu i z boku przesuwwały się żółte i zielone cyferki, migały też jakieś wskaźniki ze ścieżką podobną do zapisu dźwięku.

Nie wiedziałam, co robić. Poczekać na Igora? Nie wiadomo, ile by to trwało, przecież musiałam się wyspać, z samego rana trafię do uczniowskiego piekła. Już miałam wyjść, gdy w tunelu mignęło coś dziwnego. Na tle ściany dostrzegłam podłużny kształt, który jeszcze przed chwilą zlewał się z otoczeniem. Przypomniałam sobie stwora, którego narysowałam w samolocie i który niespodziewanie zniknął. To coś wyglądało jak krzyżówka welociraptora ze stegozaurem. Grzbiet drapieźnika zdobiły wyrostki kostne. Ciało pokrywały antracytowe płyty zachodzące na siebie jak łuski w rzymskiej zbroi. Ale największe wrażenie zrobiły na mnie wąskie szpary w miejscu, gdzie stwór powinien mieć oczy. Wypełniała je płynna magma. On mnie obserwował!

Podskoczyłam. Coś niespodziewanie spadło na moje ramię.

– Spokojnie, mała. – Rozpoznałam głos Igora.

– Ale mnie wystraszyłeś!

Odwrócił mnie ku sobie i przyjrzał się uważnie.

– Jesteś blada, jakbyś zobaczyła ducha.

– To coś! – Wskazałam ręką na hologram, zerkając przez ramię.

– Coś? Co jest przerażającego w tunelach?

Stwora już nie było. Zniknął.

– Naprawdę go nie widziałeś?

– Kogo?

Igor pogładził mnie po policzku, chcąc dodać otuchy. Albo ja miałam zwidy, albo on udawał. Albo po prostu za późno wszedł do pokoju. Jednak nie. Kiedy Igor kładł mi rękę na ramieniu, stwór jeszcze tam był. Może tylko ja i Dżochar mogliśmy go zobaczyć? A może to moja wybujała wyobraźnia? Pomyślałam o Asłanie. Gdzie on teraz jest? Poczułam, jak bardzo mi go brakuje. Igor właśnie prowadził mnie do łóżka.

– Muszę się wyspać – zaprotestowałam.

– Myślałem, że nie chcesz zostać sama.

Choiinka, nie chodziło mu o seks. Naprawdę się o mnie martwi.

– Poradzę sobie, ale...

– Tak...?

– Nie, nic. – Powstrzymałam się przed pytaniem o siostrę. Czy nie wiedział, gdzie poszła? Może Lidia nie chciała, żeby o tym wiedział? Nie znałam roli Igora Lediewa w całej tej historii. Wolałam być ostrożna. – Powiedz mi, co to za tunele? Nie spotkałam się jeszcze z tak realistycznym holo.

– Testuję program dla firmy mojego kuzyna.

A takiego! Mam w to uwierzyć? Igor był wojownikiem, a nie jajogłowym. Tacy goście nie tracili czasu na gry i tym podobne pierdoły. Prędzej bym go widziała jako testera najnowszej lunety snajperskiej. Nie skomentowałam tych bredni, żeby nie wyjść z roli głupiutkiej małolaty. Wątpiłam, czy przekonałam go do swojej maski. On również mnie nie przekonał do swojej.

Powoli, tylko powoli, myślałam w drodze do łóżka. Przestaniecie na mnie

zwracać uwagę, przyzwyczajacie się do mojej obecności i wtedy was zdemaskuję. Wszystkich: ciebie, Lidię z Darkiem i Asłana z jego cynglami.

Kolejna dziwna noc. Może jutro w szkole będzie normalniej? Nie bardzo w to wierzyłam. Przynależność obronna? Przymusowa służba wojskowa? Myślałam, że to w Paryżu jest strefa wojny. Tutaj nawet w parku krajobrazowym włączało się alarm na noc, a założyłam się o moje roczne kieszonkowe, że Darek, kiedy towarzyszył nam z Lidią w centrum handlowym, trzymał pod kurtką odbezpieczonego gnaty.

Obcy w końcu przybyli. Nie podeszli do Orila, trzymali się z daleka. Rokus również trzymał dystans i nie spieszył się z przemianą. Minie sporo czasu, zanim ich wzajemny kontakt będzie przebiegał w sposób naturalny. Obchodzili go ze wszystkich stron, w rękach trzymali skanery, coś sobie przekazywali głosem. Wydawane przez ludzi dźwięki nie drażniły wrażliwego słuchu rokusa. Przypominały szelest szutmorów żyjących na Trionie. Oril rozumiał już znaczenie poszczególnych słów, a nawet całych ciągów. Dziwne, mowa obcych zbytnio się nie różniła od sposobu porozumiewania rokusów i spatów, mimo że ludzie mieli inną fizjologię. Prześwietlał ich ciała, badał strukturę tkanki. Nie posiadali naturalnych osłon, jak zamieszkujące Ziemię owady. Musieli tworzyć pancerze z dostępnych materiałów. Przychodziło im to z łatwością, byli przecież najinteligentniejszą formą życia na planecie, zdolną wyruszyć poza jej atmosferę.

Oril wyczuwał w pobliżu również inne istoty, zwane przez ludzi ssakami. Lepiej jednak, żeby skupił się na swoich gospodarzach – to oni mieli go żywić i ukrywać przed innymi ludźmi. Spatowie zrzucili go w idealne miejsce. Lubił jaskinie. Przypominały mu tunele drążone w planetoidach. On sam był w stanie przebić sobie drogę przez miękką skałę. Wystarczyło, aby złożył osłony w stożek, nadając im kształt muszli oszernicy z Triona. Ruch skłonny i twarde krawędzie czyniły z jego pancerza idealne wiertło. Oril trafił do jaskiń w inny sposób. Podróżował w kapsule, która weszła w atmosferę Ziemi. Podejrzywał, że spaci wywołali sztuczną burzę, aby zataić ten fakt przed mieszkańcami planety. Dysponowali większą wiedzą niż ludzkie istoty, ale niechętnie się nią dzielili. Poinformowali tylko Orila, że nie był pierwszym

skazańcem, który przybył za Ziemię.

Otaczający go ludzie dali znak, aby za nimi podążył. Rozumieli, że użycie siły wobec tak silnej, sprawnej formy życia nie jest najlepszym pomysłem. Próbowali się jednak zabezpieczyć. Obie strony do końca sobie nie ufały. Trojło rozpoznał przedmioty, które trzymali w chwytnych kończynach. Prymitywna broń wyrzucająca pociski i paralizatory miotające ładunki elektryczne – wszystko za słabe na jego pancerz.

Używając tego samego słownictwa, już myślał tak jak oni. Starał się dotrzeć do ich umysłów. Istota, która mogła wydawać na świat potomstwo, była najslabsza fizycznie, zupełnie jak samice spatów i rokusów. Za to najmniej się go obawiała. Była silna duchem. Oril poczuł do niej sympatię, tym bardziej że starała się nawiązać z nim kontakt, pokazując gestami, gdzie ma się przemieszczać. Chcieli go zamknąć. Nie miał nic przeciwko temu – analiza materiału dostarczyła mu informacji, że pręty go nie powstrzymają, za to ludzi na pewno. Mózg aż mu się gotował od świeżo przyswojonego materiału. Oril teraz pragnął jednego – zapaść w odprężający letarg.

Część druga

Szkoła przetrwania

Rozdział 12

Liceum

Stawiłam się przy rabatce punkt ósma. Hanna byłaby ze mnie dumna. Gdzie toyota? Rozumiem, trzeba pomóc przy koniach, ale po co wstawać tak wcześniej, skoro nikt nie zamierza zawieźć mnie do szkoły? Ciekawe, jak docierali tutaj kursanci, skoro taksówki miały zakaz wjazdu? Na rowerach? Cały ten klub jazdy konnej to jedna wielka ściema...

Wreszcie usłyszałam dźwięk silnika. Tylko dlaczego dochodził od strony drogi? Czyżby Darek wracał ze świeżym pieczywem, kiedy ja zdążyłam się zapchać gumiastymi resztkami? Może porwę jeszcze coś do szkoły? Nie było tutaj bulanżerii za rogiem, najwyżej owies w stodole.

Na podjazd wjechał czarny wrangler. Igor? Uspokoiliam oddech. Jedna noc z facetem w łóżku, przytuleni na golasa, i już wariuję? Ponowny skok serducha. Aslan? Nie, to był Dżochar. Skinął na mnie, uśmiechając się szeroko.

Wychodziło na to, że właśnie on ma mnie zawieźć do szkoły. Otworzył drzwi dżipa, ucinając moje kombinacje.

– Sauter. Wskakuj – zaraz się poprawił.

Wsadziłam plecak za fotel i usiadłam obok kierowcy.

– Wiesz, gdzie jechać? – spytałam, kiedy Dżochar ruszył.

– Mhm – mruknął, dając mi do zrozumienia, że nie ma nastroju do rozmowy.

Jechaliśmy w milczeniu. Na terenie parku minęliśmy tylko dwa samochody. Horror zaczął się, kiedy dotarliśmy na wyjazdówkę. Byliśmy ogniwnem w sznurze pojazdów, elektrycznych hybryd o opływowych kształtach i miniaturowych, tanich tatek. Czasem trafił się jakiś samurai. Albo SUV na benzynę ze snobem za kierownicą. Tak jak we Francji, w Polsce za takie smoki płaciło się gigantyczny podatek. Chcesz zanieczyszczać środowisko? Nie ma sprawy, tylko za to zabal. Za toyotę Lidia też musi nieźle płacić, chyba

że ma jakąś zniżkę za... Właśnie. Uświadomiłam sobie, że moja siostra należy do warstwy uprzywilejowanej w tym kraju. Czyżby dzięki naszym rodzicom? Za ich zasługi? Od Dżochara się tego nie dowiem...

– Wiesz, gdzie jest Asłan?

Miałam nadzieję, że tym razem zechce mi odpowiedzieć.

– Wiem – burknął tylko.

No, nie! Czym go wkurzyłam? We Francji facet był bardziej rozmowny. Co za humorzasty osobnik! Zatęskniłam za towarzystwem Igora.

Kiedy tak się nudziłam, przysypiając na fotelu, kątem oka dostrzegłam, jak Dżochar majstruje przy desce rozdzielczej. W Polsce musieli używać systemu podobnego do francuskiego TASR-u. Dopiero teraz, gdy przymknęłam powieki, zauważyłam gdzieś na wysokości kolan dobrze mi znaną szmaragdową poświatę. Mam go! Dżochar nie był skłonny do pogaduszek, bo koncentrował się na drodze. On nie odwoził mnie po prostu do szkoły. Robił za mojego ochroniarza, jak Asłan w Paryżu.

Zaczęłam inaczej patrzeć na otoczenie. Oceniałam zagrożenia. Ten SUV za nami, niebezpieczna sprawa. Mogli ostrzelać nas z góry, ich pojazd był wyższy. A jeśli wrangler ma pancerne blachy i szyby? Z książek wiedziałam, że kontraktorzy nie prowadzą samochodów. Siedzą obok z bronią gotową do strzału, tak jak Darek, kiedy wybrał się ze mną i Lidią do galerii. Ale dodatkowy kierowca, dzień w dzień odwożący małolatę do szkoły? A jeśli mamy ogon? Ktoś nas osłania? Może nawet siedzi w tym SUV-ie jadącym z tyłu? Czy gdzieś tutaj czaili się Asłan z Memedem?

Przesadzam! Jestem przewrażliwiona.

– Dżochar – nie wytrzymałam – co z Paryżem? Szakale mogli za nami przylecieć!

– Strefa Schengen... – Na chwilę zamilkł, jakby szukał w polskim języku właściwego słowa. – To ściema. Ruch na granicy jest kontrolowany.

– Taa.... kontrolowany, a te świrusy w samolocie to czerwona mgła?

– Zgarnęliby ich w Balicach.

– Z deka za późno – parsknęłam. – I pewnie mi teraz powiesz, że dlatego porwali samolot, żeby tutaj nie wylądować.

– Całkiem możliwe.

I taka była z nim rozmowa. Dżiny, Najwyższy, kulka w łeb szatana. Facetowi brakowało na kolanach jego fetyszu: karabinu M24A4 z regulowaną poduszką i nacięciami na ciemnoorzechowej kolbie. Pewnie trzyma go pod siedzeniem albo w bagażniku, a jaja uciskał mu pistolet SIG-Sauer P350, też z tłumikiem. Dżochar był ubrany w szarą kurtkę z licznymi kieszeniami. Mógł w nich schować praktycznie wszystko, nawet minibazukę. Podręczny zestaw małego terrorysty albo kompaktową hulajnogę z odrzutowym silniczkiem.

Wjechaliśmy na wiadukt, sznur samochodów się rozciągnął. Miałam Kraków u swoich stóp, z jego zabytkową architekturą. Patrzyłam na kościół Mariacki, Wawel, zabudowania klasztorów i paskudzące tę sielanek gładkie ściany biurowców, na których straszyły banery banków – znak, że główny architekt miasta przegrał batalię z drapieżnym biznesem.

Dżochar ściągnął ręce z kierownicy i założył je za głowę. Przeciągnął się leniwie, jakby właśnie wstał z wyra. Musiał się podłączyć do automatycznego systemu zarządzania ruchem. Podejrzewałam, że w przeciwnym wypadku nie mógłby skorzystać ze skrótu.

Szmaragdowa mgiełka nadal wypełniała wnętrze. Wrangler miał nałożoną budę. Idę o zakład, że był wypożyczony przez jakiegoś Kowalskiego. Mógł nim kierować praktycznie każdy misio, byle miał prawko. Ale wtedy sypała się moja teoria o pancernych elementach. Takimi pojazdami nie dysponowała pierwsza lepsza firma typu rent-a-car.

A jeśli wypożyczyli go z woja? Co wtedy z pancernymi osłonami? Na to też znalazłam wytłumaczenie: gliniarze we Francji jeździli na normalnych tablicach, żeby nie prowokować zamachowców i pospolitych ulicznych bandziorów. Przypomniałam sobie o nieszczęsnym przysposobieniu obronnym, które czekało mnie w szkole. Całkiem możliwe, że tutaj w wypożyczalni samochodów można się zaopatrzyć i w zgrabnego rosomaka.

Dżochar ponownie chwycił kierownicę. Na desce rozdzielczej pulsowała czerwona kontrolka. Zjechaliśmy z wiaduktu. Wzdłuż drogi ciągnęła się rozległa łąka z niską trawą – domyśliłam się, że to Błonia. Jechaliśmy chwilę wzdłuż zielonego dywanu, a potem skręciliśmy w prawo, potem jeszcze raz w prawo – i zanurzyliśmy się w uliczkę, przy której wyrastały kilkupiętrowe domy pokryte pastelowymi tynkami. Na wprost zobaczyłam cel naszej krótkiej

wyprawy.

Moje nowe liceum.

Na parkingu przed szkołą było jedno wolne miejsce. Dżochar zatrzymał tam wranglera. Zerknęłam na deskę rozdzielczą: unosił się nad nią hologram okolicy z zaznaczonym pomarańczowym prostokątem. Przy deficycie przestrzeni do parkowania system wysyłał sygnał, gdzie i na jak długo możemy stanąć, oczywiście za odpowiednią opłatą. Tuż obok nas parkował pojazd przypominający małego humvee. Wysiadło z niego kilku chłopaków. Już na pierwszy rzut oka mi się nie spodobali. Byli jacyś... dziwni.

– No, śmiało. – Dżochar odblokował drzwi od strony pasażera, które same się otworzyły. – Zamelduj się na portierni. Lidia mówiła, że wszystko ci tam przekażą.

Zwlekłam się z siedzenia. Im bliżej tej cholernej budy, tym większą miałam ochotę wystrzelić się gdzieś w kosmos, byle nie przekraczać progów tego zapyziałego przybytku, tej świątyni mądrości – paskudnego szarego budynku. Dżochar zaraz odjedzie i zostanę sama. Zupełnie sama. Jak rozbitek w oceanie pełnym głodnych żarłaczy białych. Sięgnęłam za fotel, by wyciągnąć plecak. Kiedy się odwróciłam, moja ręka zawisła w powietrzu.

Gapił się na mnie jeden z małolatów, którzy opuścili humvee. W końcu przestał się we mnie wpatrywać i skierował wzrok na mojego kierowcę. Tfu! Mojego osobistego bodyguarda. Wymoczek paskudnie się skrzywił. Nie spodobał mu się Czeczen? Niech spada!

Przełożyłam pasek plecaka przez ramię, rzuciłam „cześć” Dżocharowi i ruszyłam ku kanciastej budowli o odrapanych burych ścianach.

Zatrzymałam się w połowie drogi. Zapomniałam zapytać, czy ktoś odbierze mnie ze szkoły. Całe szczęście, że Dżochar jeszcze nie odjechał, właśnie opuścił szybę.

– Będę tu na ciebie czekać! – krzyknął.

– Wiesz chociaż, kiedy kończę zajęcia?

Shit! Jak prysnę z budy, siostra się o tym zaraz dowie.

– Spokojnie, Lidia ściągnęła twój plan zajęć. Poradzisz sobie, Chwała!

Chwała, czyli Gloria. Wzruszyłam ramionami, patrząc, jak odjeżdża. Moje nieszczęsne imię miało dodać mi otuchy? Obawiałam się, że nie wyjdę cało

z tej szkoły przetrwania. Wtedy Gloria będzie się kojarzyć z *Gloria victis* – „Chwała pokonanym”. Chłopak dalej się na mnie gapił, stojąc w otoczeniu kolegów. Już wiedziałam, co mi w nich nie pasuje. Ubrania, a właściwie mundury. Czarne wdzianka, na ramionach naszywki... z trupią czachą. Chwila! Halloween dopiero za miesiąc. Skąd ci przebierańcy się urwali? Co robią pod ogólniakiem? Byli mniej więcej w moim wieku, co sugerowało, że to uczniowie. Tylko te nazistowskie mundurki... Ale Lidia mówiła, w czasie naszego nocnego party z lodami i *Kosmiczną zadymą*, że już za czasów mamy nie trzeba było w tym liceum nosić fartuszków. Odpadał też problem tarcz trzymających się tylko na gumkach albo pospiesznie przyszywanych fastrygą. Pomyśleć, że kiedyś władze szkół średnich kultywowały tak infantylne tradycje i gnębiły uczniów z długimi piórami, wysyłając ich do fryzjera. Ale liceum Moniki było zbiorowiskiem różnych dziwnych typów. Oryginałów, co się zowie.

Zreflektowałam się nagle. Lepiej, jak przestanę stać niczym słup soli przed wejściem, bo wymoczki jeszcze mnie zaczepią. Maskując stres, pewnym krokiem weszłam do przedsionka piekła.

Bramki w holu? Normalna sprawa. Zapobiegają wniesieniu przez uczniów broni. Tak jak na lotnisku wyłożyłam do koszyka wszystkie przedmioty, które mogły uchodzić za podejrzane, zerkając kątem oka na ochroniarza z napisem „Kobra” na czapce z daszkiem.

– A identyfikator? – spytał.

– Dopiero dostanę, jestem tutaj nowa.

Elektroniczne wynalazki zastąpiły tarcze, identyfikując ucznia na kilometr. Jak w takich warunkach skoczyć na wagary? Tarcze na gumkach to jednak nie był taki zły pomysł.

– Portiernia prosto i na prawo.

Przeszłam przez bramkę i ruszyłam ku oszklonemu pomieszczeniu wielkości kantorka, równocześnie obserwując otoczenie. Kamery były wszędzie, przed podwójnymi drzwiami szkoły, bramkami, portiernią. Zerknęłam przez ramię. Wyrostki przechodziły tę samą procedurę co ja, właśnie opróżniały kieszenie i plecaki.

Portier (a może woźny?), starszy drobny pan o siwych skroniach, podał mi wyprawkę, płaski futerał. Poprosił, żebym go przy nim otworzyła.

– Tablet, czytnik – wymieniał, co było w środku – identyfikator...
W czytniku masz rozkład zajęć i formularz zamówienia.

– Zamówienia?

– Przez nasz sklepik możesz się taniej zaopatrzyć w farby, pędzle, terpentynę. Wszystko, co będzie ci potrzebne, masz wymienione w formularzu. Najpóźniej jutro rano będziesz miała komplet do odebrania u mnie na portierni.

– A płatność?

– Szkoła dopisze do rachunku twojej mamy, Lidii Arciszewskiej.

– To moja siostra.

– W każdym razie opiekuna, którego masz wpisanego w metryczkę.

Potwierdziłam odbiór fantów. Poczułam się jak w więzieniu, kiedy skazaniec dostawał koc i kubek. Następnie udałam się do swojej celi. Wróc. Do swojej klasy.

Chłopaki w mundurkach gdzieś zniknęli, a z mojego identyfikatora, wąskiego giętkiego paska, który zapięłam na nadgarstku niczym markowy zegarek, płynęła pomarańczowa smuga, przemieszczając się po malachitowych liniach siatki – planie budynku. Dzięki temu wiedziałam, gdzie jest stołówka, atrium, gabinet dyrekcji, pokój nauczycielski, pracownia i zwykłe klasy, gdzie prowadzono lekcje polskiego, historii, chemii, geografii i – wrrr... matematyki. Całe szczęście, że nie była na pierwszej godzinie. Nie znosiłam majcy. Zawsze się na niej wyłączałam. Mój rekord skupienia się na całkach i tym podobnym cholerstwie to maks pół godziny.

Pierwsze zajęcia miały się odbyć w pracowni grafiki komputerowej na drugim piętrze. Drugim? Myślałam, że w liceum mojej mamy był tylko parter i pierwsze piętro. Może pamięć mnie zawiodła albo gmach został rozbudowany? Może jakiś hojny darczyńca, mecenas sztuki, który był absolwentem liceum sztuk plastycznych na ulicy Mlaskotów, wpakował w nie kupę kasy? Lidia mi mówiła, że po drugiej zimnej wojnie wiele się w Polsce zmieniło. I to na gorsze. Świadczyły o tym małolaty, które ganiały po publicznej szkole w czarnych mundurkach z makabrycznymi emblematami.

Stanełam przed drzwiami. Za nimi przebywali moi nowi koledzy i koleżanki, a może wrogowie? Z paska opasującego nadgarstek dochodził

cichy pisk. Cyferki informowały, że jestem spóźniona pięć minut. Niewiele, ale wystarczyło, żeby korytarz zrobił się pusty. Kolejna dziwna rzecz. U mnie w szkole standardem były piętnastominutowe spóźnienia. Nauczyciel nie raczył się pojawić w klasie wcześniej, bo i po co, skoro uczniowie wchodzili do niej na raty? Może nikt się tutaj nie ociąga przez te interaktywne identyfikatory napominacze? Jakies karne punkty, czy jak? Zaraz się tego dowiem.

Otworzyłam drzwi i wydukałam ciche „dzień dobry”.

– Witamy spóźnialską – powitała mnie chuda, blada kobieta, pani Sadowska, nauczycielka sztuki interaktywnej. Tak przynajmniej stało w rozkładzie zajęć.

– Przepraszam, musiałam odebrać materiały na portierni.

– Tylko dlatego, że jesteś nowa, nie dostaniesz karnych punktów. – Ha! Miałam rację! Dawali tutaj karniaki. – Zresztą nie ty jedyna masz dzisiaj ten przywilej.

Dopiero teraz, pod tylną ścianą, zauważyłam chłopaków, którzy wysiedli z humvee. Dziwna to była klasa. Spodziewałam się ławek stojących w kilku rzędach, jednak pomieszczenie przypominało klub miłośników cygar: wygodne niskie siedzenia, stoliki, które tworzyły coś na kształt podkowy, z nauczycielką między jej ramionami. O co chodziło z tą „sztuką interaktywną”?

– Wasza nowa koleżanka, Gloria Arciszewska.

Kiedy kobieta mnie przedstawiała, w pośpiechu lustrowałam zebranych rozwalających się na fotelach z wiśniową tapicerką. Czarne koszule siedziały na lewo od szczytu podkowy, reszta uczniów jakby celowo trzymała się z dala od nich. Jedyne miejsce, które mogłam zająć, wypadało w pobliżu chłopaka, który przyglądał się przed szkołą mnie i Dżocharowi. Teraz miał tak skwaszoną minę, jakby opróżnił haustem szklanę soku z cytryny. Najwyraźniej facet coś do mnie miał. I to nie tylko za wygląd, nazwisko i towarzystwo, w jakim mnie zobaczył. Jego wygoleni na łyso koledzy też nie przypadli mi do gustu – materiał na karki, któremu na razie brakowało masy. Małolaty i tyle. Dżochar by ich załatwił, dłubiąc jedną ręką w nosie, a drugą leniwie głaszcząc nacięcia na kolbie swojego karabinu.

– Na co czekasz, usiądź – poleciła Sadowska. – Wystarczy, że straciliśmy przez ciebie pięć minut.

Nie ma co, przyjazne przyjęcie nowej uczennicy. Co za wredne babsko! Jeśli reszta nauczycieli jest podobna, nic tylko się powiesić na najbliższej sztaludze.

Chcąc nie chcąc, weszłam w strefę działania czarnych koszul. Lepsze wrażenie sprawiali bladzi okularnicy z kucykami i w rozchełstanych, niedbale zestawionych ubrankach. Czyżby pieprznięci wyznawcy techniki? Hakerzy? Nawiedzeni informatycy opychający się tonami pizzy i chlejący litrami colę przed holo, żyjący w wirtualnym świecie przez okrągłą dobę? Jeden wielki zjazd nerdostwa. Nie brakowało też objechanych artystów ubiorem naśladowujących różne dekady ubiegłego wieku, a także osobników płci obojga w lateksowych wdziankach, jakby zerwali się z kart mangi dla pornoprzebierańców. Nie miałam rozeznania w tutejszych subkulturach, nie znałam dress code'u i mogłam przez to nieźle wdepnąć. Moje zwoje mózgowe nie wytrzymałyby przyjmowanego tonami speedu, a rozum nie zaakceptował wolnej miłości czy ideologii nienawiści. Łatwo było podpaść każdej z tych grup. Temu z czachą na ramieniu już się naraziłam, i właśnie siadałam dwa fotele od niego. Nos mi mówił, że się nie mylę i czas spędzony w bunkrze pełnym świrusów będzie prawdziwą szkołą przetrwania. Polscy rówieśnicy jakoś niespecjalnie przypadli mi do gustu. Miałam nadzieję, że to tylko pierwsze wrażenie.

I rzeczywiście, dziewczyna obok szeroko się uśmiechnęła. Nie wyglądała na przedstawicielkę żadnej z subkultur. Była ubrana jak ja, w wytarte džinsy i rozpiętą krótką dopasowaną kurtkę, spod której wystawał błękitny T-shirt. I miała zajebiście długie blond włosy. Właśnie o takich marzyłam.

– Jestem Roksana. – Podała mi rękę.

– Cicho bądź, banderówo – doszedł mnie syk od strony czarnych koszul. Spojrzałam w bok. Wszyscy łysole byli wpatrzeni w tablety, które trzymali na kolanach. Przecież się nie przesłyszałam!

– Dziewczyny, weźcie się do pracy. – Napominający głos nauczycielki. – Piąta symulacja.

Wymoczek spojrział na mnie kpiąco. To nie on syknął, jednak zrozumiałam, że jest hersztem całej tej czarnej bandy.

– Grodziński, rozumiem, że koleżanka ci się spodobała, ale racz łaskawie wpiąć się do systemu.

Pogardliwe parsknięcie chłopaka. Tak, spodobałam mu się jak jasna cholera! Opluły mnie, gdyby nie było tutaj Sadowskiej. Przy niej wolał się wyrażać swoimi tępakami, obrażającymi sympatyczną blondynkę.

– Ignoruj ich – szepnęła Roksana. Nachyliła się ku mnie, by pomóc uruchomić właściwą aplikację w tablecie. Przynajmniej jedna przyjazna dusza.

– Dlaczego tak cię nie lubią? – odszepnęłam, korzystając z tego, że Sadowska właśnie wyżywała się na uczniu siedzącym na drugim końcu podkowy: brunecie w purpurowej tunice w stylu Kirka Wielkiej Stopy, najwyraźniej nie tak bystrym jak grupka nawiedzonych informatyków.

– Jestem Ukrainką.

– To nie powód...

– Przez mojego brata, później ci powiem. Dobrze, teraz przejedź rysikiem po tej niebieskiej ikonce i połóż ramiona na oparciach fotela. Działają jak dotykowa konsola.

W końcu pojęłam, o co chodzi z tymi interaktywnymi zajęciami. To była grafika komputerowa tworzona przez całą grupę. Coś jak burza mózgów, ale wyrażana obrazami. Każdy wstawiał coś od siebie, potem wychwytywaliśmy ciekawe kadry i ocenialiśmy pracę innych.

Wtedy pierwszy raz starłam się z Grodzińskim.

Zaczęło się lajtowo, od widoczków plaży i lasów deszczowych. Skorzystałam ze swojego osobistego tabletu, który wyciągnęłam razem z gadżetami otrzymanymi od portiera, inaczej nie miałabym się czym pochwalić. Postanowiłam uderzyć na końcu, poznawszy już możliwości przeciwników – niech najpierw wyeksploatują głowy z pomysłów. Asłan byłby dumny ze strategii obranej przez jego uczennicę.

Grodziński okazał się prawdziwym zdolniachą. Nie zaprezentował grafik ściągniętych z gotowych gier. Jego bojowe maszyny były majstersztykiem. Skubaniec sam je zaprojektował i Sadowska to doceniła, dając mu ósemki. Plaże zaroily się od przybijających do brzegu desantowców, po piaskach pustyni kroczyły gigantyczne mechy. W lasach deszczowych kłębiły się olbrzymie węże i skradały zmutowane pająki o stalowych odnóżach. Rozwaliłam mu je wszystkie ostrzałem z orbity. Poprowadziłam ogień

ze statku kosmicznego obcych, sukcesywnie eliminując okręty i resztę botów.

– To się nie liczy – warknął. Jego głos, wzmocniony przez symulator, zabrzmiał jak wystrzał z armaty. Na oparciach naszych foteli były zamontowane liczne czujniki.

Usłyszałam perlisty śmiech Roksany.

– Nie możesz tak precyzyjnie prowadzić ostrzału. – Wyciszył dźwięk. – Odkształcenia...

– To nie lekcja fizyki – napomniała go Sadowska. – Świetny kadr! – pochwaliła zatrzymany przeze mnie obraz: mech Grodzińskiego rozpadające się w kulach ognia. Strumienie wody, zatrzymaną falę uderzeniową, palmy wygięte w obwarzanki. – Podsumujmy punkty.

Patrzyłam na hologramy, Sadowska prezentowała kolejne kadry, utrwalone przez uczniów od początku lekcji. Pejzaże, elementy architektury, portrety, ludzie w różnych pozach, ubrani w kreacje z dawnych czasów i futurystyczne stroje ze współczesnych wybiegów mody: Paryża, Londynu, Szanghaju i Tokio. Najciekawsze było połączenie kilku elementów. Panna w zwiewnej sukni na tle strzaskanej kolumny leżącej na plaży, a nad nią kanciasty mech Grodzińskiego. A ja mu go epicko rozwaliałam. Dodałam grecki ogień, tyle że nie buchający z galery sunącej po błękitnych wodach Bosforu, ale z gwiazd. Oczywiście nie omieszkałam podłożyć na trzecim planie holo mojego wymuskanego kosmicznego okrętu. I wygrałam, dostałam pełną dziesiątkę. Grodziński: osiem i pół. Jego przydupasy siedziały cicho jak myszy pod miotłą Sadowskiej. Ale wystarczyło, że herszt baba opuściła klasę, aby sobie na mnie użył.

– Jak ktoś zadaje się z czarnymi – warknął, kiedy obok niego przechodziłam – to wszystko by niszczył.

– Ta... – odburknęłam. – A te twoje mechy to pacyfki miały na czołach, co?

– Daj spokój. – Roksana pociągnęła mnie za ramię. – To palant.

Nie mogłam się powstrzymać i w odpowiedzi puściłam mu swoje najnowsze holo: welocirapto-stegozaura z jaskini. Zostawiłam Grodzińskiego na środku klasy z opadniętą szczęką. Zupełne zaskoczenie. Nawet nie zauważył, że nie ma już przy nim jego koleś. Przy okazji ciachnęłam draniowi kilka fotek.

Pogwizdywałam z zadowolenia, idąc korytarzem. Roksana pilnowała, abym nie skręciła tam, gdzie nie trzeba. Zdaje się, że szliśmy do stołówki. Już ja te jego fotki tak obrobię, że pójdzie mu w pięty. Na następnych zajęciach ze sztuki interaktywnej waśniak spłonie ze wstydu.

Roksana zachichotała, widząc zdjęcie Grodzińskiego na ekranie mojego tabletu. Domyśliła się, co zamierzam zrobić. A ja ze zdziwieniem stwierdziłam, że wcale nie wygląda jak wymoczek, tylko proporcje mi się poprzestawiały. Asłan, Igor, Dżochar, Memed i Darek byli olbrzymimi facetami, twarzelami z minami w stylu: „Nie podchodź do mnie, bo znokautuję prawym sierpowym”. No może z wyjątkiem Lediewa, który miał pogodne usposobienie. A Paweł Grodziński wyglądał jak zwyczajny nastolatek.

Zwyczajny?

Powiększyłam jego twarz: obłądnie błękitne oczy, długie podwinięte rzęsy jak u modelki używającej zalotki. Skąd tyle nienawiści w tak przystojnym chłopaku? Nie był też jakimś chuchrem. Prawdę mówiąc, dobrze się prezentował w tym czarnym mundurku i z krótko przyciętą ciemną czupryną. Jak to mówiły nasze babcie: „Za mundurem panny sznurem”. Emblem na ramieniu przedstawiał czaszkę i dwa szylety. Nad nimi napis: „Chwała”. Zrozumiałam teraz, dlaczego wkurzyło go moje imię. Gloria i czeczeński brudas, zakapior przy boku. Pod czaszką odczytałam napis: „Śmierć wrogom ojczyzny”. To mi się nie spodobało. „Sława i honor”, „Honor i ojczyzna”, „Bóg, honor, ojczyzna” nie zawierały agresji. Natomiast hasło, z którym obnosił się Grodziński, pasowało do agresorów ze Wschodu. Przy najbliższej okazji powinnam wyciągnąć od Roksany, o co w tym wszystkim chodzi. Skąd taka niechęć tych chłopaków do obcych. Węszyłam w tym brudne łapska dorosłych – takimi dzieciakami jak Grodziński łatwo jest manipulować. Ja wychowałam się w wielokulturowym środowisku, ale w klasie Pawła i Roksany nie zobaczyłam żadnej czarnej twarzy czy skośnych oczu. Ani śladu Hindusa czy Araba. Nikt tutaj nie toczył bojów o prawo do noszenia burek w miejscach publicznych, bo muzułmanów było tyłu, co kot napłakał. Grupa, do której należał Grodziński, skojarzyła mi się z White Power i podobnymi klimatami. To by tłumaczyło, dlaczego nie spodobał mu się Dżochar. We Francji ortodoksyjni muzułmanie krzywo patrzyli na Asłana, zadającego się z niewierną, w Polsce to ja miałam niewłaściwych przyjaciół.

Rozdział 13

Odsiecz

Siedziałyśmy z Roksaną w stołówce, z dala od innych uczniów, i jadłyśmy drugie śniadanie. Kupiłam sobie na rachunek Lidii kanapki z kurczakiem i sałatą.

– Powiedz, o co chodzi z tym twoim bratem? – zagałam.

– Kiedy jeszcze mieszkaliśmy na Ukrainie, Walerij należał do SUS i walczył w batalionie „Donbas”.

– I co się później stało?

– Musieliśmy uciekać. Tam naprawdę było gorąco. Brat pamięta Polakom, że się od nas odwrócili. Twierdzi, że gdybyście nie bili się z nami o Lwów, Rosja Sowiecka by upadła. Pomogliśmy wam w tysiąc dziewięćset dwudziestym, walcząc z nimi, a wyście nas zdradzili, podobnie jak dwadzieścia lat temu. A tacy jak Grodziński nienawidzą wszystkich Ukraińców. Mówią na nas ukry i banderowcy, tak jak Ruscy.

– Chyba sobie na to zasłużyliście.

Roksana zamilkła. Sięgnęła po kubek z herbatą. To nie był dobry temat na zawieranie znajomości przez nastolatki. Powinnyśmy rozmawiać o ciuchach, książkach, filmach, najnowszych grach, chłopakach. Byłam wściekła na Grodzińskiego i jego bandę. To przez nich! Założyli te swoje mundurki i roszczą sobie prawo do osądzania innych.

– Ruscy nazywają Czeczenów czarnomazami, a nas Polaczkami.

– A widzisz. – Roksana wstała. – Nas wyzywają od chachałów, my ich od kacapów, a was od Lachów. Nikt nikomu nie jest dłużny. Weź kanapkę i kubek. Idziemy do atrium, póki jest jeszcze słońce. Nie ma co zawracać sobie głowy Grodzińskim. Mówiłam ci, że to palant. Walerij walczył z Ruskimi, a nie tylko kłapie ozorem jak Paweł. Jemu się wydaje, że jest twardzielem, bo złoży kałasznikowa, biega z ASG po lesie, bawiąc się w stalkera, czasem

przenocuje w bunkrze. Nie widział urwanej ręki czy nogi. Gdyby dzieciakowi przyszło założyć stazę, drżałyby mu ręce. Może nawet by zemdłał. Walera jest jednym z terminatorów, był przez ponad rok w okrążeniu na lotnisku. Nasz dziadek walczył w pierwszej wojnie czeczeńskiej. Spędził dwie zimy w górach i mocno to odchorował. Do dzisiaj ma problemy ze zdrowiem. Ale nie gadam o tym z Grodzińskim, nie ma sensu, poza tym mogę się tym podzielić tylko z zaufaną osobą.

Świat jest mały, pomyślałam i spytałam:

– Uważasz, że ja nią jestem?

– Znam się na ludziach.

W ustach siedemnastoletniej dziewczyny zabrzmiało to niewiarygodnie, ale darowałam sobie komentarz.

Wyszliśmy z budynku przez oszklone drzwi. Atrium otaczały z trzech stron ściany szkoły – czwarta była otwarta i tam poprowadziła mnie Roksana. W powietrzu czuło się zapach jesieni. Minęliśmy niewielki basen, wyschnięty i z dnem pokrytym liśćmi. Na trawie było ich mniej, widocznie ktoś niedawno je zgrabił. Szukałyśmy miejsca, gdzie docierało najwięcej słońca, oraz wolnej ławki. Stanęłyśmy przed płaskim dachem wspartym na kolumnach. Pod nim ustawiono białe i szare popiersia. Domyśliłam się, że rzeźby były dziełem uczniów. Za zadaszeniem Roksana wypatrzyła ławkę. Nikt się tam nie kręcił, co nam odpowiadało, mogłyśmy swobodnie porozmawiać. Chciałam z dziewczyny wyciągnąć trochę plotek o tutejszych zwyczajach i kastach, tych wszystkich nerdach i geekach.

Usiadłyśmy. Przymknęłam oczy, wystawiając twarz do słońca. Elektroniczny pastuch na nadgarstku zaalarmuje mnie, kiedy udać się na kolejną lekcję. Akurat trafiło nam się okienko, bo komunikator informował, że nauczycielka matematyki nagle zachorowała – co za ulga! – i nie było nikogo na zastępstwo. Może babkę dopadła grypa żołądkowa?

Miłe ciepło mnie rozleniwiło, osłabiło czujność.

– Teraz też będziecie się stawiać? – Usłyszałam nagle. – Zmywaj się stąd... Chwała.

Ten kpiący ton, poznałam go. Otworzyłam oczy i poderwałam się z ławki. Pusty kubek grzmotnął o betonowe płytki, rozpryskując się na drobne kawałki.

W ostatniej chwili chwyciłam tablet.

– Co za refleks – kpił Grodziński. – A teraz marsz! I gęba w kubek.

Dwóch wyrostków trzymało wrywającą się Roksanę. Wyższy położył rękę na jej ustach. Grodziński chwycił dziewczynę za włosy. Chyba nie myśleli, że ją tak zostawię!

– Szkoda, że kubek się stłukł – warknęłam. – Bo rozbiłabym ci go na głowie. Tabletu mi szkoda. – Strach gdzieś odpłynął. Ogarnęła mnie wściekłość. – Natychmiast ją puśćcie!

– Patrzcie jaka charakterna. Kuba, naucz ją szacunku do gwardii.

– Już po was – ostrzegłam. – Kamery.

W odpowiedzi ryknęli śmiechem.

– Słonko, one tutaj nie działają – odparował Grodziński. – Nie jesteśmy idiotami.

– Jesteście. – Usłyszałam za plecami. Kto to powiedział? Nie mogłam się odwrócić, osiłek właśnie mnie chwycił. Zacisnęłam zęby z bólu. Byle nie zawyć!

Wreszcie poznałam spokojny tembr głosu. To był Memed.

Teraz wszystko potoczyło się w błyskawicznym tempie. Jednak ja widziałam to jak na zwolnionym holo. I czułam. Ból ustąpił. Matoł o imieniu Kuba grzmotnął o ziemię. Potężna sylwetka, szerokie plecy przede mną. Kilka paskudnych, precyzyjnie wycelowanych uderzeń: w wątrobę, przeponę, udo, stopę. Grodziński z jego przydupasami zgięli się jak młode drzewka i zamarli w groteskowych pozach. Kuba, ku mojemu zaskoczeniu, okazał się twardzielem, bo znowu stał na nogach. W jego ręku pojawił się podłużny przedmiot.

– Rozwał czarnego – wycharczał Grodziński, usiłując się podnieść.

Nie zdołał. Memed założył mu dźwignię na bark, zmuszając, by klęknął. A Zuradow, bo to on uwolnił mnie z rąk Kubby, doskoczył do osiłka.

Akcja była krótka. Kiedy Kuba się zamachnął, Aslan zszedł trawersem i chwycił go za ramię. Ups, takich błędów się nie popełnia, atakując zawodnika walczącego w klatkach. Błędem było nawet stanięcie naprzeciw Tanka. Perfekcyjna dźwignia na bark i Kuba znalazł się tam, gdzie Grodziński:

na kolanach.

– Pałka teleskopowa. Ładna zabawka. – Zuradow puścił Grodzińskiego i przerzucił stalowy pręt z prawej ręki do lewej. – Z powrotem na kolana – polecił spokojnym głosem. Chłopak chciał wstać, krzywiąc się z bólu. – Bo zgruchoczę ci nią kręgosłup. Reszta też. Mój kumpel jest bardziej niecierpliwy. To była dla niego ledwie rozgrzewka. Czecheński wilk pragnie krwi. Nie dajcie bestii powodu, by zaspokoić pragnienie.

Grodziński chyba miał na tyle rozsądku, żeby już ich nie prowokować? Aslan nie przesadzał. Gdyby chcieli zrobić krzywdę tym dzieciakom, to dwóch albo trzech chłopaków już miałyby połamane kończyny i ciężkie uszkodzenia czaszki.

– Masz jakiś problem?

Nie, jednak ten chłopak był debilem.

– To wy macie problem – włączył się Memed. Roksana trzymała mnie za rękę. Dziewczyna jeszcze nie ochłonęła, czułam, jak drży. – Za wniesienie tego gadżetu – wskazał na pałkę – wylecicie z hukiem ze szkoły.

– Mylisz się, staruszk. To wyście nam ją podrzucili, żeby mieć pretekst, by nas pobić.

Chyba śnię. Ma małolat tupet! I skąd Czeczeni tak nagle się tutaj wzięli? Przyjechali po mnie? No to pojawili się w idealnym momencie.

– Cwaniaczku – odezwał się Aslan – dałem ci już do zrozumienia, że jesteś idiotą.

– Kamera jest uszkodzona. – Grodziński wykrzywił się w paskudnym uśmiechu. Był pewien, że zastraszy mnie i Roksanę, abyśmy zeznawały przeciwko swoim obrońcom!

– Masz to, Memed? – Znowu spokojny ton.

– Calutkie nagranie.

– To świetnie – skomentował bezczelny wyrostek. – Usłyszą, jak mi grozisz połamaniem kręgosłupa.

– Bez dźwięku.

Uśmiezek zniknął z twarzy chłopaka. Wreszcie do niego dotarło, że to on i jego kolesie mają przerąbane.

– Układ jest prosty – oznajmił Memed. – Jeśli dziewczynom spadnie choćby włos z głowy, nagranie trafia do dyrekcji razem z pałką i odciskami twojego kolegi.

– A, zapomnieliśmy się przedstawić. – Drugi Czeczen przyjacielsko się uśmiechnął. – Jesteśmy tu nowymi ochroniarzami. Jestem Asłan, imię mojego kumpla już znacie. A teraz pozwolicie, że zajmiemy się młodymi damami, są daleko bardziej interesujące.

Wsadził pałkę do wewnętrznej kieszeni kamizelki.

Grodziński musiał przełknąć tę gorzką pigułkę. Odszedł z kuśtykającymi kolegami.

– Co ty wyrabiasz! – Stoickie opanowanie Zuradowa znikło. – Myślałaś, że dasz sobie radę z bandą wyrostków? Chciałaś ich wszystkich... pobić?

– Nie mogłam zostawić Roksany.

– Trzeba było odbiec i wezwać pomoc. – Memed Achmatow był jak zwykle rzeczowy. – Na bransolecie masz przycisk alarmu. To ten czerwony punkt.

– Chwycili nas za ręce.

– No właśnie – skomentował Asłan.

Łatwo mu powiedzieć! Po treningach boksu i ostatnich przeżyciach byłam nastawiona bojowo. Przecież sam mówił, kiedy na moich oczach rozwalił nożowników: „Albo my, albo oni”. Moi rodzice zginęli za kraj, w którym taki Grodziński teraz się rozpycha. To nie on będzie decydować, kto może w nim żyć.

Niespodziewanie Zuradow objął mnie ramieniem, jakby znał moje myśli. Achmatow zajął się Roksaną, sprawdzając, czy nie ma obrażeń. Dziewczyna mocno się szarpała, usiłując wyrwać z rąk wyrostków. Asłan odprowadził mnie za róg budynku. Domyśliłam się, że chce w spokoju porozmawiać.

– O co tutaj chodzi? – domagałam się wyjaśnień. – Skąd wam przyszło do głowy, żeby się tutaj zatrudnić? I dlaczego mnie opuściłeś? Dlaczego w samolocie udawałeś, że mnie nie znasz?

– Może po kolei?

Usiedliśmy na niedużej ławce stojącej pod odrapaną ścianą, na tyłach

szkoły.

– Trzymając się z boku, mam większe pole manewru. Chociaż... gdybym był przy tobie, ci gówniarze nawet by na ciebie krzywo nie spojrzeli.

– A co, kiedy ciebie by zabrakło?

– No właśnie. Dlatego nie powiadomimy dyrekcji szkoły, co się stało. Gówniarze z zemsty jeszcze by się gdzieś na was zaczaili. Wszyscy i tak rzygamy kłopotami, i to nie są problemy z niedorostkami. A tutaj mamy nad nimi kontrolę. Teraz trzymamy ich w garści. Jeden wybryk i wylatują. Pałka teleskopowa jest zakazana przez polskie prawo, jako niebezpieczna broń. Przeprowadzimy prywatne dochodzenie, jak ją wnieśli na teren szkoły. Ten – Aślan spojrzął na podręczny komunikator – Grodziński nie jest głupi. Nie sądzę, żeby znowu was zaczepił. Więcej, będzie pilnował, aby nic wam się nie stało, bo jeszcze pomyślimy, że to jego sprawka. Przyjął do wiadomości, że od dzisiaj to my tutaj rządzymy.

– Dałeś mu do zrozumienia, że jest skończonym idiotą.

– Ale cwany idiotą. I boi się nas. Wyczułem to.

– Że się was boi – roześmiałam się – nic w tym dziwnego. On ma was za niebezpiecznych świrów. I zgadzam się, małolat jest inteligentny, tylko dryfuje nie w tę stronę, co trzeba. Przywództwo w grupce wyrostków uderzyło mu do głowy. Popisuje się przed nimi. I czuje się pewnie w ich towarzystwie. A dzisiaj go zawiedli.

– Celna obserwacja.

– Ale jak udało się wam tutaj zatrudnić? Uzyskać pozwolenie na pracę dla obcokrajowców i inne takie. Nie mówiąc o tym, że przyjęli was z dnia na dzień.

– Jakoś musiałem mieć cię na oku. W Polsce dorosły facet nie może się uczyć w dziennym liceum dla małolátów. Tutaj nie znajdziesz klas eksperymentalnych, jak w Paryżu.

– A pozwolenie?

– Nie potrzebujemy go. Mamy z Memedem polskie obywatelstwo. Sporo Czeczeńów wyemigrowało do Polski po pierwszej wojnie. A Achmatow zebrał niezłe referencje. Pracował w szkole z trudną młodzieżą. Uczył też czeczeńskie dzieciaki. Był takim łącznikiem między imigrantami a ich polskimi

rówieśnikami.

– Ale to nie wyjaśnia, jak z marszu dostaliście tę robotę.

– Na gwałt potrzebowali takich jak Memed, a on mnie polecił. Okazało się, że dyrekcja ma kłopoty z handlarzami narkotyków, nieletnimi członkami paramilitarnych bojówek, takich jak ta Grodzińskiego, i zwykłymi chuliganami gnębiącymi młodszych kolegów. Grodziński i jego banda nie pierwszy raz sprawiają kłopoty, nie tylko władzom szkoły, ale i lokalnej policji.

– A wyście je rozwiązali, ledwie zaczęliście pracę!

– W czasie rozmowy kwalifikacyjnej dyrektor dał nam do zrozumienia, że przymknie oko na zdecydowane działania, również nietypowe. Memed wiedział, jak z nim rozmawiać. Opowiedział mu o swoim doświadczeniu w postępowaniu z gangami.

Udawałam, że łykam te opowiastki. Może nawet były prawdziwe; Zuradow nie miał zwyczaju kłamać. Ale ja widziałam sprawę inaczej. Sprawiedliwi mieli wielu przyjaciół. Podejrzewałam, że dyrekcja zatrudniła Czeczenów na prośbę Lidii.

– Oficjalnie się nie znamy – podsumował.

– To co tutaj razem robimy? – spytałam. Aslan trzymał moją dłoń. – Prowadzisz psychoterapię z poszkodowaną? Na to też masz dyplom?

– Gloria, nie zaczynaj.

– Znasz moją nową kumpelę? – wycofałam się pospiesznie.

– Tę blondynkę?

– Myślałam, że wiesz, kim ona jest. Zanim nas zaczepili, Roksana mi mówiła, że jej dziadek walczył w górach. W pierwszej czeczeńskiej wojnie. To Ukrainka.

Oderwał ode mnie wzrok. Skierował go na minitabiet, zamontowany na pasku zapiętym wokół nadgarstka. Uaktywnił kod i błyskawicznie sprawdził bazę. Zatrzymał obraz, zdjęcie jasnowłosej dziewczyny o modrych oczach. Gdy na ekranie ukazało się imię i nazwisko: Roksana Swiernowa, rysy jego twarzy stężyły. Oparł się o ścianę, zamknął oczy i zacisnął dłonie na krawędzi ławki. Szybko rozprostował palce, lecz zdążyłam zauważyć, jak wbijał je w drewno. Usiłował uspokoić oddech: wciągał powietrze przez nos. Co zrobiło na nim tak duże wrażenie? Znał dziadka Roksany? A może brata?

Nie odzywałam się, tylko na niego patrzyłam. Smagłe oblicze w ciemnej oprawie. Smoliście czarne włosy i długie rzęsy opadające na policzki. Tak sobie wyobrażałam herosa z greckiej tragedii, zmagającego się z wyrokami kapryśnych bogów. Igor ze swoją normalnością odpłynął daleko za widnokrąg. Na pokładzie galery sunącej po wzburzonym morzu powracał bohater antycznego eposu.

Nie chciałam mu przeszkadzać, ale położyłam rękę na jego dłoni. Złapał mnie za nadgarstek. Spodziewałam się, że odtrąci moją rękę. Nie zrobił tego. Siedzieliśmy w milczeniu. W takich chwilach potrafiłam się powstrzymać i nie wylewać żalów. Czekałam.

Cierpliwość się opłaciła, bo odpowiedział:

– Dług.

To jedno słowo mówiło wszystko.

– Myślałam, że go spłaciliście. Na Ukrainie.

– Spłata równałaby się śmierci. A oni nadal żyją.

– Kto?

Cisza. Tym razem nie doczekałam się odpowiedzi.

– Odprowadzę cię do klasy.

Oboje wróciliśmy do rzeczywistości. W pośpiechu sprawdziłam harmonogram.

– Będę mieć kłopoty! Znowu się spóźnię. Teraz mam rzeźbę. Wiesz, gdzie to jest? – Hologram uformował się w laskę błękitnej wróżki.

– Tutaj na dole, za rogiem. – Asłan wskazał na wirtualny tunel, prowadzący do zagiętego czubka laski, który zaświecił na pomarańczowo. – Spokojnie, coś na to poradzimy.

Wyszliśmy z atrium i podążyliśmy korytarzem łączącym główny budynek z pracowniami. Na samym końcu była ta, której szukałam. Asłan otworzył drzwi i wszedł pierwszy. Sprytnie – pomyślałam, że się spóźniłam przez ochroniarza. Wparowałam do pomieszczenia pewnym krokiem, jak wcześniej do przedsionka szkoły.

– Dzień dobry – przywitałam nauczycielkę, drobną zasuszoną kobietę z grubymi okularami na nosie. Szkła musiały mieć moc jakichś dziesięciu

dioptrii. Na ubranie zarzuciła szary fartuch, podwinięte rękawy odsłaniały żylaste przedramiona. Niedobrze, miałam do czynienia z kolejną żołą.

Rozejrzałam się za Roksana. Stała niedaleko drzwi, przy rusztowaniu, na którym znajdował się kulisty przedmiot. Odwijala coś z niego. Pracownię wypełniał potworny smród – zgnilizny? Przygotowywali tu zwłoki do mumifikacji? Czy zaraz zobaczę głowę toczoną przez robale? Pochwyciłam spojrzenie Grodzińskiego. Natychmiast odwrócił wzrok. W obecności Asłana jego buta wyparowała. Z tym udającym chojraka wymoczkiem nie powinnam mieć już kłopotu. Ale mój ochroniarz zostawił mnie na pastwę żylastej harpii.

– Gloria Arciszewska? – spytała tubalnym głosem, który nie pasował do drobnego ciała.

– Tak, przepra...

Machnęła ręką, jakby odpędzała muchę. Wcale bym się nie zdziwiła, gdyby chmary insektów załęgły się w tym smrodzie.

– Flora Pasecka. – Lekceważenie nie dotyczyło mojej osoby, tylko faktu spóźnienia. Nie należy oceniać ludzi po pozorach. – Prowadzę zajęcia z rzeźby. Tam jest wolne stanowisko. – Wskazała na miejsce pod oknem, gdzie stało puste rusztowanie. – Paweł, pomożesz Glorii wybrać glinę.

Wyjaśniło się, skąd ten paskudny zapaszek. Oni tutaj używali gliny! Jak za króla Ćwieczka! Żeby glina nie wyschła, trzeba było ją okładać mokrym materiałem i zawijać szczelnie w folię. Kiedy ściągało się taką pokrywą po tygodniu – dwóch, smród zbutwiałych szmat zabijał. Oj, nie polubię tych zajęć. Poza tym niespecjalnie mnie ciągnęło do klasycznej rzeźby, nawet kiedy ze specjalnej modeliny przygotowywałam formę do odlewu. Wolałam płaskorzeźbę. Miałam kiepską wyobraźnię przestrzenną, jak większość dziewczyn. Bo skąd by się brały kawały o parkujących kobietach?

Glina znajdowała się w niewielkim basenie. Niewiele jej tam zresztą zostało. Grodziński wskoczył do niecki i wyciągnął spory kawałek materiału. Kiedy wychodził z basenu, na moment stracił równowagę. Otarł się o mnie barkiem. Natychmiast odskoczył jak oparzony. Gdyby nie wydarzenie w atrium, parsknęłabym śmiechem. Aż tak alergiczna reakcja na moją osobę? Woli wybić sobie zęby, byle mnie nie dotknąć! Boi się, że go ugryzę? Niech poczeka na lekcję WF-u. Tam dopiero polegnie. W moim laptopie czekały jego zdjęcia, wykorzystując je, na dobre go ośmieszę. Nie potrzeba mi było

Dżochara i Asłana. Sama sobie poradzę z tym gnojkiem. Zapamiętałam mu prześladowanie Roksany. Nienawidziłam, kiedy ktoś kopał słabszego, i jeszcze robił to w grupie. Dziewczyna miała odpowiadać za starszego brata? Bez sensu.

Paweł zaniósł mi glinę na rusztowanie. Tym razem się pilnował, żeby nawet mnie nie musnąć. To nie była nienawiść ani niechęć do zadzierającej nosa nowej w klasie. Ani obawa przed utratą twarzy czy pierwszeństwa w grupie. Miałam wrażenie, jakby bał się mnie... polubić. I to od samego początku. Jakby moje imię było dla niego jak stygmat, którego nie byłam godna.

Jakoś wytrzymałam rzeźbę. Ale było ciężko, bo podjęłam działania pozorowane. Nie mogłam oszukiwać do końca, zdradził mnie efekt mojej pracy. Pasecka pokiwała głową z dezaprobatą. Glina na rusztowaniu przypominała uciętą w połowie piłkę do rugby. Gdzie szyja, gdzie czoło, gdzie podbródek modela? Za to Grodziński zebrał same pochwały. Jego gliniana głowa była równie perfekcyjna jak zaprojektowane przez niego mechy na zajęciach ze sztuki interaktywnej. Przedstawiała szlachetne oblicze greckiego filozofa. Niestety, tym razem nie mogłam jej rozwalić wiązką plazmy posłaną ze statku kosmicznego, a miałam ochotę przynajmniej spuścić na nią napalm. W ostateczności oblać dezodorantem i podpalić zapalniczką. Byle tylko gnojka wkurzyć. Skończyło się na tym, że na polecenie Paseckiej Paweł użyczył mi szmat i folii do obwinienia mego dzieła wątpliwej jakości. Jakby było co zabezpieczać – co za upokorzenie!

Kolejne lekcje, fizyki i chemii, były nudne jak jasna cholera. Plan dokopywania Pawłowi Grodzińskiemu spalał na panewce dosłownie na każdym kroku. Z lekcji WF-u, mojej nadziei na frontalny atak, nic nie wyszło. Okazało się, że nie są to zajęcia koedukacyjne. Dziewczyny poruszały się jak muchy w smole. Baba darła się na nie, a ja udawałam taką samą niezgułę. Wolałam zataić swoje atuty, przynajmniej na razie. W ten sposób dotrwałam do końca tego żenującego spektaklu. Ale nauczycielka, miss Luiza, nie odpuszczała. Zagroziła nam, że na dobre się za nas zabierze. Dwadzieścia pompek, sto przysiadów, dwanaście sekund na sto metrów, skoki przez kozła, przewrót przez bark, rzut przez skrzynię. Dziewczyny nie wiedziały, co je czeka. Ja aż za dobrze, bo Luiza dostała wytyczne z kuratorium – sprawdziłam to w bazie szkolnego tabletu. Czyżby powracała obowiązkowa służba wojskowa dla młodych kobiet? Postanowiłam zapytać o to Darka. Przeczucie

mi mówiło, że właśnie on będzie w tej kwestii najlepiej poinformowany. Żałowałam, że nie mogę brać udziału w WF-ie dla chłopaków.

Kiedy wychodziłam z szatni – przebrałam się szybciej niż wymęczone przez Luizę ofermę – na korytarzu czekał Zuradow, który do mnie podszedł.

– Art, mam prośbę. Przekażesz to Roksanie? – Podał mi niewielką płytkę z metalowym zabezpieczeniem. – To dla jej dziadka.

– Poczekaj chwilę, zaraz wyjdzie z szatni.

– Muszę już lecieć. Dżochar czeka na ciebie w samochodzie.

Udałam się do wyjścia. Na parkingu przed szkołą obok dżipa stał czarny humvee. Grodziński opierał się o maskę. Co tutaj robi? W szkole była tylko jedna sala gimnastyczna, chłopaki kończyły zajęcia wcześniej. Nie zostawię Roksany na pastwę czarnych koszul, poza tym od razu dam jej płytkę od Aślana. Czekałam, mimo że zniecierpliwiony Dżochar kiwał na mnie. Nie mógł dłużej blokować miejsca na parkingu. Właściciel humvee miał przywileje albo sporo zbędnej kasy.

Roksana w końcu wyszła, w tej samej chwili do dżipa podjechał land rover. Grodziński pośpiesznie wsiadł do humvee, który odjechał z piskiem opon. W ten sposób rozwiązał się problem wolnego miejsca. Domyśliłam się, że kierowcą rovera jest brat Roksany. Uff, mało brakowało, a Grodziński zbierałby zęby z betonu. W optymistycznej dla niego wersji. W tej gorszej miałyby kończyły na wyciągu przez co najmniej pół roku.

– To od jednego z tych ochroniarzy, którzy nam pomogli – wręczyłam jej płytkę – dla twojego dziadka.

Nie czekałam, aż Roksana przedstawi mi swojego kierowcę (Dżochar był już na dobre wkurzony), zerknęłam tylko na mężczyznę przez szybę. W ten sposób upewniłam się, że Grodziński jednak jest krótkowzrocznym idiotą. Za kierownicą rovera siedział masywny facet o kwadratowej szczęce, podgolonym łbie i włosach obciętych na zapałkę. Wkurzenie podobnego gościa było poważnym błędem, a Roksana zaraz mu opowie, co przydarzyło się jej dzisiaj w szkole, chyba że będzie chciała oszczędzić Pawła i jego kolegów. Było to całkiem prawdopodobne. Zdążyłam zauważyć, że unika konfliktów i z pewnością nie chciałaby zaszkodzić bratu, a mogła przewidzieć jego żywiołową reakcję.

Gdy wsiadłam do dzipa, Dzochar wyraził niezadowolenie:

- Następnym razem nie będę czekać, odjadę.
- Nie odjedziesz. Założę się, że chciałbyś usłyszeć, jak mi poszło.

Rozdział 14

Ci mężczyźni!

Kiedy skończyłam opowiadać, Dżochar zaklął po czecheńsku. Po chwili uspokoił się i mruknął:

– Te wypierdki miały szczęście, że nie trafiły na mnie.

– Dlatego mnie tylko odwozisz, a nie warujesz w szkole. Mówi ci coś nazwisko Swiernow?

– Nie. – Byliśmy już na wiadukcie i poruszaliśmy się jakieś pięć kilometrów na godzinę. – To nazwisko tej dziewczyny?

– Kiedy Asłan je usłyszał, wpadł w ten swój nastrój ponuraka. Dziadek Roksany walczył na Kaukazie.

– Jeśli dziadek, to nic dziwnego, że jego nazwisko nic mi nie mówi. Zapytaj o nie Memeda.

No i skończyła się rozmowa. Więcej wyciągnęłabym od Grodzińskiego. Właśnie! Czas się za niego zabrać. Wyjęłam laptopa z plecaka, ale długo na nim nie popracowałam. Zjechaliśmy z wiaduktu i Dżochar zaczął krążyć bocznymi uliczkami, błyskawicznie reagując na informacje z systemu zarządzania ruchem. Zrobiło mi się niedobrze. Musiałam patrzeć przed siebie, inaczej bym zwymiotowała. Kiedy byłam mała, cierpiałam na chorobę lokomocyjną. Nie mogłam też długo stać, zdarzało mi się wtedy zasłabnąć. Jeszcze tylko wjazdówka, przynajmniej kawałek prostej drogi, i znowu slalom: serpentyny, strome podjazdy i zjazdy. Ale nie ciągnęliśmy się już w sznurze samochodów, znaleźliśmy się na terenie parku. Dziwne wrażenie – zapchany Kraków, a potem prawie pustkowie, gdzie minęliśmy ledwie kilka domków.

Wysiadłam z dżipa, Dżochar odjechał. Rozejrzałam się: żadnych innych wozów, na ujeżdżalni Szczepan prowadził lekcję jazdy. Rozpoznałam Baśkę i Świta. Cwana kobyła wierzgała, wystarczyło, że instruktor spuścił ją z oczu. Istne rodeo! Żadna przyjemność mieć na niej lekcję. Ale bestia tylko straszy.

Jak koń chce, żebyś wylądował na glebie, to się tam znajdziesz. Wierzgnie w najmniej spodziewanym momencie. Taka taktyka: zaskoczenie zapewnia przewagę.

Zgłodniałam, kanapki, które kupiłam w szkole, pochłonęłam przed lekcją fizyki. Na dole w kuchni nikogo nie zastałam, ale stojący na kuchence całkiem spory garnek poprawił mi humor. Był jeszcze ciepły, w pomieszczeniu roznosił się smakowity zapach, obiecując ucztę odpowiednią dla wygłodniałej małolaty mającej za sobą ciężki dzień. Podniosłam pokrywkę. Gulasz. Nałożyłam sobie sporą porcję i zajrzałam do chlebaka. Rumiany bochenek cieszył oczy, za chwilę będzie radował mój brzuch i kubki smakowe.

Gulasz był niezły, a chlebek świeżutki. Po samotnej uczcie naszała mnie ochota, żeby zaszyć się w pokoju, puścić jakiś głupekowy program typu „Nerd szuka żony” i przy nim zasnąć. Miałam jednak do odrobienia lekcje z fizyki i chemii.

Zrzuciłam ubranie i otuliłam się szlafrokiem. Nie zamierzałam już nigdzie wychodzić. Pierwszą lekcję jazdy konnej zarezerwowałam sobie u Szczepana na weekend.

Z chemią szybko się uporałam, nie miałam z nią problemów nawet w podstawówce. Za to z fizyką sprawa okazała się trudniejsza. Napisać do Roksany? Nie chciałam zawracać jej głowy. Zdradziła mi, że umówiła się na wieczór z chłopakiem ze zwykłego ogólniaka. Przypomniałam sobie, że miał na imię Piotr. Bała się, że Walera może jej nie puścić. Poza tym nie wiadomo, co Zuradow przekazał jej dziadkowi.

Pukanie do drzwi. Kogo to niesie? Lidie?

– Wejdz. – Odłożyłam tablet, który dostałam w szkole. Do pokoju wszedł Igor.

– Nie słyszałam, żeby ktoś przyjeżdżał.

– Może dostałem się tu na rowerze?

– Albo na koniu – dorzuciłam.

– Zgadłaś, jeździłem dzisiaj na Traku. Ma niezłą szpulę. Trzeba tylko uważać, bo to ogier. Jest bardzo pobudliwy, ale ma serce do walki.

– Czyli zdążyliście się już zaprzyjaźnić. Gdzie nauczyłeś się jeździć konno?

– W Argentynie, tyle że w stylu western, a Trak to folblut. Szczepan

przyzwyczał go do kulbaki. Wystarczyło, że podniosłem tyłek z siodła, stanąłem w strzemionach, i staliśmy się z Trakiem kompatybilni. Zasuwał aż miło, jak na torze wyścigowym. – Przysunął krzesło do łóżka i usiadł. – Jakies problemy? – Wskazał na tablet.

– Cholerna fiza. Już nią rzygam.

– Może mógłbym pomóc?

– To też potrafisz?

Jeśli chodzi o Igora, już nic nie było w stanie mnie zdziwić.

– Skończyłem mat-fiz, ale ze studiami się pomieszało. Wiesz, ciągle przenosiny. Uczę się korespondencyjnie. Każdy etap kończę egzaminem. W ten sposób machnę studia w dwa lata.

Sięgnął po tablet.

– Testujesz programy dla kuzyna i zaocznie studiujesz? W trybie intensywnym?

– Nie tylko. Dlatego, jak mam chwilę czasu, trenuję MMA albo, jak dzisiaj, jeżdżę na rowerze lub konno. Wszystko, żeby złapać trochę ruchu. Jutro będę się wspinać, niedaleko jest fajna ścianka. – Przejrzał pliki. – Zadanie nie jest takie trudne, to drugie też. Poczekasz chwilkę? Od razu dam komentarz i linki, żebyś następnym razem sama sobie poradziła.

– A co z naszymi treningami? – spytałam, kiedy odłożył tablet.

– Coś się zorganizuje, może tutaj, na miejscu. Trenera masz na końcu korytarza. A, słyszałem, że w szkole była mała rozróbka.

– Od Dżochara czy od Asłana?

– Od nich obu.

– Faceci to gorsi plotkarze niż baby! Znasz teraz dwie wersje: moją i Tanka. Dostałam od niego opieprz, że chciałam się z nimi bić.

– Masz waleczne serce, jak Trak. Nie bądź zła na Zuradova o to, że boi się o ciebie. Czasem tak trzeba. Stanąć naprzeciwko silniejszego. Asłan wie to najlepiej.

– I oczywiście nie powiesz mi skąd – i dlaczego najlepiej?

– Wybacz, Art, ale muszę już iść. Wpadłem tylko zobaczyć, jak się po tym wszystkim trzymasz.

– Dziękuję, całkiem nieźle. To nie wyczyn Asłana w metrze. Tam się nie cackał. Niestety, ale jutro znowu muszę jechać do budy. Może szepniesz Lidii, by przesłała im zwolnienie?

– Zachowaj to na wyjątkowo podły dzień.

– A jak nastąpi właśnie jutro?

– Poradzisz sobie. Jakby co, alarmuj Zuradowa. Będziesz miała faceta pod ręką, wystarczy go tylko wykorzystać.

– Żeby połamał Pawłowi kości?

– Gdyby zaszła taka potrzeba, już by to zrobił. To zimny killer.

– Mnie tego nie musisz mówić.

Lediew sprzedał mi jeszcze szybkiego całusa, na którego nie zdążyłam zareagować, i opuścił pokój.

Wyłączyłam tablet. Zwlekałam z myciem zębów i położeniem się spać. Rozpierała mnie ciekawość, czy w nocy znowu zacznie się ruch i samochody będą znikać za bramą, tam gdzie krył się tajemniczy budynek. Nic jednak się nie działo, nie słyszałam warkotu silników. Chłód na zewnątrz zmusił mnie do zamknięcia okna. Dlatego zapewne umknął mi chrzęst kamyków na ścieżce pod butami nocnych gości, gwar przyciszonych rozmów. I jakoś tak mi się przysnęło.

Jak przewidywałam, następny dzień w szkole zaczął się wyjątkowo podle, lekcją przysposobienia obronnego. Miss Luiza byłaby przeszczęśliwa, gdyby zobaczyła, jak jej uczennice pocą się i stękają. Pobiegliśmy na przełaj pod kopiec Kościuszki. Dziewczyny zdychały.

Zanim rano wsiadłam do dżipa, porozmawiałam z Darkiem. Stąd wiedziałam, że może i nie wyślą nas do woja, ale lekcje PO nie będą sielanką, i to się potwierdziło. Chłopacy przybiegli przed nami, dlatego przepadła mi okazja, żeby ścigać się z Grodzińskim. Teraz uczyli się, jak korzystać z masek przeciwgazowych. Czarni Pawła nie mieli z tym problemu, za to hakerska grupka z kucykami robiła sobie kawały, dopóki nie uspokoił ich starszy aspirant Mostowski. Zafundował nam wszystkim musztrę. Chłopaki

Grodzińskiego chodziły jak w zegarku, my z Roksana i resztą dziewczyn potykałyśmy się o własne nogi. Koleżanki były zmęczone biegiem na przełaj, a ja myliłam prawą stronę z lewą. Normalka. Jestem leworęczna, podobnie jak moja mama, i jak daleko sięgam pamięcią, zawsze miałam problem z szybkim kojarzeniem i nazywaniem kierunków. Ledwie żartowałam, abym poczekała, kiedy zacznę się uczyć prowadzić samochód. Wtedy dopiero poczuję, jak ta przypadłość jest uciążliwa.

Mostowski dał nam w końcu chwilę wytchnienia. Ustawiliśmy się przy stole z bronią, a on polecił czarnym, żeby pomogli nam ją składać. Mnie trafił się Grodziński. Co za poniżenie! Dostrzegłam jednak promyk słońca: Roksana mogła się pochwalić najlepszym wynikiem w składaniu karabinka na czas. Wyszkolił ją brat. Pawłowi to się nie podobało. Skrzywił się, jak wczoraj w pracowni sztuki interaktywnej, a rozluźnił dopiero wtedy, gdy pokazał mi, jak mam wymienić magazynek. Gdy odgrywał nauczyciela, mógł się wywyższać. Po lekcji rzeźby to była kolejna moja porażka. Z niecierpliwością czekałam, aż Mostowski przejdzie do nauki walki wręcz.

– Gloria – Paweł niespodziewanie zwrócił się do mnie po imieniu – chciałbym z tobą porozmawiać.

– Teraz?

Klik! – zatrząsk magazynka zaskoczył.

– Kałasznikow to jedna z niewielu rzeczy – perorował Mostowski – która perfekcyjnie się udała Rosjanom.

– Ural i be-emka – mruknął Paweł.

– Oni robią podróbki, ale my też. To akurat karabinki szturmowe MSBS-6,2, wyprodukowane przez fabrykę z Radomia. Tego typu broń jest na wyposażeniu Gwardii Narodowej od dwa tysiące dwudziestego czwartego roku.

– Byliśmy u nich na szkoleniu – pochwalił się Grodziński.

– Dlatego nauczyciele się was nie czepiają, gdy opuszczacie zajęcia?

Zamilkłam. Starszy aspirant posłał nam spojrzenie Iwana Groźnego.

Kiedy złożona broń leżała już na stole, zrobiło się małe zamieszanie. Mostowski podchodził do każdego ucznia, sprawdzał, jak mu poszło, i przyznawał punkty. Moja średnia powinna wyjść całkiem przyzwoicie –

dzięki Pawłowi!

– Chcesz pogadać na długiej przerwie? – spytałam, wykorzystując wolną chwilę. – Na stołówce, w atrium, na korytarzu? Co na to twoi koledzy, jeśli zobaczą nas razem?

– Dzisiaj nie będzie matmy, tak jak wczoraj. Zerknij na tablet.

Mostowski podszedł do nas i podniósł mój MSBS. Kiedy go sprawdzał, rzuciłam okiem na nadgarstek. Faktycznie, nauczycielka od matematyki nadal była chora, a Paweł przesłał mi mapkę z zaznaczonym miejscem spotkania przy Placu na Stawach.

„To poza terenem szkoły” – odpisałam. Nie mogłam rozmawiać z chłopakiem przy Mostowskim.

„Spoko, jest jeszcze w zasięgu systemu. Więc jak?”

– Dobra robota – pochwalił mnie starszy aspirant. – Masz dziesiątkę, co daje średnią... siedem punktów. Obniżyłem ci ocenę przez musztrę. Bo nie odróżniasz prawej strony od lewej. Będiesz mieć problem na lekcji samoobrony.

Nie martwiłam się o samoobronę. Wolno opanowywałam materiał, ale potrafiłam już sporo. Przećwiczyłam podstawowe rzuty i dźwignie, a gdy założymy rękawice, wtedy dopiero będę śmigać. Udałam, że notuję wyniki, a zamiast tego odpisałam Pawłowi:

„Zobaczę”.

– Koniec zajęć – oznajmił wszystkim Mostowski. Usiłował przekrzyczeć gwar, bo uczniowie zaczęli gadać jak na komendę. – W następnym tygodniu będziemy mieć lekcję na strzelnicy w lasku. Zaczniemy od wiatrówek. – Usłyszałam jęk zawodu, chłopaki chciały sobie postrzelać z MSBS-ów. – Ale wcześniej czekają was zajęcia z pierwszej pomocy.

Jeszcze głośniejszy jęk: teraz facetom zawtórowały niezadowolone laski. Miałam podobne odczucia jak reszta dziewczyn. Wiatrówki OK, ale dmuchać w obleśny syntetyczny fantom?

– Usta w usta! – zaryczał kumpel Grodzińskiego.

– Gumowej lali – błyskawicznie zripostowałam.

Laski zachichotały. Albo mi się wydawało, albo Paweł uśmiechnął się pod

nosem. Mostowski wyszedł z częścią czarnych koszul – przydupasy Grodzińskiego pomagały mu odnieść karabinki.

– Stallone – odezwała się Marzena, wysoka smukła brunetka w elastycznym czarnym kombinezonie z zamkiem z przodu – dmuchanie gumowej lali masz już przerobione. Skocz do nas na imprezkę. Może uda ci się załapać na prawdziwą babkę, chętną i gorącą.

Stojący obok Marzeny chłopak, w równie wyzywającym jak ona ubranku, zakołysał znacząco biodrami.

– Dzięki – warknął „Stallone”. – Pedalstwo omijam z daleka.

– I to mówi chłopaczek, który sobie jeszcze nie...

– Chodźmy. – Roksana pociągnęła mnie za rękę. – Bo zaraz skoczą sobie do oczu.

Mostowski pojawił się w idealnym momencie, by zapobiec rozróżbie.

– Panie starszy aspirancie – zwróciłam się do niego. – Po MSBS-6,2 przejdziemy szkolenie z obsługi stringerów?

Rozbroiłam całe towarzystwo, nawet Stallone się zaśmiał.

– Kto wie, kto wie – odrzekł Mostowski. – Gwardia ma je na wyposażeniu.

Nie rozumiem tego świata! Już sporym nadużyciem było dawanie do ręki niedorostkom karabinków. Co się zmieniło od czasów młodości mojej mamy? Według Lidii dwadzieścia lat temu w Polsce był najniższa w Europie liczba sztuk broni przypadających na jednego mieszkańca. Agresywny sąsiad dramatycznie zmienił te proporcje.

Do szkoły wróciliśmy spacerkiem. Skorzystałam z okazji i zaczęłam wypytywać Roksanę o reakcję jej dziadka na płytkę z danymi, którą jej przekazałam. Niestety, niczego interesującego się nie dowiedziałam. Tylko tyle że Oleksij zamknął się z jej bratem w pokoju. Roksana była w tej samej sytuacji co ja. Dorośli ukrywali przed nią swoje sprawy, a szczególnie te dotyczące przeszłości.

W szkole na przerwie opuściłam Roksanę pod pretekstem udania się do toalety i odszukałam Memeda Achmatowa. Akurat kręcił się przy pustej sali gimnastycznej (najwyraźniej wszedł do niej, żeby coś sprawdzić). Zamknęliśmy się w środku. Pokazałam mu wiadomość od Grodzińskiego – Memed kiedyś wychowywał podobnych zadziornych gówniarzy.

– I co o tym sądzisz? – Podeszłam do ławek pod oknami; sala nie była duża.
– Czy to wypucha? Chce się odegrać za wczoraj?

– Doświadczenie mi mówi, że gdyby istotnie chciał, toby odczekał. – Usiedliśmy na ławce, opierając się o siatkę zabezpieczającą kaloryfery. – Jest ciekawy. Nic nie wie o tobie ani o nas. Chodzi o pociągnięcie cię za język. Stąd wybór takiego miejsca spotkania, z dala od szkoły i jego kolegów. Pomógł ci na rzeźbie i zajęciach z PO. Nawet odrobinę cię poznawszy, dostrzegł w tobie człowieka. To jest właśnie problem z tymi wszystkimi rasistami i nacjonalistami. Niewiele wiedzą o swoich wydumanych wrogach, a to ułatwia im sprawę. Pozwala nienawidzić.

– Widać, że byłeś nauczycielem.

– Wychowawcą.

– Trudnej młodzieży.

– Każdy dzieciak jest trudny, jeden mniej, drugi bardziej. Jak chcesz, to się z nim spotkaj. Będę cię ubezpieczać. Ta kawiarnia jest niedaleko.

– A co z opuszczeniem terenu szkoły?

– Założę się, że spryciarz znalazł na to sposób.

Miał rację, Paweł właśnie przesłał mi przepustkę.

– Popatrz. – Podsunęłam Memedowi identyfikator pod nos.

– „Komenda uzupełnień”? Ma chłopak fantazję. I informacje z pierwszej ręki. Zbierają wasze dane, bo w następnym roku wprowadzą obowiązkowe przeszkolenie dla osiemnastolatków.

„Będę” – wysłałam Pawłowi informację i podziękowałam Memedowi za pomoc.

Odszukałam Roksanę i powiedziałam jej, że muszę wyjść ze szkoły. Nie wspomniałam, że spotkam się z Grodzińskim. Po sprawdzeniu przepustki ochroniarz bez problemu przepuścił mnie przez bramkę. Nie oglądałam się za siebie – jeszcze zdemaskowałabym Memeda albo kogoś, kogo za mną wysłał. Wystarczyło kilka minut szybkim krokiem, żeby dojść do placu zwanego Na Stawach. Znalazłam kawiarnię w bocznej uliczce. Lokal świecił pustkami, Paweł siedział przy stoliku pod ścianą. Kiedy zajęłam miejsce naprzeciwko, podał mi kartę.

– Jak się tutaj płaci?

Nie miałam przy sobie złamanego grosza.

– Kredytem starych. Wystarczy, jak podsuniesz pod czytnik szkolny identyfikator. Ale nie zwracaj sobie tym głowy, to ja cię zaprosiłem.

A ja nie chcę być ci nic dłużna, pomyślałam.

– Dzięki, zawsze płacę za siebie. Taki francuski zwyczaj.

– Francuski?

– Nie udawaj, na pewno grzebałeś w moich danych.

– A ty nie wciskaj mi kitu z tym zwyczajem. Poza tym i tak nie ty byś płaciła, tylko korzystała z kredytu staruszków.

– Dzięki za wypomnienie, że nie zarabiam jeszcze na siebie. Zastępujesz zgreda? Doktoryzowałeś się ze zwyczajów francuskiej młodzieży przez neta?

– *Pax, pax.*

Skończyło się na tym, że każde zamówiło swoją kawę przy barze (ja cappuccino, Paweł czarną). Kiedy czekaliśmy na realizację zamówienia, zaatakowałam:

– Co chcieliście zrobić Roksanie?

– Tylko nastraszyć.

– Nastraszyć! – parsknęłam. Co za idiota!

– Miałem odpuścić, gdy rzuciłaś się na nas, żeby bić. Ale wtedy pojawili się ci najemnicy.

– Czyli moje działanie było skuteczne. „Czasem tak trzeba. Stanąć naprzeciwko silniejszego” – zacytowałam Igora.

– No, jaja to ty masz. Większe od niejednego faceta.

– Dzięki za komplement, ale wolałabym, żebyś pochwalił moją fryzurę.

– Masz fajny tyłek.

Szczęka opadła mi na podłogę i trzepnęła w bębenki. Nie takiego komplementu się spodziewałam.

– Słyszałam o takich, którzy w sądzie tłumaczyli się, że chcieli „tylko nastraszyć”. Skatowany metalowymi prętami chłopak umarł w szpitalu. Twój koleś wyciągnął pałkę teleskopową.

Zareagowałam, jak zawsze w podobnej sytuacji, pewnie dlatego nigdy nie miałam faceta. Paweł przez chwilę nic nie mówił.

– Masz rację, to była głupota – odezwał się w końcu. – Ale oni tak nagle na nas wyskoczyli.

– A tym myślałeś, że wszystko kontrolujesz. Nie, nie kontrolowałeś.

Babka zza baru podeszła do naszego stolika i postawiła na nim kawę. Pośodziłam swoją i powoli zamieszałam. Napiłam się trochę. Była akurat, ani za gorzka, ani za słodka.

– Dlaczego nazwałeś ich najemnikami?

– Bo nimi są. Ten koleś, który cię odwozi, też nim jest. Widziałem już takich.

– I chciałeś się ze mną spotkać, żeby o nich pogadać?

– Niekoniecznie. Może mi się spodobałaś?

Zachłysnęłam się kawą. Rozkaszałam, aż miałam łzy w oczach. Doszłam jakoś do ładu, ale nie udało mi się ukryć swojej reakcji na słowa chłopaka. Zastosowałam sprawdzoną metodę: odwrócenie uwagi. Zawsze działała.

– Co masz do Roksany?

– Wiesz, kim jest jej brat?

– Wiem. Terminatorem z Donbasu.

– To banderowiec z UNSO!

– Nie z UNSO, tylko SUS, Sława Ukraińskim Sokołom. – Zdążyłam tę informację sprawdzić w necie. – Walera przez ponad rok był w ruskim okrążeniu.

– Dawna UNA-UNSO.

Mogliśmy tak w kółko. Paweł interesował się historią, ale patrzył na nią przez pryzmat fobii dorosłych. Swoich rodziców? Środowiska, w którym dorastał? Organizacji, do której należał? Tak nie może być! Nie można dzieciaków wciągać w takie sprawy. Urabianie od szczeniaka rodzi agresję. Inaczej jego czarne koszule nie zaatakowałyby Roksany. I to on był prowodyrem!

– Od dwa tysiące pierwszego roku sporo się w tej organizacji zmieniło. –

To też wczoraj sprawdziłam w przerwach między rozwiązywaniem zadań z fizyki i chemii. – Wiesz co, znam jednego Rosjanina. Jego dziadek walczył w Afganistanie, a potem służył w Legii Cudzoziemskiej.

Zauważyłam, że moje słowa wywarły na nim wrażenie.

– Rosjanin służący w Legii? Masz ciekawych znajomych. A ja mam propozycję. W następnym tygodniu organizujemy imprezę. Będziemy strzelać z łuków, kuszy i broni palnej. Zabierz na nią tego Rosjanina i swojego kierowcę. To Czeczen, prawda? Jak ci dwaj ochroniarze. To też twoi znajomi.

– Skąd ten wniosek?

– Ostro zareagowali, kiedy do nas doskoczyłaś. Mogli ostrzec nas słownie.

Jednak Zuradow nie miał racji. Paweł był bystry i diabelnie spostrzegawczy.

– I koncertowo nas załatwili. Ani jednego urazu, który wykazałaby obdukcja, a klęczeliśmy przed nimi. Ten młodszy, jak założył dźwignię Kubie...

– Najemnicy – przerwałam mu – nie byłiby tacy... delikatni.

– Dyrektor nie jest ostatnim głupcem, nie? Gdyby zatrudnił tępych zakapiorów, za ich nieudolność poszedłby siedzieć. A z tego młodszego musi być niezły wymiatacz. Zabrałem chłopaków, bo nie mielibyśmy z nim szans, jeszcze z tym siwym jako wsparciem. No i co z tą imprezą?

Pokusa była ogromna, interesowała mnie szczególnie kusza. Ale wiedziałam jedno: rasistowskie poglądy nie znikają w jednej chwili, a Paweł nazwał Dżochara „czarnym”. Co prawda w gniewie, wkurzony na mnie za to, że rozwaliałam jego pracowicie stworzone mechy, ale zdradził się ze swoim stosunkiem do ludzi o ciemniejszym odcieniu skóry – do „kolorowych”, bo tak o nich myślał. No i te rozrywki na imprezie małych! Kult siły do niczego dobrego nie prowadzi. Nareszcie to zrozumiałam. Paweł nieświadomie mi w tym pomógł, kiedy pozwolił się wybadać. Czy dawał mi do zrozumienia, że jest mną zainteresowany? Dlatego mnie tutaj zaprosił? Podobały się mu moje, ech... walory?

– Mój chłopak nie puści mnie samej – palnęłam nagle.

Uderzyłam w punkt. Mało brakowało, a teraz Paweł zachłysnąłby się kawą. Byliśmy kwita. Ja gwałtownie zareagowałam, bo nie wierzyłam, by jakiś

chłopak się mną zainteresował. Grodziński z kolei był pewien, że wystarczy, aby kiwnął palcem, i każda dziewczyna padnie przed nim na kolana.

– Żartowałam. Teraz nie mam faceta. – Nie zamierzałam mu się przyznać, że nigdy nie miałam. – A co do tej imprezy, dziękuję, chociaż... Jak przeprosisz Roksanę – publicznie – to może to przemyśle.

– Dajesz mi do zrozumienia, że jeśli tego nie zrobię, nie mam u ciebie szans?

– Absolutnie żadnych.

Do szkoły wróciliśmy osobno. Jakoś nie mogłam się skupić na lekcji historii, a Paweł uciekał wzrokiem, kiedy tylko na niego spojrzałam. Podejrzywałam, że przetrawia mój toporny dowcip i rozważa publiczne przeprosiny „banderowy”. Gdyby to zrobił, w oczach kolegów mocno ucierpiałby jego autorytet lidera. Ale lider musi podejmować trudne decyzje. Jeśli Paweł naprawdę jest mną zainteresowany, przeprosi Roksanę. Ja jednak wolałabym, aby zrobił to nie dla mnie, tylko dlatego, że zrozumiał, jak wrednie postąpił. Nie jest głupi, niech jeszcze pozwoli dojść do głosu swojemu sumieniu. W kilku przeciw jednej dziewczynie? Ostatnie tchórzostwo!

Kiedy znalazłam się już w łóżku, odwiedził mnie Igor. Nie powiedziałam mu o Pawle i o tym, że miałam pierwszą w życiu randkę – jeśli Grodziński był z mną szczery. Tego nie mogłam być pewna, mimo mojego pospiesznie wymyślonemu testu, który zaliczył. Może zależało mu na zebraniu informacji o jego prześladowcach w myśl zasady, że należy poznać wroga, bo wtedy łatwiej go zniszczyć? Albo chłopak był po prostu ciekawski, tak jak mówił mi Memed, i chciał się dowiedzieć czegoś więcej o nowych ochroniarzach i uczniacy przybyłej z zagranicy.

Igor znowu nie miał dla mnie czasu. Gdy wyszedł, włączyłam tablet i wyświetliłam na ścianie powiększone zdjęcia Pawła, po czym dodałam do nich rysunki Asłana. Którego wybrać? Chętnego Igora, niedostępnego Asłana czy chcącego mnie poznać bliżej Pawła? Który ma być tym pierwszym? Jedynym? Zuradow nadal traktował mnie jak małą i dawał do zrozumienia, że jest jedynie przyjacielem. Co mi pozostało? Uzbroidź się w cierpliwość. A wybór był trudny. Paweł na żywo, z bliska, na wyciągnięcie ręki, robił jeszcze lepsze wrażenie niż na zdjęciach. Asłan ze swoją nagą klątą

też był niezły. Igor... nie mogłam zapomnieć o spędzonej z nim nocy. I nie byłam uczciwa ani wobec Igora, ani wobec Asłana (przecież przed spotkaniem z Pawłem poszłam do Memeda, a nie do niego), ani też wobec Pawła.

Powiedziałam Grodzińskiemu, że nie mam chłopaka i jestem wolna, ale nie przyznałam się, że mam kogoś na oku. Kogoś, kto niezdrowo mnie fascynował – jego pogromcę: Asłana Zuradowa.

Rozdział 15

Ukraiński kocioł

Fantomy były obleśne, niby przypominały ludzkie ciała, ale te rozwarte silikonowe usta! Pfe! Właśnie przyszła moja kolej, by w nie dmuchać. Na twarzy Pawła dostrzegłam rozbawienie, a na Roksany – obrzydzenie. Moja przyjaciółka była następną w kolejce. Całe szczęście, że każdy z uczniów miał nakładkę, której używał, by ograniczyć wymianę drobnoustrojów. Ale dmuchaliśmy w ten sam otwór! Nie pocieszało mnie, że instruktor odkaża fantomy specjalnym sprayem. Silikonowe lale leżały na czterech stolikach, co pozwoliło zmniejszyć kolejkę ćwiczących, ale za to wydłużało kontakt z tym ohydztwem.

Kilka wydechów z wdmuchiwaniami powietrza w szparę ust fantomu. Masaż serca: ucisk dłońmi na mostek. I tak w kółko, aż zaświeciła się zielona dioda na silikonowym czole. Musiałam powtórzyć procedurę trzy razy, wreszcie przesłam na następne stanowisko: zakładania tradycyjnych elastycznych bandaży. Szybko pojęłam, o co chodzi z wiązaniem żółtym i kłosowym. Sama wielokrotnie wiązałam taśmy i nakładałam na nie ośmiuncjowe bokerskie rękawice, pomagałam też Aślanowi i Igorowi, kiedy przygotowywali się do wejścia na ring.

Potem mieliśmy wykład na temat broni chemicznej i biologicznej. Instruktor Wroński, energiczny facet w średnim wieku, pokazywał nam specjalne kombinezony zabezpieczające z kaskami. Zakładaliśmy je, ściągaliśmy, było przy tym sporo radochy. Śmialiśmy się, że jesteśmy na wybiegu pokazu mody pod hasłem „Nuklearny świt”. Pogorszyły się nam humory, gdy Wroński zrobił wykład o schronach. Wyświetlił hologram z rozmieszczeniem schronów w całym mieście i okolicy. W wypadku alarmu mieliśmy się zgłosić do najbliższego z nich. Każdy uczeń miał plan w swoim osobistym identyfikatorze.

Instruktor zrobił symulację ataku nuklearnego i chemicznego. Zaledwie dwadzieścia procent uczniów znalazło miejsca w schronach, reszta zginęła

w ciągu niecałych trzech minut. Miny mieliśmy nietęgie. I nie chodziło o to, że się guzdraliśmy, tylko schronów było za mało na tak dużą populację: Kraków miał ponad milion mieszkańców. Paweł jeszcze bardziej nas dobił, kiedy spytał:

– A co będzie, jeśli Ruscy przyładują impulsem magnetycznym?

– Plany w identyfikatorach szlag trafi – skomentowała Roksana.

– Jest na to procedura – pocieszył nas Wroński. – Każde z was na następną lekcję przygotowuje listę najbliższych schronów w okolicy, gdzie najczęściej przebywa, i wkuje ją na pamięć. – Podniósł się gwar niezadowolenia. – Będę przepytywać w najbardziej niespodziewanym momencie. – ostrzegł. Gwar wzmógł się, ale facet miał to gdzieś. Oznajmił uczniom: – A teraz udamy się do schronu pod naszą szkołą.

Wyprawa do schronu też nie napawała optymizmem. Co prawda nie przypominał średniowiecznego lochu ze ścianami ociekającymi wilgocią, ale i tak wywołał u wszystkich klaustrofobiczne wrażenie. Wroński zademonstrował nam, jak działają hermetyczne włazy. Skojarzyły mi się ze śluzami okrętu z Kosmicznej zadymy.

– A jeśli na zewnętrzne włazy zwałą się tony gruzu?

Tym razem to ja wprawiłam instruktora w konsternację.

– Wtedy dupa – palnął Paweł. – Będiesz czekać, aż cię odkopią jak prehistoryczną skamielinę.

Nikt się nie roześmiał. Uświadomiłam sobie, że oni wszyscy traktują to bardzo serio. Nie wierzyli w ochronę tarczy antyrakietowej.

– Koniec zajęć – oznajmił Wroński. – Proszę o poważne podejście do tematu. Będziecie mieć przeszkolenie na Pasterniku. Opatrywanie rannych w warunkach pola walki. Ale przedtem zademonstruję wam na fantomach, co zrobić z otwartą raną, jak założyć opaskę uciskową.

– Na urwanej nodze? – wyrwało się Kubie.

Reszta uczniów omal nie zabiła go wzrokiem. No może z wyjątkiem Grodzińskiego. Paweł miał takie samo chore poczucie humoru.

Poszliśmy z Roksaną do stołówki. Inni mieli podobny pomysł, dlatego gdybyśmy się choć trochę spóźniły, zabrakłoby wolnych krzeseł. Roksana zajęła dla nas miejsca, a ja stanęłam w kolejce po jedzenie. Kuchnia

serwowała czerwony barszcz i ruskie pierogi.

Zerknęłam na stoliki przy drzwiach, Grodziński siedział tam ze swoimi czarnymi koszulami. Zaczęłam go dyskretnie obserwować. Kiedy kończyłam porcję pierogów, wstał od stołu razem z kilkoma kumplami. To oni zaatakowali mnie i Roksanę w atrium. A teraz bynajmniej nie zmierzali do bufetu. Może skręca ku Marzenie i jej koledze, który prowokował Kubę? Próżne nadzieje, byli już trzy stoliki ode mnie i Roksany. Zauważyłam, że dziewczyna zaciska dłonie na krawędzi blatu. Była spięta, jakby zaraz miała się rzucić do ucieczki. Wcisnęłam czerwony guzik alarmu na nadgarstku.

Przystanęli przed naszym stolikiem, Paweł z przodu. W stołówce nagle zapadła cisza. Źle to wróżyło, widocznie nie tylko my byliśmy tutaj napastowane. Miałam nadzieję, że jedynie słownie. Z tym sobie poradzę, nie dam się nikomu ośmieszyć.

– Przepraszam was za wczoraj – zaczął Paweł. – Szczególnie ciebie, Roksana. Kuba i reszta też was przepraszają. To było tchórzostwo.

Na twarzach jego kolegów dostrzegłam konsternację, a chwilę później wściekłość. W tym samym momencie w drzwiach pojawił się Achmatow. Kumple Pawła rozglądali się nerwowo. Musieli zauważyć ochroniarza. I zdali sobie sprawę, że pół szkoły słyszało przeprosiny ich lidera, a drugie pół za sekundę się o nich dowie.

– I co ty na to? – spytałam Roksanę, jeszcze bardziej zaskoczona od przydupasów Pawła.

– Przeprosiny przyjęte.

Memed podszedł do bufetu – dla reszty uczniów mógł się tu znaleźć przypadkowo, żeby kupić kanapkę albo coś do picia. W pomieszczeniu znowu zrobiło się głośno. Paweł z grupką czarnych koszul wrócili do swojego stolika. Niespodziewanie wszyscy koledzy Grodzińskiego wstali i opuścili stołówkę. Zostawili swojego kumpla samego!

– No, no – mruknęła Roksana – tego się po nim nie spodziewałam. Ale teraz ma u nich przechłapanie.

Sięgnęła po kubek z herbatą.

– Spotkałam się z nim. Sam na sam – dodałam.

O mały włos nie wylałaby gorącego napoju na swoje kolana.

– Kamikadze z ciebie – parsknęła. – Grodziński jest nieprzewidywalny...

– ...jak przed chwilą – weszłam jej w słowo. – Powiedziałam mu, że jak cię publicznie nie przeprosi, nie ma u mnie szans.

– Przeszarżowałaś. A nie pomyślałaś, że nie jest tego wart?

– To babiarz?

Właśnie tego się bałam, niczego więcej. Że pierwszy facet, który się mną zainteresował, robi mnie w trąbę.

– Zależy, jak na to patrzeć. Chodzi z dziewczyną i nagle ją rzuca, ale bynajmniej nie dla innej. A w zasadzie przestaje się nią interesować. Spytaj Marzeny. Przez łajdaka wylała ocean łez w poduszkę.

– Teraz gdy go widzi, kosa otwiera jej się w kieszeni?

– Dokładnie. Przestał się z nią spotykać, bo... Wiesz, co ten bydlak jej powiedział? Cytuję: „Nie mam czasu”. Nie miał czasu dla swojej dziewczyny!

Podniosłam się zza stołu.

– Co robisz? – syknęła.

– Idę go poderwać.

Zostawiłam Roksanę z wyrazem rybki na twarzy i przysiadłam się do Pawła. Kolejna tego dnia sensacja dla szkolnej gawiedzi. Już słyszałam te przyciszone głosy, jak nas obgadują: nowa i boss lokalnego gangu zrzucony ze swego zydła.

– „Czasem tak trzeba. Stanąć naprzeciwko silniejszego” – powtórzyłam mu te same słowa co w kawiarni.

– Tylko że najpotężniejszy wróg jest tutaj. – Wskazał dłonią na swoje czoło. – Ten czarny, tu, na stołówce, to tak przypadkiem? – Jego ton był pełen rozgoryczenia i kpiny przyprawionej sarkazmem.

– Nie lubię, jak tak na nich mówisz.

– Na „nich”? Są sklonowani? Wyleźli z jednej wioski? Zabitej dechami budy gdzieś na Kaukazie?

Wiedział, że moje poczucie sprawiedliwości zrobiło wolnę. Uderzył w czuły punkt. Chciał mnie zniechęcić do dalszego kontaktu. Nic z tego, Pawle Grodziński, tak łatwo mi się nie wymkniesz.

– Co z tą imprezą? – spytałam, ignorując jego obraźliwe słowa. – Aktualna?

– Właśnie została odwołana. Większością głosów – dodał z gorzką drwiną.

– Po PO mówiłam Roksanie, że jesteś Cicero czarnego humoru.

– Coś w tym jest – mruknął. – Masz czas po lekcjach?

Nawet nie musiałam rzucać zanęty. Samotny, krnąbrny okonek szybko połknął haczyk.

– Nie bardzo. – Moja odmowa jeszcze bardziej go nakręci. – Muszę wkuć te schrony.

– Nie żartuj! Odrabiasz zadania domowe?

No i wyszłam na kujona. Zwykła pospolita szara mysz, którą szybko straci zainteresowanie.

– Wiesz, mam problem ze schronami. Mieszkam przy lasku...

– A czarny odwozi cię do szkoły i z powrotem. Wychodzi na to, że nie masz za wiele do zapamiętywania.

Mocno okonia zacięłam, już się nie zerwie. Co ja robię?! Czy naprawdę tego chcę?

– Dżochar – mocno zaakcentowałam imię Czeczena – będzie na mnie czekać po lekcjach.

– Wyślij mu wiadomość, żeby przyjechał później i w inne miejsce. Przynajmniej ominą was korki.

Żeby to było takie proste, pomyślałam. Jednym słowem odwołać moich ochroniarzy.

– Musisz to skonsultować? – spytał z przekąsem. – Jak nasze spotkanie w kawiarni z tym czarnym, który stoi przy bufecie?

– Skąd wiesz?! – Za późno ugryzłam się w język. W ten sposób potwierdziłam znajomość z Achmatowem.

– Jak myślisz, dlaczego kamera w atrium nie działała? Skąd mam obraz spod sali gimnastycznej? Widzisz tego wysokiego chłopaka z kucykiem siedzącego przy oknie? Mirek wpiął się do systemu i zhakował program obsługujący kamery.

– Lekcje też za ciebie odrabia?

Smarkacz wysługiwał się innymi. Co za obrzydliwy cwaniak! Odechciało mi się z nim zadawać, a co dopiero umawiać.

– Pomyślałaś, że przykładam mu spluwę do skroni? – Wzruszył ramionami. – To transakcja wymienna. A ty, Chwała? Skąd niby tych dwóch pojawiło się w szkole tego samego dnia co ty? Czarni cię osłaniają. Kim ty, do cholery, jesteś? Córką bossa mafii?

– Nie „czarni”, a Czeczeni – odrzekłam twardo. – Dalsze udawanie, że nie znam Asłana Zuradowa i Memeda Achmatowa, nic by nie dało. – Jeszcze raz powiesz „czarni” i usłyszysz *bye, bye*.

– Próbowałam cię sprowokować.

– No to ci się udało! – warknęłam.

Paweł się uśmiechnął. Cholera, miał ładny uśmiech.

– No to co? Wsiadasz ze mną na motocykl po lekcjach?

Też mi propozycja!

– Nie znoszę jeździć z tyłu.

– Niezależna kobieta. – Znowu się uśmiechnął. – Mam dla ciebie niespodziankę. Skontaktuj się i dogadaj z tymi twardzielami. Prześlę ci adres, gdzie pojedziemy. Chyba nie zamierzasz kursować tylko między domem i szkołą?

– Przekonałeś mnie – mruknęłam.

– I fajnie.

Połączyłam się z Achmatowem, który wyszedł już z bufetu. Byłoby mi głupio rozmawiać z Asłanem. Czułam się, jakbym go zdradzała. Memed szybko załatwił sprawę z Dżocharem. Paweł dostał ultimatum, gdzie ma mnie podrzucić, w przeciwnym razie, cytując Dżochara: „Nogi ze zadnicy Lachowi powyrywam”.

Po lekcjach opuściliśmy razem z Pawłem szkołę, trzymając dystans. Żadnego łapania za rączki. Jeszcze wczoraj facet był moim wrogiem numer jeden w tym przybytku.

– To ten. – Wskazał na motocykl z żółtym bakiem. Maszyna stała na terenie szkoły, za ogrodzeniem. – Jednośląd łatwiej zaparkować i przeprowadzić

przez bramkę. Tutaj nawet z niedużą tetką są kłopoty. To przerobione moto guzzi. Ma wyrzucone cienkie lagi, a wsadzone szerokie, od wyścigowej yamahy. Jak widzisz, łączą je solidne długie półki.

– *Ride or die* – odczytałam napis na wyższej półce. – Nie pasuje do czarnego mundurka, który masz pod kurtką.

– Ojciec zrobił grawerkę.

– Jeździsz na butanolu?

– Nie, na benzynie. To stara maszynka.

Paweł podał mi kask Nolana. Był czarny, opływowy i z przyciemnianą szybą.

– Wziąłeś dwa kaski? Byłeś pewny, że nie będziesz wracał sam?

– Miałem taką nadzieję. Wsiadaj, Chwała.

Nie bajerował! Zagiął na mnie parol i regularnie osaczał.

Usadowiłam się za Pawłem i objęłam go w pasie, by nie spaść, kiedy przesarżuje. Nos mi mówił, że chłopak będzie się chciał popisać. Jednak to nie brawurowa jazda stanowiła problem. Mocno marzył mi tyłek, w końcu był październik. Dobrze, że dom Pawła znajdował się o rzut beretem od szkoły, na Woli Justowskiej, która w czasach mojej mamy uchodziła za najdroższą dzielnicę Krakowa.

Przejechaliśmy obok Błoń, teraz po lewej ręce miałam kopiec Kościuszki. Paweł skręcił w wąską drogę, która pięła się w górę. Po obu stronach rosły sosny i świerki. Minęliśmy kilka domów i po chwili skręciliśmy w jeszcze węższą uliczkę.

Zdalnie otworzył bramę i wjechał na posesję. Dom, przy którym zatrzymał motocykl, wyglądał jak bunkier z pierwszej wojny światowej. Jego grube ściany mogły nie przepuszczać sygnału. Ciekawe, jak Memed z Asłanem sobie z tym poradzą? Byłam pewna, że zanim otrzymałam od Dżochara zgodę na spotkanie z chłopakiem, sprawdzili w bazie szkoły, gdzie Grodziński mieszka, i któryś z nich był tutaj przed nami. Stawiałam na Dżochara. I tak musiał przebywać w okolicy, żeby – według pierwotnego planu – odebrać mnie ze szkoły.

Paweł otworzył drzwi domu. Przypominały służbę schronu, który zwiedzaliśmy na lekcji PO. Zaprosił mnie do środka. Zaskoczona, stanęłam

w holu. Ściany miały ciepły oranżowy kolor. Pozostałam w krótkiej kurtce, która starczyła na podróż samochodem, ale nie na jazdę jednośladem. Paweł ściągnął grubą kurtkę motocyklową. Była bajerancka: dużo kieszeni, czarne ochraniacze z kevlaru na stawach. Powiesił ją na wieszaku z poroża jakiegoś nieszczęsnego zwierzaka.

– Polujecie?

Nie przepadam za mordercami zwierząt.

– Nie, ojciec znalazł to poroże w lesie, na terenie parku. Chodźmy do kuchni – zaproponował. – Zrobię herbatę. Cała się trzęsiesz.

– Z rumem poproszę.

– Żeby twoi muzułmańscy ochroniarze wypłacili mi na plecy sto batów bykowcem?

– Na twoim miejscu – uśmiechnęłam się – bardziej bałabym się mojej siostry. Z całej trójki tylko Dżochar jest religijny. Fanatycznie. Jak mu się narazisz, zostanie z ciebie tylko nacięcie na kolbie jego karabinu M24A4.

– O, grubo! To zajebista giwera! Rozdają takie w tej jego rozsypującej się budzie na Kaukazie? Kogo ja zaprosiłem do domu!

– Widocznie kochasz ryzyko. – Wzruszyłam ramionami. – Pamiętasz? Jestem jak córka mafijnego bossa. Poza tym Dżochar mógł się urodzić w Polsce i nie być na Kaukazie nawet na wakacjach. Nie lubi o sobie mówić, chyba że o swojej misji walki ze Złem.

– Niezły świrus.

– Nie wiem, któremu z was bardziej odbija.

Wbiłam palec w naszywkę z trupa czachą na rękawie jego czarnego mundurku.

– „Śmierć wrogom ojczyzny” – przeczytałam napis poniżej. – Wiesz, kto nosił trupie czaszki na czapkach? SS. I ty uważasz się za normalnego?

– Daj spokój – odrzekł polubownie. Otworzył drzwi do następnego pomieszczenia. Gestem zaprosił mnie do środka.

Kuchnia miała jeszcze bardziej wściekłe barwy niż hol i była połączona z salonem. Paweł podniósł z blatu czajnik. Dolał do niego wody z kranu i włączył.

– Kto urządzał dom? – spytałam, szukając neutralnego tematu. Gdybyśmy nie przestali się spierać, zaraz doszlibyśmy do brata Roksany.

– Moja mama, Magda. Co chwilę coś przemaalowuje, jak nie ściany, to meble. Przywozi stare graty z giełdy albo kupuje przez Allbuya i je odnawia. Magda zajmuje się renowacją, to jej pasja.

Woda szybko się zagotowała. Paweł zalał wrzątkiem herbatę Dilmah w torebkach.

– Trzymaj. – Podał mi kubek. – Rumu nie będzie, bo następnym razem dadzą ci szlaban na spotkanie ze mną. Założę się, że ten muzułmanin wyczuje nawet gram alkoholu. Mówiłem, że mam dla ciebie niespodziankę. Za chwilę ją zobaczysz, tylko się rozgrzej.

Podał mi gruby czerwony pled, który wisiał na oparciu krzesła.

– Jeżdżę na maszynkach do pierwszego śniegu, ale na enduro nawet przez całą zimę. Aby pozbyć się dzikich jeźdźców z parków, jakieś trzy kilometry stąd wydzielono kawałek terenu, żeby gówniarzeria na quadach mogła się wyszaleć, to i ja korzystam.

Przeszliśmy do salonu. Znajdował się w nim kominek obłożony rudobrazową cegłą. Usiedliśmy na kanapie z jasnej skóry, wykończonej prawdziwym drewnem. Paweł nie rozpałił ognia, tylko podkreślił ogrzewanie elektryczne. Chyba bardziej chciał pokazać tę „niespodziankę”, niż mnie poderwać, bo nie ma lepszego sposobu na wprawienie laski w romantyczny nastrój jak ogień płonący wesoło w komiku.

– Chodźmy. – Poderwał się z kanapy. – Weź pled i kubek.

Domyślił się, że nie chciałam zostawiać naczyń, którego gorące ścianki grzały mi zziębnięte dłonie.

Wyszliśmy z bunkra. Paweł złapał za kierownicę i podprowadził motocykl do niskiego budynku, tak dużego, że mogły się w nim zmieścić i cztery samochody.

Otworzył drzwi pilotem, włączył światło i wprowadził motocykl do środka. Podążyłam za chłopakiem. Zaciekawiona rozejrzałam się po pomieszczeniu. Stały w nim jeszcze trzy maszynki: masywny smok i dwa motocykle enduro.

– Widzę, że jesteś kolekcjonerem. Wszystkie są twoje?

– Mam je po ojcu. – Zamknął drzwi garażu. – Usiądź tam. – Wskazał róg pomieszczenia. – Pod blatem jest grzejnik.

Usadawiłam się na wysokim obrotowym stołku.

– Po ojcu?

– Ojciec zmarł na raka trzustki półtora roku temu.

– Przykro mi.

– Ciężko było nam się dogadać. Teraz tego żałuję. Nie mogę go już przeprosić. Miał tylko czterdzieści siedem lat. Mocno między nami iskrzyło.

Domyślałam się, na jakim tle były konflikty Pawła z ojcem. Wystarczyło rozejrzeć się po garażu. Na ścianie wisiał olbrzymi plakat z filmu Easy Rider. Klasyka z lat sześćdziesiątych ubiegłego wieku.

– Należał do MC? – Miałam na myśli klub motocyklowy.

– Był na to zbyt niezależny. Dlatego nie popierał tego, że wstąpiłem do gwardii. Nie lubił broni i nie znosił wszelkich organizacji. Uważał, że przynależność do nich jest zwykłym tchórzostwem. Kryciem się za plecami innych.

– Coś w tym jest.

– Ale samemu zdołała się niewiele.

Usiadł obok mnie na stołku.

– Za Roksanę by ci się od niego oberwało.

Nie zamierzałam Pawła oszczędzać. Miał pod nosem wzór do naśladowania. Nie stracił, jak ja, rodziców, kiedy był dzieckiem, ale nie potrafił z tego skorzystać.

– Ano, by się oberwało – potwierdził. – Ale Marek nie był idealny. Sporo pił.

Picie, czyli awantury, pomyślałam. To by tłumaczyło bunt Pawła.

– Kiedy wstąpiłeś do tej... gwardii?

– Werbują od trzynastego roku życia. Potem masz stopnie, pierwszy otrzymujesz w wieku piętnastu lat.

Uff, najbardziej gorący wiek. Przypomniałam sobie nasze kłótnie z Hanną. Ja poznałam Asłana Zuradowa i to właśnie on mnie wyprostował. Paweł

wpadł w środowisko, które go urobiło, niekoniecznie w dobrym sensie.

– A nie potrzebowałeś pozwolenia od rodziców?

– Podsunąłem fałszywkę. Wiesz, że mam znajomych hakerów. Wszystko się wydało, kiedy skończyłem piętnastkę. Kumple przyjechali, by uczcić moją nominację na młodszego strzelca.

– Dlaczego nie dałeś sobie spokoju z tą całą gwardią?

– Łatwiej się pozbierać, kiedy nie jesteś sam. Zadbałem też o motocykle ojca. Nauczyłem się je naprawiać. Sporo czasu spędziłem tutaj, w garażu.

– I wtedy dziewczyny poszły w odstawkę?

– Widzę, że zebrałaś o mnie plotki. Dobra, Chwała, koniec rozmowy o przeszłości. Widzisz tę czerwoną maszynkę enduro pod ścianą? To Honda XL dwieście pięćdziesiąt – stara, ale jara. Nie ma rozrusznika, pali od kopa. Nie znosisz jeździć z tyłu? Nie ma sprawy. Pokaż mi, że umiesz z przodu.

– Mówisz poważnie?

– Absolutnie poważnie.

Paweł podniósł się ze stołka i podszedł do motocykla.

– Jutro mam lekcję jazdy konnej – zastosowałam błyskawiczny unik.

– Tutaj będziesz miała dwadzieścia cztery konie pod swoim zgrabnym tyłkiem.

Nieudany unik, nadal znajdowałam się na linii strzału. Podeszłam do motocykla. Pali od kopa? Czyli coś miałam kopnąć. Jakąś wajchę, najpewniej przy silniku. Tak jak na filmach o gangach motocyklowych. Kiedy bohater to robił, najpierw stawał w rozkroku nad maszyną. Nie, tak mogło się nie udać. Jeszcze w chwili kopnięcia stracę równowagę. Paweł z irytującym uśmiechem przyglądał się moim wyczynom.

Raz się żyje, pomyślałam i stanęłam nad motocyklem.

Przesunęłam w bok zakończenie wajchy, która znajdowała się po prawej stronie silnika. Było otoczone wytartą gumą, domyśliłam się, że od podeszwy. Jeszcze luz. Gdzie tutaj są biegi? To ta płaska wajcha po drugiej stronie? Lekko podbiłam ją końcem zamszowego bucika. Wyczulam, że nic jej nie trzyma. Luz znaleziony. Przekręciłam kluczyk w stacyjce i rozłożyłam lewy podnózek. Stanęłam na nim. Teraz tylko przerzucić ciężar ciała na drugą

stronę, skacząc z góry na dźwignię rozrusznika – jak w filmach.

– Stój! – Paweł mnie powstrzymał. – Kopnik odbija.

No pięknie! Gdyby z wyślizganej gumy zsunęła mi się podeszwa, zarobiłabym na łydce megasiniaka. Nie miałam na sobie solidnych butów do enduro, jak Paweł. Jego były bajeranckie: z grubą okutą podeszwą, klamrami na całej długości cholewy, naszytym dodatkowym kawałkiem skóry na czubku – tam gdzie butem zmieniało się biegi.

Podszedł do motocykla i kopnął dźwignię z góry, nonszalancko, bez wysiłku. Silnik zaskoczył głośnym kaszlnięciem i teraz przyjemnie mruczał.

– Czterosuw – stwierdziłam.

– Tylko. Nie znoszę szlifier.

– Jazgot zbudziłby umarlaka.

Uff, przynajmniej wiedziałam, czym się różnił silnik dwusuwowy od czterosuwowego. Sąsiad znajomego Hanny szalał w soboty po ogrodzie z dwusuwową kosiarką. Szło wtedy odlecieć.

Motocykl stał na wprost drzwi garażu. Paweł właśnie zrobił krok w ich kierunku. Musiałam szybko wymyślić przekonującą bajeczkę.

– Już dość się wymarzałam. – Bingo! Wymówka idealna i do tego zgodna z prawdą. – A robi się ciemno.

– Ależ ty jesteś delikatna! Przyniosę ci ocieplaną kurtkę, rękawice i kask.

No i dupa, jak wyraził się Paweł na lekcji PO.

– Mam ksywkę Art.

– Pasuje do ciebie. Bo prawdziwa z ciebie artystka. Idę po...

Poczułam wibracje na nadgarstku. Spojrzałam na pasek z identyfikatorem i minitabletem, Aslan przesyłał mi wiadomość. Odpaliłam holo, aby nie było, że się wymiguję przed jazdą na hondzie.

– Gloria, Dżochar zaraz u was będzie. Lidia życzy sobie, żebyś wracała do domu. Bez odbioru.

– No to cię załatwili.

– Chyba nas oboje.

Spieprzyli mi moją pierwszą randkę w życiu! Ale też wybawili przed

wyłożeniem się na kupie złomu.

- Fakt. A ten duży facet, Aslan. Nie chciałbym mu się drugi raz narazić.
- Mądrze. Zuradow walczy w klatkach. I jest w tym naprawdę dobry.
- Nareszcie coś o nim powiedziałaś. Czekam, aż powiesz też o sobie.
- Mówiłam o jeździe konnej w weekend.
- Mało.

Odsunąwszy na bok narzędzia, Paweł przysiadł na długim blacie, który ciągnął się wzdłuż całej ściany.

- Wznawiam treningi boksu.
 - Lepiej. Z tym Zuradowem? Czy z Igorem od Legii?
- Znowu perfekcyjnie skojarzył informacje!
- Często żałuję, że nie mam brata.
 - Gorzej.

Dawał mi do zrozumienia, że nie chce, bym go traktowała jak zamiennik wymarzonego brata.

– Ale siostra Lidia i jej przyjaciel Darek są interesujący. W wolnym czasie będę się uczyć jeździć konno, trenować sztuki walki, ale... – Zamilkłam. Musiał wyczuć mój nastrój, że czegoś nie chcę mu powiedzieć, bo jest zbyt osobiste.

- Mówiłem ci o moim ojcu.

Jego mocno osobiste wyznanie za moje osobiste wyzwanie.

– Moj rodzice zaginęli na Ukrainie jakieś dziesięć lat temu. – Usiadłam obok Pawła, przełożywszy na bok masywny klucz, chyba pięćdziesiątkę. – Niedawno się dowiedziałam, że tam zginęli. Ale to nie wszystko. Ty dobrze znałeś swojego ojca. Ja nawet nie wiem, kim naprawdę byli Monika i Eryk. Jak trafili do ukraińskiego kotła? I dlaczego? Moja siostra, Lidia, milczy w tej sprawie. Czeczeni i Igor również.

Paweł nie zdążył mnie objąć. Usłyszeliśmy krótki szczekliwy dźwięk – odgłos uderzonego dłonią klaksonu.

- Przyjechali po ciebie.
- Za dużo ci powiedziałam. Nie powinnam.

– Będę trzymał język za zębami, córko mafii. Ale to wyjaśnia, dlaczego masz taką obstawę. Może ludzie, którzy przyczynili się do śmierci twoich rodziców, nadal żyją?

– Wątpię. Może ci, co się przyczynili, tak. Ale coś mi mówi, że ci, którzy ich zabili, są tak samo martwi jak moja matka i ojciec.

Nie wdawałam się w szczegóły, Paweł i tak już za dużo wiedział.

– Przeczucie cię nie myli. Dziesięć lat temu niewielu wydostawało się z kotła na wschodzie Ukrainy. Pytanie, czy zabójcami byli Rosjanie, czy Ukraińcy? A najpewniej najemnicy. Czyli w grę wchodzi też Czeczeni. Oni walczyli po obu stronach.

– Paweł, nieważna jest narodowość, pochodzenie. Kiedy to w końcu zrozumiesz?

– Otworzyłem bramę, dżip właśnie zatrzymał się przed domem. Odprowadzę cię do tego Dżochara. Ale ja bym na niego uważał, tak jak i na resztę. Bo co, jeśli to oni przyczynili się do śmierci twoich rodziców? I teraz naprawiają błąd z przeszłości?

Rozdział 16

Bunt

Wielkie dzięki za spapranie mi spotkania – warknęłam, gdy znalazłam się już w samochodzie.

– Spodziewałam się bardziej entuzjastycznego podziękowania. – Dżochar wyszczerzył zęby. – Mało brakowało, a wyrznęłabyś motocyklem w ścianę. Aslan przesłał mi informację, że nie umiesz jeździć.

– Podrzuciliście Pawłowi pluskwę!

– Myślisz, że inaczej Zuradow pozwoliłby, abyś spotkała się z tym gówniarzem?

– Tego już za wiele! Chcę mieć normalne życie! A nawet nie mogę się pocałować z chłopakiem, żeby dziesięć osób o tym nie wiedziało.

Wyjechaliśmy już za bramę, zrobiło się ciemno. Lasek wyglądał niesamowicie, jakbyśmy byli na terenie parku krajobrazowego.

– Igor powiedziałby: skuteczny środek antykoncepcyjny. A ja, że taki, który Najwyższy pozwolił stosować – wstrzemięźliwość.

– Nie mów mi o Ledewie! Ten to dopiero jest wstrzemięźliwy!

– Masz za dużo energii. Aslan i na to znalazł sposób. Jutro budzi cię o szóstej rano i zabiera na zaprawę.

– Jutro będę jeździć konno.

– Dopiero po treningu.

– Nie będziecie mi układać życia! Tank jest zazdrosny! Dlatego spaprał mi spotkanie z chłopakiem.

Jechaliśmy teraz główną drogą, przy której stał dom przy domu.

– Nie sądzę, by był zazdrosny. – W głosie Dżochara pojawiła się twarda nuta. – A kobieta powinna się szanować.

– Nie jesteśmy na Kaukazie.

– Gdybyśmy byli, musiałybyś słuchać starszego brata. Asłan traktuje cię jak siostrę. Masz brata, Gloria. Nie musisz daleko szukać.

– Nie chcę, by widział we mnie tylko siostrę. – Humor miałam już kompletnie zrabany. – I nie macie prawa mnie podsłuchiwać!

– Wybacz, ale ani ja, ani Asłan nie wierzymy temu gówniarzowi. A ciebie jeszcze wzięło na zwierzenia.

– Niedawno stracił ojca. Widział, jak umiera.

– Nie szanował go. Oszukał.

Już się nie odzywałam. I tak nie mogłam nic zrobić – ani ich przekonać, ani zmusić, żeby się ode mnie odczepili. W dodatku dzieliły nas różnice kulturowe. Paweł w ich oczach był wyrostkiem, który nie zasłużył na współczucie, tylko na karę chłosty. Ale to oni nie uszanowali jego prywatności. Nie byli mi potrzebni, sama sobie radziłam. Miałam tego wszystkiego serdecznie dosyć. Nie mogłam się doczekać, kiedy uzyskam pełnoletność. Wyrwę się spod skrzydeł siostry, będę mogła sama o sobie decydować.

Kiedy podjechaliśmy pod dom, wysiadłam z dżipa i poszłam prosto do swojego pokoju, po drodze nawet nie zajrzałam do kuchni. Nie miałam ochoty z nikim się widzieć ani tym bardziej gadać.

Poranek był okropny. Szarzyzna i zimno. Nie skręcało mi żołądka z głodu, bo w nocy coś podjadłam, gdy upewniłam się, że wszyscy poszli już spać. Jak bardzo chciałam zostać w łóżku! Asłan zrobił mi pobudkę, jak zapowiadał to Dżochar. Cholernie nie miałam ochoty na bieg przełajowy, w dodatku teren wokół posiadłości był górzysty. Asłan nie zamierzał biec środkiem doliny. Cały on – wszystko, tylko nie łatwizna.

Usiana różnobarwnymi liśćmi droga pięła się w górę i wiała między drzewami. Było chłodno. Dobrze, że promienie słońca coraz odważniej przebijały się przez gałęzie. Aby się w nich ogrzać, przystanęłam między pniami wysokich sosen. Spojrzałam w dół: znajdowaliśmy się już kilkanaście metrów nad jezdnią prowadzącą środkiem doliny. Mgła sunęła tuż nad jej dnem, tutaj w górze było dwa, trzy stopnie cieplej.

– Muszę odpocząć! – krzyknęłam, gdy Aślan się nie zatrzymał. Odwrócił głowę i spojrzał na mnie, oferując bez kondycji. Po chwili był już obok.

– Wczoraj przegięliście.

Staralam się uspokoić oddech.

– Dlaczego kontaktowałaś się z Memedem, a nie ze mną?

– Bo jest chociaż trochę normalny.

– Pozory mylą, przecież już to wiesz.

– Gdybyście nie wtrącili się w atrium, Paweł by odpuścił.

– Tak ci powiedział?

Aślan stał za ledwie na wyciągnięcie ręki ode mnie.

– A co, nie podsłuchiwałaś naszej rozmowy?

– Wtedy jeszcze nie.

Owionął mnie ciepłym oddechem, jego potężna klatka piersiowa rytmicznie falowała. Gdyby Paweł stanął przy nim, wyglądałby jak homo sapiens przy neandertalczyku.

– Dzięki – burknęłam.

– Jak chcesz pogadać, to po treningu.

Cały on. Żadnych kompromisów.

– Potem nie będę mieć czasu – warknęłam. – Jestem umówiona ze Szczepanem na lekcję jazdy. Wiesz o tym.

– W samochodzie mam łapy.

– A niech cię!

Potrafił mnie rozbroić. Uwielbiałam trenować z nim technikę na łapach. Taka indywidualna lekcja z Tankiem wiele mi dawała.

– Art, nie chciałbym, żeby ktoś cię skrzywdził.

Tym natychmiast mnie rozbroił.

– Wytrzymaj jeszcze kawałek. Warto.

Truchcik pod górę był ciężkim przeżyciem. W Paryżu tylko bieg na wzgórze Montmartre mógł tak ostro podbić tętno. Ewentualnie wbieganie po schodach na Tour Assur w La Défense, dzielnicy biurowców. Kiedy ponownie

przystaliśmy, omal nie wyplułam płuc. Pulsowało mi pod czaszką, jakbym ktoś upchnął tam serce wołu.

– I jak? – spytał Aslan, kiedy dotarliśmy na szczyt wzniesienia. Wyciągnął z plecaka butelkę z wodą i podał mi już otwartą.

– Dzięki – wydyszałam. – Daj chociaż odetchnąć.

Wziął kilka głębokich oddechów i pociągnął trzy łyki wody. Byłby w lepszym stanie ode mnie, nawet gdyby miał zapakowane do plecaka dwa kettles, każdy po trzydzieści dwa kilo.

– Nie zbliżaj się za bardzo do krawędzi – ostrzegł mnie.

Nie zamierzałam – mimo mroczków przed oczami moja wyobraźnia nadal pracowała. Pod nami rozciągała się długa dolina. Po prawej dostrzegłam hacjendę Lidii. Dom, stajnia i zabudowania gospodarcze wyglądały jak ułożone z biało-czerwonych klocków lego. Na łące przy ujeżdżalni poruszały się małe figurki: pasące się konie. Między drzewami przebijały szare ściany nieforemnej bryły. Gdy opadną wszystkie liście, powinna być już cała widoczna. Jej tylna część dochodziła do wapiennej skały. Wyglądało na to, że obiekt jest w nią wbudowany. Co się tam kryje? Sieć tuneli wydrążonych w białym wapieniu?

– Co tam jest? – Wskazałam ręką na tajemniczy budynek. Droga, która dochodziła do zabudowań, jechała półciągarówka z zasłoniętą skrzynią.

– Stajnia.

– Tam dalej, między drzewami. – Pojazd zatrzymał się przed wjazdem na posesję. – Co się tam mieści? – Kiedy brama ustąpiła, podjechał do bunkra. – Tam, gdzie ten pikap?

– Wracajmy. – Tank dał mi do zrozumienia, że nic od niego nie wyciągnę.

– Biegiem? – jęknęłam.

– Długim krokiem. Staraj się rytmicznie oddychać, jak w czasie biegu. Aż uspokoisz puls. Najgorzej jest przystanąć.

Zastosowałam się do rady. Złapałam rytm, szłam jak automat. Wdech, wydech, równo z krokiem. Kiedy dotarliśmy do domu, nawet nie byłam jakoś specjalnie zgrzana. Miałam podwyższoną ciepłotę ciała, tak jak wtedy, gdy człowiek się rusza, zamiast siedzieć w fotelu przed holo. Aslan, jak obiecał, wyciągnął łapy z samochodu, zwykłego granatowego sedana. Nie zapomniał

też o ośmiuncjowych rękawicach dla mnie, swoje przecież zostawiłam w Paryżu. Poszliśmy do ogrodu na tyłach domu i tam przez około pół godziny trenowaliśmy technikę: uderzenia pięścią i stopą, zejścia, uniki, prawidłowe trzymanie gardy. Przeróżne kombinacje, co tylko przyszło mojemu instruktorowi do głowy.

– Robisz postępy – pochwalił mnie. – Spokojnie mógłbym cię wystawić do profesjonalnej walki na ringu. Zanieś łapy i rękawice do domu. Przydadzą się, kiedy Igor znajdzie dla ciebie trochę czasu.

– Ja dla niego mogę nie znaleźć czasu – burknęłam. – Nauczysz mnie jeździć na motocyklu?

– Wykluczone. Jak się na nim rozbijesz, Lidia mi tego nie daruje.

– Muszę kogoś znaleźć. Mam na to tylko ten weekend!

– Art, kłamstwo ma krótkie nogi. Wypijesz piwo, które sama nawarzyłaś. To cię nauczy czegoś na przyszłość. I posłuchaj mojej rady: nie idź w zaparte. Im dłużej będziesz udawać, tym niżej będziesz później na kolanach.

– Mówisz, jakbyś był moim ojcem!

– Ktoś musi cię postawić do pionu. To, jak udawałaś, że wiesz, jak odpalić motocykl, musiało być komiczne. Szkoda, że mnie tam nie było.

– Prawie mi się udało!

– „Prawie” robi dużą różnicę – wykiplł mnie. – Podobno spieszyłaś się na lekcje jazdy konnej?

– A, tak.

Wzięłam od niego łapy i rękawice, po czym lekko obrażona poszłam do domu.

Kiedy przebrana w suche ciuchy pojawiłam się na podjeździe, sedan wciąż na nim stał, ale nigdzie nie dostrzegłam Zuradowa. Jeśli udał się do budynku, o którym nie chciał mi nic powiedzieć, to go zabiję!

Weszłam do kantorka. Asłań siedział na ławie i rozmawiał ze Szczepanem.

– Jestem – oznajmiłam, aby zwrócić na siebie ich uwagę. – Ale co ty tutaj robisz? – spytałam Asłana. – Też chcesz wziąć lekcję jazdy?

Na jego twarzy pojawił się kpiarski uśmiech. Umiał jeździć konno! I to zapewne wyśmienicie. Jeśli nie opowiadał mi bajek w Paryżu, a przecież sam

mówił, że kłamstwo ma krótkie nogi, w czasie swojego dość długiego życia miał czas, aby wiele się nauczyć. Dlatego przyjąłem, że potrafi jeździć wszelkimi pojazdami, nawet dwunastokołowcami, i skombinowanie dla mnie na niedzielę motocykla to dla niego betka. Ale nie chciał tego zrobić!

– Gloria – odezwał się Szczepan. – Weźmiesz Świta, a twój przyjaciel Świtezia.

Spodziewałam się, że Tank dostanie pobudliwego Traka.

– Świteż jest trakenem. Pewnym, mocnym, o silnym charakterze. I takiej potrzeba do niego ręki. To dla ciebie. – Szczepan postawił przede mną buty z wysokimi cholewami. – Adidasy to nie najlepszy pomysł, nie chronią kostki, poza tym nie będzie wesoło, gdy koń stanie ci na stopie. A te buciki powinny na ciebie pasować, pytałem Lidię o rozmiar. Co prawda nie mam dla ciebie oficerek, ale to obuwie jest przynajmniej wygodne. Dasz radę wcisnąć w nie dzinsy, ale następnym razem włoż wygodniejsze spodnie.

Wygodniejsze? Co może być wygodniejsze od moich ulubionych wycierusów? Spodnie od dresu paskudnie by wyglądały upchane w długą cholewę. Miałam założyć elastyczne, obcisłe legginsy? Wtedy wszyscy faceci będą się gapić na mój tyłek!

– A Świt?

Sięgnęłam po buty. Były brązowe, z małą blaszką w kształcie podkowy na obcasie. Urocze.

– Jest zrównoważony i posłuszny. Idealny na pierwszy kontakt z koniem.

Rzuciłam okiem na nogi Asłana. Nie zmienił butów.

– Zmieścisz je w strzemiona?

Buciska Bundeswehry na grubej podeszwie, w których Tank biegałby nawet po plaży, wydawały się zbyt duże, żeby je wsadzić w stalowy kabłąk.

– Nie widzę problemu – odrzekł za niego Szczepan. – Będzie jeździł na starej kawaleryjskiej kulbace. Właśnie, Gloria, przypomnij nam, z czego składa się siodło?

– Przedni i tylny łęk, siedzisko, z obu stron: skrzydełko, tybinka, mała i duża, zamek, poduszka, trzy przystupy, puślisko...

– Wystarczy.

– A najbliższy schron? – zrewanżowałam się pytaniem. – Na mapie nie znalazłam żadnego obronnego obiektu w promieniu kilku kilometrów. – To zadanie domowe – dodałam, aby wymóc odpowiedź. Założyłabym się o duszę z Lucyferem, że schron jest pod tym budynkiem wbudowanym w wapień.

– Czego to uczą was w szkole! Chodźmy już, weźcie ogłowie i siodła. Wiesz już, jak powinno się je nosić.

Założyłam sobie ogłowie na ramię i złapałam siodło. Szczepan położył mi na nim suchy czaprak Świta. Asłan ściągnął z najwyższego kołka kulbakę Świtezia. Nie mogliśmy się pomylić, nad sprzętem do jazdy konnej wisały tabliczki informujące, co należy do którego zwierzaka. Na granatowych czaprakach wyhaftowano czerwoną nicią imiona koni. Asłan wziął do kulbaki gruby koc w szkocką kratę. Mój Świtek miał klasyczne proste ogłowie. Od razu polubiłam tego araba, już gdy pierwszy raz zobaczyłam go w stajni. Był niewysoki, jak to koń tej rasy, o kasztanowatej maści, z białymi skarpetkami na przednich nogach, ze szlachetnym szczupaczym pyskiem, łabędzią szyją i bystrym okiem.

– Obserwuj, co robi Asłan, i naśluduj go. – Szczepan zwrócił się do mnie, kiedy byliśmy już w stajni. Świtez stał w boksie obok Świta. – Ja dodam kilka istotnych szczegółów. Najważniejsze: do konia zawsze podchodzimy z jego lewej strony. Tak też na niego wsiadamy i z niego zsiadamy. Ale najpierw musisz go skłonić, żeby ustąpił ci miejsca w boksie.

– Jak? – Z konsternacją spojrzałam na zad ogromnego Świtezia. Co prawda mój Świtek był drobniejszy, ale i tak ważył dobre kilkaset kilo.

– Bardzo prosto. Mówisz zdecydowanym tonem: „Miejsce”.

– To zadziała? – Miałam co do tego poważne wątpliwości.

– Spróbuj. Tylko zdecydowanie.

– Ee...

– Miejsce! – usłyszałam bas Tanka. Oba koniska, jakby łączyła je telepatyczna więź, równocześnie przesunęły się w prawą stronę.

– Masz posłuch – roześmiał się Szczepan. – Ale nie o to chodzi, żebyś ułatwiał dziewczynie zadanie. Następnym razem, Gloria, skieruj komendę do konkretnego zwierzaka: „Świtez, miejsce”, i będzie dobrze.

Asłań wszedł do boksu i przewiesił kulbakę przez belkę, która oddzielała konie od siebie, po czym położył na niej ogłowie.

– Teraz twoje – poleciał mi.

Z duszą na ramieniu weszłam do boksu i podałam mu siodło. Przewiesił je jak kulbakę i odebrał ode mnie ogłowie.

Przejechał dłonią wzdłuż grzbietu Świtezia.

– Nie były czyszczone – stwierdził.

– Tutaj macie zgrzebła, szczotki i kopystki. – Szczepan wskazał na półkę przy ścianie. – Gloria, podejdź.

Z ulgą wyszłam z boksu.

– Szczotki i zgrzebła są podpisane, kopystka wspólna, tylko jej nie zgub. Odkładaj wszystko od razu na miejsce. Asłań ci pokaże, jak się konia czyści i kopystkuje.

– I mam tak od razu to zrobić?

– Wejdę z tobą do boksu i jeszcze pokażę, co i jak.

Asłań zaczął czyścić Świtezia, a Szczepan objaśniał jego kolejne ruchy. Nie wydawało się to jakoś szczególnie trudne. Zgrzebłem usuwało się brud i sierść ze szczotki.

– Jak wrócicie z jazdy, ściągniecie z koni siodła, rozwiesicie czaprak i koc, żeby wyschły, i umyjecie wędzidła. Od razu.

– A co z grubą warstwą błota? Wydaje mi się, że zgrzebłem da się ściągnąć tylko breję, która już wyschła i utworzyła skorupę.

– Po jeździe zawsze konia wiechciujesz. To działa jak masaż sportowy.

– Wiechciuję, czyli wycieram jakimś wiechciem?

– Asłań, pokaż jej.

Tank podniósł wiązkę suchej słomy, którą był wysłany boks.

– Właśnie tym wiechciujesz konia. W ten sposób rozmasowujesz mu każdy mięsień, a jednocześnie czyścisz sierść. Gdyby wytaplały się przed jazdą, mielibyście teraz sporo pracy.

Ta cała jazda konna stawała się w moich oczach coraz mniej romantyczna. Żeby zażyć przyjemności, trzeba było się spocić i ubrudzić. I jak zapowiadał

Szczepan, potem będą mnie boleć wewnętrzne mięśnie ud, a także piec skóra otarta od szwów dzinsów. A na starych filmach wszystko tak ładnie wyglądało!

Aślan jeszcze pokazał, jak siodła się konia i zakłada ogłowie. Teraz przyszła moja kolej. Weszłam do boksu razem ze Szczepanem i pod jego okiem wyczyściłam Świta. Całkiem sprawnie mi poszło, Świtek znosił wszystko z anielską cierpliwością. Najpierw jednak mnie obwąchał. Nie przestraszyłam się, Szczepan powiedział mi, że koń szuka chleba i jabłek. Następnym razem wypcham nimi kieszenie.

– A teraz sprawdź mu kopyta.

Łatwo powiedzieć! Ale jak skłonić wielkiego zwierzaka, żeby podniósł nogę, tak by móc zobaczyć, czy nie ma kamienia w strzałce?

– Nie dam rady!

– Gloria, Świt sam podnosi nogę. No spróbuj! Śmiało.

Rzeczywiście, na moją komendę „noga!”, koń posłusznie ją podniósł. Wystarczyło, żebym położyła dłoń na pęcinnie.

– Jak nabierzesz wprawy, poradzisz sobie nawet z Koriną. Ma gilgotki i nie znosi czyszczenia. Wtedy wierzga, ale to takie straszenie. Za to uważaj na Baškę. Lubi ugryźć albo stanąć niby przypadkiem na stopie.

– Złośliwa kobyła!

– Wyjątkowo. Jest jednak na nią sposób.

– Jaki?

– Nie okazywać strachu. Konie są jak psy. Musisz wyrobić sobie u nich autorytet. A teraz czaprak, kładziesz go najpierw na kłębie i przesuwasz do tyłu. W ten sposób zakładasz też siodło.

Odłożyłam zgrzebło, szczotkę i kopystkę na miejsce, po czym wróciłam do boksu.

– Jak założę siodło – tłumaczył Szczepan – czaprak musi wystawać na szerokość dłoni spod przedniego łęgu. Puszczasz luźno popręg, przechodzisz na drugą stronę, żeby sprawdzić, czy się nie zawinął, wracasz i łapiesz go pod brzuchem konia. Wsuń pod popręg dwa palce. W porządku, jest dobrze dopięty. A teraz ogłowie.

– Jak mam mu wepchnąć te połączone kawałki stali między zęby? – Wskazałam na wędzidło.

– Sposobem. Jeśli koń nie chce przyjąć wędzidła, wystarczy, że naciśniesz mu palcami pysk z obu stron, jednocześnie ciągnąc nagłówek w górę. Widzisz? Świt przyjął wędzidło nawet bez takiej perswazji. Zapnij jeszcze pasek podgardla.

– Gotowe – oznajmiłam.

– Świetnie. A teraz przyjrzyj się, jak Asłan wyprowadza Świtezia, i wróć po Świta.

Na zewnątrz stajni wysłuchałam wykładu, jak wsiada się na konia. A potem sama to zrobiłam. Szczepan wziął Świta na lonżę i poprowadził na ujeżdżalnię.

Oba konie stępowały: Świteż dookoła ujeżdżalni, a Świt wokół Szczepana. Czułam się jak satelita okrążający Ziemię. Co jakiś czas zerkałam na Asłana – o ile było to możliwe, bo Szczepan mnie instruował, jak trzymać stopy: obowiązkowo obciążnięte pięty. Siedzieć w siodle: wyprostowane plecy. Operować wodzami: pilnować, żeby były lekko napięte. Podobnych szczegółów było zatrzęsienie. Każdy z osobna możliwy do zapamiętania, ale zsynchronizować to wszystko!

Szczepan przypominał mi obowiązujące zasady i korygował błędy. Kiedy już zebrałam to wszystko do kupy, zaczęłam się uczyć zatrzymywania konia i ruszać z miejsca. Potem był mój pierwszy kłus wysiadywany. To dopiero koszmar! Wreszcie instruktor przeszedł do lekcji anglezowania – co za ulga!

Pochwalił mnie, że szybko załapałam anglezowanie. A ja nareszcie przestałam się czuć jak worek kartofli na grzbiecie wielbłąda.

– Gloria, musisz się rozluźnić. Wtedy nie będzie tobą tak rzucać, gdy nie anglezujesz.

Rozluźnić? Przy kłusie wysiadywanym? Kiedy trzęsło, jakbym była przywiązana do świdra udarowego? Jak Asłan sobie z tym radzi? Kolejny raz zerknęłam w bok. Tank kłusował, galopował na Świteziu, zataczał wolty, skakał przez ustawione na środku ujeżdżalni przeszkody. Poczułam ukłucie zazdrości. W dodatku dostrzegłam Lidię i Darka opartych o ogrodzenie ujeżdżalni i przyglądających się moim dokonaniom. Całe szczęście, że nie było

tam Pawła.

– Wysuń nogi ze strzemion.

– Nie! Spadnę.

– Wtedy stawiasz flaszkę! – krzyknął Darek.

– Jestem nieletnia! – odkrzyknęłam i wyrzuciłam nogi ze strzemion.

Jakby coś, złapię Świta za grzywę. Usiłowałam się rozluźnić, jak mówił Szczepan. Słuchać instruktora to podstawa – Asłan mnie tego nauczył. Nadal trzęsło, ale starałam się nie napinać żadnego mięśnia. Jestem galaretką, galaretką...

– Stęp.

– Uff! – wyrwało mi się westchnienie ulgi. Już czułam te bolące jutro mięśnie. Zesztywniałe, zalane kwasem mlekowym, z licznymi mikrourazami.

– Zatrzymaj Świta i połóżnij popręg o dwie dziurki.

– Jak? – Lekko ściągnęłam wodze. Świtek posłusznie stanął.

– Asłan, pokaż jej.

Tank podjechał do nas na Świteziu i zatrzymał go po mojej prawej stronie.

Zrobiłam to, co chwilę później zademonstrował.

– Teraz je występujcie – polecił Szczepan – przez piętnaście minut, a potem wracajcie do stajni. Powinnaś już sobie poradzić. Jesteś pojętną uczennicą.

– Ja tak nie uważam.

– Szybko pojęłaś anglezowanie.

– Bo stosowała się do instrukcji – skomentował Asłan. – Cały czas pamięta o piętach.

Trudno było nie pamiętać, skoro Szczepan nieustannie przypominał mi o ich obciążeniu. Słuchałam uwag, bo chciałam jak najszybciej jeździć jak Asłan: galopować, cwałować i skakać przez przeszkody.

Kiedy ostrożnie zsunęłam się z siodła, ugięły się pode mną nogi. Poczułam się, jakbym wylądowała na pokładzie lotniskowca miotanego przez fale. Odprowadziłam Świta do stajni, wywiechciowałam, wyczyściłam, wykopystkowałam, następnie zaniiosłam rząd do kantorka. Zmieniłam buty, podziękowałam Szczepanowi i Asłanowi za lekcję i na miękkich nogach

powlekłam się do domu. Byłam tak zmęczona, że musiałam się przespać chociaż godzinę.

Wzięłam szybki prysznic i wskoczyłam do łóżka. Szybko zasnęłam, a kiedy się obudziłam, było jeszcze jasno, ale nie chciało mi się już nigdzie łązić. Postanowiłam resztę soboty spędzić w chacie, obejrzeć jakiś film, trochę poczytać. Zeszłam po schodach do biblioteki – jeszcze nie było tak tragicznie, nogi zaczęły mnie boleć dopiero jutro. Stały tam, na półkach zajmujących całą ścianę, książki po babci. Prawdziwe, w twardych okładkach, z papierowymi stronami. Tego mi było trzeba! Pogrążyć się w lekturze.

Miałam ochotę na coś lekkiego. Przesunęłam wzrokiem po kolorowych grzbietach. Rzucił mi się w oczy tytuł *Mała księżniczka*. O! To powinno być dobre. Zaintrygowała mnie okładka z dziewczynką w wiktoriańskim stroju. Wzięłam ze sobą książkę, w kuchni zaparzyłam białą herbatę z opuncją i wróciłam do pokoju.

Lektura całkowicie mnie pochłonęła, przeniosła w świat bez spluw i twardzieli napakowanych testosteronem. Wredne, pozbawione serca babsko gnębiło małą dziewczynkę, której ojciec zaginął. Tak się przejęłam losem bohaterki, że aż się popłakałam. Nie doczytałam książki nawet do połowy. Zapadłam w płytki sen. Śniłam, marzyłam, przewracałam się z boku na bok. Mimo że byłam zmęczona, nagle poderwałam się z łóżka. Za dużo kręciło się wokół mnie facetów, żebym w nim została – a Igor był na końcu korytarza!

Narzuciłam wrzosowy szlafrok na dwuczęściową flanelową piżamkę. Tym razem nie dam się Lediewowi zaskoczyć. Wpadłam na pomysł, jak postawić na swoim. Nie miałam ochoty tłumaczyć się Pawłowi Grodzińskiemu, że nie umiem jeździć na motocyklu. Nie znajdę się na kolanach nawet przez sekundę.

Rozdział 17

Mam chłopaka

Uchyliłam drzwi, przez chwilę nasłuchiwałam. Cisza. Przebiegłam przez korytarz i zapukałam do pokoju Igora. Podobnie jak wtedy, kiedy pierwszy raz go naszłam, otworzył mi i zaprosił do środka. Miał taką minę, jakby nie był specjalnie zdziwiony moją wizytą.

– Wskakuj. – Wskazał łóżko. – Ciężki dzień? – spytał, kiedy już wygodnie usadowiłam się na poduszkach.

– Rano przeżyłam rozruch z Aslanem.

– Wyrazy współczucia.

Usiadł na dywanie przy łóżku. Jeszcze się nie przebrał, miał na sobie szary T-shirt i spodnie z kieszeniami.

– Wybierasz się gdzieś? – spytałam.

– Mam dla ciebie, mała, jakąś godzinę.

– Czyli z seksu nici? – zażartowałam.

– Godzina to bardzo dużo czasu.

– Igor, kusisz.

– Zdrowy objaw. Co robi ruch i świeże powietrze! Ale ostrzegam, to będzie dobijanie gwoźdźcia dechę. Po pierwszej lekcji jazdy konnej i jeszcze po treningu z Tankiem jutro będziesz mieć problem z zejściem do kuchni.

– Szczepan mnie ostrzegł. – Cały czas obczajałam sprawę. – Jeszcze obtarłam sobie co nieco, bo jeździłam w dzinsach.

– Super! Mam ci posmarować to „co nieco” maścią? Bardzo chętnie.

– W poniedziałek spotkam się z chłopakiem.

Starałam się mieć minę pokerzysty. Liczyłam na to, że Igor nic nie wie o mojej wczorajszej wpadce.

– Krótka lekcja, jak to się robi?

– Nie sędzę, żeby Paweł był zadowolony, gdybyś mnie... przeskolił. – Jeśli Aślan albo Dżochar mówili mu o Grodzińskim, Igor potwierdzi, że słyssał o kręcącym się wokół mnie rówieśniku. – Chłopak ma siedemnaście lat, jak ja.

– Myślisz, że skoro jest młody, to zaraz niewinny? Ja w jego wieku ustrzeliłem już wszystkie co łatwiejsze panienki w zasięgu mojego działaa.

– Nie bądź wulgarny. Nie chcę, aby myślał, że jestem puszczalska!

– Twój wybór. Ale nie wiesz, co tracisz. Dziewczyna z Paryża? Małolat będzie wiele oczekiwał.

– Mógłbyś mi pomóc.

– A jednak.

Upewniłam się, że nie słyssał o Pawle, inaczej by napomknął o mojej niefortunnej przygodzie z hondą enduro.

– Znasz kogoś, kto ma motocykl? Chcę się nauczyć go prowadzić.

– A... to o taką jazdę chodzi. Jestem rozczarowany.

– Uważaj, bo jak mnie wkurzysz, poskarżę się Lidii, że mnie molestujesz.

– Mały szantażyk? Mała, szalejesz.

– Przestań!

Co za monotematyczny typ! Bo zaraz rąbnę go poduszką!

– A o jaki motocykl konkretnie chodzi? – W końcu zaczął gadać do rzeczy.

– Honda enduro, czterosuw, pojemność dwieście pięćdziesiąt centymetrów sześciennych, benzyna – wyrecytowałam. – Bardzo stara, pali tylko od kopa.

– Mam niedaleko znajomego, który ma hopla na punkcie klasycznych motocykli. Jak go poproszę, nauczy cię jeździć.

– Do poniedziałku.

– O! Widzę, że cię przypiliło. Paweł?

Skinęłam głową.

– Nie zrobisz prawa jazdy w jeden dzień.

– Załatwisz mi jakąś fałszywkę. Najlepiej francuską.

– W niedzielę? Jeszcze w dodatku dla siedemnastolatki? I oczywiście

w ciągu jednego dnia Artek ma cię nauczyć jeździć?

– Czekaj. Nie muszę mieć prawka. To będzie dobra wymówka, by nie wyjeżdżać na drogę publiczną. Wystarczy, jak ten twój znajomy nauczy mnie odpalać maszynkę, ruszać, jechać po prostej, zrobić kilka kółek.

– A co ja będę z tego miał?

Znowu zaczyna!

– Moją wdzięczność.

– Świetny interes – zaśmiał się. – Mam sprawić, żebyś zaimponowała innemu facetowi.

– Małolatowi.

Liczyłam na to, że Igor nie potraktuje poważnie mojego rówieśnika.

– Jak małolat, to czemu ci tak na tym zależy?

– On myśli, że umiem jeździć. Nie chcę wyjść na pyszałkową panienkę.

– Kłamczuszka.

Igor był już na dobre rozbawiony. Musiałam kuć żelazo, póki gorące.

– Pomożesz mi?

– Skontaktuję się z Arturem. Nawet miałem go w tych dniach odwiedzić. Ale jak będą ci drżeć nogi ze zmęczenia po dzisiejszym wysiłku, wywrócisz się na motocyklu.

– Grunt to złapać równowagę przy ruszaniu, nie? A potem pójdzie.

– No dobra, mała, jak jutro do dwunastej nie prześlę ci wiadomości, nic z tego. Nie wiadomo, czy Artur już czegoś nie zaplanował na niedzielę. A teraz wybaczone, muszę lecieć.

– Zarezerwowałeś dla mnie godzinę – upomniałam się o swoje. – Jeszcze nie minęła!

– Godzinę to miałem dla ciebie, gdybyśmy robili coś więcej, a nie gadali.

Igor był cholernie bezpośredni, ale właśnie za to go lubiłam. Nie poczęstował mnie wykładem o kłamstwie, które ma krótkie nogi. Nie napominał, że kobieta powinna się szanować, i nie wsadziłby mi pluskwy do łóżka. Chociaż... tego ostatniego nie byłam pewna. I najważniejsze: rozumiał moje potrzeby, mimo że teraz mnie spławił.

Włożył buty i narzucił kurtkę z demobilu na grzbiet. Wyszliśmy z pokoju razem.

Wróciłam do siebie, zgasłam światło i podeszłam do okna, żeby obserwować podjazd. Wiedziałam! Ledwie udało się do budynku, którego przeznaczenie tak mnie intrygowało. Co z alarmem? Rzuciłam okiem na ekran dotykowy na szafce nocnej. W jej rogu migąła niebieska kontrolka. Alarm był włączony, a to znaczyło, że Igor miał uprawnienia, aby go czasowo zneutralizować. Albo zhakował system. Zauważyłam, że kontrolka zbladła, teraz była jasnozielona. Ktoś wyszedł właśnie z domu? Rzeczywiście, rozpoznałam na podjeździe Lidię i Darka. Znowu niebieski kolor. Byłam uwięziona, nie mogłam się wybrać na przeszpiegi. Postanowiłam tej nocy dać sobie z tym spokój. Zamierzałam się wyspać, żeby nie paść pod ciężarem kupy żelastwa ważącej sto pięćdziesiąt kilogramów. Jak powiedział Paweł, będę mieć pod tyłkiem ponad dwadzieścia koni, o mocy równie kapryśnej co złośliwa Baśka.

Spało mi się tak dobrze, że obudził mnie dopiero pisk dobywający się z tabletu wbudowanego w szafkę nocną. Specjalnie nastawiłam głośnik na największą moc. Zerknęłam na ekran – wiadomość od Igora: „Zbieraj się, mała. Będę za pół godziny”.

Zerwałam się z łóżka i gorączkowo zaczęłam wyrzucać ciuchy z szafki. W trzydzieści minut nie zdążę się umyć, ubrać, zrobić i zjeść śniadania. Lidia mnie nie obudziła, bo wiedziała, że byłam wykończona wysiłkiem fizycznym i nadmiarem wrażeń. Wparowałam do łazienki.

Przemyłam twarz lodowatą wodą. Wzdrygnęłam się. Na przedramionach pojawiła mi się gęsia skórka, włoski stanęły na sztorc. Nie, pod zimny prysznic nie wejdę. Nie byłam aż tak zdesperowana. Przypomniała mi się sytuacja w Paryżu, kiedy to Aślan dał mi pół godziny, żebym spakowała do małego plecaka całe swoje dotychczasowe życie. Myłam zęby jak automat. Pobiłam kolejny rekord: trzy i pół minuty na toaletę. Zegar na pulpicie pikał, odmierzając kolejne sekundy.

Włożyłam grube rajtuzy i bawełniane skarpety – już wiedziałam, że w październiku nawet krótka jazda na motocyklu szybko wychładza ciało – wciągnęłam na tyłek dzinsy, które przywiozłam z Paryża, i rozejrzałam się za salomonami. Kiedy rozrzucałam ciuchy, buty wylądowały pod szafką.

Na motocykl lepsze byłoby obuwie z wysoką cholewą, które dostałam od Szczepana, ale zostało w kantorku. Na maszynie mogłam zwichnąć kostkę, obetrzeć ją, gdybym się przewróciła. Nie, nie powinno być aż tak źle. Jeszcze tylko koszulka, gruba bluza na grzbiet i zeszałam do kuchni. Lidia i Darek już tam byli. Wcale mnie to nie zdziwiło, że jedzą śniadanie dziesięć po dwunastej. Pewnie wrócili z zakazanej strefy, kiedy już świtało. Nie poruszałam tego tematu, nie teraz. Dostałabym jeszcze szlaban na wyjazd z Igorem.

– Cieszę się, że już wstałaś.

Lidia podsunęła mi pod nos patelnię z jajkami na szynce – aż pociekła mi ślinka. Problem z przygotowaniem śniadania został rozwiązany. Na desce leżały kromki posmarowane masłem, ze szklanego dzbanka unosiła się para, w złotobrazowej herbacie pływały plasterki cytryny. Usiadłam przy stole.

– Jesteś boska – mruknęłam.

Siostra postawiła przede mną talerz i nałożyła na niego sadzone jajko. Na deseczce obok dostrzegłam pokrojony szczypiorek z doniczki. Sięgnęłam po kromkę, posypałam ją zieleniną i przystąpiłam do pałaszowania.

– Skąd wiedziałaś, kiedy się obudzę? – rzuciłam między jednym kęsem a drugim.

– Igor powiadomił mnie, że zaraz po ciebie przyjeżdża.

Ale ze mnie tępa masa! No przecież, inaczej Lidia nie puściłaby mnie z Lediewem. Wysłałaby swoje ogary: Dżochara, Memeda i Asłana. Dobrze, że nie wyskoczyłam z pretensjami, domagając się wyjaśnień, co kryje się za stajniami i dlaczego wszyscy tam chodzą, gdy kładę się do łóżka.

– Już przyjechał. – Lidia zerkała przez okno. – Twój chłopak – zażartowała. – Właśnie macha ręką, żebyś wyszła.

Poderwałam się z krzesła.

– Nie tak szybko – zareagował Darek – bo herbata wyleje ci się nosem.

Wybiegłam z domu, Igor uchylił drzwi granatowego sedana. Zająłam miejsce obok kierowcy i po chwili znaleźliśmy się na drodze. Wystarczyło piętnaście minut, aby dotrzeć na miejsce. Nie zdążyłam porozmawiać z Lediewem i przy tej okazji wyczuć odpowiedniego momentu, żeby go zapytać, po co wychodził w nocy z domu.

– Nadal jesteśmy na terenie parku – poinformował mnie. – To jego otwarta część, każdy może tutaj wjechać samochodem.

Posesja była zarośnięta krzakami bzu i starymi jabłoniemi. Mogłam dostrzec z drogi zaledwie fragment białej ściany i kawałek dachu pokrytego ciemnobrązową dachówką. Właściciel otworzył bramę. Kiedy wjechaliśmy na podjazd, pod oponami zagruchotały kamyczki. Wsiadłam z samochodu i rozejrzałam się po działce. Do dwupiętrowego domu był przyklejony hangar, częściowo ukryty za szpalerem świerków. Znajomy Lediewa już na nas czekał.

– Jestem Artur – przedstawił się i podał mi rękę.

– Gloria.

Spojrzałam mu w oczy, dostrzegłam, że są zielone. Miał długie ciemne włosy i posiwiałą brodę. Wyglądał jak motocyklista z filmu o Hells Angels. Oceniałam go na jakieś pięćdziesiąt lat, może kilka więcej. Igor mógł się pochwalić ciekawymi przyjaciółmi.

– Zapraszam do mojego królestwa. Obejrzyjcie sobie maszynki.

Podszedł do hangaru i rozsunął dwuskrzydłowe drzwi.

Warsztat okazał się niewielkim muzeum. Gospodarz oprowadzał nas po nim, prezentując motocykle ustawione w rzędzie pod tylną ścianą.

– To sokół o pojemności tysiąca centymetrów. Motocykl naszej rodzimej konstrukcji. Wyprodukowano go przed drugą wojną światową. Prawdziwa gratka dla kolekcjonerów.

– Jest podobny do harleya?

– Do indiana. Tu masz model harleya-davidsona WLA z tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego.

– No, na harleya to on nie wygląda – wtrącił Igor. – Zapakowałeś mu lagi od japończyka. Konserwator zabytków urznąłby ci za to jaja.

– Składałem go praktycznie od zera. Na początku miałem tylko kawałek uciętej oryginalnej ramy i skrzynię biegów od rudge'a, zgrzebaną przez jakiegoś amatora.

Nic mi to nie mówiło, ale robiłam mądrą minę.

– Rudge to angielski motocykl wyścigowy. – Artur nie dał się przekonać moją udawaną znajomością tematu. Dałam ku temu powód, myśląc harleya

z indianem. – Produkowany od tysiąc dziewięćset jedenastego do czterdziestego trzeciego.

– Moglibyście sobie podać rękę z ojcem Pawła.

– A jak nazwisko?

– Grodziński. Niestety już nie żyje.

– Mieszkał na Woli Justowskiej?

– Tak, przy lasku.

– Znałem go.

Artur przystanął i oparł się o ścianę. Wyciągnął tytoń i bibułki z kieszeni grubej zielonooliwkowej koszuli. Spod podwiniętych rękawów wystawały muskularne przedramiona mechanika. Położył na siodełku wuelki bibułkę, wysypał na nią trochę tytoniu, który uformował w wąski pasek, i zaczął w skupieniu robić skręta. Przytrzymał bibułkę palcami, przesunął po niej językiem, skleił, wygładził to miejsce opuszką i zapalił skręta. Zapach dymu tytoniowego rozszedł się po hangarze. Poczulałem, jak łzawią mi oczy. Rzadko ktoś przy mnie kopcił.

– Miał problem z synem – odezwał się po chwili mężczyzna. – Szczeniak bez jego wiedzy wstąpił do organizacji paramilitarnej. Marek nienawidził broni. Miał powody. – Zaciągnął się kilka razy dymem. – Chodźmy do domu, zaparzę kawę.

Usiedliśmy w salonie. Był w nim kominek, a nad naszymi głowami wznosiła się drewniana antresola. Grube belki podpierały dach, na ścianach wisiały stare zegary i barometry. Na dębowej belce kominkowej stała lampa górnicza, na podłodze umieszczono olbrzymi tłok – miał z pół metra średnicy.

– Od lokomotywy – wyjaśnił Artur. Podał nam kubki z kawą, a potem przesunął na bok leżące na ławie stalowe mechanizmy: werki zegarów. – Czasem bawię się w zegarmistrza, to uspokaja. Poczekajcie, skoczę jeszcze po coś do kuchni.

Kiedy wrócił, postawił na ławie brytfankę z ciastem i wyciągnął z szafki talerzyki ze sztuccami.

– Beata, moja żona, upiekła wczoraj szarlotkę.

Pokroił ciasto i nałożył nam po kawałku.

– Uwielbiam jej wypieki. – Igor chwycił łyżeczkę i wbił ją w ciasto. – Lepiej się nie przeżeraj, bo zaraz wytrzepie ci bebecchy na maszynie. – Zwrócił się do naszego gospodarza: – Gloria zażyczyła sobie przedpotopowe enduro, takie palące na kopa.

Artur zerknął pod ławę na moje salomony.

– Jak kopnik jej odbije, będzie bolało.

– Ktoś mi już to mówił.

– Butów enduro w twoim rozmiarze tak szybko nie wykombinuję. Będiesz musiała uważać.

– Poczekajcie. – Igor mówił z pełnymi ustami. Przełknął szarlotkę i napił się gorzkiej kawy. – Idę do samochodu, zaraz wrócę.

Wstał od stołu i opuścił salon.

– Jak tam Paweł? – spytał Artur.

– Dbą o motocykle ojca. I żałuje, że go rozczarował.

– A jego koledzy? Nadal jest pod ich wpływem?

– Jest pod moim. – Przesadziłam, chełpiąc się czymś, co wcale nie było oczywiste.

– Chłopak dorasta. – Artur się roześmiał. – Młody Grodziński zamiast bawić się w stalkera, woli uganiać się za spódniczkami.

– Nie do końca. Jeszcze do niedawna przesiadywał w garażu.

– Skąd ja to znam! Gdy byłem w jego wieku, zaszyłem się w garażu i składałem stary model Junaka. W ten sposób pożegnałem się ze swoją pierwszą dziewczyną. Motocykl był ważniejszy.

No, po prostu super! Nie chciałabym być mniej ważna od starego motocykla.

– Ale przyszedł czas, kiedy młody model wygrał. Ma na imię Beata.

Igor wrócił, podszedł do ławy i wyciągnął rękę zza pleców.

– Czegoś zapomniałaś. – Postawił na deskach podłogi buty z cholewami, które dostałam od Szymona. – Są wyczyszczone.

– Błyszczą się jak baranie jaja – skomentował Artur.

– *Bloody polish*^[8], jak to w książce Fiedlera mówili Angole do polskich

lotników w czasach bitwy o Wielką Brytanię. Zrewanżowałeś się mi za tego konserwatora zabytków. Mała, zmień buty. Domyślałam się, że Artur przygotował dla ciebie kurtkę i rękawice.

– Owszem, twoja dziewczyna jest wzrostu Beaty. Kask żony też będzie pasować na taką małą główkę.

– Mała główka, mało rozumku – mruknął pod nosem Igor.

– Że co?!

Momentalnie się zagotowałam. Miał szczęście, że włożyłam już buty, bo zgrabne podkówki odbiłyby mu się na czole. Ale nie wszystko stracone. Ledwie miał głowę trochę wyżej niż moja. Mogłam go potraktować celnym kopniakiem.

– On się tylko z tobą droczy – zareagował nasz gospodarz. – A naprawdę bardzo cię lubi.

– Dziękuję za interpretację!

Nabijali się ze mnie!

– Chodźmy już – pogonił nas. – Mam dla ciebie fajną maszynkę. Myślę, że ci się spodoba. Lekka, zwrotna, powinnaś szybko ją opanować.

Mury lodowej twierdzy w jednej chwili stopniały. W końcu to Igor załatwił mi lekcję jazdy, a nie nadopiekuńczy Aślan, i jeszcze przyniósł buty z cholewami. Może nawet sam je wyczyścił? Poczulałam się głupio. Sama powinnam to zrobić zaraz po jeździe. Ale dostałam młyna od nadmiaru wrażeń. Postaram się nie zawieść Igora i nie wyłożyć na pierwszym zakręcie, nie zahaczyć butami o wystający konar. Kiedy motocykl ruszy, moje nogi od razu wylądują na podnóżkach.

Jakoś przeżyłam dwugodzinną lekcję jazdy. Najgorszy był powrót. Gdy wspinałam się po schodach do swojego pokoju, przy każdym kroku odzywał się ból. Nogi prawie całkiem mi zeszywniały, na domiar złego nabawiłam się kilku stłuczeń. I będzie coraz gorzej. Po dużym wysiłku mięśnie nóg potrzebowały co najmniej tygodnia na regenerację. Instynktownie je napinałam, siedząc na koniu, i w ten sposób zafundowałam sobie ćwiczenie izometryczne przeciągnięte ponad miarę.

Kiedy w poniedziałek Dżochar podrzucił mnie do szkoły, zauważyłam Pawła stojącego z kolegami przed bramką. Rozmawiali ze sobą jak gdyby

nigdy nic. Czyżbym niepotrzebnie dołożyła tylu starań, żeby nauczyć się jeździć na motocyklu? Siniaki na łydkach, bo kopnik raz odbił, a trzy razy nieopatrznie uderzyłam nogą w wystające podnóżki. Tymczasem on, jak wilk samotnik, któremu wybaczyła wataha, natychmiast do niej powrócił. A może zagryzł samozwańczego nowego przewodnika?

– A widzisz? – skomentował to Dżochar. – Ciągnie swój do swego.

– Nie lubisz go.

Nadal siedziałam w samochodzie. Nie spieszyło mi się, żeby wyjść, póki czarne koszule stały pod bramką.

– Raczej nie lekceważę. Dlatego nie przestanę chłopaka obserwować. I tobie też radzę uważać.

– Paweł mówił o was to samo.

– To rasista.

– Nie, kiedy jest sam.

– Takie zachowanie to tchórzostwo.

Dżochar na wszystko miał prostą odpowiedź.

– Przeprosił Roksanę w obecności innych uczniów, również tej grupy.

– Skąd wiesz, czy nie na pokaz? Pokaz dla niej i dla ciebie.

– Widzę, że cię nie przekonam.

– Jestem tylko ostrożny.

– Jak Zuradow! – prychnęłam.

Zdenerwowana wysiadłam z samochodu. Dżochar mógł mieć rację.

Grupka nadal stała przy bramce. Kątem oka dostrzegłam, że mój ochroniarz jeszcze nie odjechał. To dodało mi pewności siebie. Zbliżyłam się do czarnych koszul, za chwilę przejdę obok nich. Cokolwiek się zaraz stanie, przyjmę to z podniesioną głową.

Paweł odwrócił się ku mnie i zrobił krok. Zrównaliśmy się ze sobą, a wtedy mnie objął. Tak naturalnym ruchem, jakby robił to wielokrotnie. Z grupki doszły gwizdy. Jak zrzucę rękę chłopaka, narażę go na kpiny ze strony kolegów. Co gorsza, kiedy Paweł nie ustąpi, sprowokuję Dżochara. Nie wyrwałam się z objęć Grodzińskiego – i tak oficjalnie zostałam jego

dziewczyną.

– Powiedz mi – szepnął mi do ucha. Z boku mogło to wyglądać, jakby Paweł mnie całował.

– Co?

Pod ostrzałem licznych spojrzeń czułam się wyjątkowo niezręcznie.

– Że po lekcjach jedziemy do mnie.

Spodziewałam się takiego obrotu sprawy. Niby po co na gwałt szukałam nauczyciela jazdy na motocyklu? Mimo to udałam zdziwienie:

– No, nie wiem. Ostatnio omal nie wysadzili bazuką tej twojej szopy. Nie chcę mieć cię na sumieniu. – Gdyby Paweł wiedział, że byliśmy inwigilowani!

– Zastanowię się. – Grałam niedostępna. Trochę późno, ale stosowałam techniki sprawdzone na ringu: prowokację, unik, atak, odskok. – Dobra, może da się coś zrobić.

Wróciłam do Dżochara. Otworzył drzwi od strony kierowcy.

– Znowu chce się z tobą spotkać?

– Chce – burknęłam. – A ty zaraz powiesz, ile dajecie mi czasu?

Za chwilę pouczy mnie, że kobieta powinna się szanować. W domyśle: ja się nie szanuję.

– Publiczne obściskiwanie się...

– Dżochar! – teraz już warknęłam. – Dezaktywujcie te swoje pluskwy. Sama was wezwę, jak coś złego będzie się działo. Jestem obłożona elektroniką. Aż strach ścisnąć się z chłopakiem. A teraz wybacz, muszę lecieć na zajęcia.

– Gdybym był twoim bratem...

– Ale nie jesteś. Czółko.

Pobiegłam do bramki, pod którą czekał Paweł.

– Szkoda, że nie mogę zaprosić ich na piwo.

– Jesteś niepełnoletni, a oni nie piją. Ale nie bój żaby. Jak chcesz, umówimy się na balangę z Igorem i Arturem. Gość znał twojego ojca. Ma cały hangar zapchany motocyklami. Jest tam nawet model sokoła tysięcy. – Błysnęłam świeżo nabytą wiedzą.

– Znam faceta. Taki z długimi włosami i siwą brodą?

– To ci dopiero charakterystyka! Wlazłbyś między Hellsów, a tam wszyscy tacy.

– Ale takiego sokoła ma tutaj tylko jeden człowiek: Artur Łucki.

Ups! Co za skucha. Miałam nadzieję, że następnej gafy nie popełnię. Egzamin na stalowego jeźdźca był tuż-tuż. Osiem lekcji minie jak z bicza trzask: po dwie godziny malarstwa i rysunku, potem polski, fizyka, chemia i historia sztuki.

Paweł podszedł do swojego gutka, rozpiął sakwę i wyciągnął z niej czarno-czerwona kurtkę ze wzmocnieniami z kevlaru na stawach.

– To dla ciebie, żebyś nie zmarzła, kiedy będziemy wracać.

– Nie boisz się, że ktoś ci go okradnie?

– Nie ma szans. Jak odchodzę od maszynki, uruchamiam holograficzny alarm. Do tego impulsy.

– We Francji są zakazane.

– Tu jest Polska.

– A jak ktoś zhakuje ci software?

– Ma podwójne zabezpieczenia. Mirek dobrze to wykombinował. Chodźmy, bo Ćma da nam popalić. Dzisiaj rysujemy akt, model jest wynajmowany na godzinę.

– Serio? U mnie w liceum rysunek aktu mogłeś mieć dopiero po skończeniu osiemnastki.

– W Paryżu? – Opróżniliśmy kieszenie z monet i kluczy. – Mieście miłości? Cofnęliście się w rozwoju!

Przeszliśmy przez bramkę, wyciągając ramiona, żeby ochroniarz zeskanował nasze identyfikatory.

– To kompromis, mieliśmy w klasie różnych uczniów. Rodzice tych od walki o burki wystosowali protest. Coś za coś. Zresztą to nie jest Paryż sprzed lat. Niektóre dzielnice wyglądają tak, jakbyś trafił do slumsów Marsylii.

– U nas do tego nie dopuścimy. Fajnie wyglądasz. – Niespodziewanie zmienił temat. – Podobają mi się twoje buty.

– Tylko buty?

Wiedziałam, że nieźle się prezentuję. Przed wyjściem z domu pół godziny przeglądałam się w lustrze, dobierając ciuchy. Włożyłam dopasowane dżinsy, wrzosowy top, buty do konnej jazdy od Szczepana (idealnie nadawały się na motocykl) i krótką skórzaną kurtkę pożyczoną od Lidii. Paweł mógł przed kolegami z dumą prezentować swoją zdobycz.

– A ten model... Nie ciesz się na zapas. Znowu zakontraktują starego opoja, który dorabia na jabola. Dobrze, że przynajmniej na tobie można zawiesić oko.

– Mogę ci pozować.

– Bardzo chętnie, będziesz mieć dzisiaj okazję.

Klepnęłam go w ramię, bo znowu chciał mnie objąć, a właśnie wchodziliśmy do pracowni.

Zajęłam pierwszą sztalugę przy wejściu. Paweł miał swoją pod oknem. Ukradkiem go obserwowałam, wolałam gapić się na niego niż na modela. Facet był obleśny. Z olbrzymim brzuchem, obwisłą dolną wargą i cieniutkimi kończynami przypominał pajęczaka. Ćma nudziła, że mamy idealnie oddać proporcje i takie tam. Czego to się nie robi dla sztuki!

Wyglądało na to, że Paweł na dobre przeprosił się z kolegami. Wymieniali między sobą uwagi, czasem któryś się zaśmiał – pewnie mnie obgadywali. Musieli się spotkać i pogodzić w weekend, bo ostatni raz widziałam Pawła w piątek wieczorem. Ile mogli stać razem pod bramką? Dziwiła mnie ta ponowna zażyłość. Domyśliłam się, że instruktor ustawił małolatów. A jeśli Dżochar miał rację, że powinnam uważać? Może Paweł był pod wpływem jakiegoś psychologa indoktrynującego wyrostków?

Rozdział 18

Nieznajomy

Odpaliłam hondę pierwszym kopnięciem. Skoczyłam na rozrusznik. Trafiłam idealnie. Usiadłam na maszynie i płynnie ruszyłam – moje nogi od razu powędrowały na podnóżki. Wyjechałam z garażu i zatrzymałam przed nim hondę. Poczekalam na Pawła.

– Jeździłaś na czymś większym? – spytał.

– We Francji dwieście pięćdziesiąt centymetrów to maks przed osiemnastką.

– Kijowo. W Polsce pojemność i moc zależy od tego, jak długo masz prawo jazdy. Ja mam od roku.

– I jeździsz na sześćset pięćdziesiątce?

– Gwardia jest zarejestrowaną organizacją. Uzyskaliśmy kilka przywilejów, inaczej nie moglibyśmy używać broni. Tylko na łuk nie trzeba mieć pozwolenia. Za to musisz zarejestrować kuszę. Możemy pojechać w pobliże zoo, jest niedaleko.

– Nie mam prawka – odpowiedziałam, świadoma, że nie przerabiałam lekcji jazdy na ruchliwej drodze.

– A chciałabyś pojechać na gutku?

– Pewnie.

Co ja mówię! Wczoraj nawet nie potrafiłam odpalić motocykla. Moto guzzi wyglądał przy smukłej hondzie jak ciężki, opasły bąk. Jak latająca forteca B-17 przy myśliwcu Spitfire.

– To się przesiądź.

I po ptakach! Wpadłam.

Wsiadłam na motocykl. Dobrze, że był niższy od hondy. Istniała szansa, że się na nim nie przewrócę. Niespodziewanie Paweł usiadł za mną.

– No to ruszasz.

Ostrożnie puszczałam sprzęgło i dodawałam gazu, tak jak instruował mnie Artek. Będzie lepiej, jak gutek mi zgaśnie, niż miałby stanąć dęba jak koń na rodeo. Ruszyłam bez rwania.

– Wrzuć dwójkę i wjedź na plac za domem.

Zrobiłam to. Motocykl szedł posłusznie do przodu. Płynnie dodawałam gazu i zmieniałam biegi. W skupieniu zataczałam kółka na placu. Cały czas miałam na uwadze, że ta maszyna ma trzy razy większą pojemność od hondy i pewnie tyle samo więcej mocy.

Nagle poczułam, że Paweł wkłada mi dłonie pod kurtkę, gdy ja starałam się nie wywalić na ciężkim motocyklu, trzymając obie ręce na kierownicy. Przesuwał je coraz wyżej, aż objął moje piersi.

– Bo zaraz dam glebę! – warknęłam.

– Mogę cię ubezpieczać tylko nogami.

Czułam jego ciepły oddech na szyi. Teraz usta. Motocykl szedł do przodu. Jak dam ostro po hamplach, to się wypieprzę! Hamować silnikiem też się bałam. Chwilę trwało, zanim się zatrzymaliśmy.

– Co ty robisz, debilu! – krzyknęłam. – Nie, nie, wszystko w porządku – szybko dodałam. Gdybym tego nie powiedziała, jeszcze chwila, a Dżochar albo Aślan staranowałyby ogrodzenie.

– Nie, nie, tak, tak – zakpił Paweł. – Kobiety!

Wyszłam na niezrównoważoną idiotkę.

– Mam faceta.

– I koncertowo go zdradzasz. Boisz się, i tyle. Koniec jazdy. – Grodziński zsiadł z motocykla. – Zamieniamy się miejscami.

Kiedy jechał do garażu, spytałam:

– Mam ci się odwdzięczyć?

– Nie mam nic przeciwko, tylko połóż łapki niżej.

– Zboczeniec!

– Cnotka.

No proszę! W przeciwieństwie do Dżochara temu chłopakowi cnotka

przeszkadzała. Ale jeśli udam się na przeszkolenie do Igora, w oczach Pawła z cnotki zmienię się w puszczałską. Zrozum tu facetów! Dopadła mnie nieodparta chęć, by dołożyć ich pierwszemu przedstawicielowi. Wejź mi tylko, robaczku, pod rękę.

– Chciałbyś – burknęłam. – Widać, że jesteś zielony w tych sprawach. Źle odczytujesz sygnały. Nie pomyślałeś, że wolę starszych facetów? A dlaczego? Bo można im zaufać! Pod szkołą nie chciałam cię skompromitować w oczach twoich kolegów, z którymi tak szybko się przeprosiłeś.

Zatrzymał motocykl.

– Zsiadaj.

Szłam obok. Nie zwracał na mnie uwagi. W milczeniu odstawił guzzi do garażu. Robił to z taką ostrożnością, jakby wprowadzał konia wyścigowego do maszyny startowej. Przystanąłam i oparłam się o blat, na którym leżały klucze, śrubokręty i tym podobne żelastwo. Paweł rozłożył centralny podnózek i wciągnął na niego motocykl.

Zachowanie chłopaka uspiło moją czujność. Nagle pchnął mnie w bok i przyparł do ściany. Nie zdążyłam odskoczyć. Miałam z jednej strony stół, z drugiej ścianę, a z przodu Pawła. Znalazłam się w pułapce. Mocno mnie trzymał, nie pozwalając się wyrwać. Nie podejrzewałam, że jest tak silny. Czułam przyspieszone bicie serca. Mojego? Jego? Skoczyła mi adrenalina. Mogłam uruchomić alarm na bransolecie, ale tego nie zrobiłam. Ta moja duma!

Paweł niespodziewanie mnie pocałował. Inaczej niż Igor, nie tak szybko. Czułam jego usta na swoich. Miękkie, aksamitne, jak chrapy Świtka. Pełny odlot!

Odsunął głowę, jego błękitne oczy niesamowicie błyszcząły, odbijając światło górnych lamp.

– Boisz się, Chwała.

– Ni... – nie zdążyłam zaprotestować. Przywarł wargami do moich. Tak mocno, że gdy poczułam jego język wsuwający się w usta, przez moje ciało przeszedł dreszcz podniecenia.

Zapomniałam się, traciłam kontrolę. Byłam na najprawdziwszym haju. Haju, który nazywał się Paweł. Przyciskał mnie do siebie. W naszych ciałach rozpętała się burza hormonów. Nie! Nie tak szybko. Próbowałam go od siebie

odepchnąć. Naparł jeszcze mocniej. Jego język. I ruchy!

Nagle poczułam silne wibracje. Tablet na ramieniu!

– Paweł!

Również to poczuł, dlatego udało mi się od niego oderwać.

– Wiem. Ja też dostałem kopa. Magda właśnie otworzyła bramę. Bez obawy – pogładził mnie po ramieniu – dokończymy później. A teraz chodźmy do domu. Im wcześniej przedstawię cię mamie, tym szybciej się jej pozbędziemy. Teraz skręca ją z ciekawości, jak wygląda moja nowa dziewczyna. Założę się, że właśnie odtwarza holo z monitoringu. Wiesz, matki są strasznie ciekawskie... – Zamilkł nagle. Zorientował się, że mam prawo tego nie wiedzieć, skoro swoją straciłam, kiedy byłam dzieckiem.

Matka Pawła czekała na nas w holu. Była wyższa od Lidii, ale szczupła i energiczna jak moja siostra. Z promiennym uśmiechem podała mi rękę i zaprosiła do salonu. Usiadłam na fotelu obitym skórą. Ciemnofioletowe ściany tworzyły dziwny nastrój. Miałam wrażenie, jakbym nadal była na haju – Paweł nieźle mnie nakręcił. Dyskretnie uaktywniłam dotykowy miniekran na nadgarstku, żeby sprawdzić, kto oprócz jego mamy przerwał nam sielankę, wysyłając ostrzeżenie. Będę to wiedzieć, o ile ten ktoś zechce się ujawnić. Wątpiłam, aby to Dżochar o nas pomyślał. Swoim zachowaniem nieźle go wkurzyłam. Paradoks: skoro się tym przejmował, świadczyło to o tym, że mnie lubi. Ale złość jeszcze mu nie przeszła, dlatego przejął mnie Zuradow. Jeśli nie wyłączył obrazu z pluskwy, zamorduję go, gdy tylko zobaczę!

– Gloria, lubisz pierogi?

– A jakie? – Rozmarzenie po długim pocałunku prysło. Poczułam wściekły głód.

– Z kapustą i grzybami. Mam do nich czerwony barszczyk.

Ślinka omal nie pociekła mi na brodę.

– Uwielbiam!

– Za chwilę będą. – Magda przeszła do kuchni.

Przede mną leżała stacja dokująca z ekranem, po którym wędrowały czarne literki układające się w zdania i akapity.

– Lepiej nie czytaj. – Paweł zauważył, że skupiam uwagę na tekście. –

To obciachowe. – Pospiesznie wyłączył ekran.

– Co niby jest obciachowe? Kawalek tekstu?

– Piszę romanse. – Doszedł do nas głos Magdy z kuchni.

– Paranormale! – parsknął Paweł. – Magda jest znaną pisarką romansideł dla kucharek.

– Kucharki też ludzie. Sokole, jeszcze słowo, a nie dostaniesz barszczyku!

– Kumple się ze mnie naśmiewają – szepnął.

– Wszystko słyszę! – Włączyła wzmacniacz dźwięku. – Podrzuciłbyś kilka dziewczynom. Byłyby bardziej chętne.

W dodatku zachowuje się jak rycząca czterdziestka, pomyślałam, a ojciec nadużywał alkoholu i godzinami grzebał w garażu przy starym złomie. Nic dziwnego, że chłopak pobłądził. Potrzebował dyscypliny, mocnej ręki, kiedy jego rodzice bujali w obłokach. Ale przynajmniej przy nim byli.

– Chodź mi pomóc. Nakryj stół i przynieś wazę.

Kiedy Magda wykładała pierogi na mój talerz, tablet znowu zawibrował. Zuradow informował mnie, że zaraz będzie pod bramką.

– Muszę już jechać – poinformowałam gospodarzy.

– Nie puszczę cię, dopóki nie zjesz – oświadczyła Magda stanowczo.

– Asłan zaraz tu podjedzie.

– Z nią się nie negocjuje – szepnął Paweł. – Nie wypuści cię z pustym brzuchem.

– Zapraszam twojego przyjaciela na kolację. Właśnie zatrzymał się pod bramą. Wyjdę po niego.

Zostaliśmy z Pawłem sami.

– Znowu cię załatwili.

– Może musiał po mnie przyjechać?

– Może. Asłan to ten młodszy? Ten, który rozbroił Kubę?

Skinęłam głową.

– Przystojny facet. Magda szybko go nie puści. Zobaczysz.

Paweł miał rację. Asłan szybko uległ. Magda kompletnie go omotała.

Skłoniła, by usiadł, nałożyła na talerz pierogów, napoiła barszczykiem. Przy tym cały czas gadała. Lubiła być w centrum uwagi, a ten biedak nie wiedział, jak się zachować. Głupio mu było potraktować ją nieuprzejmie. Zjadł wszystko, co podała, odmówił tylko alkoholu. Widziałam, że mu się spieszy: co chwilę spoglądał to na nadgarstek, to na mnie. Nie zamierzałam jednak wybawiać Zuradowa z kłopotu. Mała zemsta za zepsucie mi wieczoru z chłopakiem.

– Przepraszam, ale musimy już z Glorią jechać – powiedział wreszcie, zdobywając się na stanowczy ton.

Kiedy wychodziliśmy, Magda trajkotała jak nakręcona. Wdzięczyła się, a Paweł spoglądał spode łba – głupio mu było za matkę. Przejmował się jej zachowaniem bardziej, niż na to zasługiwało. Widocznie był na tym punkcie wyczulony. Zresztą Magda mogła mieć coś na sumieniu. Może matka zdradzała jego ojca z młodymi mężczyznami?

– Uff... – westchnął Aślan, gdy już siedzieliśmy w samochodzie. – Myślałem, że nie przestanie. Jest bardziej gadatliwa od ciebie.

– Dziękuję.

– Ale dobrze gotuje. I ma fantazję.

– Leci na ciebie.

– Zauważyłem.

Skręcił na dobrze mi już znany wiadukt.

– Dlaczego nie przyjechał po mnie Dżochar?

– Teraz ma co innego na głowie.

Ściągnął ręce z kierownicy, powierzając kierowanie dżipem komputerowi. Wnerwiła mnie jego beztroska, demonstracyjna rozluźnienie.

– Podglądałeś nas! Stąd ten alarm.

– Chciałabyś, żeby matka chłopaka zaskoczyła was w takim momencie? I nie podglądałem, monitorowałem dane medyczne. Ciśnienie, puls, zmiany chemiczne potu, wyrzut adrenaliny...

– To jeszcze gorsze! Jakby doszło co do czego, znałbyś nawet skład jego spermy!

– Art, uspokój się. Nie znałbym, bo nie dopuściłbym do tego, żebyście tak

daleko się posunęli.

– Tego już za wiele! Szpiegujesz mnie, przeszkadzasz. Bo jesteś zazdrosny!

– A ta adrenalina to niby skąd?

– Cholera, chciałabym, żebyś był zazdrosny! Nie traktował mnie jak siostrę, tylko jak... – Myślałam, że zareaguje. Wyzna miłość albo mnie wyśmieje, a on nic – milczał.

Nie, tak nie może być! Tego wieczoru dowiem się wszystkiego. Przecież przyjechał po mnie, gdy mama Pawła już zaprosiła nas do salonu. Musiało się coś stać. To dlatego odwołali Dżochara i ściągają mnie do domu. Kiedy byliśmy już na miejscu, podjęłam decyzję, że postawię wszystko na jedną kartę. Nadarzyła się idealna okazja: Zuradow wszedł ze mną do kuchni, a przy stole siedzieli Darek z Lidią.

– Skoro jesteśmy w komplecie, chciałabym z wami wszystkimi porozmawiać – oświadczyłam, zajmując miejsce naprzeciwko siostry. – Sądzę, że nadszedł czas, byśmy sobie parę spraw wyjaśnili, Sprawiedliwi.

Po ich minach wywnioskowałam, że potraktowali sprawę poważnie. Asłan usiadł obok Darka.

– Słuchamy – powiedziała Lidia.

– Prywatna posiadłość na zamkniętym terenie Jurajskiego Parku Krajobrazowego? Fajnie. Spadek po bogatej babci? Prawdopodobne. Ale to nie jest normalne miejsce! Ta budowla z tyłu, za stajnią i ogrodzeniem. Próbowałam tam wejść, zanim uruchomiliście na noc alarm.

– I jak ci poszło? – zainteresował się Darek.

– Nic z tego, bo tam wstęp ma niewielu. Ty, Lidia, Igor, Asłan i jego cyngle. Chodzicie tam w nocy, kiedy kładę się spać, i zostajecie do świtu. Po co?

– Skoro w nocy, skąd tak dokładnie wiesz, kto tam może wejść?

– Roksana pożyczyła mi od brata lornetkę z noktowizorem.

– Gloria! – Udało mi się wyprowadzić Lidię z równowagi. – Jeszcze pewnie powiedziałaś, do czego jest ci potrzebna.

– Wystarczy, że wzbudziła ciekawość – wtrącił Asłan.

– Ośrodek jest chroniony. Próbowałam zhakować system.

W tym celu zawarłam znajomość z Mirkiem – kumplem Pawła,

informatycznym geniuszem z kucykiem – ale oszczędziłam im szczegółów, bo znowu by zaczęli jęczeć, że „wzbudziłam ciekawość”.

– Gloria! – Lidia wstała, aby nadać większej mocy słowom i poprzeć swój autorytet, patrząc na mnie z góry. – Masz omijać ten teren z daleka. Nie zbliżać się nawet do ogrodzenia.

– Dlaczego ściągnęliście mnie do domu, przerywając spotkanie z chłopakiem?

– Bo zaraz tam wszyscy idziemy. Bez ciebie.

– Niedoczekanie! – warknęłam wściekle.

– Zachowujesz się jak dziecko.

– Bo nim jest – odezwał się Darek, poniżając mnie w obecności Asłana, w którego oczach za wszelką cenę pragnęłam uchodzić za dorosłą.

– Lediewa i Zuradowa z jego cynglami ten zakaz nie obowiązuje, a mnie tak?

– Chyba wyraźnie to powiedziałam? Robisz wszystko, żebyśmy traktowali cię jak smarkulę. Dziewczyno, dorósnij do tych swoich siedemnastu lat!

– Chcę wiedzieć, co jest za ogrodzeniem.

– No, nie. – Lidia usiadła zrezygnowana na krześle. – Ona ciągle to samo!

– Siostra poleciła ci, żebyś omijała ten teren z daleka – wsparł ją Darek. – I masz się do tego dostosować.

– Ze względów bezpieczeństwa – dodał Asłan. – Pamiętasz Paryż? – Przypominając tamten epizod, dał mi do zrozumienia, że sprawa jest naprawdę poważna. – Metro? – Sakramencko poważna. – Jeśli zbagatelizujesz zakaz siostry, swoim postępowaniem możesz doprowadzić do podobnej sytuacji. Każdy czyn ma swoje konsekwencje. To jak efekt domina, ale tu upadające kostki mogą cię zmiażdżyć. Nie zmuszaj mnie, żebym znowu nie miał wyboru.

– Żebyś zabijał!

– Myślę, że dobrze się zrozumieliśmy.

– Asłan, za ostro – zaprotestowała Lidia.

– Lepiej za ostro powiedzieć, niż potem dać gadać gnatowi.

Pragmatyk, jego mać!

Nagle reszta poderwała się z krzeseł, Lidia cały czas stała. Zostali jednocześnie zaalarmowani? Sprawa musiała być naprawdę pilna.

– Idziemy – oznajmiła Lidia. – A ty nie ruszasz się z domu. Włączam alarm.

– Może jeszcze zatarasujesz drzwi? – ukąsiłam.

Zuradow posłał mi karcące spojrzenie.

– Nie, drzwi nie zamykam. Jesteś już na tyle dorosła, by zrozumieć, że masz zostać w domu. A zdarza się, że trzeba go szybko opuścić.

Nie mogłam tak zostawić tej sprawy. Moja ciekawość sięgnęła zenitu. Wiedziałam, że wcześniej czy później dowiem się, co jest za ogrodzeniem.

Miałam ciężki dzień w szkole, Roksanę dopadła grypa żołądkowa, a Paweł wpadł w szpony swoich kolegów. Wybierał się na jakieś zgrupowanie i zwolnił z połowy lekcji. Dżochar przyjechał po mnie jak zwykle i odstawił do domu. Musiałam się odstresować. Konna przejażdżka? Czemu nie. Zmieniłam moje ulubione wycierusy na legginsy i wzięłam buty z cholewami.

Okazało się, że pech mnie dogonił. Szczepan pojechał z kursantami w teren. W stajni pozostał tylko jeden wierzchowiec, którego mogłam wziąć pod siodło: złośliwa kobyła Baśka. Wszyscy mnie przed nią ostrzegali. Sama byłam świadkiem, jak chłopak, który jej dosiadł, wylatywał w powietrze, jakby brał udział w rodeo. Zresztą ja też zdążyłam ją już bliżej poznać. Nawet bardzo blisko. Kiedy wychodziłam z boks, w którym stała razem z Koriną, kopnęła mnie w plecy. Miałam dużo szczęścia, że nie uszkodziła mi kręgosłupa. Akurat poruszałam się z ruchem jej nogi, tak że energia kopnięcia się rozproszyła. Wierzchowce w naszej stajni nie były kute na tylne kopyta.

Na komendę: „Baśka, miejsce” karnie się przesunęła. Nauczona doświadczeniem zachowałam czujność. Od razu wzięłam siodło i ogłowie, żeby nie wchodzić do boks dwa razy, do kieszeni wsadziłam zgrzebło, szczotkę i kopystkę. Prawdziwy sajgon zaczął się, gdy dotknęłam grzbietu klaczy szczotką. Baśka zachowywała się jak Korina. Wierzgała, kiedy ją choćby musnęłam. Korina miała gilgotki, ale ta kobyła robiła to z czystej złośliwości. Bo taka była jej wredna natura. W każdej chwili mogła mnie

ugryźć przez kurtkę, fundując bolesnego krwiaka, ale musiałam postawić na swoim i usunąć jej zaklejki plastikowym zgrzebłem.

– Nie, moja droga – mruknęłam. – Ja tutaj rządzę.

Zaczęłam likwidować zaklejki kolistym ruchem zgrzebła. Pewna, że pokazałam, kto tu dowodzi, przestałam zwracać uwagę na pysk klaczy. Tylko treningom boksu i doskonalonemu na nich refleksowi zawdzięczam, że bestia nie dziabnęła mnie w ramię. Dostrzegłszy ruch kątem oka, instynktownie walnęłam ją łokciem w pysk. Obrońcy zwierząt zawrzeliby gniewem, ale postawiłabym któregoś na moim miejscu – jakby odgryzła mu kawałek pośladka i wypluła na słomę, inaczej by śpiewał. Mnie omal nie przetrąciła kręgosłupa. Mówiąc szczerze, byłam na nią cięta. I cholera to wyczuwała. Pomijając rodeo, jakie fundowała kursantom, Baśka miała serce do galopu w terenie. Dla tych chwil warto było się z nią użerać podczas czyszczenia. Ja jednak miałam w perspektywie rodeo na ujeżdżalni. Smagnięcie palcatem w zad – jedno wierzgnięcie. Seria smagnień: dziki cwał. A potem sytuacja się powtarzała. Cóż, żebym potrafiła opanować każdego konia, musiałam ujarzmić i Baśkę, która zachowywała się jak pies. Słuchała i poważała tylko Szczepana, a przed Aslanem czuła respekt. Skoro on dał radę, ja też sobie poradzę.

Na chwilę odpuściła, najwyraźniej postanowiła użyć innego środka perswazji. Co tym razem wykombinuje? Wtem omal nie nastąpiła mi na but. Pchnęłam ją, by uchronić stopę. Znowu spokój. Pozorny, bo kiedy zaczęłam czyścić jej brzuch, niespodziewanie wierzgnęła. Co przykładałam do niego szczotkę, serwowała mi kolejne wierzgnięcie, mocne tupnięcie kopytem. Wyczuwała strach niedoświadczonej adeptki hippiki. Nagle mnie zaskoczyła. Przeciągnęłam jej szczotką pod brzuchem i... nic. Zrobiłam to jeszcze raz. Stała spokojnie jak Świtek. Co ona znowu kombinuje? Zmasowany atak zębami, łbem, kopytem? Nic podobnego nie nastąpiło. Co się stało? Mimo niebezpieczeństwa odwróciłam się – podpowiedział mi to instynkt.

Obok boksu stał młody chłopak. Nigdy wcześniej nie widziałam go w klubie. Miał uśmiech na twarzy i żywe, błyszczące oczy – przystojniak w pełnej krasie. Stał tak, patrzył i ciągle szczyrzył zęby białe jak śnieg. Zaczarował nie tylko mnie, ale też Baśkę, która udawała przy nim niewiniątko. Podnosiła kopyta z wyprzedzeniem, gdy tylko kierowałam się do któregoś z kopystką. Co takiego miał w sobie ten chłopak oprócz uroku osobistego? Bo, bez hecy, konie, przepraszam, klacze, nie odbierają w takich kategoriach

osobników innego gatunku. Zerkałam na chłopaka z zaciekawieniem (przy uspokojonej bestii mogłam sobie na to pozwolić). Wyższy od Pawła i masywniejszy, był szatynem o krótkich włosach i regularnych rysach twarzy. A oczy? Obstawiałam, że są zielone, jak u Artura. Zamierzałam to sprawdzić, gdy podejdzie bliżej. Ale teraz skupiałam się na siodłaniu klaczy. Chciałam pokazać się nowemu kursantowi – jeśli nim był – jako profesjonalistka. Skończyłam siodłanie Baśki i puściłam luźno wodze, żeby obróciła się w bok. Równocześnie ja też to zrobiłam.

Chłopak zniknął! Jakby nagle rozpułnął się w powietrzu. W tym samym miejscu stał Asłan. Czy to przez niego nieznajomy tak szybko odszedł? Wystraszył się Zuradowa? Bez przesady. Przecież to nie Kaukaz, nawet nie Paryż. Chociaż, zważywszy na budzący respekt wygląd Tanki...

Baśka nadal grała wilczycę ukrytą w skórze owieczki.

– Cześć – rzucił Asłan. – Widzę, że wypłynęłaś na głęboką wodę.

– Znasz tego chłopaka?

– Jakiego chłopaka? – Na jego przystojnej twarzy pojawiło się zdziwienie.

– Tego, który stał tutaj przed chwilą.

– Nikogo tu nie było.

Oril zlał się z otoczeniem i przywarł do ściany. Wspiął się aż pod sufit. Koń by na niego nie nastąpił – zwierzęta instynktownie wyczuwały obecność rokusów, ale nie człowieka. Ludzie byli ślepi i głusi. Obserwował dziewczynę, starając się poznać jej myśli, obecne i te z przeszłości. Walczyła ze strachem, a klacz to wiedziała. Oril rozpylił feromony, żeby wpłynąć na zachowanie narowistego zwierzęcia. Przy okazji poznał przyczynę jego zachowania. Poprzedni właściciel krzywdził klacz. Zmuszał do ciężkiej pracy w pełnym słońcu i na mrozie. Bił, kiepsko karmił i nie dawał wody. Wpłynęło to na jej psychikę. Stała się złośliwa i kiedy ofiara dała się zastraszyć, korzystała ze swojej przewagi fizycznej. Tak jak przed chwilą. Oril ją utemperował, a jednocześnie ukazał się zestresowanej dziewczynie w postaci, w której wzbudził jej zaufanie. Odpowiedział na ukryte pragnienia obu istot. Ukryte, lecz nie przed nim. W dziewczynie również wyczuł zło. Zło, które jej

uczyniono. Ale obcy, który się do nich zbliżył, był złem w czystej postaci. Ten człowiek śmierdział nim jak stąd do systemu Quojo. Ku swemu zaskoczeniu Trojlo wyczuł w dwunożnym stworzeniu bratnią duszę. Ten sam duch, ta sama krew? Dziwne. Nigdy tak nie odebrał obcej istoty. Zło lub dobro, jedno z tych dwóch zawsze było silniejsze albo oba pozostawały równie słabe. Lecz w tym obcym były równie mocne. Nie dążył do konfrontacji, musiał to przemyśleć. Lepiej, by teraz się oddalił. Mimo że kamuflaż był doskonały, postanowił zachować ostrożność i zbytnio nie ufać swoim zdolnościom przystosowawczym. Rutyna zabija czujność, a on musi lepiej zrozumieć ludzi.

Wyszedł ze stajni i stopił się z nowym otoczeniem: trawą, opadłymi liśćmi, krzewami i drzewami. Lubił ziemską roślinność, jej teksturę i zapach. Ale dość tej wycieczki. Niedługo zapadnie zmrok, wtedy powinien się znaleźć w swojej klatce. Ludzie do niego przyjdą i zaczną obserwować. Nie wiedzą, że zostawia imitujący go fantom, a sam krąży po okolicy. Myślą, że w dzień zapada w letarg.

Rozdział 19

Ośrodek

Oberwało mi się dopiero wtedy, gdy wyprowadziłam Baśkę ze stajni. Stałyśmy obie razem ciche jak trusie, ja ze spuszczoną głową, klacz ze zwieszonym łbem. Nie rozumiała tyrady Zuradowa, ale reagowała na ton jego głosu, negatywne emocje.

– Co ci strzeliło do głowy, żeby wchodzić do boksu, kiedy w stajni nikogo nie ma? Nie pamiętasz, jak poleciałaś posłana jej kopytem na ścianę? Jakby coś ci się stało, nie miałyby nawet kto wezwać pogotowia! Udzielić pierwszej pomocy.

– Ten chłopak...

– Nie było tam żadnego chłopaka. Ponosi cię wyobraźnia. Powiem Lidii, by zrobiła ci szlaban na holo. Włączyła filtry.

– Nie zrobisz tego!

Mirek je zaraz ściągnie, ale po co miałam się zdradzać z tym, że rodzicielskie filtry to ściema dla przewrażliwionych wapniaków? Radził sobie z nimi każdy co bardziej rozgarnięty nastolatek, przez wygodnictwo podłączany przez rodziców do sieci, jeszcze zanim zaczął raczkować. Oglądając kolorowe obrazki, mały potwór przestawał się drzeć w dzień i w nocy.

– Zrobię.

Nie wierzyłam własnym uszom. Aślan wierzył, że uda im się zablokować emisję holo, którego pliki mogłam ściągać nawet przez szkolny identyfikator. Wystarczyła zmyślna wtyczka.

– Ledwie osobiście będzie monitorować, czy ich nie ściągasz. – Jak zwykle czytał w moich myślach. – Nie wpakowałaś nigdzie pluskwy.

No to wtopa! Na całej linii. Igor znał się na systemach. Ale, ale... Nie wyobrażałam sobie, żeby założył mi blokadę na treści erotyczne i mocną

rozrywkę. To nie w jego stylu. Jakby co, jakoś dogadam się z Lediewem.

– Wiem o Arturze. Gloria, czy ty zawsze musisz postawić na swoim?

– Taka już jestem. Wyczyściłam Baškę, osiodłałam, wyprowadziłam ze stajni i nadal jestem w jednym kawałku. Widzisz? – Zrobiłam pajacyka. – Ręka cała, noga cała.

Kobyła patrzyła na mnie jak na wariatkę.

– Już niedługo – warknął. – Bo zaraz cię uduszę!

Wygrałam. Kiedy Aślan był naprawdę wkurzony, emanował spokojem greckiego stoika.

– Wsiadaj.

Przełożył wodze przez szyję Baški i chwycił tuż przy pysku. Nie musiałyśmy odgrywać razem pantominy: ona, robiąc kroczyki, bym nie mogła wsadzić stopy w strzemię i chwycić za tylny łęk, ja, desperacko usiłując złapać równowagę, podskakując przy tym na jednej nodze.

Aślan zaprowadził nas na ujeżdżalnię.

– Idę po lonżę – oznajmił.

– Zapomniałam palcata. – Mój głos przepełniała słodycz. Czysty lukier. – Mógłbyś przynieść?

– Nie będzie potrzebny. Wezmę solidny bat – na was obie. Występuj ją.

Łatwo powiedzieć: „Występuj”! Baška ani drgnęła. Wystarczyło, żeby Aślan zniknął w stajni, a pokazała wredny charakter. A ja nie miałam środka perswazji w dłoniach. Czarodziejskiej różdżki zmuszającej do posłuszeństwa: palcata.

Pochyliłam się w siodle i położyłam na szyi klaczy.

– Basiu, on nas naprawdę lubi. Szkoda, że nie możesz mówić. Powiedziałabyś mu o tym chłopaku, że to nie moja wyobraźnia. On tam był i ty go wyczułaś. Widziałaś.

Kwiknęła i ruszyła. Oczywiście w najmniej spodziewanym momencie, inaczej nie byłaby sobą. Dobrze, że nie zaczęła galopować. Ale przynajmniej, gdy wrócił Aślan, siedziałam w siodle dumnie wyprostowana i prowadziłam konia stępem. Tak naprawdę to Baška raczyła się przejść, ale po co wnikać w szczegóły?

Wziął ją na lonżę. Długi bat w drugiej dłoni skłaniał do posłuszeństwa już samym swym widokiem. Nie był mu potrzebny, bo kobyła słuchała Tanka. Jego doświadczenie jako instruktora procentowało, ale batem dawał również znaki, jak daleko Baśka ma się trzymać na lonży. Nie prowadził na co dzień lekcji jazdy jak Szczepan. Udzielał mi porad jako praktyk. Sporo galopowałam, korzystając z okazji. Gdybym próbowała skłonić Baškę do galopu na pustej ujeżdżalni, trenowałabym krótkie loty. Pół metra nad siodło, kłapięcie tyłkiem na siedzisko, dziki cwał, leniwy stęp, strzał palcatem w jej zad, znowu krótki lot, wariacki cwał... i tak w kółko, do znudzenia. Albo do chwili, gdy ciapowaty jeździec się poddawał – taką właśnie strategię postępowania z żółtodziobami wypracowała sobie kobyła.

Po jeździe Aślan pomógł mi rozsiodłać i wyczyścić klacz. Wyszliśmy ze stajni i usiedliśmy na ławce, akurat na wprost budynku ukrytego między drzewami.

– Możesz mi w końcu powiedzieć, co tam jest?

– Nie wiem.

– Kłamiesz. Widziałam, jak tam wchodziłeś. Co w nim robiliście razem z Achmatowem i Lediewem? Dżochar też się tam kręcił.

– Zajmowaliśmy się ochroną.

– No właśnie!

– Nie pomyślałaś, że ochroniarz może nie wiedzieć wszystkiego o swoim kontrakcie?

– Nie wierzę, że Lidia i Darek są waszymi „kontraktami”. Ja też nie jestem waszym „kontraktem”. A wy nie jesteście ochroniarzami. Jak już, to operatorami, i to cholernie dobrymi operatorami.

– Gloria, potraktuj poważnie słowa siostry.

– Ten chłopak! Ja go naprawdę widziałam. Baśka również. Kiedy go wyczuła, od razu się uspokoiła. Przy obcym? Nigdy wcześniej go tutaj nie spotkałam. Na jazdę przychodzą prawie same dziewczyny albo dorośli faceci, jak ty.

– Skoro twierdzisz, że to nie były przywidzenia, tym bardziej powinnaś się trzymać z daleka od ośrodka.

– Ośrodka? Więc to jest jakiś ośrodek? Czego? Resocjalizacji kosmitów? –

parsknęłam.

– Widzisz? Ponosi cię wyobraźnia. Stworzyłaś sobie w myślach tego chłopaka.

– Gdyby tak było, nie wiązałybyś moich przywidzeń z bliskością ośrodka.

– Mądra dziewczynka. – Usłyszałam znajomy głos.

Odwróciłam się, za nami stał Igor.

– Może czas jej wszystko powiedzieć? Inaczej jeszcze zrobi coś głupiego. Znasz ją.

Na Igora zawsze mogłam liczyć. To on zawiózł mnie do Artura i wyjaśnił, jak to jest z chłopakami. Taki żywy niezbędnik: jak ma sobie radzić nastolatka.

– Podejmujesz się pogadać o tym z Lidią? – Asłan wzruszył ramionami. – Ja nie.

Rozmawiali o mnie, w dodatku w mojej obecności, beze mnie!

– To wewnętrzna sprawa rodziny.

Igor ostentacyjnie schował dłonie za plecy.

– To czemu się wtrącasz? – Zuradow groźnie zmarszczył brwi.

– Bo taki jest! – krzyknęłam. – Normalny.

– Towarzystwo wzajemnego wsparcia? – zakpił i wstał z ławki.

– Adoracji. Jesteś zazdrosny, i tyle!

– Dobra, idę. Przyjechałem, żeby spotkać się z Darkiem. Właśnie mija bramę. A wy dalej się adorujcie.

– Chodźmy do domu – zaproponował Igor, gdy Zuradow odszedł. – Za chwilę się wychłodziś i przeziębienie pewne.

Kiedy szliśmy obok siebie, objął mnie ramieniem i spytał:

– O co poszło?

Naprawdę się o mnie troszczy. Nigdy mnie nie zawiódł.

– Osiodłałam Baškę, gdy nikogo nie było w stajni.

– Bez pozwolenia – nie pytał, stwierdzał fakt.

– Ale tam pojawił się jakiś chłopak. I zniknął. Jakby rozpułynał się w powietrzu! Albo zmienił w Tanka.

Igor się rozejrzył. Zrobił to odruchowo, jakby instynktownie kogoś szukał w miejscach, gdzie nie dochodziło światło. Jak operator, który szacuje zagrożenie, a w kurtce trzyma odbezpieczonego gnatu.

– Nie wierzysz mi. Zaraz będziesz sobie żartował, że mam przywidzenia!

– To nie są żarty – zaprzeczył. Czyli zinterpretowałam jego reakcję właściwie. – Nie wiadomo, kto kręci się w nocy po posesji. Jak myślisz, po co Tank spotyka się z Darkiem?

– Nie tylko Tank, widziałam tutaj w nocy również Memeda i Dżochara. Wczoraj przycisnęłam Lidię i Darka do muru.

– Bez skutku.

Znowu domyślił się, co zaszło.

– Dostałam tylko zakaz zbliżania się do... jak oni nazywają ten bunkier... ośrodka. Ty też tam chodzisz! Śledzisz ich?

– Teren jest monitorowany przez kamery.

– W takim razie zobaczymy tego chłopaka, jak wchodzi i wychodzi ze stajni.

– A jak nie zobaczymy?

– Też myślisz, że to moja wybujała wyobraźnia?!

– Niekoniecznie. Chodźmy do mnie, tam w spokoju pogadamy.

Igor nie powiedział, że będziemy gadać o ośrodku. Kiedy byliśmy już w domu, pokręcił się chwilkę po kuchni, wyciągnął z szafki niewielkie gliniane kubki i poszliśmy na górę. Kiedy, jak to już miałam w zwyczaju, usadowiłam się na jego łóżku, zaczął mnie wypytywać o spotkanie z Pawłem.

– Jak ci poszło z jazdą? – Niespodziewanie wyczarował pękatą butelkę. – Dałaś radę? – Odkorkował ją i rozlał do kubków złotobrazowy napój. – Żadnej gleby?

– Namówił mnie, żebym poprowadziła moto guzzi.

– Świetnie! – Igor wpakował się na wyro z kubkami w dłoniach. – Trzymaj. – Wręczył mi jeden.

– Usiadł za mną i zaczął obmacywać!

– Prawidłowa reakcja.

– Żartujesz.

– Uważaj na pościel. Wylejesz szlachetny trunek i będzie się cała kleić nie od tego, od czego powinna.

– Świnia!

– Co złego, to nie ja. – Znowu schował ręce za plecy. – Spróbuj nektaru bogów. Poprawi ci się humor, gwarantuję.

Powąchałam napój. Ostrożność była jak najbardziej wskazana: wyczułam alkohol, którego nie stłumiła lekka korzenna woń.

– No, śmiało – zachęcił mnie. – Przecież jednym kubkiem się nie upijesz. A co do chłopaka, masz przynajmniej pewność, że nie jest gejem.

– Wtedy by się ze mną nie spotykał.

– Racja. Ale wiesz, mała, gej też chce czasem tylko porozmawiać.

Wzięłam trochę na język – alkohol był słodki jak likier i cierpki w smaku, ale dobry.

– Niezłe. Co to?

– Miód, półtorak.

– Taki, jaki pił Zagłoba?

– Widzę, że pamiętasz lektury z polskiego gimnazjum.

– Hanna uparła się, żebym chodziła do dwóch szkół naraz. Było to upierdliwe jak cholera.

– Coś o tym wiem. W moim wypadku to były nawet trzy szkoły, część zajęć odbywała się przez holo.

– Wiesz, rodzina Pawła jest porąbana. Jak jego matka zobaczyła Tanka, zaraz zaczęła się do niego wdzięczyć.

– A, to ciekawe.

– Za stara dla ciebie. Ma ponad czterdziestkę!

– Ech, mała, co ty wiesz o życiu? Taka rycząca czterdziestka to dopiero zawodniczka.

– Półtora roku temu umarł jej mąż!

– Dlatego czuje się samotna.

- A ty już lecisz, by ją pocieszyć?
- Miarkuję – domyślił się – że Aslan nie był zainteresowany.
- On żadną kobietą nie jest zainteresowany. Ale współczuję Pawłowi.
- I ktoś tutaj ma pretensję o pocieszenie.
- A z ciebie skąd taki znawca życia? Jesteś starszy ode mnie zaledwie o dwa lata.
- Bardzo istotne dwa lata, kiedy trzeba już myśleć, z czego będziesz się utrzymywać. Twój jedyny problem to szkoła.
- Właśnie, jutro jedziemy na Pasternik. Będziemy się uczyć udzielać pierwszej pomocy. „W warunkach pola walki” – zacytowałam starszego aspiranta Mostowskiego.
- W takim razie przysługuje ci tylko pół kubka miodu. Takie ćwiczenia są wykańczające. Przygotuj się na naprawdę ciężki dzień. To nie dmuchanie gumowej lali.
- Pojutrze jest impreza u Roksany. Dzwoniła, że do tego czasu jakoś się pozbiera po grypie. Wszystkie dziewczyny przyjdą ze swoimi chłopakami, a ja nie mam z kim.
- Ależ poważny problem. – Nabija się za mnie! – A Paweł?
- Wolałabym, żeby Walera nie połamał mu kości. Widziałam go. Kwadratowa szczeka, potężne łapska. Jak złapie w nie Pawła, z chłopaka zostanie miazga. Ale odkąd to przejmujesz się problemami małolaty? A jednak, chyba się przejmujesz. Aslan nie chciał mi pomóc z motocyklem. Jesteś inny niż on.
- Bo jestem młodszy, o wiele młodszy.
- Nie wymyśliłam sobie nieprawdopodobnej historii. Drugie życie Asłana było prawdą.
- A z tym motocyklem nieźle mnie wpakowałaś. Gdybym wiedział, że Tank ci odmówił, nie zabrałbym cię do Artura.
- Tworzycie jedną wielką klikę!
- Wyluzuj. Aslan mówił mi o Roksanie i jej bracie. Wiem, że Paweł ją przeprosił. Może czas, żeby przekonał się i do jej brata?
- To niemożliwe.

– Tylko osioł nie zmienia poglądów. Popatrz na mojego dziadka. Walczył w Afganistanie, a później w Legii.

– Dla swoich jest zdrajcą.

– Widzę, że nawet te pół kubka miodu ci zaszkodziło.

– Było nie dawać nieletniej alkoholu.

– Ta imprezka u Roksany – to niby przy coca-coli? Będzie miał cię kto odwiedzić do domu?

– Tank się zaoferował. Chce się spotkać z dziadkiem Roksany. Oleksij walczył w pierwszej wojnie czeczeńskiej.

– Niedobrze.

Igor nalał sobie miodu do kubka, ignorując to, że podstawiłam swój pod szyjkę butelki.

– Dlaczego tak mówisz?

– Ty będziesz się bawić, a Aślan po tym spotkaniu załapie doła. Wróć wspomnienia. Szkoda, że facet nawet nie może się upić. Zakręć się wokół niego.

– Mam Pawła.

– Szczerze?

Wypiłam resztkę miodu. Na dolewkę nie mogłam liczyć: Igor odstawił butelkę na podłogę. Cóż, jeśli weszłam do boksu ze złośliwą bestią, to i z prawdą, którą za chwilę usłyszę, też sobie poradzę.

– Wal śmiało – rzuciłam.

Lediew pochylił się nade mną. Jego twarz była tak blisko, że owionął mnie ciepłym oddechem.

– On siedzi tutaj. – Położył dłoń na mojej piersi. – W środku.

– Skąd ta pewność?

Ściągnęłam jego rękę.

– Inaczej już bym cię miał.

– Jesteś pewny siebie.

Nie uciekłam wzrokiem, patrzyłam mu prosto w szarobłękitne oczy. Ile

dziewczyn na nie złapał? Jednak ze mną mu się nie udało.

Nawinał sobie kosmyk moich włosów na palce. Dobrze, że nie przysunął ich do swojego nosa. Zapach kobiety? Dobrze sobie! Śmierdziały stajnią. Mógł nie zabierać mnie do siebie zaraz po jeździe.

– Ty też bądź.

– Będę.

Gdyby wiedział, jak zinterpretuję jego radę!

Pasternik przywitał nas megagigantycznym hałasem. Jedno po drugim zeskakiwaliśmy z paki wojskowej ciężarówki, która przywiozła nas na poligon. Inne klasy kończyły przeszkolenie lub były w jego trakcie. Czułam się jak mięso armatnie. Jeszcze świeże, niezmiękczone adrenaliną krążącą w żyłach. Ustawiliśmy się karnie w szeregu.

Starszy aspirant Mostowski zlustrował nas wzrokiem i udzielił wstępnego instruktażu, jak mamy się w tym miejscu poruszać i czego nam nie wolno. Następnie przywitał się z facetem w połowym burym mundurze.

– Przedstawiam wam sierżanta Wernickiego. Przechodźcie w ręce wojska. Sierżant będzie dzisiaj waszym instruktorem.

Usłyszałam śmiech Marzeny, jej koleżanka rzuciła jakąś uwagę o wyglądzie naszego nowego prześladowcy.

– Bacność! – ryknął Wernicki. – To nie kinderbal! – Ty i ty, wystąp. – Wskazał na dziewczyny. – Dziesięć pompek.

– Tyl... – usiłowała zaprotestować Marzena.

– Dwadzieścia. Grodziński, przypilnuj naszych młodych dam.

Znał Pawła? Pewnie ze szkoleń gwardii, na które chłopak jeździł co rano ze swoją grupą.

– Lacki i Nowak, idźcie po sprzęt.

Miałam rację.

– Proszę szanowne koty o uwagę. Żadnego gadania i rozłazenia się po kątach. Ci, którzy mi podpadną, nie pojedą do ciepłego domku. Zostaną

na wycisk. Chłopaki Grodzińskiego mieli ze mną szkolenie z ratownictwa taktycznego. Wiedzą, że nie mam zwyczaju rzucać słów na wiatr. Kaczmarek?

– Pan sierżant ręczy, że zbuntowany kot nie wyjdzie stąd na własnych łapach.

Bajera! Słowa Lediewa okazały się prorocze. Dobrze, że porządnie się wyspałam, ale jutrzejszą imprezę u Roksany widziałam w czarnych barwach. Biedaczka, jak ona to przeżyje po grypie żołądkowej? Wystarczy, że raz pomylimy prawą stronę z lewą.

Paweł nie oszczędzał dziewczyn. Szorowały brzuchem po trawie, padały nosem w błoto, ale dwadzieścia pompek zrobiły. Kiedy Marzena wstała z czworaków, omal nie zabiła go wzrokiem.

Zagapiłam się na dziewczyny i skierowałam nie w tę stronę, co trzeba. Usłyszałam za plecami hasło: „Dziesięć pompek”. Zbyt późno zaskoczyłam, że to do mnie, i Wernicki dołożył mi kolejną dychę. Padłam tam, gdzie stałam, i zaczęłam robić to cholerne pompki. Machnęłam je jednym ciągiem, wzorowo, w dobrym tempie, z tułowiem równym jak deska i zatrzymując się tuż nad ziemią. Kiedy wstałam i się odwróciłam, pochwyciłam zdumione spojrzenia: Pawła, jego kolegów i samego Wernickiego.

– Ho, ho, mamy tu gwiazdę – skomentował sierżant. – Za zademonstrowanie, jak powinny wyglądać prawidłowe ugięcia ramion w podporze przodem, Gloria Arciszewska – odczytał moje dane z holo przesłanego przez identyfikator – nie zostaje na dobijanie kotów.

„A szkoda. Chciałbym zobaczyć, ile mógłbym z ciebie wycisnąć, złotko” – wyczytałam w jego piwnych oczach.

– Przystępujemy teraz do właściwej części szkolenia. Proszę, szanowna dziatwo, o uwagę.

Koledzy Pawła właśnie wrócili z indywidualnymi pakietami medycznymi i zaczęli je rozdawać innym uczniom.

– Nie przez przypadek robimy szkolenie w terenie – tłumaczył Wernicki. – Stres i otoczenie istotnie wpływają na reakcje. Chcę zobaczyć, jak zakładacie stazę na udo kolegi czy koleżanki. Przypominam tym, którzy wagarowali: staza to specjalna opaska uciskowa. Niedługo każdy z was zademonstruje na pozorancie, jak się ją zakłada. Tam. – Wskazał ręką przed siebie.

Wszyscy odwrócili się jak na komendę, zapominając o karniakach. Za nami było coś, co wyglądało jak ścieżka zdrowia w parku. Z tą różnicą, że dochodził nas trzask, huk, teren rozświetlały rozbłyski, a nieduże figurki przemieszczały się od przeszkody do przeszkody, padały na ziemię, podnosiły się, znowu padały.

– Każdy przebiegnie się po torze na sucho. Kiedy mu się ta sztuka uda, następnym razem na jego trasie pojawi się ranny pozorant. Zadania są punktowane. Kto nie zbierze minimalnej liczby punktów, pojawi się u mnie w następnym tygodniu. Ale najpierw kilka słów o różnicy w procedurach ratownictwa cywilnego i wojskowego. Usiądźcie.

Niektóre laski wykrzywiły swoje subtelne twarzyczki. Siadając na trawie i opadłych liściach, starały się nie wylądować tyłkiem w błocku. Październik nie był sprzyjającym miesiącem na piknik, jeszcze dawał się we znaki nocny chłód. Ja miałam na sobie kurtkę na motocykl enduro, którą pożyczyłam od Artura. Na tyle długą, że zasłaniała mi siedzenie, w dodatku była z podpinką – ostrzeżona przez Igora, zadbałam o funkcjonalne odzienie. W każdej chwili mogłam się pozbyć podpinki i upchnąć ją do większego plecaka. Włożyłam do niego termos z gorącą czekoladą, którą zamówiłam w szkolnej stołówce.

Kiedy Wernicki opowiedział coś niecoś o ratownictwie medycznym, Paweł z Kubą zademonstrowali zakładanie stazy. Kuba był rannym. Grodziński nie patyczkował się z kolegą. Klęknął mu na udzie i zakręcił krępulec. Docisnął opaskę tak mocno, że Kuba aż zasyczał z bólu. Sierżant pochwalił Pawła za dobrą robotę. Wielkie dzięki! Miałam szczęście, że trafiła mi się w parze Roksana.

Każdy z nas musiał zrobić to samo. Słuchaliśmy przy tym wyводу, jak to opatrywany może być niebezpieczny dla ratownika. Też mi odkrycie! Na miejscu Kuby walnęłabym Pawła w zęby.

Po założeniu stazy przeszliśmy do pozorowanego rozcinania nogawki i upychania opatrunku w ranie. Dokładnie: upychania. Zero subtelności. Jeśli obiekt tortur jęknął, krzyknął, ratownik zbierał pochwały od sierżanta. Kiedy Wernicki do nas podchodził, teatralnie dwa razy krzyknęłam. Na wiele się to nie zdało. Cwaniak sprawdził, jak mocno Roksana docisnęła opaskę na mojej nodze. Dziewczyna musiała dokręcić krępulec tak silnie, aby sierżant

nie wyczuł tętna. Pogroził nam palcem.

– Szanowna kociarnio, ostatni raz widzę podobne uniki. Chwali ci się spryt, Chwała – czy oni z Pawłem się umówili, żeby tak mnie nazywać? – ale wykorzystaj go tam, gdzie będzie potrzebny. Na torze. Jeśli ranny się wykrwawi, widzę cię tutaj w poniedziałek. A po torze zrobisz sto pompek. Jak nie dasz rady, zostajesz na resztę wycisku. Oszustwo nie popłaca.

Cholera, objawił się klon Zuradowa! Wernicki chyba mnie polubił, inaczej już teraz bym pompowała.

Kiedy wszyscy zaliczyli ćwiczenie, sierżant zaprowadził nas na ścieżkę zdrowia. Niby była to wersja dla żółtodziobów, nie uświadczyłeś tu ruszających się kładek nad wybetonowanym dołem z wodą i tym podobnych przyjemności, ale jak na niewytrenowaną dzieciarnię i tak było grubo. Puścili nam jeszcze jakiś cholerny nawiew, terkotały karabiny i wokół wybuchały bomby – dobrze, że wirtualnie. Uważnie obserwowałam, jak Paweł przebiega całą trasę. Wcześniej odpięłam i wsadziłam podpinkę do plecaka, przewidując, że zgrzeję się już w samym goreteksie.

Byłam pierwszą z dziewczyn, które ustawiły się w kolejce. Wolałam mieć to za sobą, zanim zmarznę, a chwilę potem krew wyleje mi się przez pęknięte bębunki. Dziękuję ci, Asłanie Zuradowie, mój trenerze! Przeszłam przez to bez jednego potknięcia czy stłuczki. Kilka kładek, przeszkód, przez które musiałam przeskoczyć, lina z węzłami, po której się wspięłam, zeskok na siatkę, podczołganie się do jej skraju, zeskok na ziemię, znowu bieg i płytki rów z wodą. Czułam się jak koń na parkurze, a sierżant był jeźdźcem popędzającym mnie szpicrutą.

Dobiegłam do końca zdyszana, ale nie było jakiejś specjalnej tragedii. Roksana też całkiem dobrze sobie poradziła – biegła zaraz po mnie. Nie miałyśmy okazji popatrzeć na koleżanki, bo musiałyśmy się stawić na następnym stanowisku, gdzie przydzielono nam nierozpakowane zestawy medyczne ze specjalnymi rzepami. Od razu wyczułam, że to zmyłka, przecież nie my miałyśmy być ratowane. Ciekawe, ile jest karniaków za wykorzystanie swojego zestawu zamiast zestawu pozoranta? Jeśli miały to być warunki bojowe, najprawdopodobniej będziemy ratować żołnierzy, a ci trzymali osobiste pakiety przy sobie. W końcu „osobisty” znaczy: mój. Wykorzystanie własnego pakietu medycznego do opatrzenia kogoś innego mogło się skończyć

tym, że kiedy sam oberwałeś, nie miałeś czym zakłajstrować rany.

Ci, którzy zaliczyli tor na sucho, przechodzili do kolejnego ćwiczenia. Poczekałyśmy z Roksana, aż po torze przebiegnie Paweł i jego zgraja. Pozorant pojawiał się w najmniej spodziewanym momencie. Padał trafiony na kładce, przy linie, na siatce, leżał do połowy w rowie. Trzeba było błyskawicznie zlokalizować ranę i powziąć odpowiednie środki, by pechowca ratować.

– Tym razem pójde pierwsza – rzuciła Roksana i zanim zaprotestowałam, stała już na starcie.

Facet pojawił się w połowie trasy, przez chwilę biegł z dziewczyną ramię w ramię i nagle podskoczył, jakby wyleciał na minie. Roksana w porę się zorientowała, co jest grane. Musiała skojarzyć huk ze zniknięciem człowieka. Odwróciła się i przypadła do niego. Wymacała mu pakiet medyczny na nodze i zerwała. Widziałam z daleka, jak odrzuca jego karabin i zakłada facetowi opaskę na udo. Zaciągnęła go pod najbliższą nierówność terenu. Jak to zrobiła? Gość musiał jej pomagać. Tam powinna założyć mu opatrunek. Podbiegł do nich łącznik, by ocenić efekt i dać im znak, żeby usunęli się z toru. Byłam gotowa na swoją kolej.

Mój pozorant wylądował na siatce. Odpadł z liny przede mną. Wylądowałam kawałek od niego i szybko się podczołgałam. Cholera, strzał w klatkę. Centralnie. Mundur na piersi miał czerwony od krwi – chwyciłam za jego dwie części i szarpnęłam. Guziki wystrzeliły w górę. Zobaczyłam dziurę w naklejonym tam silikonie, imitującym ludzką tkankę. Nie było kogo ratować. Rzuciłam okiem na wskaźnik danych medycznych na przedramieniu konającego. Tak jak się spodziewałam: gwałtowny zanik funkcji życiowych. Musiałam momentalnie podjąć decyzję. Ostrzał. Jeśli zostanę tu dłużej, na siatce zaraz będą leżeć nie jeden, a dwa trupy. Przeturlałam się w bok, byle zejść z linii strzału, i miękko padłam na ziemię. Wykorzystując najbliższą nierówność terenu, obeszałam ostrzeliwany obszar i ruszyłam biegiem do następnej przeszkody. Czy dobrze zrobiłam? Czy powinnam człowieka reanimować? Walczyć o jego życie do końca? Robić masaż serca na rozerwanej komorze? Utkwiły mi w głowie słowa Wernickiego: „W ratownictwie taktycznym najważniejsze jest zadanie bojowe”. Ale przecież nie byłam żołnierzem. Dobiegłam do mety, niepewna reakcji nadzorującej nas ekipy.

– Dobra decyzja, Chwała. – Wernicki poklepał mnie po ramieniu. – Gdybyś tam została, byłyby dwa trupy, nie jeden. – Siedział w mojej głowie, normalnie mój klon! – Jakbyś mu jeszcze odłamała nieśmiertelnik, byłoby wręcz idealnie.

– Musiałam myśleć w pierwszej kolejności o sobie, o ocenie sytuacji, a nie identyfikacji umarlaka. Powinnam była mu jeszcze sprawdzić puls.

– Widziałaś żółto-zieloną kontrolkę w dolnym rogu?

– Widziałam.

– Czyli wskaźniki działały. Zachowałaś się jak żołnierz.

– Z tym nieśmiertelnikiem pan żartował?

– Bynajmniej.

– Nie daj się nabrać, dziewczyno – włączył się krępy podoficer ostrzyżony na zapałkę. – To taki czarny humor naszego sierżanta. Było dobrze.

– Ale pompki cię nie miną – rzucił Wernicki i skierował się do następnego kursanta.

Uspokoiliam oddech i podeszłam do Roksany. Razem przeszliśmy do następnego sektora, gdzie zebrali się uczniowie, którzy zaliczyli już wszystkie ćwiczenia. Przyglądałyśmy się z daleka, jak radzą sobie nasze koleżanki, a było z tym różnie. Niektóre nie wyszły poza etap pustego toru. Mimo że zaliczyłam wszystkie ćwiczenia, na koniec trafiłam do grupy maruderów. Sto pompek okazało się wyzwaniem. Przecież nie byłam jakimś pieprzonym terminatorem! Musiałam je robić na raty. I kto mnie pilnował? Moja nowa miłość: Paweł.

– Masz przekichane – wydyszałam, kiedy podniosłam się z kolan i otrzepałam spodnie z mokrych liści.

– Chwała, nie wymiękaj. Sierżant właśnie przesłał mi wyniki. Nie spotykacie się w poniedziałek, ale to już chyba wiesz. Za to Marzeny i Aśki nie ominie ta przyjemność. Roksana wypadła lepiej nawet od niektórych moich chłopaków. Jakby miała już za sobą szkolenie taktyczne.

– Może miała. Jutro idziesz ze mną do niej na imprezę.

– Nie ma mowy.

Zmarszczył brwi, wyglądał cholernie męsko. Paweł Grodziński urósł

dzisiaj w moich oczach. Pokazał, że coś potrafi, a nie tylko szefuje grupie małolatów.

– Zrobisz to dla mnie.

Męski czy niemęski, nie zamierzałam facetowi ustąpić.

– Już przeprosiłem ją dla ciebie. Wystarczy. Chodźmy, bo nam odjadą.

– Nie odjadą, bo sierżant oprawca musi się wyżyć na reszcie niepokornych.

Mirek należał do tej grupy. Zdolności analityczne orłowi intelektu nie pomogły, kiedy było trzeba latać z atrapą broni i traktować kolegów jak pojękujące ochłapy mięsa.

Podeszłam do miejsca, gdzie zrzuciliśmy bety i odszukałam swój plecak. Wyciągnęłam z niego termos i odkręciłam. Para buchnęła mi w twarz. W świetle lampy połyskiwał ciemnobrązowy płyn. Nalałam do kubka gorącej czekolady.

– Tobie się nie należy – warknęłam na Pawła, zła, że mi nie ustąpił i że nie postawiłam na swoim. – Idę do Roksany. Przynajmniej ona wyszła z tych zajęć z godnością. Jak widać, jej brat, banderowiec, skutecznie ją przeczołgał jeszcze na Ukrainie.

– No już dobrze. – Objął mnie ramieniem. – Pójdę z tobą na tę imprezę.

Udało się, obiekt zmiękł.

– Ale wiesz, że nie będzie mi łatwo. Szczególnie trzymać język na wodzy przy jej bracie.

– Odizolujemy was od siebie. – Byłam tak zadowolona z obrotu sprawy, że darowałam Pawłowi nawet nadgorliwość w pilnowaniu mnie przy pompkach. – W końcu to nie urodziny Walery, tylko Roksany – dodałam i podałam mu kubek.

– Nie przepadam za czekoladą. Wolę czarną kawę.

– Kawa ma tyle cukrów prostych, co kot napłakał. Trzeba było się jej napić przed tym cholernym biegiem z przeszkodami.

– Cukry proste – i wzorowe pompki. – Paweł pokręcił głową. – Chodzisz na siłownię?

– Ciekawe kiedy?

– Coś mi ściemniasz. Masz trzeci wynik w grupie, po mnie i po Kubie.

Albo jesteś jakąś fanatyczką fitnessu, albo wyczynowo trenujesz pięciobój.

– Jakbyś zgadł. Wczoraj woziałam się na jednej złośliwej kobyle. Ale żebym miała tylko takie zmartwienia! Wszyscy wokół ostatnio mi wmawiają, że mam zwidy.

– Czyli?

– Problem w tym, że nawet z tobą nie mogę się tym podzielić. Mam do wykonania pewną robótkę. Mirek mi pomoże, już nad tym pracuje.

– Dobra, powiesz mi, o co chodzi, kiedy będziesz gotowa. Ale za to, że pójde na imprezę do Roksany, ty pójdziesz ze mną na moją.

– Tę ze strzelbami i kuszami? Myślałam, że jest odwołana.

– Plany uległy zmianie. – Napił się czekolady. – Ale to ohydne!

Rozdział 20

Odkrycie

Nie mogłam uwierzyć własnym oczom. To chyba żart? Na wyświetlaczu połyskiwały żółte literki: „Nie pójdę z Tobą na imprezę. Ważne sprawy. Przepraszam. Paweł”. Palant odwołał spotkanie! I to w jaki sposób! Nie połączył się ze mną, nie wytłumaczył, tylko wysłał krótką wiadomość. Dał do zrozumienia, że jest coś ważniejszego ode mnie. I nie raczył powiedzieć, o co chodzi. Odegrał się na mnie za to, że na Pasterniku nie zdradziłam mu swojej tajemnicy? Co za gówniarz! Asłan nigdy by mi nie wyciął podobnego numeru.

Zerknęłam na Roksanę, siedzącą obok mnie na parapecie.

– Co się stało? – spytała. Musiałam mieć nietęgą minę.

– Nic takiego – skłamałam. Nie przyznam się jej, że facet mnie wystawił. Mój pierwszy chłopak, pierwsza impreza, na której mieliśmy być razem, i taka skucha! – Muszę ponegocjować z siostrą – improwizowałam. – Lidia chce mnie widzieć w domu zaraz po lekcjach.

– Nie żartuj! Nie odwołałam urodzin po grypie i po tym koszmarnym poligonie, a teraz nie będzie na nich mojej najlepszej przyjaciółki?

– Fajnie, że uważasz mnie za najlepszą przyjaciółkę. Proszę, daj mi chwilę. Pogadam z siostrą przez fona.

– Ale migiem, bo Sadowska będzie się rzucać. Nie znosi, kiedy uczniowie się spóźniają. Tylko Pawłowi i jego przydupasom udało się dzisiaj wcześniej zwolnić.

Paweł! Gdyby tutaj był, udusiłabym go. Oddaliłam się od Roksany, jeszcze dla pewności zeszłam na pierwsze piętro i zaszyłam się w toalecie. Magda przesłała mi swój numer, połączyłam się z nią przez fonię. Nie chciałam, żeby matka Pawła widziała moją minę.

– Dzień dobry, tutaj Gloria. Jest Paweł? – spytałam z głupia frant. –

Wysypało mi bazę kontaktów, mam tylko ostatnio zapisane numery.

Naiwna wymówka, ale może chwyci?

– A, cześć, kochana. Niestety, pojechał gdzieś z kolegami. Wiesz, tymi w czarnych ubrankach. Poczekaj, prześlę ci jego numer.

Mam oszusta! Woli kolegów ode mnie! Podziękowałam Magdzie za przesłany numer i połączyłam się z Igorem.

– Cześć. Mam problem.

– Chłopak cię wystawił?

– Skąd wiesz?!

Normalnie telepata! Albo mój głosik był tak pełen żalu.

– Jestem jasnowidzem.

– Nie nabijaj się ze mnie! I tak mam już wystarczającego doła.

– Dobra, mała. Akurat jestem na Kazimierzu. Skontaktuję się z Tankiem i przyjedziemy po ciebie. Miło mi będzie poznać twoje koleżanki.

– Nie wątpię, ale wszystkie będą ze swoimi chłopakami. Tylko ja sama jak palec!

Pociągnęłam nosem. Zrobiło mi się strasznie smutno. Roztkliwiać się po wczorajszej szkole przetrwania na poligonie? Powinnam wziąć się w garść.

– Przecież powiedziałem, że będę.

Rozłączyłam się z Igorem i pobiegłam do klasy. Zdążyłam w ostatniej chwili. Zapadłam się w fotel i wpięłam do systemu. Przeżywałam swoją porażkę. Nie mogłam się skupić. Jak Paweł mógł mi to zrobić? Odstawiłam się, wybrałam z szafy najfajniejsze ciuchy, w których – jak wiedziałam – wyglądałam seksownie, żeby mój facet się mnie nie wstydził. I po co to wszystko? Mogłam się ubrać w swoją ulubioną flanelową koszulę i wytarte dżinsy, pasujące do wygodnych sportowych butów.

Roksana rządziła, przedstawiła nam starożytny Rzym i hordy barbarzyńców szturmujących bramy miasta. Ale ja miałam wszystko gdzieś, a wirtualne światy Mirka i jego kolegów już wszystkim się znudziły. Woleli hakować systemy. Wysłałam mu informację na prywatny kanał.

„Złamałem kody” – napisał. Przynajmniej jedna rzecz mi się udała. –

„Podrzucę ci programik po lekcji”.

„Wielkie dzięki” – odpisałam.

„Zawsze do usług. Ale nie zapominaj o kredycie. Mam u ciebie okręt gigant”.

„Możesz go sobie zhakować z mojej bazy”.

„To byłaby kradzież wartości intelektualnej”.

Dobre sobie! I mówi to haker!

Po lekcjach musiałam poczekać na Zuradowa. Brat Roksany wziął do samochodu Marzenę, Aśkę i Kamila. Nawet bym się zmieściła, ale bałam się, że kolejny facet mnie dzisiaj wystawi. Wygospodarowałam akurat trochę czasu, aby dopiąć transakcję z Mirkiem. Pokazał mi, jak poruszać się po programie, który wgrał do mojego tabletu. Dodał do tego czyste identyfikatory na płytkach.

– Jeśli będziesz mieć problem, wyślij mi kod. Pomogę ci zdalnie.

– Co ja bym bez ciebie zrobiła!

– Do usług. To było nawet ciekawe, z takim systemem spotkałem się wcześniej może dwa razy. To jakieś cholerstwo z MON-u.

– MON-u?

– Ministerstwa Obrony Narodowej.

– O, cholera!

– Dlatego ostrożnie, Art. Jak nas namierzą, będziemy mieć przekichane. Nie wiem, skąd skopiowałaś te dane, ale założyłem, że nie jesteś kompletną idiotką.

– Spokojnie, to prywatne zabezpieczenia. Cywilne.

– Jesteś tego do końca pewna? Dobra, pędzę. Przerzuć sobie strony rządowe, a jak znajdziesz podobne oznaczenia, nie wchodź tam, zanim się ze mną nie skontaktujesz.

– Tak zrobię.

– No to czótko.

Co ja robię?! – przemknęło mi przez głowę. Dostrzegłam Aśłana u wylotu korytarza. Wyłączyłam tablet, wsadziłam kody do plastikowej osłonki

i wsunęłam je pod pasek bransolety.

– I jak ci wczoraj poszło na Pasterniku? – spytał, gdy do niego podbiegłam.

– Trzeci wynik w grupie. Ale i tak nie wymigałam się przed pompkami.

– Przecież nie masz z tym problemu.

– Sierżant Wernicki zaserwował mi pełną setkę, a Grodziński mnie pilnował. Robiłam je na raty i teraz napierdzielają mnie ramiona i mięśnie klaty.

– Coś ty tam zmalowała?

– Małe oszustwo. Tylko nie mów – uprzedziłam jego reakcję – że nie popłaca.

Dyskretnie pogładziłam wypchany plecak. Miałam tam zwiniętą linę z karabinkiem. Wyszabrowałam ją od sierżanta – taka mała pożyczka, potwierdzona wirtualnym kwitem.

– Musiałam szybko się zdecydować, czy porzucić żołnierza, któremu pocisk wyrwał dziurę w klatce piersiowej – zrobiłam zgrabną woltę, unikając wykładu w stylu Tanka instruktora: „Im więcej potu na treningach, tym mniej obrażeń na ringu”.

W samochodzie usadowiłam się z tyłu, na samym środku, żeby dobrze widzieć przez przednią szybę. Asłan z Igorem wymienili się uwagami o moich dokonaniach na Pasterniku. Nie ma to jak totalna inwigilacja.

– Za bardzo ją oszczędzałeś – mówił Lediew. – Chyba będziecie musieli dojechać do tej pełnej setki na treningach.

– Lepiej powiedz, skąd u niej taka skłonność do kombinacji?

– No dobra, przyznaję, popełniłem błąd. Nie powinienem jej zabierać do kumpla.

– Powinieneś! – zaprotestowałam. – Miała mnie ominąć okazja poznania tak ciekawego faceta? Artur znał ojca Pawła.

Za późno ugryzłam się w język. Asłan od razu to wykorzystał.

– Chodzi o chłopaka, który miał być z tobą na tej imprezie?

– Nie dręcz jej już – poparł mnie Igor. – Damy radę, mała. Twoje koleżanki mnie nie znają, zrobisz na nich wrażenie.

– Próżność – mruknął Asłan. – Jak to u bladych twarzy.

Rozładował tym atmosferę, wywołując uśmiechy na naszych twarzach.

Poruszaliśmy się północną obwodnicą. Kiedy ją opuściliśmy, wystarczyło kilka minut i wjechaliśmy w boczną uliczkę, stał tam dom przy domu – dwupiętrowa zabudowa segmentowa. Większość miała od frontu zabudowane balkony o półmatowych szybach. Domy wyglądały jak różnobarwne klocki lego.

– Legoland – zauważył Igor. Ciekawe, że miał podobne odczucie.

Tradycyjnie pojawił się problem z zaparkowaniem samochodu.

– Wsiądźcie. – Asłan zatrzymał się przy domu pokrytym kremowym tynkiem, z numerem 16 przy drzwiach. – Jeśli uda mi się znaleźć wolne miejsce kawałek stąd, najwyżej trochę się przejdę. I tak odwiedzam kogoś innego. A podejrzewam, że nasza kombinatorka – spojrzał na mnie wymownie – nie chce, by jej koleżanki kojarzyły mnie z Igorem.

Drzwi otworzył nam Walera. Gdybym przyjechała z Pawłem, chłopak stanąłby ze zniechęconym „banderowcem” oko w oko. Przedstawiłam Lediewa bratu Roksany.

– Zaprowadzę was do ogrodu.

– Zaraz będzie tutaj Asłan Zuradow – poinformował go Igor.

Nie zabiłam blondyna wzrokiem za to, że mnie wsypał przed koleżankami, bo staliśmy w holu tylko z bratem Roksany.

– Dziadek nie może się już na niego doczekać. Informacja, którą mu przekazałaś – tu spojrzał na mnie – zrobiła na nim ogromne wrażenie. Nie mogł uwierzyć, że jest prawdziwa. Teraz wszystko sobie wyjaśnią.

Oby, pomyślałam. Bo jeśli to, co wiedziałam o Asłanie, nie było wymysłem schizofrenika, niewielu ludzi dałoby temu wiarę. No, może nastolatka o wybujałej wyobraźni.

Zeszliśmy do dużej piwnicy wyłożonej niebiesko-brązowymi kafelkami, a stamtąd przeszliśmy do ogrodu, który znajdował się na tyłach domu. Był to długi pas ziemi o szerokości segmentu, oddzielony od sąsiadów żywopłotem, a za ogrodzeniem opadający niemal pionowo w dół. Nigdy nie wpadłabym na to, że za linią domów jest tyle zieleni. Walera zaprowadził nas do ciemnooliwkowej altanki, w której wokół stołu siedziała Roksana

z gośćmi. Przywitaliśmy się i przedstawili. Połowy osób nie kojarzyłam. Poznałam Piotra, jej chłopaka. Wszystkie dziewczyny były ze swoimi facetami. Pochwyciłam zdziwione spojrzenia Aśki i Marzeny. Spodziewały się, że zobaczą Pawła.

– Proszę. – Piotr podał nam kubki z brązowej kamionki. Włączyła mi się lampka alarmowa.

– To miód? – Czułam miłe ciepło rozchodzące się po dłoniach.

– Blisko, to grzane piwo. Chcesz do niego soku z malin?

W odpowiedzi skinęłam głową. Trudno, w towarzystwie Igora stanę się alkoholiczką. Gdybym wpakowała Asłana w rolę chłopaka, podziękowałby za poczęstunek, a mnie nie wypadłoby postąpić inaczej.

Piwo miało mocny korzenny smak i pachniało malinami – smakowało tak, jak się spodziewałam, i w jednej chwili rozgrzało mnie od wewnątrz. „Będziecie tam siedzieć przy coca-coli” – przypomniałam sobie słowa Lediewa, który spoglądał na mnie rozbawiony.

– Chodźmy, usiądziemy przy ognisku – zaproponowała Roksana. – Dyszaki powinny być już gotowe. Walera sprawił nam kociołek i dokładał do ognia.

– Masz spoko brata – rzuciła Aśka.

Marzena prowadziła się pod rękę z Kamilem.

– A co z Pawłem? – spytała, korzystając z tego, że zrobiło się małe zamieszanie: wszyscy przenosili swoje krzesła. – Założę się, że cię wystawił – szepnęła konfidencjonalnie. – Jak to nasz Pawełek.

– Nie znosisz go.

– Mam za co. Znajdował czas tylko dla swojej czarnej bandy, a gdy się z nimi nie włóczył, przesiadywał wieczorami w garażu i grzebał przy starych gratach.

– Zamieniłam go na bardziej odjazdowy model.

– No, niezłe ciacho ten Igor. Gdzie ty go znalazłaś?

– Trenuje boks.

– Wielkie dzięki, po wczorajszym wycisku ledwie trzymam się na nogach. Mało brakowało, a bym się rozchorowała. Ten Wernicki to sadysta, a ty sobie znalazłaś podobnego porąbanego dręczyciela.

– Ale przynajmniej bez stękania macham pompki.

– Też mi korzyść – prychnęła pogardliwie. – Jeden składa graty, drugi mierzy ci czas stoperem. W łóżku też będzie mierzyć?

– Chodźcie – pogoniła nas Roksana. Jej mama Natalia właśnie postawiła na stole sałatki. Impreza była pod pełną kontrolą, co dotyczyło również ilości alkoholu. Tylko niektórzy z gości, ci z liceum plastycznego, nie byli pełnoletni.

Marzenie zrzędała mina. Kiedy pochłanialiśmy kolejne porcje gruli, sałatek i ciasta, mój towarzysz sypał żartami, a gdy Roksana przyniosła sprzęt muzyczny, impreza zmieniła się w popisy wokalne. Igor zaśpiewał dumkę, przygrywając sobie na klasycznej gitarze, jakby miał w ręku bandurę. Wtórowały mu Marina i Olga, które były Ukrainkami. Może to i dobrze, że nie przyszedłam tutaj z Pawłem. Wątpiłam, żeby potrafił się zachować tak jak Igor i by znalazł wspólny język z całym towarzystwem. Marzena nadal była na niego cięta i nie żałowała mu drobnych złośliwości, a Walera prowokowałby samą swoją obecnością.

Nadszedł etap, którego obawiałam się najbardziej: obściskiwanie się w parach, całowanie i patrzenie maślanym wzrokiem na siebie albo w ogień. Igor mnie objął, nie odsunęłam go dyskretnie, bo było mi zimno w plecy, poza tym Marzena domyśliłaby się, że coś z nami jest nie tak. Ale kiedy zaczął wodzić ustami po mojej szyi, już przegiął. Kłamczuszka, jak nazwał mnie Asłan, sama się w to wpakowała – w końcu mieliśmy z Igorem grać szczęśliwą parkę. I to właśnie Zuradow wybawił mnie z tej kabały. Przesłał Lediewowi wiadomość, żebyśmy się zbierali. Dziadek Roksany był zmęczony i Asłan nie chciał przedłużać spotkania.

– Jak ci poszło? – spytałam, kiedy pożegnani przez gospodarzy siedzieliśmy w samochodzie.

– To był ciężki wieczór zarówno dla Oleksija, jak i dla mnie.

Nic więcej nie powiedział. Skupił się na kierowaniu samochodem, akurat na tej części trasy, gdzie wystarczyło zdać się na komputer.

Całą drogę przejechaliśmy w milczeniu. Igor pierwszy wysiadł z sedana i otworzył mi drzwi.

– Zaczekaj chwilę – poprosiłam Asłana i też wysiadłam. – Dziękuję za dzisiaj. – Stałam na palcach i pocałowałam Igora w policzek.

– Nie idziesz na górę?

– Muszę z nim pogadać.

Skinął głową, dając mi znać, że rozmowa dobrze Asłanowi zrobi, i skierował się do domu. Usiadłam na przednim siedzeniu i zamknęłam za sobą drzwi.

– To on? – spytałam.

– Oleksij walczył w Groznych jako ochotnik z UNA-UNSO, a potem w górach. Dwadzieścia lat później spłacaliśmy z Memedem dług w Donbasie.

– Walcząc ze swoimi.

– Ten, kto sprzedał własny kraj, nie jest „swoj”. Jest nikim.

– Ciekawe, co na to Igor, jego ojciec i dziadek.

– Wśród Rosjan są dobrzy ludzie, nawet w wojsku, ale jest ich niewiele.

– Nie chciałeś mówić o Oleksiju przy Lediewie?

– Nie musiałem. Igor jest spostrzegawczy. To niegłupi facet.

– I wie o tobie więcej ode mnie – jęknęłam z wyrzutem.

– Gloria, nie zachowuj się jak dzieciak.

– Masz rację – odrzekłam. – Jestem samolubna i zazdrosna. Moim jedynym problemem jest, by pójść na imprezę z dobrze prezentującym się chłopakiem i pokazać mu, że nie jestem ostatnią ofertą.

– Bardzo chciałbym – ujął moją dłoń w swoje, tak że poczułam ich ciepło – byś miała tylko takie problemy. I zrobię wszystko, żebyś nie miała większych. Niepotrzebnie powiedziałem ci o Oleksiju.

– Wyciągnęłabym to od Roksany.

– Niekoniecznie. Pewne informacje nie powinny trafić do niepowołanych uszu.

– Chyba dobrze, że Paweł wystawił mnie do wiatru. Niezbyt go widzę w tym towarzystwie. Nawet ten w połowie Rosjanin lepiej do niego pasuje.

– Na Igorze możesz polegać.

– Na tobie również.

Asłan spojrzał na deskę rozdzielczą.

– Przepraszam cię, ale muszę już jechać. Mam coś do zrobienia.

– W nocy? Tak, wiem – uprzedziłam jego odpowiedź. – Dzień i noc nadstawiasz karku, żebym ja nie miała większych problemów. W takim razie co z sierżantem Wernickim? Przed nim też mnie osłonisz? Zapowiedział nam, że na następnym szkoleniu będziemy biegać z atrapami broni. W Paryżu był niezły sajgon, ale tutaj wychowuje się dzieciaki na żołnierzy!

– Francuzi nie mają agresywnego sąsiada przy samej granicy.

– Wystarczy, że mają go w granicach. Marsylia jest już stracona. Igor może ci coś o tym powiedzieć. Ci martwi w metrze już nie dadzą rady.

– Nie wracajmy do tego. Stało się, koniec. Wyrzuć to z głowy.

– Myślisz, że to takie łatwe?

– Wiem, że nie. Ale są gorsze rzeczy, których się nie zapomina.

Rozmowa zmierzała we właściwym kierunku. Jeszcze chwila i Asłan się przed mną odsłoni.

– Gloria, naprawdę muszę już jechać. Jeśli nie chcesz być teraz sama, zajrzyj do Igora.

– Odbijacie mnie sobie jak piłeczkę! Wolę być z siostrą.

Wysiadłam, trzaskając drzwiami.

Asłan odjechał. Co on sobie o mnie pomyślał? Że znowu zachowałam się jak małolata? Ale byłam już tak blisko! Powiedział mi o Oleksiju, którego pewnie przez lata szukało FSB. Rodzina Roksany musiała być pod ochroną jakieś rządowej agendy. Bo czy uchodźców byłoby stać na segment w Nowej Hucie?

Poszłam do siebie i zanim się rozebrałam, odtworzyłam obraz z minikamery, którą zamontowałam przy oknie, z okiem wycelowanym na ganek. Zobaczyłam wychodzących z domu Lidię i Darka, którzy wsiedli do toyoty i odjechali. W budynku byłam tylko ja i Igor. Zwalczyłam ochotę, by do niego pójść. Mieliśmy idealną okazję, żeby skonsumować naszą znajomość. Po tym, jak Paweł mnie potraktował, należało mi się coś od życia. Ale czekała mnie robota do wykonania. Dość odwlekania. Zgromadziłam już wszystko, co było mi potrzebne. Linę trzymałam w plecaku, odkąd wróciłam z poligonu. Położyłam na szafce tablet i wyciągnęłam ze schowka pod opaską płytki do kodów. Zrzuciłam odlotowe ciuchy i sięgnęłam po bardziej

praktyczne. Bieliznę termoaktywną, która idealnie przylega do ciała, spodnie niekępujące ruchów, bluzę i sportową kurtkę z licznymi kieszeniami – wszystko w szaroburych barwach. W łazience włożyłam wygodne buty na elastycznej podeszwie. Spojrzałam w lustro. Gdyby nie długie włosy, które ujarzmiłam w kucyk, i europejskie rysy twarzy, wyglądałabym jak Bruce Lee z Wejścia smoka. Brakowało mi tylko nunczako. Plecak nałożę, gdy przygotuję dane do włamu. Bruce nie miał podobnych problemów. Ja musiałam oszukać elektroniczne czujniki.

Nie obyło się bez pomocy Mirka. Ryzykowaliśmy z kodami, przyjmując, że do wszystkich pasował ten sam rodzaj klucza. Będę działać ad hoc, wykorzystując też tak zwaną sieć. Jeśli zawiedzie, Mirek będzie szukać sieci zastępczej. Liczyłam się z tym, że zostaniemy nakryci. Istotne było, żeby nie stało się to za wcześnie. Ale najpierw czekał mnie spory wysiłek fizyczny. Założyłam jeszcze stare rękawiczki bez palców, które znalazłam w szkolnej siłowni – właściciel się po nie zgłosił. Zostawiłam na drzwiach mojego pokoju holo „Nie przeszkadzać” i wymknęłam się z domu.

Nie musieliśmy z Mirkiem niczego kombinować, bo alarm nie był włączony. Miałam wrócić późno z Igorem i – przynajmniej teoretycznie – jeszcze nie kłaść się spać, toteż nikt go nie uaktywnił. Wystarczały czujki przy bramie i zewnętrznym ogrodzeniu. Przesłałam Mirkowi informację, żeby wyciął obraz, jak opuszczam dom – na wszelki wypadek, gdyby ktoś zrobił to samo co ja i sprawdzał, kto wyszedł w nocy.

Starałam się przemieszczać w cieniu, dlatego musiałam nadłożyć drogi. Skradałam się skrajem pastwiska, korzystając z osłony krzaków. W plecaku miałam monokular termalno-noktowizyjny, pożyczony od Roksany. Na razie nie był mi potrzebny. Dotarłam do skał, pokrywały je zakorzenione w szczelinach krzewy i wysoka trawa, nigdy nietknięta nożami kosiarki. Pod podeszwami czułam kamienie. Musiałam uważać, żeby się nie potknąć, nie zwichnąć kostki. Zwolniłam. Szłam pochylona, wyprostowana sylwetka kontrastowałaby z tłem jasnej wapiennej ściany. Wątpiłam, by ktoś obserwował obrzeża pastwiska, ale lepiej być przezornym. Podchody zajęły mi dobre pół godziny. Zatrzymałam się przy ogrodzeniu. Jeśli był tutaj alarm, moja wyprawa się skończy. Uklęknęłam i osłoniłam ramieniem nadgarstek, żeby nie zdradzić się blaskiem ciekłokrystalicznego wyświetlacza. Wysłałam zapytanie do Mirka.

Program szpiegowski nie znalazł śladu innej sieci, ale czujniki mogły być podłączone bezpośrednio pod ogrodzenie. Wyciągnęłam zwiniętą linę z plecaka i przewiesiłam przez ramię, karabinek wsadziłam do kieszeni i ubezpieczyłam rzepem. Wolałam nie zaczepić nim o jakąś gałąź, gdy będę się wdrapywać na drzewo. Odpowiednie już dawno wypatrzyłam przez lornetkę, rosło jakiś metr od ogrodzenia. Kikuty gałęzi umożliwiały wspinaczkę, przynajmniej teoretycznie. Nadszedł czas, abym sprawdziła to w praktyce. Bałam się, że po tych cholernych wczorajszych stu pompkach mięśnie odmówią mi posłuszeństwa w najbardziej nieodpowiednim momencie. Załamanie mięśniowe – pięknie brzmi, pod warunkiem że dopada cię na dobrze wyposażonej siłowni.

Podskoczyłam i złapałam za konar. Teraz tylko taki drobiazg: podciągnąć na rękach sześćdziesiąt kilo plus plecak i lekką linę. Pomogłam sobie, zapierając się nogami o pień. Trafiłam stopami na dziuplę w drzewie. Chwyciłam gałąź nad sobą, kucając na tej poniżej. Rozejrzałam się. Nic nie poruszało się po oświetlonym terenie. Co z tego, skoro ktoś mógł go obserwować? Będę mieć problem z dotarciem do budynku, chyba że czołganiem pokonam cały dystans. I to pod warunkiem, że teren nie jest monitorowany z góry. Tak się nieszczęśliwie składało, że właśnie w takich miejscach montowano kamery. Ale co ryzykowałam? Opierdziel od Lidii, kiedy mnie tam złapią? A więc czołganie. Poczułam wdzięczność do starszego aspiranta Mostowskiego, że przed wyjazdem na Pasternik przeciwiczył je z nami na sali gimnastycznej. Ale sala to sala, sterylne warunki. Tutaj nie było miejsca na śmiechy po hasle „Chwała, tyłek niżej”. Za to rosły pokrzywy, zalegały kłujące gałęzie, sosnowe igły, błoto i kamienie.

Wspięłam się jeszcze wyżej i przywarłam do grubej gałęzi, wyrastającej na drugą stronę ogrodzenia. Drzewo miało jeszcze sporo liści, jeśli nie będę wykonywać gwałtownych ruchów, na ich tle stanę się niewidzialna. Oderwałam rzep i wyciągnęłam z kieszeni karabinek. Oplotłam liną gałąź i zapięłam go – wszystko robiłam jedną ręką. Wolałam drugą trzymać się gałęzi, żeby się z niej nie zsunąć, dopóki nie umocuję solidnie liny.

Jeszcze raz sprawdziłam teren. Pusto. Spuściłam koniec liny na ziemię. Okręciłam się wokół gałęzi. Teraz wisiałam pod nią, jak obiad ludożerców przywiązana za ręce i nogi do ogromnej drewnianej wykałaczkii. Rozplotłam nogi i ostrożnie je opuściłam. Ruchami jak wąż na haju nawinęłam na łydkę

linę, przyciskając do niej stopy. Złapałam górną część liny, tak by zetknęła się tylko z syntetyczną skórą rękawiczki. Nie zamierzałam rozorać sobie dłoni.

Opuściłam się powoli – grzmotnięcie o ziemię przyciągnęłoby uwagę, w dodatku mogło się zakończyć bolesną kontuzją. Zostawiłam linę zwisającą z gałęzi. Była w maskującym kolorze, nie powinna się rzucać w oczy. Sprawę częściowo załatwiał bez, który rósł przy ogrodzeniu. Owinęłam o gałąź koniec liny, resztę zamaskowałam, żeby nie była widoczna, przynajmniej na wysokości człowieka. Teraz czekało mnie czołganko przez płózający się nad ziemią jałowiec. Ile igieł przy tym wejdzie mi w tyłek?! Nie pękne, twardym trzeba być, nie miękkim. Ręka, noga, powoli, ale ciągle. Zbierałam cały syf, który był na ziemi, łącznie z nią samą. Ubranie zrobiło się wilgotne, skóra kleiła mi się od potu. Pociłam się bardziej z nerwów niż od fizycznego wysiłku. Ostatnie kilka metrów pokonałam skokami. Przywarłam do ściany budynku. Skończyła się część siłowa, zaczął etap techniki.

Boczne drzwi mogły prowadzić do pomieszczeń gospodarczych: siłowni, kotłowni czy niedużego warsztatu. Grunt, żeby dostać się do środka. Nawet nie dotknęłam klamki. Wyciągnęłam płytkę z kodami i przyłożyłam do klapki przy framudze. Podwinęłam rękaw, wydobywała się spod niego szmaragdowa mgiełka. Mirek dawał mi znać, że klucz się zgadza. Oj, sporo będzie mnie kosztować ta noc. Usłyszałam cichy sygnał, dwukrotne piknięcie. Połączenie zostało nawiązane. Pchnęłam drzwi. Ustąpiły. Schowałam płytkę, mogła się jeszcze przydać. Istniało duże prawdopodobieństwo, że grube ściany nie przepuszczą sygnału. Coś mi mówiło, że pod ziemią ciągnie się sieć tuneli, które zagłębiają się w wapienną skałę.

Wyciągnęłam z plecaka monokular i założyłam uprząż na głowę. Zajrzałam przez uchylone drzwi. Moje domysły się potwierdziły, pomieszczenie wyglądało na kotłownię. Na jego drugim końcu dostrzegłam następne drzwi. Wsunęłam się do środka, ostrożnie zamknęłam te, przez które weszłam, i ruszyłam wzdłuż ściany. Widziałam świat w odcieniach szarości i zieleni oraz nakładającą się na ten obraz żółto-pomarańczową plamę, która wypuszczała długą mackę pełznącą po ścianie tuż pod sufitem. Miałam wrażenie, że oglądam film o seryjnym mordercy: dzielna policjantka wchodzi do mordowni ukrytej w domu na odludziu. Tyle że nie trzymałam w ręku odbezpieczonej czterdziestki. Chronił mnie mój urok osobisty.

Żeby otworzyć następne drzwi, ponownie musiałam użyć kodów. Już nie

potrzebowałam Mirka, miałam skopiowaną kombinację. Zerwałam z nim łączność, aby chłopaka nie narażać. Powinien zdążyć usunąć ślady swojej bytności w obcej sieci. Tylko ja poniosę odpowiedzialność za ten wypad. Zeszłam po schodach, teraz posuwałam się korytarzem. Nie otwierałam kolejnych drzwi. Zbyt duże ryzyko, że na kogoś się natknę. Podążałam w kierunku, w którym, jak mi się wydawało, były skały. Synchronizowałam system monokulara termalno-noktowizyjnego z tabletem na nadgarstku, wykorzystując połączenie o zasięgu niecałego metra.

Na ekranie nałożyłam na siebie dwie siatki. Tę, którą stworzyłam, gdy obserwowałam okolicę, i nową, którą na bieżąco wczytywałam. Nie zamierzałam się pogubić w płataninie podziemnych tuneli. Monokular ważył niecałe trzysta gramów. Pełny profesjonalizm. Jak uszkodzę tak drogi sprzęt, nie wypłacę się Walerze do końca życia, przynajmniej studenckiego, nie mówiąc o tym, jakie kłopoty będzie mieć Roksana. Podejrzewałam, że wzięła go bez wiedzy brata.

Kolejne schody, prowadzące w dół. Siatka z obrysem budynku na powierzchni wskazywała na to, że już dawno znalazłam się poza granicami jego nadziemnych murów. Tworzyłam nową mapę, byłam ponad dwa metry pod ziemią. Wzrastało niebezpieczeństwo, że zaraz ktoś mnie zatrzyma. Mogli już wiedzieć o mojej obecności, tylko jeszcze do mnie nie dotarli. Przyspieszyłam kroku. Nagle usłyszałam gwar rozmowy, znowu cisza, ale strażników zdradził odgłos kroków. W ostatniej chwili cofnęłam się w boczny korytarz. Serce podskoczyło mi do gardła. I ciągle tam tkwiło. Nie wytrzymałam. Puściłam się biegiem. Byłam dalej od przeszukujących podziemne chodniki. Już nie otaczały mnie betonowe ściany. Trafiłam w jakąś cholerną płataninę tuneli, w dodatku przez nieuwagę wyłączyłam zapis. Linie siatki zniknęły, kiedy schowałam się przed strażnikami. Przystanęłam. Rozejrzałam się. Drugi wylot tunelu... Cholera, a z którego przyszłam? Nie miałam co liczyć na pomoc z zewnątrz. Po pierwsze, Mirek się ze mną rozłączył, po drugie, wątpiłam, żeby miał tutaj zasięg. Wybrałam tunel na chybił trafił i ponownie uruchomiłam zapis drogi, którą się posuwam. Wykryją mnie przez sieć lokalną? Trudno. Miałam już dosyć zieleni i oranżowych plam. Ściągnęłam monokular i sięgnęłam do kieszeni po latarkę. Włączyłam ją. Za chwilę nie powinna mi być potrzebna. Dostrzegłam w oddali błękitne światło. Już nie dbałam o to, czy mnie złapią, miałam gdzieś, że mnie wykryli.

Jakaś kamera musiała zdradzić moją obecność. Instynkt mi podpowiadał, że dzieli mnie zaledwie kilka kroków od celu. Zaraz poznam tajemnicę ukrytą w podziemiach.

Gdy zbliżyłam się do źródła światła, zamarłam oszołomiona. Co to jest, do ciężkiej cholery?! Patrzył na mnie stwór, który pojawił się na hologramie w pokoju Igora, a wcześniej w samolocie. Niemożliwe! Mam zwidy? Winna jest moja wybujała wyobraźnia? Czy rodzinka i Aslan mieli rację – nie odróżniam fikcji od rzeczywistości? Z powrotem nałożyłam monokular. Urządzenia napakowanego zaawansowaną techniką nie da się oszukać.

On tam ciągle był!

Rozdział 21

Porwanie

Dziewczyna przyszła do niego, a Oril nie zmienił postaci. Po wyjściu z letargu wpadł w trans, dlatego nie zdążył stworzyć obrazu, który chciałaby zobaczyć. Jednak wolał nie przeistaczać się na jej oczach. To mogłoby wywołać jeszcze większy szok. Jakim ona go teraz widziała? Mięśnie ze stali, ogon bijący w pręty, pochylony pysk i jarzące się ślepia. Segmentowy pancerz pokrywający wrażliwe części ciała. Czy przypominał jej jakieś stworzenie żyjące kiedyś na ziemi? A jeśli tak, to jak dawno temu chodziło ono po tej planecie? Starał się postrzegać świat tak jak ona, wyczuć jej emocje, poznać myśli. Odbierać te same bodźce.

Nadal oszołomiona, stała przed kratą. Sięgnęła po jakiś przedmiot i przysłoniła nim swoją drobną twarz. Oril słyszał odgłos kroków dochodzący od strony tunelu, z którego wyszła. Zaraz zaczęła się zabawa w ujarzmianie bestii. Rykoszetujące kule będą się odbijały od jego pancerza. Ładunek elektryczny Oril przekieruje w stronę napastnika. Żeby uniknąć gwałtownej reakcji istot, które przepełniał strach o dziewczynę, cofnął się w głąb celi. Zwinął ciało w kulę najeżoną kostnymi wypustkami, osłonił się pancerzem. W ten sposób demonstrował brak agresji. Lecz jeśli ktoś to traktował jako objaw słabości, popełniał błąd. W postaci kuli Oril mógł wystrzelić z takim przyspieszeniem, że ludzie dostrzegliby jedynie białą smugę. Trojło gromadził energię.

Czuł wzrastający strach istoty, która zmierzała do jego legowiska. Ochrona zawiadomiła kobietę, że dziewczyna tu jest. Lidia i Gloria – Oril już poznał ich imiona. Starsza siostra bała się o swoją nierozważną podopieczną. Myślała o nim, że jest zbyt krótko w ośrodku, by przywyknąć do ludzi, i może zrobić Glorii krzywdę.

Lidia objęła siostrę. Nie krzyczała na nią. Odetchnęła z ulgą, że wszystko dobrze się skończyło. Z wyjątkiem jednego. Oril znał ten strach. Strach przed tym, że sekret, którego powiernikami stają się nieostrożni ludzie, przestaje być

sekretem, a wiedza o nim rozchodzi się dalej. Młodsza siostra teraz za dużo wiedziała. Według Lidii było to dla Glorii niebezpieczne. Trojło się z tym zgadzał. Instynkt podpowiadał mu, że niedługo wyjdzie ze schronienia, w którym Lidia ze swoimi strażnikami ukrywali go przed ludźmi.

Siostra nie robiła mi wymówek. Zbyt była przejęta tym, że mogło mi się coś stać. Odciągnęła mnie od stworzenia zamkniętego w klatce. Ale już się stało, dowiedziałam się o jego istnieniu. I miałam do Lidii dziesiątki pytań. Wyprowadziła mnie z budynku. Do domu podjechałyśmy półciężarówką, którą wielokrotnie widziałam, jak wjeżdżała na chroniony teren. Kiedy dostrzegli mnie strażnicy: gdy otwierałam drzwi kotłowni? Kiedy Mirek przestał mnie osłaniać? Nie miałam możliwości sprawdzenia, jakie jest rozmieszczenie kamer na ogrodzonym terenie, od którego miałam się trzymać z daleka, ale na pewno znajdowały się w miejscu, gdzie przetrzymywano niebezpieczne stworzenie. Im bliżej do niego podchodziłam, tym bardziej rosło prawdopodobieństwo wykrycia mojej obecności.

Weszłyśmy do domu i usiadłyśmy w kuchni. Dołączył do nas Darek. Szykowała się poważna rozmowa, ale na razie milczeliśmy. Opadły emocje, a teraz każde z nas zastanawiało się, jak zacząć. Lidia podniosła się z krzesła, podeszła do kuchenki i nastawiła wodę. Darek wpatrywał się w tablet na nadgarstku.

– Teren zabezpieczony – pierwszy zabrał głos. – Lidia zbyt przeżywa to, co się stało, dlatego to ja będę mówić. Nie posłuchałaś polecenia starszej siostry. Zignorowałaś je. On mógł cię nawet zabić!

– Postąpiłam lekkomyślnie. – Trudno się było nie zgodzić. – Moja wina. I przepraszam. Ale czy uważacie, że byliście wobec mnie całkiem w porządku? Asłan wiedział o tym stworzeniu?

– Nie wiedział.

Lidia zaczęła zalewać herbatę. Strumień wrzątku nie trafił idealnie w otwór czajnika, na blacie powstała mała kałuża. Drżała jej ręka.

– Przecież tam chodził, jak reszta.

– Miał się zająć zabezpieczeniami – odrzekł Darek. – Zamontować kamery

na zewnątrz. Właśnie były wymieniane, inaczej strażnik wykryłby cię, kiedy zesłaś z drzewa. Gdyby Asłan nie został właśnie wezwany gdzie indziej, zrobiłby to akurat wtedy, kiedy wybrałaś się na nocną wycieczkę.

– Ja już wcześniej widziałam tego stwora. I to kilka razy. A ten chłopak, który tak nagle pojawił się w stajni? Sprawdziliście, kim jest?

Spojrzeli na siebie.

– Zignorowaliście mnie i jego! Przetrzymujecie tak niebezpieczne stworzenie, nie monitorując każdego źdźbła trawy i kamyka w promieniu co najmniej dziesięciu kilometrów? To nie agresywny owczarek kaukaski zamknięty w kojcu! To prawdziwa maszyna do zabijania! Powinniście powiedzieć mi wszystko!

– Ma rację.

Odwróciłam się. W drzwiach stał Igor. Jego specjalność: pojawianie się w najmniej spodziewanym momencie i zawsze wtedy, kiedy był mi potrzebny.

– Przecież wiecie, jaka Gloria jest ciekawska. – Oparł się o blat, kładąc dłonie tuż przy kałuży rozlanej wody. – Było tylko kwestią czasu, kiedy wytnie podobny numer. A sprytu nie można jej odmówić. I intuicji. Ma instynkt urodzonego wywiadowcy. A więc – ten chłopak. Sprawdziliście go?

– To był on – odpowiedział Darek. – Podejrzewaliśmy, że klatka nie jest w stanie go zatrzymać. Na nic też monitoring. On potrafi wtopić się w tło, kontrolować temperaturę ciała, a nawet skład atmosfery. Obawiam się, że umie wnikać do naszych umysłów. Dlatego jest tak skuteczny.

– Mówiłaś, że widziałaś go już wcześniej – zwrócił się do mnie Igor. – W moim pokoju, i gdzie jeszcze?

– Nie uwierzysz.

– Wal śmiało. Dość tych niedopowiedzeń.

– W Paryżu.

Na twarzach Lidii i Darka pojawił się wyraz zaskoczenia. Gdyby siostra trzymała czajnik w dłoni, wylądowałby z hukiem na podłodze.

– Konkretnie gdzie? W jakiej sytuacji?

– Kiedy Asłan walczył w klatce. A potem w samolocie, przed atakiem terrorystów.

– Czyli zawsze wtedy, gdy lała się krew.

– Nie zawsze – sprostowałam. – Kiedy Tank rozwalił nożowników w metrze, ten stwór mi się nie ukazał. Podejrzewam, że jest jakoś związany z Asłanem i Memedem. Tylko w twoim pokoju pojawił się, gdy nie było ich w pobliżu.

– Mogli być wtedy w ośrodku. – Lidia nareszcie ochłonęła.

– Nie macie wyjścia. – Igor nadal opierał się niedbale o blat. – Musicie jej powiedzieć o Obcym.

– Skąd się tutaj wziął? – Od razu podchwyciłam. – Jak? Kiedy? Po co? Jak bardzo jest groźny? Co ma wspólnego z Pierwszymi Sprawiedliwymi?

Znowu dostrzegłam kompletne zaskoczenie na ich twarzach.

– Mówiłem, że to sprytna dziewczynka. O Pierwszych Sprawiedliwych pewnie wiesz od Dżochara?

– On też go widział, walczącego w klatce. Ten Obcy to Asłan!

– Jakies dowody? Argumenty?

– Tank nagle pojawił się w stajni, dokładnie w miejscu, gdzie stał ten chłopak.

– Zmienił się na twoich oczach?

– Nie.

– Gdy wyczuł, że Zuradow nadchodzi, mógł zniknąć, upodabniając się do ściany, podłogi, czegokolwiek.

– Ale w Paryżu...? – Lidia powróciła do poprzedniego wątku.

– Rzeczywiście, dziwna historia – zgodził się Darek. – Jednak do końca nie wiemy, do czego to stworzenie jest zdolne. I obawiam się, że sporo czasu upłynie, zanim się dowiemy. Nie jest agresywne, bo nie nadążalibyśmy z zakopywaniem trupów w ogródku. Gdyby chciało zrobić Glorii krzywdę, Asłan nie zdołałby go powstrzymać. A przy tym nasz Obcy wykonuje tutaj naprawdę dobrą robotę. Lidia?

– Przekonaliście mnie – odrzekła siostra. – Gloria i tak już o nim wie. Nawet więcej, niż moglibyśmy się spodziewać. Czas pokazać jej i powiedzieć, czym jest ośrodek.

Wygrałam!

– Jest już gotowy? – spytał Darek, połączywszy się przez tablet z ochroną budynku.

Gotowy? Do czego? O co chodzi? Lidia pochwyciła moje zdziwione spojrzenie i wyjaśniła:

– Obcy przekazał nam, że nazywa się Oril i jest Trojlo.

– Co to znaczy?

– To coś – włączył się Igor – jak sprzątac.

– Sprzątac kojarzy mi się z takim starym filmem. *Pulp Fiction* Quentina Tarantino?

– Trafne skojarzenie. – Darek przestał spoglądać na holo przepływające nad jego ramieniem. – Można go nazwać Sprzątacem Światów. Kiedy zeszedł do groty, zastałaś go funkcjonującego w trybie bojowym. Gdy zasypia, otacza się pancerzem. Może być wtedy niebezpieczny, to już wiemy. Wywołał panikę wśród strażników. Zaczęli strzelać. Kule nawet go nie drasnęły. Chłopaki miały kuloodporne kamizelki i hełmy, to ich uratowało przed rykoszetami. Widzisz – wskazał na połyskującą ludzką figurkę – w tej chwili przypomina człowieka, a wtedy jest uosobieniem łagodności. I w takiej właśnie postaci go wykorzystujemy.

– Wykorzystujecie?

Jak można było wykorzystywać tak niebezpieczne stworzenie?

– Trojlo – zabrała głos Lidia – ma wprost niewyobrażalną zdolność do regeneracji. Więcej. Może ją przekazać innym żywym organizmom. Co prawda na krótko, ale pracujemy nad tym. Musimy się liczyć z ubocznymi skutkami podobnej kuracji.

– To taki program, niekoniecznie rządowy?

– Znowu bingo. – Igor się uśmiechnął. – To prywatne przedsięwzięcie. Gdyby wszystko było jawne, do leczenia ludzi można by przystąpić dopiero po wieloletnich testach na zwierzętach. A to niemożliwe, bo to my musimy się dostosować do Orila.

– A co ty w tym wszystkim robisz? Szpiegujesz dla kuzyna? – dodałam z przekąsem.

– Wolę słowo: „współpracuję”. Zadowolili cię odpowiedź, że przywiozłem

worek kasy na badania?

– Obojętnie jaką gadkę mi zaserwujesz, mam ją natychmiast łyknąć?

– Przestańcie – upomniała nas Lidia. – Trojlo to nie zabawka szalonych naukowców. Oril wpływa na ludzi z zaburzeniami psychicznymi. Potrafi sprawić, że można do nich dotrzeć, prawdopodobnie dzięki jego zdolności wchodzenia do umysłu innej istoty. Ale wpływając na zachowania ludzi, czyni ich nieprzewidywalnymi dla otoczenia.

– To się dopiero nazywa niebezpieczny eksperyment.

– Czy wiesz – Igor nagle spowaźniał – ilu jest na świecie ludzi z zespołem stresu pourazowego?

– Fundujecie im kolejną traumę!

– Nie ma rady – włączył się Darek. – Ona musi to zobaczyć.

– Zobaczę cudownie ozdrowione zombie? I co z tego? Nadal nie odpowiedzieliście, skąd on się tutaj znalazł. I trafił akurat w wasze ręce.

– Pamiętasz nasz babski wieczór z lodami zaraz po twoim przyjeździe?

– Masz na myśli tę dziwną burzę bez grzmotów? Nie mów, że to właśnie wtedy ten Trojlo czy Oril spłynął na Ziemię w blasku kosmicznej chwały nieustraszonego uzdrowiciela – zabłysła elokwencją, starając się skłonić ich do większej wylewności.

– Nie jest pierwszym, który się tutaj pojawił.

Zatkało mnie. Ufoludki o zdolnościach paranormalnych nawiedzające dom mojej siostry? Jako żywo, Däniken! Brakowało jeszcze niezidentyfikowanego obiektu nad stojącą ledwie o rzut beretem maczugą Herkulesa, tym gigantycznym atrybutem bożka płodności. Pełny odlot!

– Zbieraj się. – Darek wstał od stołu. – Czas, żebyś poznała Orila. Co innego o nim mówić, a co innego – zobaczyć.

Rozpoznałam chłopaka, który pojawił się w stajni, ale to, czego teraz byłam świadkiem, nie mieściło się w mojej rozpalonej głowie. Chłopak siedział obok faceta na wózku, który skojarzył mi się z weteranem wojny w Wietnamie. Mężczyzna ze skupieniem wpatrywał się w młodego człowieka. Wyglądało

to tak, jakby przyczajony Obcy go zahipnotyzował. Nagle na twarzy chłopaka pojawił się grymas niezadowolenia. Facet się zaśmiał. Miał szklane oczy, jakby wpompowano mu w żyły litr hery. Coś nie mogli się ze sobą dogadać. Bo i jak?

– Przejdzie mu – skomentowała Lidia, która trzymała mnie za rękę. Czy siostra się bała, że Obcy nagle mnie wciągnie w wir, który pojawi się pośrodku jaskini? – Większość tak reaguje, kiedy Oril pierwszy raz zajrzy do ich umysłu.

– Znachor? Szarlatan? A może czarodziej?

– On cię słyszy.

Ostrzeżenie przyszło za późno. Chłopak niespodziewanie odwrócił się w naszą stronę. Nie miał oczu, tylko czarne dziury. Zaczęły się wypełniać czerwienią, a jego dłoń szybko zmieniała kształt. Z oczodołów strzeliły czerwone promienie. W miejscu paznokci wyrosły pazury godne welociraptora. Skóra na przedramieniu pokrywała się stalowoszarą łuską. Nagle cały ten proces zaczął się odwracać.

– Zdekoncentrowałaś go. Lepiej tego nie robić. Jego reedukacja trochę potrwa.

– Reedukacja?

– Ma odbyć coś na kształt pokuty. Po to ich tu zsyłają.

– Anioły wygnane z Nieba na Ziemię? Tak jak ludzie trafiający do czyśćca? Chłopak się zaśmiał. Mężczyzna również.

– Oril. – Obcy wyciągnął rękę, była już całkiem normalna.

Nie cofnęłam swojej. Zetknęliśmy się dłońmi.

– To niemożliwe – szepnęłam. – Nie możesz być nim.

– Nie mogę być aniołem. Poza tym to takie... banalne. Co czujesz?

– Ciepło ludzkiej dłoni. Ale nie jesteś człowiekiem?

Głupie pytanie, jednak musiałam je zadać.

– Nie jestem.

Mężczyzna na wózku wsłuchiwał się w każde słowo Obcego.

– To ciebie widziałam w stajni?

– To, co widzisz, jest powłoką. Tak jak gesty, słowa, język. Wszystko po to, żebyśmy mogli się porozumieć.

– A tam za kratami?

– Tam byłem Trojlo. Teraz też jestem.

– Jesteś... nim?

Zadrżała mi ręka, która nadal tkwiła w jego dłoni.

– Bez wątpienia jestem rodzaju męskiego.

– Czyli mamy jakiś punkt zaczepienia.

– Pozwolisz, że zajmę się tą istotą? W tej chwili bardziej mnie potrzebuje.

Mężczyzna na wózku znowu zaczął uciekać spojrzeniem. Sprawiał wrażenie nieobecnego, jakby zapadał się w sobie.

– Matka Teresa – mruknęłam, kiedy Lidia wyprowadzała mnie z groty.

– Taka bystra dziewczyna – Igor usłyszał mój komentarz – a daje się nabrać.

– O co ci chodzi?!

Zirytował mnie. Przed chwilą ściszałam dłoń Obcego, a Lediew wypominał mi głupotę, jakbym w tak niezwyklej sytuacji byłam zdolna do wydania trzeźwej oceny.

– Dajesz się nabrać na pozory. To stworzenie samo cię ostrzegało, żebyś ostrożnie podchodziła do tego, co widzisz i słyszysz. Oril nie znalazł się tutaj przez przypadek. Powinniśmy o tym cały czas pamiętać.

– Kosmici przygotowują się do podbicia ludzkiej rasy? Po to zesłali go na Ziemię?

– Nie znamy do końca ich intencji – odpowiedziała poważnym tonem Lidia.

– W tej chwili – dodał Igor – interesuje ich możliwość regeneracji naszego ciała. I umysł człowieka po traumie.

– Opanują nasze umysły, żeby kierować nami jak marionetkami? I musieli akurat wylądować w ogródku mojej siostry? – Nie mogłam sobie darować kpiny.

– Wystarczy – zareagowała Lidia. – Czas iść już spać. Bo jutro nie wstaniesz do szkoły.

– Racja – bąknęłam. Dosyć już miałam wrażeń. Poczułam potworne zmęczenie.

Kiedy wróciłam do pokoju, nawet nie zajrzałam do łazienki. Pozbyłam się kurtki i butów, padłam na łóżko w ubraniu i momentalnie zasnęłam.

Spóźniłam się do szkoły, ale obyło się bez przykrych konsekwencji. Lidia wysłała do sekretariatu usprawiedliwienie, w którym zwalniała mnie z pierwszych lekcji – opiekunowie czasem się przydadali. Siedziałam w ławce, wpatrując się w hologram przedstawiający Ziemię. Na wolno obracającej się kuli połyskiwały niebieskie plamy mórz i oceanów. To był mój świat? Czuję się, jakbym wróciła z dalekiej podróży. Ciągle przeżywałam spotkanie z Orilem. Nie mogłam przestać o nim myśleć. Postać, w której mi się ukazał, była pozorem. Równoległym bytem. Chciałam poznać prawdziwego Orila. Dowiedzieć się, co go łączy z Aślanem i Memedem. Wedle słów Lidii pojawił się tutaj, kiedy przybyłam do Polski. W takim razie dlaczego ukazał mi się jeszcze w Paryżu? Gdzie tu logika? A może to był inny Obcy?

– Gloria. – Usłyszałam nagle. Zafiksowana na Orilu zapomniałam o Pawle. Ba, nawet nie zauważyłam, że skończyła się lekcja. – Możemy porozmawiać?

– Tutaj?

Nadal myślami byłam na innej planecie, inaczej faceta, który tak podle ze mną postąpił, potraktowałabym co najmniej warknięciem. Ale moje problemy ze szkołą, zdobyciem akceptacji innych uczniów, wydawały się teraz takie błahe, dziecinne, nieistotne.

– Na korytarzu. Jest długa przerwa, wszyscy zeszli na dół.

– A, tak. – Musiałam siedzieć w pustej klasie co najmniej minutę, skoro zostaliśmy w niej już tylko my. Wyszłam z Grodzińskim na korytarz.

Usadowiłam się na parapecie, wciągając nogi i opierając się plecami o ścianę. Paweł usiadł po przeciwnej stronie. W ten sposób trzymaliśmy dystans. Rozważne postępowanie. Wystawiona do wiatru dziewczyna musiała być ekstremalnie wściekła. I byłam. Wczoraj.

– Przepraszam cię – zaczął – ale wypadło mi coś ważnego.

– Ehe – mruknęłam. – Twój koleś. Nie tłumacz się – uprzedziłam długą mowę obronną obwinionego. – Nie wymyślaj niestworzonych historii. Rozmawiałam wczoraj z twoją mamą. – Trafiłam w punkt. Zrobił mi się upadłego aniołka przyłapanego na złym uczynku. – Ale to teraz nieważne. Mam cię gdzieś.

– Ale ja nie mam ciebie.

– Aaa... to komplikuje sprawę. Twoją – dodałam złośliwie.

– Bałem się o ciebie. Nie było cię na lekcjach.

– Myślałeś, że wyplakuję się w poduszkę? Rozchorowałam się z żalości? Poszłam do Roksany z Igorem, potem odsypiałam kaca. – Teraz walnął mi się milion zielonych. Kompletnie go zaskoczyłam. – Spodziewałeś się wymówek?

Roześmiałam się. Nie miałam dla niego litości, jak on wcześniej dla mnie.

– Sądziłeś, że przejmę się tobą? Podłym numerem, który mi wyciąłeś?

– Przejąłeś się.

– Że co?

Gdybym opychała się teraz chrupkami, przykleiłyby się do jego twarzy.

– Inaczej nie dzwoniłabyś do Magdy.

– Dobra, Paweł, przejęłam się. Ale to było wczoraj. Wtedy miałeś swoją szansę. Teraz nie zawracaj mi głowy.

– Może zaczniemy od początku?

Musiałam to przyznać: uparta z niego bestia.

– Dopóki twoi koleś są ważniejsi ode mnie, nie mamy o czym gadać.

– Właśnie chciałem cię zaprosić na imprezę.

Chrupki nie załatwiłyby sprawy. Wywalenie w niego serii z karabinu Barretta? Myślę, że dopiero brutalna rozwałka w pełni by mnie usatysfakcjonowała.

– Zrozumiałabyś, że musiałem odwołać spotkanie. Tobie też mogło coś podobnego wypaść.

– Ważniejszego od spotkania z chłopakiem? Noo... – przeciągnęłam słowo. Przypomniałam sobie Orila, jak wpatrywał się we mnie swoimi

ciemnozielonymi oczami. – Wyobraź sobie, że się z tobą zgadzam. Więcej, nawet wypadło, dlatego spóźniłam się do szkoły. – Właśnie nastał sezon ochronny na kłamliwych facetów. – Widać, że nie jestem na kacu?

– Nie cuchniesz alkoholem. Nie nasiąkłaś nim jak opita gąbka.

– Dzięki. A pomyślałaś o kacu moralnym?

– Ten chyba załatwił Igor.

– No dobra, jesteście kwita. Ty mnie wystawiłaś. Ja cię zdradziłam z Igorem. Ty masz ważne sprawy, ważniejsze ode mnie. Ja też.

Opuściłam nogi z parapetu. Chciałam z niego zeskoczyć. Paweł złapał mnie za ramię.

– Skoro jesteście kwita...

– Przebaczasz mi Igora? – weszłam mu w słowo, nie maskując drwiny.

– Przebaczam.

– Twardy z ciebie zawodnik.

– Kiedy trzeba.

Zaintrygował mnie tym, że nie zrobił mi sceny zazdrości. Sporo potrafił wziąć na klatę. Zmierzył się z faktem, że przez cały wieczór ścisnęłam się z innym. A jeśli nie tylko ścisnęłam?

Wróciłam z powrotem na parapet, Paweł również.

– Zakładam, że nie doszło do czegoś poważniejszego.

W tym momencie skojarzył mi się z Orilem. Nie wiem dlaczego. Przez to, że żył w innym niż ja matriksie?

– Ryzykowne założenie – parsknęłam.

– Owszem – zgodził się z kamienną twarzą – ryzykuję. Ale czy ty jesteś w stanie je podjąć?

Zapaliła mi się ostrzegawcza lampka. Paweł mnie prowokował, stosując chwyt stary jak świat: „Ja nie mogę? Nie mogę? Pokażę ci, że mogę!”.

– Co masz na myśli? – spytałam.

Zwyciężyła ciekawość. Chęć zmierzenia się z wyzwaniem.

– Zaległa imprezę.

Wpakowałam się jak chmary pyszałkowatych herosów przede mną. Gorzej. Dałam się podejść z pełną świadomością tego faktu. Zgodziłam się wybrać z lwiatkiem do jaskini zamieszkałej przez stado głodnych lwów.

Darek zawiózł mnie w weekend do domu Pawła. Nikogo nie uprzedziłam, że wyskoczmy potem na imprezkę. Bo i po co, skoro była niedaleko? W dodatku trafił nam się transport. Magda podrzuciła nas na miejsce, mimo protestu Pawła. Co za obciach być wożonym przez mamę, w dodatku autorkę cikliwych romansów z obowiązkową wkładką, scenami: on i ona. Magda podarowała mi swoją powieść z autografem. Przeczytałam tylko erotyczne scenki, ale nikomu się do tego nie przyznałam. Oficjalnie nadal przebijałam się przez ochy i achy głównych bohaterów. Nudne i do bani – to była wersja dla znajomych.

Kiedy wysiedliśmy z samochodu i Paweł zaprowadził mnie na tyły budynku ukrytego między drzewami, zrozumiałam, że popełniłam błąd. Nie wiem, jak mogłam się na to zgodzić? Dlatego, że uważałam się za tolerancyjną? Nieulegającą homo-, kseno- i innym fobiom? I postanowiłam dać szansę – nie tylko Pawłowi, również jego kolegom.

Wszyscy zebrani byli w tych swoich czarnych mundurkach, nawet dziewczyny. Znając charakter spędu, przynajmniej z grubsza, włożyłam wygodne turystyczne ciuchy. Przystanęłam przy ognisku i obserwowałam zebranych. Zbili się w grupki – towarzystwo wzajemnej adoracji, satelity krążące wokół kilku planet. Paweł gdzieś się zapodział, czułam się nieswojo. Po prostu cyrk! Trzymałam w ręku piwo bezalkoholowe. Zgodnie z regułami tego miejsca procenty przysługiwały wyłącznie pełnoletnim. U Roksany nikt się tak nie certolił. A tutaj: kiełbaski, steki, piwo – siermiężnie. Dodatki: musztarda. Też ci luksusy! Roksia z mamą zaserwowały gościom pyszne sałatki. Hitem na tej imprezie było co innego. Giwery we wszelkich odmianach, które mieli prawo brać do ręki również niepełnoletni. Alkohol długo zabija – marskością wątroby. Broń palna robi to szybko: jeden ruch ignoranta i kula ryje ci dekiel.

Nagle ta cała starsza i młodsza dzieciarnia zwróciła się w jedną stronę. Przy ognisku pojawił się łysy facet w oliwkowym mundurze, z plamami potu

pod pachami. Gdzie on się tak zgrzał? Przecież była noc, październik. Delikwent miał byczy kark i przenikliwe spojrzenie, którym zlustrował moją skromną osobę. Od razu mi się nie spodobał. Już od drzwi walnął patriotyczną gadkę. Mnóstwo w tym było patosu: silny naród, pamiętajmy, kim jesteśmy, i tak dalej. Zebrani go słuchali, jakby wygłaszał kazanie. Narzucał swoją wolę innym jak Oril, ale w bardziej łopatologiczny sposób. Już po pierwszych słowach zorientowałam się, że używa technik manipulacji. Dlaczego oni tego nie dostrzegają? Przez swój młody wiek? Ja też byłam małą, a od razu wyczułam, co jest grane.

Po przemowie podszedł do mnie z jeszcze jednym indywiduum. Ten osobnik z kolei wyglądał jak polityk na spotkaniu z wyborcami. Niby zrelaksowany, z poluzowanym krawatem, pod szyją rozpięty guzik koszuli, podwinięte rękawy. Wszystko w stonowanych barwach: błękitnie, szarościach, złamanej czerni. Nie ze mną takie numery. Dobrze, że równocześnie przy moim boku pojawił się Paweł, bo palnęłabym jakąś głupotę. Na przykład roześmiała się, kiedy Sterylny potrząsał moją dłoń, posyłając mi wystudiowany uśmiech, który odsłaniał nieskazitelnie białe uzębienie bez śladu ubytków.

– Gloria, piękne imię – nawijał. – A i zacne polskie nazwisko.

Skąd je znał? Przecież przedstawiłam się tylko imieniem.

– Mówią na mnie Art.

Użyłam swojej ksywki z pełnym rozmysłem, bo zaraz bym usłyszała, że jestem Chwałą. Po jego minie zorientowałam się, że „Art” stało mu w gardle. Było takie... nieswojskie. Zauważyłam, że na imprezie pojawiło się jeszcze kilka osób w podobnych uniformach jak Byczy Kark. I nie była to młodzież.

Przestałam zwracać na nich uwagę, Paweł zaprowadził mnie na tyły ogrodu, gdzie urządzono stanowiska strzeleckie. Nie bardzo mieściło mi się w głowie, jak sąsiedzi mogą znosić ciągły huk. Chyba nie tylko ja miałam podobne myśli.

– Sąsiedzi to takie same świrusy – rzuciła dziewczyna z kucykiem. – Strzelałaś już z kałasznikowa?

– Tylko z wiatrówki. Ale najbardziej interesuje mnie kusza.

– Na kuszę trzeba mieć pozwolenie.

– A na kałasznikowa nie potrzeba?

– Oczywiście, że trzeba – odezwał się Byczy Kark, który niepodziewanie pojawił się przy nas. – Ale dla organizacji to nie problem. Wystarczy, że skończysz dwadzieścia jeden lat i będziesz mogła trzymać go pod łóżkiem, a glocka w szufladzie szafki nocnej.

– Sprawdzalam statystyki. Polska ma najniższy wskaźnik sztuk broni przypadających na obywatela.

– Statystyki były tworzone dla biurokratów z Brukseli. Organizacje paramilitarne nie są brane w nich pod uwagę. Owszem, mieliśmy kiepskie wskaźniki, ale to było dawno temu. Szybko nadrobiliśmy braki. Organizacja ma silne lobby w parlamencie.

– Kilka słów więcej i parę wyciętych przecinków w ustawie o broni i amunicji – zawtórował mu Sterylny. Co oni tak obaj się do mnie przykleili?

Udało mi się w końcu dać nogę, dziewczyna z kucykiem znalazła koleżankę, która miała kuszę i zgodziła się co nieco mi pokazać. Za strzelnicą znajdował się nasyp, przed którym stały drewniane stojaki z tarczami. Chłopaki skoncentrowali się na zawodach strzeleckich. Nie miałam w nich szans, nie zdążyłam się oswoić z większym kalibrem, poza tym nie ciągnęło mnie do broni palnej. Przygoda w metrze na trwałe zryła mi psychikę. Widziałam rykoszetujące kawałki czaszki i rozpryskujący się mózg – oni jedynie rozrywane żelowe modele. Dla nich to całe strzelectwo było zabawą. Ja miałam do czynienia z praktykiem. I wyobraźnię. Wiedziałam, że indoktrynujące gadki tylko z pozoru są niegroźne. Pola bitew były usiane trupami małoletnich chojraków. Co innego Zuradow i Achmatow. Oni wiedzieli, czym jest wojna. Na wszystkich generałów i ideologów patrzyli z chłodnym dystansem.

Wyłączyłam swój tablet już w momencie, gdy zabraliśmy się z Magdą. Lepiej, żeby do szpiegujących mnie cyngli nie dotarły odgłosy imprezy i serie ze strzelnicy. A pretekst się znalazł: randka we dwoje z chłopakiem.

Jolka wytłumaczyła mi zasady działania kuszy i strzeliła kilka razy. Potem przyszła moja kolej. Myślałam, że pójdzie mi tak łatwo jak jej. Nic z tego. Bełt utkwiał w nasypie. Dopiero trzeci trafił w tarczę, i to dlatego, że Jolka była moim okiem i prowadziła mi rękę.

– Trochę treningu i będzie dobrze – podsumowała te wysiłki. – Musisz

spokojnie celować i zwalniać spust. Ale pocieszę cię, że żaden z tych neandertalczyków za ścianą nie trafił za pierwszym razem.

– Cha, cha! – zaśmiała się Ela, dziewczyna z krótkim kucykiem. – Szkoda, że tego nie widziałas, jak przymierzali się do kuszy, którą przywiózł Kuba. Pudło, pudło, pudło. Nagle podchodzi Jola i bierze od Kuby naciągniętą kuszę. Wszyscy się podśmiewają, a ona spokojnie celuje. I pach. Dycha. Miny frajerów bezcenne. – Podała koleżance butelkę piwa. – A uśmiechnięta Jola oddaje Kubie kuszę i wraca do robienia kanapek.

– Nawet ani razu nie przestrzelałam bełtów. Chodźmy coś zjeść. Na głodnego szybko zakręci się nam w głowie, poza tym Roman źle patrzy na picie podczas strzelania.

– Ja i tak dostałam bezalkoholowe – burknęłam.

– To dziewczyna Pawła – wtrąciła Ela. – Mała szansa, że poderwał panienkę starszą od siebie.

– Nie jestem „poderwana” – obruszyłam się. Za tę „panienkę” również.

– O naiwności! Uważasz, że zabrał cię tutaj z czystej sympatii? Chce cię wciągnąć, by nie mieć takich kłopotów, jak z poprzednimi dziewczynami. Suszyły mu głowę. Były zazdrosne, że coś może być dla niego ważniejszego niż one.

Wcale mi się nie podobało, że Paweł „chce mnie wciągnąć”.

– Tak to już jest – mruknęła Jolka. – Jak panienka zdobędzie faceta, myśli, że ma go na własność i że on rzuci dla niej swoje pasje. Jakby mi facet kazał zrezygnować z kuszy, skończyłabym tę znajomość, celując mu bełtem prosto w tyłek. Ale chodźmy zobaczyć, jak inni sobie radzą. Założę się, że Paweł wygra te zawody. Po to cię tutaj przywiózł, by ci zaimponować, a ty sobie gdzieś idziesz.

– Ja też nie mam zamiaru zrezygnować ze swoich pasji.

– Będzie ostro – roześmiała się Elka.

– Powiedźcie mi, kim są ci dwaj faceci: w oliwkowym mundurze i ten w garniturku.

– Kaznodzieja i Elegancik? No, nie spodziewałam się ich tutaj. To impreza zamknięta, tylko dla naszej gwardii. Ich żołnierzy też nie powinno tu być. Ale o to trzeba by spytać Romana.

– Który to?

– Będzie dopiero o północy. Przyjedzie na mianowanie.

– O północy?

Tak długo nie mogłam tu zostać. Wcześniej na imprezę wparuje Zuradow z cynglami. Magda mówiła, że przyjedzie po nas o jedenastej.

– Przepraszam, Gloria. – Jolka spojrzała na minitabiet. – Musimy z Elką iść. Powinnyśmy niedługo wrócić, bo kiszki mi przyschły z głodu.

– Dobra, zobaczę, jak tam steki.

Dziewczyny odeszły. Szkoda, że nie zostawiły kuszy, trochę bym jeszcze postrzelała. Czas wracać do Pawła. Jeśli wygra te zawody, jak przewidywały dziewczyny, rzeczywiście zrobi mu się przykro, kiedy nie będę obecna chociaż przy ogłaszaniu końcowych wyników. Wiedziałam, jak jest, gdy nie ma kto przeżywać z tobą drobnych sukcesików i dużych sukcesów. Coś mnie jednak tknęło, żeby obejść teren. Nadarzyła się do tego idealna okazja, bo wszyscy poszli na strzelnicę. Na podjeździe stało więcej samochodów niż wtedy, gdy przyjechaliśmy. To pewnie wozy tych nowych: Byczego Karku, Sterylnego i ich przydupasów.

Nagle, gdy zaglądałam do poobijanego land rovera, poczułam, że ktoś mnie łapie za ramiona. Szarpnęłam się, usiłując uwolnić. Nic z tego, napastników było co najmniej dwóch. I to nie małolatów. Mieli w cholere siły. Wepchnęli mi do ust jakąś szmatę, zarzucili płachtę na głowę i wykręcili ręce. Nie mogłam nawet wierzgnąć. Chwycili mnie za nogi i szarpnęli w górę. Wrzucili na pakę jakiegoś samochodu. Prawdopodobnie land rovera, który zwrócił moją uwagę. Usłyszałam dźwięk zapuszczanego silnika. Nie czułam bólu wykręconych rąk. Rozpierała mnie wściekłość. Wściekłość na siebie! Na własną głupotę. Że dałam im się zwabić. Strach i ból przyszły później. Dotarło do mnie, że zostałam porwana. I to na własne życzenie!

Rozdział 22

Wyprawa

Sprawdź ją – usłyszałam polecenie.

Nie byłam na pace sama, poczułam macające mnie dłonie. Zerwali mi z nadgarstka tablet. Szukali innych przekaźników i źródeł danych. Sprawdzali odzież, ściągnęli mi nawet buty.

– Jest czysta. Daj to wszystko Markowi.

Niedobrze. Porozumiewali się, używając imion. Cała nadzieja w tym, że są nieprawdziwe. Im mniej wiedziałam o porywaczach, tym większa szansa, że to przeżyję i że mnie wypuszczą, kiedy nie będę im już potrzebna.

– Może ma chip w ciele?

Słuszna uwaga. Jak domowy pupil, mogłam mieć wszczepiony GPS. To byłoby w stylu moich ostrożnych opiekunów.

– Trzeba to sprawdzić.

Samochód zatrzymał się, słyszałam odgłos otwieranych drzwi i czułam drgania podłoża, jakby wokół mnie ktoś się poruszał i coś po nim przesuwiał. Podejrzywałam, że porywacze próbowali namierzyć sygnał. I pewnie nic nie wykryją. Przekaznik w chipie mógł być uaktywniony dopiero w podbramkowej sytuacji, a trochę potrwa, zanim moi ochroniarze zorientują się, że zostałam uprowadzona. Porywacze musieliby przeskanować moje ciało precyzyjnym urządzeniem, bo taki chip był wielkości główki od szpilki. Ale na razie ograniczyli się do zderzenia ze mnie wierzchniego ubrania. Trzymali mnie przy tym za rozwiązane ręce i nogi. Zaczęłam się trząść z zimna. Czułam, że mam na sobie wyłącznie bieliznę. Mocno niekomfortowa sytuacja, i to nie tylko ze względu na chłód. Zaczęli coś na mnie naciągać. Spodnie? Były szorstkie w dotyku, za to górne okrycie uszyto z miękkiego materiału. Miałam wrażenie, jakby otuliła mnie gruba flanelowa koszula. Przynajmniej nie zejść na zapalenie płuc. Strach częściowo ustąpił, kiedy zorientowałam się, że nie zamierzają mnie szybko ukatrupić. Ale mogli zaplanować przetrzymywanie

mnie tygodniami, a nawet miesiącami, stąd ich dbałość, żebym pozostała w dobrej kondycji. Do czasu kiedy Lidia spełni ich żądania. A jeśli spełni, a i tak mnie zabiją i porzucą ciało gdzieś w lesie? Zakopią? Wrzucą do wody? Nieważne, co stanie się ze zwłokami. Mój trup miałby się tym przejmować? To istotne tylko dla rodziny i prowadzących śledztwo. Co za durne myśli! Ale lepsze one niż paniczne szczęknięcie zębami.

Znowu ruszyliśmy. Stłumiłam strach, przecież mi nie pomoże. Nie mogłam jednak uciec od pytań szturmujących moją głowę. Od jakiego czasu porywacze mnie rozpracowywali? Czy od chwili, gdy koledzy Pawła się z nim przeprosili i kiedy złapał mnie na haczyk swojej osobistej odwagi? A jeśli to była jedna wielka manipulacja, w której chłopak brał udział? Ale ze mnie idiotka! Ludzie nie zmieniają poglądów z dnia na dzień. Po co Grodziński ściągnął mnie na imprezę swojej gwardii? Jolka i Elka mówiły, że było to zamknięte spotkanie, tylko dla swoich. W takim razie, co tam robiłam? Wiedziałam z filmów, że jeśli Lidia i Aślan nie znajdą mnie w ciągu pierwszych czterdziestu ośmiu godzin, moje szanse na przeżycie drastycznie spadną.

Oril był niespokojny, od razu wyczuł, że stało się coś złego. Nerwowa krzątanina, podniesione głosy. Musiał to sprawdzić. Zostawił w jaskini fantom i przeniknął na powierzchnię. Wstawał świt, ludzie powinni spać kamiennym snem, jednak po ogrodzonym terenie krążyły prymitywne maszyny, którymi kierowali. Jego uwagę przykuł młody chłopak. Kiedy Oril ukazywał się Glorii, przybierał podobną do niego postać. To musiał być Paweł, o którym często mówiła i myślała. Wyczuł w chłopaku niepokój o dziewczynę. Paweł był zły na siebie, dręczyły go wyrzuty sumienia. Wiedział, że popełnił błąd i teraz starał się go naprawić, ale obawiał się, że jest na to za późno. Mówił wzburzonym głosem. Lidia i Darek stali się jeszcze bardziej podenerwowani. Pojawiły się posiłki. Kilku zdecydowanych na wszystko mężczyzn uzbrojonych w znaną już Orilowi prymitywną broń. Szykowała się akcja, do której Trojlo był stworzony. Nie zamierzał przepuścić takiej okazji. Poza tym polubił obie siostry. Nie potrafił stać z boku, kiedy jednej z nich działa się krzywda. W drzwiach budynku, z którego wchodziło się do tuneli, stanął Igor Lediew. Oril usunął mu się z drogi. Człowiek nawet nie wiedział, że znalazł się od niego za ledwie na wyciągnięcie ręki.

– Jakiś ślad? – Głos Lidii drżał z przejęcia.

– Wejdźcie do środka. Nie będę tu robić projekcji. Ty też – Igor zażądał od Pawła. – Dżochar, zostań na zewnątrz i uważaj na intruzów.

Oril uaktywnił nowy słownik: ostatnie słowa Lediewa były wypowiedziane w innym języku niż używany przez osobników, którzy zazwyczaj przebywali w jego obecności.

Trojło po chwili cofnął się w głąb korytarza i skręcił w boczną odnogę, by wszystkich przepuścić. Później ruszył za ludźmi. Zgromadzili się w większym pomieszczeniu. Zajęli miejsca na krzesłach i stole, w centrum na podłodze usiedli Igor i Paweł.

– „Góry” to ogólne pojęcie. – Lediew zwrócił się z wyrzutem do chłopaka. – Nazwa miejscowości też nie wystarczy. Gdzie dokładnie jest ich obóz?

– Trafię tam, gdy znajdę się w pobliżu.

– Podaj współrzędne.

To odezwał się mężczyzna, którego obecność Oril kilka razy wyczuł i któremu usunął się z drogi, kiedy uspokoił narowistą klacz dokuczającą Glorii. Asłan Zuradow stanowił dla niego jedną wielką niewiadomą. Wiedział o nim tylko tyle, że dziewczyna jest mężczyźnie bliska i że on boi się o nią równie mocno jak Lidia.

– Są w moim tablecie – odpowiedział chłopak. – Ale to nie oni porwali Glorię.

– A komu innemu mogłeś ją wystawić?

Słowa były wypowiedziane przez Zuradowa spokojnym tonem, ale Oril nie dał się zwieść. Wyczuł opanowanie wojownika przed walką i zimną wściekłość na nierozważnego chłopaka.

– Już to mówiłem. Mieliśmy niezapowiedzianych gości. To musiało się stać, kiedy brałem udział w konkursie. Jolka i Ela ostatnie widziały Glorię, przed ogłoszeniem wyników. Skąd mogłem wiedzieć, że przydarzyło jej się coś złego? Myślałem, że przyjechałeś po nią ty albo ten drugi Czeczen – Dżochar. Poza tym była na mnie zła i mogła to zaplanować, żeby utrzcęć mi nosa. Wydawało się to najbardziej prawdopodobne, bo nie odpowiadała, kiedy usiłowałem się z nią skontaktować. Automat wyświetlił tylko zdanie: „Odczep się, poszłam spać”. Dopiero kiedy wtargnąłeś do mojego domu,

zrozumiałem, że stało się coś złego.

– Wszystko już czytałem – poinformował zebranych Igor. – Zaraz zobaczymy obraz z satelity. Ale ci drudzy to jakaś silna grupa paramilitarna. Właśnie przesyłają mi zebrane o niej poufne dane. W co ty się, chłopaku, wpakowałeś? Nie teraz – powstrzymał Pawła – nie tłumacz się. Najważniejsze, żebyśmy uzyskali konkretne informacje. Już jest emisja.

– Znasz to miejsce?

Lediew wskazał na drogę prowadzącą środkiem doliny, gdzieś tam można było dostrzec dachy domów, rozłożyste drzewa. Wyżej rósł las wysmukłych iglaków.

– Pamiętam kilka podobnych dolin. Musiałbym być tam na miejscu.

Oril wyczuł, że chłopak kłamie, bo chciał jechać z mężczyznami. Co za głupota! Przecież nie miał dostatecznych umiejętności, by im się przydać. Tylko sobie wyobrażał, że jest dobry. Za to Achmatow, Zuradow i Lediew byli jak stop terronium. Twardzi, a kiedy trzeba, elastyczni.

– Dobra – zabrał głos Asłan Zuradow. – Chłopak pojedzie ze mną. Ale jak zrobisz jeszcze coś głupiego, najmniejszy ruch, choćby czknieś, kiedy nie trzeba, skręcę ci kark. – Ostatnie słowa, wypowiedziane bez emocji, nie były groźbą, jedynie obietnicą. – Darek i Lidia zostają.

Kobieta chciała zaprotestować. Darek położył jej dłoń na ramieniu.

– Ma rację. Tutaj bardziej im się przydamy. Asłan nie będzie myślał również o twoim bezpieczeństwie. Igor pozostanie z nami w kontakcie. Może razem jeszcze coś o tej organizacji znajdziemy? Teraz nie ma czasu na szczegółową analizę.

– Dżochar, Memed, załadujcie broń.

Zuradow wyciągnął z kieszeni pistolet i sprawdził magazynek. Oril z uwagą obserwował jego ruchy. Potrafił naśladować zachowania ludzi. Każdy z nich miał swoją osobowość, charakterystyczne nawyki, w różny sposób też reagował. A ten osobnik szczególnie go interesował. Intrygował, wręcz niepokoił. Czuł, że coś ich łączy. Jak to możliwe? Przecież każdy z nich przebył inną drogę. A jeśli te drogi były podobne? Kiedy się skrzyżowały? Na pewno dzisiejszego dnia.

– Zorganizuję wsparcie – mówił Darek – ale trochę to potrwa. Sprawę

trzeba załatwić tutaj, na miejscu. Ludzie, którzy porwali Glorię, mają tu komórki, kontakty. Paweł z Glorią weszli im prosto w łapy.

– Chyba nie ja – zaprotestował chłopak.

– Wystarczy, że ją naraziłeś – odrzekł Asłan. – Moja wina, że na to pozwoliłem.

– Musiała postawić na swoim – wtrącił Igor. – Taka już jest. Jak powiesz jej, że czegoś nie wolno, zrobi to, by pokazać, że jednak można.

– Taka jest właśnie Gloria.

– A ty to wykorzystałeś! – warknął Dżochar, który nie potrafił trzymać emocji na wodzy.

Memed nie uczestniczył w dyskusji. Wyłożył arsenał na stół i teraz sprawdzał każdą sztukę broni. Oril od razu wyczuł, że to on jest w całym towarzystwie najgroźniejszym przeciwnikiem. Doświadczony, opanowany, robił swoje. Asłana Zuradowa i Memeda Achmatowa łączyła przeszłość, walka ramię w ramię. Trojło doskonale rozumiał podobną zażyłość. Jedna rodzina, jedna dusza. Dołączył do nich Dżochar, na którym również mogli polegać, ale nie był w stanie ich zrozumieć. Młodszy mężczyzna będzie stał z boku, dopóki nie połączą ich wspólne przeżycia, trudne doświadczenia.

– Dajcie już chłopakowi spokój – nie wytrzymała Lidia, która nie mogła wysiedzieć w jednym miejscu. Podnosiła się z krzesła, robiła kilka kroków, wracała, znowu się podnosiła. Podchodziła to do Memeda, to do Darka, co chwilę sprawdzała swój tablet. – Stało się. Teraz trzeba Glorię z tego wyciągnąć. Nadal nie dostałam od nich nowych wiadomości. Mam tylko informację, że ją mają. Ale kto? Gdyby nie Paweł, podejrzewalibyśmy, że porywacze szli jej tropem z Paryża.

– Niewykluczone. – Achmatow pierwszy raz zabrał głos.

– Sprawdzamy wszystko. – Igor nałożył siatkę współrzędnych na obraz z satelity. – Mam już gotową mapę. Możemy jechać. Darek będzie nas osłaniać tutaj na miejscu. Co z tym wsparciem?

– Musimy ich dyskretnie zebrać. To nie Ukraina, gdzie po skrzyżowaniach wałęsa BTR-y. Jak zatrzyma ich jakiś skrupulatny glina, każe otworzyć bagażnik i przeskanuje pojazd.

– Załatwisz pozwolenia.

– Nie mogę tak otwarcie działać. – Oril wyczuł, że mężczyzna nie mówi wszystkiego ze względu na obecność chłopaka. – Igor, sprawdź zabezpieczenia. Synchronizujcie terminale, zaraz prześlę wam pakiety. Kompletne, ale na chwilę obecną. Nie pomińcie ani jednej aktualizacji, bo może być kiepsko. Dżochar, jak tam zabezpieczenia?

– W porządku.

– Pełny komplet uzbrojenia – dodał Memed.

„Wyślemy drona” – odczytał Oril ostatnią przesłaną wiadomość. Chłopak nie mógł jej dojrzeć, zebrani komunikowali się przez osobiste łącza. Trojło potrafił ominąć tak prymitywne zabezpieczenia. Były równie nieskuteczne jak ich broń. Począł, aż część ludzi wyjdzie na zewnątrz. Chwilę jeszcze kompletował informacje pozyskiwane przez Darka – w tym celu wpiął się do systemu, nie zapominając o zatarciu śladów włamania. Równocześnie sukcesywnie przesuwiał się po suficie i zanim Igor zamknął drzwi, Oril zdążył opuścić budynek. Zgrabnie ominął dwóch strażników, najwyżej trochę kurzu z sufitu wpadło im do kubków, kiedy się nad nimi przemieszczał. Zagrożeniem były wyłącznie czujniki i kamery – gdy Trojło zmieniał postać, mogły zanotować zmiany faktury i struktury materiału, do którego się upodabniał.

Ludzie przenosili broń do pojazdów zaparkowanych pod wiatą. Orilowi pozostało tylko wybrać samochód, którym się z nimi zabierze. Gdyby, będąc w trybie bojowym, przywarł do dachu dżipa, do którego wsiedli Zuradow z chłopakiem, blacha wgięłaby się do środka. Słupki również mogły nie wytrzymać, a powierzchnia karoserii była zbyt mała, żeby równomiernie rozłożył na niej swój ciężar. Zdecydował się więc na najbardziej masywny z pojazdów, który prowadził Achmatow.

Przedostał się pod plandekę i usadowił między burtą a ładunkiem. Bali się, że ktoś może tu zajrzeć albo przeskanować pojazd, więc Oril utworzył pole ochronne oszukujące termowizję i detektory. Kiedy pojazd ruszył, przeszedł na tryb bojowy: wyostrzone zmysły, dodatkowo wzmocnione przez interaktywny pancerz, pozwalały mu odbierać sygnały wszystkich pojazdów w konwoju. Tak jak się spodziewał, nie jechały blisko siebie, w przeciwnym razie zwróciłyby uwagę postronnych. Kierowcy utrzymywali stały kontakt ze sobą i z Darkiem. Dzięki temu Oril wiedział, co zamierzają. Dane o prawdopodobnym miejscu więzienia Glorii były coraz bardziej precyzyjne.

Porywacze wysunęli żądanie: nie informować policji, inaczej dziewczyna będzie martwa. Oril czuł cierpienie Lidii, która kontaktowała się z Aślanem. Myśli mężczyzny odbierał bezpośrednio.

To będzie ciężki dzień. Jednak dopilnuje, żeby dobrze się dla nich wszystkich skończył.

Na razie rokus się nie wtrącał. Nie wolno mu było na tej planecie nikogo zabić. Nie mógł siłowo interweniować, a tylko się bronić. Ale bierna rola bojowemu Trojlo nie odpowiadała.

Śledził wiadomości przepływające przez łącza, odbierał sygnały. Konwój i okolica były obserwowane z góry przez nisko lecący obiekt. Ludzie nazywali tę półinteligentną maszynę dronem komunikacyjnym. Przesyłał obraz do samochodów i do Darka, który pozostał w ośrodku. Paweł rozpoznawał okolicę, Darek i Igor czerpali informacje z różnych źródeł i konfrontowali swoją wiedzę. Dron przeczesywał teren, szukając sygnału nadajników. Jeden znajdował się w ciele dziewczyny.

Doliną biegła bita droga, potem była przesieka w lesie, zbocze, jakieś budynki wśród drzew. Termowizja ujawniła ciepło silników pojazdów stojących pod zadaszeniem i sylwetki ludzi. Odnaleźli w górach obóz grupy, której szukali. Pozostało tylko niezauważenie zbliżyć się do tego miejsca. Trojlo z zainteresowaniem słuchał poleceń Zuradowa. Mieli się rozdzielić i podejść z różnych stron. Trochę to potrwa, jednak najwięcej czasu zajmie podejście przez las. Gdyby Oril miał do dyspozycji swój sprzęt, zaatakowałyby z góry, z chmur, najlepiej o świcie. Podobną porę ataku zaplanował Aślan, ale on musiał jeszcze uwzględnić, że porywacze mogli rozstawić czujki. Mieli część nocy i cały dzień, aby je wykryć i przygotować atak. Co przez ten czas będzie przeżywać dziewczyna? Nie wpadła w panikę, kiedy zobaczyła jego zmieniające się ciało. Radziła sobie ze stresem i myślała logicznie nawet w krytycznej sytuacji. Miał nadzieję, że teraz też poradzi sobie ze strachem.

Wszyscy się rozjechali, żeby zmienić pojazdy. Sprytnie. Nowe samochody będą miały lokalne tablice. Oril pozostał przy Memedzie i puścił na przespjegi niewielkie bojowe grzywry – jego dodatkowe oczy. Jednak długo nie wysiedział na pace. Postanowił ubezpieczać mężczyzn

podkradających się lasem. Ruszył za nimi. Był tropicielem, nareszcie znalazł się w swoim żywiole.

Rzucili na mnie rozpięty śpiwór i zamknęli w jakiejś komórce. Wzdrygnęłam się, słysząc dźwięk opadającej kłapy. Zapadła ciemność. Zwinęłam się w kłębek, natłok myśli ustąpił, dało o sobie znać zmęczenie. Przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny nie zasnęłam nawet na dziesięć minut. Muszę się wyłączyć, przynajmniej na kilka godzin, żeby potem sprawniej działać, nie przegapić okazji i wykorzystać szansę na ucieczkę.

Ledwie chwilę się zdrzemnęłam, gdy poczułam, że ktoś potrząsa mnie za ramię. Pomoc? Nie, to był porywacz: rosły facet w ciemnooliwkowej kominiarce. Przez otwartą kłapę wpadało światło, obok na burym materacu leżała latarka. Rozwiązał mi ręce i podał menażkę z ciepłą breją. Powstrzymałam się przed chluśnięciem mu nią w twarz. Posłusznie zjadłam zupę, zagryzając podanym mi chlebem, po czym oddałam mu naczynie.

– Muszę do toalety.

Wskazał plastikowe wiadro pod ścianą i rozwiązał mi nogi. No nie! Nie odszedł, nie odwrócił się. Mam przy nim sikać do tego wiadra? Cholera, musiałam, bo potem, gdy ponownie mnie zwiąże i zostawi, nie wytrzymam i zmoczę spodnie. Lepiej, żeby uryną śmierdziało wiadro niż moje ubranie. Załatwiłam się przy facecie, przodem. Podał wiadro komuś na górze, po chwili wróciło wypłukane. Nie było tragicznie, porywacze chociaż w podstawowym zakresie dbali o higienę.

Związał mi nogi i ręce z tyłu, przykrył śpiworem i wyszedł z komórki. Ponownie zapadła ciemność. Zachowanie porywacza trochę mnie uspokoiło. Nie zamierzali mnie dręczyć, katować, przynajmniej na razie. Jednak jak zaczną się stawiać, a muszę, bo nie będę biernie czekać, poddając się losowi, ich zimna uprzejmość się skończy. Nie zadawałam pytań, do tej pory nikt się do mnie nie odezwał. Wątpiłam, czy zrobi to, kiedy zaczną nalegać, domagać się wyjaśnień.

Długo leżałam sama. Kilka godzin? Dzień? Dzień i noc? Facet pojawił się jeszcze dwa razy. Ciągłe obowiązywała ta sama procedura, tylko żarcie zmieniło się na gulasz. Warzyw nie było. Ale to nie Hilton. Znowu dopadły

mnie czarne myśli. Zbyt długo to trwało, musiało już minąć rozstrzygające czterdzieści osiem godzin.

W pewnej chwili usłyszałam jakiś głuchy huk, potem drugi. Przeturlałam się w najdalszy kąt mojego więzienia. Nie wiadomo, jak zareagują porywacze w krytycznej chwili. Czy skończę z kulką w głowie? Odgłos kroków nade mną, podniesione głosy, potem cisza. Instynkt podpowiadał mi, że to cisza przed burzą.

Korzystając z kamuflażu, Trojlo poruszał się w sposób, który pozwalał mu kontrolować sytuację. Ludzie przecierali się przez leśne przeszkody w tempie młodego osobnika jego gatunku wolno zbierającego i przetwarzającego informacje, niepewnego jeszcze swoich rozwijających się zmysłów. Rola obserwatora coraz bardziej drażniła Orila. Jako pierwszy namierzył budynki i zlokalizował przeciwników. Dziewczyna była zamknięta w piwnicy mieszczącej się w kuchni pod podłogą. Trochę musiał odczekać, zanim ludzie podeszli i zaczęli obserwację posesji. Porywacze przebywali w budynku. Spali. Teren był monitorowany: czujniki ruchu i termowizja. Niedobrze. Powinien wkroczyć, zanim Zuradow i reszta wejdą w ich zasięg, a alarm obudzi porywaczy. Nagle usłyszał odległy odgłos wybuchu. Teren został zaminowany. Mógł to być ładunek hukowo-błyskowy, ale wystarczył, żeby ostrzec ludzi w budynku. Oril wzmocnił wizję. Poruszające się plamy ciepła. Jeszcze jeden wybuch. Dostrzegł uchylające się drzwi, obraz z komunikatora Lediewa. Memed i Dżochar też to widzieli. Dron musiał w nocy zrzucić tutaj szperacze. Oril nie docenił ludzi. Wybuchy miały odciągnąć uwagę porywaczy – i tak też się stało. Trzech uzbrojonych mężczyzn opuściło kryjówkę, żeby spenetrować teren. W środku pozostało dwóch. Nie wiedzieli, co się wokół nich dzieje. Musieli odetchnąć z ulgą, kiedy usłyszeli komunikat: „To tylko zabłąkany pies. Gania jak oszalały. Wybuch osmolił mu futro”.

Tak – to był pies. Oril odnotował zmianę w polu magnetycznym, coś zaburzało działanie czujników. Ale to znaczyło, że wszyscy tracą ze sobą kontakt: zarówno porywacze, jak i ekipa ratunkowa, która po założeniu masek użyła gazu usypiającego. Tylko on nadal miał pełny ogłąd przedpola,

bo dysponował osłonami chroniącymi przed impulsem elektromagnetycznym i zostawił za sobą komunikacyjno-bojowe grzywry. Nic go nie zaskoczy, nawet najmniejsza zmiana kierunku wiatru. Grzywra zwiadowca przekazała mu dane o składzie atmosfery wewnątrz budynku. Stężenie gazu przekroczyło poziom, w którym tracił świadomość człowiek o masie Zuradowa.

Czeczeni przystąpili do szturm na budynek.

Próba odbicia dziewczyny powinna się skończyć powodzeniem. Co najwyżej Gloria będzie spać, a i to nie było pewne, bo do piwnicy dostały się tylko śladowe ilości usypiacza. Łączność nadal nie działała. Porywacze, którzy udali się na obchód terenu, musieli w pośpiechu wracać. Nie wiedzieli, czego mogą się spodziewać w opuszczonym przez nich budynku. Jednak to nie oni stanowili problem. Grzywry informowały Trojlo, że do kryjówki zmierza odsiecz.

Drzwi padły z hukiem, Memed i Dżochar wdarli się do budynku. Wiedzieli, gdzie jest dziewczyna. Ustalili to, zanim została przerwana łączność. Dżochar odsunął wykładzinę, odsłaniając drzwi do piwnicy. Jednym ruchem łomu wyrwał zamek i wskoczył do środka. Achmatow cały czas go ubezpieczał. Grzywra przesyłała Orilowi obraz całego zdarzenia. Widział, jak Dżochar wynosi obejmującą go Głorię. Lediew pilnował budynku z zewnątrz. Zuradow nie tracił z oczu trzech porywaczy. Zanim wrócą, Dżochar z Głorią będą daleko, z osłaniającymi ich Memedem i Igorem. Tutaj wszystko było w porządku, ale coś się działo przy samochodach zostawionych w zarośniętej przesiece... Oril nie miał wyjścia. Musiał działać.

Sześć pojazdów jechało drogą, rozpryskując błoto. Przywrócono łączność. Dżochar położył Głorię na tylnym siedzeniu. Nissan ruszył. Zaraz się spotkają z nadjeżdżającą kolumną. Nagle dżip prowadzony przez Pawła, który go odpalił, włamawszy się do komputera, wypadł z zakrętu i staranował ostatni nadjeżdżający pojazd. Tymczasem pierwszy wóz został trafiony z granatnika. To Zuradow wyskoczył na drogę. Oril już nie czekał. Zdecydował się ujawnić. W ten sposób umożliwi ucieczkę Lediewowi i Czecenom. Ograniczy ryzyko, że dziewczyna oberwie przypadkową kulą.

Porywacze wyskoczyli z czwartego pojazdu, który na moment stanął, i pobiegli w las, by stamtąd ostrzelać wracających z Głorią. Trojlo zwinął się w kulę, szybko skumulował energię. Zuradow wszystkich osłaniał, ale zaczęli

go ostrzeliwać zza drzew, ciągle zmieniając pozycję. W tej sytuacji nie mógł się złożyć do celnego strzału z granatnika w kolejny samochód, z którego porywacze pruli seriami. Oril staranował pojazd ciałem osłoniętym pancerzem, wgniatając mu bok. Pod wpływem potężnego uderzenia wóz wyleciał w powietrze, rąbnął w gruby pień sosny i owinał się wokół niego. Nikt nie miał prawa wyjść z życiem ze zmiążdżonego pojazdu.

Aślanowi kończyła się amunicja. Nie miał czasu zmienić magazynka, podchodzili go równocześnie z kilku stron. Trojlo – teraz jako nadnaturalnie duży piorun kulisty – wpadł między drzewa i przemknął slalomem między nimi. Ściągnął na siebie ogień spanikowanych strzelców. Jego celem stał się następny samochód – uderzył w niego, wyrzucając z kolein. Następny strzał rokusa zmienił pancerz w pogiętą blachę, a kolejny zmiotł z drogi pozostałe pojazdy. Trojlo oczyszczał trakt, żeby mógł nim przejechać nissan z odbitą dziewczyną. Kompletnie zdezorientował tym porywaczy, którzy jeszcze nie ochłonęli po jego rajdzie między drzewami. Nie wiedzieli, skąd nastąpi kolejny atak.

Zuradow wybiegł na drogę, szarpnął za drzwi dżipa od strony kierowcy i korzystając z tego, że Lediew ostrzeliwał las z przejeżdżającego obok nissana, w pośpiechu rozłożył siedzenie z drugiej strony. Wciągnął na nie nieprzytomnego chłopaka. Usadził się na już wolnym fotelu kierowcy i spróbował odpalić dżipa. Przypląciłby to życiem, gdyby Trojlo nie osłonił go swoim pancerzem, przyjmując na siebie serię z PKM-u jednego z porywaczy, który widać zdołał ochłonąć. Aślanowi udało się ruszyć. Dżip zostawił za sobą przedni zderzak, miał maskę wyciętą w harmonijkę i uszkodzoną felgę, ale jechał. Oril pognął za nim w postaci ogromnej kuli sypiącej skrami. Kiedy oddalili się na bezpieczną odległość, rozpląszczył się i przywarł do karoserii. Samochód był solidny. Skoro wytrzymał centralne zderzenie z innym wozem, powinien wytrzymać i ciężar Trojlo. Tym razem Oril nie przejmował się wygiętą blachą i trzeszczącymi słupkami. Już się ujawnił. Mógł pozostać w lesie i zlikwidować porywaczy jednego po drugim, ale to nie byłaby obrona, tylko eksterminacja. Przybył na tę planetę, żeby swoją wiedzę pomagać zamieszkującym ją stworzeniom, zachowując przy tym neutralność. Za siłową ingerencję odpowie przed spatami. Złamał zasady, zabijając. Nie zamierzał włączyć się w wojnę między ludźmi.

Posiłki nadeszły, tak jak to zapowiedział Darek, jednak nie miały

za zadanie osłaniać powrotu ekipy Zuradowa do Krakowa. Informacje, które właśnie otrzymał Aslan, zmieniły całą sytuację. Okazało się, że zaatakowana grupa jest wyjątkowo niebezpieczna i ma zbyt silne powiązania z władzami. Śmierć kilku jej członków nie uszłaby bezkarnie zabójcom. Lidia nie zgłosiła policji porwania siostry. Czeczeni i Lediew zostaliby potraktowani jak napastnicy. Trzeba było też chronić tajemnicę, którą krył ośrodek. Darek nadzorował pospieszną ewakuację. Wprawdzie nie miał wiele czasu, żeby zatrzeć ślady, ale mogły mu w tym pomóc kontakty z wojskiem.

Czekała ich jazda w okolice Gorlic, do drugiej bazy. Tam wszyscy się spotkają. Trzeba było wytłumaczyć to Glorii i zrobić coś z chłopakiem. Trojło już zbadał jego stan i podzielił się swoją wiedzą z ludźmi. Paweł był nieprzytomny, ale powinien w miarę szybko dojść do siebie. Jak jednak zareaguje dziewczyna, kiedy dowie się, że znowu musi uciekać?

I gdzie teraz prowadzi ich droga?

Część trzecia

Spalona ziemia

Rozdział 23

Trójkąt Bermudzki

Huk, tym razem wyraźny, coś upadło na podłogę w pomieszczeniu nade mną. Odgłos, jakby ktoś wyłamywał drzwi z zawiasów: kłapa poszła w górę, do komórki wdarł się słaby blask. Ktoś do niej zeskoczył, uderzając butami o deski podłogi. Zdażyłam zauważyć, że jest w hełmie i masce, zanim oślepił mnie promień latarki.

– *Tranquillement*, Gloria.

Dżochar! Nie mogłam się pomylić. Znałam ten głos i słowa, którymi mnie uspokajał, kiedy Tank walczył w klatce. Zarzuciłabym mu ręce na szyję, gdyby nie były związane. Kilkoma cięciami noża uwolnił mnie z więzów, wtedy do niego przylgnęłam. Puściły mi nerwy. Zaczęłam płakać. Nie chciałam okazać słabości, ale nie potrafiłam nad sobą zapanować. Wczepiłam się w mężczyznę jak miś koala po uczcie z liści eukaliptusa – zwierzątko bojące się, że spadnie z drzewa. Dżochar oderwał mnie od siebie i chwycił niekształtny przedmiot, który spadł z góry.

– Włóż – polecił. – To kamizelka kuloodporna.

Miałam problem z drżącymi rękami. Pomógł mi ją założyć i zapiąć rzepy, potem wsadził na głowę hełm i maskę, które ktoś mu podał przez otwartą kłapę. Znów objęłam Dżochara ramionami i oplotłam nogami jego tors. Czułam, że wynosi mnie na górę. Po chwili moje ciało przeszły chłód. Znaleźliśmy się na zewnątrz budynku. Świtało. Zsunęłam maskę, widziałam nad sobą korony drzew, niżej szarozieloną ścianę splątanej roślinności. Dżochar przedzierał się przez nią. Trzymałam głowę na jego ramieniu, odwrócona tyłem do kierunku marszu, unikając bijących po twarzy gałęzi. Za plecami usłyszałam znajomy głos Memeda Achmatowa. Za nim szedł jeszcze jeden uzbrojony mężczyzna, który trzymał się na dystans. Asłan? Trudno było to stwierdzić, wszyscy oni podobnie się poruszali i mieli równie imponującą posturę. Trzęsłam się z przejęcia i zimna. Kamizelka chroniła

mi plecy, ale nie kończyny. Była ciężka, miała jakieś pięć kilo. Facet z tyłu rozglądał się na boki, był zamaskowany i w hełmie balistycznym. Widać niebezpieczeństwo jeszcze nie minęło.

Nareszcie się zatrzymaliśmy. Spojrzałam przez ramię, zza krzaków wyzierał kawałek burego błotnika i opona z grubym bieżnikiem: terenowy samochód. Memed rozsunął gałęzie i szarpnął za drzwi pojazdu. Dżochar wpakował się na tył i położył mnie na siedzeniu. Wyciągnął spod niego ciemnozieloną płachtę.

– Na podłogę.

Wykonałam polecenie, chociaż ledwie się tam wcisnęłam. Między siedzeniem a drzwiami tkwiła kamizelka podobna do tej, jaką miałam na sobie. Na przód samochodu wsiadło jeszcze dwóch mężczyzn. Jeden odwrócił się w moją stronę.

– Cześć, mała.

To był Igor!

Dżochar narzucił na mnie płachtę. Natychmiast wygrzebałam się spod niej.

– A gdzie Tank?

– Siedź tam i się nie wychylaj. Ułatwisz jemu i nam robotę.

Zmienił się miejscami z innym mężczyzną, po głosie rozpoznałam Memeda. Zaparłam się rękami w przednie i tylne siedzenia. Dżochar gwałtownie ruszył – samochód zabuksował kołami po błocie, trawie i kamieniach, po czym ostro skręcił. Zaczęła się wariacka jazda.

Rozpłaszczona na podłodze czułam każdy leżący na drodze konar i kamień, każdy garb i wybrzuszenie. Nagle usłyszałam jakby odgłos zderzenia, potem huk wybuchu podobny do tego, jakimi rozwalali nam bębniaki na poligonie. Granatnik? Jechaliśmy coraz szybciej. Seria puszczonej z przodu samochodu. Najprawdopodobniej Igor. Miałam wrażenie, że strzały dochodzą ze wszystkich stron. Odgłosy uderzeń, jakby ścierały się kamienne olbrzymy. Co to, do cholery?!

– Siedź. – Memed mnie przytrzymał, nie pozwalając wychylić się zza siedzenia.

Szalona jazda trwała i trwała, w końcu samochód zwolnił. Odetchnęłam z ulgą. Otaczała nas prawie zupełna cisza, słyszałam tylko dźwięk rytmicznie

pracującego silnika. Musieliśmy wjechać na asfaltową drogę, bo komfort pasażera znacząco wzrósł. Achmatow nadal nie pozwolił mi wysunąć nosa spod pospiesznie zmontowanej kryjówki. Usłyszałam za nami drugi samochód. Chyba był uszkodzony, bo silnik strasznie rzęził, wydawałoby się, że ktoś wsypał do niego gwoździe i tłoki właśnie je przerabiały na stalowe wióry. Karoseria trzeszczała, jakby leżał na niej hipopotam. Ta porębana jazda musi się kiedyś skończyć!

I się skończyła, bo dostałam pozwolenie na zajęcie tylnego siedzenia. Nareszcie! Rozejrzałam się, teraz jechaliśmy leśną drogą – to akurat żadna nowina. Dobrze, że mogłam już usadowić tyłek na czymś miękkim, mój kręgosłup był wdzięczny za tę odmianę losu. A tu nagle wysiadka. Wyprostowałam się, dopiero wtedy poczułam ciężar kamizelki i hełmu. Z chęcią bym się ich pozbyła. Nie dość, że swoje ważyły, przynajmniej osłona tułowia, w dodatku były zdecydowanie za duże. Hełm spadał mi na nos, musiałam co chwilę go poprawiać.

Wysiadka okazała się przesiadką do cywilnego sedana, srebrnoszarego, pospolitego, niewyróżniającego się spośród innych pojazdów. Jedynym szaleństwem, jakie sobie zafundował nudny Kowalski, były przyciemniane szyby. Achmatow pozwolił mi ściągnąć hełm, reszta pasażerów również to zrobiła. Wzięłam do samochodu płachtę. Przyda się, bo była termoizolacyjna, a ja nadal miałam na sobie ciuchy, które naciągnęli na mnie porywacze: drelichowe szare spodnie i kraciastą flanelową koszulę. Jedno i drugie za duże, rękawy podwinęłam prawie do połowy.

Ruszyliśmy w dalszą drogę. Leżałam na tylnym siedzeniu i starałam się choćby zdrzemnąć. I tak nikt nie miał ochoty ze mną gadać. Wcale im się nie dziwiłam, własną głupotą narobiłam swoim wybawicielom wiele kłopotów. Pospieszna mobilizacja, poszukiwania, uszkodzony co najmniej jeden samochód. A ofiary? Któryś z porywaczy mógł zapłacić najwyższą cenę za to, że wszedł w paradę cynglom Zuradowa. Kiedy Dżochar wynosił mnie z piwnicy, na górze dostrzegłam kątem oka leżące na deskach ciało. Te serie z karabinów, strzały z granatnika? Dźwięki, huki, jakby zderzali się tytani wtrąceni przez cyklopów i sturękich do Tartaru.

Znowu postój. Wjechaliśmy do dużego hangaru, dostrzegłam rząd zaparkowanych pojazdów. Nie przypominały cywilnych samochodów. Kanciaste, ze stelażami, wieżyczkami, jakby miały być na nich zaraz

montowane automatyczne granatniki. Do cholery, co się dzieje?! Pozbyłam się ciężkiej kamizelki i wysiadłam z sedana. Z ulgą rozprostowałam kości, trzymając się za spodnie, inaczej opadłyby mi z tyłka. Przydałby się jakiś pasek, cokolwiek, choćby kawałek sznurka. Nagle zamarłam, mignęła mi znana twarz. Co tutaj robi Paweł?! Szukali mnie, a to właśnie w jego domu mnie zostawili. Nie powinnam być zaskoczona, że się za niego zabrali. Co mu zrobili?

Dałam nura między samochody, trzymając się za pasek opadających spodni.

– Odstawimy cię do domu... – Podchwyciłam fragment rozmowy. Zaczaiłam się za opancerzonym pojazdem, kryjówka była tymczasowa, zaraz mnie ktoś zza niego wyciągnie, ale może zdążę się dowiedzieć czegoś istotnego?

– Żeby się na mnie odegrali? – mówił Paweł. – Za zdradę?

– Podobno twoi nie maczali w tym palców – pogardliwe prychnięcie Dżochara. – Mocno musiałeś się walnąć w głowę, skoro zapomniałeś, jakim kłamstwem uraczyłeś nas wczoraj.

– Daj spokój chłopakowi – odezwał się Aslan. – Staranował ich w najlepszej chwili.

– Miałeś go pilnować.

– Nie doceniłem chłopaka. Zupełnie jakbym miał do czynienia z Glorią.

– A co z nią? – Paweł jeszcze bardziej się zaniepokoił, wyczułam to w jego tonie.

– W porządku. – Usłyszałam tuż nad uchem i poczułam, że ktoś chwyta mnie za ramię. – Nasza mała nawet nie zdążyła się porządnie wystraszyć.

– Puść mnie! – warknęłam, usiłując się uwolnić. Nic z tego. Igor trzymał mnie w stalowym uścisku.

– Ma dość wigoru, żeby podkradać się i podsłuchiwać.

– No to mamy ich w komplecie – mruknął Dżochar. – Dwójkę małych krętaczy.

– Nic ci nie jest? – spytałam Pawła. Staliśmy obok siebie naprzeciwko naszych oskarżycieli.

– Ee, nic, tylko nabiłem sobie guza. I przez jakiś czas byłem nieprzytomny.

Powiedz im coś! Chcą mnie odesłać do Magdy. Wtedy Kaznodzieja i Elegancik zrobią ze mnie tatarą!

– No i znamy winnych – skomentował Dżochar. – Pozdrów od nas Kaznodzieję i tego Elegancika.

– Mówiłem, żebyście zeszli już z chłopaka – zniecierpliwił się Aślan. – Twoja mama zgłosiła zaginięcie – poinformował Pawła. – Zostałeś porwany, i tej wersji się trzymajmy. My będziemy tymi złymi, czarnomazami, Czeczenami, gangsterami. Oni, tak jak i ty, uciemienionymi gerojami. Polakami ze sprawdzonym rodowodem do piątego pokolenia. Jesteś trochę poobijany? I dobrze. Spraliliśmy cię, żeby wymusić informacje. Zobaczysz, jeszcze zrobią z ciebie bohatera. – Klepnął Pawła po plecach, aż ten się zachwiał.

– Pożegnaj się z Glorią, bo możecie długo się nie zobaczyć.

Długo nie zobaczyć? Oczyszczają teren! Nie zamierzają wracać.

– Gloria – napomniał mnie Aślan. – Nie trać czasu, musimy zaraz jechać.

– O czym oni mówią? – spytał Paweł, gdy cyngle odeszli.

– Pewnie znowu czeka mnie wyprowadzka, bo zacierają ślady. Naprawdę wszystko w porządku? Nic ci nie zrobili?

– Najadłem się tylko strachu. O ciebie. I pierwszy raz byłem w prawdziwej akcji!

– Tylko po nie tej stronie. – Uśmiechnęłam się do niego.

– Strona była właściwa. – Paweł mnie objął.

– Teraz żałuję, że nie dałam ci się wykorzystać.

– Nic straconego.

Pocałował mnie. Szkoda, że ta chwila nie mogła trwać wiecznie.

– Będę się z tobą łączyć – szepnął mi do ucha.

– Już o to zadbają, byśmy nie nawiązali połączenia.

– Mamy Mirka.

– Jeśli nie zatarł śladów włamu, nic z tego.

– Zdolny jest. – Nadal mnie obejmował. – Jakby co, znajdziemy cię na goście.

Musieliśmy kończyć te obściskiwanki, bo zobaczyłam zbliżającego się

Zuradowa. Obok niego szedł nieznany mi mężczyzna.

Ostatni pocałunek, tak długi, jak się dało.

Poczułam dłoń na ramieniu, odsuwającą mnie od chłopaka.

– Pojedziesz z nim. – Asłan wskazał Pawłowi nieznajomego. – Poinstruuje cię po drodze, co i jak. Radzę słuchać jego poleceń. I nie szukaj Glorii. Nic to nie da i znowu ściągniesz na siebie kłopoty. Sama się skontaktuje, gdy będzie bezpiecznie. Również dla niej.

– Ciekawe kiedy? – burknęłam. – W drugim życiu? Gdzie tym razem mnie zabieracie? Na Haiti?

– Trzymaj się, Chwała. – Paweł ścisnął moją dłoń. Zrozumieliśmy się bez słów. Zrobi wszystko, by mnie odnaleźć.

Nieznany mi facet wszedł między nas i lekko go pchnął w stronę granatowego vana, dając do zrozumienia groźnym spojrzeniem i zmarszczeniem brwi, że jeśli Paweł nie posłucha, zastosuje bardziej zdecydowane środki przymusu.

Pobiegłabym za moją nieskonsumowaną miłością odpływającą w siną dal, gdyby Tank mnie nie przytrzymał.

– Dzięki – burknęłam. – Miałam chłopaka i już go nie mam.

– Następnym razem wybieraj lepiej. – Usłyszałam za plecami. Wykręciłam się w ramionach Zuradowa.

– Nie możesz podarować sobie sarkazmu? – warknęłam na Igora, który – jak to on – musiał się niespodziewanie pojawić.

– Lidia z Darkiem na ciebie czekają. – Zamachał mi przed nosem skórzanym paskiem.

– Chcesz mi powiedzieć, że szykuje się kolejna poważna rozmowa? Gołego tyłka z pasem?

– Jeśli znowu nabroiłaś...

– Tank, ty też przeciwko mnie?

– Taka mała rada, nie kolekcjonuj chłopaków. Idź za głosem serca, nie hormonów.

– Wyjąłeś mi to z ust – zabasował mu Igor. – A to dla ciebie, żebyś nie musiała ciągle łapać się za gacie. – Podał mi pasek. Uderzyłam go nim

w ramię. Dobrze wiedział, za co. Za hipokryzję.

Zobaczyłam odjeżdżającego vana z Pawłem siedzącym przy kierowcy. Ostatnie długie spojrzenie – tyle mi zostało po pierwszym chłopaku. Niech to wszystko szlag! Zuradow z Lediewem, nieczuli na moją stratę, poprowadzili mnie w głąb hangaru. Stał tam najprawdziwszy transporter opancerzony na dużych kołach z grubym bieżnikiem. Wyglądał jak amfibia. Takie coś mogło pływać, a nawet miało falochron. I musiało kosztować chorą kasę, w dodatku ważyć tony. No i niech ktoś mi teraz powie, że Darek to normalny zjadacz chleba! Przez tylną rampę weszliśmy do tego militarnego cudu techniki – potwora w maskujących barwach piasku, trawy i zaschniętego błota. W jego brzuchu świeciło dobrze mi już znane szmaragdowe światło. Uaktywnione pole ochronne. Darek z Lidią siedzieli na podwieszonych do sufitu rozkładanych krzeselkach. Igor rozłożył jedno dla mnie, następnie zajęli z Asłanem miejsca po mojej prawej i lewej stronie.

– Wybieramy się na wojnę? – zażartowałam.

– Dobrze, że humor cię nie opuszcza – mruknął Darek. – Zostań. – Przytrzymał Lidię, która na sto procent chciała się na mnie rzucić i mocno objąć, a potem trzymać, trzymać... – Znowu naraziłaś się na niebezpieczeństwo przez swoje kręctwo. Nie po to Asłan, Dżochar i Memed pilnują cię jak arabskiej księżniczki, byś im się wymykała.

Mogli lepiej się postarać, pomyślałam, ale miałam na tyle rozsądku, żeby mi się to nie wymknęło. Arabskie księżniczki pewnie nie takie numery wycinały chroniącym je gorylom. Ja chciałam tylko pójść na imprezę z chłopakiem, a że pojawiło się tam nieciekawe towarzystwo...

– To nie zabawa. Wyszłaś z tego cało, ale zrobił się niezły burdel, w dodatku z trupami.

– Oril wkroczył do akcji – odezwał się Asłan. – A raczej wleciał. I narobił niezłego rabanu. W dodatku Paweł też mógł stracić życie. Odsiecz, na którą się nadzialiśmy... No... przynajmniej z kilku została miazga.

– On...? – Jak by to powiedzieć? – Zaatakował w swojej postaci? Tej prawdziwej?

– Ano – potwierdził Igor. – Możesz sobie wyobrazić, jak to wyglądało?

– Gdzie teraz jest?

- Z przodu, w kabinie załogi.
- Jako chłopak?
- Tak. Ale to teraz nieistotne. Lidia...

Skoro Lediew zwrócił się do mojej siostry, zaraz poruszą delikatniejsze kwestie, jak powiadomienie mnie o nowym miejscu wygnania. Żegnaj, Roksano, moja nowa przyjaciółko, żegnaj, Pawle, mój pierwszy chłopaku. Żegnaj, Szczepanie, byłeś naprawdę w porządku, żegnaj, Arturze. Dziękuję ci za naukę jazdy na motocyklu enduro i ciekawe historie. Żegnajcie, moje kochane koniska. Zateśniłam nawet za złośliwą Baśką.

– Musieliśmy się wyprowadzić. – Lidia potwierdziła moje złe przeczucia.

– Wyprowadzić? – parsknął Darek. – Ewakuować, i to szybko. Cały ośrodek!

– A co ze Szczepanem? Co z końmi? Wywieziecie je tym transporterem?

– Dopiero teraz się nimi martwisz? – spytał Aslan.

Poczułam, jak ze wstydu płoną mi policzki. Co miałam odpowiedzieć? Że o tym nie pomyślałam?

– Klub zostaje tam, gdzie był – poinformowała mnie Lidia spokojnym tonem. – Szczepan i wszystkie konie też.

– A jak, mszcząc się za tych zabitych, zniszczą nasz ośrodek? Podpalą stajnię?!

– Nic naszego nie zniszczą. Dom był wynajmowany. Stracimy tylko zaliczkę na czynsz i kaucję.

– Oszukałaś mnie! Mówiłaś, że mamy go po babci Marii!

– Jak bym ci wytłumaczyła, że stać mnie na wynajęcie takiej dużej posiadłości? I po co mi ona?

– A biblioteka? Też ją wynajęłaś?

– Książki przywiozłam z mieszkania w Bronowicach. Mogłaś nawet którąś pamiętać. Na przykład *Małą księżniczkę*. Mama czytała ci ją do poduszki.

– A budynek z tyłu?

– Był własnością armii. Pensjonat ze stajnią i ujeżdżalnią to doskonała przykrywka.

– To wszystko było jednym wielkim oszustwem! W dodatku kiepskim, bo co z kursantami?

Nie doczekawszy się szybkiej odpowiedzi, wzięłam głęboki oddech, po czym wyrzuciłam z siebie dręczące mnie pytania:

– I co teraz? Gdzie jedziemy? Gdzie tym razem prowadzi szlak?

– Na Ukrainę.

Zatkało mnie. Straciłam cały rezon. Wyparowała ze mnie agresja.

– Chcecie mi powiedzieć, że zniszczona Ukraina jest bezpieczniejsza od skorumpowanej Polski, gdzie do władzy doszli bandyci z karabinami?

– Mamy tam coś do załatwienia.

Przypomniały mi się słowa inspektora Dareckiego. Mama i tata! To o nich chodziło.

– „Minęło dziesięć lat, ale sprawa nie jest zamknięta” – zacytowałam inspektora.

Tym razem to Lediew objął moją dłoń, nie Darecki.

– Ale przecież nie można tam dotrzeć! Odnaleźć ich grobów... Tak mówił Darecki. Igor, pamiętasz?

– Pamiętam – potwierdził.

– Darecki wygadał się, że mają wydział, który zajmuje się tego typu przypadkami. Dlaczego im tego nie zostawicie?

Przedłużająca się cisza. Ich milczenie powiedziało mi wszystko.

– To wy jesteście tym wydziałem!

– Mówiłem, że jest bystra – potwierdził moje domysły Igor.

– Bystrość, spryt i nieposłuszeństwo – skomentował Aslan – to mieszanka wybuchowa.

– To ty miałaś nauczyć ją karności – odparował Lediew.

– I wytrwałości w dążeniu do celu. – Zuradow szybko odbił piłkę. – To mi się akurat perfekcyjnie udało.

– Fakt, jest uparta jak osioł.

– Nie próbujcie rozmyć sprawy – natarłam. – Co z porwaczami samolotu? Dlaczego chcieli lecieć na Ukrainę?

– Spekulacje. – Igor wzruszył ramionami. – O tyle prawdopodobne, że nie można byłoby ich tam dopaść. Resztę załatwiłaby kasa. Przerzut na Krym. Ale Ukraina to nie Disneyland ani przystań dla gangsterów na emeryturze. Nadal jest tam cholernie niebezpiecznie, jak dziesięć lat temu. Powiedziałbym nawet, że bardziej. Tank gadał o tym z Walerijem.

– To dlaczego mnie tam wieziecie?

– Z dwojga złego – zabrała głos Lidia – wolę mieć cię przy sobie. Strach zostawić cię samą. Gdziekolwiek! Nie podjęłabym się, siostrzyczko, odesłać cię nawet do Quebecu. Ba, do Nowej Zelandii!

– A ty, Igorze Lediew? Jaka jest twoja rola? Wątpię, że przez przypadek znalazłeś się w Polsce. I że przez przypadek teraz jedziesz z nami. Ludzie, którzy mnie porwali, nic do ciebie nie mają.

– Nie mieli – sprostował. – Do czasu, aż wkroczyłem do akcji. Masz rację, to nie przypadek, że wam towarzyszę. Dostałem zadanie: zbadać sytuację na Wschodzie. Szczególnie to, co dzieje się za murem, na Ukrainie.

– A kto ci je zlecił?

– Mądra dziewczynka nie będzie oczekiwać odpowiedzi na to pytanie.

– Skoro przyłączyłeś się do nich – zatoczyłam ręką, wskazując na Lidie, Darka i Asłana – jak możesz nie wiedzieć, kim są? I kim jest ich podopieczny? Ten z przodu, w kabinie załogi.

– Oril to całkiem sympatyczny chłopak.

Znowu wymigał się kpina. Miałam ochotę wbić mu łokieć w brzuch. I bym to zrobiła, gdyby nie chodziło o poważniejszą sprawę niż stosunek Lediewa do mnie. O szansę na odnalezienie grobów rodziców. Ale czy Igor wiedział, że przyłączył się do Sprawiedliwych? Czy jako agentowi obcego wywiadu właśnie udało mu się ich rozpracować? A może od początku działali wspólnie? W pełnym porozumieniu i świadomości zagrożeń, jakie pociągał za sobą taki sojusz? Dzięki facetowi Lidii Sprawiedliwi mieli wsparcie armii, może nie czynnych wojskowych, tylko operatorów, którzy zakładali prywatne firmy pracujące dla wojska. Ale branża to branża – ludzie z nią związani trzymają się razem.

– Możemy już jechać – oznajmił niespodziewanie Darek i wstał z podwieszanego siedzenia. – Zaraz zacznie solidnie trząść.

Reszta również wstała. Igor chwilę majstrował przy siedzeniach. Spuścił z góry coś na kształt hamaka. Zamiast siatki z linek miało grube parciane pasy. Przypominało łóżko polowe, ale nie takie normalne, stawiane na ziemi.

– Wskakuj, będzie ci wygodniej niż na siedzeniu. Wynosimy się stąd razem z Darkiem. Ja, żeby kierować transporterem.

– A on będzie strzelcem?

– Mówiłem, że mała to bystrzacha.

– Też mi wniosek – mruknęłam. – W końcu to pojazd wojskowy, nie? Ale jak nim wjedziecie na drogę publiczną?

– Spokojnie, już o tym pomyśleliśmy. Podepniemy się pod konwój wojskowy kierujący się ku granicy.

– Właśnie na ten moment czekałem – dodał Darek. – Przyjemnej jazdy.

Zeszli z Igorem z rampy. Drzwi zamknęły się z dźwiękiem pneumatycznych amortyzatorów.

Ułożyłam się na lewitującym łóżku, które tylko z pozoru wyglądało na proste i siermiężne. Odkryłam, że można było regulować jego ustawienie. Lidia wcześniej rzuciła na nie piankowy materac, a teraz okryła mnie rozpiętym śpiworem z tkaniny o gładkiej fakturze. Z podobnego materiału były szyte kombinezony dla strażaków.

Darek wiedział, co mówi, kiedy ostrzegał mnie przed jazdą. Trzęsło niczym na taśmie wibracyjnej. Gdyby łóżko stało na podłodze, drżałabym jak w ataku padaczki – to przez te wielkie koła z grubym bieżnikiem. A teraz pływałam niczym embrion w pęcherzu płodowym matki. Czułam się, jakbym leżała w kołysce. Zaczęły kleić mi się powieki. Wnętrze rozświetlała tylko szmaragdowa mgiełka, a ja od świtu byłam w stanie permanentnego stresu, niepewna swojego losu. Mogłam zapomnieć o spokojnych snach. Płytką drzemka nie uwolniła mnie od burzy myśli, kotłujących się pod dekle. Jak przez ciężką zasłonę słyszałam urywki zdań. Lidia z Tankiem sądzili, że zasnęłam.

– Żaden wysłany tam dron nie odbiera sygnału – mówił Aslan. – Ten nasz też będzie bezużyteczny.

– A satelity?

– Zaburzenia obrazu. To miejsce jest jak Trójkąt Bermudzki, sto kilometrów

od granicy i jakby wszystko trafiało do innego wymiaru. Na Kaukazie to samo. Igor ma to wyjaśnić na miejscu, tylko w ten sposób wędrują informacje.

– Co zaburza czujniki? Plamy na słońcu? Burze magnetyczne? Dla mnie to niepojęte.

– Żeby tylko dla ciebie.

Zamilkli. Miałam czas, by zastanowić się nad tym, co usłyszałam. A wtedy poczułam czyjaś obecność. Nie fizyczną, tylko w swoim umyśle. To był Oril.

Rozdział 24

Łapa

Orilowi udało się połączyć z Glorią i Pierwszymi Sprawiedliwymi. Wykorzystał do tego technikę stworzoną przez ludzi. Kiedy dziewczyna zobaczyła jego twarz w postaci hologramu przesłanego przez łącza w pojeździe, stała się bardziej ufna. Samo grzebanie w umyśle mogło sprawić, że zamknie się na nieznane jej bodźce. Zuradow i Achmatow ujrzeli go w tej samej chwili co Gloria. Starszy mężczyzna znajdował się w innym pojeździe. Znał ich obu. Czuł z nimi więź, która powoli, ale stopniowo rosła. To miało coś wspólnego z odległością od... Źródła? Dotarła do niego rozmowa Lidii z Asłanem, również ich niepokój. Wszyscy go odczuwali. Chodziło o brak sygnału? Burze magnetyczne? Fizyczne zjawiska nie biorą się znikąd. Oril właśnie odkrył, że jego przybycie na Ziemię to nie przypadek. On już kiedyś tutaj był. Spaci wysłali Trojło na misję. Wrócił z niej, ale coś tu zostawił. I wiedział, kto jest kluczem. Zmierzali w dobrym kierunku, ale im byli bliżej, tym stawało się niebezpieczniejsze.

Będzie ludziom potrzebny – w miejscu, do którego jechali, wszędzie czała się śmierć. Idealne warunki, żeby wykorzystać zdolności Trojło. Gdyby spaci wiedzieli, jak będzie wyglądać jego resocjalizacja, dobrze by się zastanowili, zanim wypuścili Orila z więzienia.

Twarz młodego chłopaka. Wpatrujące się we mnie malachitowe oczy okolone długimi czarnymi rzęsami. W tle mignęły mi oblicza Memeda i Asłana. Dlaczego Oril nas łączył? Ukazywał się nam jednocześnie? Co dawał do zrozumienia? Jak poznać język tego stworzenia? Jak porozumieć się z Obcym? Gdzie popełniałam błąd? Przestałam się sugerować tym, co widzę. Posłuchałam rady, którą sobie przypominałam: pozory mylą. Ale co się za nimi kryło?

Nie mogłam czytać w myślach Orila, odbierać emocji, czuć tak jak on – za to Obcy patrzył na mnie jak na holograficzną mapę. Wnikał do mojej jaźni, wywołując lekki niepokój. Uspokajał ofiarę jak kleszcz, który wpija się w ciało, wstrzykując znieczulającą dawkę neurotoksyny.

Paskudna świadomość bycia dymanym – wrażenie wykorzystywanej ofiary mentalnego pasożyta. Obaj mężczyźni mieli podobne odczucia, świadczyły o tym ich niewyraźne miny. Twarz Obcego rozplynęła się w szmaragdowej mgiełce. Ale on tam ciągle był – w moim umyśle. Obojętnie, co zrobię, dowie się, jakie motywy mną kierują. Co czuję. To powinno być zakazane! Jeśli kosmici mieli prawo chroniące mieszkańców innych planet, Oril rozmyślnie je łamał.

– Lidia! – wyrwałam siostrę z drzemki. – Jak zobaczyć, co jest na zewnątrz?

Podpłynęłam do niej na swoim odlotowym łóżku i uformowałam je w zgrabny fotelik. Wysunęłam ze ściany konsolę o aerodynamicznym kształcie.

– Możesz z niej kierować kamerą, peryskopami i odbierać obraz z innych urządzeń optycznych.

– Chciałabym zobaczyć to samo co Darek i Igor.

– Możesz uzyskać dostęp nawet do kamery dowódcy, ale musisz potwierdzić kody.

– Załodze raptora niekoniecznie może zależeć – włączył się Aslan – żeby szturmowcy widzieli, co się dzieje na zewnątrz.

– W takim razie idą jak ślepi na rzeź. Po prostu cudownie!

– Taka jest wojna. Tam, gdzie jedziemy, żołnierz jest tylko mięsem armatnim.

– Wiem.

Poczułam jego rękę na ramieniu. Usiadł za mną.

– A niby skąd?

– Trochę czytałam o pierwszej i drugiej wojnie światowej. Los sowieckiego żołnierza był straszny. Raptor? – zmieniłam temat, lepiej nie zapeszać. Ukazał się przede mną obraz kolumny pojazdów zmierzających gdzieś bitą drogą. – Trafna nazwa. Kojarzy się z Orilem. Właśnie, mamy

z nimi połączenie?

– Załóż to. – Lidia podała mi miniaturowe słuchawki i otoczyła mój nadgarstek giętą czarną opaską podobną do szkolnych identyfikatorów. – Będiesz mogła rozmawiać z każdym z nas bezpośrednio.

– A z Memedem i Dżocharem?

– Jadą przed nami żubrem.

– Fajnie się nazywa.

– To pojazd pancerny. Ale nie skontaktujesz się z nim. Nie masz uprawnień do wysłania wiadomości poza transporter.

No to kicha! Żadnej możliwości połączenia się z Pawłem, Roksana i Mirkiem. Tablet zostawiłam w domu, osobisty nadajnik w garażu Pawła. Celowo, aby moi ochroniarze myśleli, że cały czas tam byłam, a wyłączyłam go, bo obściskałam się z chłopakiem.

– Mój identyfikator został u Pawła. Śledztwo, porywacze...

– Uspokój się – zareagował Tank. – Już go tam nie ma. Pierwsze, co zrobiliśmy, to go zabraliśmy. Możesz sobie wyobrazić nasze zdziwienie, gdy zobaczyliśmy, że do nadajnika nie była dołączona właścicielka? Leżał na ciepłej pulsującej konsoli o temperaturze trzydziestu sześciu stopni i siedmiu kresek. Pomysłowa z ciebie osóбка, trzeba ci to przyznać.

– Możesz mi go zwrócić?

– Żebyś znowu coś zmalowała?

– Bez niego jestem odcięta od świata! – Nie wytrzymałam. I właśnie koncertowo się podłożyłam, zdradzając swoje plany.

– Nie połączysz się z przyjaciółmi ze szkoły – odrzekła spokojnie Lidia. – Przed chwilą ci to mówiłam. Masz blokadę na wszystkie połączenia wychodzące. Możesz nawiązać kontakt tylko z nami.

– No to jestem udupiona! – palnęłam. Cholera, powinnam się kontrolować.

– Dokładnie. Jesteś, mała, udupiona. – Wyczułam, że Tank sobie ze mnie pokpiwa, naśladując Igora. – Ale dobrze wiesz, że na to zasłużyłaś. Już ci to wbijałem do głowy, gdy chciałaś się nauczyć jeździć na motocyklu w weekend, bo okłamałaś Pawła. Wszystko, co się teraz dzieje, jest konsekwencją twojego postępowania.

– Takie gadki wapniaka powinna mi serwować moja kochana siostra Lidia!

– Jestem wdzięczna Aślanowi, że mnie w tym wyręcza. Tylko on może do ciebie trafić.

– Jak widać, umiarkowanie mu to wychodzi – odparowałam zgryźliwym tonem, odwdzięczając się Tankowi. – Dajcie już spokój. Obserwuję drogę. Właśnie dołączyliśmy do kolumny.

Zmieniłam położenie peryskopów, żeby zobaczyć całe otoczenie. Powiększałam obraz, przybliżałam, równocześnie widziałam to samo co Igor i Darek. Sprytnie pomyślane. Ale wystarczy, że cofną mi uprawnienia, a będę jak mumia złożona w grobowcu. Nagle znowu poczułam obecność Orila. Musiały go zainteresować moje spostrzeżenia. Wyjątkowo niekomfortowa sytuacja, kiedy ktoś wie, co knujesz, jaki jest twój chytry plan.

– *Spadaj z mojej głowy* – przesłałam mu w myślach czytelne info. Nawet tępy kosmita powinien zrozumieć jego wymowę. Prywatność to święta rzecz. Obserwacja ciekawych przypadków w celu lepszego poznania obcego gatunku nie usprawiedliwia inwigilacji.

– Przepraszam – usłyszałam jego cichy głos w słuchawkach. – Ale nie mogłam się powstrzymać. Jesteś tak interesującym stworzeniem.

– „Przeprosiny nie wystarczą”.

Użyłam konsoli, by przesyłać mu wiadomość. Mimo że Aślan i Lidia usiedli z tyłu pojazdu, usłyszeliby, co mówię. Mogli mieć też opcję wychwytywania i wzmacniania podejrzanych dźwięków.

– „Możesz dzielić się ze mną zebranymi informacjami?” – wystukałam i rzuciłam okiem na ekran.

– „Nie ma sprawy” – przyszła odpowiedź.

– „Gadkę nastolatka też masz zaprogramowaną?”

– „W ten sposób skuteczniej do ciebie trafiam”.

Świetnie, złapałam kontakt z kosmitą. Będzie moją drugą parą oczu.

– „Co wiesz o miejscu, do którego jedziemy?” – Odcięli mnie od świata? Ich niedoczekanie! Zapomnieli, że mając połączenie z członkami załogi, mogę też być w stałym kontakcie z Orilem. – „A ten kanał? Jesteśmy na nim sami?” – wolałam się upewnić.

- „Pełna dyskrecja, mała”.
- „Nie mów na mnie tak jak Igor!”
- „Szkoda Pawła, ale zobaczysz, jeszcze się spotkacie”.
- „Dziękuję za pocieszenie. Chyba tylko ty mnie rozumiesz”.
- „Staram się”.

I kto powiedział, że kosmici nie są cool?

- „Równy z ciebie gość, Oril”.
- „Asłan ma rację”.
- „Błagam! Tylko nie ty. Wszyscy mnie pouczają. Oril, konkrety”.
- „W przystępny sposób?”
- „Jak tylko możliwe”.
- „OK, mał..., sorry. Ale tak mi się to podoba. OK. Gloria”.
- „Już lepiej”.

Asłan i Lidia całkowicie stracili zainteresowanie moją osobą. Rozłożyli coś podobnego do stołu i gmerali nad nim. Wyglądało to jak gra strategiczna typu szachy, tylko w wersji holo. Gdyby był tutaj Paweł, podejrzewam, że z nudów rznęlibyśmy w pokera. Poza tym gra polegająca na skuteczności blefu lepiej pasowała do obecnej sytuacji.

Oril zaczął pisać:

- „Dużo śmierci... To kraina podobna do Mordoru”.
- „Znajomość literatury fantasy też masz w swoim programie?”
- „Popkultura to czytelny nośnik”.
- „*Władca Pierścieni* to już od dawna klasyka”.
- „Dlatego coś o niej wiem. Ale wróćmy to tematu. Czeka nas ciężka przeprawa, dlatego radziłbym słuchać poleceń... wapniaków”.
- „Miałeś sobie darować!!!!!” – dopisałam kilka wykrzykników. Kosmita kosmitą, ale Oril najwyraźniej nie kuma, że wchodzi w rolę klona Asłana i mojej siostrzyczki.
- „Kumam więcej, niż ci się wydaje”.
- „Bo włączysz do mojego umysłu! Rozbierasz emocje na drobne”.

- „Chcesz się czegoś dowiedzieć czy ciągle zachowywać jak gówniara?”
- „Teraz gadasz jak Dżochar z domieszką Darka”.
- „Przepraszam za to ostatnie. Jeszcze mieszają mi się osobowości”.
- „Bądź sobą. To pomaga”.
- „Gdybym był sobą, zlikwidowałbym osobników, którzy cię porwali. Jak to mówił Igor, jestem Sprzątaczem. Wrywam chwasty”.
- „Znowu popkulturowe hasło”.
- „Ale oddaje istotę tego, kim jestem. Moją pokutą na tej planecie jest odwrócenie skutków przemocy”.
- „Żeby jej zapobiegać, trzeba stosować te same środki. Przemoc”.
- „Przedtem inaczej myślałaś”.
- „Mój stosunek do otoczenia zmienia się w zależności od tego, jak jestem traktowana. Nic nie zrobiłam ludziom, którzy mnie porwali. Nic nie zrobiłam nożownikom w metrze, których zabił Aslan”.
- „Dochodzisz do istoty tego, kim są Sprawiedliwi. Ja też coraz lepiej ich poznaję. A ci porywacze... Nie żałuj ich, bo niejedno mają na sumieniu”.
- „Czy zaprogramowano ci coś takiego jak sumienie? Czy charakteryzuje ono wyłącznie ludzi? Jest miarą naszego człowieczeństwa?”
- „To nic innego jak poczucie winy. Każda świadoma istota ma sumienie”.
- Pod warunkiem, pomyślałam, że nie jest psychopatą.
- „Przynajmniej powinna” – dopisał. – „Ci osobnicy go nie mieli. Ale to przedsmak tego, co nas czeka. Niedługo wjedziemy na tereny, gdzie żywny czarnoziem jest usiany kośćmi ofiar. Gdzie spotkanie żywych przynosi śmierć. To masowy grób”.
- „Niepotrzebnie zapytałam”.
- „Jeśli chcesz, mogę przytoczyć suche dane, statystyki”.
- „Dziękuję, wystarczy mi to, co napisałeś. Ta rozmowa nie wycieknie?”
- „Nie. Masz to jak w banku”.
- „Oril, litości! Ta odzywka tutaj nie pasuje. Nie musisz ciągle sypać kolokwializmami, żeby się ze mną porozumieć”.
- „Jak mówi Igor, jesteś mądrą dziewczynką”.

– „Zdecydowanie masz problem z osobowością. Powłoka i gadka młodego chłopaka ci nie służą. Właśnie – prześlesz ode mnie informację Pawłowi? Jak już będziemy daleko, za granicą” – dopisałam. Wołałam nie przeginać. Klika osłaniająca porywaczy nie mogła nas już tam dopaść.

– „Przecież podsłuchiwałaś siostrę. Wiesz, że coś blokuje sygnał”.

– „Jesteś kosmitą. Na pewno macie lepszą technikę”.

– „Może nie aż na tyle lepszą? A teraz wybacź, muszę się skupić, przeanalizować najnowsze dane. Za parę godzin wjedziemy na tereny, gdzie w każdej chwili można wylecieć na IED”.

– „Co to jest?”

– „Ajdik, improwizowany ładunek wybuchowy. Według moich danych najczęstsza przyczyna strat osobowych w armii na okupowanych terenach. Inaczej fougasse, fugas. Broń biednych przeciw bogatym”.

– „Sama bym to sprawdziła, gdyby nie odcięli mnie od go-netu”.

– „Koniec odbioru”.

Rozłączył się! Uraczył mnie sieczką informacji i odpisał: „pa, pa”. Ale to była moja wina, bo zamiast pytać o konkrety, komentowałam jego wtręty językowe. Zrozumiałam jedno: Ukraina jest jak Dziki Zachód. Ciężka broń i pojazdy opancerzone zapewniały ochronę podróżującym po jej zniszczonych, zarośniętych drogach, a i tak bezpieczeństwo pod stalowym pancerzem było pozorne. W każdej chwili mogliśmy wylecieć na minie. Oril dał mi do zrozumienia, że przygotowuje się, by zapobiec podobnej sytuacji, a ja zawracałam mu głowę pierdołkami typu „połącz mnie z moim chłopakiem”. Lidia, Darek i Aślan mieli rację, zachowywałam się jak gówniara. Postanowiłam się poprawić. Chciałam, żeby traktowali mnie jak partnera. A robiłam wszystko, by pokazać, że na to nie zasługuję.

Czas zaczął mi się dłużyć. Odcięcie od sieci oznaczało zero rozrywek. Nawet książki miałam w chmurze, do której straciłam dostęp. Przyłączyłam się do Lidii i Aślana. Wyłumaczyli mi zasady gry. Wcale się nie dziwiłam, że była związana z militariami. Polegała na symulacji. Prowadziłam raptora, a terroryści zostawili na drodze zamaskowane ajdiki. Jeśli popełniłam błąd, następowało jedno wielkie bum. Z aureolką nad głową leciałam wraz z załogą transportera do nieba. Nie ma co! Świetna rozrywka dla nastoletniej

dziewczyny. Wywołująca koszmary, dająca do myślenia. Śmierć stała się dla mnie zbyt namacalna, zagrożenie aż nadto realne.

Wyświetliłam dane techniczne mojego raptora. Prędkość maksymalna: 120 km/h. Oszałamiająca, jak na pojazd ważący prawie dwadzieścia ton. Wykorzystywałam dane dostępne w grze. Trasa Kraków – Przemyśl, dwieście pięćdziesiąt kilometrów z haczykiem, niecałe trzy godziny jazdy samochodem. Przesiedliśmy się do transportera, szacując na oko, jakieś sto, maksymalnie sto pięćdziesiąt kilometrów od Krakowa. Uff! Zakładając, że poruszamy się po bocznych drogach z prędkością sześćdziesięciu kilometrów na godzinę, powinniśmy już przekroczyć granicę. Wymówiłam się nudą i przesiadłam na stanowisko z dostępem do peryskopów. Już nie ciągnęliśmy się w długiej kolumnie pojazdów, jechaliśmy polną drogą. W konwoju zostało nas maksymalnie pięć sztuk i drobniaczka. Co to jest?!

Zrobiłam zbliżenie czoła kolumny. Dziwne dwukołowe pojazdy wyglądały jak opancerzone motocykle przystosowane do jazdy po wertepach. Poruszały się nie tylko z przodu, ale i krążyły wokół nas. Jakaś ruchoma siatka wczesnego ostrzegania? Dlaczego pojawiły się właśnie teraz? Kiedy wchodziliśmy w skład oficjalnego konwoju, z przodu jechały pojazdy giganty. Gdyby na drodze były zamaskowane miny, kolosy przez nacisk na podłoże zdetonowałyby ładunki. Teraz nie mieliśmy podobnej osłony. Może dwukołowe opancerzone maszyny pełniły podobną funkcję? Zauważyłam, że co jakiś czas wypuszczają coś na kształt stalowych macek.

– Co to jest? Te dziwne motocykle z mackami? Nikt na nich nie siedzi.

– A, mówisz o szperaczach. – Aslan oderwał się od gry i zrobił rzut obrazu z peryskopu, tak że małe holograficzne figurki dwukołowców grzały prosto na nas. – Dżochar z Memedem sprawdzają nimi drogę. Wzrosło niebezpieczeństwo zdetonowania fugasa. Możemy też trafić na klasyczne pole minowe, pozostałość po walkach regularnej armii.

– Przekroczyliśmy już granicę?

– Jakąś godzinę temu. – Lidia złożyła stolik, hologram zniknął. – Ale jeszcze mamy połączenie z Przemyślem. Darek informuje mnie, że zaraz się zatrzymamy. Zgłodniałam. A ty nie?

Z nadmiaru wrażeń mój brzuch się skurczył, a pęcherz drastycznie zwiększył objętość. Jedno i drugie teraz się obudziło. Słowa Lidii były dla

moich organów wewnętrznych jak czerwony alert.

– Radziłbym nie zatrzymywać się w okolicy. – Asłan wyjął spod złożonego siedzenia karabin Dragunowa. – Obszar przy granicy jest tylko pozornie bezpieczny. Więcej tutaj szkieletów niż kilkaset kilometrów stąd. Pas przygraniczny to pułapka, obszar działania band. Ale spytajmy o to Orila. On wyczuwa wrogą obecność. Nie wiem jak, ale jest skuteczny.

Lidia włączyła ogólny komunikator, tak by wszyscy mogli uczestniczyć w rozmowie.

– Oril, co sądzisz o okolicy? Jest tutaj bezpiecznie?

– Dajcie nam chwilę – poprosił Darek. – Oril jest w transie. Na razie natknęliśmy się tylko na hordy zdziczałych psów. Były dziwne. Nie uciekały.

Uzbroiliśmy się w cierpliwość. My tak, ale mój pęcherz zastrajkował.

– Bo zaraz będę sikać w menażkę – jęknęłam.

– Ciągłe krążą wokół nas. – Usłyszałam głos Orila. – Głodne nie uciekają przed szperaczami. Szukają pokarmu. Ale niewiele tutaj zwierzyny i nie wyczuwam innych ludzi. Jesteśmy tylko my.

– Jak przeżyły? – zainteresował się Darek. – Co jadły?

– Ludzkie mięso, trupy.

Przez chwilę panowała cisza, Asłan pierwszy ją przerwał:

– W Groznych psy, które się nie przystosowały, zdechły z głodu. Już jako szczeniaki znały jego smak. Zalecam ostrożność.

– Będą podchodzić powoli, niepewnie – włączył się Igor. – Znają nie tylko smak ludzkiego mięsa, również odgłos broni. Czują przed nią respekt.

– Strzały są dla nich sygnałem – wyrwało mi się – że jedzie nowa dostawa. Świeżych trupów! Ja tutaj nie wysiadam.

– Gloria ma rację – wsparł mnie Oril. – Terkot broni i odgłos wybuchów je przyciąga. Ale będą się trzymać na dystans. Wiedzą, co to opuszczone pole walki i że wystarczy poczekać.

– Czyli jedziemy dalej? – Już rozglądałam się za menażką. Termos będzie nawet lepszy.

– Zatrzymajmy się tutaj. – Zaskoczył mnie. – Powiem kiedy.

– A bezpieczeństwo? – przypomniałam mu.

– Zdajcie się na mnie.

– Możemy tutaj stanąć – zgodził się Darek. – Ślad skażenia terenu zerowy, w termowizji widać tylko plamy naszych silników i oddalającego się stada czworonogów. Ale założcie hełmy i kamizelki, tak w razie czego. Dopóki jesteśmy w granicach dawnej Ukrainy, nie ma opuszczania pojazdów bez ochroniaczy i załadowanej broni. Tak przynajmniej stoi w wojskowych instrukcjach.

Superperspektywa: kucanie w krzakach z gołymi pośladkami, ciężkim szpejem na grzbiecie i osłaniającym mnie strzelcem. Nie zabrałam kamizelki kuloodpornej do transportera, może mi się upiecze?

Aślan i Lidia zastosowali się do sugestii Darka, lecz dla mnie nic nie wyciągnęli. Była szansa, że wyjdę na zewnątrz w samym ubraniu. Tank opuścił rampę, a wtedy zobaczyłam Memeda, który oprócz karabinu niósł coś jeszcze. Rzucił to witającemu go towarzyszowi.

– To dla ciebie. – Położył na siedzeniu przede mną hełm balistyczny i ciuchy w maskujących barwach. – Szukałem niedużego rozmiaru. Powinny leżeć jak ulał. Mniejszych już w armii nie mają. Gdyby nie służyły w niej kobiety, musiałabyś podwijać nogawki i rękawy, tak jak w ubraniu, które masz na sobie.

– Nawet nie wiesz, jak się cieszę, że je w końcu zmienię. Ciągle czuję na sobie smród porywaczy.

Szybko zrzuciłam ciuchy przesiąknięte potem (długotrwały stres zrobił swoje) i założyłam termoaktywną koszulkę, legginsy i skarpety, następnie połowy mundur z materiału o grubej fakturze i wygodne buty na podeszwie z bieżnikiem, stabilizujące kostkę. Aślan pomógł mi z kamizelką i spiął ją rzepami. Była lżejsza od poprzedniej i nie ograniczała tak ruchów. Jeszcze hełm, osobisty pakiet medyczny do bocznej kieszeni spodni i byłam gotowa do opuszczenia transportera.

Wyszłam na zewnątrz. Zamiast podziwiać widoki – błękit nieba, zieleni trawy wyzierającą spod opadłych liści – przebierając w miejscu nogami, szukałam krzaków, zza którymi mogłabym przykucnąć, stając się niewidoczna dla reszty ekipy.

– Idę z tobą. – Oril położył mi dłoń na ramieniu.

Było mu do twarzy w polowym mundurze, którego stonowana barwa podkreślała malachitowy kolor jego oczu. Trzymał w ręku karabinek szturmowy MSBS-6,2. Podejrzewałam, że nie był mu potrzebny. Potrafił się obronić i zaatakować w inny sposób.

– Jesteś gorący.

– Mam temperaturę o dwa stopnie wyższą od ludzkiej. Spada, gdy jestem w letargu. Mogę hibernować, zmieniając strukturę komórek, nawet ciężar ciała, inaczej deformacji uległyby przedmioty ze słabszych materiałów, na których siadam, stoję i po których się przemieszczam.

– Wszystko to ciekawe, ale wybaczone. Chce mi się siku.

– Będę cię osłaniać.

Chcąc nie chcąc, poszłam z nim w krzaki.

– Odwróć się – poprosiłam.

– Nie będę na ciebie patrzeć. Samo odwrócenie się nic by nie dało. Rejestruję obraz również z tyłu głowy.

– Przecież nie masz tam oczu. – Rozpięłam pasek i guzik.

– Przez grzywry. Są wszędzie wokół.

Moja ręka zatrzymała się w połowie zamka spodni.

– Śmiało – zachęcił mnie. – Poleciałem im, żeby filtrowały obraz.

Uwierzyłam mu na słowo i dokończyłam krępującą czynność fizjologiczną. Kiedy wciągałam spodnie, zauważyłam, że Oril się wyłączył. Może przez te grzywry? Mogły przesyłać informacje w niekonwencjonalny sposób. Bo sam Oril, nawet w postaci człowieka, był nietypowy. A ja nigdzie ich nie widziałam. Perfekcyjnie się kamuflowały.

Wtem zarzucił karabinek na ramię i ruszył przed siebie. Poszłam za nim, nie bacząc na potencjalne niebezpieczeństwo. Spodziewałam się wszystkiego, ale nie tego, że nagle zniknie. Jakby zapadł się pod ziemię. Postąpiłam dwa kroki w tym kierunku. Mało brakowało, a wpadłabym w dziurę, która była częściowo zamaskowana uschniętymi już gałęziami iglaków.

Oril pochylał się nad niewyraźnie zarysowanym kształtem. Nie ściągnął karabinku z pleców. Najwyraźniej uznał, że jest tam bezpiecznie. Ostrożnie

zeszłam do jamy, starając się nie poślizgnąć, co skutkowałoby zwichnięciem kostki, a w najbardziej optymistycznej wersji zapapranie błotem mojego nowiutkiego ubrania. Usłyszałam cichy skowyt, jakby szczenięcia wzywającego pomocy. Od razu pomyślałam o psach ludojadach.

– Uważaj – ostrzegłam Orila, który wczuwając się w rolę dobrego samarytanina, mógł zapomnieć o wymogach bezpieczeństwa. – Może być chory na wściekliznę.

– Jest ciężko ranny. Prawdopodobnie postrzał.

Przyklękłam w bezpiecznej odległości od psa. Bezpiecznej pod warunkiem, że naprawdę był ciężko ranny. Takie bestie miały piekielny refleks.

– Co chcesz z nim zrobić?

– Pomóc mu. – Oril dokonywał oględzin psa. Usłyszałam warknięcie, musiał go dotknąć w bolesne miejsce. Przemawiał do zwierzęcia cichym głosem, po rosyjsku, a może ukraińsku? Mówił śpiewnie jak Roksana.

Pies mógł sobie przypomnieć czasy, kiedy opiekowali się nim ludzie: dawali mu jedzenie, usuwali kleszcze z pyska i karku, wyciągali drzazgi z łap. Kilka razy zaskowyczał, ponownie warknął, ale ciągle wpatrywał się w Orila niczym zaczarowany. Czuję jednak, że nadal jest groźny. Mógł wpaść nagle w szał. Nie wiadomo, jakie koszmarnie przeżycia miał za sobą. Dokładnie mu się przyjrzałam. Był wielki, miał piaskowobiałą sierść, długą i splątaną, masywny łeb złożył na kolanach Orila. Wyglądał jak krzyżówka owczarków kaukaskiego i środkowoazjatyckiego z domieszką jużaka. Tylko owczarki środkowoazjatyckie uchodziły za zrównoważone. Gdzieś czytałam, że kaukazy mają brzydki zwyczaj rzucać się do brzucha lub gardła człowieka, jeśli uznają go za zagrożenie. Jużaki były nawet bardziej agresywne. To domieszka tej rasy sprawiła, że pies był ogromny, wyglądał jak młody niedźwiedź polarny. Przypomniałam sobie kawał stary jak świat – a może to było autentyczne wydarzenie? Pewien Polak kupił od Rosjanina małego kaukaza, który miał potężny apetyt i rósł jak na drożdżach. Jakież było zdziwienie właściciela, kiedy z psa zrobił się niedźwiadek.

Oril zaczął zmieniać postać, ciągle przemawiając do psa. Z jego ręki wysunęły się jakby szczypce, które po chwili przybrały kształt precyzyjnego urządzenia – dostrzegłam wysuwającą się igłę. Wbił ją w kark psa.

Domyśliłam się, że podał mu znieczulenie.

Nad brzegiem jamy już dawno powinien się pojawić któryś z mężczyzn. Pewnie Oril wysłał im informację, by się nie zbliżali. Podejrzywałam, że nie chciał jeszcze bardziej drażnić pokiereszowanego zwierzaka. Wystarczyła obecność jego i moja. Wsadził kleszcze do rany. Robił nimi takie ruchy, jakby szukał kuli. Drugą ręką, uzbrojoną w skalpel, nacinał ciało psa. Co dziwne, krew nie płynęła obficie. Musiał od razu koagulować ranę i łączyć jej brzegi. Może wprowadził do krwiobiegu zwierzęcia nanoroboty?

Miałam chwilę, żeby się nad tym wszystkim zastanowić. Dlaczego stanęliśmy akurat w tym miejscu? To Oril zdecydował, gdzie zatrzymamy się na postój. Czy możliwe, że wyczuł obecność psa? Usłyszał jego skowyt? Wołanie o pomoc? Mogłam w to uwierzyć. Nie zdziwiłoby mnie nic, co dotyczyło Orila. Teraz nakładał na rany przezroczystą, elastyczną powłokę. Wysuwała się wprost z jego dłoni i formowała w kształt, jakiego sobie życzył. Kiedy przykleiła się do ciała zwierzaka, Oril go podniósł. Nigdy bym w to nie uwierzyła, gdybym nie zobaczyła. Pies mógł ważyć osiemdziesiąt, dziewięćdziesiąt kilo, ale nie tylko jego waga stanowiła problem. Ciężko było chwycić i wyciągnąć z dołu tak duże zwierzę, a potem nieść. Oril wyglądał teraz jak maszyna. Co dziwne, pies nie okazywał lęku ani agresji (jedno zazwyczaj wynikało z drugiego). Może został potraktowany jakimś psychotropem?

– Jak to zrobiłeś? – Gramoliłam się za nimi z jamy. – Jak opatrzyłeś ranę?

– Użyłem osobistego zestawu do regeneracji, wszczepionego pod pancerz.

Pancerz? Ile było tych warstw? Którą tak naprawdę widziałam?

– Zapomniałaś, że jestem Trojlo.

– Czy on da się oswoić? – Pies trzymał łapy i łeb na ramieniu Orila, a jego ciemnoorzechowe oczy były zamglone. Wyglądał jak jedno wielkie nieszczęście. Wyciągnięty z wirówki ogromny pluszak, wcześniej wepchany do bębna przez rozbisurmanionego bachora.

– Już to zrobiłem. Zaufał mi.

– A przekazał, jak na niego wołali? Jak się wabi?

– Zapomniał. Był mały, kiedy stracił kontakt z ludźmi.

– Wiem, jak go nazwiemy: Łapa.

Rozdział 25

Twierdza w Kamieńcu

Oril wniósł Łapę do naszego transportera, nie zważając na protesty reszty załogi. Nikt nie próbował wybić mu tego z głowy. Całkiem słusznie. Po tym, jak byłem świadkiem jego przemiany, gdy wypuszczał z ciała precyzyjne instrumenty chirurgiczne, nie dałabym najmniejszych szans perswadującym. Jedyne, co można było zrobić, to dobić psa, ale wtedy Obcy mógł nas uznać za wrogów, zmienić się we wrzącą gniewem kulę, pokrytą pancerzem, i zaatakować zabójców zwierzaka tak jak samochody porywaczy – Aślan opowiedział mi o tym, kiedy mnie odbili.

Łapa leżał na noszach między złożonymi siedzeniami, niczym ranny żołnierz wyniesiony spod ostrzału. Wielki, ciepły, śpiący futrzak. Miał podłączone do ciała rurki, które wychodziły z boku Orila. Po zjedzeniu naszych racji usiedliśmy z Aślanem na fotelach. Lidia przeniosła się na przód transportera.

Pojazd właśnie ruszył.

– Co z nim dalej? – spytałam Orila. – Pomyślałeś o tym? Stracił stado i wątpię, żeby miał szanse przeżyć tu sam. Jest duży, potrzebuje wiele pożywienia. Poza tym będzie osłabiony. Taka paskudna rana musi się długo goić, minie sporo czasu, zanim Łapa dojdzie do siebie.

– Daj mu godzinę.

– Co?

– Mówiłem ci, że jestem Trojlo.

– Umiarkowanie zrozumiałam, co miałeś na myśli.

– Chodzi mu o to, że jest bojową maszyną – wyjaśnił Aślan – którą cechuje wysoka zdolność regeneracji. To zwiększa skuteczność. Mam rację? – poszukał potwierdzenia u Orila.

– Owszem.

– Co za paradoks. Ratująca życie maszyna do zabijania!

– Zabijasz, znaj konsekwencje. Zesłano mnie na Ziemię, gdzie rozumne istoty mordują własną rasę, właśnie po to, żebym poznał skutki waszej degeneracji.

– Uważacie nas za stworzenia, które uległy zwyrodnieniu? Dziękuję za szczerość, w imieniu swoim i reszty.

– No cóż, zejście z drzew tak się właśnie dla was skończyło. Niewiele brakowało, a zniszczylibyście własną planetę. Pozwól, że skupię się na Łapie. Potrafię przekazać zdolność do regeneracji innym stworzeniom, ale nie trwa to zbyt długo.

Nie zwracałam już głowy Orilowi. Teraz najważniejszy był pies. Zajęliśmy się z Asłanem przerwana grą – tym razem odpalił program ratownictwa taktycznego. Zapachniało mi zajęciami na poligonie. Cała szczęście, że tarzałam się we krwi i błocie tylko wirtualnie. Jednocześnie za pomocą peryskopów obserwowałam otoczenie.

Transporter mocno zwolnił, poruszał się teraz jak ślimak. Szperacze przeszukiwały las. W tej chwili nie mogliśmy liczyć na wsparcie Trojlo. Oril znowu odpłynął. Natknęliśmy się na jeszcze dwie hordy zdziczałych psów. Były wychudzone, z rozognionymi oczami. Mogła się szerzyć wśród nich wścieklizna. Łapa wygrał los na loterii życia.

Asłan również stracił zainteresowanie grą. Jego postać właśnie się wykrwawiała.

– Koniec z łącznością – oznajmił. – Lediew poinformował, że mamy ją zaledwie na odległość słabego wi-fi, zasięg góra tysiąc metrów. Nadzieja w Orilu i jego grzywrach.

– I szperaczach – dodałam.

– Łatwo je zlikwidować. Igor szuka przyczyny, dlaczego Rosjanie wycofali się z terenów na zachód od Kijowa. Zostały tutaj tylko odizolowane bandy najemników, którzy nie mają szansy przekroczyć dobrze chronionej granicy z Polską i Białorusią. W każdej chwili możemy się na jakąś natknąć. Wystarczy pojedynczy obserwator, który zdetonuje fugasa.

– Musiałyby podejść na tysiąc metrów. Mówiłeś, że dalej przestają działać fale radiowe.

– I właśnie ten kilometr szperacze muszą dokładnie przeszukać.

– Już niedługo – usłyszeliśmy Orila – Łapa wróci do dawnej kondycji.

– Zmarniałeś. – Trojło schudł na naszych oczach. Miał szarą twarz i spuchnięte powieki, jego ręka wyglądała jak dłoń starca pokryta plamami wątrobowymi.

– To minie. Ważne, że z Łapą wszystko w porządku.

Pies podniósł się z noszy i otrzepał, jakby wyszedł z wody. Odpadła błonka, którą Oril zabezpieczył mu ranę. Na jej miejscu pojawiła się różowa skóra, a potem...

Aż przetarłam oczy z niedowierzania. Widziałam wyrastającą sierść o barwie kawy z mlekiem. Proces był tak szybki, że miałam wrażenie, jakbym oglądała film przyrodniczy pokazujący zmiany zachodzące w przyspieszonym tempie.

Łapa położył łeb na kolanach Orila, a ten pogłaskał psiaka po pysku. To był początek ich wielkiej przyjaźni. Kiedy zatrzymaliśmy się na następny postój, owczarek nie odstępował go nawet na krok. Ogromny brytan i zielonooki chłopak. Czekala nas następna niespodzianka. Okazało się, że pies wyczuwa materiały wybuchowe, jakby był do tego szkolony.

– To predyspozycje – podsumował jego zachowanie Asłan, gdy Łapa zaczął się kręcić wokół rozbrojonej przez szperacz starej miny. – Psy w jego linii rodowej mogły być szkolone do wykrywania ładunków wybuchowych.

– Będę z nim chodzić na zwiad – poinformował nas Oril. – Szperacze dużo się kręcą, spalając mnóstwo paliwa, a kiedy go zabraknie, utkwimy na drodze. Niech osłaniają boki. My będziemy szli daleko z przodu.

– Jak to sobie wyobrażasz? – wyraziłam wątpliwość. – Masz wytrzymałość maszyny – którą częściowo jesteś, pomyślałam – ale Łapa?

– Psowate to długodystansowcy, w przeciwieństwie do kotów. Ich technika polowania opiera się na wytrwałym pościgu, ciągłym podążaniu za śladem. Asłan ma rację, Łapa odziedziczył dobre geny. Szlachetna krzyżówka owczarków: kaukaskiego, środkowoazjatyckiego i południoworosyjskiego. Wyrządziliście jego przodkom wiele złego. Jużaki były eksterminowane przez ludzi, skupowano ich skóry.

– Masz to w bazie?

– Przecież pies nie mógł mu tego powiedzieć – wtrącił Asłan. – A co z jego

szybkością pokonywania dużych odległości?

– Łapa jest mieszanką ras psów pasterskich. Da radę. Potraktuje was jak stado owiec, którego będziemy pilnować.

– I zaganiać. – Nie mogłam się powstrzymać od komentarza. – Konwój pojazdów opancerzonych z karabinami i wyrzutniami na dachach, a do tego pilnujący go górski molos na spótkę z kosmitą. Cudnie!

– Życie jest pełne niezwykłych wydarzeń – spuentował Aślan.

– A kosmita co noc wyciąga do ciebie rękę spod poduszki.

Musiałam mieć ostatnie słowo. Taka już jestem.

Ku mojemu zaskoczeniu Oril z Łapą sprawdzili się w zwiadzie. Pies miał tak wrażliwy nos, że wyczuwał materiały wybuchowe niczym wyszkolony golden retriever narkotyki na lotnisku. Trojło systematycznie przysyłał raporty do centrum dowodzenia, a stamtąd dane zasysał mój nowy identyfikator. Nie były to jedynie wiadomości o podejrzanych obiektach. Łapa wyczuwał też trupy. Potrafił oszacować ich stopień rozkładu, nawet kiedy leżały pod grubą warstwą ziemi. Oril nauczył go wysyłać sygnały: szczekaniem, krótkim warknięciem, krążeniem przy znalezisku, warowaniem w określonej od niego odległości, podnoszeniem ogona, stawianiem uszu. Błyskawicznie opracowali własny system komunikacji, stworzyli tylko dla siebie zrozumiały język. Oril zapisał podstawowe komendy i reakcje psa w naszej bazie. Gdyby go zabrakło, Łapa nadal by nam pomagał.

W pewnym momencie doszedł do nas sygnał, który wszystkich zelektryzował. Pies z Orilem wyczuli ludzi. Trojło posłał grzywry na rekonesans. Natknęliśmy się na duży oddział, opancerzone pojazdy, automatyczne granatniki – polujący na podróżnych najemnicy.

– Załóż kamizelkę i hełm – polecił mi Aślan. – Jadą w naszym kierunku, i to szybko.

– Otworzycie ogień?

– Jeśli ich ostrzelamy, oni nas również. Nie sądzisz, że najpierw powinniśmy się dowiedzieć, czego od nas chcą? Oril właśnie przesłał przez grzywry zapis ich rozmowy. To Ukraińcy.

– Ukraińcy – co nie znaczy, że nie są najemnikami. A jeśli nienawidzą Polaków?

– Art, kamizelka.

Zakładając sprzęt ochronny, słyszałam rozkazy wydawane przez Darka. Nasz konwój poruszał się w szyku bojowym, z odwodem i szperaczami ciągle zmieniającymi pozycje, co utrudniało okrążenie nas przez napotkany oddział. Było ich jednak kilkakrotnie więcej. Szperacze trzymały obcych na dystans, uniemożliwiając komunikację radiową. Pomyślałam, że zakłócenia mają swoje plusy: z tej odległości nie trafią nas pociski samonaprowadzające. Ale wystarczyło, by je wystrzelili w naszym kierunku i gdy znajdą się bliżej, wtedy ich system skoryguje tor. Do cholery! Nie byłam wojskowym. Mogłam co najwyżej spekulować. Gdyby podróżował z nami Paweł, podzieliłby się ze mną swoją teoretyczną wiedzą.

Tank zajął pozycję przy stanowisku ogniowym. Widziałam na ekranie siatkę i oznaczone cele. Było grubo. W zasadzie sytuacja patowa. Jeśli nas zaatakują, sami narażą się na straty. Celów było wiele, ustawionych w kilku liniach i w różnej odległości od nas. Parę punktów na celowniku zaczęło się powiększać.

Nagle zauważyłam na ekranie poniżej rząd literek: „Nie mają złych zamiarów. Ale nie wiedzą, kim jesteście, tylko się domyślają”. – Oril w jakiś tajemniczy sposób zneutralizował zakłócenia. – „A strach i niewiedza rodzą agresję”.

– Zatrzymajmy się – zaproponował Asłan przez interkom.

– Jesteś tego pewien? – spytał Darek.

– Wysłali zwiad. Chcą z nami gadać. Podjadę do nich.

– Jeśli chcesz ryzykować...

– Podeślij mi tylko szperacz i daj znać Memedowi, by ubezpieczał rampę. Dżochar niech nie spuszcza ich z celownika.

– Pojadę z tobą. – Usłyszałam Igora. – Skoro Oril wysłał wiadomość, że nie zamierzają niepotrzebnie ryzykować utraty kilku pojazdów, warto z nimi pogadać. Zebrać informacje o sytuacji tutaj. Czekaliśmy na taką okazję.

– Obyś się nie przeliczył – ostrzegł go Darek. – Właśnie złapali łączność i potwierdzili, że przyjmują nasze warunki. Ale musimy się zatrzymać. Oni już to zrobili.

Rzeczywiście, punkty na siatce przestały się poruszać i rosnąć. Zwolniliśmy do mniej więcej pięciu kilometrów na godzinę. Poczułam, jak

transporter staje. Kiedy otworzyła się kłapa, Tank wyszedł. Górny spoiler szperacza odsunął się, odsłaniając kanapę jak w motocyklu. Rampa zaczęła się zamykać, przez szparę widziałam mężczyznę wsiadającego na maszynę, jego kamizelkę kuloodporną, szare osłony z kevlaru na ramionach, karabin i hełm balistyczny.

Rzuciłam się do peryskopów, bo kłapa zasłoniła już cały widok. Zająłam miejsce na stanowisku, z którego mogłabym prowadzić ogień – pod warunkiem, że wprowadziłabym właściwe kody, ale ich nie znałam.

Do szperacza prowadzonego przez Asłana dołączył Igor, razem oddalali się w kierunku rosnących na ekranie dwóch motocykli. Wyglądały jak maszyny z *Mad Maxa*, były bez owiewek, mogłam dostrzec bloki silników. No ładnie, nadzialiśmy się na hordeę psycholi! Obraz stał się wyraźniejszy, teraz mogłam obserwować okolicę również z kamer zamontowanych na szperaczach, które miały mikrofony w obudowach. Słyszałam rytmiczną pracę czterosurowych silników.

Wysłannicy się zatrzymali. Spotkanie na środku drogi śmierci. Zła wiadomość: zostaliśmy otoczeni przez zbrojny oddział świrusów. Dwóch właśnie zsiadało z motocykli, w ten sposób dawali znać Zuradowowi i Lediewowi, że nie zamierzają prowadzić rozmowy z rękami na manetkach gazu. Ściągnęli hełmy i położyli na siedzeniach. Idealne cele dla strzelca wyborowego.

Wszyscy mieli broń długą, ale karabiny trzymali przewieszane przez plecy, pistolety w kaburach, noże w pochwach lub złożone w kieszeniach, ręce daleko od tułowia. Przyjacielska postawa jak na warunki wojny. Ukraińcy stali jakieś dwa kroki od naszych ludzi. Zrobiłam powiększenie ich twarzy. Ciemne smugi brudu i smaru na skórze, jasne oczy, zmierzwione włosy o barwie dojrzałego zboża.

– *Czarnomaz i Lach. Szto wy zdies' diełajecie?*

– *A wy, chachały?* – spytał Igor. – *Wy otkuda?*

– *O! Kacap.*

I tak się zaczęła ta braterska pogadanka. Uaktywniłam automatycznego tłumacza, bo nie znałam ruskiego. Okazało się to niepotrzebne.

– *My z Polski* – odpowiedział Tank czystą polszczyzną, bez grama

rosyjskiego akcentu.

– Tak myśleliśmy – odrzekł niebieskooki. Podobnie jak jego towarzysz miał na sobie pancerz pokryty zaschniętym błotem. – Tylko swoją odzywką namieszaleś nam w głowach. Jest tu trochę najemników z Kaukazu i zazwyczaj nie są do nas przyjaźnie nastawieni. Jesteśmy Ukraińcami.

– To swołocz, przestali być Czeczenami, kiedy sprzedali się Ruskim. A ty skąd tak dobrze znasz polski?

Zuradow zachował dla siebie informację, że dzięki Orilowi poznaliśmy ich narodowość, jeszcze zanim nawiązali kontakt.

– Mógłbym zadać to samo pytanie, ale domyślam się odpowiedzi. Studiowałem w Krakowie na AGH. Inżynier Wołodymyr Trakow, do usług.

– Niewiele mi to mówi. Dlaczego nas zatrzymaliście?

– Może jesteśmy ciekawi wieści ze świata? Trafiliście na nas, kiedy byliśmy na zwiadzie.

– Dlaczego ciągle tutaj siedzicie? To spalona ziemia.

– Ale nasza ziemia. Jesteśmy od Witalija Porackiego.

– Słyszałem o nim.

– A to ciekawe. Od kogo?

– Od sokoła z SUS, który wyemigrował z rodziną do Polski. Mam coś dla waszego przełożonego. Pozwolisz, że wyciągnę płytkę z kieszeni spodni?

– Tylko powoli. Mamy cię na celownikach.

– Jakbym tego nie wiedział.

Aslan, tak jak i reszta, stał w niedbałej pozie, ale uważał, żeby ręka nie przesunęła mu się w stronę kieszeni czy paska karabinu. Jeden błędny, źle zrozumiany ruch i spotkanie skończyłoby się jatką.

– Chwila. – Trakow zatrzymał go jeszcze gestem ręki. – Mam lepszy pomysł. Przekażesz mu to osobiście.

– Daleko stąd? – Zuradow próbował określić, skąd Ukraińcy przybyli. Tak jak my jechali od granicy, ale równie dobrze mogli już wcześniej krążyć po okolicy.

– Kawalek. Wystarczy skrócić z drogi.

– Nie da rady.

– A gdzie was tak pędzi?

– Musimy się naradzić z resztą.

– Nie odpowiedzieliście na pytanie: co tutaj robicie?

– Jesteśmy ciekawi wieści z waszego grajdołu. Chcemy wyjaśnić, skąd się biorą zakłócenia łączności. – Asłan wywołał wilka z lasu, bo w tym momencie usłyszałam trzaski, obraz zaczął skakać. – Przerywa mi emisję. Też to macie, Trakow?

– Ano, mamy.

Może to robota Orila? – pomyślałam.

– Czekaj, już przeszły. U was też?

– Też. – Asłan było oszczędny w słowach, pewnie jak ja myślał o Orilu.

– Szukajcie źródła na wschodzie. Ale to nie jest oficjalna wojskowa operacja. Prowadzicie za mały oddział.

– Masz rację – potwierdził Igor. – To prywatna inicjatywa. Mamy kontrakt. Rodziny poległych pod Charkowem. Ale możemy o tym gadać tylko z Porackim, a sam zauważyłeś, że nam nie po drodze.

– Mocno bogate te rodziny. Srają forszą. Ale jeśli chcecie się wywiązać z kontraktu, dotrzeć tam cało i wrócić, radziłbym się spotkać z Witalijem.

– Problem z paliwem.

– Tym większy, gdy nie wiecie, gdzie po drodze tankować. Pod ziemią są zbiorniki. Kiedy kacapy przygotowywały się dwadzieścia lat temu do inwazji, wpompowały w nie ropę na trasie przy granicy. Byliśmy za słabi, by ją chronić. Zdążyli opróżnić tylko te, które mieli najbliżej. Tutaj, jeśli chodzi o paliwo, jest pustynia. Staramy się oczyszczać teren z najemników, ale łatwo nie idzie. Wybijemy jedną bandę, to pojawia się następna.

– Czego tu szukają?

– A wy? Czego szukacie w moim kraju?

Rozmowa skręcała w złym kierunku.

– Skoro nie podoba się wam nasza obecność, dlaczego nie ostrzelaliście nas, gdy tylko żeście namierzili?

– Mamy niewielu sojuszników.

Odetchnęłam z ulgą. Asłan z Ukraińcem wrócili na właściwy tor.

– Część z nas walczyła z wami ramię przy ramieniu. Jest tutaj Memed Achmatow. Myślę, że jednak powinniśmy porozmawiać z Porackim. Mam dla niego wiadomość od sokoła, o którym wspomniałem. Byle tylko nie zmienił frontu. Walera zdecydował się wam zaufać, ja też. Jeszcze jedno, krąży tutaj pies, mieszaniec owczarka kaukaskiego, piaskowobiała sierść, i młody chłopak. Są z nami.

– Wysyłacie chłopaka z psem bez wsparcia?

– Powiem tylko tyle: ostrzegam was przed nim, nie odwrotnie.

– *Bullshit!*

– Z iloma niewytłumaczalnymi zjawiskami spotkałeś się tutaj po wojnie, Trakow?

Ukraińiec nie odezwał się, jego towarzysz również nabrał wody w usta.

– Jeśli odstrzelicie chłopakowi psa, nawet przez przypadek, mocno się wkurzy. Nie bierzemy odpowiedzialności za jego reakcję.

– *Ja by podumaw, szio ty pyzdysz.*

Na gwałt przeszukiwałam tłumacza, by zrozumieć, co zapodał Tankowi wyprowadzony z równowagi Ukraińiec. Rzucił mięsem – klasyka.

– *Ja nie pizzu.*

Zuradow wczuł się w klimat, rosyjski translator wyrzucił kolejne przekleństwo. Jak złączą gadać mieszanią ukraińskiego i ruskiego z kaukaskim akcentem, przeplatając zdania słowiańskimi przekleństwami, dodając jeszcze „bullshity” ubarwione lokalnymi naleciałościami, urwie mi się wątek.

– Przyjąłem ostrzeżenie. – Trakow przeszedł na polski. – Zdecydowaliście się nam zaufać, my wam też. Zabieramy was do naszego schronienia. O paliwo się nie martwcie, nie wypuścimy was z pustymi zbiornikami i na odchodne jeszcze polejemy do baniaków.

„Polejemy” skojarzyło mi się z imprezą zakrapianą alkoholem, „baniak” z wesołą głową. Trakow puszczał oko do Igora i Polaków. Asłan, Memed i Dżochar nie byli godnymi przeciwnikami na tym polu, nawet nie zamierzali

na nie wychylać nosa. Ale co z Orilem? Gdzie jest Łapa?

Trakow dał znać reszcie Ukraińców, że mogą podjechać. Zapakowali motocykle na półciązarówkę, po czym Wolodymyr ze swoim towarzyszem, Igorem, Darkiem i jeszcze dwoma Polakami wsiedli do mojego transportera. Aslan przeniósł się na przód pojazdu razem z ukraińskim pilotem.

– *Krasawica* też jest groźna? – zażartował Wolodymyr, gdy mnie zobaczył.

– Owszem – odparł Igor – ale w inny sposób. Mała, przesunij się siedzenie dalej.

– Uroczyja działonowa – rzucił drugi Ukrainiec łamaną polszczyzną. Dalsza droga zapowiadała się wesoło. Jak chłopcy sobie popiją, rozwiążą im się języki, a wtedy lingwistyczne zagwozдки przestaną być problemem. Znowu wywołałam wilka z lasu: Trakow wyciągnął z kieszeni piersiówkę. Transporter ruszył.

Kiedy butelka zatoczyła trzy koła, podawana z ręki do ręki przez braci Słowian, Igor nie pominął mnie przy następnej kolejce. Darek lekko się skrzywił, ja nawet bardzo (bimber omal nie wypalił mi przełyku), a Lidia nie omieszkała pogrozić obu mężczyznom holograficznym palcem, prowokując komentarze Wolodii i jego kumpla o kolejnej charakternej krasawicy, rozwiązałej walkirii, groźnej sarmackiej amazonce. Wszyscy stali się nad wyraz elokwentni. Trakow nie przez przypadek wyciągnął alkohol. Próbował się dowiedzieć czegoś więcej o krążącym wokół konwoju chłopaku. Nie zakładał, że Oril przemieszcza się pieszo. Zerknęłam na prędkościomierz: sześćdziesiąt kilometrów na godzinę. W takim tempie cwałował folblut, najlepszy chart osiągnął szybkość ponad siedemdziesięciu kilometrów. Jak sobie radził Łapa?

– *Oril!* – usiłowałam wezwać Trojlo w myślach. „Co z wami?” – Wykorzystałam też klawiaturę. Igor nie podsuwał mi już pod nos butelki. Domyślałam się, że Lidia uraczyła go przez słuchawkę długą tyradą, zakazując rozpijania jej nieletniej siostry. Moja krew – walkiria w akcji.

Nareszcie doczekałam się odzewu. Oril przekazał mi informację przez ekran:

„Z nami wszystko w porządku. Nieźle się tam bawicie”.

– „Co z Łapą?” – odpisałam. – „Jak daleko jesteście za nami?”

– „Jesteśmy przed wami”.

Z niedowierzaniem wpatrywałam się w ekran. Może wysforowali się do przodu, kiedy Igor i Aslan rozmawiali z Ukraińcami? Ale to dałoby im góra pół godziny przewagi. Oderwałam się od konsoli, bo coś równie ważnego przykuło moją uwagę.

– Powiesz w końcu, dokąd jedziemy? – Igor poufale klepnął Wołodę po plecach. – Jaki jest cel naszej podróży?

– Twierdza w Kamieńcu.

Ponownie przeniosłam wzrok na konsolę.

– „Wiem” – odpisał Oril. – „Wysłali zwiad na motocyklach enduro i dobrze znają okolicę, dlatego przemieszczają się szybciej niż wy wcześniej bez ich osłony”.

Twierdza w Kamieńcu Podolskim! Sprawdziłam na mapie położenie obiektu, miałam dostęp tylko do danych geograficznych i słowników. Brak go-netu mocno dawał mi się we znaki. Skąd mogłam pozyskać potrzebne informacje? Oril! Jego osobista baza danych przyprawiała o zawrót głowy. Zadałam mu pytanie, co wie o twierdzy. Mnie ta nazwa kojarzyła się ze starym filmem Pan Wołodyjowski i samobójczą wyprawą jego bohaterów w zaświaty. Huczny finalny wzlotem, bo na beczkach z prochem. Hanna miała całą kolekcję polskich filmów, a w niej kilka wersji trylogii Sienkiewicza kręconej ku pokrzepieniu polskich serc – szczególnie tych na obczyźnie.

Szybko skompilowałam dane przesłane przez mój żywy bank informacji. Zamek wzniesiono na starych murach w drugiej połowie czternastego wieku, potem ciągle go umacniano i przebudowywano. Trafiłam na istny wysyp terminologii stosowanej przy opisywaniu fortec: kleszcze, kurtyny, zapola, półbastiony. Najistotniejsze było jednak to, że po wybudowaniu Nowego Zamku, leżącego obecnie w gruzach, twierdzę uznano za niemożliwą do zdobycia. W siedemnastym wieku Kozacy trzykrotnie ją oblegali i nie zdołali się do niej wdrzeć. A teraz ich potomkowie mieli nas tam wprowadzić. Co za przewrotność losu! Tym większa, że twierdzę zwano „bramą do Polski”. I kto ostatnio jej bronił? Pijący u mojego boku Wołodimir Trakow. Dotykałam historii. Niedługo wjedziemy do tego przedmurza chrześcijaństwa z jego spitymi synami. Allah wiedział, co czyni, zakazując wyznawcom spożywania alkoholu.

– Oni tam stoją. – Usłyszałam nagle.

Wolodia się zachwiał. Przytrzymałam go, nie czekając, aż przygniecie mnie ciałem. W obiegu była trzecia butelka, w której pojawiało się już dno. Tę ostatnią wyciągnął Igor. Jak widać, był dobrze przygotowany na spotkanie z tubylcami.

– Kto? – wymamrotał. Nie wierzyłam, że Lediew jest aż tak pijany. Może i nie chlał jak wieprz w towarzystwie Zuradowa, ale syn Rosjanina i Polki wychował się przy koszarach. Miał ten sport w genach, po ojcu, dziadkach i pradziadkach.

– Chłopiec i pies.

– Duży, w typie kaukaza, o piaskowobiałej sierści? – uściślił pytanie Darek.

– Taki sam. Stoją na moście prowadzącym do twierdzy.

Rozdział 26

Duchy przeszłości

Na Moście Tureckim? – spytałam Trakowa.

– Właśnie tam stoją – odpowiedział nadspodziewanie trzeźwym głosem. – Na moście prowadzącym ze Starego Miasta do twierdzy. A właściwie z ruin Starego Miasta.

– Skąd to wiecie?

– Zwiad na motocyklach. Niedługo tam dotrzemy.

– Miasto w ruinach – zainteresował się Darek – a most cały?

– Zrobiliśmy, co się dało, żeby był przejezdny. Kiedyś wystarczyło otworzyć śluzy i Kamieniec stawał się wyspą. Ale oni nie mieli prawa tam wkroczyć niezauważeni, pod nosem wartowników.

– Kamuflaż – bąknął Igor. – Mówiłem ci, szto ja nie *pizdziłem*. Teraz też nie *pizdze*.

– Dobrze, że uprzedziłeś, by do nich nie strzelać. Nasi geroje są przewrażliwieni, gdy ktoś podchodzi tak blisko do gniazda, a co dopiero, kiedy się w nim pojawia, jakby wyrósł spod ziemi. A jak most ocalał? Sama twierdza to jedyny niezniszczony obiekt w promieniu setek kilometrów. To obecnie mocno chroniony kompleks, w którym zamieszkały niedobitki z rzezi, bandyckich bombardowań. Trochę pracy nas kosztowało, żeby ją odbudować, kacapy wysadziły większość zabytkowych elementów architektury, ale teraz twierdza jest dobrze wyposażoną kwaterą, wyspą na morzu gruzu. Poracki zgromadził tutaj broń i żywność. Utworzył armię z desperatów gotowych do końca bronić swojego kawałka ziemi, zza gruzów stawiał czoła najeźdźcy. Witalij miał środki, to oligarcha, jak wasz – tfu... na pohybel mu w zaświatach i niech ziemia lekką mu nie będzie – Jarema. Żona Witalija, Marina, straciła na Majdanie syna z pierwszego małżeństwa. Chłopak został postrzelony w brzuch przez snajpera na żołdzie kacapów. Był jedną z pierwszych ofiar tej ciągnącej się dwadzieścia lat wojny. Bo my nadal

walczymy o przeżycie.

Wolodia zmienił temat.

– Pętla Smotrycza to cud natury, rzeka płynie głębokim jarem. Niedługo go zobaczycie.

– Chyba nie z transportera – wyraziłam wątpliwość.

– Prześlą nam zdjęcia.

– Rzucisz okiem przez peryskop?

Darek robił przegląd dziesiątki razy już sprawdzanego sprzętu: kamizelek, hełmów, broni, opatrunków.

– Ee... – Wzruszyłam ramionami. – A co z wiatrem we włosach? Spojrzeniem w dół na wartki nurt rzeki? Będę jak Sienkiewicz, który pisał o Kamieńcu Podolskim, a nigdy w nim nie był.

– To nie ta sama twierdza. – Wolodia wrzucił do luku ostatnią pustą butelkę. – Widok nie jest budujący. W pośpiechu łataliśmy dziury, używając ciężkiego sprzętu z firm Witalija. Spuścili na nas bomby. Niektórych lejów na cyplu nie zdążyliśmy jeszcze zasypać.

– Barbarzyńcy, jak talibowie! – uniosłam się. – Ci, którzy wysadzili posąg Buddy w Bamjan. A Irak? A mury Babilonu?

– Nie obrażaj barbarzyńców – mruknął Wolodymyr przy wtórze jego towarzysza. – Wandale uprowadzili z Rzymu wszystkich rzemieślników, dlatego tak negatywnie i na trwałe zapisali się na kartach historii. Na Wschodzie rządzi *trofiejne*. Z Donbasu kacapy wywieźli cały przemysł. Rozmontowali maszyny, niektóre przy tym uszkodzili.

– Skąd my to znamy – zasepił się Darek.

– Mówicie o moich rodakach – nie wytrzymał Igor.

– Zaraz zobaczysz – odparował Trakow – co zrobili. To nie zmanipulowane newsy. Ludność na wzgórzu albo zginęła pod zwałami gruzu, albo uciekła, wyemigrowała, rozproszyła się po całym świecie.

Ładną pogładową wycieczkę zafundowali mi moi opiekunowie, pomyślałam. Turystyka dwudziestego pierwszego wieku: zwiedzanie zbombardowanych miast naszego sąsiada.

– Co dziwne, sama twierdza najmniej ucierpiała. Zbrodniarze ostrzelali

dzielnice mieszkalne. Albo celowniczy mieli bielmo na oczach, albo to były przemyślane działania.

– Były celowe – wtrącił Darek. – Tak jak pod Charkowem, gdzie został ostrzelany konwój uchodźców. To tam zginęli rodzice Glorii. Szczekaczki Ruskich potem głosiły, że zrobili to Ukraińcy.

– Współczuję. – Wolodia położył mi dłoń na ramieniu.

Po chwili się odezwał:

– Mam propozycję. Przewiozę cię wokół pętli na enduro.

– Nie jest to dobry pomysł – sprzeciwił się Darek, zawtórował mu hologram Lidii i Tanka. – Pięś, poza tym okolica...

Ukraińcy i Igor, zaskoczeni, spojrzeli na siebie.

– Okolice jest regularnie patrolowana – zabrał głos Wolodia. – A tyle, co wypiliśmy, to była dopiero rozgrzewka. Zgadzasz się, Lediew?

Igor wzruszył ramionami, dając znać, że nie ma tematu.

– A chłopiec z psem? – nie odpuszczał Darek.

– Sami mówiliście, że są, hmm... niezwykli.

– Oril z Łapą do nas dołączą! – Nic mnie nie mogło odwieść od pomysłu Trakowa. Miałam serdeczne dosyć klaustrofobicznego wnętrza transportera. – Oni lepiej mnie będą chronić niż te cholerne tony blachy!

– No, no – mruknął Wolodia. – Co to za cudo, ten chłopak? Jakaś maszyna do zabijania przybyła prosto z piekieł?

– „Z chmur” brzmi ładniej – sprostowałam. – I nie muszę siedzieć z tobą na maszynie. Umiem jeździć na enduro. Mogłabym je poprowadzić.

– Ty? – niedowierzający głos holograficznej Lidii.

– Chyba nie potrzeba tutaj prawa jazdy?

Wszyscy się uśmiechnęli, również Ukrainiec, który cały czas korzystał z tłumacza.

– Marna szansa, żebyś natknęła się na drogówkę – odrzekł Wolodia – ale na nasz zbrojny patrol na pewno. – Dawajcie tu maszyny – rzucił w końcówkę mikrofonu. – A co z waszym chłopakiem? – spytał Darka, który położył moją kamizelkę na siedzeniu obok.

– Oril dał mi znać, że zaraz tu będzie.

– Jak? Skoro moi informują mnie, że jest na moście? Przyfrunie? I jak się z tobą kontaktuje? Nie macie takiej sztafety zwiadowców jak my.

– Jeszcze raz spytaj ich, gdzie chłopak.

– Do czorta! Mówią, że... zniknął.

– Gdzie te motocykle? – spytałam rzeczowo. Wytłumaczenie naszej eskorcie, kim jest Oril, było niewykonalnym zadaniem.

– Cierpliwości, *krasawica*, pikap już podjeżdża.

Nagle dostrzegłam poruszający się cień pod siedzeniem z leżącą na nim kamizelką. Nie wiem, co mnie podkusiło, ale chwyciłam go, jakby to był skradający się gryzoń, zapominając, że mała bestia może mnie chapnąć. Moje palce trafiły na coś twardego. Zacisnęłam je mocniej i poderwałam rękę. W tej samej chwili wszyscy zgromadzeni wbili w nią wzrok.

Między palcami wił mi się mechaniczny stwór. Miałam uczucie, jakbym trzymała stalowy mechanizm pokryty czarnym silikonem. Mógł się wyrwać, paskudnie mnie przy tym raniąc. Ale to... coś nie chciało mi zrobić krzywdy.

– Złapałaś grzywre – skomentował Igor. – Oczy i nos Orila. Puść ją, inaczej wyłamie ci palce.

– Ee... gdyby była na mnie wkurzona, już by je połamała.

– Gloria, to nie zabawka – upomniała mnie holograficzna Lidia.

Zapomnieliśmy o obecnych Ukraińcach, dopiero teraz zauważyłam, że żywo komentują podejrzaną zjawiskę. Trakow szybko wyrzucał słowa po ukraińsku, mówił podniesionym głosem do mikrofonu. Nagle zamilkł i spojrzał na nas.

– Co wy, do kurwy, chcecie przywlec nam do gniazda?

Grzywra wysunęła mi się z palców i wystrzeliła w górę, przykleiła się do sufitu, po czym... znikła.

– Sam nas do niego zaprosiłeś – odparował Lediew. – Tank, wytłumacz mu!

Ukazał nam się hologram Aśłana.

– Prosiłem cię, abyś przekazał Porackiemu nośnik z informacją, ale złożyłeś nam propozycję nie do odrzucenia, no to ją przyjęliśmy. – Wyczułam kpinę w tonie Zuradowa. – Myślisz, że jechalibyśmy w ciemno? To wasze „gniazdo” równie dobrze mogłoby być gniazdem żmii, sprzedawczyków

lizających tyłki kacapom. Bo jak przeżyliście, skoro całe miasta, miasteczka i wsie leżą w ruinie? Jednak Walerij Swiernowski zaręczył, że Poracki nie jest zdrajcą. Spytaj o niego Witalija. SUS i batalion Donbas, okrążenie na lotnisku. Resztę informacji wysyłam ci na prywatny kanał.

Witalij, Walerij, Wołodymyr – zaczęły mi się mieszać te wszystkie imiona. Trakow natychmiast połączył się ze swoimi, ale chwilę trwało, zanim przyszła odpowiedź. W tym czasie transporter się zatrzymał. Obserwując na ekranie zrzuty z peryskopów, dostrzegłam zbliżającą się półciężarówkę z motocyklami na pace. Z pobliskich krzaków biegł do nas kłusem Łapa, z podniesionym ogonem i wyrazem szczęścia na masywnym pysku. Żeby nie zaczęli do niego strzelać! Gdzieś tutaj musiał być Oril. Jak Ukraińcy zrobią z psiaka sito, Obcy się wkurzy. Zobaczyłam w wyobraźni kulę najeżoną stalowymi wyrostkami, na którą trafiłam w jaskiniach, i to, jak zamienia się w płonąca smugę gniewu.

– Jest potwierdzenie – nareszcie odezwał się Trakow. – To *słuszny młodziec*. Witalij Poracki przesyła wam wiadomość. Z dumą będzie gościł przyjaciół Walerija.

Z krzaków wyszedł Oril, takim krokiem, jakby w piękną pogodę przechadzał się po parku krajobrazowym. Posłał w oczy kamer szeroki uśmiech.

– *Blat’!* – Wołodia nie mógł się powstrzymać przed dosadnym komentarzem.

– A co z naszą wycieczką wokół pętli? – przypomniałam o sobie.

– Myślę, że wszystkim nam dobrze zrobi.

Podejrzewałam, że Trakow nie chciał zbyt szybko wpuścić Orila do twierdzy. Wolał mu się wcześniej przyjrzeć, a moja obecność gwarantowała, że chłopak i mężczyźni powstrzymają się przed okazywaniem agresji. O dziwo, ani Darek, ani Lidia nie zgłosili sprzeciwu. Gdyby widzieli, jak kiepsko jeżdżę na motocyklu! Igor doskonale się orientował, jaki jest poziom moich umiejętności, ale nie puścił pary. Pewnie sam chciał coś ugrać przy okazji tej wycieczki.

Wyszliśmy z transportera, zamiast hełmu dostałam od Wołodii kask motocyklowy z wysuniętą szczęką i daszkiem oraz gogle – typowy sprzęt na enduro. Nie udało mi się wymigać od kamizelki kuloodpornej i reszty ochroniaczy, które mogły również zamortyzować upadek, gdyby ciało zderzyło

się z szorstkim betonem. Igor i Trakow zabrali karabiny. Nawet na chwilę nie potrafili się z nimi rozstać.

– Podobno jest tu bezpiecznie – skomentowałam tę ich miłość do broni palnej.

– Względnie bezpiecznie.

Wolodymyr ze swoim towarzyszem wskoczyli na pakę, usłyszałam odgłos ciężkich buciorów, uderzających o giętką paździerzową płytę. Na pałaku za dachem budy był zamontowany granatnik. Motocykle umieszczono na stelażach przytwierdzonych do burt z tyłu skrzyni ładunkowej. Odetchnęłam z ulgą: maszyny nie były duże. Typowe terenowe pościgówki, mające maksymalnie trzysta pięćdziesiąt centymetrów sześciennych pojemności. Igor pomógł przystawić do otwartej skrzyni aluminiową szynę, szeroką na jakieś siedemdziesiąt centymetrów, którą Trakow z drugim Ukraińcem odpięli od burty. Mężczyźni szybko ściągnęli motocykle na ziemię. A teraz maszynki stały na poboczu, mrugając do nas lampami. Zachęcając, żebyśmy na nie wsiedli.

– Ja biorę najmniejszą.

– Mała, co ty! – Igor nie mógł się powstrzymać od złośliwego komentarza.
– Takie mikrusy zawsze wybierają największego potwora.

– Sobie nie żartuj! – Dobrze znał moje lęki – kiedy Artek uczył mnie jeździć, zaliczyłam kilka glebek. Niegroźnych, ale pozostał we mnie respekt do koni mechanicznych zamkniętych w duraluminiowych cylindrach.

Pogłaskałam po pysku Łapę, który przysiadł obok mojej nogi. Psiak okazał się wielkim pieszczochem i polubił mnie najbardziej z całej ekipy, poza Orilem, bo z nim się nie rozstawał. Musiał kojarzyć, że byłam przy nim, gdy chłopak go opatrywał i wyciągnął z dołu. A może uznał, że najsłabszy osobnik wymaga opieki? Widział we mnie jagnię w stadzie?

Oril wybrał pierwszy z brzegu motocykl. Maszyna pod ciężarem nastolatka siadła na amortyzatorach.

– Ile ty ważysz! – krzyknął Trakow. – Dwieście kilo?

– Daj mu, Wolodia, maszynę z najtwardszymi amorami, bo koło wyrwie dziurę w błotniku.

– Ja biorę tę, która siadła. – Wykorzystałam sytuację, zauważyłam guzik

rozrusznika na kierownicy motocykla. Nie będę musiała kopać odbijającej wajchy, a poza tym kawasaki miało najniżej położoną kanapę, co dawało szansę, że sadowiąc się na niej, postawię na ziemi całe stopy. Ominie mnie przyjemność drobienia czubkami palców jak Chinka w ciasnych bucikach. Bezustanna walka o utrzymanie równowagi, gdy tylko gdzieś się zatrzymamy.

Każdego z nas coś gnębiło, ścigało – nawet kosmitę. Oril przez chwilę stał z nieszczególnym wyrazem twarzy, zazwyczaj szczerej, sympatycznej, promieniującej wewnętrznym ciepłem.

– Zmniejszyłem już wagę – odezwał się nagle.

Tym razem to Trakow zrobił głupią minę. Kiedy ochłonał, wskazał chłopakowi toporną yamahę.

– Powinna dać radę – mruknął. – Wykombinuję ci jakąś kurtkę i chociaż okulary.

– Nie trzeba. Lepiej zwróć uwagę na Glorię.

Obcy mnie wsypał!

– Martw się o siebie – warknęłam. – Miarkuję, że nigdy na tym nie jeździłeś.

– To żaden problem.

Trakow przestał się już dziwić, a ja poczułam ukłucie zazdrości. Też bym tak chciała, opanować każdą umiejętność bez grama wysiłku, tylko po prześliźnięciu się wzrokiem po instrukcji obsługi.

Oril zapalił yamahę od pierwszego kopa. Złożył podnózek, przesunął dłonią po manetce z gazem, wrzucił bieg, strzelił sprzęgłem. Motocykl ostro ruszył, z poderwanym przednim kołem. Wstrzymałam oddech. Przewróci chłopaka na plecy! Nic takiego się nie stało. Oril panował nad maszyną. Jeszcze kilka razy strzelił z kłamki. Jazda na tylnym kole mu się podobała.

– *Zdolny młodziec* – skomentował Wolodia. – Wsiadajcie, będę jechać powoli, żeby *krasawica* nie została z tyłu, poza tym więcej wtedy zobaczy.

Dzięki ci, Oril, pomyślałam. Jego geniusz zaczął mnie wkurzać. Łapa ganiał za yamahą, zataczał koła i poszczekiwał. Odpaliłam swoją kawasaki i ostrożnie ruszyłam, wolno puszczając sprzęgło i delikatnie dodając gazu. Obyło się bez kompromitacji. Motocykl mi nie zgasł.

Jak zapowiedział Trakow, jechaliśmy wolno, nasz przewodnik z przodu, za nim Oril i ja na kawie, kawalkadę zamykał Igor na hondzie. Maszyny były szarobure, najmniejszego kawałka wypolerowanego metalu ani połyskującego lakieru, które mogłyby wskazać cel strzelcowi. Trakow wysłał czujkę, by nasza przejażdżka przebiegła w spokoju. I co z tego, że dbano o nasze bezpieczeństwo? Dupa z podziwiania widoków. Musiałam się skupić na prowadzeniu motocykla. Droga była w nie najlepszym stanie, popękana nawierzchnia, trawa wyrastająca z każdej szczeliny, mokre liście, śliskie błoto. Gdyby nie charakterystyczna konstrukcja motocykla enduro, na co większym wybrzuszeniu można by było zostawić tłumik, a nawet silnik. A tak wystarczyło podnieść tyłek z siodła, zapierając się nogami o podnóżki, jakby stawało się w strzemionach. W zasadzie to ćwiczyłam jazdę slalomem, omijałam kamienie i wysepki gruzu, zupełnie jakbym brała udział w WKKW – Wszechstronnym Konkursie Konia Wierzchowego.

Odetchnęłam z ulgą, kiedy się zatrzymaliśmy. Widok – barwy jesieni i tak dalej – zapierał dech w piersiach. Wróc, zapierałby. Zamiast na domki przytulone do różnobarwnych pagórków, patrzyłam na ruiny przezierające zza kurtyny zaborczej, drapieżnej roślinności. Czarne dziury straszyły w cynobrowych dachach. Niektóre wyglądały, jakby zabrał je huragan, pochłaniając dachówki i odsłaniając fragmenty więźby. Co bardziej zniszczone domy skojarzyły mi się ze szkieletami pozbawionymi ciała, objedzonymi przez zgryźliwego gнома wojny.

– Dlaczego się zatrzymaliśmy? – spytałam, z ulgą stawiając stopy na ziemi.

– Spójrz w prawo. – Wołodymyr podprowadził motocykl ma pobocze i rozłożył podnóżek.

Mury kościołów, klasztorów – musieliśmy dotrzeć do zachodniego krańca wzgórza, wyrastającego z głębokiego jaru. Dołem toczyła oliwkowozielone wody rzeka Smotrycz, obmywając wrak rozbitego samolotu, który osiadł na niewielkim cyplu. Następny świadek okropności wojny: porzucony stalowy kadłub.

– Kto go zestrzelił? – spytałam.

– Nikt. To ruski MiG. Wleciał w przestrzeń powietrzną mojego kraju i już jej nie opuścił.

– A załoga? – zainteresował się Igor.

- Co ty? Ekipa poszukiwawcza? – zakpił Wołodia.
- Po to mnie tutaj ściągnąłeś? I pudło, Trakow. Nie obchodzą mnie ci ludzie.
- To dlaczego pytałeś o załogę?
- Mówiłeś, że nikt go nie zestrzelił. Mogli mieć na tyle czasu, by się ewakuować w wyrzucanej kapsule.
- Owszem, jeden bandyta utopił się w rzece, drugiego ludziska roznieśli na widłach.
- Banderowskie metody.
- Nie pieprz mi, Lediew. – Wołodymyr najwyraźniej się wkurzył. – Weszli w naszą przestrzeń bez transpondera. Pomijając fakt, że mogli spowodować wypadek z udziałem samolotu pasażerskiego, nie przylecieli tutaj, aby podziwiać pętlę Smotrycza z góry.
- Skąd wiecie, że nie zostali zestrzeleni?
- Udało nam się wydobyć z wraku czarną skrzynkę. Jeszcze jedna zima i nic z niego nie zostanie. Ciężko tam zejść... – Mężczyzna nie dokończył. Oril właśnie zniknął nam z oczu.
- Łapa, zostań! – poleciłam psu. Zbocze jaru było strome, zwierzak skręciłby sobie kark, ale nie Oril. Podeszliśmy do samej krawędzi i ostrożnie zza niej wyjrzeliliśmy.
- *Jebut...* – wydusił Trakow. Obcy w ciele chłopaka wyglądał jak duża mała, z zawrotną szybkością spuszczał się na rękach kilkadziesiąt metrów w dół kamiennego jaru.
- Co z zapisem? – Dla Igora możliwości Orila nie były żadną nowością.
- Przesłaliśmy skrzynkę do Polski, tam odczytał ją zespół ekspertów. Sprawa była tajna, nie bez powodu. – Chłopak dotarł już do wraku. – Pilot nagle stracił sterowność – kontynuował Wołodymyr. – Wszystkie pokładowe systemy szlag trafił. Bandyta mógł ocenić, na jakiej jest wysokości, tylko patrząc przez szybę. Mniej więcej od tego czasu my też straciliśmy sygnał, transpondery można było oddać do muzeum techniki. Ale to nie wszystko, na teren Ukrainy spadły jeszcze dwa ruskie łapocie. Tamci piloci zniknęli.
- Pewnie czerń dopełniła dzieła – mruknęłam. Nie potrafiłam wyrzucić

z głowy scen z *Ogniem i mieczem*. Zniszczone miasto na wzgórzu kojarzyło mi się z zajęciem przez Kozaków Barem.

– Bo przestanę cię lubić, *krasawica* – ostrzegł Wołodia. – Ile to wieków okupowaliście Kamieniec? Dłużej niż na spółkę ta dziwka Katarina i bolszewia.

– Widzisz te zrujnowane klasztory za jarem? Skumaliście się z bisurmanem, zdradzając Koronę. I przypomnij sobie, co zrobiliście z prawosławnymi świętymi. Potem zawarliście pakt z faszystami, naśladowaliście ich metody, robiąc czystki etniczne.

– To Katarina je sprowokowała swoją polityką zasiedlania...

– Przestańcie – napomniał nas Igor – drogie siostry i bracia Słowianie. Jak zaczniemy sobie wszyscy wypominać, co wyczyniali nasi dziadkowie i praszczurowie, dojdziemy do wędrówki ludów i ukrzyżowania przez Ostrogotów wschodniosłowiańskiego króla Boza. Popijemy, zabalujemy i zaraz się polubimy. Będzie nam się lepiej gadało. Oril właśnie wraca. Chcecie, to wrzucę wam zapis tego, co robił we wraku. Jestem z nim w stałym kontakcie.

Momentalnie zapomnieliśmy z Wołodymyrem o naszej dyskusji. Jeśli chodzi o postrzeganie historii, Polak z Ukraińcem chyba nigdy się nie dogadają. My uważaliśmy, że z Koroną przynieśliśmy im zachodnią cywilizację, a oni, że mieli własną. Dla nich Kazimierz Wielki był tym samym, kim dla nas caryca Katarzyna – zaborcą. Oril tym bardziej nie rozumiał tych naszych przepychanek. Niespodziewanie wyrósł przed nami i teraz spoglądał to na jedno, to na drugie, kręcąc głową z dezaprobatą. Jego wzrok mówił: ledwie na chwilę was, ludzie, zostawiłem, a już rozróżba.

– Siadajcie – nakazał Igor, jakby mówił do dzieciaków w klasie.

Karnie usiedliśmy wszyscy na skraju urwiska, na jedynym kawałku suchej trawy. Ledwie puścił holo: chłopak przesunął ręką po przeżartym korozją kawałku blachy.

– Daj zbliżenie – poprosił Wołodia. – Ten siwy pas pośrodku przyciągnął twoją uwagę? – spytał Orila.

– To nie resztki lakieru ani zaśniedziały ocynk – zauważył Igor.

– W tym miejscu blacha się nie utlenia. – Oril spojrział na Wołodymyra. –

Chciałeś nam pokazać ten wrak i miasto w ruinach. Dlaczego?

– Żeby mi dokopać. – Igor miał gotową odpowiedź. – Pokazać, co zrobili moi rodacy. Prawda, Trakow?

– Czy wy nie potraficie chłodno analizować? – Oril był już na dobre zirytowany, jeszcze chwila, a powiesi nas wszystkich za kołnierze na pobliskich drzewach. – Tylko wzajemnie się oskarżacie. Dopatrujecie złych chęci. Piloci stracili sterowność, bo coś zaburzyło pole elektromagnetyczne. Maszyna była napakowana elektroniką, są jeszcze po niej pozostałości. I właśnie to coś nadal blokuje sygnał. A idzie stąd. – Wskazał ręką na północny wschód.

– Charków – szepnęłam.

– Raczej Kijów. – Skupiony na słowach chłopaka Wołodymyr odzyskał spokój. – To tam zniknęły ruskie łapocie i zwykłe *striebitiele*.

– Trójkąt Bermudzki! – krzyknęłam, aby zwrócić ich uwagę. Byłam pewna, że znalazłam rozwiązanie. – Oril, sprawdź swoją bazę, wszystko, co wiesz o katastrofach w tamtym obszarze. To może stanowić klucz.

– Trójkąt Bermudzki to ściema. – Igor wylał mi na głowę kubek zimnej wody. – Nie ginie tam więcej statków niż gdzie indziej. Jego rozdmuchana legenda może najwyżej naprowadzić nas na trop, ale nie odpowie na pytanie, co było przyczyną zaginięcia samolotów. Musimy dotrzeć do samego źródła...

– A nie pomyśleliście – przerwał mu Trakow – że gdyby to było takie proste: wysłać ekipę i w ten sposób uzyskać odpowiedź, już dawno byśmy ją poznali? Dziwicie się, że w miarę spokojnie przyjąłem, co dzieje się z waszym chłopakiem? – Wymownie spojrział na Orila. – Jesteśmy przyzwyczajeni do niewytłumaczalnych, niezwykłych zjawisk. Zadaliście sobie pytanie, dlaczego Rosjanie nie zajęli całej Ukrainy? Dlaczego się wycofali? Bo pogroziliście im sankcjami? *Bullshit!* Bo przerazili się naszych niedofinansowanych armii? Kolejna bzdura. Kijów to jedna wielka czarna dziura. Wciąga wszystko. Nie wiem, jakie cholerstwo na nas sprowadzili, ale im również wyszło bokiem. Coś takiego jak przestrzeń powietrzna tutaj nie istnieje. Chyba że wyślecie, tam – wysoko w chmury – maszynę na pedały, z łącznością na tubę i nawigacją na oko.

– Na czuja – mruknęłam.

Wszyscy warknęli na mnie jak na internetowego trolla. Wróc, tutaj nie było go-netu. Byliśmy wszyscy offline.

– Niech będzie, że przestrzeń jest wyłączona – odrzekł pojednawczo Igor. – Ale co z pancernymi zagonami? Co z artylerią?

– Masz na myśli systemy poszukiwania i namierzania celów? – zakpił Trakow. – *To se na da*. W grę wchodzi tylko bliskie spotkania pierwszego stopnia albo bardzo, bardzo długi kabelek. Dlatego musicie pogadać z Witalijem Porackim. Zbierajmy się. Mamy osłonę: zwiad z przodu i za nami. Dbamy o bezpieczeństwo naszych gości, ale nie ma co dłużej trzymać na zewnątrz chłopaków. Za chwilę zajdzie słońce, zerwie się wiatr i wtedy tyłki przymarzną nam do kanap, a dłonie do manetek z gazem. Na własnej skórze przekonacie się, co to złota ukraińska jesień.

Chciałam jeszcze raz spytać o to mityczne bezpieczeństwo, ale się powstrzymałam. Oril rozesał już grzywry. Niedługo będziemy wiedzieć, co tu jest grane. Jar, rzeka, bajeczne widoczki z domkami wyglądającymi z daleka jak klocki Lego rozgniecione przez rozkapryszzonego dzieciaka. Wszystko to zasłona, jak powłoka Orila. Bo co z ludźmi? Żywymi ludźmi. Z danych, które przesłał mi Oril, pamiętałam, że miasto i najbliższą okolicę zamieszkiwało ponad sto pięćdziesiąt tysięcy mieszkańców. Gdzie oni wszyscy się podziiali?

Rozdział 27

Okruchy tajemnicy

Wjechaliśmy do twierdzy od strony miasta po moście, na którym wcześniej pojawił się Oril. Tylko jedna baszta pozostała w całości, reszta była uszkodzona i straszła swoim wyglądem. Łatanie na szybko dziur nie przysłużyło się zabytkowemu kompleksowi. Wysoki most, który kojarzył mi się ze zwodzonym, niczym długi wiadukt wznosił się nad głębokim wąwozem. Jeden celny strzał z moździerza, zdetonowany fugas i twierdza zostałyby odcięta od zrujnowanego miasta. Źle się czułam połączona z nim nitką, którą tak łatwo można było zerwać. Na moście minęliśmy dwa opancerzone samochody z wieżyczkami i zamontowanymi na pałkach karabinami maszynowymi. Atmosfera jak w miksie gotyckiej powieści z science fiction albo w szpiegowskim filmie z superagentem. Gdyby nie te zacementowane dziury po ostrzale ciężkiej artylerii...

Z ulgą przejechałam przez bramę. W środku nie było lepiej, twierdza przypominała koszary wojskowe, na dziedzińcu zresztą stały właśnie takie budynki – kiedyś mieściło się w nich muzeum. Między murami przemieszczały się mniejsze i większe wozy. Część stała zaparkowana, wszędzie kręcili się uzbrojeni ludzie. Czy ten ruch to z powodu wizyty obcych? Dostrzegłam pod połatany murem nasze pojazdy opancerzone, z gładkimi blachami, fartuchami przeciwkumulacyjnymi i burtami nietkniętymi kulami. Różniły się od miejscowych niczym dziewice od upadłych pańienek, które niejednego już były świadkiem.

Nasza ekipa rozsiadła się na schodach prowadzących do masywnych drzwi baszty, chyba zwanej Papieską (nie mogłam tego sprawdzić, bo w transporterze zostawiłam przewodnik sklecony z materiałów udostępnionych przez Orila). Czekali na nas. Zatrzymałam kawę przed Tankiem. Trzęsły mi się przedramiona i łydki, to była moja pierwsza tak długa jazda na motocyklu. Nie wykańczała mięśni jak jazda konna, ale stres zrobił swoje – za wszelką cenę nie chciałam zaliczyć malowniczej gleby, tym bardziej teraz, kiedy patrzyło

na mnie tyle oczu znajomych i obcych mężczyzn.

– I jak przejazdka? – Aślan pogłaskał zdyszanego Łapę, który ułożył się u jego stóp. Dlaczego akurat jego? O to trzeba by zapytać Orila.

Zamaszystym ruchem nogi rozłożyłam podnózek i chwacko zsiadłam z maszynki. Zrobiłam kilka kroków, maskując niepewność. Nie było tak źle, najbardziej ucierpiała moja psychika. Rezultatem utrzymywania ciągłej koncentracji, żeby nie popełnić najmniejszego błędu, który mógłby się skończyć wywrotką, stłuczką z innym pojazdem albo z murem, czy wpadnięciem do rowu, było narastające zmęczenie. Usiadłam na schodku obok Aślana. Nie nabrał się na moją buńczuczną minę, objął mnie po przyjacielsku ramieniem. Zauważyłam, że Oril nam się przygląda, usiłując zrozumieć nasze relacje. Może i był cwany Obcym, ale nie potrafił ukryć swoich emocji. Nie panował nad mimiką, nad ciałem, w którym nam się ukazywał. Powściągliwość w gestach, słowach, wysyłanie mylnych sygnałów, fałszywa szczerość, kłamstwo – tego musiał się jeszcze nauczyć od ludzi.

– Padam – szepnęłam Tankowi do ucha. Razem z Igozem wymienili się spojrzeniami. Zrozumiałam, że Lediew miał na mnie uważać, inaczej nie pozwoliliby mi na opuszczenie transportera.

Czujny Łapa poderwał się na nogi. Na dziedziniec wjechał wiekowy samochód terenowy, z zamontowanym ciężkim karabinem maszynowym. Poczułam się, jakbyśmy przez przypadek trafili na plan filmu o drugiej wojnie światowej.

– Co to za przedpotopowa maszyna? – spytałam zaintrygowana.

– Czapajew – odrzekł Igor. – Terenowy wózek nie do zderzenia.

– Gaz sześćdziesiąt siedem produkowany od tysięcy dziewięćset czterdziestego trzeciego do tysięcy dziewięćset pięćdziesiątego trzeciego roku – Oril nie omieszkał się podzielić swoją encyklopedyczną wiedzą – zwany też pospolicie gazikiem i właśnie czapajewem.

Chwycił Łapę za obrożę, zaimprovizowaną ze skózanego paska od spodni, i pogłaskał zwierzaka po głowie, powstrzymując przed oszczekaniem samochodu.

– Igor ma rację – zabrał głos Memed. – Jeździ się tym całkiem przyjemnie. Kiedyś atakowaliśmy w błocie stromy podjazd, tylko czapajew i UAZ dały

radę, wszelkie japońskie gówno odpadło. – Znać było po akcencie i słownictwie, że facet pracował z młodzieżą.

– Dlaczego? – wyraziłam zdumienie. – Mnie całkiem przyjemnie się dzisiaj jechało na japończyku.

Czapajew zatrzymał się przy maszynkach. Wsiadł z niego siwowłosa mężczyzna w polowym mundurze. Wstaliśmy ze schodów, żeby się przywitać. Darek, jako szef całej ekspedycji, wystąpił krok do przodu.

– Witalij Poracki.

Mężczyzna musiał mieć ponad sześćdziesiąt lat, jednak na swój wiek wyglądał niezwykle młodzieńczo: energiczne ruchy, uważne spojrzenie ciemnobrązowych oczu, silny uścisk dłoni, gdy podałam mu rękę.

– Miło mi poznać przyjaciół Walerija Swiernowskiego. Jak tam jego ojciec? Lepiej ze zdrowiem? – Mówił z ukraińskim akcentem, twardszym niż rosyjski.

– Całkiem nieźle – odrzekł Aślan – ale lat nam nie ubywa. – Dziwnie to zabrzmiało w ustach mężczyzny, któremu postronny obserwator nie dałby więcej niż dwadzieścia kilka wiosen. – Walerij coś mi dla pana przekazał. – Wyciągnął rękę z niedużą płytką.

– Pietia. – Poracki zwrócił się do człowieka, który właśnie podszedł do czapajewa.

Facet wziął od Tanka płytkę. Uprzejmości uprzejmościami, ale ukraiński dowódca dmuchał na zimne. Domyśliłam się, że podwładny, zanim mu ją zwróci, najpierw sprawdzi nośnik, również na obecność programu szpiegowskiego.

– Zapraszam do mojej kwatery.

– Ahmed Szah Masud, Lew Pandższiru – szepnął mi Oril, gdy wchodziliśmy do baszty jako ostatni. – Zginął w zamachu od bomby ukrytej w kamerze, kiedy udzielał wywiadu.

– Życie bohaterów trwa krótko. Nic dziwnego, że Witalij jest ostrożny. A nasze samochody?

– Kiedy byliśmy na przejażdżce, dokładnie je sprawdzili. Zrobili to jeszcze przed mostem. – Prowadził Łapę, trzymając za obrozę. Pies był tak wysoki w kłębie, że chłopak nie musiał się przy tym schylać.

– Wysłałeś grzywry?

– Cały czas patrolują teren. – Nagle wyskoczył ni z gruszki, ni z pietruszki:
– Asłan cię lubi.

– Też mi wiadomość! – parsknęłam. – Igor również. I ty też, i Łapa. Zastanawiam się tylko dlaczego. Pies wiadomo, micha i pieszczoty. Ale wy?

– Bo jesteś taka pocieszna.

Objął mnie tak jak Tank. Starał się dopasować do nas, naśladować zachowania. Pudło. Rozdrażnił mnie. Bycie śmieszną nie jest tym, co niegrzeczne dziewczynki lubią najbardziej. Robiłam wszystko, żeby nie być „pocieszna”. Poza tym Oril swoim wyglądem i gestami zbytnio przypominał mi Pawła.

– Wolalabym, abys powiedział, że lubisz mnie jak Łapa, dla pieszczot i kanapek.

Ściągnęłam jego rękę z ramienia. Za szybko. Straciłam szansę, żeby dowiedzieć się, na czym polega przemiana Obcego. Co jest pod ciepłą powłoką imitującą ludzką skórę? Metalowe podzespoły, jak u Terminatora z pierwszej części cyklu? Czy może przypomina bardziej zaawansowany model z dwójki? A może z ósemki? Szkopuł w tym, że Oril nie był maszyną, ale nieznanym nam organizmem o wysokich zdolnościach przystosowawczych, który w dodatku miał wsparcie z głębi kosmosu. Te znikające samoloty? Co, a może kogo, Rosjanie ściągnęli na ziemię? I dlaczego akurat oni? Nasz świat stanowi arenę licznych wojen. Ta na Ukrainie nie jest pierwszą ani ostatnią. Czy Witalij Poracki zdawał sobie sprawę, kogo gości w swojej twierdzy?

Kwaterna byłego oligarchy okazała się odnowioną komnatą z kominkiem. Wnętrze przypominało średniowieczny zamek, z kamiennymi podłogami, drewnianym stropem i ścianami wyłożonymi cegłą. Usiedliśmy przy długim masywnym stole, na krzesłach o wysokich oparciach. Towarzyszyło nam kilku uzbrojonych ludzi: osobista ochrona Porackiego.

– Co tam w szerokim świecie? – zagaił rozmowę, gdy czekaliśmy na ciepły posiłek.

– Nic się nie zmieniło – odparł Darek.

– Nie do końca – włączyła się Lidia. – Rosną nam wydatki na zbrojenia.

– Całkiem rozsądnie.

No ładnie! W normalnym towarzystwie zaczynało się gadkę wzmianką o pogodzie.

Oligarcha wymieniał się z nami uprzejmościami i wszyscy mówili ogólnikami, dopóki nie zaspokoiliśmy pierwszego głodu. Jak na te warunki, posiłek był isticie królewski: pieczeń z dzika z żurawiną i chlebem na zakwasie, do tego podano grzane piwo.

– Wracają stare czasy – zażartował Poracki. – Koniec z hodowlą przemysłową, masz mleko, gdy wypasasz na pastwiskach krowy. Ale pojawił się problem ze zdziczałymi psami i innymi szkodnikami. Daleko bardziej groźnymi, bo obwieszonymi po zęby bronią. Kiedyś tutaj, pod twierdzą, organizowano imprezy rycerskie. Nazywali je bogurtami, po waszemu bohurtami.

– Walka konna drewnianymi maczugami? – zainteresował się Oril.

– Raczej współczesny sport. Grupowe walki piesze w zbrojach, z użyciem stępionej stalowej broni.

– Już wiem. – Oril musiał głębiej pogrzebać w swojej bazie. – To nawet ciekawe.

– Niestety, dla mojej żony wiąże się z przykrym wydarzeniem.

Poczułam wibracje pod dłonią, którą trzymałam na karku Łapy siedzącego przy moim krześle. Podnosząc rękę, spojrzałam dyskretnie w to miejsce. „Majdan”. – Oril przesłał mi wiadomość na identyfikator przypięty do obroży psa. – „Stalowa zbroja nie chroni przed kulą snajpera”.

Przecież to oczywiste – miałam ochotę odpisać, ale skojarzyłam słowa Porackiego ze śmiercią syna jego żony na Majdanie. Miałam na tyle wycucia, żeby nie drażyć tematu.

„Pierwsze ofiary tej brudnej wojny”. – Oril potwierdził moje domysły, ale też sprowokował do zadania pytania niedającego mi spokoju od chwili, kiedy zobaczyłam zrujnowane budynki.

– Gdzie się podziiali ci wszyscy ludzie, którzy tutaj mieszkali?

– Zapewne spodziewasz się odpowiedzi, że zginęli w gruzach albo w trakcie ucieczki przed ostrzałem i bombami. Jednak to tylko część prawdy. W ciągu dwudziestu lat z Ukrainy wyemigrowały miliony mieszkańców. Pierwsi opuszczali kraj młodzi ludzie. Wojna zrujnowała naszą gospodarkę.

– Mam w klasie Ukrainkę Roksanę, siostrę Witalija.

– W poszukiwaniu pracy z Polski również wyemigrowało wielu młodych ludzi – wtrąciła Lidia. – I duża część z nich już do kraju nie wróciła.

Nie musiałam jeszcze się martwić o utrzymanie. Po skończeniu liceum zamierzałam studiować na Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie. Ale to było dwa dni temu.

– Sytuacja na granicy nam też nie wyszła na dobre – zwróciła się do mnie siostra. – Mieszkałaś w Paryżu, miałaś inne problemy.

– Tak, masz rację. Zamachy bombowe, terroryści biegający po ulicach z kałasznikowami, zamieszki na przedmieściach, płonące samochody, wybijane szyby, nożownicy w metrze. I to wszystko przez bezrobotne dzieci imigrantów i chorych z nienawiści fanatyków religijnych.

– Kolonializm – stwierdził Poracki. – Do Francji wszyscy walili drzwiami i oknami, z mojego kraju uciekali.

– We Francji kolonializm – Igor zaczął rozlewać grzańca do pustych już kubków – na Ukrainie oligarchowie i korupcja, w Rosji mafia i korupcja. A na koniec wszędzie zapukała kostucha w białej szacie – pani wojna. Też znaleźliście sobie temat na wieczór.

– Temat jest przykry – odrzekł Poracki i napił się grzańca – ale nas nie ominie. Wołodymyr powiedział mi, że chcecie jechać aż do Charkowa. Niezbyt to rozsądne.

– A to dlaczego? – Aślan Zuradow, jak reszta Czeczenów, zamiast grzańcem, raczył się źródlaną wodą. I jak do tej pory razem z Orilem tylko przysłuchiwali się rozmowie.

– Będziecie po drodze mijali Kijów?

– Jest kawałek na północ, ale prowadzi do niego główna droga.

– Prowadziła, zjechaliście nieco z trasy. Radzę ominąć Kijów szerokim łukiem. Chcecie przepłynąć Dniepr transporterami?

– Mają falochrony, to amfibie! – wyrwało mi się, jak zwykle wtedy, gdy powinnam trzymać gębę na kłódkę, zamiast popisywać się ignorancją.

– Widziałaś kiedyś Dniepr na wysokości Charkowa?

– Poszukamy dogodnej przeprawy – zareagował Darek. – Potłuczemy się

po lokalnych drogach. Trudno. Ale co z paliwem?

– Bardzo wam się spieszy pod ten Charków? – dopytywał Poracki.

– Co masz na myśli? – Darek odwdzieczył się pytaniem za pytanie.

– Wołodymyr rusza na zwiad ku Dnieprowi, mamy tam zaufanych ludzi, którzy kursują po rzece na barkach. Sugeruję, żebyście tutaj na niego poczekali.

– Zbliża się zima.

– Tym bardziej musicie uważać. Poza tym są z wami dzieci.

To było o mnie! Tym razem powstrzymałam się przed demonstracją swojej dorosłości, bo w ten sposób okazałabym jej brak. Oril wiedział, jak się poczułam. Rozbawiony zajrzał mi w oczy. Aby nie mógł w nich nic wyczytać, szybko odwróciłam wzrok. Wystarczyło, że gdy się wkurzałam, wyczuwał moje skoki ciśnienia. Coś za bardzo ostatnio się mną interesował. Znaczyło to jedno: jestem dziewczynką z problemami.

– Ile to potrwa? – Lidia, jak to siostra, najbardziej przejmowała się moim bezpieczeństwem i pozwoliła mi wypić tylko jeden kubek grzańca. Hanna i wujek Roland wykazywali się większą tolerancją.

– Trzy, cztery dni.

Darek porozumiał się wzrokiem z Asłanem i odrzekł:

– Tyle możemy poczekać.

– W takim razie pozostaje was rozłokować. Jak wy to mówicie? Czym chata bogata. A o paliwo się nie martwcie. Wołodymyr po drodze sprawdzi zbiorniki. Piraci powinni też transportować na barkach ropę z południa. Ryzykowne zajęcie, ale opłacalne.

– Ile tutaj kosztuje baryłka ropy? – zainteresował się Darek.

– Nie chcesz tego wiedzieć. – Asłan wyprzedził odpowiedź oligarchy.

– Powiedziałem, czym chata bogata. – Poracki skinął na swojego ochroniarza. – Obrażę się, gdy odmówicie. Dmytro zaprowadzi damy i załogę na kwatery. – W ten subtelny sposób dał nam do zrozumienia, że nie wszystko jest przeznaczone dla każdego uszu.

Specjalnie powoli się zbierałam, aby zobaczyć, kto zostanie. Miałam rację, że będą teraz poruszać poważniejsze tematy – mówić o dramatycznych

wydarzeniach, realnym niebezpieczeństwie, zagrożeniu ze strony najemników i maruderów. O tym, co stało się w Kijowie. Zauważyłam, że w drzwiach pojawił się Trakow, przy stole nadal siedzieli Darek, Igor, Aslan, Memed i Dżochar. Oril z Łapą wyszli przede mną. Przyczajony w ciele chłopaka welocirapto-stegozaur miał swoje obserwacyjne grzywry. Dowie się więcej, a ludzie nie będą świadomi, że zostawił tutaj swoje uszy i oczy, chyba że Trakow ostrzegł Porackiego, jakich niespodzianek może się spodziewać po gościach z Polski.

Dmytro zostawił mnie w przydzielonym pokoju, który wyglądał jak klasztorna cela i kojarzył mi się z Basztą Papieską. Na łóżku leżała czysta pościel, na białej ścianie wisiał prawosławny krzyż z ciemnobrązowego drewna. Nie zdążyłam nawet zrzucić kurtki, gdy usłyszałam pukanie do drzwi.

– Proszę.

Do pokoju zajrzał Oril z towarzyszącym mu Łapą.

– Grzywry coś znalazły. Myślę, że to cię zainteresuje.

– Co takiego? – spytałam bez entuzjazmu. Perspektywa łóżka z czystą pościelą była mocno kusząca.

– Bibliotekę.

– Oril, miej litość! Nie potrzeba mi książki do wyrka, tylko spokojnego snu.

– Są w niej cenne starodruki.

– I co? Pozwolą nam je tak sobie obejrzeć?

– Już o to pytałem. Nie mają nic przeciwko. O ile was, ludzi, dobrze rozumiem, nasz gospodarz powiedział przed chwilą: „Czym chata bogata”?

– Gościnność to zaleta biednych narodów.

– Poracki nie wygląda na biednego. Z moich danych – tych nieoficjalnych, których nie znajdziesz w słownikach – wynika, że zbił przed wojną majątek na handlu bronią. Firma budowlana i zakłady produkujące taki sprzęt były przykrywką. Wielotonowe maszyny, dźwigi, wyciągarki, duże zużycie stali...

– Niech ci będzie, Poracki to hiena w skórze wilka.

– Zaradny biznesmen brzmi bardziej elegancko i nie obraża. „Hiena” ma niepochlebny wydźwięk w kontekście, w którym użyłaś tego słowa.

– Oril, litości, nie cytuj mi encyklopedycznych formułek. Nieważne, kim

jest Witalij Poracki, hieną, zającem, biznesmenem czy bohaterem narodowym, nie powinno się nadużywać uprzejmości gospodarza. I nie wszystko, co słyszysz, należy traktować dosłownie. Dobra, chodźmy.

Pokusa była zbyt duża, żeby odmówić. Ukraińcy musieli chronić swoje dobra narodowe, by nie uległy zniszczeniu albo nie trafiły jako trofejne do sowieckich kolekcji lub do zagranicznych paserów. Chroniona twierdza mogła kryć w podziemiach wiele cennych przedmiotów.

Kiedy opuściliśmy pokój, przykleił się do nas uzbrojony łysy facet z długą siwą brodą. Oficjalnie miał nas chronić, a nieoficjalnie patrzeć nam na ręce i odpowiednio szybko reagować. Można było wybaczyć to Porackiemu. Ukraińcy czuli respekt przed Obcym w skórze chłopaka, pewnie uważali go za jakiegoś popromiennego mutanta albo efekt genetycznych eksperymentów. Poza tym takie małolaty jak ja i Oril jeszcze gotowe były wyrwać kartkę z książki wartej miliony dolarów. Wziąć sobie coś na pamiątkę z wycieczki na zrujnowaną Ukrainę. Co ocalało z zawieruchy wojennej, w jednej chwili mogło zostać zniszczone przez dwójkę nieletnich ignorantów.

Weszliśmy po wewnętrznych schodach baszty na drugie piętro. Biblioteka mieściła się na wysokości połatanych murów. Brodacz wpuścił nas do pomieszczenia, w którym trzy ściany były zastawione regałami z książkami o skórzanych grzbietach w różnych odcieniach brązu, z tłoczeniami i zdobieniami. Pod czwartą postawiono duże skrzynie. Na środku znajdowały się niewielki stół i krzesła. Łapa został pod drzwiami na wyraźne żądanie ochroniarza.

Nie myliłam się co do towarzyszącego nam faceta. Nie pozwolił obcym do woli buszować w starych zbiorach. Ściągał z półek woluminy, które nas z Orilem zainteresowały, i kładł na stole. Dwa wyciągnął ze skrzyni. Nie spuszczał nas z oka. Więcej, zrobił mały wykład, jak ostrożnie przekładać kartki, i objaśniał pochodzenie poszczególnych inkunabułów. Zainteresowały nas rękopisy z gotyckim liternictwem i rycinami. Okazało się, że nasz towarzysz, którego wzięłam za tępego żołdaka, sporo wie o historii swojego kraju. Przysiadł się do nas i zaczął opowiadać o dziejach twierdzy i powstaniach kozackich. Trafiliśmy na prawdziwego pasjonata. Oril słuchał go z zainteresowaniem, co jakiś czas zadając pytania.

– Czas do łóżek. – Mężczyzna złożył wolumin z osiemnastego wieku. –

Za godzinę zacznie świtać, a za dwie jadę na zwiad. Mogę podesłać tutaj kolegę.

– Racja, czas iść spać. – Oril zapamiętał moją uwagę o nienadużywaniu gościnności gospodarzy. – Dziękujemy, wiele się od pana dowiedzieliśmy. – Wstał od stołu, dając mi znać, żebym też się zbierała.

Brodacz odprowadził nas do pokoiów na niższym poziomie, przy okazji pokazując, gdzie jest toaleta i prysznic. Od razu z nich skorzystałam, w pokoju znalazłam czyste ręczniki i szlafrok frotté. Jak na te okoliczności warunki były niczym w pięciogwiazdkowym hotelu.

Znowu nie dane mi było wyciągnąć się na łóżku. Usłyszałam ciche pukanie.

– Nie mów, że to znowu ty, Oril!

Przecucie mnie nie oszukało. Chłopak wszedł do celi. Miał na sobie oliwkowy szlafrok, towarzyszył mu Łapa. Jak on znosił tego psiego upierdliwca, nieodstępującego go choćby na krok?

– Chcesz się wpakować do mnie do łóżka? – spytałam zgryźliwie.

– A chcesz wiedzieć, co mi przekazały grzywry?

– Wskakuj. – Przesunęłam się bliżej ściany.

Oril usiadł naprzeciwko, Łapa ułożył się na podłodze. Ciepłe światło stojącej na stoliku lampy naftowej sprawiło, że surowa cela wydawała się przytulna. Od chłopaka również biło ciepło. Szkoda, że mi wcześniej nie wygrzał łóżka.

– I co z tymi grzywrami?

– Starzy właśnie kończą naradę.

– Zdecyduj się na konkretny image.

– Wybacz, zbyt duży natłok informacji. Tak chyba mówi nastolatek do nastolatki?

– Mniej więcej, ale musisz brać pod uwagę jeszcze nastrój i kontekst, którego ignorowanie nie tak dawno mi wypominałeś. Ta narada jest ważna jak cholera.

Oril zrobił głupią minę. Musiał się pogubić w tych wszystkich subtelnościach. „Starzy” było niewłaściwym słowem, a „cholera” odpowiednim? Poczułam, że brak mi Pawła. Jak bardzo pragnęłam się teraz

do kogoś przytulić! A Oril tak go przypominał! Gdyby mój chłopak miał zielone oczy zamiast niebieskich i masywniejszą budowę ciała, wyglądałoby jak bracia. Na upartego Oril mógłby być tym starszym ze względu na rozwiniętą muskulaturę.

– Tęsknisz za nim? – spytał niespodziewanie.

– Skąd wiesz?

– Czuję twój smutek i samotność.

– Połączysz mnie z Pawłem? – Kułam żelazo póki gorące, wykorzystując wrażliwość Obcego.

– Nie teraz. Nie chciałbym zdradzić położenia kwatery Porackiego.

– Wasza bardziej zaawansowana technika, możliwości...

– A co, jeśli tutaj działa ktoś o podobnych możliwościach? Ten wrak na dnie jaru. Kawałek blachy, który nie skorodował. Znikające samoloty, wycofujący się z tych terenów najeźdźcy. Także to, o czym twoi opiekunowie rozmawiali z Porackim. Nie spodziewałem się, że sprawa jest aż tak poważna, inaczej uczestniczyłbym w naradzie. Do tej pory szukaliśmy z Łapą tylko materiałów wybuchowych i uważaliśmy na wrogich wam ludzi. Teraz wiem, że musimy być dużo ostrożniejsi.

Pewnie miałam mocno zaniepokojoną minę, bo zmienił temat:

– Co ty na to, żeby poznać moich małych przyjaciół?

– Grzywry? To nie są aby pasożyty?

– Nie są nawet symbiontami.

– Kojarzą mi się z podnawkami, które pływają przyssane do rekinów.

– Dlaczego akurat pomyślałaś o rekinie?

– Welociraptor. Albo z bąkojadami czerwonodziobymi siadającymi na nosorożcu i ostrzegającymi go przed niebezpieczeństwem.

Oril spojrzał na mnie pytająco.

– Stegozaur. Twój wygląd, ten prawdziwy. Mam wrażenie, że patrzę na krzyżówkę welociraptora ze stegozaurem.

– Z tak przedpotopowymi stworzeniami? – Roześmiał się, teraz jeszcze bardziej przypominając mi Pawła. – Chcesz zobaczyć, jak wygląda grzywra?

– Miałam jedną w ręku, gdy wkradła się do transportera.

– Grzywra dała ci się złapać? A to dobre!

– Może mnie polubiła jak Łapa ciebie? Ale już dobrze mówisz, tak jak chłopak w twoim wieku. Przynajmniej w wieku, na jaki wyglądasz.

– Staram się. Chodź, mała.

Ostatnie słowa wcale nie były do mnie. Zauważyłam, jak porusza się kołdra w moich nogach. Pościel wgłębiała się coraz bliżej, jakby coś po niej sunęło. Kiedy znalazło się przy Orilu, zobaczyłam miniaturową fatamorganę, która zmaterializowała się w małe czarne stworzenie, tak precyzyjnie zbudowane, jakby zaprojektowano je w Instytucie Nowych Technologii.

– Dotknij jej – zachęcił mnie Oril. – No, śmiało! To Nemi.

– Rybka Nemo?

– Nemi, ale też nieźle pływa.

Pogłaskałam to dziwne stworzenie. Poprzednie wrażenie, jakbym dotykała silikonowej skóry, zastąpiło odczucie, że przesuwam palcami po delikatnych chrapach Świtka.

– Jest przyjaźnie nastawiona, inaczej cała najeżyłaby się twardymi kolcami.

– Jak jeż?

– Owszem, ale grzywre trudno oszukać. Perfekcyjnie rozróżnia realne zagrożenie od pozornego, w przeciwnym razie Łapa miałby rozorany cały pysk.

– Jest jak kot, który wie, kiedy schować pazury. A w jaki sposób zakrada się do pomieszczeń? Wiesz, niewidzialność czasem nie wystarczy.

– Ale wystarczy nieduża szpara, jeśli grzywra się w niej nie mieści, powiększa otwór i przeciska się przez niego. I co najważniejsze, stara się nie zostawiać za sobą śladów.

– Jak na nią działa gaz? Spaliny, trujące opary?

– Ma autonomiczny system wentylacji.

– A czym się żywi?

Czym było to stworzenie? Pół zwierzęciem, pół maszyną?

– Jest jak ja wszystkożerna.

– Nie mów mi, że pozeracie smar i zanieczyszczony olej!

– Jeśli jest w nim tłuszcz...

Odsunęłam się od Orila. Zrobiłam to odruchowo, w reakcji na jego słowa.

– To nie może się dziać! – krzyknęłam.

– Dotknij mnie, Gloria.

Wcale mi się do tego nie spieszyło.

– Grzywry dotykasz.

Oderwałam dłoń od mechopłaza, salamandrobota lub czymkolwiek to było.

Obok mnie siedzi kilkunastoletni chłopak, tłumaczyłam sobie. Przecież podawałaś mu rękę. Jednak gdy Oril próbował mnie objąć, zrzuciłam jego dłoń. Zaraz tego pożałowałam. Nadarzała się okazja, żeby sprawdzić, kim naprawdę jest, i znowu mam zaprzepaścić taką szansę?

Ciekawość wygrała, dotknęłam jego uda wystającego spod szlafroka. Było gorące, o gładkiej skórze. Znalazłam się w podobnej sytuacji jak wtedy, gdy przyszłam do Igora.

– Pamiętasz, jak pytałam cię, czy jesteś rodzaju męskiego?

– Mam ściągnąć szlafrok? – Rozbawiłam go. – Tak, my też rozmnażamy się przez bliski kontakt – uprzedził moje pytanie. – Ale nie międzygatunkowy.

– Czyli mogę się czuć bezpieczna?

– Nie mamy zwyczaju zdobywać partnerki siłą. To one wybierają.

Uspokojona zacisnęłam dłoń na jego udzie. Było twarde, ale taką strukturę mogły mieć mięśnie ciężko pracującego robotnika albo wytrenowanego sportowca. Kusiło mnie, żeby wbić Orilowi paznokcie w ciało. Zobaczyć, czy pocieknie czerwona krew.

– Ułatwię ci sprawę. – Ponownie posłał mi uśmiech.

Poczułam, jak sztywnieje mu skóra, zmienia się w chłodną łuskową skorupę. Cofnęłam rękę. Jego oczy pociemniały. Natychmiast oderwałam od nich wzrok. Nie uciekłam przed trudną do zaakceptowania rzeczywistością. Ale nie chciałam, żeby mnie zahipnotyzował jak weterana w ośrodku. Jego dłoń! Pazury przesuwają się po pościeli, tnąc materiał niczym skalpele.

– Jak to możliwe? – wydusiłam.

– Pamiętasz, jak mówiłem o pozorach? Widząc młodego chłopaka, zapominasz, kim naprawdę jestem. Moje łagodne zachowanie dopełnia obrazu, który stworzyłaś w swojej głowie.

– Jesteś Sprzątaczem. Tapłasz się w głównie światów, do których cię wysyłają. A my? Ja, Lidia, Asłan, Igor...

– Tobie i Asłanowi potrzebna jest terapia. Ciągłe pamiętasz zdarzenie w metrze.

– Skąd wiesz?

Jak mógł poznać moje przeżycia? Powiedzieli mu, że widziałam już śmierć? Byłam świadkiem brutalnej rozwałki w wykonaniu mojego przyjaciela.

– Nie pamiętasz, po co tutaj jestem?

– Reedukacja.

– Nieudana. Nie wiem, jak to się dla mnie skończy. Ale przynajmniej mogę sprawić, aby wydarzenie z metra przestało ci ciążyć. Z Asłanem jest gorsza sprawa.

– Nie wierzę, żeby przejmował się tym, co zrobił.

– To dotyczy jego przeszłości.

– A Igor Lediew?

– To cwany osobnik. Potrafi zdobywać sympatię otoczenia.

– Próbujesz mi powiedzieć, że nie jest bezinteresowny?

– Niewiele jest rzeczy, które robimy bezinteresownie. Zawsze czegoś za to oczekujemy, choćby podświadomie. Po co mnie tutaj wpuściłaś? Bo chcesz więcej się o mnie dowiedzieć. Jesteś ciekawa świata, jak każdy młody osobnik. W ten sposób zwiększasz swoje szanse na przeżycie.

– A miłość? Ona też jest interesowna? Czy w twoim świecie istnieje?

– Miłość jest przywiązaniem i pomaga w rozmnażaniu.

– Skoro taki z ciebie mądrała, powiedz, kogo mam wybrać?

– Tego, który jest najbliżej.

– W tej chwili ty jesteś najbliżej.

– Gloria, nie fizycznie.

– No to Igor, on najlepiej mnie rozumie.

– Bo potrafi wzbudzać sympatię?

– Z tobą nie da się rozmawiać!

– Postaram się pomóc Asłanowi.

– Oczywiście nie bezinteresownie – błysnęłam tanim sarkazmem.

– Robię to choćby po to, żeby poprawić sobie samopoczucie. A także dla ciebie. Pójdę już. Jeśli chcesz, zostawię z tobą Łapę. Będiesz się czuć bezpieczniej.

Nie pytałam, skąd mu to przyszło do głowy. Znał mnie lepiej niż ja sama.

– Asłan? – spytałam. – To o niego chodzi? Odsunęłam się od niego po egzekucji w metrze?

– Sama musisz sobie odpowiedzieć na te pytania. Mamy kilka dni przed sobą, postaram się przez ten czas nauczyć cię, jak przeżyć. Poznasz kilka sztuczek Sprzątacza.

– Umiesz nęcić.

– Wykorzystuję twoją ciekawość świata.

Oril wyszedł, zostawiwszy pilnującego mnie psa i grzywę, która już zdążyła stopić się z otoczeniem. Może jutro dowiem się, na czym polega jej kamuflaż? Perspektywa poznania tajemnic Obcego rozpałała moją wyobraźnię.

Rozdział 28

Bracia

Oril zostawił swój fantom w łóżku i ruszył na obchód twierdzy. Nie musiał robić tego osobiście, grzywry na bieżąco dzieliły się z nim zebranymi informacjami. Chciał jednak poznać uczucia osiadłych tutaj stworzeń. Już wiedział, że nie żywią złych zamiarów wobec jego ziemskich towarzyszy, których chronił. Wykorzystał swoje zdolności, aby poznać przeszłość wiernego zwierzaka. Łapa przywiązał się do niego tak, jak żadna inna żywa istota. Nic dziwnego, skoro ocalił mu życie, zregenerował rannemu zwierzęciu zniszczoną tkankę, a także coś od siebie dodał. Pies stał się bardziej wytrzymały, szybszy, wyostrzyły mu się już i tak rozwinięte zmysły – był jak jeszcze jedna grzywra. Teraz to wykorzysta, szkoląc go razem z Ziemianką. Obecność Trojlo miała bowiem wpływ nie tylko na psa.

Właśnie znalazł się przy kwaterze Aśłana Zuradowa. Człowiek nie będzie miał spokojnej ani tej nocy, ani następnych. Oril nic na to nie mógł poradzić. Aśłan nie wiedział, że jego wizje wiążą się z obecnością Trojlo. Składał je na karb miejsca, w którym nocował.

Oril przywarł do sufitu i skoncentrował się człowieku, wysyłając grzywrom wiadomość, żeby go ubezpieczyły. Stan, w jaki się wprowadził, uniemożliwiał natychmiastową reakcję, bo odcinał go od innych sygnałów. W centrum uwagi znajdował się tylko Aśłan.

Obraz na początku wyglądał, jakby Oril patrzył na przekaz z satelity krążącego po orbicie Ziemi. Ogromny ocean zalewał planetę i otaczał kontury kontynentu, który zaczął się rozpadać na mniejsze lądy. Kiedy powierzchnia Ziemi zastygła w obecnym kształcie, Orilowi pozostało obserwować prądy morskie wpływające na klimat krain, których brzegi opływały ciepłe masy wody. Rozwój życia, bujnej fauny i różnorodnej floty był fascynujący, lecz on szukał czegoś innego. Związku z jedną konkretną istotą.

Był coraz bliżej celu. Rozciągał się pod nim szeroki step poprzecinany

wstęgami rzek, upstrzony jasnymi plamami jezior i wewnętrznych mórz. Na wzgórzach i wyspach powstawały ludzkie osady, ich położenie zdradzały dymy z palenisk. Zszedł niżej. Po stepie mknęły tabuny koni, dostrzegł niewielkie figurki ludzi. Kultura koczowników. Właśnie o tym śnił człowiek. Aślanowi ukazały się duchy przeszłości. Oril domyślił się, że to z powodu jego wizyty z Glorią w bibliotece. Opowieści starszego mężczyzny z brodą pobudziły wyobraźnię Obcego, który teraz miał już pewność, że coś istotnego wiązało go z towarzyszem dziewczyny.

Wizje stawały się coraz realniejsze. Jego brat w snach był zaniepokojony, przewracał się z boku na bok. Oril sięgnął do swojej bazy danych. Zainteresowały go losy ludzi przemierzających tereny, po których wędrował z Aślanem i Glorią. Co łączyło ludy żyjące w różnych wiekach? Wędrowka w poszukiwaniu lepszych warunków życia, szlaki handlowe, liczne podboje i ucieczka przed wojowniczymi plemionami koczowników. Zobaczył ciekie wodne: Wisłę, Dniestr i Dniepr, podążając dalej na zachód, Don i Wołgę. Śpiącemu Aślanowi ukazała się pancerna jazda: Chazarowie galopujący po stepie w swoich ciężkich stalowych zbrojach.

Oril wyczuł ogarniającą mężczyznę panikę. Dawny Kaganat Chazarski był olbrzymim terytorium i obejmował Kaukaz. Podróż tam była złym pomysłem, zwłaszcza z dziewczyną. To ten lęk tkwił w podświadomości człowieka. Bał się przeszłości – tego, że wróci, nieuchronna niczym śmierć. Niełatwa sprawa. Przypadek tej istoty wymagał od Orila większego zaangażowania. Przeczucie mówiło mu, że to ważne również dla niego. Więź, którą czuł, miała jakąś przyczynę. Musiał się dowiedzieć – jaką?

Obudził mnie hałas. Łapa skakał po celi, jakby oszalał, dopiero po chwili zorientowałam się, że prowadzi jakąś dziwną grę z grzywą, która ukazywała się w różnych miejscach: w kątach, przy drzwiach, śmigła pod łóżko, wyskakiwała na szafkę, przyklejała się do sufitu. Pies uderzał przednimi łapami, próbując przyprzeć ją do podłogi, a ona w ostatniej chwili odskakiwała. Kilka razy uciekła do mnie na łóżko. Ćwiczenie refleksu przez zabawę. Małe stworzenie zmieniało przy tym kształty, raz było salamandrą, innym razem żabką, puchaczem albo fretką – przynajmniej grzywra kojarzyła

mi się z tymi organizmami, ale w rzeczywistości wyglądała jak miniaturowy robot, zabawka dla dzieciaków. Czy była groźna? Oril wspomniał o twardych kolcach, które wypuszczała. Mogła wtedy aplikować napastnikom środek, który paraliżował centralny układ nerwowy. Raz pies zdołał ją przycisnąć. Momentalnie się spłaszcyła i wydostała spod jego łap. Zwierzak przez chwilę kręcił się, jakby gonił za własnym ogonem. Miałam rację: czymś go zniechęciła do fizycznego kontaktu. Wystarczyło jedno ukłucie we wrażliwy punkt, aby Łapa nabrał respektu do tej żywej zabawki.

– Widzę, że szkolenie w toku.

Oderwałam wzrok od brykających zwierzaków (miałam jakoś zakwalifikować grzywre, więc uznałam ją za rodzaj zwierzątka), gdy Oril bez pukania wszedł do pokoju.

– Ubieraj się. Czeka na nas śniadanie, szkoda tylko, że nie na murach twierdzy. Poracki nie chce, byśmy się za bardzo wychylali.

– A Tank?

– Miał ciężką noc. Nie mam serca go budzić, kiedy w końcu zapadł w głęboki sen.

– Skąd to wiesz? Spałeś z nim w łóżku?

– No wiesz! Jestem kosmitą, lecz to nie znaczy, że obojnakiem. Jednak z tobą nie miałbym nic przeciwko.

Cisnęłam w niego kapciem, który znalazłam pod szafką. Oril nie uchylił się. Złapał go w locie. A przecież rzut był naprawdę energiczny.

– Niezły refleks.

– Inaczej nie przeżyłbym przy swojej robocie. Kiedy zrzucają mnie na obcą planetę, wszyscy na mnie polują. Ale wtedy dysponuję zaawansowaną bronią. Tutaj jest nią moje ciało.

– Darek znalazłby dla ciebie jakiś karabin, skoro MSBS nie przypadł ci do gustu.

– Dobry kamuflaż jest lepszy od prymitywnej broni.

– Pod warunkiem, że nie będzie to nasza prymitywna bomba neutronowa.

– Jeśli zdążę się zamknąć szczelnie w pancerzu, jestem w stanie przeżyć wybuch takiej zabawki. Grzywry również. Nie będę ci przeszkadzać. Chodź,

Łapa.

– A Nemi?

– Lepiej, jak przy tobie zostanie.

Nie potrafiłam odgadnąć, co Oril dla mnie przygotował. Ubrałam się w mundur, założyłam grube skarpety i moje jedyne obuwie: wojskowe buty. Wolałabym lekkie adidas – jeśli przyjdzie mi biegać po schodach i murze obronnym, będę przeklinać każdy niepotrzebny gram. Obawiałam się, że dojdzie jeszcze wyposażenie: karabin albo dodatkowa apteczka. Osobisty pakiet medyczny trzymałam w bocznej kieszeni spodni.

Zjedliśmy śniadanie w towarzystwie Porackiego tam, gdzie wczorajsza kolację, czyli w komnacie z kominkiem. Asłan się nie pojawił. Spojrzałam na Orila. Skinął głową, potwierdzając moje podejrzenia. Co się stało przez tych ostatnich kilka godzin? Poza Orilem tylko grzywry mogły mi to wyjaśnić. Niestety, nie wiedziałam, jak się z nimi porozumieć. Czułam uścisk na łydce, to Nemi się jej uczepliła. Wystarczyło zwracać uwagę na najbliższe otoczenie, żeby przewidzieć, gdzie chowają się wysłannicy Trojlo. Jak zostaniemy sam na sam, spytam go o możliwości bojowe tych precyzyjnych małych stworzeń.

– Pobiegaliśmy trochę z Glorią i Łapą po okolicy. – Oril dolał sobie herbaty. Wszystkożerny szczęściarz pożywiłby się i w warsztacie. Może pochłonałby i popiół z kominka? Byłam ciekawa, czy wtedy musiałyby wrócić do swojej pierwotnej postaci.

– Nie ma problemu – zgodził się Poracki. – Chociaż... Może mi wyjaśnisz, chłopcze, jak znalazłeś się wtedy na moście. Jak ominąłeś wartowników?

Chłopcze? Nazwanie Trojlo chłopcem zabrzmiało wyjątkowo zabawnie.

– Tak samo jak znalazłem się potem przy konwoju? – Oril odpowiedział pytaniem.

– Przyszedł za Łapą – głupio mi się wyrwało. To nie mnie pytano.

– Te dziwne małe mechanizmy, które pojawiają się w różnych miejscach, też tak sobie przychodzą?

– Skoro zaprosiłeś nas do swego gniazda – Darek przyszedł z odsieczą Orilowi – zdecydowałeś się też zaufać.

– Racja. – Poracki bawił się niewielkim składanym nożem, za plecami mieliśmy jego ochronę. – Ale pod warunkiem, że nie będziecie przede mną

ukrywać, kto wam towarzyszy.

– Wtedy gdy to istotne dla waszego bezpieczeństwa – sprostował Igor. – Nasz chłopak ani jego mali ulubieńcy w żaden sposób wam nie zagrażają.

– Pod warunkiem, że nie zaczniecie do nich strzelać – znowu palnęłam. Tym razem nie uszło mi to na sucho.

– Zamknij się, Gloria! – nie wytrzymała Lidia.

– Młoda damo, jakie to niezwykle zdolności posiada ten chłopak – podchwycił Poracki – że nieuzbrojony stanowiłby zagrożenie dla strzelca wyborowego mierzącego z murów?

– Może mnie o to zapytasz?

Oril z oligarchą zmierzili się spojrzeniami. Coś było w jego wzroku, bo mężczyzna na dobre zamilkł. Z palca pociekła mu krew: Witalij nie zauważył, że wbija w opuszkę ostrze noża. Poczulałam, jak grzywra poluzowała chwyt na mojej łydce i zaczęła się przemieszczać po nodze ku blatowi stołu. Czyżby reagowała na zapach krwi? Jak groźne były te stworzenia?

– Dobrze – zdecydował Poracki. – Możecie biegać, gdzie chcecie, robić, co chcecie, ale moi ludzie ciągle będą mieć was na oku.

Przecież ciągle mają, pomyślałam. Tym razem udało mi się nie wyrwać się z głośnym komentarzem.

– A broń? – Oril wpatrywał się w oligarchę. – Gloria chciałaby postrzelać z kuszy. – Skąd wiedział, że się w to bawiłam?

– Dmytro zaprowadzi was na strzelnicę. Nie chciałbym, żebyście kogoś postrzelili.

– My też – mruknęłam.

Lidia spojrzała na mnie karcąco. Nie przejęłam się tym. Oril stanął za mną murem. Czegoś chciał, dlatego mnie osłaniał. Pamiętałam jego słowa, że nie ma nic za darmo. Poracki zgodził się, byśmy buszowali po jego włościach, jednak z małym zastrzeżeniem, że pod nosem ochrony. W ten sposób mógł się więcej dowiedzieć o chłopaku. Zorientował się, że jest obserwowany przez sterowane mechanizmy, ale na razie nie domyślił się, że grzywry nie są robotami. Chociaż...

– Chodźmy. – Oril położył mi dłoń na ramieniu.

Za chwilę nadarzy się okazja, by go o to spytać. A jeśli wszędzie są pluskwy? Cały czas nas podsłuchują? W każdym pomieszczeniu twierdzy mogły się znajdować ukryte mikrokamery. To byłoby racjonalne, przecież grzywry działały na tej samej zasadzie, jako oczy i uszy bojowej maszyny. Ale Trojlo wiedziałby, że jest podglądany. Był zbyt rozwiniętą formą życia, by przegapić takie prymitywne narzędzia inwigilacji. Jeśli Mirek potrafił zhakować software, czemu Obcy nie miałby sobie z tym poradzić? Może dlatego Poracki stał się tak nerwowy? Bo siadała mu jedna kamera po drugiej? Pojawiły się tajemnicze usterki i anomalie?

– Czym jest grzywra? – spytałam, gdy pozostali się rozeszli. Naszymi towarzyszami byli już tylko Łapa i łążąca po mnie jaszczurka niewidka.

– W jakim sensie?

– Jest robotem czy zwierzęciem?

– A jeśli ani jednym, ani drugim?

– W jakim sensie? – zrewanżowałam się tym samym pytaniem. Szliśmy z Orilem przez dziedziniec, kierując się do głównej bramy twierdzy, gdzie czekał na nas Dmytro.

– W takim, w jakim ani jednym, ani drugim nie jest człowiek.

– Nic z tego nie rozumiem.

– Problem w tym, że niektóre zjawiska nie mają odpowiedników w waszym języku.

– Posługujemy się wieloma językami.

– Chodzi mi o to, że na Ziemi nie można znaleźć mojego odpowiednika ani odpowiednika Nemi.

Przesunął dłoń po moim biodrze, akurat w miejscu, gdzie usadowiła się teraz grzywra.

– Tym bardziej nie ma tutaj podobnego technicznego wynalazku.

– Nie obowiązują was prawa fizyki, chemii, biologii?

– Owszem, obowiązują, ale ile wy ich poznaliście? Jak wiele zjawisk potrafi wytłumaczyć wasza nauka? Nie znaleźliście odpowiedzi nawet na to, dlaczego jedne stworzenia są w stanie przeżyć w ekstremalnych warunkach, a inne nie. Jeż hibernuje. Dlaczego nie przenieśliście tej zdolności

na człowieka?

- Bo nie potrzebowaliśmy.
- Czyżby?
- To jest dla mnie za mądre. Nie jestem naukowcem.
- Ale chcesz wiedzieć, inaczej byś nie pytała.
- Myślałam, że podasz mi proste wytłumaczenie.
- Muszę się poruszać w znanych ci realiach.
- A sztuczna inteligencja?
- To tylko sztuczna inteligencja.
- Nawet nie wiesz, że pocieszyłeś mnie tymi słowami.
- Dlaczego?
- Bo to znaczy, że technika wszystkiego nie zdominuje.
- To też względne pojęcie.
- A śmierć? Ona też jest względna?
- Myślę, że tak.
- Ale nie jesteś tego pewny?
- Macie takie powiedzenie: nic w przyrodzie nie ginie.

Zatrzymaliśmy się przy bramie, stał przy niej samochód terenowy. Wsiadł z niego mężczyzna, którego już znaliśmy. Nasz etatowy oprowadzacz Dmytro wczoraj wskazał nam kwatery na noc, a teraz zapraszał do samochodu. Domyślałam się, że został do nas oddelegowany, bo mówił łamaną polszczyzną, wplatając słowa z innych języków. W każdym razie sobie radził. Ja też, bo gdy nie mogliśmy się zrozumieć, wrzucaliśmy słówka angielskie, ruskie, a nawet francuskie.

– Mam dla ciebie kuszę. – Uśmiechnął się do mnie. Brakowało mu górnej dwójki.

- Fajnie, a gdzie będziemy mogli postrzelać?
- Pod murami, tam jest strielnica.
- A co z bronią palną? – spytał Oril.
- Ona jest pod bronią palną.

– Lotnik, kryj się – rzuciłam. Dmytro udał, że pada pod samochód, po czym odwrócił się ze śmiechem. Górną czwórkę też stracił.

– Przynajmniej z dogadaniem się nie będzie problemu.

– Spokojna, dziewczyna.

Myślałam, że będę strzelać, tak jak na imprezie u Pawła, i ganiać po terenie jak u boku Asłana. Walka wręcz? Nie z Orilem, szansa na trafienie kosmity praktycznie żadna. Moje szkolenie polegało na nauce właściwej reakcji na jego sygnały. Brał w nim udział również Łapa, który zatrzymywał się, siadał, warował – jakby czytał Orilowi w myślach. Na początku nie wiedziałam, o co chodzi. Potem rozpoznawałam i wyczuwałam subtelne sygnały. Przeszłam trasę psa, zatrzymując się, padając i skręcając dokładnie w tych samych miejscach. Oril pokazał mi to na minitablecie. Gdzie się podziały moje problemy z rozróżnianiem prawej i lewej strony? Ale to była ledwie rozgrzewka. Przyszedł czas na trening z bronią.

Dmytro ciągle nam towarzyszył. Zwiększył czujność, kiedy zaczęłam strzelać z kuszy. Wziął Łapę na smycz. Pies był posłuszny nieznanemu, bo Oril mu tak nakazał. Dmytro pilnował, żeby nikt nie znalazł się na linii strzału. Jednak najtrudniejsze zadanie dopiero mnie czekało: strzelanie do Orila. Kiedy Dmytro usłyszał, co chłopak chce zrobić, zaprotestował.

– Odpowiadam za was, riebiata.

– Problemem są tylko rykoszety.

Facet zrobił wielkie oczy. Jego spojrzenie mówiło: „Dzieciaki, wy to na poważnie?”.

– Ale bełt to nie kula.

– Oril, nie przekonasz go. Chyba że... no wiesz!

Chłopak wyjął mi z ręki kuszę i przekazał Dimie, który nadal trzymał Łapę na smyczy. Nie wiedziałam, o co Orilowi chodzi. Chciał się ukazać mężczyźnie w swojej prawdziwej postaci? Złapał mnie za rękę i odciągnął na bok.

– Stój spokojnie.

Przeszedł za moje plecy. Czułam jego ciepły oddech na szyi. Objął mnie – czy w ten sposób upewniał się, że przestraszona nie ucieknę?

– Co zamierzasz zrobić?

– Nie bój się – szepnął. – Za chwilę będę wyglądał jak wtedy, kiedy pierwszy raz się spotkaliśmy.

Tak właśnie myślałam!

– A wzięłeś pod uwagę reakcję Dmytra?

– Będzie widział tylko chłopaka obejmującego dziewczynę. Dyskrecja każe mu się trzymać na dystans.

– Sprytnie. Ale co chcesz osiągnąć?

– Poczujesz.

Wychwyciłam subtelny niuans. Oril nie użył słowa: zobaczysz.

– Skup się, Gloria. I nie wystrasz.

Trafnie przewidział reakcję mężczyzny. Dmytro odszedł kawałek. Obserwował nas, ale żeby usłyszeć, co chłopak szepcze mi do ucha, musiałby skorzystać z jakiegoś szpiegowskiego gadżetu.

– Będę dzielna. – Odezwała się we mnie wojowniczką.

Oril nadal mnie obejmował, ale coś zaczęło się zmieniać. Coś nieuchwytnego, jakby wokół nas panowała inna aura, jakbyśmy zostali naelektryzowani. Spojrzałam na ręce chłopaka, tylko je mogłam dojrzeć bez odwracania głowy. Zmieniły się w łapy zakończone długimi szponami. Instynkt podpowiadał mi: Uciekaj! Stój! Udawaj martwą!

– *Nie bój się* – usłyszałam gdzieś pod czaszką. Czyżbym oszalała ze strachu?

– *Nie, to ja, Oril. Potraktuj głos, który słyszysz w głowie, jak pisaną do ciebie wiadomość. Widzisz mnie jako Trojlo, ale to nie znaczy, że zaraz zaatakuję. Uczyniłbym to tylko w sytuacji zagrożenia, a takiego tutaj nie ma.*

Zrobiłam ruch, jakbym chciała się uwolnić. Zacisnął chwyt. Miał wysklepioną twardą pierś. Byłaby jak kirys, gdyby nie to, że czułam ciepło ciała Orila.

– *Ciężko mi uwierzyć we własne zmysły.*

– *Przyzwyczaisz się.*

– *Po co to robisz?*

- *Musisz się ze mną oswoić. Nie zawsze będę podobny do Pawła.*
- *Wtedy i tak jesteś inny: większy, silniejszy, masz inny kolor oczu.*
- *Wybacz, że nawet ukazując ci się jako człowiek, chcę pozostać sobą.*

Chciał być sobą! Niezły żart.

- *Rozejrzyj się i powiedz mi, gdzie widzisz grzywry.*

- *Nie widzę żadnej. Masz ciężki pysk.*

Właśnie oparł mi go na ramieniu. Miałam wrażenie, jakby ktoś położył na nim wyrzutnię RPG.

- *Przepraszam. Zapominam o swoim naturalnym ciężarze.*

- *Macie wyższą grawitację?*

- *Znacznie. Co z grzywrami?*

– *Widzę cztery. Nemi przywarła do mojego uda, druga grzywra uczepliła się karabinu Dmytra, trzecia siedzi na blance, czwarta przycupnęła na trawie i jest zwrócona w stronę jaru.*

- *Jest ich więcej. Postaraj się je wyczuć, widzieć ich oczami.*

- *To możliwe?*

- *Spróbuj.*

Cholera! To rzeczywiście było możliwe. Właśnie podglądałam Porackiego, oligarcha strofował podwładnego. Inna grzywra obserwowała Zuradowa: siedział na krześle z zamkniętymi oczami. Następna pilnowała dziedzińca, po którym przechodzili ludzie i jeździły samochody.

- *Ile ich jest?*

- *A ile wyczuwasz?*

Widziałam cztery, obserwowałam oczami trzech innych i wyczuwałam istnienie kolejnych pięciu.

- *Dwanaście. Jak w Parszywej dwunastce.*

- *Chyba z tymi, które zostawiłem na Ran.*

- *A ile powinno ich być?*

- *Osiem. Pomyliłaś się o cztery sztuki.*

- *One tutaj są, ale jedna znajduje się daleko i... czuję w niej agresję.*

– Tija wyczuła zagrożenie, włączyła tryb walki. Ale tak jak mówisz, jest daleko, dlatego nie mogę jej pomóc. Te cztery dodatkowe grzywry... Jedną z nich możesz być ty. Odbierasz siebie jako grzywrę. A następna to Łapa. Od chwili, kiedy opatrzyłem mu ranę, mam z nim taki sam kontakt jak z grzywrami. Ale pozostałe dwie? Jeszcze tak blisko nas? Dziwne.

– To mogą być Pierwsi Sprawiedliwi.

– Kogo masz na myśli?

– Ałana Tanka Zuradowa i Memeda Achmatowa. Ja już cię widziałam, zanim przylecieliśmy do Polski. Z nimi coś się wtedy działo. Tank się w ciebie zmienił.

– Przyjdę do ciebie w nocy, wtedy mi opowiesz, co się wydarzyło. A teraz zajmijmy się twoją zdolnością przeżycia.

Groźnie to zabrzmiało. Co on zamierzał?

– Za moment podniesiesz rękę na wysokość piersi i obrócisz przedramię, tak by jego część od strony dłoni znalazła się na górze.

– Tam, gdzie mierzy się tętno?

– Tak. I nie bój się, nie będzie bolało. Teraz siadamy. Nie chcę, by Dmytro pomyślał, że cię ranię, bo jeszcze robi coś głupiego. On widzi tylko chłopaka, który trzyma głowę na ramieniu dziewczyny i szepcze jej do ucha.

Obejmując mnie, Oril usiadł. Gdyby nie jego silny chwyt, skorzystałabym z okazji i spróbowała się wyrwać. Zobaczyłam tylne łapy Trojlo. Jeden ruch zakrzywionym pazurem i wypatroszyłby nim słonia. Skrzyżował je, tak że znalazłam się w pułapce. Utknęłam pomiędzy szablami niosącymi śmierć.

– Trzymasz się?

– A mam inne wyjście?

– Zaufaj mi. Nie chcę zrobić ci krzywdy, i nie zrobię.

– Chciałeś, żebym strzelała do ciebie z kuszy, dlatego mogę zaryzykować.

Lidia za te słowa by mnie powiesiła, a przynajmniej dała szlaban na pełny miesiąc.

– No to zaczynamy. Twoje przedramię.

Chwycił je za nadgarstek, tak że jego pazury znalazły się przed moim nosem. Oparł szpon drugiej łapy na tętnicy. Jeden ruch i ją przetnie. Byłam

cholerną twardzielką. Niech Paweł schowa się pod stół ze swoją brawurową akcją: taranowaniem samochodu porywaczy. Oril szukał miejsca, gdzie mógłby wbić pazur, omijając żyły i tętnicę.

– *Zakażenie.*

– *Chyba nie sądzisz, że przetnę ci skórę szponem, którym grzebałem w ziemi? Przypomnij sobie, co robiłem z Łapą, i spójrz uważnie.*

Koniec pazura zmienił się w skalpel, dostrzegłam, że spływa po nim błękitny płyn i kapie na moją rękę.

– *Co chcesz zrobić?*

– *To tylko mały wszczep. Dzięki niemu będziesz mogła się ze mną porozumiewać jak Łapa. Każdy mięsień w twoim ciele, każda tkanka wejdzie na wyższe obroty.*

– *Teraz też się dogadujemy.*

– *Bo obejmuje cię moje pole, które tworzy kamuflaż.*

– *Miałeś mi wytłumaczyć, jak on działa.*

– *Każdy widzi mnie inaczej.*

– *Przecież dla nich wszystkich jesteś chłopcem, inaczej zorientowałiby się, że coś tu nie gra.*

– *Ale chłopcem o różnych cechach. Cechach, jakich oczekuje każdy z nich. Gloria, nie traćmy czasu.*

Ciął tak szybko, że doszło do mnie, co się stało, kiedy łączył już brzegi rany. Pokrył moje przedramię błoną, taką samą zabezpieczył obrażenia cierpiącego psa.

– *Czy od tej chwili będę ci wierna jak Łapa? Będę ciągle za tobą łązić i cię słuchać?*

– *Kuszące. Ale mam już swoją Lunę.*

– *Lunę?*

– *Pytałaś o nasz sposób rozmnażania, o miłość. Luna to moja partnerka.*

– *A gdzie teraz jest?*

– *Daleko. Kiedy mnie uwięziono, wysłali ją na misję do innego systemu.*

– *Macie małe... luniątka?*

– *Jeśli tak, to nic o nich nie wiem.*

– *Przykre.*

– *Patrzysz na te sprawy jak człowiek. Mój gatunek szybko się usamodzielnia. Luna przybędzie po mnie, ale to może potrwać.*

– *A jeśli zginiesz?*

– *Wtedy zabierze ciało.*

– *Romantyczne to i bohaterskie, że nie zostawiacie swoich poległych.*

– *Znowu myślisz jak człowiek. Gloria! Rozpraszasz nas.*

– *Czy to źle, że chcę się czegoś o tobie dowiedzieć?*

– *Wstawaj!*

Nareszcie mnie puścił, po tym, jak wszczepił mi coś pod skórę.

– *Namierzamy cele przez grzywry. Zadanie: likwidacja.*

– Nie mówisz tego poważnie! – krzyknęłam zdenerwowana, aż Dmytro poderwał się z kamienia, na którym siedział.

– *Żartowałem.*

– Głupi żart – skomentowałam na głos.

– Pokazałem ci, jakie masz teraz możliwości, co potrafisz. – Oril zmienił się w chłopaka. – Jakiego mnie wolisz? – spytał.

– Zależy od sytuacji. Gdyby nas zaatakowano, wolałabym wersję bojową. Do łóżka i na imprezę zabrałabym wersję nastolatka.

– Spróbuj z grzywrami. Będą twoimi celami. Nie bój się o nie, mają dwa ciągle kopiujące się mózgi i dwa centra nerwowe. W sytuacjach awaryjnych nawet trzy. I błyskawicznie uzupełniają ubytki.

– A co z bólem? Nie chcę im go sprawić.

– To będzie kara za gapiowatość. Tylko wyjątkowo ciapowata grzywra pozwoli się trafić z broni, którą Dmytro i ty macie do dyspozycji.

– Tak jak wyjątkowo ciapowaty Trojlo?

– Kula odbije się od mojego pancerza. To coś jak kamizelka kuloodporna.

– A co z kuszą?

– Sporo zależy od naciągu i grotu. Ale dzięki grzywrom będę znać pozycję

strzelca i błyskawicznie zlokalizuję jego cel.

Widziałam oczami grzywry, która siedziała na karabinie Dmytra. Ładne hece!

– Mam kamerę w oku czy co? – spytałam Orila.

– Tak jakby – odrzekł lakonicznie. Chyba nie chciał ujawnić do końca, co ze mną zrobił.

– Kiedy wszystkie naraz będą mi przysyłać obraz tego, co widzą, wtedy oszaleję!

– Z tym jest problem. Nie jesteś w stanie równocześnie analizować tak wielu danych jak ja, a nawet tyłu, ile młoda grzywra.

– Jak pies sobie z tym radzi?

– Zamiast pytać, sprawdź to. Zaczynamy z Łapą polowanie na grzywry.

– Nie mam sumienia.

– Gloria, to dla nich zabawa. Nudzą się, może z wyjątkiem Tii.

Dmytro miał z nami przekichane. Zaczęła się bieganina po strzelniczy i wokół murów. Facet nie pojmował, za czym się ugamiam i dlaczego nie celuję do tarczy i manekinów. Grzywry były cwane, ale kiedy się przyczaiły, Łapa lokalizował je swoim wyczulonym węchem. Raz nawet klepnęłam Dmytra dłonią w ramię, zaliczając trafienie Nemi. Pies mi ją wystawił, podczas gdy ten nieszczęśnik myślał, że zwierzak szuka jego kanapki – jedzenie podrzucił nam Dżochar. Zauważyłam, że Ukrainiec trzyma się od Czeczena na dystans.

Kiedy wracaliśmy z ćwiczeń, natknęliśmy się na Asłana. Był jakiś niewyraźny.

– Ząb cię boli czy co? – spytałam.

– Szkoda, że to nie ząb... Miałem paskudne sny, a potem całkiem mnie ścieło. Dawno nie czułem się równie podle. Mam do ciebie prośbę.

Zostaliśmy z tyłu. Oril spojrział przez ramię. Miał minę, jakby dobrze wiedział, o co chodzi.

– Spędzisz ze mną noc?

Zapomniałam języka w gębie, tak mnie Asłan zaskoczył.

– Nie pomyślałaś, co na to Lidia? – Wolałam być ostrożna.

– Gloria.

On mnie prosi. O co chodziło? Tak bardzo boi się spędzić samotnie kolejną noc? Przecież nie poprosi innego faceta, żeby mu towarzyszył. Bo boi się... koszmarów?

– Dobrze.

Zauważyłam, że przyjął to z ulgą. Nie mogłam przepuścić takiej okazji, nareszcie mogłam się do niego zbliżyć. Zrobić coś z tym cholernym kulturowym tabu, w którym go wychowano. Asłań już je łamał, ale wspólnie spędzona noc była dla niego jak prawdziwy hardkor – była jak ślub. Rozeszliśmy się, ale do końca dnia nie mogłam przestać o nim myśleć. Nawet moje nowo nabyte zdolności zeszyły na dalszy plan. Odcięłam się od obrazów przesyłanych przez grzywry – co za dużo, to niezdrowo.

Odnalazłam Dmytra i spytałam go, gdzie tutaj można zdobyć cywilne ciuchy. Zaprowadził mnie do kobiet, ale tam moim łupem padły tylko podkoszulki. Siostra dorzuciła bieliznę, którą ktoś na jej prośbę kupił jeszcze w Polsce, zanim przekroczyliśmy granicę. Słaba kolekcja jak na rozbieraną randkę. W efekcie przemknęłam się do Zuradowa w długim podkoszulku i szlafroku, z poduszką i jaśkiem pod pachą. Zapukałam i weszłam do celi. Mężczyzna siedział na krześle przy łóżku.

– Dobrze, że przyszałaś. Jakoś nie mogę zasnąć. Nie chcę.

Rozdział 29

Wezwanie

Aślan był w wojskowym podkoszulku i spodniach. Czyżby zamierzał spać w ubraniu? Nie zmieniał go od początku naszej podróży, podejrzewałam, że od momentu, kiedy szukał mnie u Pawła. Zuradow zaczął śmierdzieć. Kilkudniowy zarost, który pokrywał mu twarz, byłby nawet seksowny, gdyby nie ten niespecjalny zapach.

– Weźmiesz prysznic? – zasugerowałam. – W szafce znajdziesz ręczniki, szlafrok i czyste ciuchy. U mnie i u Orila były, u ciebie też powinny.

– A, tak – zaskoczył, jakby właśnie wrócił do naszego świata i nie bardzo orientował się, gdzie jest podłoga, a gdzie sufit. Niepewnie wstał z krzesła, łapiąc za oparcie. Postanowiłam wkroczyć i zajrzałam do szafki. Jak się spodziewałam, ktoś zostawił w niej cały zestaw, nawet zapakowaną szczoteczkę, pastę do zębów i mydło. Poracki najwyraźniej nie pierwszy raz przyjmował gości, którzy mieli niewielki bagaż. Musiał być samowystarczalny. Gdzieś w pobliżu znajdowały się też pralnia i piekarnia – na śniadanie dostaliśmy świeży chleb.

– Masz tutaj komplecik – poinformowałam Aślana. – Poczekam na ciebie. Łazienka jest na końcu korytarza.

Kiedy wyszedł, usiadłam na łóżku, podkładając sobie pod plecy przyniesione poduszki. Pacnęłam dłonią w kołdrę, nakrywając Nemi.

– Ładnie to tak, ciągle mnie śledzić? – spytałam jaszczurkę niewidkę.

Grzywra przestała się kamuflować, teraz wyglądała jak salamandra plamista. Gdyby chciała, czmychnęłaby spod mojej dłoni, ale Nemi lubiła się droczyć.

– I gdzie ty masz ten drugi mózg? W ogonie?

Kiwnęła łepkiem i przechyliła filuternie na bok.

– O, nie! Nie udobruchasz mnie. Marsz do Orila!

Zeskoczyła z łóżka. Będąc w ruchu, zmieniała się w czarną smugę z migoczącymi plamami o barwie skórki pomarańczy i cytryny.

– Czekaj. Czuję, że Aslan mnie teraz bardzo potrzebuje. Przepróż Orila ode mnie.

Nemi rozplaszczyła się i przepchnęła ciało przez szparę pod drzwiami. Jak to zrobiła? Nie miała czaszki? A co z mózgiem? Skoro błyskawicznie się kopiował, jak plik zapisywany w innej partycji dysku, mógł się także przemieszczać w jej ciele. Szkoda, że musiałam zrezygnować ze spotkania z Orilem, boby mi to wyjaśnił.

Aslan nareszcie wrócił, był w szlafroku. Ciuchy położył na jednym z krzeseł, stojących przy szafce nocnej, a na drugim usiadł. Nie skomentował okupacji przeze mnie jego zaniedbanej domeny – wygodnego łóżka. Skoro chciał, abym spędziła z nim noc, chyba nie myślał, że będę się męczyć na krześle? Tym bardziej nie zamierzałam leżeć na zimnej podłodze. Żebym przeziębila sobie pęcherz?

– Zapal lampę – podpowiedziałam. Teraz ja weszłam w rolę tej starej i doświadczonej. – Będzie przyjemniej, bo to białe światło jest strasznie jadowite.

– Racja.

Ściągnął szkło i zapalił knot zapalniczką Zippo, którą wyjął z kieszeni spodni, teraz leżących na krześle obok. Po chwili wyłączył światło i zmniejszył płomień lampy. Zrobiło się kameralnie.

– Jest aż tak tragicznie? – zaczęłam zniecierpliwiona. Ktoś musiał zrobić ten pierwszy krok.

Uśmiechnął się i zażartował:

– Chyba powinienem pójść na terapię do Orila.

– Powiedz, co się stało. – Gestem dłoni zaprosiłam Asłana do jego własnego łóżka. Zignorował propozycję, pozostał na krześle.

– Miałem wizje, jak jakiś jasnowidz.

– W snach?

Przytaknął.

– To normalne. Mnie się cały czas śni, że uciekam. Przejmujesz się tym,

co może nastąpić, i przeżywasz w snach, jakby działało się naprawdę.

– Wizje dotyczą przeszłości. Są bardzo realne, jakbym tam był.

– Obrazy z twojego dawnego życia?

– Skoro dawnego, to bardzo, bardzo dawnego...

Podniósł zapalniczkę ze stolika i schował z powrotem do kieszeni spodni, po czym wyprostował się na krześle.

– Nie z przeszłości, raczej ze starożytności.

– Czytałeś ostatnio coś na ten temat? Interesowałeś się historią tamtej epoki?

– Kiedyś, ale zdobyta wiedza pozwala mi na interpretację tego, co widziałem.

– Opowiedz dokładnie – poprosiłam z nadzieją, że tym razem otworzy się przede mną.

Gdy Asłan zaczął mówić, poczułam, jakbyśmy siedzieli z Orilem i sympatycznym brodaczem w bibliotece i przeglądali stare książki. Rozmawiali wtedy o migracjach na tych terenach, również na południu Polski.

– To sprawka Orila – podsumowałam opowieść Tanka. – Zaczął tę swoją cholerną terapię bez twojej zgody. „Nie wiadomo, jak to wpłynie na psychikę obiektu” – zacytowałam Darka.

– Poruszył nie tę strunę. – Zmarszczył brwi, w jego głosie wychwyciłam twardą nutę. – Nie powinien był tego robić.

– Jutro zażądaj, aby odczepił się od ciebie. Nie można tak z kopytami pchać się do czyjegoś mózgu! Czyjegoś życia! Myśli, że skoro stoi na wyższym poziomie ewolucji, może robić, co mu się żywnie podoba?

– Gloria, on ma konkretny cel. Dał mi do zrozumienia, przypomniał, że im dalej zapuścimy się na wschód, tym bliżej będziemy Kaukazu.

– Nie ma w tym nic odkrywczego. Ciągle pamiętasz o Jasminie i właśnie z tego Oril chce cię wyleczyć. Uznał, że czas, abyś zapomniał. Ułożył sobie życie od nowa.

– Oril uznał? – Wyczułam w jego tonie irytację. – Kosmita ignorant bawi się w Boga.

– Najwyżej w wyrocznię. Powiedziałaś: „w Boga”? Przecież przestałeś

wierzyć.

– Skąd to wiesz?

– Od Dżochara. Tej nocy miałam o tobie porozmawiać z Orilem.

– Nie lepiej zrobić to z bezpośrednio zainteresowanym? – odrzekł z wyrzutem.

– A jak zainteresowany nie pozwala się do siebie zbliżyć? – odpaliłam. – Odrząca?! – Nie udało mi się ukryć rozżalenia.

– Jakby odrzącał, nie prosiłby, żebyś do niego przysłała.

Pochylił się nade mną i położył dłonie na moim szlafroku. Spojrzeliśmy sobie prosto w oczy. Tego było nam trzeba: szczerości, nawet gdyby okazanie jej mocno zabolowało.

Powoli ściągnął ze mnie szlafrok. Nie protestowałam. W ruchu mężczyzny nie było nic erotycznego. Ot, przyjacielski gest, dbałość o moją wygodę. Asłan uniósł kołdrę, żebym się pod nią wsunęła, i po chwili również się położył.

– A twój szlafrok? – Gruby kosmaty materiał oddzielał nas od siebie.

– Nic pod nim nie mam – mruknął rozbijając.

– Fajnie! – ucieszyłam się. – Będzie jak z Igorem.

– Co?! Ledwie się do ciebie dobierał?

Ale dołożyłam do pieca! Muszę to szybko odkręcić. Najlepiej, jak zrzucę winę na Asłana, wypomnę mu niedostępność.

– Mówisz, jakbyś nie znał Igora. Sam mu mnie powierzyłeś – wyjąkałam płaczącym głosem – i do niego wysyłałeś, kiedy miałam doła.

Nie nabrał się na skrzywdzoną małą dziewczynkę. Jego wzrok mówił: „Art, nie mydl mi oczu. Chcę usłyszeć prawdę”. Nie pozostało mi nic innego, jak szczere wyznanie.

– Jeśli ma cię to uspokoić, do niczego poważnego między nami nie doszło. Nie miałam ochoty stać się jego kolejną zdobyczą. Na twoim miejscu bardziej bałabym się Pawła.

– Jest daleko.

Obrócił się na bok, dając mi do zrozumienia, że swoją szczerością stopiłam spiętrzoną między nami krę. Ułożyłam się wygodnie w ciepłym wgłębieniu

otaczającego mnie ramienia. Długo nie wytrzymałam, zaczęłam zsuwać z mężczyzny szlafrok. Czułam się bezpiecznie, bo byłam w długim podkoszulku – taka mała nierównowaga sił. Miał rację, Paweł w obecnej sytuacji nie stanowił dla niego konkurencji, ale Asłanowi brak było spontaniczności chłopaka. Pozwolił mi się rozebrać i do siebie przytulić, lecz to wszystko, na co się zdobył. Poczułam rozczarowanie jego czysto platonicznym zainteresowaniem. Nawet leżąc przy mnie nagi, szukał tylko ciepła i bliskości drugiego człowieka. Znałam przyczynę: ciągle pamiętał o swojej nieżyjącej dziewczynie. Nawet Oril nie usunie Jasminy z jego umysłu. Ile czasu minie, zanim Asłan zobaczy we mnie kogoś innego niż tylko bliską przyjaciółkę?

Leżeliśmy wtuleni w siebie. Było inaczej niż z Igorem. Asłanowi bezgranicznie ufałam, dlatego nie zaprotestowałabym, obojętnie, co by ze mną zrobił. Ciepło oddechu i złączonych ze sobą ciał. Zrozumiałam, że właśnie tego mu brakowało. Jak bardzo musiał się czuć samotny, skoro poprosił, bym do niego przyszła? Mimo zasad, w jakich go wychowano, lojalności wobec mojej siostry i nieżyjących rodziców. To wierność wobec nich nie pozwalała mu mnie wykorzystać, nawet gdybym bardzo tego chciała. A chciałam!

Zmienił pozycję, przewracając się na drugi bok. O nie! Nie ucieknie mi. Przykleiłam się do jego pleców i objęłam go w pasie. Korzystając z okazji, zachłannie gładziłam po nagim brzuchu.

– Już dawno pragnęłam to zrobić.

– Wiem – mruknął, czym wprowadził mnie w lekką panikę. Domyślać się to jedno, ale usłyszeć...

– Skąd? – Byłam pobudzona, a jednak się bałam.

– Wzięłam z twojego pokoju teczkę z rysunkami. Jest w transporterze.

Poczułam, jakby ktoś wrzucił mnie do wrzątka. Asłan przytrzymał moją rękę.

– Spojrzałam tylko na pierwszy szkic, aby się upewnić, że biorę właściwą teczkę. Na pewno nie chciałabyś stracić swoich prac.

– Jesteś kochany – szepnęłam mu do ucha i pocałowałam w zagłębienie między łopatkami. Było obłądnie. Sięgnął ramieniem za siebie, położył mi rękę na plecach i przycisnął mnie do swojego ciała – do gładkich krągłych pośladków.

– To także wiem.

Oboje się roześmialiśmy. Stał mi się teraz tak bliski, aż poczułam ukłucie strachu, że mogę go stracić.

– Obudził we mnie strach – pomyślał o tym samym! – że również ciebie stracę. Ten lęk ciągle się we mnie tlił. Oril go tylko rozpałił, wrzucając płonąca zapalną do baku pełnego oparów butanolu.

– Jeśli rzeczywiście przez niego miałeś koszmary.

– To nie były zwykłe sny. Zapamiętałem nawet takie detale jak kształt umb na tarczach, sygnatur na głowniach mieczy. Zanim do mnie przyszedł, wszystko sprawdziłem w bibliotece Porackiego.

– Czyli spotkałeś się z brodaczem.

– Borys sporo wie o tych terenach, studiował archeologię w Kijowie. Kiedy skonfrontowałem jego wiedzę z detalami, które zapamiętałem, mocno mnie to zaniepokoiło. Nigdy nie wszedłem tak głęboko w temat, żebym mógł teraz wygrzebać z pamięci kształt konkretnej fibuli z okresu wędrówki ludów. Dlatego poważnie traktuję ostrzeżenie Trojlo. Niepokoi mnie jeszcze inna rzecz. W moim śnie uczestniczyłem w jakimś polowaniu. Coś wtedy spadło z nieba i pochłonęła to głębia. Ubiory, sprzęt, uzbrojenie – chyba jedenasty, dwunasty wiek. Wszystko działo się na Rusi, gdzieś tutaj, może trochę dalej, w kierunku Kijowa. To nie były moje wizje. Może kogoś stąd?

– Dziwne to wszystko. Oril w obecności Dmytra wstrzelił mi coś w przedramię. Był wtedy w swojej, powiedzmy, kosmicznej postaci, ale Dimitr widział tylko nastolatka.

– Już po nim – oznajmił spokojnym tonem, czym mnie wystraszył. Jeszcze tego brakowało, by rzucił Orilowi wyzwanie! Czarno to widziałam. Żeby przeżyć pojedynek z Obcym, musiałby użyć broni na pancernego mastodonta, ale najpierw zlikwidować jego superszybkie wierne grzywry.

– Zrobił to za moją zgodą.

– Dostał pozwolenie od Lidii? – Jego głos zdradzał, że mocno w to wątpił.

– Kiedy w końcu przestaniesz traktować mnie jak gówniarę? Żeby się z tobą kochać, też mam najpierw spytać siostrę o pozwolenie?

Poczułam, jak ściska mnie ramieniem. Intuicja podpowiedziała mi, że jest jak wulkan tuż przed erupcją. Źle go oceniłam. Spontaniczność Asłana mogła

przewyższyć tę, do której był zdolny Paweł.

– Nie prowokuj – ostrzegł.

O nie! Sprowokuję go, ruszę. Zedrę z niego tę skorupę!

– To było niczym seks. – Niech mnie w końcu weźmie! – Całkowite oddanie. Połączenie. Ale nie ciało. Teraz widzę jego oczami. Jestem przedłużeniem zbrojnego ramienia Sprzątacza Światów.

Udało się! Poczułam, jak zadrżał.

– Nie mógł cię zmienić. – Gwałtownie odwrócił się w moją stronę.

– Niby dlaczego? Jak tam z moimi oczami? – Zakpiłam, drażniąc go jeszcze bardziej. – Są normalne?

– Są oczami... Glorii. Mojej Glorii.

Gloria nie przyszła do niego, ale to nie przeszkodziło Orilowi w odbiorze wszystkich jej wrażeń, podobnie jak tych Aśłana. Fascynowała go historia ludzi. Był coraz bliżej poznania prawdy. Wyczuł w mężczyźnie brata: obaj dążyli do tego samego. Mógł pomóc zbłąkanym jak on istotom, bo przecież po to ruszyli w tę podróż. Nie spieszyli się z obdarzeniem go pełnym zaufaniem. Potrafił to zrozumieć, brał pod uwagę charakter ich gatunku, dążącego do samodestrukcji. Powoli przyzwyczajali się do jego inności. Szkoda, że nie mieli ufności Łapy. Z psem wszystko było łatwiejsze. Od chwili, gdy uratowany futrzak uznał go za przyjaciela, nic się nie zmieniło. Dzięki grzywrom i Łapie Trojlo zachował w obcym świecie przyzwoitą kondycję emocjonalną. Gorzej działało się z Aśłanem. Towarzysze mężczyźnie nie wystarczali, potrzebował partnerki. Oril był przyzwyczajony do długiej rozłąki z Luną, wtedy każde skupiało się na swoim zadaniu. Gdyby działali razem, wystarczyłby im wspólny cel: likwidacja wroga. Był czas walki i czas rozmnażania. Przyjemności odkładali na później.

Ludzie mieli kłopoty z podobnym podejściem, pobłazali własnym słabościom, w dodatku traumatyczne przeżycia kładły się cieniem na ich dalsze życie. Podobnie jak okrutne czyny. Co dziwne, brakowało w tym konsekwencji – bo po okrucieństwie, które popełnili, przechodzili nad nim do porządku dziennego, stawało się dla nich normą. Pękała wtedy bariera

i następowała eskalacja przemocy. Kiedy ich skrzywdzono, odbijali to sobie na słabszych. Albo się wyłączała, tworzyli swój własny świat, zamknięty i pełen lęków. Przywrócenie ich życiu było delikatną operacją, precyzyjną jak zabieg chirurgiczny – wystarczył jeden błąd i pacjent ginął. Albo wyczerpującą, długotrwałą kampanią z nieznanym wynikiem.

Niedobrze, że Gloria dowiedziała się o jego ingerencji w jaźń mężczyzny, bo to ograniczało Orilowi swobodę działania. Czyli konieczna jest szczerza rozmowa? A jeśli pacjent do niej nie dojrzał? Aslan Zuradow był wyczulony na wszystko, co działo się z dziewczyną. Mało brakowało, a źle by odczytał intencje Orila i potraktowałby go jako zagrożenie dla Glorii. Ale też na tyle znał dziewczynę, by szybko zrozumieć, że to absurd. Obaj zgadzali się co do jednego: Gloria pozostała sobą. Zdradzał ją przekorny charakter, skłonność do wsadzania ręki w każdy napotkany kopiec czerwonych mrówek. Aslan nie dał się jej zwieść. Był odporny jak zaatakowany przez wirusa organizm, który wytworzył przeciwciała.

Zapadłam w głęboki sen, a kiedy się obudziłam, przez wąskie okienko przy suficie wpadały promienie słońca. Aslan leżał obok i przyglądał mi się z uśmiechem.

– Wiesz, jestem rozczarowana – mruknęłam, przeciągając się leniwie.

– Przecież się wyspałaś, ja też.

Rzuciłam w niego jaśkiem. Drań go złapał.

– Teraz szybciotko na paluszkach biegnę do siebie.

Usiadłam, podciągając poduszkę pod plecy.

– Jednak boisz się siostry.

Robił wszystko, żeby mnie jeszcze bardziej rozdrażnić.

– Niczego się nie boję!

– Taak... – przeciągnął słowo. – Gdybyś tak się nie bała, nie ciskałabyś we mnie poduszką jak rozeźlony trzmiel. A kto przestraszył się, że mogłam przejrzeć twoje rysunki? Pamiętasz, jak wszedłem do ciebie do pokoju w Boulogne?

– Udałeś wtedy, że nic nie zauważyłeś.

– Żeby cię nie peszyć. A szkoda, bo warto byłoby zobaczyć twoją twarzyczkę z policzkami czerwonymi jak maliny i spłoszone, rozbiegane szare oczka.

– Dyskrecja to twoje drugie imię?

– Zaufałabyś mężczyźnie, który nie jest dyskretny?

– To nie mężczyzna, to smarkacz! Tylko smarkacz chwali się swoimi podbojami.

– A widzisz.

– Nie ciąży ci, że zawsze masz rację?

– Uwierz mi, czasem bardzo chciałbym jej nie mieć.

– Co powiesz na śniadanie do łóżka?

Sięgnęłam po swój szlafrok, który Asłan odłożył wieczorem na krzesło.

– Bardzo chętnie. Czekam.

Podciągnął się na łokciach i oparł plecami o ścianę, oddzielając się ode mnie kołdrą.

– U białego człowieka, barbarzyńco, to facet przynosi swojej kobiecie śniadanie. Poza tym nie zasłużyłeś sobie na nie.

W stronę Asłana poszybował następny jasek, który też złapał.

– Nie masz już amunicji. – Klepiąc dłonią poduszkę, wyszczerzył zęby. Były bielutkie. Ciemna oprawa oczu i tak dalej. Smakowite nagie smagle ciało. Miodek, którego nie mogłam wybrać ze słoika z zakręconą pokrywką.

– Za to ty nie spieszysz się, żeby wystrzelać swoją – uraczyłam go kolejnym dwuznacznym przytykiem. – Mógłbyś być chociaż paskudniejszy? Wtedy... może bym ci wybaczyła.

Tak głupio gadając, zbieraliśmy się z łóżka i zakładaliśmy szlafroki.

Na śniadaniu zachowywaliśmy się, jakbyśmy nie spędzili razem nocy. Niewiniątka... Igor coś wyczuł, bo zaczął nam dogryzać. Dżochar zaraz odszedł na bok, żeby dopieścić swój karabin M24A4. Z Memeda, jak zwykle, była chodząca oaza spokoju. Oril, zaciekawiony, zerkał na nas, Lidia i Darek rozmawiali z Porackim, a reszta ekipy dzieliła się uwagami o stanie

i konserwacji pojazdów, broni, o zapasach paliwa i amunicji.

Aślan tym razem nie puścił mnie samej z Orilem. Towarzyszył nam w szkoleniu, angażując w to również Memeda i Dżochara. Igor z Darkiem mieli dzisiaj coś robić razem z mechanikami. Zamierzali wdrożyć jakieś sprawdzone ukraińskie patenty, żeby zwiększyć odporność pancerzy – dołożyć płyty reaktywne Nóż, fartuchy przeciwkumulacyjne, ekrany czy coś podobnego. Kawalek od twierdzy chcieli wypróbować jakąś paskudnie skuteczną amunicję ze ściętym płaszczem. Nie znałam się na tym, próbowałam poskładać do kupy to, co usłyszałam.

Poczułam się pewniej, kiedy przyszło mi współpracować nie z ludźmi, a z grzywrami. Nemi starała się być pomocna i jak oszalała biegała między mną, Orilem i Łapą. Przyzwyczajony już do naszego dziwnego zachowania Dmytro nawet bawił się z Ilą, grzywrą łakomczuchem, która pojawiała się przy nim, kiedy tylko wyciągał kanapki. Najwyraźniej olej silnikowy, smar i odpadki nie były tym, co grzywry lubiły najbardziej. Podejrzywałam, że regularnie zakradały się do kuchni, bo widziałam obrazy surowych steków. Wcześniej myślałam, że to jedynie marzenia tych małych paskud.

Pęczniałam z dumy, że mam się czym pochwalić Aślanowi. Po przestrzeleniu nowych bełtów trafiałam z kuszy w tarczę z przyzwoitą powtarzalnością. Średnia: osiem punktów. Nie wiem, jak to się stało, ale odkąd Oril wszczepił mi w ramię kosmiczny czip, miałam lepszą celność i skończyły się problemy z wyobraźnią przestrzenną.

– I jak? – spytałam, gdy w końcu nadarzyła się okazja, żeby zamienić z chłopakiem kilka słów na osobności.

– Od razu odżył.

Oril miał na myśli Aśłana.

– A ja myślałam, że pochwalisz moje postępy w szkoleniu.

– Owszem, cały czas je oceniam. – Usiedliśmy na trawie. – Tyle że na wszystkich polach. Jesteście dziwni, wasza równowaga psychiczna zależy od tego, czy zdobędziecie akceptację otoczenia.

– Nie tylko my, mrówki również. – Strzepnęłam insekta łąącego mi po spodniach. Zaraz obleżą mnie inne. – Także pszczoły i psowate, każde stworzenie żyjące w grupie. A twoje grzywry?

– Nie są moje. To towarzysze, jak Łapa.

– Uzależniłeś go od siebie.

– Da sobie radę beze mnie.

– Ale będzie tęsknić.

– Gloria! – Asłan nie dał nam długo zostać sam na sam. Przekazałam Orilowi kuszę, podniosłam się z trawy i podbiegłam do swojego bodyguarda. Tank nawet na drgnienie powieki nie zamierzał wyjść ze swojej roli.

– Co się stało?

Podejrzewałam, że nie chce mnie na dłużej zostawiać z wścibskim Obcym.

– Darek właśnie mnie powiadomił, że wrócił Wołodymyr Trakow.

– Miał być najwcześniej jutro.

– A nawet pojutrze. Zbierajmy się, najlepiej zasięgnąć informacji u źródła.

Obchodziliśmy mury twierdzy. Chłopak szedł za nami, Nemi siedziała mu na ramieniu i trajkotała do ucha podniesionym tonem. Wydarzyło się coś niedobrego, bo normalnie komunikowałyby się z Orilem przez sieć, do której teraz również ja miałam dostęp. Czułam podenerwowanie wszystkich grzyw. Nagle Nemi zeskoczyła na ziemię i wspięła się na mur twierdzy, nie bacząc na kamuflaż. Oril przyspieszył kroku i minął nas, widać nie chciał nagle zniknąć z pola widzenia Dmytra, inaczej zmieniłby się w niewidzialną, rozpędzoną kulę.

Usłyszałam wibrujący dźwięk: *Tija! Tija! Tija...!* Tak zwała się grzywra, której wcześniej nie mogłam zobaczyć, choć wyczuwałam jej agresję.

Weszliśmy do twierdzy boczną bramą. Na dziedzińcu przed Basztą Papieską stały transportery, z których mechanicy demontowali resztki ekranów przeciwkumulacyjnych. Pojazdy miały pancerze zryte pociskami i szrapnelami. Obok najbardziej posiekanego transportera stał Wołodymyr Trakow i coś podawał Orilowi. Podeszłam bliżej. Przez dłonie chłopaka przelewała się bezkształtna szara masa, która pulsowała, a na jej powierzchni wykwitwały pęcherze i wystrzelały długie kolce. Nemi siedziała na przedramieniu Orila, trzy inne grzywry przycupnęły u jego stóp. Pozostałe nie zeszły z posterunków, nadal obstawiały teren.

– Była dzielna – mówił Trakow. – Załatwiła ich od środka i miała jeszcze

dość sił, żeby wydostać się z czołgu i uszkodzić wyrzutnię. To demon w mikrym ciałku. Ale w drodze powrotnej zaczęła niedomagać. Dobrze, że po ataku przestała się kamuflować, bo nie znaleźlibyśmy jej na pobojuwisku.

– I o wielkim sercu – dodałam. – Co się z nią dzieje?

– Pojawił się problem z replikacją – odrzekł Oril. – Tylko ja zdołam jej pomóc. Wolałbym zostać sam. Wybaczcie.

Odszedł, niosąc grzywrę w dłoniach. Reszta małych demonów nagle zniknęła, jakby dopiero teraz przypomniały sobie o kamuflażu. Ja jednak widziałam ich oczami. Nie spuszczały wzroku z Trojlo. Stworzyły coś na kształt siatki, ze szpicą i odwodami. Nieduża, ale za to niebezpieczna jednostka specjalna.

Weszliśmy razem z Trakowem do baszty, a kiedy przestąpiliśmy próg komnaty z kominkiem, ze zdziwieniem zarejestrowałam, że reszta ekipy siedzi przy stole razem z Witalijem Porackim. Lidia wskazała nam ręką miejsca obok siebie.

– Było ciężko – zaczął Trakow, opadając na podsunięte mu krzesło.

Mężczyzna przymknął oczy. Jasne kosmyki kleiły mu się od potu. Odgarnął włosy ze zmęczonej twarzy, która z bladymi plamami opuszczonych powiek wyglądała jak szarobrunatna maska.

– Daj mu wody. – Poracki zwrócił się do Dmytra. – Zaraz chłopcy przyniosą coś ciepłego do jedzenia.

Trakow otworzył oczy i spojrzał na nas przytomnym wzrokiem.

– Nawet zapomniałem, jaki jestem głodny.

– Stres – szepnęła Lidia.

– Jest coraz gorzej. – Wolodia pociągnął z manierki podanej mu przez Dmytra. – Trzeba omijać Kijów większym łukiem. Ale Alosza nadal ma barki na chodzie. Jeśli chcecie dotrzeć cało do Charkowa, radzę skorzystać z jego pomocy. Straciliśmy w wodach Dniepru transporter. Kupa szmalu, dobrze, że ludzie zdążyli się ewakuować.

– Jak do tego doszło? – spytał Darek.

– Niskie burty i duży ciężar, przez dodatkowe osłony. Nagle coś zaczęło go ściągać w głębinę, w dodatku ciągnęło pod prąd. Jak ogromny neodymowy

elektromagnes. Właśnie to zaalarmowało załogę. Na szczęście zdążyliśmy ich przejąć, inaczej by się potopili.

– A barki?

– Widocznie są za dużymi celami.

– A gdyby połączyć transportery burtami – musiałam się wtrącić – tak jak Jagiełło utworzył most pontonowy przed Grunwaldem?

– Interesujące skojarzenie – odrzekł Trakow – ale lepiej nie ryzykować i przetransportować pojazdy na pokładach barek. I tak będziecie musieli podjechać pod Charków z głębokiego południa. Od zachodu już się nie da. To najnowsze informacje od Aloszy.

– Pozostaje nam ruszyć w drogę – podsumował Darek.

– Dajcie dzień mnie i moim ludziom.

– Żadnych protestów – uprzedził nas Poracki. – Wołodia wie, co mówi. Przekáže was Aloszy.

– Co ważne – podjął Trakow – Ruscy na dobre wycofali się z zajętych terenów, ale pozostawili bandy najemników. Męty najgorszego sortu, również z Kaukazu. – Spojrzał znacząco na Czeczenów.

– Już ci o nich mówiłem – zareagował Asłan. – Dla nas to takie same męty jak reszta, a nawet gorsze. Co robicie z Ukraińcem, który sprzedał was Ruskim?

Odpowiedziało mu wymowne milczenie.

– Dla nas to coś więcej. – Memed niespodziewanie zabrał głos. – Wyzwanie.

– Okazja do załatwienia starych porachunków – dodał Dżochar.

– Zemsta nie jest dobrą rzeczą – włączyła się Lidia. – Tym bardziej mówienie o niej w tak spustoszonej kraju, w którym szczerze na siebie najbliższych sąsiadów.

– Tutaj nie chodzi o zemstę kolejnego pokolenia ofiar na pokoleniu już martwych katów – odparł Memed. – Mówimy o żywych sprawcach.

Nagle wszyscy spojrzeli w punkt za moimi plecami. Odwróciłam się. W drzwiach stał Oril, na ramieniu siedziała mu grzywra przypominająca salamandrę. Drugą, również czarną i plamistą, trzymał w dłoniach.

– To właśnie jest wasz problem – powiedział dobitnie. – Zamiast się mścić, trzeba działać. Tu i teraz.

– I to mówi Sprzątacze – zripostował Igor.

Oril go zignorował. Zwrócił się do mnie:

– Nie, nie możemy zostać w Kamieńcu.

Akurat o tym pomyślałam – o zagadce, dlaczego Sprawiedliwi i Lidia wiozą mnie ze sobą przez tak niebezpieczne tereny.

– Coś nas wzywa pod Charków. A już szczególnie jego. – Oril wskazał na Asłana. – Czuję, że coś w nim jest, coś związanego z tamtą okolicą. I właśnie to „coś” wabi w rejon Charkowa również mnie i grzywry.

Rozdział 30

Przeprawa

Oril podszedł do mnie i wyciągnął przed siebie rękę z Tiją.

– Zajmiesz się nią? – poprosił. Nemi zerkała na mnie, siedząc mu na barku i przekrzywiając łeppek w charakterystyczny dla niej sposób.

Nadstawiłam dłoń. Położył na niej delikatnie grzywę, która natychmiast zwinęła się w kłębek. Była teraz wielkości niedużej mandarynki. Poczułam ciepło jej ciała. Nemi skoczyła mi na przedramię i otoczyła je ogonem. Widziałam samą siebie stojącą przy wygasłym kominku: grzywry mnie obserwowały.

– Co mam robić? – Nie bardzo wiedziałam, co dalej.

– Trzymaj ją w ciepłe. Nemi pomoże ci ją ogrzać. Ja muszę pomóc w przygotowaniach do wyjazdu.

Borys właśnie rozkładał na stole szczegółowe mapy. Wiele innych pojawiło się już w postaci hologramów.

– Przekazę wam parę istotnych kwestii. – Trakow sięgnął po łyżkę i zanurzył ją w podanej mu gęstej zupie. – Potem walnę się na wyro. Będziecie mieć trochę czasu, by sprawę przemyśleć. Jakbyście mieli wątpliwości, pytajcie Borysa. Doradzi wam, niejedną raz pokonał tę trasę. A Witalij ma wszystkie nasze raporty.

Popatrzył na przełożonego, spodziewając się potwierdzenia.

– Zjedz i idź się przespać – zareagował Poracki. – Poradzimy sobie. Dorzucę wam dwie nowe piątki.

– Chodzi o BTR-pięć? – spytał Igor.

– Tak, i dołożę trochę drobnicy.

– Nie trzeba – zaprotestował Darek. – Dość już dla nas zrobiliście.

– Przecież mówiłem, że to też nasz interes. Jeśli rozwiążecie zagadkę

niknącego sygnału, sporo naszych problemów odejdzie w niebyt.

– Ale pojawią się nowe – zauważył Borys.

– Wszystko zależy od tego, co z tym zrobicie – włączył się Oril, dając mi znać spojrzeniem, żebym nie zwlekała z opuszczeniem pomieszczenia.

– Chodź. – Asłan pociągnął mnie lekko za ramię. – Zajmiemy się grzywrą. Co myślisz o termoforze?

– Dobry pomysł.

– Zaraz coś skombinuję.

– Łapa – Oril wskazał owczarka – pójdzie z wami.

– Nie pomożesz im? – spytałam, kiedy znaleźliśmy się na korytarzu z Tankiem i wpychającym się między nas Łapą.

– Memed wszystko mi przekaże, również mapy. Mamy skompletowany już cały sprzęt, a ja dobrze znam piątki. Dżochar ma na głowie łączność, a Lidia już co najmniej dziesięć razy przeliczyła nasze racje. Igor z mechanikami Witalija jeszcze trochę pogrzebią przy szperaczach.

– A ja jestem waszym łącznikiem z grzywrami – dorzuciłam. Nie chciałam być piątym kołem u wozu.

– Właśnie, dlatego Oril powierzył ci tę małą.

– I Łapę.

Owczarek zareagował na swoje imię. Trącił moją dłoń wilgotnym czarnym nosem.

– Raczej ciebie Łapie. Kazał mu nas pilnować.

– Poprosił – sprostowałam, głaszcząc psa po pysku.

– Tym tonem?

Asłan otworzył drzwi i przepuścił mnie przodem.

Trzymając Tiję w dłoni, usiadłam na łóżku. Nemi zwinęła się wokół towarzyszki, żeby ją ogrzać. Nakryłam nas kołdrą. Powinno być dobrze. Gdy Asłan przyniesie termofor, wsadzę go pod poduszkę i ułożę pod nią Tiję. Na razie powinno jej wystarczyć ciepło moje i Nemi.

Zaczęłabym się nudzić, gdyby nie grzywry, które patrolowały twierdzę i okolicę, i dzięki nim mogłam wszystkich podglądać. Trakow opuścił naradę

i tak jak zapowiedział, walnął się na wyrko. Reszta jego ekipy spała już snem sprawiedliwych. Mechanicy na dziedzińcu kręcili się wokół naszych szperaczy. Pojawiły się obiecane przez Porackiego piątki. Wydawały się niższe i dłuższe od naszych raptorów, miały też ciemniejsze o jeden ton maskowanie i więcej szpejów zamontowanych na pancerzach. Podejrzewałam, że dysponują większą siłą ognia. Szkoda, że nie mogłam teraz pójść do naszego transportera. Wyciągnęłabym teczkę ze szkicami i coś porysowała, gdy Asłan przyniesie już termofor. Rzuciłam okiem na Tiję i Nemi: nie ruszały się, czułam ich regularny oddech. Musiały zasnąć. Do mnie sen jakoś nie przychodził. Porządnie się wyspałam ostatniej nocy, leżąc wtulona w Asłana. Może to jedyne chwile spokoju przed naszą dalszą podróżą? Warto zachować je w pamięci.

Kiedy Tank wrócił z termoforem, przynajmniej mogłam przełożyć grzywry. Usiedliśmy razem na posłaniu i zaczęliśmy przeglądać materiały z narady, korzystając z holograficznych symulacji.

– Za kilkadziesiąt godzin powinniśmy dotrzeć do Charkowa – skomentowałam wyświetlone dane.

– W normalnych warunkach tak by było. Ale czeka nas sporo objazdów, tłuczenia się po wertepach. Poza tym wątpię, czy wjedziemy do miasta. Poracki i Trakow radzą nam omijać metropolie.

– Wampiry, mutanty, zombie, zbuntowane androidy?

– Gloria, to nie film klasy D.

– Ha! W takim razie film klasy Y. Kosmici!

– Przaśniej. Lokalni watażkowie.

– Nie bądź tego taki pewien.

– Znowu ponosi cię wyobraźnia.

– A Oril spadł z nieba.

Nemi wysunęła łepkę spod kołdry, po chwili wyjrzała spod niej również Tija.

– Marsz tam z powrotem! – upomniałam maluchy i na powrót je przykryłam. Nic to nie dało, wystrzeliły jak z procy i wylądowały na grzbiecie Łapy, który poderwał się przestraszony.

– Już wam dupska ożyły?

Wyczułam radość innych grzyw, przesyłających sobie jedna do drugiej obraz z Nemi i Tiją biegającymi wokół poszczekującego Łapy.

– Szybko się regenerują, małe cholery – skomentował Asłan.

– I muszą być potwornie głodne.

Grzywry właśnie dobrały się do niedojedzonej kanapki, którą zostawiłam na stoliku.

– Przypominają szarańcz... – Nie zdążył dokończyć słowa, a już Nemi siedziała mu na nosie.

– Bo ci go odgryzie. – Roześmiałam się. Bezradny Asłan usiłował pozbyć się grzywry, która chwyciła go za włosy, uszy, kołnierz kurtki. – Nemi zrozumiała negatywne przesłanie twojej wypowiedzi. One korzystają z bazy Orila.

– Zabierz ją ode mnie! Bo złamię jej kark.

W końcu udało mu się złapać grzywę.

– Mała szansa, ona go chyba nie ma. – Nemi wiła się między jego palcami jak rosówka na haczyku. – Jednak cię polubiła, inaczej w ułamku sekundy wysunęłaby ci się z ręki. Chodźmy do Orila, siedzi teraz w beteerze z Dimą.

Grzywry, jak było do przewidzenia, zabrały się z nami. Na dziedzińcu stanęliśmy przy szperaczach, Łapa karnie usiadł przy mojej nodze.

– Mogłabym się na którymś przejechać? – spytałam Igora, który grzebał pod przednią owiewką maszyny.

– Weź tamten po prawej. – Nie oderwał wzroku od wiązki różnobarwnych kabli; pomarańczowy mechanik Porackiego właśnie wpinał się do przenośnego komputera. – Jeśli Tank się zgodzi – dodał i w końcu na mnie spojrzał.

– Nie zgadzam się. – Asłan szybko odbił piłkę.

Igor wykrzywił się w uśmiechu numer dwa, wersja „Sorry, mała, masz pecha”.

– Idę do Orila – warknęłam, bo mnie wnerwił, ulegając Zuradowowi. – A wy, wy... do pięt mu nie dorastacie!

Nemi z Tiją wyczuły mój nastrój. Nastroszyły się jak wkurzone iguany

i odwróciły od mężczyzn. Nie ma to jak solidarność jajników – już nie dociekałam, jak grzywry się rozmnażają. Sądząc po ich imionach, były samiczkami.

Zajrzałam do piątki, która miała podniesioną boczną osłonę. Dmytro z Orilem wpatrywali się w centralną konsolę. Unosił się nad nią hologram przedstawiający dziedziniec i pojazdy zaparkowane pod murem. Tija wyskoczyła mi z dłoni, śmignęła przez właz i wylądowała na ramieniu Orila. Była jak Łapa, który położył się przy przednim kole transportera. Gdy chłopak odruchowo ją pogłaskał, otarła się o jego policzek. Dawała mi do zrozumienia, że nigdzie dalej już się nie ruszy.

– Mogę tam wejść?

Miałam nadzieję, że Oril mi nie odmówi, jak wcześniej Aślan.

– Mała utarczka z twoją sympatią? – mruknął, nie odrywając wzroku od konsoli.

– Tak jakby.

– A nie łaska przyjść z tym do mnie? Mamy zaległą rozmowę. No dobra – uprzedził mój atak – wskakuj.

– Na stanowisko strzelca?

– Nu, krasiwaja – Dmytro się uśmiechnął. – My nie chcieli, szto by ty rozpirzyła stanicu.

– *Zadnicu* Zuradowa – poprawiłam go. – Mam nieodpartą chęć odpalić raketę prosto w tyłek Czeczena. Nie pozwolił mi się przejechać na szperaczu.

– Widocznie miał powód. – Ku mojemu zaskoczeniu Oril wstawił się za Aślanem.

– Wszyscy jesteście siebie warci – burknęłam i obróciłam się na pięcie. Obrażona do żywego, odeszłam z grzywrami uczepionymi mojego przedramienia, nawet Tija okazała kobiecą solidarność. Łapa, zdrajca, został.

Kręciłam się bez celu po dziedzińcu, zwiedziłam każdy zakątek twierdzy, zajrzałam wszędzie tam, gdzie tylko mnie wpuszczono: do piekarni, pralni, kuchni, pustych teraz koszar. Wszyscy byli czymś zajęci, ale nie ja, w końcu wyciągnęłam z transportera teczkę ze szkicami. Miałam tam kilka pustych kartek. Usiadłam na schodkach prowadzących do baszty i zaczęłam rysować grzywry cienkopisem pożyczonym od Darka. Nemi i Tija, moje wierne

towarzyszki, pozowały, zmieniając postacie. Potem dołączyły inne grzywry, każda zapragnęła mieć swój portret machnięty moją ręką. Próżność nie była tylko ludzką cechą.

Kiedy zrobiło się ciemno – a dzień był już krótki – zajrzałam do kuchni, gdzie z grzywrami wmłóciłam michę pierogów – miały twarde mięsne nadzienie – popijając pysznym barszczykiem. Następnie wzięłam prysznic i poszłam spać z Nemi przycupniętą obok na poduszce. Mimo że rano ledwie tliło się w niej życie, Tija przyłączyła się do pozostałych grzyw, by obserwować teren. Stworzenia te uwielbiały się bawić, ale miały też duże poczucie obowiązku i były niesamowicie lojalne.

W nocy nikt mnie nie niepokoił – do czasu, bo gdy tylko przez okienko wpadły pierwsze promienie słońca, Lidia zrobiła mi pobudkę.

– Zbieraj się na śniadanie – pogoniła mnie. – Niedługo wyjeżdżamy.

Umyłam się, bo długo mogłam nie mieć tej możliwości, wrzuciłam ciuchy na grzbiet, staranie zawiązałam buty i z Nemi na ramieniu pojawiłam się w jadalni. Przyszłam ostatnia. Asłan z Igorem dopijali herbatę, Memed i Dżochar, którzy mieli jechać w szpic, właśnie zegnali się z Porackim.

Nemi tym razem nie wchodziła mi do talerza, w większym towarzystwie dbała o maniery. Karmiłam ją dyskretnie pod krzesłem. Łapa wyczuł koniunkturę, bo przypałał się do mojej nogi. Pochyliłam się i z wyrzutem szepnęłam mu do ucha:

– A wczoraj mnie zostawiłeś.

Czyżby Oril wszczepił mu jakiegoś tłumacza na psi język? Popatrzył na mnie, robiąc minę niewiniątka i ostatniego żebraka. Nic mu nie dałam, dopóki sama się nie najadłam. Kiedy wstałyśmy z Lidią od stołu, my również pożegnałyśmy się z Witalijem.

– Uważajcie na siebie. Nie dajcie się zabić. A, Borys ma coś dla ciebie.

Brodacz podszedł do nas i wręczył mi kuszę bloczkową. Dołożył do niej trzy kołczany pełne bełtów.

– Te są na grubego zwierza. – Wskazał największy. – Tamten na ludzi i przepiórki. Masz też bełty z impulsowymi grotami i takimi do przebijania kevlarowych pancerzy. Instrukcja w środku. Jakby co, pytaj Dmytra. A ta zabawka – wskazał na celownik zamontowany na kuszy – jest noktowizyjna,

ma laserowy wskaźnik celu szóstej generacji.

– Dzięki. – Zachłannie chwyciłam nowoczesne чудо. Kusza była leciutka, z aluminiową kolbą. Zerknęłam na Lidię, miała niewyraźną minę. Uściskałam Borysa, ponownie podałam rękę Porackiemu i, odprowadzone przez mężczyzn, wyszliśmy z siostrą na dziedziniec.

Podniosłam kołnierz kurtki, było mroźnie, ale za to słonecznie. Poczułam smród spalin, od murów odbijał się dźwięk mruczących silników. Słyszałam szczęk rozruszników, potężne tłoki budziły się do życia, dołączały do nich kolejne. Miałam wrażenie, jakbym oglądała film wojenny. Nawet lepiej, znalazłam się na jego planie. Pozdrawiając nas, Dmytro kiwnął z oddali ręką i zniknął we włazie swojej nowej piątki stojącej na przodzie kolumny. Rzuciłam ostatnie spojrzenie na baszty i mury twierdzy. Nasz transporter zatrzymał się ze trzy metry od schodów. Z kuszą w ręku, brezentową torbą i kołczanami na ramieniu weszłam po tylnej rampie do raptora. Położyłam bety pod rozłożonym fotelem, kuszę wsadziłam do schowka obok. Sprawdziłam zabezpieczenie – turlające się po podłodze bełty już na dobre rozstroiłyby Lidię. Spóźniona wrażliwość, przecież powierzyła mnie w opiekę mordercom. Nie wierzyłam w szlachetnego Sprzątacza, jakim miał być, wedle jego zapewnień, Oril. A do czego jest zdolny Zuradow, miałam okazję zobaczyć na własne oczy. I nie była to najszcześniejsza chwila w moim krótkim, acz burzliwym życiu.

– No to jedziemy – rzuciłam, nie dbając o adresata.

Siostra z Asłanem usiedli po drugiej stronie, Nemi od razu gdzieś się zapodziała. Może przycupnęła na torbie albo schowała się w luku z kuszą? Poczułam wibracje, Darek odpalił silnik. Czekaliśmy na naszą kolej. Czoło kolumny powinno już mijać bramę.

Ruszyliśmy z całą ekipą zabójców: Igor, pół Polak, pół Rosjanin, piekący własną pieczeń, Darek, trep z demobilu, Lidia, goszcząca w wynajmowanym domu awanturnika z kosmosu przyczajonego w skórze nastolatka, team mścicieli z Kaukazu, Wolodymyr Trakow ze swoimi śmiałkami. A na dokładkę operatorzy z prywatnej firmy wojskowej, wesołe mecha-salamandro-puchacze z replikującymi się mózгами i pies mieszaniec z podkreconą wydolnością.

Od razu podpięłam się pod konsolę i zaanektowałam peryskopy. Trochę się tego zebrało, bo grzywry ciągle przesyłały mi obrazy prosto na siatkówkę oka.

Widok konwoju z murów twierdzy, z pierwszego transportera, z czujki Trakowa i z puszczonego przodem szperaczy.

Poruszaliśmy się szybko, płynnie. Ludzie Porackiego regularnie patrolowali drogę i natychmiast usuwali zatory. Tempo zmniejszyło się po jakichś dwóch godzinach jazdy. Oril wysiadł z transportera i pomknął na szperaczu, z Łapą pędzącym mu na ogonie. Nemi nie wytrzymała i tak długo trącała mnie i Asłana łepkiem, aż wypuściliśmy ją przez górny właz. Przeniosła się na przód transportera, by jak akrobatka przeskoczyć na okrążający konwój szperacz, na którym podróżowała Tija. Stworzenia te nie potrafiły wysiedzieć w jednym miejscu. Musiały ciągle krążyć, wiedzieć, co się dzieje w promieniu przynajmniej kilku kilometrów. Nic dziwnego, że miały ogromny apetyt i wyciągały z najmniejszej dziury każdego robala, niczym żerujące w nocy jeże. Jak szybko potrafiły latać, turlać się, przebierać łapami, skoro pokonywały dystans w tempie szperacza z ponad stukonnym silnikiem?

Przestałam obserwować drogę przez peryskopy, znudziły mi się widoki kolumny pojazdów, zrujnowanych miasteczek, wiosek, lasów, zagajników, skałek i zarośniętych pól uprawnych. Rozłożyłam wiszące łóżko i ułożyłam się na nim wygodnie. Próbowałam stworzyć symulację na tablecie, który Asłan spakował razem z moimi rysunkami, ale elektroniczny rysik drżał mi w dłoni, kreśląc zygzaki na wysuniętym skanerze. Szkoda, że nie miałam połączenia z go-netem, tak bardzo chciałam napisać parę słów do Pawła i Roksany! Właśnie, świetny pomysł. Prześlę pliki, kiedy nadarzy się okazja. Przecież nie założymy pod Charkowem obozu na zimę. Miałam nadzieję, że Darek uporządkuje nasze sprawy w Polsce i wrócimy do Krakowa. A jeśli nie tam, to przeniesiemy się do innego miasta, może na wybrzeżu? Ale najprawdopodobniej zmienimy się w takich samych koczowników jak Igor i wylądujemy w Quebecu, a nawet w Nowej Zelandii, którą straszyla mnie Lidia. Umiarkowany klimat przez okrągły rok kusił, ale co z przyjaciółmi?

– Wkładaj kamizelkę. – Głos Asłana wyrwał mnie z zamyślenia.

– Co się stało?

– Trakow przesłał nam wiadomość, że niedługo będziemy mijać miejsce, gdzie ich zaatakowano. Oril i Darek chcą się rozejrzeć po okolicy.

– Będę mogła rozprostować kości? – spytałam z nadzieją. – Chce mi się siku.

– Mamy przenośną toaletę – zaprotestowała Lidia.

– Szybko się zapcha. Poza tym, skoro chcesz, żebym została w transporterze, dlaczego mam wkładać kamizelkę? Proszę! Wypróbowałabym kuszę. Nie dałeś mi się przejechać na szperaczu! – Oskarżycielsko wbiłam palec w Zuradowa.

– Jak sprawdzimy okolicę, to czemu nie? – zwrócił się do mojej siostry i mającego z nami połączenie Darka, a nie do mnie.

– Dobrze – zgodziła się Lidia. – Ale dopiero gdy dostaniemy potwierdzenie od Orila, że teren jest czysty.

Ciekawe. Siostra ufa bardziej Obcemu niż ludziom.

– Pamiętasz, co Oril powiedział? – spytałam Zuradowa, kiedy podawał mi kamizelkę. – To coś przyciąga jego i grzywry. – Chojnka, po co mi się to wymknęło? Lidia zaraz cofnie pozwolenie i zostanę w transporterze.

– Niepotrzebnie się mną zainteresował. Na to, co mi dolega, nie ma lekarstwa.

Pomógł zapiąć mi rzepy i podał hełm balistyczny. Nie spieszyłam się z jego założeniem. Wyciągnęłam kołczan w maskujących barwach. Miał pasek, dzięki czemu mogłam go nosić przewieszony przez plecy. Wszystko fajnie, ale ktoś musi mi pokazać, jak posługiwać się bloczkową kuszą. Strzelałam tylko z refleksyjnych – niby były dla zaawansowanych, ale właśnie takim sprzętem dysponowali moi dotychczasowi nauczyciele.

– Nie wykłuj sobie oczu – skomentowała Lidia, widząc, jak przeglądam bełty.

Stanęliśmy, po chwili znowu ruszyliśmy, i tak kilka razy. Aż w końcu przyszła oczekiwana wiadomość od Orila. Wyszliśmy z transportera po opuszczonej rampie. Asłan miał w ręku leciutki karabin Dragunowa z lunetą. Zlustrował przez nią okolicę, dłużej zatrzymując celownik na pobliskim wzgórzu. Ja byłam zainteresowana tym, co znajdowało się w odległości do pół kilometra. Łapa obchodził wypalony wrak beteera. Coś mu się w nim nie podobało, bo stulił uszy i opuścił ogon. Nemi również krążyła po pobojoisku.

– Nie idź tam.

Asłan złapał mnie za ramię. Zrobił to odruchowo, nie odrywając oka

od lunety. Wiedział, że ciekawość pogoni mnie do wraków. Było ich więcej, rozrzuconych po polanie zamkniętej stromym wzniesieniem i częściowo schowanych za pniami wysokich sosen o krwawiących żywicą pniach, odartych z kory w miejscach, gdzie trafiły odłamki i serie z karabinów maszynowych.

– No to mamy przedsmak tego, co nas czeka – skomentowała Lidia.

– Łapa daje nam znaki – poinformowałam ją. – Tam są trupy. Stan rozkładu: góra dwa dni.

– Umiarkowane warunki na krajoznawczą wycieczkę. – Igor pojawił się wtedy, gdy go potrzebowałam. To jego cecha charakterystyczna. Albo przypadłość, jak kto woli.

– Ten wał. – Wskazałam na skraj polany. – Mogłabym przestrzelić kilka bełtów.

– A nie przeszkadza ci towarzystwo umarłaków?

– Niby dlaczego? Skoro umarli, już nie będą do nas strzelać. Przyznaj się – podetknęłam mu kuszę pod nos – że nie masz pojęcia, jak używać tej zabawki?

– Nie doceniasz mnie, mała.

Prowokacja zaliczona. Igor pokaże mi, jak radzić sobie z tym superultracósiem.

– Słyszałem, że chce ci się bardzo siku – mruknął Asłan.

– Kręactwo to moja specjalność. A imię moje: Kłamstwo.

– Przestańcie się droczyć – okazał irytację Lediew. – Jak będziecie ciągle tak sobie dogryzać, konwój nam odjedzie. Chcesz się czegoś nauczyć? To chodź.

Tylko udawałam twardzielkę, bo gdy znaleźliśmy się parę kroków od wypalonego wraku, poczułam ciarki przechodzące po plecach. Profilaktycznie zakryłam nos i usta dłonią, żeby nie wleciała w nie tłusta mucha, nie wypełniła ich woń śmierci. Czy to tutaj walczyła Tija, kiedy czułam przepełniającą ją agresję? A może kawałek stąd? Na trasie mogło być kilka niebezpiecznych miejsc. No i co ze ścierwojadami? Musiały pierzchnąć przed zbliżającym się konwojem.

– Art! – upomniał mnie Igor.

– Czekaj, skoczę w krzaki. Nie, nie z tobą – uprzedziłam jego propozycję. – Wystarczy, jak przypilnują mnie Łapa i Nemi.

Miałam nadzieję, że nie wdepnę w rozkładającego się trupa. Chmara much i smród powinny mnie ostrzec. A kiedy nastąpię ciężkim buciskiem na czyste już kości, usłyszę co najwyżej ich trzask. Przykucnęłam za pierwszym większym krzakiem. Mogłam obserwować stąd drogę. Snajper również, bo te kilka gałązek i liści stanowiło marną osłonę przed kulą i lornetką termowizyjną. Lepszy byłby gruby pień drzewa. Oceniałam wszystko tak, jakbym znalazła się na polu bitwy. Nic dziwnego, w końcu sikałam obok pobojuwiska. Łapa też miał potrzebę. Zamiast mnie pilnować i ostrzegać przed trupami w krzakach, właśnie traktował strumieniem moczu pobliską sosnę. Tylko Nemi wywiązywała się z zadania – widziałam całą polanę ze szczytu chyba najwyższego tutaj drzewa. Oril z Dimą stali na przodzie konwoju. Ukraińiec żywo gestykulował, chłopak wskazywał ręką na wschód.

Pospiesznie naciągnęłam spodnie. Igor miał rację, nie mieliśmy dużo czasu, niedługo ruszymy. Podbiegłam do niego. Zdążył już wykombinować strzałochwyty i właśnie założył bełt. Podał mi kuszę.

– Strzelaj.

– Tak po prostu?

– Wystarczy, że wycelujesz i naciśniesz spust. Nie mamy czasu na pierdoły.

– Ee, chciałam, byś mi powiedział, jaki grot jest do czego. Jak się ładuje magazynek, używa celownika noktowizyjnego, oznacza cel laserem...

– Marudzisz, mała. Przecież latałaś po twierdzy z kuszą przez dwa dni. Potem zajrzysz do instrukcji. Wgram ci symulację do tabletu. No dobra.

Stanął za mną i zaczął tłumaczyć co i jak.

Zanim rozwaliliśmy strzałochwyty w drobny mak, gubiąc bełty w nasypie zarośniętym zielskiem, Asłan zagonił mnie z powrotem do transportera. Darek zrobił naradę na łączach już w drodze, której musieliśmy sporo nadłożyć, żeby ominąć zagrożone miejsca, nie wylecieć na podłożonej minie i uzupełnić zapasy paliwa w ukrytych bazach. Aby przegonić nudę, zajęłam się swoją nową zabawką: wyświeciłam instrukcję obsługi kuszy i celownika noktowizyjnego z laserowym wskaźnikiem. O to, czego nie rozumiałam, dopytałam Zuradowa.

Nad Dniepr dotarliśmy po północy. Oril niezmordowanie krążył wokół konwoju, Łapa spał w transporterze.

Ogromna rzeka nocą, piękna sprawa. Masy czarnej wody przepływające u naszych stóp.

Pożegnaliśmy się z częścią ekipy Trakowa, która miała nas osłaniać z brzegu i zabezpieczyć potem powrót. Alosza Alanow już na nas czekał. Zaczumował swoją piracką flotyllę w niewielkiej, acz głębokiej zatoczce. W pojazdach pozostały tylko podstawowe załogi. My, spieszona kawaleria, przeszliśmy na barki po trapach. Woda chlupała w dole, rozbudzony Łapa krążył przy brzegu, węsząc za Orilem. Ze swoim brezentowym workiem na plecach i kuszą w dłoni poczułam się jak zamustrowany wielorybnik. Przyszła kolej na pojazdy. Lediew wjechał na naszego rorowca po opuszczonej rampie. Kiedy boczna furta poszła w górę, miałam wrażenie, że zatrząskują się wrota piekieł, jakby pod ciemnymi wodami krył się uśpiony wulkan.

Kapitan przywitał się z naszą ekipą. Alosza Alanow był krępy, barczysty, miał żywe spojrzenie, zdradzające wesołe usposobienie, i zdecydowany uścisk dłoni.

– Te wody są takie groźne? – spytałam, kiedy puścił moją rękę.

– Widziałem zbyt dużo trupów wyrzuconych na brzeg, żeby twierdzić inaczej.

Nie owijał w bawełnę, traktował mnie jak dorosłą. Od razu go polubiłam i postanowiłam uczepić się faceta. Będę czerpać wiedzę z samego źródła, co prawda krótko, bo nie spędzimy na barkach całej nocy, ale przynajmniej pozostanę w centrum wydarzeń.

Lidia podetknęła mi pod nos kapok, wyporność XXL. Z jej pomocą wciągnęłam go na kamizelkę kuloodporną i dopięłam paskami. Odwdzięczyłam się siostrze tym samym.

– A miasto? – Wróciłam do wypytywania Alanowa, gdy kazał odbijać od brzegu, najpierw upewniwszy się, że furty zostały zamknięte, nie ma żadnej awarii, a transportery zostały solidnie zabezpieczone przed przesuwaniem się po pokładzie. Łapa z kolei uczepił się mnie. Oril przesłał nam wiadomość, że pójdzie brzegiem. Jak zamierzał przeprowadzić się przez rzekę, pozostało jego tajemnicą.

– To jądro ciemności. Nie zaryzykowałbym kursu do Kijowa. Nikt nie wie, co się tam dzieje. Nikt, kto zapuści się na przedmieścia miasta, nie wraca żywy. Są tylko te trupy, spływające z nurtem. Wypłute przez rzekę i gnijące na brzegu. Ciężko stwierdzić, czy deformacja nastąpiła po śmierci, czy jeszcze za życia człowieka.

– Mam nadzieję, że nie natkniemy się na żadne ciało.

– Ja również.

Rozdział 31

Jądro ciemności

Worek z betami zostawiłam w sterówce, a Łapę pod opieką Lidii, i wyszłam na rufę. Asłan stał oparty o reling i lustrował brzeg przez lunetę zamontowaną na dragunowie. Wpadłam na ten sam pomysł, dlatego zabrałam ze sobą kuszę. Skierowałam celownik noktowizyjny ku ciemnej linii drzew. Oceeniłam odległość, oznaczyłam cel: nasadę grubej gałęzi. W łożu tkwił bełt, który Borys nazwał „na grubego zwierza”. Kusiło mnie, żeby go użyć, ale żał mi było stracić taki fajny pocisk z gruszkowatym grotem. Grzywry skierowały moją uwagę na wodę. Dziwne uczucie, patrzeć na nakładające się obrazy. Gdzie te upierdliwe mechazwierzaczki się kryły? W nurcie rzeki? Obraz był jakby zamazany. Oderwałam wzrok od lunety. Zaczęła nas otaczać gęstniejąca mgła. Snuła się nad rzeką, która... Spojrzałam uważnie na obmywającą burzę wodę – kipiła.

– Co się dzieje? – spytałam Asłana celującego dragunowem w środkowy bieg rzeki.

– Coś niedobrego. Jak tam na rufie? – rzucił w mikrofon hełmu. – Spokojnie – powtórzył to, co usłyszał w głośniku. – Zagrożenie idzie z północy – dodał od siebie.

– Kijów.

– Gloria, wróć do nadbudówki!

– Nie! Grzywry wysyłają mi sygnały. Popatrz na kipieli. Widzisz ten blask?

Wtem barką coś targnęło. Zaczęła się powoli cofać, mimo że silniki pracowały pełną parą.

– Alosza dał wstecz?

– Wątpię. Czekał. Cała naprzód. Coś nas przyciąga!

Spojrzałam w dół. Kotłująca się woda była już metr od pokładu. Gdyby rzeką płynął transporter amfibia, pochłonęłaby go głębia. Grzywry

zaatakowały mnie obrazem czarnej piany, gęstniejącego oparu, atramentowej mgły. Wymierzyłam kuszę w rzekę jakieś pół kilometra za barką. Tajemniczy karmazynowy blask wypełniał kulę, która zmieniła się w kometę sunącą tuż nad wodą.

– Asłan! To Oril. Widzisz go?

– Widzę.

– I te światełka po bokach? To muszą być grzywry. Dzięki nim mogę go zobaczyć z bliska.

Grzywry przywarły do kuli, teraz płonęły jej ogniem. Woda wokół Orila utworzyła wir zataczający coraz większy krąg, który ściągał barki. Oczami wędrującej po statku Nemi widziałam ludzi biegnących po pokładach, słyszałam krzyki. Przygotowywaliśmy się do ewakuacji? Ale gdzie? Na tratwy, które zaraz pożre potwór? Monstrum, którego nie można było pokonać? Poczułam, że ktoś mnie obejmuje. Asłan bał się, żebym nie fiknęła za burtę przy gwałtownym wstrząsie pokładu. Woda nadal się podnosiła. Oril zniknął w głębinie.

– Już po nim.

– Nie, on walczy.

Asłan miał rację. Grzywry stały się elementem pancerza Trojlo i moimi oczami, których nie mogłam zmrużyć. Czułam, jakbym to ja toczyła bój z lodowatym nurtem rzeki. Gęstniejącą wodą, która zmieniała się w lepkie błoto. Zapadła cisza. Silnik, wał i śruby barki stanęły. Mogliśmy liczyć tylko na Orila, przemykającego pod powierzchnią niczym potwór z Loch Ness. Drapieżny plezjozaur, który przekroczywszy barierę czasu, przybył tu z triasu. Widziałam jedynie gęstą szarą papkę, żadnej ryby, skorupiaka, płaza czy rośliny.

Między mną a Asłanem były kamizelki i kapoki, ale czułam jego dłonie na przedramionach, ciepły policzek na szyi. To mnie uspokajało, dodawało pewności, że wyjdziemy z tego cało.

– Pomyśl, co by się stało, gdybyśmy utkwili w nurcie, uwięzieni pod blachami transportera?

– Moglibyśmy przeżyć. Igor dopłynąłby do brzegu.

– *Nie, nie powstrzymałbym tego, raptor szorowałby teraz po dnie rzeki –*

nagle usłyszałam myśli Orila; Nemi utrzymywała między nami kontakt.

– *Co sprawiło, że wał przestał się obracać?* – Kto o to pytał? – *Nie mamy silnika magnetohydrodynamicznego, by coś zniszczyło ekran.* – A to? Kto to mówił?

Oril skanował mózgi obecnych na barce, a jednocześnie pruł wodę, jakby chciał przerwać niewidzialny krąg. Zataczał koła za rufą ostatniego statku. Nasza barka zaczęła dryfować.

Wtem zaskoczył silnik, napędzając śrubę. Wygraliśmy! Na wodzie pojawiła się jasna kula. Wirowała wokół osi – z wysuniętymi łopatkami zagarniającymi wodę jak w starym parowcu. Szybko, coraz szybciej. Nie było możliwości, by obiekt wielkości niedużego sedana zawrócił wody ogromnego rozlewiska. Oril musiał zakłócić jakiś sygnał, tak jak to robiła nieznana nam siła. Woda stała się przejrzysta, szlam gwałtownie opadał. Trojło oświetlał otoczenie białymi rozbłyskami emitowanymi przez własne ciało. Był jak okrągła jarzeniówka unosząca się nad taflą olbrzymiego lustra.

– Wyjaśnij mi, o co tutaj chodzi? Bo zgłupiałam!

– Powiem tyle, że mamy cholerne szczęście, wędrując z takim towarzyszem. – Asłan wskazał na Orila lufą dragunowa. – *Może kapitan wie więcej?* Ludzie Aloszy regularnie pływają po tym szlaku.

Przeszliśmy do sterówki. Zrobiło się tam tłoczno. Trakow, Darek, Lidia, załoga barki – wszyscy chcieli zasięgnąć informacji bezpośrednio od kapitana.

– *Zaraza się rozszerza. Mój następny kurs będzie krótszy.* – Pochwyciłam słowa Alanowa.

Nagle do ciasnego pomieszczenia wparował facet z twarzą i dłońmi zapapranymi smarem i w kombinezonie utyłanym brudem.

– *Kapitane, riczka wykynęła trupy!*

– *Zostań.* – Asłan mnie przytrzymał.

– *Muszę zobaczyć, co tam się dzieje!*

Usiłowałam się wyrwać. Nic z tego, trzymał mnie w mocnym uścisku.

– *Grzywry i tak mi wszystko pokażą.*

Argument trafił do niego, bo Zuradow mnie puścił.

– *Przytrzymaj.* – Podałam mu kuszę i precyzyjnie się obok wchodzących

do sterówki, wyszłam na pokład.

Natura z nas piła: na niebie rozbłysła błękitno-cynobrowa luna. Odbijała się w wodzie, oświetlając unoszących się na powierzchni topielców o nabrzmiałych, opuchniętych karkach. Przy relingu stał marynarz z bosakiem. Odpychał trupy od burty, żeby spłynęły dalej z prądem. Nigdzie nie mogłam dostrzec Trojlo. Skupiłam się: czarna wstęga wody, krzaki, wilgoć, zapach ziemi. Oril był już na brzegu, grzywry penetrowały zarośla w dole rzeki. Gdyby nas teraz ostrzelano, dopiero zapanowałyby chaos.

– Myślisz o nim?

Aslan stanął przy mnie.

– Sprawdzaj teren przed nami. Co by się stało – musiałam to z siebie wyrzucić, pozbyć się lęku, na kogoś go przenieść – gdyby zaczęli do nas walić z dział, granatników? Tam, z brzegu? – Wskazałam na czarne krzaczyska.

– Alosza odpowiedziałby ogniem. Jest przygotowany na takie wypadki. Spójrz na sterówkę, pokłady, burty, nasze i najbliższej barki. Widzisz te wieżyczki i lufy?

– Gniazda karabinów maszynowych?

– Nie tylko, znajdziesz tam kilka wyrzutni i działek przeciwlotniczych. Jesteśmy w stanie się bronić również przed ostrzałem z powietrza.

– Taa... i gracko się obronimy, jak wybuchną baryłki z ropą. Siedzimy na olbrzymiej beczce prochu, a rzut beretem od nas płynie bunkierka. A sama rzeka? W bazie Orila znalazłam informację, że są tutaj stopnie wodne, ogromne zapory.

– Były. Zapora przed Kijowem została wysadzona jakieś siedem lat temu. Tony wody ze Zbiornika Kijowskiego spłynęły na ruiny miasta. Zalały nadbrzeżne miasteczka, wioski i osady. Fala mogła mieć ze dwadzieścia metrów.

– Jak za Stalina, kiedy w czasie wojny polecił wysadzić tamę w Zaporozu.

– Widzę, że odrobiłaś lekcję.

– Ale tego nie było w jej planie. – Wskazałam na topielca zahaczonego bosakiem. – Tak, zajrzałam do słownika, dlatego boję się tej rzeki. Skoro szlag trafił zapory, rozlała się w niekontrolowany sposób.

– Natura przywróciła jej dawny bieg. – Igor pojawił się przy nas. – Mała, nie ma co trząść gatkami ze strachu. Alosza ma dobrych pilotów, znających każdy zakręt rzeki, najmniejszą ławicę i mieliznę. Zbierajcie się, za chwilę dobijemy do brzegu. Radzę wsiąść ze mną do raptora, jeśli nie chcecie sobie zamoczyć ciuchów po jaja. Nie ma gdzie oprzeć trapów.

– Dzięki, że widzisz we mnie faceta – burknęłam. Niespecjalnie miałam ochotę na żarty. W nozdrza uderzał zapach rozkładających się zwłok. Jakiś topielec musiał pęknąć, wypuszczając trupie gazy. Miałam nadzieję, że Oril nie zdążył nasiąknąć tym duszącym fetorem. Że jego pancerz jest wystarczająco szczelny i Trojlo nie złapał jakiejś zarazy.

– A jak tam Oril? – Igor nie przejął się moim podłym humorem.

– Informuje mnie, że okolica czysta. Przekazał już raport Darkowi.

– Fajnie, w takim razie zapraszam do transportera. Chyba że rajcuje was widok topielców.

– A jak ten piracki okręt desantowy, udający barkę, zacznie tonąć?

– Nie zapeszaj – mruknął Asłan. – Pożegnamy się z Aloszą i idziemy do naszego raptora. Darek przesłał mi info, żebyśmy się pospieszyli. Za chwilę kapitan będzie miał ważniejsze sprawy na głowie: wysadzenie nas bezpiecznie na brzeg i staranne domknięcie furty.

– Moje bety! – Przypomniałam sobie o worku zabranym z transportera.

– Śmigaj po nie – rzucił. – Przypilnuję ci kuszy. Ten przeciwpancerny bełt założyłaś na Orila?

– Nie – odburknęłam. – Na plezjozauragiganta.

– Nie wiadomo, co kryje się w rzece. – Igor powiedział to poważnym tonem.

– Sumy olbrzymy – podchwycił Asłan. – Tutejsze ziomy opowiadają o nich legendy.

– Zmutowane sumy giganty – musiałam mieć ostatnie słowo – które żerują na topielcach.

– Mała, marsz po te bety! – nie wytrzymał Igor. – Co się do was zbliżam, wbijacie sobie szpile. Trzeba było to w końcu zrobić, a nie miziać się po noskach.

– Nie twoja sprawa – warknęliśmy z Aślanem równocześnie.

– O, jaki szybki zaskok! Przynajmniej w jednym trzymaniu wspólny front. Nie będę tu tracić czasu. Czekam na was w raptorze, drugi raz tego nie powtórzę. Weźcie Lidię z Łapą.

– Transportery będą mieć powodzenie – odezwałam się polubownie do Tanka. Wspólny wróg jednoczy! – Nikt nie chce sobie zmoczyć łapek w zupie z truposzy.

Wróciłam do sterówki. Znowu było tam przestronnie, wszyscy rozeszli się do swoich zajęć. Wyciągnęłam worek spod ławy przyśrubowanej do ściany i zarzuciłam sobie na ramię. Wpadły mi w oko stojaki na broń, teraz puste – widać Alosza ze swoimi drabami dmuchali na zimne.

Aślan czekał na mnie przed nadbudówką. Obserwował brzeg z dragunowa.

– I jak? – spytałam.

– Czysto. Oril potwierdził, że w promieniu dziesięciu kilometrów jest tylko robactwo, ptaki, płazy i śnięte ryby. Chodźmy.

Przeszliśmy na pokład, na którym był umocowany ładunek: dwa transportery i trzy samochody opancerzone. Zauważyłam przy pojazdach Dżochara i Memeda, machali do nas. Światło reflektorów było skierowane nieco w bok, inaczej widzielibyśmy jedynie zarys postaci. Zeszliśmy po drabince na dolny pokład. Musiałam uważać, żeby nie potknąć się na jakiejś napiętej stalowej linii. Wsiadłam z Aślanem do kabiny z przodu, na miejsce nieobecnego Orila, i upchnęłam worek pod siedzeniem. Nemi ujawniła się – była uczepiona kolby kuszy. Igor zamknął klapy.

Poczułam się jak sardynka w puszcze. Dobrze, że Lediew włączył zasilanie. Połyskujące diody mrugały przyjaźnie i to mnie uspiło. Transporterem nagle targnęło, gdyby nie pasy, rąbnęłabym czołem w wysuniętą konsolę.

– Siedliśmy na mieliźnie? – wydusiłam przestraszona.

– Barka przybiła do brzegu.

Igor wyszczerzył zęby i zapalił silnik, usłyszałam szcęk rozrusznika. Tłoki ruszyły, doszedł mnie stukot, potem ciche mruczenie, kiedy olej równomiernie pokrył ścianki cylindrów. Czułam wibracje kadłuba pojazdu. Na konsoli pojawiła się informacja: „Łańcuchy zwolnione z gniazd. Dajecie”.

– No to jazda – mruknął Igor.

Ruszyliśmy. W chwilę później żołądek skoczył mi do gardła – następne tapnięcie!

– Poszliśmy. – Lediew wrzucił dwójkę i dodał gazu.

Raptor musiał zjechać kołami z twardego trapu. Miałam wrażenie, jakby buksowały w mule. To amfibia, nic nam się nie stanie – pocieszałam się, jak mogłam. Zobaczyłam strugi wody rozpryskujące się wokół stalowego smoka. Siedząca na dachu grzywra przesyłała mi obraz. Nie czułam strachu tej małej spryciary, Tija nie przejmowała się tym, że zmyje ją fala. Grzywry potrafiły się wczepić w obiekt licznymi haczykami i przyssawkami jak soliter w ściankę jelita. Inaczej Tija nie zafundowałyby sobie przejażdżki w spienionej rzece na grzbiecie Orila, w dodatku płynącego pod prąd. Teraz łamaliśmy falochronem raptora twarde szuwary. Odetchnęłam z ulgą, gdy wyjechawszy na brzeg, zwolniliśmy. Woda nadal chlupała wyciskana przez ciężki pojazd z mułowiska niczym z ogromnej gąbki – do chwili, aż koła trafiły na twarde podłoże.

Transporter stanął.

– Wsiadka – zakomenderował Lediew.

Wygramoliłam się przez boczną klapę raptora i dotknęłam nogami podłoża, po czym ruszyłam chwiejnym krokiem ku tyłowi pojazdu. Ziemia! Byłam szczęśliwa, że mogę postawić na niej stopę. Mało brakowało, a padłabym na kolana i pocałowała wilgotny piasek, butwiejącą trawę i mokre liście. Teren zalewowy, mułowisko – Oril spóźnił się z informacją.

– Ch... tam z mułowiskiem – burknęłam do towarzyszącego mi Asłana, który zrobił zdziwioną minę, jakby pytał: „Co tak nagle wyskoczyłaś z tym mułocośćam?”. – Czuję się jak marynarz schodzący na ląd po opłynięciu przylądka Horn. Tyle że nasz Latający Holender nie pogrążył nas w odmętach, ale uratował. Właśnie, gdzie jest Oril?

– Zapytaj go.

– Uraczył mnie tylko informacją o mułowisku.

Nie wróciłam do kabiny raptora. Usadowiłam się na jego stalowym dachu, podłożywszy sobie pod tyłek worek z ciuchami i oparłszy się plecami o wieżyczkę wyrzutni. Asłan wdrapał się za mną. Czekaliśmy na wyładunek wszystkich pojazdów. Igor odjechał nieco w głąb lądu, żeby zrobić miejsce

formującej się kolumnie. Wstawało słońce, różowa zorza walczyła z szarością świtu. Niżej połyskiwała tafla ciemoszmaragdowej wody przecinanej smugami grafitu i nakrapianej brunatnymi plamami grążela żółtego. Rzeka w tym miejscu była szeroka jak co najmniej dziesięć szkolnych boisk. Barki wypływały ze swoich brzuchów pojazdy niczym płetwal błękitny drapieżne mieczniki. Ale nie uświadczyłeś tu przedstawicieli fauny – warkot silników spłoszył ryby i ptactwo wodne. Odwróciłam się, słysząc dźwięk opuszczanej rampy i poszczekiwanie psa.

Owczarek stanął na tylnych łapach, przednie opierając na fartuchu przeciwkumulacyjnym i wyciągając ku nam szyję. Wychyliłam się i pogłaskałam go po pysku. Lidia trzymała upierdliwego pieszczocha na smyczy.

– Masz. – Podała mi kubek z parującą kawą.

Gdyby nie Aślan, który chwycił mnie za kamizelkę, dałabym malowniczą głebę głową w dół. Jakimś cudem udało mi się nie wylać nawet kropli aromatycznego płynu.

– Kiedy ją zaparzyłaś?

Przyłożyłam zmarznięte dłonie do gorących ścianek naczynia.

– Na barce. – Lidia pociągnęła łapę za obrozę, inaczej gotów był wskoczyć na transporter.

– Kiedy popędziłaś oglądać topielców – dodał Aślan.

Nemi wyrosła na jego kamizelce jak materializujący się duch i zaplotła ogon wokół zawieszzonego na ramieniu dragunowa.

– Nie zgredź – mruknęłam. – Lepiej napij się kawy. – Wcisnęłam mu w ręce kubek. Miałam ochotę powiedzieć Zuradowowi, że jak będzie pił, przynajmniej się zamknie, ale właśnie podszedł do nas Igor, niosąc kuszę, którą zostawiłam w jego małym królestwie. Nie zamierzałam dawać mu powodów do niewybrednych żartów o mojej zażyłości z obiektem cichych westchnień.

– Widzę, że mała czuje afekt do broni. – Podarowałam mu „małą” tylko dlatego, że miał na myśli Nemi. – Wsiadajcie. Wszyscy już się zameldowali. Są gotowi, by ruszyć w drogę.

– A Oril?

– Spytaj tego małego trzpiota. – Wskazał na grzywę w skórze salamandry.

– Gadaj, paskudo! – Szturchnęłam Nemi palcem w ogon. Oderwała się od Ašana, zrobiła piruet w powietrzu i wylądowała mi na nosie. Maszkara potrafiła się odegrać.

– *Przepraszam, Gloria* – Oril w końcu się ze mną skontaktował – *ale muszę jeszcze trochę pokrążyć. Puśćcie Łapę. Przyda mi się jego instynkt. Im dalej na wschód, tym droga niebezpieczniejsza.*

Przejęłam od Ašana kubek z kawą. Wypił połowę. Napój przestygł na tyle, że mogłam opróżnić naczynie jednym długim łykiem. Miłe ciepło rozlało mi się w piersi i brzuchu. Gdy zeskoczyłam z transportera, wzięłam dolewkę od Lidii. Barki odpłynęły od brzegu, osiągnęły już środek rzeki. Do raptora podszedł Wołodimir Trakow z karabinem opartym na karku i ramionach, rękami założonymi za kolbę i lufę.

– Jak tam humory? – spytał.

W odpowiedzi podsunęłam mu kawę. Ciepły parujący napój z samego rana pełnił funkcję fajki pokoju.

– Oril mnie ostrzegął, że może być ciężko.

– Ale przynajmniej mamy już Dniepr za plecami.

Ściągnął karabin z barków i położył na fartuchu transportera, po czym sięgnął po kubek. Fajka pokoju jak się patrzy, skoro obwiesie pokroju Trakowa odkładają broń.

– „Za plecami” to taka przenośnia. – Byliśmy zwrócenii twarzami do rzeki.

– Lidia – zwróciłam się do siostry – Oril chce, żebyśmy puścili Łapę.

– Tylko dam mu pojeść i niech się napije. Na barce nic nie dostał, bo jeszcze nabawiłby się rozstroju żołądka.

– Choroba morska psiakowi nie groziła – rzucił Wołodia i z powrotem wsadził nos w kubek.

– Kto szto znajet? – mruknęłam. – Wystarczył stres, psiak raczej nigdy nie pływał, i ten wir, który nas ścigał. No i strach o Orila.

Lidia nie wdawała się w nasze pogaduszki. Przyniosła Łapie miskę z suchym pokarmem – dwa piętnastokilowe worki dostaliśmy od Porackiego z jego starych zapasów – a do drugiej naląła czystej wody z plastikowego

kanistra.

Konwój czekał na mieszańca, aż sobie poje i zaspokoi pragnienie.

– Łapa nie powinien biegać zaraz po suchym żarciu – skomentowałam sytuację. – Jeszcze dostanie skrętu kiszek. Może niech kawałek podjedzie z nami.

– W transporterze nam się wyrzyga – odparł Igor, który przejął opróżniony kubek od Wołodii. Lidia naląła mu do niego kawy z termosu i oświadczyła:

– Już pusty.

– Znak, by zebrać dupy w troki i jechać.

– Idę do swoich – oznajmił Trakow. – Dziękuję za kawę.

Łapa wmlócił już całą micę, teraz chłęptał wodę. Wypił tyle, ile naląła mu Lidia, jakby zdawał sobie sprawę, że czeka go długa droga, po czym wyciągnął się na trawie tuż przy kołach raptora. Patrzył na nas, czarując orzechowymi oczami i przechylając łeb. Wyglądał jak zabłąkany polarny niedźwiadek z futrem zrudziałym od słońca. Przytuliłam się do niego. Był taki ciepłutki.

– Przypilnuj go – szepnęłam mu do ucha. – I uważaj na siebie.

Weszłam na rampę, spojrzałam jeszcze na łąkę połyskującą od szronu roztopianego promieniami słońca, i zniknęłam we wnętrzu transportera z podskakującą przede mną Nemi-salamandrą. Grzywra była w dobrym humorze. Mała wagabunda lubiła, kiedy coś się działo. Zrobiła slalom po ciemnym wnętrzu, przy okazji dając susa na kilka przycisków. Wątpiłam, żeby wykonywała przypadkowe ruchy, bo kiedy trap poszedł w górę, nasz ciasny dom na kółkach zalało szmaragdowe światło i zapaliły się punktowe lampki.

Byliśmy w komplecie: ja, Lidia, Asłan i Nemi. Brakowało tylko Łapy, który odszedł kilka kroków w bok. Widziałam, co pies robił, za pośrednictwem Tii (bojowa grzywra została na zewnątrz). Niby wszystko grało, ale wyczuwałam nerwową atmosferę. Asłan nadal trzymał dragunowa w dłoni, zupełnie bez sensu, bo na co mu karabin snajperski w ciasnym wnętrzu? Jeśli miał wypaść z raptora, z biegu przystępując do ataku, lepszy byłby karabinek-granatnik z systemem kierowania ogniem. Łapa nadal warował przy krzakach, teraz widziałam świat z jego perspektywy, Tija

usadowiła mu się na karku jak kleszcz. Małe fontanny wody wyciskane spod kół kilkunastotonowych kolosów, koleiny rzeźbione w rozjechanym brzegu, chrzęst żelastwa, warkot silników i smród spalin – te ostatnie nie były przykre dla grzywry, obojętnej na trujące związki ołowiu.

Zabezpieczyłam kuszę, upchałam worek w luku i usiadłam na stanowisku strzelca. Wycelowałam peryskopem przed transporter. Operowałam zoomem, żeby uchwycić oddalające się czoło kolumny. Gdzieś tam był Oril. Pies podniósł się dopiero wtedy, kiedy ostatni pojazd zniknął za zakrętem, zasłonięty przez gęste krzewy. Czworonożny wędrowiec otrzepał futro z piasku i liści, następnie dał susa w gęstwinię. Zrozumiałam, dlaczego potrafił wysforować się przed kolumnę: Łapa biegł na przełaj, kiedy my krążyliśmy po zniszczonych drogach. Oril zostawiał za sobą czytelny ślad dla swego towarzysza. Tija galopowała na grzbiecie psiska niczym na koniu. Obraz, który mi przekazywała, był jak z kamery zamontowanej na grzbiecie pędzącego charta.

Podróż nie obyła się bez niespodzianek. Wielokrotnie musieliśmy zjeżdżać z bitej drogi. Raz nawet na przodzie kolumny doszło do wymiany ognia. Szpica Trakowa trafiła na oddział najemników, którzy pospiesznie się wycofali, nie mając przewagi w sprzęcie. Wszystko to jeszcze wzmogło czujność dowódców jednostek. Szperacze krążyły jak oszalałe, uzupełniając na zmianę paliwo z naszej minicysterny, jadącej na końcu kolumny. Zatrzymywaliśmy się na trasie w zakamuflowanych bazach, gdzie mechanicy sprawdzali sprzęt, i uzupełniliśmy zapasy, przede wszystkim ropy, oleju i wody. W ostatniej bazie nareszcie pojawił się Oril. Wyglądał, jakby tygodniami włóczył się po pustkowiu. Miał wychudzoną, poszarzałą twarz. Oczy mu błyszczały, jakby trawiła go gorączka. Ciuchy były poszarpane, upaprane błotem i rozgniecioną trawą. Przytuliłam chłopaka do siebie. Zadziałał impuls, instynkt sanitariuszki. Poczułam zapach zaschniętej krwi. Jego własnej?

– Bo mnie zaściskasz na śmierć – zażartował.

Lidia zachowała się bardziej praktycznie. Podała mu koc i kubek z gorącą herbatą.

– Musisz być potwornie głodny. – Poglaskała go po policzku, jakby był jej synem.

– Nie bardzo, po drodze udało mi się zapolować. Łup był łykowaty:

kończący swój żywot stary łoś samotnik, ale przynajmniej napełnił mnie i Łapie brzuchy.

– Gdzie on jest? – spytałam. – Straciłam kontakt z Tiją minionej nocy.

– Dołączą do nas, gdy pies się wyśpi. Nie ma mojej wytrzymałości.

Łapa pojawił się tuż przed naszym wyjazdem z bazy. Miał potargane, sfilcowane futro, za to rozradowane spojrzenie orzechowych oczu. Obiegł nas, machając ogonem, jakby nie widział przez wieki. Pozwolił się wytarosić i szczęśliwy ułożył u moich stóp. Lidia podała mu wodę. Wstał i wychłęptał wszystko z miski, a następnie z powrotem uwalął się przy mnie. Tija witała się z Nemi. Grzywry biegały wokół siebie niczym rozbrykane minikucyki.

– Posłuchajcie – zaczął Oril, siadając na okorowanym pniu drzewa ukrytym pod nawisem skalnym. Właśnie podszedł do nas Wołodymyr Trakow, zawiadomiony o przybyciu chłopaka. – Jesteśmy blisko celu.

– Do Charkowa jest jeszcze z pięćdziesiąt kilometrów – dodał Ukrainiec.

– Dlatego nie możemy lekceważyć najmniejszego sygnału – odrzekł Oril. – Choćby zmiany aury czy minimalnego odchylenia wskaźników przyrządów.

– Wie, co mówi – niespodziewanie poparł go Memed, który przykucnął na trawie z karabinkiem szturmowym MSBS-6,2 w dłoni. – Mam to samo przecucie, że jesteśmy blisko. I problem, bo nie wiem czego.

– Będę się łączyć bezpośrednio z Darkiem i Glorią – zakomunikował swoją decyzję Oril. – Ona widzi to, co grzywry. Od tej chwili jak powiem: „Stać”, wszyscy stajecie. „Skręt w prawo”, wszyscy skręcają.

– Przydałby mi się jakiś miniberylek – mruknęłam.

– Jeszcze tego brakowało! – zdenerwowała się Lidia.

– Skup się na grzywrach. – Oril nie żartował, spojrzał na mnie z wyrzutem. – Nie możemy sobie pozwolić na opóźnienie w przekazie informacji.

– Nasza mała znowu szarżuje. – Igor nie potrafił sobie odpuścić. – Nie wystarczy ci kusza? Przecież nie potrzebujesz przedłużenia fiuta.

Otaksował wyzywająco Zuradowa.

– Dlatego chcę miniberyla zamiast karabinu Barretta.

Też popatrzyłam znacząco na Tanka.

– No, no... – pokpiwał nadal Lediew. – Już widzę, jak dźwigasz

czternastokilowy szpej.

– Gloria, wróć na swoje stanowisko! – Lidia na dobre się wkurzyła. – A ty jej nie prowokuj – upomniała Igora.

– Wyszczekana ta wasza mała – skomentował Trakow. – Jeszcze będzie z ciebie komandos. – Klepnął mnie poufale w ramię, tak że się zachwiałam od nadmiaru jego sympatii. – Pozostajemy w kontakcie. Mała na otwartym kanale.

– Już wolę krasawicę – oburknęłam.

– Zbierajmy się.

Dostałam zaszczytu posadowienia czterech liter z przodu raptora, na miejscu Orila. Za to Lediew został oddelegowany przez Darka do beteera Trakowa. Moja radość z małego sukcesu nie trwała długo – Asłan usiadł na stanowisku strzelca. Spojrzał na mnie z marsmem na twarzy. Oj, naraziłam mu się tym barrettem, sugerując, że ma w spodniach wersję mini.

Fajnie oglądało się świat przez pancerne szyby, do czasu gdy Darek zamknął przednie klapy. Komunikat Orila był aż nadto czytelny: *Zatrzymać kolumnę*.

– Co widzisz? – spytał mnie Asłan.

– Trawę. Nic, tylko trawa, ciągnie się po horyzont.

„Macie się tam skierować. Skręt w lewo” – literki na konsoli świeciły na czerwono. „To właśnie stamtąd dochodzi sygnał”.

– „Skręcić w szczyry step?” – odpisałam, bo nie rozumiałam polecenia Orila. – „Tam nic nie ma”.

– „Wykonać”.

Transporter ostro skręcił. Zmienił się układ sił – teraz to nie Trakow ze swymi ludźmi, ale my byliśmy szpicą. Oril przesyłał nam instrukcje bezpośrednio na konsolę, inaczej nie potrafiłabym powiedzieć, gdzie mamy jechać. Widziałam tylko morze wysokiej trawy, pokrzyw i gigantycznych ostów, które kładły się pod dziobem raptora przecierającego drogę reszcie pojazdów. Nagle otoczył nas tuman gęstego kurzu, widoczność spadła do zera. Poczułam wstrząs. Złapałam za uchwyty nad głową.

Polecieliśmy w dół. W słuchawce słyszałam przekleństwa: polskie,

ukraińskie, rosyjskie, francuskie i angielskie. Spadliśmy wszyscy, cały konwój. Uderzenie szarpnęło stalowym cielskiem raptora. Gumowe koła i skok niezależnego zawieszenia częściowo zamortyzowały upadek. Cud, że w nic nie uderzyłam głową.

Miałam przed sobą napęczniałą szarą materię – poduszkę bezpieczeństwa? Światło w transporterze przygasło. Nadal widziałam step, grzywry wypełniały mój umysł obrazami: stratowana trawa i zryta czarna gleba. Nic więcej. W takim razie gdzie utkwiliśmy? Pod ziemią?

Rozdział 32

Truth

Cisza – długa, niepokojąca, podstępnie szarpiąca nerwy. Zanim odjechałam ze strachu, poczułam ciepło dłoni Asłana na swojej i usłyszałam jego zatroskany głos:

– Nic ci się nie stało?

– Wszystko w porządku dzięki poduszce. – Usiłowałam odsunąć napompowany balon, który tak nagle wyrósł przede mną. Upchnąć go między siedzenia i konsolę. – Chyba nie zaliczyłam nawet siniaka. Darek, a ty? A Lidia?

– Jesteśmy cali. Lediew, a wy?

– Bez strat.

– Trakow?

– Jeden rozcięty łuk brwiowy – meldował nasz dotychczasowy przewodnik – obite kolano i w blat’ diabelski skok adrenaliny. Zdaje się, że złamana oś w dozorze Pietii. To wszystko.

– Nadal mamy krótki zasięg – stwierdziłam oczywisty fakt. – Ale ważne, że jakiś mamy. A co z Orilem?

– *Spokojnie, jesteśmy na miejscu.*

– Igor, powinieneś się cieszyć – zaczęłam Lediewa. – Nareszcie znajdziesz odpowiedź na to, co dzieje się z systemami łączności na Ukrainie.

– Oby. – W słuchawce zabrzmiał jego czysty głos.

– *W przedniej komorze brak skażenia. Skład atmosfery: w normie. Obiekt o dziwnej strukturze zagłuszył sygnał. Emituje niezwykle silne pole ochronne. Jego jądro znajduje się poniżej was.*

– Oril – Igor nie stracił zimnej krwi – możemy otworzyć trap?

Czyli były tutaj jakieś komory, a my wylądowaliśmy w czymś na kształt

przedsionka. W brzuchu wieloryba, prehistorycznej skamienieliny, na którą wiatr naniósł grudy ukraińskiego czarnoziemiu, po czym wyrosła na nim trawa.

– *Śmiało. To bezpieczne miejsce.*

– Skąd ta pewność?

– *Otwórzcie klapy.*

Dyskretny dźwięk pneumatycznych amortyzatorów, ciche szczęknięcia. Włączone pełne nagłośnienie, usłyszałam stukot łap po pancerzu raptora. Nemi rozpląszczyła się na konsoli. Salamandra sprawiała wrażenie, jakby gotowała się do skoku. Na łepku wyrósł jej purpurowy grzebień. Cynobrowe podgardle pulsowało. Koralowe plamy na grzbiecie zmieniały kształty, kontrastując z grafitową skórą, która wyglądała jak mokry lateks.

– *Shit!* – wydusiłam. Przez pancerną szybę przebijał szkarłatny blask. Naprzeciw kabiny przyczaił się ogromny czarny waran. Sterczące wyrostki kostne ciągnęły się od spłaszczonego łba do długiego ogona, z masywnych łap wyrastały zakrzywione szpony.

– Oril w pełnej krasie. – Darek pozwolił sobie na komentarz.

– Wolałam go w wersji welocirapto-stegozaura.

Obok przedpotopowego potwora dostrzegłam Łapę. Pies zachowywał się jak członek stada. Polizał samca alfa po pysku i otarł się barkiem o jego potężną pierś.

– Ogon, wyrostki i pazury – zawtórował nam Aślan. – Nasz pupil jest sobą. Trojło otacza bojowy pancerz.

– Jest w trybie walki? A podobno jest tu bezpiecznie. Spójrzcie na ściany!

Utkwiliśmy w czymś na kształt gigantycznego gardła wyściełanego pofałdowaną grubą skórą usianą licznymi eozynowymi wyrostkami.

– To żyje, coś nas pożarło!

– I zaraz zacznie trawić? – Tank okazał sceptycyzm, bagatelizując moją złowróżbną wizję. – To może być kamuflaż. Spójrz.

Oril zniknął nam z oczu. Grzywry musiały za nim podążyć. Miałam odczucie, jakbym razem z psem pogrążała się w głębokiej gardzieli.

– *Jedźcie za Łapą.*

Darek ruszył. Koła raptora potoczyły się po ciemnoburaczkowym podłożu.

Zanurzaliśmy się w szkarłatnym oparze. Znałam go, ukazał mi się w ogromnej hali, gdy Tank walczył w klatce. A także w samolocie przed atakiem terrorystów. Po co w niego wjeżdżamy? Nie mogłam się pozbyć paskudnego wrażenia, że brniemy w gęstniejącej krwi, która zakrzepnie i uwięzi nas w koszmarnym tunelu. Opar rozwiął się, gdy wjechaliśmy do ogromnej przestronnej komory. Odetchnęłam z ulgą, mimo że nadal tkwiliśmy w gównie, tyle że rozrzedzonym.

Zatrzymaliśmy się na środku komory przed warującym psem, który nie przejął się, na czym wyciągnął swoje ogromne cielsko. Zaczął sobie czyścić futro na łapach. Reszta pojazdów konwoju, kierowana przez chłopaka wysyłającego polecenia bezpośrednio do prowadzących maszyny, utworzyła wokół nas krąg najeżony lufami wyrzutni i karabinów maszynowych.

Oril pozbył się kamuflażu i dezaktywował bojowy pancerz. Teraz był zwykłym nastolatkiem ze zmierzwionymi włosami, w mocno poszarpanej odzieży. Gdzie on ją upychał, kiedy otaczał się tytanową skorupą? Pozostało to dla mnie tajemnicą. Olbrzymi kaukaz skorzystał z okazji. Skoczył na niego, trącił nosem w brodę i oparł się łapami na barkach. Wyglądali jak chłopiec mocujący się z niedźwiedziem. Oril objął owczarka i przytulił policzek do jego pyska. Obaj zachowywali się, jakby trafili w bezpieczne miejsce!

Tank sprawdził glocka i wsadził do kabury przy pasie. Wyciągnął dragunowa spod siedzenia, zarzucił sobie broń na ramię. Podniósł się, otworzył boczne drzwi i zeskoczył na ziemię. Chciałam za nim ruszyć. Darek chwycił mnie za nadgarstek.

– Zostań.

Obserwowałam przez otwarte drzwi, jak Tank podchodzi do chłopaka i owczarka.

– Nemi – szepnęłam do grzywry, która usadowiła się na moich kolanach, ze złożonym teraz grzebieniem i stonowanym deseniem plam na grzbiecie. – Skocz na przespiegi.

Nie musiałam prosić ponownie. Śmignęła ku dwóm postaciom tak szybko, że dostrzegłam tylko rozmazaną czarną plamę.

– Pójdę z tobą – mówił do niego Aślan.

– Nie ma takiej potrzeby. – Oril uwolnił się z objęć Łapy, który usiadł

mu przy nodze.

Do Zuradowa dołączyli Memed i Dżochar, obaj uzbrojeni po zęby. Zauważyłam zbliżającego się Trakowa i Lediewa z przewieszonym przez plecy miniberylem – wersja ze składaną kolbą i celownikiem holograficznym, najnowsza zabawka, której tak pożałowałam. Jeszcze mnie tam brakowało, ale Darek nie ustąpił i zatrzasnął drzwi raptora.

Byłam uwięziona.

– Muszę z nimi iść! – zaprotestowałam energicznie. – Lidia! Powiedz mu coś.

– Masz zostać – odparowała holograficzna siostra.

– Wiem, co to jest! Widziałam już ten lepki opar.

– Skąd wiesz, że jest lepki?

– Odczucia grzywry, poza tym spójrz, jak na wszystkim osiada. Już przylepił się do beryla Igora.

– Zostajesz.

No i było po ptakach. Pozostało mi zdać się na grzywry, ale Oril też nie miał lekko. Reszta mężczyzn nie puściła go samego w głąb tuneli. Ekipa ruszyła razem z psem na eksplorację tajemniczego tworu o pulsujących ścianach. A ja z nerwów zaczęłam obgryzać paznokcie.

Oril szedł z przodu, nie miał przy sobie broni. To on był bronią.

Łapa co chwilę wyprzedzał przewodnika. Grzywry poruszały się po ścianach, suficie i podłodze, które miały taką samą teksturę. Były lepkie, ciepłe i pulsowały jak żywe ciało. Jakby gdzieś tutaj kryło się olbrzymie serce, pompujące tętnicami krew i zasysające ją żyłami. Nie opuszczało mnie uczucie, że wpadliśmy do trzewi ogromnej bestii śpiącej pod ziemią. Kronos połykający własne dzieci, Jonasz, którego pochłoniął wieloryb – starożytne mity, biblijne opowieści i ludowe podania pełne były podobnych historii. Nasz szewczyk Dratewka był jednak sprytniejszy i podłożył pazernemu smokowi owcę nafaszerowaną siarką.

Potwór udławi się nami.

Ludzie podążali środkiem tunelu, unikając kontaktu z żywymi ścianami. Oril ich dotykał, w ten sposób wybierał drogę. Poszukiwał serca tego czegoś.

Tunele zwężały się, zakręcały, prowadziły do większych komór i – co najgorsze – ciągle zmieniały położenie.

Jak oni wrócą? – przestraszyłam się. Zrozumiałam, dlaczego Oril niechętnie patrzył na broń zabraną przez cyngli. Nie była tu potrzebna. Przeciwnikiem była żywa tkanka. Jeśli nasi charakternicy zaczną dziurawić ją kulami i rwać granatami, wtedy płyn, którym pulsował układ, zaleje ich i udusi. Oderwane płaty tego dziwnego ciała przygniotą i uwiężą intruzów. Trojło nie przyszedł tutaj, by walczyć. Szukał porozumienia, wspólnego języka. Starał się nawiązać kontakt i go utrzymać. I chyba mu się to udawało. Grzywry były spokojne, zaczęły przysypiać. To coś go tutaj zwabiło. Wpadliśmy w pułapkę!

„Oril!” – zaalarmowałam chłopaka, wystukując komunikat na klawiaturze.
– „To pułapka!”

Żadnego odzewu. Nie mieliśmy już łączności z grupą, odległość była zbyt duża. Jedyna nadzieja w grzywrach.

– *Spokojnie – odezwał się głos w mojej głowie. – Masz rację, zostaliśmy tu zwabieni. Wszyscy. Truth usłyszał nasz krzyk o pomoc, wyczuł nasze słabości. Skusił tym, że odpowie na gnębiące nas pytania. Poda lekarstwa na koszmary. Obieca pomoc naszym bliskim i przyjaciołom. I robi to, zaspokoi nasze potrzeby.*

– *Co weźmie w zamian? Co stracimy? Jaka duża będzie zapłata?*

– *Dlaczego zakładasz, że coś za to chce?*

– *Niczego nie ma za darmo. Nikt nie jest bezinteresowny. Sam mi to mówiłeś. Bierzesz zapłatę, nawet nieświadomie.*

– *Może chce się stąd wydostać?*

– *A jak tutaj trafił? Kim jest?*

– *Celne pytania. To Urobor, wąż pożerający własny ogon.*

– *To znany motyw. Znaczy wszystko, a zarazem nic. Jest jak pytanie, co było wcześniej: jajko czy kura.*

– *Gloria, to metafora. Używając symboli dobrze znanych wam, ludziom, łatwiej mi się z tobą porozumieć. Inaczej nie potrafiłbym ci wytłumaczyć, kim jest Truth.*

– *Jeśli jest tym Uroborem, nigdy się stąd nie wydostanie!*

– *Może liczy na to, że właśnie my wyrwiemy mu ogon z pyska?*

Straciłam kontakt z Orilem. Wszedł do komory wypełnionej chmurą o barwie starego burgunda. Opar zaczął opadać. Czerwony blask, bijący ze ścian, oświetlił stojący na środku komory gruby walec. Jego kontury się wyostrzyły. Gęsty opar sięgał Orilowi i jego towarzyszom już tylko do kolan. Wyrastało z niego coś, co przypominało olbrzymi baobab i było pokryte popękana czerwoną korą, z jej szczelin wyciekały strużki żywicy. Wyglądało tak, jakby drzewo krwawiło. Ale to nie było drzewo. Pień wyrzucił się w kierunku Orila. Asłan i reszta cyngli skierowali czarne lufy na pęczniejącą bańkę. Oczami wyobraźni już widziałam głowę Obcego, która wyrwa trzewia baobabu i gruchocze kawałki kory, jakby przebijała zebra w ludzkiej klatce piersiowej. Rozłożyste gałęzie opadły. Poczulałam, jak serce skacze mi do krtani. Zobaczyłam długie łapy uzbrojone w liczne pazury.

– Stójcie spokojnie. – Usłyszałam Orila dzięki grzywrom. – Jeśli otworzycie ogień, już po nas. Dżochar, stój! – krzyknął. Wyczuł, że krewkiemu cynglowi spust przywarł do palca. Ramiona drapieżcy znajdowały się już tylko krok od intruzów, którzy zakłócili spokój obcej formie życia.

– To Szejtan! Szatan, który zszedł na ziemię. – W Dżocharze obudził się religijny fanatyk. Już widział nowe nacięcie na kolbie swego M24A4.

– A jeśli to Bóg? – Memed nie dał się ponieść emocjom. – Wszechmocny chce wyplenić z Ziemi zło?

– Wypalić do gołej gleby z wszystkimi duszyczkami? – zakpił Lediew. – Również tymi niewinnymi jak śnieg o poranku?

Pół-Rosjanin nawet w drastycznej sytuacji nie potrafił się powstrzymać od sarkazmu. Zastępował mu wyrzut adrenaliny. Każdy z cyngli czymś się karmił: fanatyzmem, nienawiścią, wisielczym humorem, zimnym opanowaniem.

– Jeśli wypalić, to nie jest Bóg, to Zło – odrzekł dobitnie Asłan. Ostry jak brzytwa pazur zatrzymał się tuż przed jego źrenicą. Jeden niewielki ruch, drgnienie, a mój przyjaciel straciłby oko. Wbijałam palce w kolbę kuszy, która, nie wiedzieć jak, trafiła do mojej ręki.

– A co powiecie na demona zemsty? – Trakow wszedł z cienia. –

Przydałby się nam taki jegomość. Pogonilibyśmy Ruskich, aż by się za nimi kurzyło.

– Marzy wam się – nagle wszyscy usłyszeliśmy donośny i czysty głos – pieprzona błyskotka z Władcy Pierścieni?

– Gadający drapieżny baobab – skomentował Darek, który siedział tuż obok mnie. – W dodatku gbur.

Parsknęłam śmiechem przez łzy, które zalewały mi oczy. Syknęłam z bólu – wbiłam sobie kolbę kuszy w udo.

– Nie bój się. – Siostra? Jak się tutaj znalazła? – To coś ich nie skrzywdzi. Ma poczucie humoru.

– I wie o nas tyle, co Oril.

Byłam otoczona przez ludzi, którym na mnie zależało, dlatego jakoś sobie poradzę ze stresem. Położyłam kuszę na konsoli. W łóżu znajdował się belt na grubego zwierza.

– Inaczej nie zwabiłoby nas tutaj – odrzekła Lidia. – Bo to nie przypadek, że przyciągnęliśmy tu jak osy do miodu.

– Skąd wiecie...

– Rysujesz to i mówisz ich głosami.

Spojrzałam w dół. Cholera! Druga ręka chodziła mi jak automat, odwzorowując na hologramie, co widziałam oczami grzywra. Było jak błyskawicznie montowany film animowany, z rozbrykanym tygrysiem w środku i podchodzącymi do niego niemądrymi prosiaczkami.

– To jakaś parodia! – Usiłowałam zatrzymać własną rękę.

– Nie, to ten wszechmocny baobab, który nas tutaj ściągnął.

Ramiona otoczyły Orila i resztę ekipy. Długie pazury utworzyły ciasny szpaler. Ludzie i Trojlo utkwili w pułapce, Łapie udało się przemknąć.

– Nie strzelać! – powtórzył chłopak. – Żadnych gwałtownych ruchów.

Zakończone szponami odnóża zaczęły ich obmacywać.

– To jest prawdziwa odwaga – szepnęłam. – Ja posikałabym się ze strachu.

– Oby żadnemu nie puściły nerwy – skomentował Darek. – Może uda im się to rozwalić, ale...

Ze ścian coś wyłaziło, wyglądało jak las czerwonych rąk uzbrojonych w stalowe szpony. Łapa uskakiwał, nie pozwalając się pochwycić. Na hologramie wyglądał jak pchła, która dała drapaka, opuszczając swój żywy ruchomy karmnik, a teraz fikała kozły, uciekając przed zgnieceniem opuszką palca. Nagle cały ten cyrk się skończył. Zrobiło się naprawdę strasznie. Ze ścian ściekał jakiś gęsty płyn i tworzył bajora lepkiej zawiesiny. Opar osiadł, drobinki kurzu i atomy powietrza mieszały się, przykleiły do połykującej tafli, sprawiając, że stała się mętna.

Oril, Asłan, Memed, Dżochar, Igor i Trakow nadal stali bez ruchu, niczym posągi z zastygłej lawy w Pompejach. Ciepły, krwisty płyn kapał im na włosy, nosy i oczy, kurz utworzył na nim elastyczną warstwę, powłokę odgradzającą ich od rozgrzanego powietrza wypełniającego komorę. Setki dłoni i tysiące palców mijały intruzów, zatrzymując się ledwie milimetr od ich skóry, i muskały zimne lufy broni. Dostrzegłam dwie grzywry, które straciły kamuflaż. Wyglądały jak małe posążki, czekoladowe króliki ze święconki.

– Tu jest ich grób. – Usłyszałam głos Asłana.

– Nic nie mów! – Miałam nadzieję, że Oril i grzywry przekażą mu moje słowa. Bałam się, że obca forma życia nagle zaatakuje. Wszystko wisiało na nitce, pod którą płonęła świeca. Jeden większy rozbłysk i płomień stopi cienkie włókno. Wystarczył nierozważny ruch, słowo, zbyt głęboki oddech.

– Przecież chcecie wiedzieć.

– Truth może odpowiedzieć na wszystkie nasze pytania – potwierdził chłopak. Skorupa na ich twarzach popękała: wokół ust, oczu, w miejscach zmarszczek mimicznych.

– Szatan też kusi – ostrzegł głębokim basem Dżochar. – I każe płacić tym, którzy mu ulegli. Drogo płacić.

– Ma rację – poparłam go. Nareszcie się z facetem zgodziliśmy.

– Truth nie zna pojęcia dobra i zła.

– A wie, co to lojalność?

Zabiłam im ćwieka. Ze ścian znowu zaczęło coś wyłazić, tym razem szarego, futrzanego. Miało wąskie pyski i długie ogony. Co teraz nas czeka? Inwazja olbrzymich szcurów mutantów?

– *To tylko wasze lęki.* – Truth się odezwał! W mojej głowie. – *Znam je.*

Powiedz to dziewczynie! Jesteście jej to winni.

To coś mówiło o mnie?

– *Nie jestem tym. Jestem osobowością.*

Wbiłam dłonie w fotel. Ono ulokowało się w moim umyśle! Co z tego, że nie było mnie w komorze pokrytej krwawą zawieszyną, oblepionej kłakami i pyłem. Truth zagnieździł się w umysłach nas wszystkich.

– *Jeśli to zrobisz, poznasz też odpowiedź na swoje pytania.*

– Dobrze. – Asłan niespiesznie przyklęknął. Szpony nie podążyły za nim. Ostrożnym, wolnym ruchem ściągnął dragunowa z pleców i położył w lepkiej czerwonej brei. Odpiął kaburę i wy dobył z niej glocka z lufą skierowaną w dół. Położył też pistolet. Odsunął broń od siebie w kierunku wygiętego chropowatego walca.

– Wasi rodzice – zwrócił się do mnie i Lidii, zakładając, że słyszymy jego słowa – ruszyli na Ukrainę z silną obstawą. Mieli zadanie zbadać na miejscu przyczynę zanikania sygnału, tak jak teraz Darek i Igor. Tak, Lediew, ty też nie znalazłeś się tutaj przypadkowo. Sporo wiesz.

– Sugerujesz, że nasze spotkanie w marsylskiej mordowni w porcie to nie przypadek?

Igor trzymał przed sobą beryla, lufa broni drgnęła. W tym samym momencie wysunęły się ku niemu szpony wielkości wideł. Nie stracił zimnej krwi, mimo że dwa zęby oparły się na jego nadgarstku i w mgnienie powieki mógł go stracić.

– Ono prowokuje, chce nas na siebie napuścić.

– Nie przykładajcie ludzkiej miary do Trutha.

Oril przestał panować nad swoją postacią. Zamiast oczu miał czarne dziury, dłonie zmieniły się w łapy drapieżcy. Za chwilę wyrośnie mu ogon. To coś każdego potrafiło obnażyć.

– Trafili w ogień bitwy. – Zuradow kontynuował, ignorując ich obu. – Mogli jeszcze zawrócić. I powinni. Gdyby to zrobili, pierścień okrażenia nie zamknąłby się wokół nich, odcinając drogę ucieczki. Ale popełnili błąd. Włączyli się do walki.

– Ich błąd – odezwał się Achmatow – ocalił nam życie.

– Dlaczego to zrobili?

Musiałam spytać. Moje słowa do nich dotarły, bo Memed odrzekł:

– Osłanialiśmy uciekających z miasta cywilów. Było z nami kiepsko – ostatnia linia obrony. Kończyła się amunicja. Monika i Eryk nie potrafili pozostać bierni. Włączyli się do akcji. I za to zapłacili.

– Twoja matka dostała postrzał. – Asłan nadal tkwił w warstwie kleistej mazi. – Nie mogłem jej pomóc. Trzymałem ją na kolanach, klęczałem w kałuży jej krwi. A ona mówiła, nie bacząc na... – Zamilkł, oszczędził mi i mojej siostrze szczegółów. – Mówiła o tobie i Lidii. Umarła na moich rękach. Ale zanim to się stało, dałem słowo, że będę chronić jej rodzinę.

– Robiliśmy to – podjął Memed – na tyle dyskretnie, na ile mogliśmy.

– Wąż zatoczył koło – odezwał się Truth. – Wam też ktoś pomógł, Sprawiedliwi. Wiele obrotów Ziemi temu. Właśnie to cię dręczy, Asłanie Zuradowie. Prawda ukryta pod warstwą wspomnień. A jest na wyciągnięcie ręki. Dlaczego po nią nie sięgniesz? Co cię powstrzymuje? Jesteś więźniem cierpienia. Ale nie jest ono tylko twoim udziałem. Nie możesz go dla siebie zagarnąć. Pielęgnować w sobie. Pozwolić mu się rozrosnąć niczym chwastowi. Czas je wyrwać.

Truth zamilkł, przechylił się, jego szpony uderzyły o siebie – szczęk metalu zabrzmiał jak pieśń potępieńca – i zaczął się zapadać w podłogę.

– Ofiary wołały zginąć.

Wszyscy skierowali wzrok w stronę, skąd padły te słowa. Oril nie przypominał już człowieka. Z głębi oczodołów wystrzeliły czerwone płomienie. Długi grafitowy ogon bił po kolumnie i uciekających ostrzach niczym bat skręcony z kolczastego drutu. Zmiotł dragunowa i glocka Asłana. Broń uderzyła w pulsującą ścianę i odbiła się od niej z głośnym plaskiem, jakby mlasnął olbrzymi jaszczur.

– Zginąć, aby pogrzebać również swych katów.

Grzywry jak oszalałe emitowały obrazy z tuneli. Kanały podziemnego systemu traciły światło. Były coraz węższe, wypełniał je gęstniejący opar. Za chwilę nie przejedzie przez nie nawet najmniejszy pojazd. Jeszcze moment, a nie przecisnie się żaden człowiek. Darek otworzył drzwi i wyskoczył z transportera. Skorzystałam z okazji, porwałam kuszę z konsoli, wyrwałam

się Lidii i rzuciłam ku otworowi obiecującemu wolność.

Pędziłam, jakby od tego zależało moje życie. Nie dałam się złapać ani Darkowi, ani jego operatorom, ani ludziom Trakowa. Zgubili mnie w gęstej mgle. Nie byli w stanie namierzyć noktowizorami, mogli jedynie mieć nadzieję, że uchwycą mój ciepły ślad. Ale i ja wdepnęłam w krowi placek, gorące ściany tunelu zakłócały odczyty. Cholerny Truth! Co ty sobie, gówniany kosmito, wyobrażasz! Nie zabierzesz mi Aśłana Zuradowa. On należy do mnie! Nie wydostaniesz się z tej planety. Nie po trupach moich bliskich. Tych, których kocham. Szczeźniesz tutaj! Na zadupiu Galaktyki.

Szczury, czerwone łapska, stalowe szpony, zmutowany baobab... Krwisty olej, lepka mgła. Zasłona, kamuflaż. Gra pozorów. Sztafaż. Nie ze mną takie numery, porąbany kosmito!

Wyrosła przede mną gigantyczna Buka z *Muminków*. Posłałam bełt w jej atramentowy tłusty tyłek. Maszkara z trójkątnym nosem rozsypała się na miliony kawałków, tryliony kryształków lodu. Truth chciał mnie przestraszyć. Co teraz wyśle? Krwiożercze muminki? Wesołe gremliny? Obcego skrzyżowanego z predatorem? Terminatora z systemem przeżartym przez złośliwego trojana? Kirka Wielką Stopę zmienionego w zombie? A może pojedzie po bandzie i podeśle mi metroseksualnego wampira z pościelówki dla nastolatków? Dołoży do tego udawanego wilkołaka i zbuntowanego aniołka z kiczowatej opowiadki?

Nagle poczułam, że nastąpiłam na coś twardego. Nemi! Grzywra siedziała na kuszy – już bezużytecznej, no chyba że aluminiową kolbą rąbnę wroga w ryło. Widziałam oczami Nemi. Schyliłam się i podniosłam przedmiot oblepiony olejem. Beryl Igora. W dupę jeża! Mam broń. Tylko... jak się z niej strzela?

Odbezpieczyć? Była odbezpieczona. Odciągnąć zamek, przeładować. „W celu użycia karabinu jako granatnika należy nastawić przełącznik”. Nie, to nie ta instrukcja. Oril, pomóż! Gdzie jesteś?!

Nagle wyrosła przede mną armia krwiożerczych zombie. Tłoczyła się w wąskim przejściu. Nie wiem jak, ale mini plunął ogniem, a potem warknął granatami. Oderwane łapska, fruujące giczoły, toczące się łby. Jedna drgająca krwawa miazga. Walczyłam! Naprawdę walczyłam. Beryl zwiżał się w mojej dłoni. Dawał z siebie wszystko. Wtem zorientowałam się, że trzymam

w niej coś miękkiego. Oderwane, zakrwawione ramię! Członek umarlaka wijący się jak ogromny robal. Zasłona, kamuflaż. Gra pozorów. Upiorny sztafaż. To Truth był górą.

Odpowiedział na moje ukryte pragnienia jak Trojlo Oril. Dotarło do mnie, że są z jednego ciała, jednej krwi. Pieprzeni kosmiczni bracia? W co nas wrobili?!

Beryl znowu był karabinkiem automatycznym. A ja strzelałam do armii potępionych. Musiałam uratować Asłana, Memeda, Igora, Dżochara, Trakowa i Łapę. Przebić się do nich. Cisza, koniec amunicji. Złapałam karabinek w obie dłonie i zaczęłam nim napierdzeniać zombiaki. Przejdę! Muszę przejść! Kop ciężkim wojskowym buciorem. Wbiłam umarlaka w drgającą masę. Pięść, łokieć, stopa, kolba, łokieć. Nóż wyszarpięty z kieszeni. Dopadły mnie, oblażyły. Gryzy, szarpały połamanymi paznokciami. Dźgały objedzonymi paliczkami. Orały obtartymi kłykciami. Padłam na kolana. Wbiłam lufę beryla w paszczę hieny, która zionęła mi w twarz gnilnym fetorem. A ona zniknęła! Trzymałam w ręku... kuszę. Wyczułam czyjaś obecność za plecami. Gwałtownie się odwróciłam, waląc kolbą w napastnika.

Mocne dłonie chwyciły za łożę kuszy. Asłan wyrósł przede mną, a za nim pojawiła się reszta mężczyzn.

- Art, uspokój się. – Objął mnie ramieniem, przekazując kuszę Memedowi.
- Myślałam, że już po was! – wyjąkałam drżącymi wargami.
- Jesteśmy cali. Żywi, bez śladu draśnięcia.

Wczepiłam się w niego dłońmi. Trzęsłam się od palców stóp do czubka głowy. Byłam zwojem poszarpanych nerwów. Mężczyzna mnie przytulił. Ryknęłam płaczem w kieszenie jego kurtki pełnej kanciastych magazynków.

Rozdział 33

Najbliżsi

Kiedy już się wypłakałam, Aślan posadził mnie na masce ukraińskiego dozora. Jak tu zdołał dojechać pancerny samochód? Przecież nie zmieściłby się w tunelach – one ciągle zmieniały układ i coraz bardziej się zwężały.

– Gdzie jesteśmy?

– Problem w tym, że nie bardzo wiemy. Oril?

Chłopak stał nieopodal z Łapą, karnie warującym przy jego nodze, i z Nemi siedzącą na karku owczarka. Grzywra przybrała postać kreta ze śmiesznymi szablasytymi łapkami. Nie zwracała uwagi na otoczenie, skupiła się na czyszczeniu aksamitnego czarnego futerka. Nie poznałabym jej, gdyby nie charakterystyczny rozkład plam na grzbiecie, które w tej chwili miały barwę zaśniedziałego mosiądzu.

– Trochę powędrowaliśmy razem z Truthem.

– Z Truthem?

Rozejrzałam się. Utkwiliśmy w tunelu – w tym miejscu był na tyle szeroki, że minęłyby się w nim dwudziestoczerokołowce. Mrok rozświetlały snopy reflektorów pojazdów ustawionych w długiej kolumnie. Ściany były buroszare, ani śladu po pulsującej krwistoczerwonej tkance i lepkiem oparze wypełniającym korytarze. Czy aby nie mieliśmy wspólnych urojeń? Zbiorowego koszmaru? Czy to sen, w który zapadliśmy wszyscy jednocześnie? A może wszystkiemu było winne znużenie? Skrajne wyczerpanie? W ten sposób objawiło się psychiczne załamanie?

Po prostu pękliśmy.

– *Truth chciałby, żebyśmy tak myśleli.* – Oril bezczelnie wlaźł mi do umysłu. – *Ale nie, to nie był majak.*

– Trakow, nóż – zwrócił się do Ukraińca.

W odpowiedzi otrzymał od Wolodii długą kosę. Szturmowy nóż mark-20

szerokiej głowni Bowie. Trojło mógł wypuścić z dłoni swoje zabójcze szable, ale wyczułam, że nie chce jeszcze bardziej mieszać nam w głowach. Podejrzywałam, że to, co za chwilę usłyszymy, będzie dla nas dostatecznie niejadliwe, zbyt zagmatwane na nasze prymitywne ludzkie umysły i zdolność postrzegania otaczającego nas świata.

Zanim Oril wyłożył mi i pokazał, o co chodzi, wpadłam w ramiona siostry. Jej spojrzenie było aż nadto wymowne. Znowu przegięłam, wymykając się z transportera, w dodatku z założonym bełtem. Właśnie, co z nim?

– Czy ktoś znalazł mój bełt? – spytałam z nadzieją, że odzyskam ekstra szpej.

– W co go wystrzeliłaś?

– W... – Zamilkłam. Miałam im powiedzieć, że w atramentową królową mrozu z trójkątnym nosem? Bukę z *Muminków*.

– No, w ścianę.

– Dobrze, że nie w kogoś z nas – skomentowała Lidia.

– Dziewczyna tylko się broniła.

Oril wyciął ze ściany kawałek sprasowanej ziemi. Przez chwilę miałam wrażenie, że z otwartej rany zaczyna się wylewać krwista maź.

Nie wytrzymałam i zaintrygowana podeszłam do ściany. Położyłam dłoń na ubytku. Wyczułam pod palcami krawędzie – tam, gdzie ciął nóż. Ziemia była śliska, zbita i wilgotna. Ale to tylko ziemia, a nie pulsujące trzewia podziemnego stwora.

– Nie rozumiem – wyjąkałam. – Wszystko wydaje się takie... normalne. Zapadła się pod nami ziemia i runęliśmy do starej sztolni? Trujący gaz wywołał omamy? Oril, przecież sprawdzałeś skład powietrza!

– Sprawdzałem. Grzywry również.

– My też – potwierdził Darek, który właśnie wrócił z obchodu kolumny. – Powietrze jak w piwnicy domku jednorodzinnej, może tylko większy poziom wilgoci.

– W takim razie, co tutaj jest nienormalnego? – natarłam na Orila. – Co nam chcesz powiedzieć?

– Spójrzcie.

Roztarł w dłoniach kawałek ziemi wycięty ze ściany. Grudki ponownie się połączyły, tworząc zgrabny stożek.

– Co to, na fiuta Putlera, jest? – Trakow wycelował snajperką w żywą formę.

Oril jeszcze raz roztarł ziemię, tym razem na drobny pył. Procedura nie powtórzyła się. Miał dłonie upaprane ziemią. To wszystko.

– Przyjrzyjcie się uważnie.

Aślan spojrział na pył przez celownik dragunowa.

– Wygląda jak czerwone roztocza.

Nie uspokoił mnie tym stwierdzeniem.

– Rostocza to kanibale! Wzajemnie się pożerają. Jak stwory z koszmaru!

– Tylko roztocza? – Oril wzruszył ramionami na naszą ignorancję. – Powiększ obraz.

– Coś przenoszą! – żywo zareagował Tank.

W dłonie chłopaka były wycelowane już cztery lufy karabinów. Po chwili pył zbił się w grudki. A one uformowały stożek, który zaczął się przesuwac ku małemu palcowi Orila. Nagle fiknął kozła, wylądował na ziemi, po czym poturlał się ku ścianie tunelu.

– Idę o zakład – skomentowałam, odbierając od Memeda moją kuszę – że na ścianie zaraz nie będzie śladu po nożu Wolodia.

Namierzyłam cel. Stożek nie był jednolity. Składał się z tysięcy małych stworzeń, które transportowały w odnóżach połyskujące stalowe kryształki. Włączyłam termowizję i sprawdziłam odczyt. Obiekt był gorący, miał ze czterdzieści stopni Celsjusza.

– Wszystko, co nas otacza, jest złożone z tych organizmów?

– To Truth – zaspokoił moją ciekawość Oril. – Właśnie o tym chciałem wam powiedzieć. Truth składa się z wyspecjalizowanych komórek, jak ludzkie ciało. Ale ma nad wami przewagę. Tak jak ja potrafi zmieniać kształty i perfekcyjnie się maskować.

– Ile go jest?

Z lękiem spojrziałam na otaczające nas ściany. Budziły respekt.

– Dużo.

– Skąd wiedziałaś, gdzie go znaleźć? I tak dokładnie na niego trafić?

– Niedługo nastanie zima, roślinność powinna zwolnić wegetację. Żadne drzewo, które mijaliśmy, zbliżając się do jego kryjówki, nie straciło choćby liścia, a trawa miała tak intensywną barwę, jakby kiełkowała na wiosnę. Truth zmienił jej genom, dostosował do swoich potrzeb.

– Kiepski kamuflaż – mruknął Aślan. – To nie zmiana okrywy naprowadziła cię na jego ślad. On chciał, żebyśmy go znaleźli. I przemieścił nas pod ziemią. Wiesz dokąd?

Na twarzy nastolatka była wypisana powaga.

– Chodźcie.

– Poczekajcie, skoczę po bełty.

– Gloria! – zaprotestowała siostra. – Nigdzie się stąd nie ruszysz. Darek, zaprowadź ją do transportera i nie pozwól dać drapaka jak poprzednio.

– Nie – sprzeciwił się Oril. – Kuszę zostaw, ale idziesz tylko ty, Lidia i Pierwsi Sprawiedliwi. Darek, przypilnuj Łapę, najlepiej weź go na smycz.

Facet siostry posłuchał chłopaka, ale po minach Lediewa i Trakowa poznałam, że nie zastosują się do polecenia Orila. Obcy mógł przecież działać w porozumieniu z formą życia, która uwięziła nas pod ziemią. Nie wiedzieliśmy, jakie żywi zamiary wobec ludzi. Czy jest naszym wrogiem, czy przyjacielem? A może jesteśmy jej kompletnie obojętni? Co również wiąże się z niebezpieczeństwem. Zасыpując korytarze, Truth pogrzebałaby nas za życia. Udułibyśmy się z braku powietrza, przygnieci tonami ukraińskiego czarnoziemiu.

– To wyłącznie sprawa rodziny – wyjaśnił Oril.

Nie wiem dlaczego, ale zadrżałam. Miałam złe przeczucia co do tych rodzinnych spraw. Mężczyźni spojrzeli na siebie. Igor z Wołodiem działali razem, to były nieliczne chwile, kiedy nie wyciągali historii swoich narodów, nie licytowali się przymiotami, chwałą i winami przodków. Musieli dojść do porozumienia, bo nas nie zatrzymywali, nie narzucali swojego towarzystwa. Skoro Darek pozostawał przy transporterze, dlaczego mieliby być nadgorliwi? Ruszyli wzdłuż kolumny, instruując ludzi, sprawdzając ich gotowość do natychmiastowego wycofania się, gdyby sprawy rodzinne, moje

i Lidii, poszły nie tak. Podejrzewałam, że Memed Achmatow i Asłan Zuradow nie bardzo ich obchodzą.

Odwróciłam się, zanim zniknęliśmy z Orilem za zakrętem tunelu. W świetle reflektorów transportera dojrzałam sylwetkę Dżochara, który siedział na masce żubra ze swoim M24A4 w dłoni. Czyżby został, by mieć na oku Lediewa i Trakowa?

Przez chwilę korytarz był oświetlony, blask odbijał się od ścian na zakręcie. Kiedy zrobiło się ciemno, Asłan i Memed włączyli latarki taktyczne zamontowane na szynach akcesoryjnych karabinów. Ja użyłam laserowego wskaźnika celu. Oril szedł przed nami, Lidia trzymała się blisko mnie. Tunel prowadził w górę, był coraz węższy. Kiedy wyczerpią nam się baterie, otoczą nas ciemności katakumb. Chyba że Oril rozbłyśnie niczym anioł wiodący trzode owieczek do wrót raj. Zanim ogarnęła mnie panika, a w jasyr wzięła klaustrofobia, struga dziennego światła rozświetliła chodnik. Wyłączyliśmy latarki, żeby oszczędzać baterie.

– Jesteśmy na miejscu – oznajmił Oril.

Przecisnęliśmy się przez szczelinę skalną. Zrobiłam głęboki wdech. Powietrze było suche i zimne, nad stepem zachodziło słońce, zalewając niebo złotym blaskiem. Dotarliśmy do naszego raj. Wyszliśmy na powierzchnię.

– To grób – oznajmił Oril.

Moje przecucie! Sielanka zmieniająca się w koszmar.

– Step? – spytała rzeczowo Lidia.

– W ziemi pod naszymi stopami leżą kości uciekinierów z Charkowa, również waszych rodziców.

Siostra objęła mnie, a ja usiłowałam zachować pion. Lidia starała się trzymać ze względu na mnie, a ja – ze względu na nią. Czułam, jak pod powiekami zbierają mi się łzy, wypełniają kąciki oczu i spływają po policzkach. Przygotowałam się na tę chwilę, tylko dlatego jakoś panowałam nad sobą. Nie rozsypałam się na drobne kawałki jak kryształ, który uderzył w skałę.

– Skąd masz tę pewność? – Asłan stał tuż przy nas.

– Już tutaj byłeś – stwierdził Oril.

– Ale nie ty. Wyczuwasz i analizujesz DNA przez warstwę ziemi?

– Wyczuwam więcej.

Memed obchodził teren, wpatrując się w wysoką trawę. Nagle przyklęknął.

– Oril ma rację.

Podeszliśmy do niego. Rozgrzebywał nożem ziemię. W pewnym momencie ostrze trafiło na coś twardego. Mężczyzna stuknął w to kilka razy.

– Tam są resztki wraków samochodów. – Wskazał dłonią przed siebie. – I silnik autobusu, znalazłem też stopione opony.

– Zostańcie przy Memedzie. – Asłan zatrzymał nas ruchem ręki i ruszył ku chaszczom.

Oril stanął w odległości kilku kroków ode mnie i Lidii. Sprawiał wrażenie, jakby odpłynął w głąb siebie. Może porozumiewał się z Truthem?

Przyklęknęliśmy z siostrą przy Memedzie. Oczyszczał z ziemi szary blok kamienia. Dostrzegłam Nemi, która wtapiała się w tło. Grzywra wyglądała jak zielonobura jaszczurka. Wyczuwałam jej smutek. Musiała odczytać po wyrazie naszych twarzy, gestach, składzie potu, jaki stres trzyma za gardła mnie i siostrę. Może to właśnie pod tym kamieniem był grób Moniki i Eryka? Pogodziłam się już z tym, że nie odnajdę ich wśród żywych.

Asłan wrócił do nas. Jeszcze mocniej zabiło mi serce. Po minie mężczyzny poznałam, że Oril się nie mylił.

– Tak, to jest to miejsce. Tam spłonął autobus. Poznaję ten kamień.

Memed oczyścił już cały blok. Były na nim wyżłobione bruzdy o nieregularnych kształtach. Wyglądały, jakby ktoś rzeźbił je ostrzem noża, a potem zebrała się tam ziemia, która weszła w mikropęknięcia, a właściwie została w nie wprasowana przez naturę.

Oświetliłam lunetą inskrypcje: chrześcijański i prawosławny krzyż, pod nimi cyrylica i łacińskie litery.

– „Ofiary wolały zginąć, by pochować swych katów” – zacytowałam Trutha i położyłam dłoń na kamieniu. Był szorstki, chłodny. Drobinki ziemi wbijały mi się w skórę. – On ci odpowiedział. – Spojrzałam na Tanka, który klęknął przy mnie. – Przekazał nam, że wąż zatoczył koło. Kto wam wtedy pomógł?

Wiele lat temu? Co ukrywasz pod warstwą wspomnień? Co cię dręczy, Asłanie Zuradowie?

– Nic nie ukrywam. Bo właśnie wspomnienia są odpowiedzią.

Wpatrywał się we mnie w skupieniu, ze śmiertelną powagą na twarzy. Jego szlachetne, regularne rysy zastygły niczym lawa, którą zalały wody Oceanu Arktycznego.

– Czas wyrwać wężowi ogon z pyska. Sięgnąć po prawdę – mówiłam słowami Trutha. – Jest na wyciągnięcie ręki. Co cię powstrzymuje? Cierpienie nie jest wyłącznie twoim udziałem. Dlaczego zagarniasz je tylko dla siebie? Czas wyplenić ten chwast, usunąć wraz z korzeniami!

– On ci nie odpowie. – Oril wyrósł między nami. Był niczym tama na rwącej rzece. – On niesie moje przesłanie, ale o tym nie wie. Ja też nie wiedziałem. Kiedy powróciłem na Ran po wykonaniu zleconego na Ziemi zadania, spaci wymazali mi pamięć. A przynajmniej jej część niewygodną dla nich. Ukarali mnie za to, że zabijając, ingerowałem w świat ludzi.

To nie upadły anioł, pomyślałam. To Prometeusz.

– Pozostawiony tutaj Truth pomógł mi poznać prawdę. Przywrócił to, co zostało usunięte. Zregenerował uszkodzony obszar w mózgu. Asłanie Zuradowie, wiesz, jak udało ci się przeżyć? Kto cię uratował?

– Niepotrzebnie uratował. Chciałem umrzeć. Jak to powiedzieliście? Byłem ofiarą, która wolała zginąć, żeby tylko pogrzebać swych katów. Ale on mnie powstrzymał! – Wskazał oskarżycielskim gestem na Memeda.

– A jeśli zginąłeś? Jeżeli zginęliście obaj? Nie wytrzymaliście tortur? Bo nie mieliście prawa wytrzymać. Nie, mając słabą ludzką powłokę. Psychikę, którą łatwo roznieść na strzępy – tak jak ciała rozrywa granat wrzucony przez właz do transportera. Człowieka łamie się łatwo, niczym zapalkę, przesuwając ją leniwie między palcami.

– Oni żyją! – zaprotestowałam. – Nie są jakimiś zombie! Oddychają, są ciepli, czują. Śnią, kochają, mają wspomnienia, sumienie. – Ostatniego nie byłam do końca pewna. – Cierpią, krwawią – z ran i serc!

– Żyjemy. – Memed uciał spekulacje. – Ale nie jesteśmy tymi, którymi byliśmy. I ty wiesz, jak do tego doszło. – Tym razem to on oskarżał, ale nie swojego towarzysza, tylko Orila. – Bo właśnie ty się do tego przyczyniłeś.

To ty wiedziałaś, gdzie są groby ludzi, którzy zginęli pod Charkowem. Ty nas do nich doprowadziłaś. Nie mieliśmy z Aślanem prawa przeżyć. Nie przy tak rozległych obrażeniach. Sam to przed chwilą przyznałaś. A jeśli nawet jakimś cudem utrzymalibyśmy się przy życiu, powinniśmy być kalekami, zwłaszcza Aślan. Był jak ten zmiażdżony wrak, który leży na polu bez kół i silnika. Dlaczego nie pozwoliłaś mu, żeby wysadził się w powietrze? Zabrałby ze sobą kilku oprawców.

– Ty mu przeszkodziłaś. Bo dla ciebie ważniejsze było życie chłopaka niż zemsta. Ja tylko was poskładałem. Nie zdążyłem ocalić jego Jasminy, ale zdążyłem sprzątnąć kilka śmieci. Wykonałem za was robotę i za to spaci skazali mnie na utratę pamięci, a potem likwidację. Teraz spłacacie dług. Bo tak wam każe honor. Wspomnienia karmią waszą egzystencję. Ale zabijając w imieniu poległych, nie opatrujecie swoich ran. Przeciwnie. Sypiecie na nie sól. Robicie to, co robiono z wami, wpychając wam solno-pieprzną breję do ust i na język, rozorany metalowymi szczypcami. Kpili z was, piłując wam zęby. Ale zapomnieli wyszarpać wilcze kły.

– Oril, proszę. – Chwyciłam go za rękę. – Mówisz jak Truth.

– Chankale, Gorogorsk, Ursus-Martan, Czernokozow. – Memed odpowiedział za chłopaka. – Obozy filtracyjne w Czeczenii. Później tworzone nowe, nie tylko na Kaukazie, również na wschodzie Ukrainy. W takim obozie zginęła Jasmina. Mówię za Aślana. Jemu jest ciężej. Widział, jak ciągnęli ją do celi, słyszał jej krzyki, śmiech żołdaków, a potem ciszę.

Mężczyzna powiódł wzrokiem po stepie przed nami. Spojrzał na niknącą za horyzontem krwistoczerwoną półkulę, skąpaną w promieniach szkarłatnej zorzy, i mówił dalej:

– Potwornie go wtedy skatowali, ale to było nic. Najbardziej boli cierpienie bliskich ci ludzi. Nie tylko twoich bliskich. Także kalek z urwanymi kończynami, kopanych i miażdżonych ciężkimi żołnierskimi buciorami. Boli, że nie możesz nic zrobić. Boli twoja bezsilność. To jest najpotworniejsze. Łzy ciekną ci z oczu. Nie możesz się pogodzić z tym, co widzisz, co czujesz. Do czego cię zmusili – żebyś stał się tego świadkiem.

Ponownie zamilkł, tym razem spojrzawszy na Aślana. Wyczułam niewidzialną zasłonę, która nas od nich oddzielała. Tylko ci, których udziałem były tak przerażające doświadczenia, nie potrzebowali słów, by dobrze się zrozumieć.

Memed przeniósł wzrok na Trojlo. Właśnie u Obcego szukał współczucia i akceptacji. Nie u ludzi. Jakby nie mógł przebaczyć własnemu gatunkowi.

– Ale potem nadchodzi czas zemsty. Dobrze to powiedziałaś. Zapomnieli, że zostawili nam spiłowane zęby – kły wilka. I tylko ty wiesz, w jaki sposób Asłan zdołał przeżyć. Czas powiedzieć nam wszystko. Grób jest na to dobrym miejscem.

– Tak – potwierdził Oril – ja was uratowałem. Ale wcześniej to ty wyjąłeś chłopakowi zapalnik z ręki. Nie pozwoliłeś pomścić Zuradowi jego bliskich.

– On nadal się mści – wydusiłam.

Oczy Asłana płonęły gorączką szaleńca. Nie różniły się od ślepiów Trojlo – ta sama głęboka czerń pochłaniająca tlen i światło. Mieli ze sobą więcej wspólnego niż tylko ponurą osobistą historię.

Zuradow nie zamierzał się usprawiedliwiać.

– Robię tylko to, co jest konieczne – odrzekł. – Spłacam dług. Pomogłeś nam czterdzieści temu. Dziesięć lat temu pomogli nam Monika i Eryk. Teraz niesiemy twoje przesłanie dalej. Chronimy ich dzieci.

– Wioząc nas pod Charków? – Nie przekonały mnie jego ostatnie słowa. Pakował nas w kolejne groźne sytuacje! – To tak, jakbyś zabrał dziewczyny na przechadzkę po slumsach Marsylii. I w fanatyków, którzy rzucili się na nie, zaczął pakować kule z MAG-a, mając gdzieś, że nie masz pewnej pozycji do strzału. Dobrze wiesz, że nam też przyjdzie spłacić dług. To jest jak zaraza, która zaczęła się od eksplozji najpotworniejszego zła. Od zbrodni, okrucieństwa zadanego innemu człowiekowi. Lidia, wiedziałaś! Inaczej nie przyjmowałybyś zesłanych Obcych w zamkniętym ośrodku. Nie zadawałabyś się z byłym wojskowym mającym poparcie kumpli od Skrzydeł. Od dawna jesteś w tym łańcuchu, zakuta w okowy jak oni: Sprawiedliwi wykonujący wyroki. Nie jestem ślepa, nie jestem głucha! Dżochar opowiedział mi w Paryżu historię nacięć na swoim karabinie.

– Jestem z ciebie dumna. – Siostra mnie zaskoczyła. – Zresztą nie tylko ja. Jak myślisz, Asłan? Jest jedną z nas?

– Jest. Art nie wie tego, nie jest świadoma, że Trojlo i Łapa wiele ją nauczyli.

– O czym wy mówicie?

Usłyszałam szczekanie, to Łapa wymknął się Darkowi i poszedł naszym śladem. Podskoczył i otarł się futrem o moje ramię, co na moment mnie zdekoncentrowało.

– Oril nie powiedział nam wszystkiego – oświadczył Memed. – Nie wspomniał o ubocznym skutku swojego nieprzemyślanego czynu. Nieprzemyślanego dla tych tam. – Wskazał na ciemniejące niebo. – Nie wierzę, że skazali cię za to tylko, że rozwaliłeś tu na Ziemi kilku skurwysynów.

– Mam podobne możliwości do tych Trutha. Użyłem własnej tkanki, żeby was poskładać. Tak samo uratowałem Łapę. – Poglaskał łaszącego się psiaka. Zwierzak machnął ogonem i położył się obok Orila. – Nasze DNA uległo połączeniu. Dzięki temu tak wolno się starzejecie. Jesteście moimi braćmi. Nowe życie obudziło w was wrażliwość Trojlo, a ten dar Sprzątaczniesie dalej. Gloria, zapraszam do kompanii. Właśnie stałaś się Sprawiedliwą. Jak twoi rodzice i Lidia.

– Dziękuję. To dla mnie zaszczyt. I nie „właśnie”, tylko wtedy, gdy wszczepiłeś mi w przedramię swoją tkankę.

Oril miał na myśli, że musiałam do jego daru dojrzeć. Byłam mu wdzięczna, że nie powiedział tego na głos. Szturchnęłam Aśłana w ramię.

– Czy teraz wtajemniczysz mnie w sprawy organizacji? Czy będziesz traktować jak równorzędnego partnera? – spytałam tonem pełnym wyrzutu.

– Zdecydowanie tak. – Uśmiechnął się do mnie, jakby zapominając o przeszłości. – Zasłużyłaś sobie na to, mimo swoich wyskoków, skrajnej niesubordynacji. Która porwana i odbita nastolatka zachowałaby tyle zimnej krwi? Tak dobrze sobie radziła w trakcie niebezpiecznej wyprawy?

– Dzięki – mruknęłam. – Ale trochę przesadziłeś z tym moim heroizmem. I zapomniałeś dodać, że zostałam porwana na własne życzenie. Niesubordynacja umiarkowanie kwalifikuje mnie na komandosa, hę?

– Ale wyskoki jak najbardziej. – Oril mrugnął do mnie.

– Widzę, że wczułeś się w rolę Trakowa.

Spochnurniałam, spojrzałam na stalowobury blok kamienia. Na jego licu nie było nazwisk ludzi, którzy pod nim spoczywali. Lidia musiała pomyśleć

o tym samym. Wzięła nóż od Memeda i pracowicie rzeźbiła litery w twardej płycie.

Słońce skryło się za horyzontem. Niebo było szare, zimne podmuchy wiatru rozwiewały nam włosy, szarpały ubrania. Przyświeciłam Lidii latarką zamontowaną na kuszy. Nikt nic nie mówił. Słysząc było tylko zgrzyt ostrza na kamieniu. Litery tworzyły napis, imiona naszych rodziców, nazwisko „Arciszewscy” – i epitafium:

Gloria

Sprawiedliwi

Też nimi jesteśmy. Ja, moja siostra Lidia, Asłan i Memed. Doceniłam to, że mam przyjaciół. Ludzi, na których mi zależy. Nie jestem sama.

– Wracajmy – powiedziała siostra, gdy wyryła już cały napis.

Wstaliśmy z kolan. Zanim odeszliśmy, ostatni raz spojrzałam na inskrypcję. Będę mieć ją w pamięci, tak jak i to miejsce. Szeroki step pod szafirowym niebem usianym jasnymi punktami – odległymi gwiazdami. Gdzieś tam jest planeta Orila.

– Wybaczcie – przemówił do nas, kiedy zeszliśmy w głąb ziemi i mężczyźni zapalili latarki. – Zmienię teraz postać, nie zdziwcie się, gdy zniknę wam z oczu. Jesteście bezpieczni tutaj pod ziemią. Łapa z Nemi poprowadzą was do transporterów. W drodze powrotnej przyjdzie nam mijać Kijów, dlatego muszę nawiązać kontakt z Truthem.

Czułam, że Oril nie powiedział nam wszystkiego.

Epilog

Przypadł do ziemi, rozpląszczył się i upajał zapachem wilgotnej darni. Chłonał ożywcze soki swoim ciałem wyspecjalizowanego zabójcy. Jak to dobrze być znowu we własnej skórze! Kreacja nastolatka, którą ostatnio przybierał, przypadła mu do gustu, ale stawała się przeszkodą, gdy musiał wykorzystać umiejętności rokusa.

Ludzie potrzebowali czytelnych haseł, znaków, symboli, inscenizacji z bogatymi dekoracjami. Dlatego przedstawił im zabłąkany sygnał z Ran jako postać Trutha. Sprzątaczu już nie potrafił się wycofać, jego czyn z przeszłości miał swoje konsekwencje. Chińskie przysłowie oddawało istotę rzeczy: gdy pozwolisz sobie na szlachetny gest i nieopatrznie uratujesz komuś życie, bierzesz za tego kogoś odpowiedzialność.

Musiał pomóc tym ludziom. Czuł, że niedługo będzie im potrzebny.

Sygnał spod ziemi zaczynał słabnąć. Był energią, która coraz bardziej się rozpraszala. Tkwiąc tak długo w skórze człowieka, Oril nabrał ludzkich nawyków. Wolał zamienić rolę obserwatora na udział w przedstawieniu z fajerwerkami, dlatego pozwolił sobie na odrobinę fantazji i nazwał ją Truth.

Według starych kronik – według miar czasu ludzi jakieś tysiąc lat temu – nastąpiło zaćmienie Słońca i pod Wyszogrodem zaszły niewytłumaczalne zjawiska. Na ziemię spadł smok i pojawił się czarodziej, który tajemniczo zaginał. Trojło zbadał podejrzany teren. W starych podaniach i legendach tkwiło ziarno prawdy. Lepiej było to zweryfikować. Przeczucie go nie myliło, wykrył wrogów w zrujnowanym Kijowie. W miasto uderzyła gigantyczna fala z wysadzonej zapory, którą zbudowano właśnie w Wyszogrodzie!

Kiedy woda opadła, wydarzyło się coś złego. Bardziej zdradzieckiego od siły natury. Coś się wtedy obudziło. Coś, co przez wieki spoczywało na dnie ogromnego zbiornika. Dniepr utworzył nieregularne rozlewisko. W niektórych miejscach było tam sucho, w innych powstały jeziora, oczka wodne i niewielkie wyspy otoczone zatęchłą, brudną wodą. W plątaninie ulic, zasypanych gruzami i zarośniętych chaszczami, łatwo było się przycząić,

rozpocząć polowanie.

Fala uderzeniowa przyczyniła się do śmierci wielu mieszkańców miasta – zabrakło im czasu na ewakuację. Ci, którzy od razu się nie utopili, walczyli każdego dnia o przeżycie. Umierali wolno, z zimna, głodu i w rezultacie skażenia środowiska albo stawali się żerem drapieżców, nie wiedząc, skąd nadchodzi śmierć. Bliscy zaginionych myśleli, że byli oni ofiarami gangów. Uprawdzono ich i zaszlachtowano, a ciała pechowców gniły na dnie zbiorników wodnych pełnych butwiejących liści i cuchnących śmieci, systematycznie nanoszonych przez wody powodziowe.

Oril wiedział swoje. Wróg unikał bezpośredniej konfrontacji. Czekał na dogodną chwilę, by dokonać ekspansji. Pod betonem, ziemią i taflą mętnej wody ukryły się istoty, które zapadły w letarg. Budziły się, żeby zaspokoić głód, i ponownie zasypiały. Ciągłe zmieniały postać – to dlatego Truthowi zajęło kilka lat, zanim je namierzył. A one się przyczyliły, przywarowały. Obserwowały i wyciągały wnioski, w snach przygotowując się do inwazji. Były podstępne, potrafiły się perfekcyjnie kamuflować, zawierać nietypowe sojusze. Wystarczyło, że wyczuły strach – że trafiły na osobników o mózгах przezartych przemocą i przesiąkniętych nienawiścią. Wtedy posługiwały się manipulacją. Judziły i szczyły jednych głupców na drugich. Metody stare jak pierwszy rozumny gatunek, który zaległ się na planecie z biosferą. Istoty ukryte w zrujnowanym mieście znalazły sojuszników. Byli nimi ci sami zwyrodnialcy, którzy na wschodzie zakładali obozy filtracyjne. Sprzątaczn miał już wątpliwą przyjemność ich poznać.

Kiedy sygnał z Ran osłabnie, wytraci energię, wtedy bariera pęknie. Nic już nie powstrzyma wrogów z odległego systemu. Używając kamuflażu, zajmą metropolie zamieszkałe przez ludzi. Trojło nie może do tego dopuścić. Zdecydował się poświęcić dla przyjaciół.

Już nie zmaże swojej winy za siłową interwencję na Ziemi. Nie po raz kolejny. Jego resocjalizacja skończyła się niepowodzeniem. Wygrał instynkt Sprzątacza. Jeśli wykorzysta swoją niszczycielską moc, już nie wróci na Ran. Nie schowa się przed egzekutorami w żadnym świecie, z wyjątkiem świata, do którego nie pozwolił odejść Pierwszym Sprawiedliwym. Wtedy jego Luna przybędzie po ciało, żeby nie stał się kolejnym Truthem. Kolejnym Niszczycielem Światów, po którego przychodził Sprzątaczn.

Siedzieliśmy na transporterze i wyświechtaną talią ręcznie malowanych kart wyciągniętych przez Trakowa różnieliśmy w pokera. Fantami były pełne magazynki do broni krótkiej i długiej. Z rąk do rąk przechodziła butelka samogonu.

Jako nowo mianowany komandos nie chciałam dać plamy. Ostrożnie pociągnęłam łyk z gwinta – rezerwuaru wirusów i bakterii, które wykorkowały od procentów. Staralam się nie skrzywić, gdy żrący płyn zalał mi gardło.

– Co to jest? – wycharczałam. – Kwas z akumulatora?

– Nie pękaj. – Puścił do mnie oko Igor.

Moja kochana siostra wpatrywała się w ścianę tunelu i pogwizdywała, powstrzymując się przed ryknięciem śmiechem na tę moją żalną próbę udawania twardzielki.

Ukraińska sywucha – to było wyzwanie.

Trojło wyrósł przed maską transportera jak duch. Na naszych oczach zmienił się z welocirapto-stegozaura w sympatycznego zielonookiego chłopaka. Normalnie prehistoryczny transformers!

– Jedziemy do Kijowa – oznajmił.

– Nie wiem, czy wiesz, ale ta nazwa ma fatalny wydźwięk. – Darek przekazał butelkę Igorowi, omijając idącego w zaparte Dżochara, który uważał hazard za równie zgubny, co alkoholizm. – Wybacz, Trakow – pospiesznie dodał.

– Jak jest chujowo – Lediew nie mógł sobie odpuścić połechtania Ukraińców drzazgą – Lachy mówią, że jest kijowo.

– Skoro już awansowaliśmy dziewczynę na komandosa – Asłan zareagował na łajający mężczyzn palec Lidii, która nagle się przejęła moimi wędzącymi uszami, przypominając sobie o roli opiekunki nieletniej – powinna się przyzwyczajać do języka takich jak wy kozaków.

Zachichotałam, po czym rzuciłam:

– Charakterników. Tankujących niczym bunkierki.

Oril nie podjął żartu.

– Zrobiłeś minę – wypomniałam mu wolny zaskok – jakby Ziemię miał zaraz opanować legion potępieńców wysypujący się z wrót piekieł. Lądujący desant z Gwiazdy Śmierci.

– Oni mają tutaj sprzymierzeńców – powiedział to zupełnie serio.

Przypomniałam sobie siłę, która ściągała barki do Kijowa. Pod prąd ogromnej rzeki! A my mamy tam jechać?!

– Nikt nie będzie bezpieczny. Musimy zdążyć przed nimi. Ile jest stąd do Krakowa?

Zadrzałam. Paweł! Roksana! Jej mama Natalia. Brat Walerij i dziadek Oleksij. Oni wszyscy: i Szymon, Artur, Magda, matka Pawła...

– Dalej niż do Kamieńca – odrzekł Trakow złowróbnym tonem i krzyknął do swoich ludzi: – *Dmytro, Saszko! Wlizajcie do maszini – robota czeka.*

Aslan objął mnie ramieniem. Wyczuwał, kiedy potrzebowałam jego bliskości.

– Gotowa, by uratować świat? – spróbował wyluzować mnie żartem.

– Oczyszczyć ze Zła – poprawił go Dżochar. – Urywając łeb Szatanowi!

Po prostu cudownie! Z bandą odjechanych szaleńców i wyrzutkiem Obcych ruszam na misję uratowania naszego świata przed kosmicznymi bandytami. Z ekipą wybawicieli jeszcze bardziej od niego popapraną. Drzyjcie, potwory! Trzęście tyłkami, dyktatorzy! Nadciąga kawaleria. My: Sprawiedliwi. Ale to wcale a wcale nie było zabawne.

– Dlaczego ich tam rozwaliłeś? – musiałam o to spytać Zuradowa. – W metrze?

– Tak było trzeba – odpowiedzieli z Orilem jak na komendę. – Przerwałem pasmo mordów – dodał Aslan.

– Zostałeś skazany właśnie za to „było trzeba” – te słowa skierowałam do Trojlo.

– Poświęcenie się dla ludzi. – Darek zeskoczył już z transportera. – Mit o Prometeuszu, chrześcijaństwo, męczennicy...

– Chrześcijaństwo tak nie działa – zaprotestowałam. – Mówi o nadstawieniu drugiego policzka. Czy wasza agresja nie nakręca skali przemocy?

– Nie, ona ją powstrzymuje. – Kosmita i człowiek znowu równocześnie się odezwali, jakby urodzili na jednej planecie.

– Tak jak miecz ucina łeb hydrze – wtrącił Trakow.

– Hydrze w miejsce jednego odrastały dwa łby – sprostowała Lidia.

– Bo trzeba unicestwić ją całą – odburknął Dżochar. – Wypalić wszystko! Do gołej ziemi. Tak aby na popiołach wyrosła nowa trawa.

Co na to twój Bóg, że chcesz go zastąpić? – chciałam mu wypomnieć, bo tylko Allah mógł karać ogniem. Ale zamiast tego spytałam:

– A co ze stworzeniami, które w niej żyją?

Tym razem nikt mi nie odpowiedział.

Warkot silników, ruszaliśmy w drogę. Ku przeznaczeniu. Obojętnie, co to dla każdego z nas, Sprawiedliwych, znaczyło.

Kraków, styczeń 2015 r.

Podziękowania

Pragnę podziękować autorom, którzy przez ostatnie kilka lat kroczyli ze mną tą samą drogą, pracując nad swoimi tekstami, ale i znajdując czas, żeby spojrzeć na moje literackie wprawki. Przede wszystkim dziękuję Romkowi Pawlakowi, który będąc moim pierwszym czytelnikiem, służył mi radą i pomagał zrozumieć zawiłości wydawniczego rynku. To on zachęcił mnie, żebym zaczęła pisać powieści dla młodszej i starszej młodzieży. Dziękuję Magdzie Polanowskiej, szczerzej i pogodnej osobie, która zawsze znajdowała czas, żeby przyjść mi z pomocą. Dziękuję też Basi Sęk. Wiem, Basia, że nie lubisz takich oficjalnych podziękowań, ale nie potrafiłam Cię pominąć. Za wylewanie mi kubła zimnej wody na głowę, gdy zaczynała buchać z niej para, i za łapanie za kostkę, kiedy odrywałam się od ziemi. Dziękuję Marinie Borisowej za pomoc i cierpliwość. Sławkowi Nieściurowi za opinię o typowo męskich kawałkach, będących przymiarkami do drugiej części cyklu. Oraz Glorii Brzezińskiej, która poprawiała moje pierwsze teksty i której imię wykorzystałam w powieści. Dziękuję Redaktorowi Naczelnemu Arkadiuszowi Nakoniecznikowi za dostrzeżenie potencjału w Glorii. Redaktorowi Markowi Gumkowskiemu za wspólną pracę nad szlifowaniem tekstu. Dziękuję czytelnikom, którzy mi zaufali, sięgając po powieść. Piszę dla Was następne części. Przed Glorią stoją kolejne wyzwania.

- [1] *La Garde civique* – straż obywatelska.
- [2] *Rerka* – RER (Réseau Express Régional), regionalna sieć kolejowa wokół aglomeracji paryskiej.
- [3] DGSE (Direction Générale de la Sécurité Extérieure) – Dyrekcja Generalna Bezpieczeństwa Zewnętrznego, francuska agencja wywiadu wojskowego.
- [4] DGSİ (Direction Générale de la Sécurité Intérieure) – Dyrekcja Generalna Bezpieczeństwa Wewnętrznego, francuska służba zajmująca się kontrwywiadem i zwalczaniem terroryzmu.
- [5] *Wsięda li gieroi takie zanozy w zadnice?* – Czy ten bohater zawsze jest taki upierdliwy?
- [6] *Kaskuj* – upierdliwiec.
- [7] SWW – Służba Wywiadu Wojskowego.
- [8] *Bloody polish* – cholerny połysek, ale *Polish* to także „Polak”.

Wydawnictwo Akurat

imprint MUZA SA

ul. Sienna 73

00-833 Warszawa

tel. +4822 6211775

e-mail: info@muza.com.pl

Dział zamówień: +4822 6286360

Księgarnia internetowa: www.muza.com.pl

Wersja elektroniczna: [MAGRAF s.c.](#), Bydgoszcz